

CHRISTOPHER WHITCOMB

BIAŁE

WYDAWNICTWO

JAKOŚĆ WIEDZY

BIAŁE

CHRISTOPHER WHITCOMB

przełożyła Joanna Przyjemska

Tytuł oryginału White

Pierwsze wydanie 2005 Little, Brown and Company

Copyright © Christopher Whitcomb 2005

© Copyright for the Polish edition

by „Wołoszański” Sp. z o.o. Warszawa 2006

by arrangement with Little, Brown and Company (Inc.), Nowy Jork, USA

Przekład Joanna Przyjemska Opracowanie redakcyjne Irma Iwaszko Korekta

Bożenna

Lalik

Projekt okładki

i stron tytułowych: Michał Wołoszański, Robert Gretzyngier

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment tej książki nie może być wykorzystywany do powielania, reprodukowania czy to w formie elektronicznej, czy też mechanicznej lub zarejestrowany w inny sposób, jak tylko w formie wydania całości.

ISBN 83-89344-21-1

Wydawnictwo „Wołoszański” Sp. z o.o.

01-217 Warszawa, ul. Kolejowa 15/17

tel. (0-22) 862 53 71, 632 54 43

e-mail: [sensacjexxwieku@sensacjexxwieku.com.pl](mailto:sensacjexxwieku@sensacjexxwieku.com.pl)

Sklep internetowy: [sensacjexxwieku.com.pl](http://sensacjexxwieku.com.pl)

Łamanie: Oficyna Wydawnicza MH Druk: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Joemu Blakebwi i Peterowi Bergowi Nic się nie dzieje bez przyczyny

Wi. |

i

Spis treści

Prolog .....	9
KsiĘQA I - Planowanie opERAcji.....	21
Rozdział I.....	23
Rozdział II .....	41
Rozdział III.....	56
Rozdział IV .....	71
Rozdział V.....	87
Rozdział VI .....	103
Rozdział VII .....	120
Rozdział VIII.....	137
KsJĘCA II - Zanurzenie.....	155
Rozdział IX .....	157
Rozdział X.....	170
Rozdział XI .....	184
Rozdział XII .....	198
Rozdział XIII.....	214
Rozdział XIV .....	230
8	
KsJĘCfA III - EqzckucJA.....	249
Rozdział XV.....	251
Rozdział XVI .....	266
Rozdział XVII.....	281
Rozdział XVIII .....	299

Rozdział XIX .....	314
Rozdział XX.....	331
Rozdział XXI .....	331
Epilog .....	370
Podziękowania .....	372
O Autorze .....	373

## Prolog

Pierwszą ofiarą wojny jest prawda. Rudyard Kipling

Niedziela, 13 lutego

6.27 GMT

Wzgórza Jayawijaya, Indonezja

JEREMY WALLER PATRZYŁ wzdłuż lufy swego karabinu. Na jej końcu przysiadł wspaniały kolorowy motyl. Stworzonko trzepotało skrzydłami, a lekki wietrzyk muskał ramię snajpera, powoli rozdzielając rosnące dokoła łodygi bambusa i słoniową trawę. Krople potu ześlizgiwały się po pomalowanym nosie mężczyzny i cicho spadały w rowek pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. W nozdrza wdzierały się dziwne, kolidujące ze sobą zapachy - luźno splecionej juty, przykrytej potrójnym sklepieniem dżungli i śmierci kryjącej się gdzieś tam w ciemnościach.

Graphium milon.

To był kobiecy głos, dźwięk, którego Jeremy nigdy dotąd nie słyszał w takich sytuacjach. Delta Force, obecnie znana już oficjalnie pod nazwą Grupa Stosowania Walki, nazywała ją GI Jane, ale zdarzało się to rzadko i nigdy nie było w tym cienia sarkazmu. Wojskowe jednostki przeznaczone do zadań specjalnych twierdziły, że nie mają w swoich szeregach kobiet, aczkolwiek zarówno w armii, jak i marynarce wojennej było ich trochę w celach „operacji wojskowych innych niż działania wojenne”. A teraz i w CIA znalazły się kobiety, tworząc personel do działań specjalnych.

- Graphium milon - mówiła dalej kobieta - piękny przedstawiciel tropikalnej fauny, wyróżniający się żółtawą kępką włosków na lewym tylnym skrzydle

grzbietowym. To prawdopodobnie samiec, ma cały czerwony brzusek, choć u motyli trudno jest określić płeć. - Jej perłowobiałe zęby połyskiwały zza grubej warstwy farby kamuflażowej, którą nałożyła w nierówne zielone i czarne pasy.

10

Jeremy otarł pot z oczu. Z wielkich liści roślin, które rosły wszędzie dookoła, zaczęły padać ogromne niczym groch krople.

- Cholerny deszcz - powiedział głośno. Celownik lunety obserwacyjnej pokrył się obłoczkiem mgły, sprawiając, że cel stał się niewyraźny, a zjeżdżała ghille przylgnęło Jeremy'emu do ciała. Jego ubiór sporządzony z konopi, płótna i miejscowej roślinności cały się ruszał od pełzających w nim owadów i stawał się narzędziem tortur powodującym chroniczne, dokuczliwe swędzenie.

- Czy wy wszyscy w FBI tak bardzo narzekacie? - spytała Jane.

Jeremy, od sześciu lat specjalny agent i od ponad roku członek podlegającej FBI elitarniej HRT - Jednostki Antyterrorystycznej do Odbijania Zakładników, nie widział sensu w odpowiadaniu na to pytanie. Byli partnerami w akcji, która wymagała anonimowości, i zaprzyjaźnianie się z Jane go nie interesowało.

•!|-

DZIESIĘĆ TYSIĘCY MIL NA WSCHÓD dwaj mężczyźni i kobieta czekali w słabo oświetlonej sali konferencyjnej o ścianach wyłożonych jasnobrązowym drewnem orzechowym i oświetlonej maleńkimi lampkami imitującymi srebrne świeczniki. Na trzech płaskich ekranach telewizorów migał zaśniewany obraz, który nagle rozbłysnął, stając się jasny i wyraźny, jak w telewizji kablowej.

- GPS wskazuje nam, że są tutaj, tutaj, tutaj i tutaj - powiedział jeden z mężczyzn. Stał z prawej strony monitorów i wskazywał na światelko lasera pośrodku ekranu. Czerwone kropki pojawiły się w czterech punktach wokół polany w dżungli.

- A gdzie dokładnie jest to „tutaj”? - spytał drugi mężczyzna, siedzący przy końcu olbrzymiego stołu. Ubrany był w uszyty na zamówienie jasny garnitur w prążki i w wypucowane na glanc buty od Johna Lobba w kolorze bordowowiśniowym i

od razu widać było, że to najważniejsza osoba w tym gronie.

- Środkowa Indonezja - odparł pierwszy. - Prowincja Irian Jaya, odległy i odizolowany skrawek dziewiczych lasów tropikalnych, dobrze strzeżony przez miłą miejscową ludność. Najbliższa miejscowość to wioska plemienna nosząca nazwę Telambela.

- Telambela? To cholerne miejsce na rozpoczęcie akcji takiej jak ta, nieprawdaż? - spytał facet w butach za cztery tysiące dolarów.

11

- Raczej lepsze na jej zakończenie - odezwała się kobieta ubrana w nie najnowszy, ale nadal elegancki kaszmirowy kostium. Wysoka i zadbana chodziła tam i z powrotem przed oprawnymi w ołowiane ramki oknami, które sięgały aż do znajdującego się piętnaście stóp nad jej głową sufitu. Przed oczami rozpościerał się widok Nowego Jorku w nocy.

- Miejmy nadzieję - zgodził się ten, który składał sprawozdanie. Jego głos brzmiał głucho, jak głos żołnierza wysłanego na beznadziejną bitwę. Najświeższe dane wywiadu wskazywały, że za kilka dni może mieć miejsce największa w historii Stanów Zjednoczonych fala terroru. Jeśli te działania w zapomnianym przez Boga skrawku Trzeciego Świata zawiodą, to ta fala zaleje miejsca, o których najtęższe umysły CIA i FBI nigdy nawet nie pomyślały.

r'

\*

- MAM TEGO WARTOWNIKA z karabinem galil, który właśnie wychodzi z szałas. Nazwijmy go Facet z Bandžo.

Jeremy mówił cicho, lewą ręką naciskając przyciski telefonu satelitarnego NMARSAT, który technicy z działu badań elektronicznych FBI wyposażyli w specjalnie zmodyfikowane moduły. Drugi strażnik, któremu już nadano imię Castro, stał na zewnątrz, paląc corone\*.

- Którą masz godzinę? - spytał.

Deszcz, który padał już nieprzerwanie, dostał się do jego niby wodoszczelnego zegarka i teraz nadawał się on już tylko do wyrzucenia.

- Trzynasta czterdzieści - odpowiedziała kobieta niskim i gardłowym głosem.

Wilgotne powietrze wokół nich wypełniła dziwna mieszanina dźwięków, jakby pstrykania, pochrząkiwania, obcych słów, które zdawały się wydobywać z głębi jej gardła i wydostawać przez nos.

Odpowiedź nadeszła skądś z tyłu, z miejsca, w którym leżeli u podnóża stromego zbocza górskiego.

- Klik hung ktok ktok oum aup - powiedział jakiś ochrypły głos.

- Daj spokój z tym gównem i mów po angielsku - szepnął Jeremy. Odwrócił głowę, szukając wzrokiem mężczyzny ze szczepu Yani

\* La Corona to marka cygar (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumaczki).

12

ukrytego gdzieś w gąszczu za nimi. Ten mały człowieczek z nakładką z tykwy na penisie, kółkami z rattanu w nosie i sznurkiem z nanizanymi zębami babirusy na szyi przyprowadził ich tutaj, a następnie ukrył się w gąszczu, który tylko tubylcy mogą pokochać.

- Uważaj, co mówisz - wtrąciła się Jane. - Ci ludzie są niezwykle wyczuleni nawet na ton głosu. Przecież wiesz, że ich przodkowie to łowcy głów.

- Taak, myślę, że widziałem ich raz w cyrku. - Ton Jeremy'ego nie wymagał od słuchacza nadzwyczajnej intuicji. - Powiedz mu, niech stanie tak, żebyśmy go widzieli. Nie ufam temu kurdupłowi.

- Mówi, że posłaniec nadejdzie z północy, tuż przed zmierzchem - odezwała się GI Jane po chwili milczenia. - Zmierzch zaczyna zapadać o siódmej trzydzieści siedem czasu Żulu, a to znaczy, że mamy dwie godziny. Może chcesz, żebym cię zmieniła na trochę przy lunecie?

Jeremy przetoczył się za kolbę swojego karabinu. Jemu i jego ludziom trzy dni zajęło dotarcie tu z miejsca, gdzie wyrzucił ich helikopter, nieopodal przepływającej przez wioskę rzeki. Czekał tam na nich przydzielony do tego zadania oficer CIA i przedstawił ośmioosobowy zespół tubylcowi, którego imienia Jeremy nawet nie starał się wymówić. GI Jane, były oficer wywiadu sił specjalnych, przydzielona teraz do CIA, służyła za tłumacza.

Dlaczego rząd Stanów Zjednoczonych szkoli kogoś w tajemnym indonezyjskim dialekcie, nigdy nawet nie zaprzętało Jeremy'emu głowy. Dostatecznie dużo czasu spędził wśród ludzi związanych z wywiadem, aby wiedzieć, że tak naprawdę to nic nie ma sensu. W przepelnionym tajemnicami wszechświecie po prostu akceptuje się to, co ci mówią, i prze do celu. Każda niekonieczna informacja okazywała się nieco więcej niż ciężarem.

- Zostanę tu - odparł Jeremy. Nie miał zamiaru oddalać się od swego karabinu, dopóki „Posłaniec” - tak w miejscowym slangu nazywano Alego Fallal Mahara, autora bomb - nie wejdzie między znajdujące się przed nimi chaty. Mahar odznaczył się w zeszłym roku dokonaniem jedenastu zamachów terrorystycznych na rozmaite cele na terenie Azji Wschodniej, w których trzysta czterdzieści osób zostało zabitych, w tym trzydziestu siedmiu Amerykanów.

Jeremy wiedział, że „Posłaniec” miał tu przybyć przed zmierzchem, a on zamierzał wtedy tu być... i czekać ze specjalnymi pozdrowieniami.

13

•

- A GDZIE SĄ SNAJPERZY? - zapytał facet w butach od Lobba. Wstał z krzesła i przeszedł wzdłuż stołu. Na chwilę przestały go interesować ekrany telewizyjne, a zajął się przeglądaniem wycinków z prasy, które jego sekretarze przygotowywali mu trzy razy dziennie.

- Schowani na linii drzew - odpowiedział mężczyzna zdający sprawozdanie. Trask, pełniący funkcję szefa personelu, wyprostowany jak struna były żołnierz piechoty morskiej, wskazał w kierunku dżungli, na wschód od mierzącej może jeden akr, kwadratowej polany. Na brzegu wolno płynącego strumienia stało pięć jakby przypadkowo zbudowanych prymitywnych chat. Na ściętym na płasko wierzchołku pnia

drzewa tekowego rosnącego obok największej chaty widniał talerz anteny satelitarnej. Obraz na ekranie pokazywał, że jest tam mały generator, kilka baniek po benzynie, poukładane pudełka tekturowe oraz ubrania powieszzone na sznurze rozciągniętym między dwoma drzewami sagowymi. Nie było kobiet ani

dzieci,

a sfera psów rozgrzebywała pozostałości po ognisku, usiłując wywąchać jakieś resztki jedzenia.

- Waller jest tu - ciągnął dalej Trask, po czym nakreślił koło na wschód od chat i wskazał na południe. - Grupa snajperów Deva tutaj.

- To ilu w sumie? - chciał wiedzieć szef.

- Ośmiu. Trzech szturmowców od zielonych, dwóch z niebieskich, jeden z snajper z niebieskich i Waller. - Wszystkim było wiadomo, że „zielony” odnosi się do ludzi z armii, „niebieski” do marynarki.

- A co z tą kobietą z CIA?

- Tak, oczywiście... tłumaczka. Przeszła rozmaite szkolenia, tak jak pozostali, ale jest naukowcem. Jeśli już do tego dojdzie, to będzie walczyć, ale to nie jest jej MOS\*.

Mężczyzna w butach od Johna Lobba zamknął teczkę z wycinkami prasowymi, położył

ją na masywnym stole konferencyjnym i zwrócił się w stronę ekranu.

- A jeśli go tu nie dopadniemy? Jeśli coś pójdzie nie tak? Jakie są plany awaryjne?

Kobieta przestała przechadzać się po pokoju i stanęła przy oknie.

\* MOS - skrót od Military Occupational Specialty - wyuczona w wojsku specjalność.

14

- Miliony dolarów i niezliczone godziny pracy kosztowało nas wyrobienie kontaktów, które doprowadziły nas tu, w to miejsce - odezwała się z akcentem świadczącym o starannym wykształceniu oraz o pochodzeniu z Karoliny Południowej.

Ta dystygowana wyglądająca pani - zapewne najbardziej wtedy znana twarz w Ameryce - skrzyżowała ręce i patrzyła na miasto, którego nigdy nie zdołała polubić. - To jedyna okazja - dodała. - Jeśli się nie uda, to nie będzie potrzebny żaden plan awaryjny. . .-|| , .

• .,-



- A WIĘC OD KIEDY FBI opracowuje plany działań wywrotowych wspólnie z armiami

krajów Trzeciego Świata? - zapytała GI Jane. Zdaje się, że przestała się już interesować skupiskiem chat, a wyglądała na zauroczoną motylem siedzącym na lufie karabinu Jeremy'ego. - Chodzi mi o to, że wy wszyscy stawiacie raczej na przestrzeganie prawa, a nie łamanie go, prawda?

- Zasady się zmieniły - stwierdził Jeremy zdawkowo. Otarł krople deszczu z kaptura ghille i przeczesał wzrokiem krajobraz przed sobą, usiłując wyobrazić sobie, jak też ta cała operacja się skończy. Według liczącego pięć paragrafów rozkazu, Mahar powinien pojawić się w tym odosobnionym obozie jakoś przed zmierzchem. Wcześniejsze usiłowania złapania lub zabicia tego szefa terrorystów zawiodły z powodu źle przeprowadzonego rozpoznania wywiadowczego i skorumpowanych indonezyjskich oficjeli, ale wyłoniło się nowe źródło. Człowiek o pseudonimie Parsifal, wtyczka wewnątrz Jeemah Isla-miya, wydał już czterech współników Mahara, zmuszając pozostałych przy życiu przywódców tej terrorystycznej grupy do ukrycia się w dżungli.

- Zabiłeś kiedyś kogoś? - spytała Jane.

Jeremy zmienił pozycję, a tymczasem dżungla wokół niego pulsowała. Uważana za najbardziej niedostępne miejsce na ziemi, zrobiła na nim wrażenie krainy cieni, duchów i ubóstwa. Bez przypominającej labirynt sieci ścieżek wydeptanych stopami tubylców to miejsce mogłoby na zawsze pozostać ostatnią więzią łączącą nas z epoką kamienną.

- Myślałam, że wy tam w CIA już wszystko wiecie - odparł Jeremy. - Czy nie macie jakiegoś dossier na mój temat albo czegoś takiego?

Roześmiała się na głos.

15

- Nie pochlebiaj sobie. Terrorysty, despoci i prowadzący talk--show - dla nich zawsze mamy czas - powiedziała. - A poza tym wy tam, którzy wszystko zawsze dostajecie za darmo, czy to nie w waszym ręku są wszystkie akta? Czy też może leżą sobie upchane w jakiejś szafie w zachodniej Wirginii razem z wieczorowymi

garniturami Edgara Hoovera?

Jeremy starał się nie uśmiechać.

- Szafy? Masz na myśli takie szafy, w jakich Saddam Husajn chował całą tę swoją broń masowego rażenia\*?

Przestała się uśmiechać.

- Tandetny żart. Informacje wysłane przez nas do Białego Domu, a to, co politycy powiedzieli światu, to dwie zupełnie różne rzeczy i dobrze o tym wiesz...

- Poczekaj - przerwał jej Jeremy. - Co to takiego, do cholery? Spójrz na północno-zachodni początek tropu.

Snajper z HRT nachylił się, spoglądając w okular swojej lunety, pochłonięty czymś niezwykłym. GI Jane ustawiła swój celownik optyczny, usiłując dostrzec to, co Jeremy.

- Cholera... - i to było wszystko, co powiedziała.

•

POJAWILI SIĘ NA płaskich ekranach telewizorów niczym czarne kropki w morzu zieleni: garstka ludzi wyszła z dżungli i zatrzymała się na skraju polany.

- Kim oni są, do diabła? - spytał facet w butach od Johna Lobba. Satelita krążący sto dwadzieścia siedem mil nad Indonezją właśnie mijał najwyższy punkt na łuku swojej trasy i przekazał obraz pod bardzo ostrym kątem. Pomimo wysokiej rozdzielczości i doskonałej jakości obrazu, nikt w sali nie był w stanie zobaczyć niczego więcej, oprócz czubków głów tych ludzi.

- Naliczyłem sześciu - oznajmił Trask, milknąc na chwilę, w czasie której jeszcze jeden człowiek wyszedł z dżungli. - Razem z tym... siedmiu.

\* Aluzja do, jak się później okazało, błędnej informacji, jakiej CIA udzieliło prezydentowi George'owi W. Bushowi przed rozpoczęciem wojny z Irakiem, że Saddam

Husajn ma i ukrywa broń masowego rażenia.

16

- O ile wiem, jest tylko jeden człowiek, mający odpowiednie powiązania i chęć znalezienia zapomnianej przez Boga polany, takiej jak ta - dorzucił szef Traska.

-1 to musi być Mahar.

- A ci inni? - zapytała kobieta. - Wywiad doniósł, że przyjdzie sam.

- Wywiad? - prychnął Trask. - Nawet najlepszy raport zawiera opinię tylko jednego człowieka, zazwyczaj jest to jakiś urzędnik, który od wieków nie był na prowincji.

Trójka zebranych spoglądała przez dłuższy czas na ekran, czekając na jakąś reakcję strzelców ukrytych w dżungli. Czy był to Mahar, czy też nie, operatorzy wysłani w celu schwytania go z pewnością zareagowaliby użyciem siły. W skład tego specjalnego oddziału wchodziłi najlepsi żołnierze na kuli ziemskiej i nie spuszczali oka z celu.

- Wkrótce się dowiemy - stwierdził szef.

Pozostali skinęli głowami. Pomimo takiego zaawansowania jeśli chodzi o przekaz za pośrednictwem satelity, nic nigdy nie zastąpi znajdującego się na miejscu człowieka.

.. m |.••;.-| .||••|,;,, . • .-Z-

- CZY ZAMIERZASZ ZAMELDOWAĆ o tym nowym fececie dowództwu? - spytała GI Jane. Jeremy potrząsnął głową.

- Teraz jestem zajęty - wyszeptał, kładąc palec na spuście i oglądając przestrzeń przez soczewkę lunety.

Na północnej stronie polany stał przewodnik z plemienia Yani, taki sam jak ich, prezentując rzeźbiony ręcznie łuk i prehistoryczne rysunki na ciele. Wysunął się na czoło sześciu wyższych mężczyzn i dał znać Facetowi z Bandžo, który tkwił na swoim stanowisku obok szałas.

- Sierra Jeden do TCO\* - mówiła miękko Jane do słuchawki telefonu. - Mamy siedmiu, powtarzam siedmiu nowych graczy, którzy wyłonili się z czarno-zielonego narożnika, odbiór.

Czekali chwilę, aż osoba, która zaplanowała akcję, znajdująca się w Taktycznym Centrum Operacyjnym w Bangkoku, potwierdzi

\* TCO - Taktyczne Centrum Operacyjne.

otrzymanie informacji. Stamtąd, z Bangkoku, te kluczowe dane wywiadowcze, czyli EEI\*, popłyną do podlegającego FBI/CIA Joint Terrorist Threat Integration Center\*\* w Arlington w Wirginii, a tam zostaną przekazane do Secured Compartmented Information Facility\*\*\*. Jakikolwiek rozkaz do rozpoczęcia ataku zostałby przekazany stamtąd do telefonów NMARSAT, których snajperzy mieli trzy. Ten plan porozumiewania się wydawał się niezdarny i zajmował dużo czasu, ale złowroga dżungla wykluczała wszystkie inne opcje. Jeremy patrzył przez lunetę obserwacyjną.

- Myślałem, że ten twój łowca głów nie spodziewał się go, aż...

Zanim skończył zdanie, zdał sobie sprawę, że nie ma czasu na dyskusje. Cele zaczęły przesuwać się szybko w stronę chat. Siła uderzeniowa, składająca się zaledwie z pięciu szturmowców, utraciłaby taktyczną przewagę, jeśliby Mahar zniknął we wnętrzu chaty.

- Zapnij pasy - wyszeptał Jeremy. - Lądujemy.

•

- CHOLERA, TO WSZYSTKO ZMIENIA - stwierdziła kobieta, patrząc na ekrany telewizorów.

- W porządku - zapewnił ją Trask. - Poradzą sobie. Organizatorzy misji przewidzieli niemal wszystko, od ewakuacji drogą powietrzną w razie jakiegoś wypadku wymagającego natychmiastowej opieki medycznej, po strzelanie bez rozkazu z góry, co miało zrekompensować problemy z komunikowaniem się. Bez względu na liczbę ludzi na miejscu, zasady zaangażowania

się zezwalały na natychmiastowe, bez uprzedniego ostrzeżenia użycie broni w momencie, w którym schwywanie Mahara okazałoby się mało realne.

- Jak będziemy mieć Mahara, to nieważne, ilu ich tam jest, niech sobie będzie nawet pięćdziesięciu - burknął szef. - Tak naprawdę chodzi nam tylko o niego.

\* EEI - essential elements of intelligence (ang.).

\*\* Joint Terrorist Threat Integration Center - Zintegrowane Centrum do Walki z Zagrożeniem Terrorystycznym.

\*\*\* Secure Compartmented Information Facility - Ośrodek Segregowania Informacji Tajnych.

18

Nikt z obecnych nic na to nie odpowiedział. Wszyscy oni wiedzieli już wystarczająco dużo o walce z terroryzmem, aby rozumieć, że żaden z tych ludzi nigdy nie ponosi sam całej winy.

| | ••  
| |

- MASZ FACETA Z BANDŻO - powiedziała Jane.

Jeremy znał plan. On zdejmował faceta stojącego obok szałas. Ludzie z Komanda Foki kryjący się wśród drzew na południowym krańcu polany mieli zająć się Castro, drugim widocznym strażnikiem. Po zlikwidowaniu tych dwóch pięcioosobowy zespół

szturmowców powinien wyjść z dżungli i zażądać od Mahara, by się poddał. Gdyby terrorysta wykonał jakiś ruch -jakikolwiek, nawet najmniejszy - Jeremy i jego kolega ukryty po drugiej stronie polany mieli „wyeliminować inne cele”.

- A co zrobimy, jeśli wrócą do dżungli? - zapytała GI Jane.

- Nie wrócą. - Jeremy starał się nie potrząsać głową. Gdyby tylko był tu Fritz Lottspeich, jego snajperska para w HRT. Nie miał co prawda pojęcia o żyjących w Indonezji motylach ani też o dziwnych dialektach plemiennych, ale chłop umiał strzelać i to jak diabli.

Pfff!

Jeremy nacisnął spust swojego karabinu AW-SP, śmiertelnie skutecznego kija kalibru 7,62x51 mm wystrzeliwującego naboje z pociskami o prędkości poddźwiękowej z hałasem nieprzekraczającym sześćdziesięciu decybeli. Aczkolwiek precyzja strzału była ograniczona do stu jardów, nikt znajdujący się w pobliżu kryjówek Jeremy'ego nic by nie usłyszał.

- Strażnicy zdjęci - zauważyła GI Jane.

Zanim jeszcze dwa ciała upadły na ziemię, brygada składająca się z pięciu szturmowców z Grupy Stosowania Walki i ze specjalnej grupy marynarki wojennej wyłoniła się z dżungli z bronią gotową do strzału. Wyglądali jak jakieś obce

formy życia powstałe z listowia, tak dziwacznymi i imponującymi w swoich kamuflażach, że Mahar i jego grupa nawet nie pomyśleli o ukryciu się.

Pop, pop, pop...

To były M-5. Psy leżały martwe.

Jeremy ustawił krzyż celownika na czole Mahara, tak na wszelki wypadek, ale nie było potrzeby strzelać. Człowiek z plemienia Yani

19

zniknął w dżungli niczym duch rozpluwający się w rozproszonym świetle. Mahar i jego kompani unieśli ręce nad głowę. Poddali się bez problemu.

\*

' - No i po wszystkim-stwierdził Trask, wracając do rzeczywistości. Odszedł od ekranów i teraz stał obok zwyczajnie wyglądającego telefonu. - Dwaj strażnicy nie żyją, sześciu graczy schwytanych, w tym Mahar.

Oczywiście te słowa potwierdzały tylko to, co właśnie widzieli. Teraz, gdy satelita minął już wierzchołek swego toru, łatwiej było rozróżnić twarze oraz ubrania.

- Boże Wszechmogący! - wykrzyknęła nagle kobieta. - Czy wy widzicie to samo, co ja?

Inni skinęli w milczeniu głowami. Mahara łatwo było zauważyć. Fotografie FBI, CIA i Interpolu sprawiły, że jego twarz była rozpoznawalna nawet dla przeciętnego telewidza. Znajomo wyglądały też twarze dwóch stojących obok niego mężczyzn: Ramsiego al-kir Amuriego, politycznego przywódcy Jemaah Islamiya, oraz

Adnana al-Szukrijumy, głównego zabójcy wykonującego rozkazy Mahara.

Ale pozostali trzej wyglądali zupełnie inaczej. Byli ubrani w niebieskie dżinsy, poplamione potem T-shirty i bejsbolówki. Na naszywce nad jednym z daszków widniał napis: „Bass Pro Shops”.

•

- KTO TO JEST, DO CHOLERY? - spytał Jeremy, odwracając się od lunety obserwacyjnej do swojej towarzyszk, ale jej już nie było. Jeremy leżał i

patrzył, jak mała, muskularna kobieta wypada z dżungli i biegnie przez polanę ku sześciu nowym aresztantom amerykańskich władz w ich walce z terroryzmem.

- Mam nadzieję, że lepiej ci idzie zadawanie pytań niż udzielanie odpowiedzi - powiedział Jeremy właściwie do nikogo. Obserwował, jak kolorowy motyl zatrzepotał skrzydłami i poderwał się z czubka jego lufy nerwowym, przerywanym lotem.

•

20

JAK GDYBY W ODPOWIEDZI nowo wybrana wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Elizabeth

Beechum zwróciła się do Jordana Mitchella, najbogatszego i najbardziej znanego w kraju przemysłowca. Już ponad rok, jak obydwójce spotkali się, atakując się wzajemnie przed senacką Komisją do spraw Wywiadu. Ponieważ zawiązanie między nimi sojuszu raczej nie wchodziło w grę, tych dwoje zawarło między sobą coś na kształt porozumienia, partnerstwo woli noszące nazwę „nowe stulecie”, które wykraczało daleko poza politykę lub tradycyjne więzi między rządem a biznesem.

- Widzę, ale nie wierzę własnym oczom - powiedział Mitchell. Raporty wywiadu nie sugerowały niczego takiego, co zobaczył na ekranach swoich monitorów o dużej rozdzielczości. - Jak to możliwe?

Beechum potrząsnęła głową. Wszystko, nad czego osiągnięciem tak bardzo pracowali,

miało dobiec kresu tutaj, w tej odległej dżungli. A teraz nagle sytuacja ulegała zmianie.

- Cholera, żeby to ja wiedziała - mruknęła. - Ale tych trzech po prawej to z całą pewnością Amerykanie.

KSIĘGA I

PLANOWANIE OPERACJI

W końcu wszystko sprowadzi się do wojny między chrześcijaństwem a islamem - Książę Światła przeciwko brudnym bogom Mahometa. Im wcześniej się do tego zabierzemy, tym lepiej dla naszych dzieci.

Richard Alan Sykes

Członek Ruchu na rzecz Chrześcijańskiej Tożsamości

i samozwańczy kapłan Pinchasa

"!,,óí? ..,•;\$ "i

Rozdział I

Poniedziałek, 14 lutego

12.02 GMT

Situation Room, Biały Dom

- W PORZĄDKU, MATTHEW, ZACZYNAMY.

David Ray Venable, nowo wybrany prezydent Stanów Zjednoczonych, dał znak ręką, aby uciszyć zebranych, którzy zdawali się dygotać od szoku i nerwów. Stał za krzesłem stojącym pośrodku długości szerokiego mahoniowego stołu. Tuż po jego prawej stronie siedział Matthew Havelock, były profesor historii na Uniwersytecie Pensylwania, a obecnie doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Przez okulary kupione w sklepie, w którym wszystko kosztuje jednego dolara, spoglądał na błękitną teczkę z dokumentami, a dłońmi opasał kubek z wolno topniejącym lodem, starając się zapobiec grzechotaniu kostek.

- Przypuszczam, że widział pan poranną prasę, panie prezydencie. Myślę, że my...

- Czy widziałem prasę? To ja po to zatrudniam doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, żeby tyle od niego usłyszeć? Oczywiście, że widziałem poranne gazety! BOMBOWCE ZAATAKOWAŁY OJCZYZNĘ - krzyczał jeden tytuł. W KRAJU SZALEJE TERROR -

obwieszczał inny. Najlepiej chyba ujęło to „USA Today”: ZIŚCIŁY SIĘ

NAJGORSZE

OBAWY NARODU.

Dziewięć godzin wcześniej, tuż przed 22.00 czasu wschodniego, terroryści zaatakowali trzy cele: Buckhead popularny lokal w Atlancie, Disneyland w Anaheim oraz wielkie centrum handlowe, Mail of America, w Bloomington w Minnesocie.



Niemal każdy kanał radiowy i telewizyjny zdyktował zaplanowany program i nadawał szczegółowe sprawozdania z tych miejsc. Lokalne, stanowe i federalne służby medyczne oraz policja i straż pożarna pracowały gorączkowo, aby uporać się z sytuacją i z olbrzymią liczbą ofiar. Z pomocą spieszyły organizacje od Czerwonego Krzyża poczynając, a na ochotniczych strażach pożarnych oraz grupach wolontariuszy działających przy kościołach kończąc.

Waszyngton także się obudził i starał się wcielić w życie planowane przez trzy lata reakcje na atak terrorystyczny. Niestety, stolica kraju, w której mieszczą się niemal wszystkie urzędy federalne, od Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i FBI, po Agencję Bezpieczeństwa Narodowego i DIA\*, została sparaliżowana przez najgorszą od trzydziestu lat burzę śnieżną. Dla miasta, które unieruchamia nawet najmniejszy śnieżek, cały ten kryzys nie mógł przypaść w trudniejszym czasie. Jedynymi ludźmi poruszającymi się po mieście byli właściciele samochodów z napędem na cztery koła i narciarze.

- Raporty są wciąż bardzo fragmentaryczne, sir, ale na podstawie tego, co wiemy, to jest najgroźniejszy atak, jaki wydarzył się na świecie od jedenastego września - powiedział Havelock.

Venable, demokrat, były gubernator stanu Connecticut, potrząsnął głową z niedowierzaniem. Jego zaprzysiężenie na najwyższy urząd w państwie odbyło się zaledwie trzy tygodnie temu, a wyglądało na to, że właśnie przerwano mu tak zwany miodowy miesiąc, i to gwałtownie.

- Oto, co wiemy - wtrącił się ktoś. Był to dyrektor FBI Richard Alred, dawniej sędzia, specjalista od prawa procesowego. Miał zaledwie czterdzieści trzy lata i był najmłodszym szefem Biura od czasów Edgara Hoovera. Podobnie jak jego kurnosy

poprzednik, Alred nigdy nie przepuścił okazji, aby zademonstrować swój autorytet, bez względu na to, kim byli jego słuchacze, i nie zważając na opinie ani na

protokół. - Eksperci z Quantico z naszego ośrodka badającego bomby stwierdzili,

że wszystkie te IED były podobnie skonstruowane i działały na podobnych zasadach

- stwierdził. - Dobrze zaplanowane. Uderzono w trzy cele, oddalone od siebie o

tysiące mil, w ośmiosekundowych odstępach.

\* DIA - Defence Intelligence Agency (Agencja Wywiadu Wojskowego).

25

Venable założył ręce na piersiach i przyglądał się szefowi FBI. Miał on krótko przystrzyżone włosy, wysportowaną sylwetkę i dobrze uszyty garnitur. Mówił z pozostałością akcentu bostońskiego, ale ta fryzura zdradzała wojskowego, a równocześnie osobę, która na tyle długo pracowała w sektorze prywatnym, by zrozumieć rozkazy. I chociaż Alred stanowił spadek po poprzedniej administracji, Venable przypuszczał, że ten człowiek będzie dobrze mu służyć.

- IED? - zapytał prezydent. - A co to są IED?

- Ładunki wybuchowe wykonane domowym przemysłem\*, sir; czyli czeski semteks z dodatkami stosowanymi w minach przeciwpiechotnych. Specjalna mieszanka została wyeksportowana do pewnej indonezyjskiej fabryki w 1997 roku i ten sam skład chemiczny znaleziono w ładunku podłożonym w 2003 roku pod hotel Marriott w Dżakarcie. Nasi śledczy znaleźli też dowody niezwykłych mechanizmów zegarowych oraz ślady azotanu metylu, azotanu amonu i oleju napędowego - mieszanki użytej przez Timothy'ego McVeigha w Oklahoma City.

- I sądzi pan, że to ładunki domowej roboty?

- Niezupełnie, sir. Mieszanka azotanu amonu i oleju napędowego to jeden z najpopularniejszych materiałów wybuchowych, a te ataki są charakterystyczne dla muzułmańskich ekstremistów. Oni używają wypełnionych takimi materiałami ciężarówek i posługują się detonatorami reagującymi na wysłany impuls, a także planują swoje ataki w taki sposób, aby było jak najwięcej ofiar. Kiedy przybyły służby ratownicze i kamery telewizyjne, to zdetonowali jeszcze kolejne ładunki, tak dla większego efektu. To były dobrze zaplanowane i fachowo wykonane operacje wojskowe.

- Doniesienia prasowe wskazują, że mogli posłużyć się ambulansami - dorzucił Havelock. Wciąż wyglądał na roztrzęsionego, ale nie widział powodu, aby pozwolić Alredowi, który oficjalnie nie wchodził nawet w skład Narodowej Rady Bezpieczeństwa, na zmonopolizowanie dyskusji. - Czy to prawda? Czy te zwierzęta

przekształciły pojazdy niosące pomoc w bomby?

- Na to wygląda - odparł Alred, nie odwracając wzroku od prezydenta. -

Trzydzieści procent ofiar to policjanci, strażacy oraz personel

\* Ang. Improvised Explosive Device.

26

medyczny. Nie muszę chyba państwu mówić, jaki wpływ ma to na reakcję na jakikolwiek następny atak.

Wśród kilkunastu osób tłoczących się w pokoju wielkości salonu, znajdującym się piętro niżej niż Gabinet Ovalny, rozległ się szmer. Większość członków nowo wyznaczonej Narodowej Rady Bezpieczeństwa została wezwana na nadzwyczajną sesję.

Po prawej stronie prezydenta siedziała szefowa sztabu Białego Domu Andrea Chase, za nią sekretarz obrony, potem sekretarz stanu, następnie prokurator generalny, i szefowie: CIA, skarbu, FBI, Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, przewodniczący połączonego dowództwa szefów sztabów, doradca ekonomiczny prezydenta, przedstawiciel Stanów Zjednoczonych w ONZ oraz krajowy koordynator rady, do którego należała obrona infrastruktury i zapobieganie terroryzmowi.

- Następny atak - prychnął Venable. - Na miłość boską, myślałem, że skończyliśmy już z tym nonsensem. - Oparł ręce o krzesło i potrząsnął głową. - Więc mówi pan, że to muzułmańscy ekstremiści. Czy wiemy to na pewno?

- Otrzymaliśmy trzy odrębne przyznania się do ataków od nowego ugrupowania nazywającego się Ansar insz Allah - pospieszył z odpowiedzią Alred. - Wszystkie nadeszły w formie nagrań na kasetach wideo dostarczonych przez kuriera do miejscowych stacji telewizyjnych mieszczących się w zniszczonych supermarketach. Z identycznym sposobem powiadamiania opinii publicznej o autorach zamachu mieliśmy do czynienia po atakach w Mombasie, w Rijadzie i Dżakarcie. Standardowa retoryka, przesłanki wskazujące na zamach samobójczy, mnóstwo charakterystycznych szczegółów.

Milton Vick, dyrektor CIA, odchrząknął.

- Agencja otrzymała wszystkie trzy nagrania - powiedział, starając się dotrzymać

kroku swojemu koledze z FBI. - FIDUL właśnie bada na wszystkie strony głos i język z tej taśmy, korzystając z zasobów Dominant Chronicle.

- Zaraz, zaraz, zaraz - powstrzymał go prezydent. - To coś, to co to takiego?

Vick, niski, grubawy kongresmen i ambasador w Chile, odczytał tę informację z kartki i wydawał się kompletnie niezdolny do udzielenia głębszych wyjaśnień.

- FIDUL to Federalne Laboratorium Wywiadu Badające Dokumenty - wyjaśnił Alred.

-

Pracują tam z takimi grupami jak CENDI

27

i NAIC, udzielając pomocy interagencyjnej grupie roboczej STI z handlu, energetyki, NASA, Krajowej Biblioteki Medycznej, Departamentu Obrony i Departamentu Spraw Wewnętrznych. Dominant Chronicle to połączone (DIA plus FBI)

centrum analizowania dokumentów.

Prezydent wzruszył ramionami i potrząsnął głową, zdumiony tą niekończącą się listą agencji i akronimów; wyjaśnianie tylko jeszcze bardziej męciło mu w głowie.

- A na dodatek - powiedział Vick - nie wiemy dokładnie, jak wyglądają terroryści, ponieważ twarze są zamazane, lecz nasi czołowi analitycy sądzą, że te przyznania się do zorganizowania zamachów są wiarygodne.

- Szczerze mówiąc, panie prezydencie, Ansar insz Allah to właśnie to, czego najbardziej się obawialiśmy, jeśli chodzi o zagrożenie terrorystyczne dla naszego kraju - wtrącił Alred. - Komórka sympatyków Al-Kaidy, których nie wychwycił żaden radar. Mała. Złowroga. Hołdująca przemocy. Tak naprawdę nie mamy

zbyt wiele tropów, którymi moglibyśmy podążać.

- Nie mamy zbyt wiele tropów.

Venable mówił cicho, maskując złość jak drapieżnik, który chce zwabić ofiarę. To byli najważniejsi w kraju spece od wywiadu i stosowania prawa, a okazuje się, że wiedzieli tylko trochę więcej niż to, co on zobaczył w stacjach telewizji kablowej. Człowiekowi, który dopiero od trzech tygodni zasiadał w Gabinetcie

Owalnym, wydawało się to niemożliwe.

- Czy powiedział pan, że nie macie zbyt wielu tropów? Wszyscy w sali wyprężyli się na swoich krzesłach.

- Cóż, no to lepiej, do diabła, wynajdźcie coś! Za trzynaście godzin, licząc od tego momentu, muszę stanąć przed dwustu osiemdziesięcioma milionami Amerykanów i

przekonać ich, że wciąż jesteśmy krajem wolnym i ojczyzną dzielnych ludzi. I do tego jest mi potrzebna pomoc.

Prezydent kątem oka obserwował swoich ekspertów. Byli wśród nich zarówno ludzie pochodzący z politycznych nominacji, jak i profesjonaliści. Żaden z nich nigdy nie sprawował dowództwa w obliczu takiej katastrofy.

- Odziedziczyliśmy ten bałagan po rządach republikanów - oświadczyła Andrea Chase. - Nie można pana za to obwiniać.

- To jest Ameryka, Andrea - ryknął prezydent. - Tu każdy ponosi odpowiedzialność.

- Podniósł prawą rękę nad głowę, dłonią zwróconą

28

na zewnątrz. - No, więc zobaczmy, co mamy. Otóż mamy potwierdzone, że co najmniej trzysta pięćdziesiąt osób zginęło, a trzy razy tyle jest rannych. -

Głos Venable'a zaczął się wzmacniać, gdy zgiął wskazujący palec. - Mamy całodobowe,

nadawane nieprzerwanie relacje mediów poparte zdjęciami z miejsc rzezi. - Teraz oprócz wskazującego zgiął środkowy palec. - Mamy panikę w sercu kraju - w miejscach, w których nigdy nawet nikt nie pomyślał, że spotka go coś takiego. Przerwał na chwilę, krew napłynęła mu do twarzy. Człowiek, który jeszcze kilka chwil temu wyglądał jak pewny siebie naczelny wódz, nagle oblał się purpurą wściekłości.

- I mamy najgorszą od trzydziestu lat nawałnicę paraliżującą rząd i nie mamy nikogo, kto by czuwał nad wszystkim! - Zgiął ostatnie dwa palce przyciskając je kciukiem i trzymał tak zaciśniętą pięść przed oczami wszystkich, jak zbir grożący wywołaniem bójki w barze. - Nawet nie ustawiłem jeszcze fotografii

swoich dzieci w Gabinetcie Owalnym -ryczał - a Kongres już jest gotów pomaszerować na Kapitol z szablą w jednej ręce, a oselką w drugiej, aby zobaczyć, jak by tu mi obciąć jaja! Nie chcę słyszeć, że nie mamy zbyt wielu tropów! Chcę wiedzieć dokładnie, co mamy, i chcę wiedzieć to teraz!

W pozbawionym okien pomieszczeniu zapadła kompletna cisza, w której słychać było

tylko syczenie lamp jarzeniowych.

- Proszę wybaczyć... - przerwał jakiś głos. Wiceprezydent Elizabeth Beechum wpadła niczym burza, zamykając za sobą drzwi pokoju konferencyjnego z głośnym trzaskiem. Ciągle zaróżowiona na twarzy od lodowatego powietrza, strzepywała śnieg z zimowego wełnianego płaszcza. -Przepraszam, ale siły powietrzne opóźniły nasz wylot z Nowego Jorku.

Zdjęła płaszcz i cisnęła go umundurowanemu żołnierzowi piechoty morskiej, po czym rzuciła teczkę na mahoniowy stół, odsunęła ostatnie wolne krzesło i usiadła.

- CNN donosi, że liczba zabitych przekracza tysiąc, i mówi się o nowych eksplozjach w Miami - oznajmiła, nie zwracając uwagi na prezydenta. - Może ktoś z was będzie tak miły i poinformuje mnie, co zamierzamy w związku z tym zrobić.

\*

SIRAD MALNEAUX KOCHAŁA Nowy Jork zimą, zwłaszcza gdy padał śnieg.

Takie śnieżyce

pokrywały to czarne miasto bielą, tuszując

29

dziury w asfalcie i śmiecie, i zabrudzone cegły. Śnieg zatrzymywał niemal wszystkich w domach, zwalniając chodniki dla turystów, wypłaszając taksówki, dojeżdżających z New Jersey i parkujących na drugiego ciężarówki, wyciszając klaksony samochodów, usuwając ulicznych handlarzy i żebraków. Burze śnieżne na powrót oddawały Nowy Jork najdzielniejszym duszom - miłośnikom przygód jak Sirad,

która uwielbiała stawiać czoło terenom nie do przebycia wyłącznie dla przyjemności spoglądania wstecz na swoje ślady.

A cóż to była za śnieżycyca! Na Manhattan spadło już ponad osiemnaście cali śniegu, a prognozy zapowiadały, że najgorsze dopiero nastąpi. Lotniska JFK, La Guardia i Newark zamknięto, podobnie jak banki i urzędy miejskie. Zamarł publiczny transport, nieczynne były sklepy. Otwarte były tylko latynoskie warzywniaki i kioski z prasą oraz bankomaty, świecąc kolorowymi reklamami nęcącymi tych, którzy nie mogli się obyć bez parasoli, pornograficznych magazynów i nieświeżych sałatek. •!;,.

7.23 rano.

Kwarcowy zegarek Sirad migał, podczas gdy ona sama zanurzyła się w burzę śnieżną i pobiegła. Na pół stopiony śnieg dostał się już jej do butów, topniał na kurtce i zostawiał mgiełkę pary na twarzy, ale ona wciąż się uśmiechała. Biegając przez wielki trawnik Central Parku, czuła się przez chwilę wolna od stresu, w jaki wpędzała ją praca, która z każdym dniem absorbowała ją coraz bardziej.

Pobiegnę do Osiemdziesiątej Pierwszej, potem dokoła jeziora i z powrotem, drogą dla jeżdżących konno - pomyślała. Na ogół przebiegnięcie czterech mil zajmowało jej pół godziny, ale dziś potrwa dłużej. Nieważne - biorąc pod uwagę wszystko to, co widziała dziś w dzienniku, może minąć jakiś czas, zanim znów będzie mogła pobiegać.

Nagle usłyszała czyjeś wołanie:

- Panno Malneaux! - To był męski głos przytłumiony wprowadzie przez śnieżycę, jednak słyhać było, że chodzi o coś pilnego.

Sirad nie przerywając biegu, instynktownie spojrzała w prawo. Zmrużyła oczy, patrząc przez kłęby wydychanej przez siebie pary i usiłując rozpoznać ciemną postać, która wydawała się ją gonić.

- Panno Malneaux, niech pani zaczeka! - Z padających płatków śniegu wynurzył się wysoki młody mężczyzna, kierownik niższego szczebla. Miał na sobie kaszmirowy płaszcz, nauszники i zimowe buty

30

od L.L. Beana na kauczukowej podeszwie. Dyszał, usiłując zaczerpnąć powietrza, a równocześnie wykrztusić jakieś słowa. - Pan Mitchell... chce, żeby pani...

wróciła... do biura... zaraz.

Stał obok niej, zgiąwszy się w pół i kładąc ręce na kolanach, podczas gdy Sirad biegała w miejscu. Domyśliła się, że trenował raczej sprint.

- Czy chodzi o ten atak terrorystyczny? - zapytała. Mówiła spokojnie, z opanowaniem wytrawnego sportowca. - Bo na podstawie tego, co widziałam w telewizji, to diabelnie mało możemy zrobić w taką pogodę.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Chodzi o system Quantis - zdołał wydusić. - Ktoś zaatakował... nasz system komputerowy.

- Co? - wykrzyknęła Sirad. Quantis nie można było zaatakować. Ten pierwszy na świecie naprawdę bezpieczny system przesyłu danych został przetestowany przez największych ekspertów od telekomunikacji, zarówno rządowych, jak i niezależnych. To był projekt, nad którym czuwała Sirad, który znała na wskroś, i był on bezpieczny.

- To niemożliwe. - Przestała biegać w miejscu, wyciągnęła ręce i wyprostowała zgiętego mężczyznę. - O czym pan mówi?

- Przybiegłem tu... żeby panią zabrać. - Teraz stał już prosto. Ocierał topniejący śnieg i pot z oczu i wskazywał w tył, na siedzibę Borders Atlantic, która w lepszą pogodę byłaby doskonale widoczna po wschodniej stronie Manhattanu.

- Lepiej niech się pani pospieszy - powiedział, dysząc. - Mitchell powiedział, że świat się wali, i chyba nie miał na myśli tej śnieżycy.

• .

W NIECO CIEPLEJSZYM MIEJSCU, na wschodnim krańcu jedyne pozostałego jeszcze w

zachodnim świecie komunistycznego państwa, grupa ekspertów CIA od wydobywania

zeznań wyszła na rozjarzone słońce Karaibów. Mężczyźni byli ubrani w spodnie koloru khaki, koszulki polo i kamizelki typu safari z mnóstwem kieszeni, rzepów i zamków błyskawicznych.



- Dlaczego sądzisz, że on zgodzi się rozmawiać? - spytał jeden z mężczyzn.

Usiłował nadażyć za silnie zbudowaną kobietą o imieniu Sarah. Dwaj pozostali mężczyźni i kobieta (doradca z Wojskowej

31

Trzeciej Grupy do spraw Operacji Psychologicznych) starali się jak mogli dotrzymać im kroku.

- Bo chce zawrzeć układ - odpowiedziała Sarah. W jednej ręce trzymała wydane w formie książeczki instrukcje, a w drugiej długopis. - On wie, że informacja to jedyna możliwość wydostania się z tego zapomnianego przez Boga skalistego skrawka ziemi, wobec tego spróbuje rozegrać swoją kartę przetargową. Jeśli rzeczywiście ją ma.

Znużeni szli w kierunku Obozu numer 4, stłoczonych wykonanych z prefabrykatów budynków otaczających podwórko zawałone tłucznem skalnym i betonowymi płytami.

Pod daszkiem przy turystycznych stolikach siedzieli brodaci mężczyźni w białych kombinezonach. Gdy przybył nadeszli, wartownik z M-16 skinął im głową. Naszywka z jego imieniem i nazwiskiem została zaklejona plastrem, aby uniemożliwić więźniom wykorzystanie jakichkolwiek danych osobowych.

- Dzień dobry pani. - Kapral skłonił głowę, gdy tamci go mijali. Pozwolił im przejść, wykonując ruch, jakby wpuszczał pasażerów przez bramkę metra. Z tyłu na jego lewym ramieniu widniał znak: OBÓZ DELTA-4, a pod tym napis: CEL HONORU TO OBRONA WOLNOŚCI.

- Sprawiedliwy, silny i konsekwentny - odpowiedziała na to przywódczyni grupy. Tutaj była to zdaje się mantra, słowa, które zdaniem komendanta obozu każdy powinien wypowiadać na głos. Słyszało się je wszędzie.

- Sprawiedliwy, silny i konsekwentny, sir.

Obóz Delta. W zbudowanym z kolczastego drutu, gotowych elementów i sklejki amerykańskim obozie w Guantanamo na Kubie przebywało ponad sześciuset pięćdziesięciu zdaniem niektórych najniebezpieczniejszych islamistów. Zatrzymani

bez postawienia im zarzutów, bez możliwości reprezentowania ich przez adwokata i bez skrawka nadziei, więźniowie z dwudziestu czterech krajów - niektórzy nie ukończyli jeszcze nawet piętnastego roku życia - siedzieli tu, czekając na pozytywną „zmianę w zachowaniu”.

Obóz numer 4 był więzieniem o średnim stopniu rygoru. Tylko około tuzina mężczyzn zasłużyło sobie na podróż tutaj, którą sarkastycznie nazywali hadż\*.

\* Hadż to pielgrzymka do Mekki, którą każdy muzułmanin powinien odbyć co najmniej raz w życiu.

32

Obowiązywały tu proste zasady: przekaz informacje na temat Al--Kaidy i talibów, a któregoś dnia będziesz mógł wrócić do domu. Jeśli zaś pozostaniesz nieprzejezdny i wrogi, to będziesz siedzieć w klatce o wymiarach cztery stopy na osiem do końca świata. W Gitmo\*, gdzie wilgotność powietrza osiąga, ze względu na bliskość oceanu, nawet sto procent, wydaje się to wiecznością.

- Dzień dobry, Chalid - powiedziała Sarah, wchodząc do starannie wysprzątanego pokoju. Reszta jej towarzyszy została na zewnątrz.

Do jednej ściany przymocowane były cztery wojskowe, składane łóżka. Na każdym leżało prześcieradło, zielony wełniany koc, dwie zmiany lnianej bielizny, szczoteczka do zębów, plastikowe sandały i Koran. Ściany lśniły antyseptyczną bielą.

- Dzień dobry - odpowiedział Chalid Muhammad doskonałą angielszczyzną. Nauczył się jej dobrze, studiując na uniwersytecie stanowym w Binghamton. Ten syn bogatego saudyjskiego handlarza dywanami, zanim przyłączył się do bojowników islamu w Afganistanie i walki przeciwko Wielkiemu Szatanowi, George'owi W. Bushowi, otrzymał najlepsze zachodnie wykształcenie.

- Mów mi Sarah - powiedziała kobieta. Nosiła już wiele imion i wołała każde z nich od ostatniego: GI Jane.

- Nie jestem twoim przyjacielem. - Spojrzał na czekających na zewnątrz. -

Dostarczę ci prawdziwych informacji, choć w zamian otrzymam niewiele. Zniosę twój protekcjonalny, amerykański ton. A nawet zdradzę swych rodaków dla złudnej

nadziei, że pewnego dnia dzięki temu zyskam wolność. Ale nie okażę żadnej uprzejmości kobiecie, która bluźni przeciw mojemu Bogu, nie chcąc się okryć, i dlatego nie będę zwracać się do ciebie „Sarah”.

- Jak chcesz. - GI Jane wzruszyła ramionami. Usiadła na łóżku na skos od Muhammada i wyciągnęła magnetofon. Oczywiście widział już przedtem takie urządzenie. Używało ich CIA, aby nagrywać głosy, w celu zidentyfikowania go, gdy kiedykolwiek wyjdzie na wolność i powie coś, rozmawiając przez będący na podsłuchu telefon.

GI Jane najpierw trzymała magnetofon blisko swoich ust, gdy mówiła, a potem wyciągnęła go w kierunku Muhammada, aby nagrywać jego odpowiedzi.

\* Gitmo - wojskowy skrót nazwy Guantanamo.

33

- Ostatnio schwytaliśmy mężczyznę nazywającego się Ali Fallal Mahar. Znasz go? .  
m

- Tak, oczywiście - odparł Muhammad. - Nazywają go „Posłaniec”. Spotkałem go raz na Malcie, w 1999 roku. To pobożny człowiek, mułła.

- Mamy podstawy przypuszczać, że Mahar planował dokonanie ataków na terenie Stanów Zjednoczonych - powiedziała kobieta. Więźniowie byli odcięci od informacji z zewnątrz, więc Muhammad nie miał pojęcia, że te ataki już się zaczęły.

- Wspominał o czymś takim - stwierdził Muhammad. - Ale miał ograniczone możliwości. W swoim kraju miał bardzo duże wpływy, ale trudno wyobrazić sobie, że mógłby zyskać jakichś prawdziwych zwolenników wśród muzułmańskiej społeczności w Stanach Zjednoczonych. Indonezyjczycy nie trzymają się tu razem.

- A jeśli chodzi o ugrupowania niemuzułmańskie?

Muhammad wydawał się zaskoczony.

- Niemuzułmańskie? Co przez to rozumiesz? Mahar jest zwolennikiem dżihadu. On chce zabijać twoich ludzi, a nie zaprzyjaźniać się z nimi.

Zdaje się, że to pytanie sprawiło Muhammadowi przyjemność. GI Jane zapisała coś

w niewielkim zielonym notesie, po czym wyłączyła magnetofon i położyła go obok siebie na łóżku. Przez chwilę milczała, dobierając słowa.

- A jeśli ci powiem, że niecały tydzień temu złapaliśmy go wraz z trzema Amerykanami? I nie są oni muzułmanami. I co powiesz na to, że oni pojechali specjalnie do Indonezji, aby się z nim zobaczyć? Co o tym sądzisz?

Muhammad ściągnął brwi.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Ale wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać. Grube czarne brwi wróciły na miejsce, a błysk oporu w oczach zmienił się na przebłysk zrozumienia. GI Jane zauważyła to.

- Muhammad, wiem, że mnie nie lubisz - zaczęła. Ta kobieta, oficer CIA, mówiła z pewnością wypływającą z faktu, że po zakończeniu przesłuchania będzie mogła swobodnie wyjść z celi. - I to mnie nie obchodzi. Ale obchodzi mnie uratowanie życia Amerykanów. Daj mi informację, której potrzebuję, a wyjdiesz stąd. A zaczniesz mnie zwodzić, to możesz sobie zgnić w tej zasranej norze z całą resztą twoich zakutanych w ręczniki obrzydliwych koleśków.

34

Muhammad zastanawiał się przez chwilę. Pojmował sposób rozumowania Amerykanów.

Ich arogancję. Widział już ją w Bejrucie i na Zachodnim Brzegu, a także w Afganistanie, w Iraku i w Pakistanie. Ale potrafił też wykorzystać tę wiedzę na swoją korzyść. Kapitalizm to handel, a handel to barter, a barter istniał zawsze, podobnie jak przodkowie Beduinów.

Amerykanie chcieli informacji, a on chciał stąd wyjść. Tak jak to głosiły plakaty w pokoju pielęgniarskim: „Bracie, podążaj za mną; prawda, współpraca i wracasz do domu”. A na ulubionym przez Muhammada plakacie było napisane:

„Bracie,

droga do powrotu musi być wybrukowana twoimi słowami prawdy i współpracy”.

- Dżafar al-Tayar - powiedział. Ten niegdyś wojownik talibanu mówił miękko i ciszej niż szmer, jaki wydawały skrzydła stojącego za nim wentylatora. Jakby bał

się, iż usłyszą go stojący na zewnątrz.

- Dżafar pilot? - GI Jane mówiła po arabsku równie dobrze jak Muhammad.

- Dżafar pilot, Dżafar, ten który lata, lata wysoko... tak. Wszystko zależy oczywiście od twojej interpretacji.

- A nie jakiś inny pilot - roześmiała się GI Jane. - Musisz się lepiej spisać.

Gdybym dostawała jednego rijala od każdego spisku z użyciem samolotów, o jakim słyszałam, to byłabym w stanie kupić tę cholerną wyspę. Waż swoje słowa.

- Nie, nie - zaprotestował Muhammad. - Ja nie mówię o samolotach. Dżafar al-Tayar to osoba o olbrzymiej władzy i ciesząca się ogromnym szacunkiem. I właśnie dlatego nazywają go pilotem. To taka metafora... odnosi się do kogoś, kto zajmuje wysokie stanowisko, kto może kontrolować sprawy z góry.

GI Jane wzięła magnetofon i wsadziła go sobie do kieszeni na piersi.

Przeprowadziła dziesiątki przesłuchań, podczas których więźniowie usiłowali przehandlować bezwartościowe informacje w zamian za dodatkową porcję chleba lub kolację. A to dzisiejsze też wyglądało podobnie.

- To może być jakiś dowódca wojskowy, potężny biznesmen, ktoś z mediów - ciągnął Muhammad. - Ta osoba cieszy się zaufaniem i ma władzę.

Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z drzwi. Gdyby mógł widzieć przez pokryte tarpaulinem ściany, to spojrzalby daleko, na trzy tysiące z górą mil oceanu.

Najbliższym lądem, jeśli już komuś udałoby się

35

wydostać poza stróżujące psy i karabiny maszynowe, była Floryda. Od Guantanamo oddzielał ją dziewięćdziesięciomilowy pas, ale nawet jeśli udałoby się go przepłynąć, nie było gwarancji, że po drugiej stronie czekają uradowane twarze.

Wydostać się z Obozu Delta można było na dwa sposoby: dzięki współpracy lub w sosnowej trumnie.

- Ja nawet nie wiem, czy to prawda - powiedział. - Wiem tylko, że Dżafar al-Tayar to nadzieja dla wielu moich ludzi. To plan, o którym nie rozmawia się w meczetach, na bazarze czy przy kawie. O nie. O tym się szepcze, jak o jakiejś legendzie, micie. Tylko tak i nic więcej.

GI Jane starała się odnaleźć prawdomówność w twarzy tego mężczyzny.

- A ty w to wierzysz? - zapytała, mając nadzieję wychwycić coś w jego odpowiedzi.

- Ja wierzę w Allaha - odparł Muhammad. - Wierzę w jego wolę. Jeśli jego wola jest, aby twój rząd upadł, to tak się stanie. A ten nasz cały targ, między tobą i mną, to nonsens.

GI Jane wstała, chcąc wyjść.

- Dziękuję, Muhammad. W raporcie do strażnika odnotuję twoją współpracę.

- Nie zależy mi na przychylnych raportach dla strażnika. - Muhammad uśmiechnął się. -Ale jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. Coś, co tylko ja mogę ci dać. Jeśli chcesz ocalić swój kraj, to musisz dać mi coś w zamian... coś o wiele wartościowszego niż wolność.

. .|•

- ELIZABETH, NIE CZAS TERAZ naśmiewać się z innych. Potrzebuję rozwiązań, a nie przepychanek między wami.

Prezydent Stanów Zjednoczonych prowadził pięć osób na górę, z Situation Room do Gabinetu Ovalnego. Wciąż miał na sobie to samo ubranie, co wczoraj - białą koszulę i garnitur w prążki. Jeden z jego sekretarzy podał mu w biegu inny krawat i teraz prezydent w marszu usiłował niezgrabnie go zawiązać.

Na nieszczęście dla Davida Raya Venable'a i być może również dla reszty kraju, będąc gubernatorem stanu Connecticut, nigdy nie miał do czynienia z większym zagrożeniem aniżeli deficyt budżetowy. I podobnie jak większość przywódców nieprzyzwyczajonych do prawdziwych kryzysów, już pogwałcił pierwszą zasadę reakcji na zagrożenie:

36

pomyliło mu się przywództwo z odpowiedzialnością. Zamiast delegować władzę J kłaść się spać o rozsądnej porze, całą noc był na nogach, obsesyjnie zaaferowany jakimiś kilkoma szczegółami, których mógł się dowiedzieć z dzienników na kanałach telewizji kablowej. W przeciwieństwie do Beechum i wielu swych starszych stażem doradców, ten przywódca wolnego świata rozpoczynał drugi dzień

ogólnonarodowej tragedii, nie mając za sobą ani chwili snu.

- To nie są przepychanki - odparowała wiceprezydent. - Musisz przyjąć do wiadomości, że rząd Stanów Zjednoczonych pracował całkiem dobrze, zanim ty przejąłeś ster rządów, i będzie pracować dobrze, gdy już odejdziesz z tego urzędu. Niech wszystkim zajmą się profesjoniści, a ty musisz się przespać.

Prezydent zatrzymał się pośrodku jasno oświetlonego pokoju i obracał się w koło, szukając lustra, w którym mógłby zobaczyć, jak zawiązał krawat.

- Czy mogłoby się tu znaleźć lustro? - warknął. - Co to za biuro bez lustra.

Istotnie, to było biuro. Ale tak naprawdę to nie tylko nie było tam lustro, ale cały pokój bardziej przypominał budowę niż miejsce pracy. Roboty malarskie doprowadzono dopiero do połowy. Nowe dywany leżały zrolowane pod zachodnią ścianą. Pod przeciwległą stały kanapy, oferujące jedyne miejsca do siedzenia, gdyby nie ułożono na nich pudeł z pamiątkami, które wraz z Venable'em przyjechały do Białego Domu. Aż do dziś nie wydawało się to przeszkodą.

Prezydenci urządzali Biały Dom tak jak chcieli, a Venable, pochodzący z Nowej Anglii potomek rodu wywodzącego się z tych, którzy zeszli na ląd amerykański ze statku „Mayflower”, nie tolerował ulubionych przez poprzednika koni z brązu i scen z Dzikiego Zachodu Juliana Onderdonka, Toma Lee i W.D. Koenera.

- Jeśli ten twój ukochany wywiad jest tak dobry, to dlaczego dyrektor CIA musi czytać z kartek to, czego mogę dowiedzieć się z CNN? - spytał agresywnie prezydent, usiłując przejrzeć się w srebrnej misie stojącej na górnej półce regału.

- David, to się zdarzyło niecałe dwanaście godzin temu - broniła się Beechurn. - Zawsze na początku kryzysu trudno jest dociec, o co chodzi. Trzeba czasu, żeby wszystkie elementy poskładać.

Elizabeth Beechum, przez cztery kolejne kadencje senator z Karoliny Południowej, przez trzy kadencje przewodniczyła Komisji do spraw

37

Wywiadu. Niewiele osób w Waszyngtonie wiedziało więcej od niej, z jakich źródeł może korzystać rząd, prowadząc wojnę z terroryzmem.

- Nie mam czasu - oświadczył prezydent. - Chcę mieć pierwszą wersję mojego przemówienia około szóstej, rozumiano? I chcę powiedzieć coś ważnego, obiecującego.

Podszedł do drewnianego pulpitu ustawionego naprzeciwko okien wychodzących na ogród różany. Venable, który już dawno zrezygnował z nowoczesnych wyposażzeń gabinetu, uważając, że odciągają od pracy, lubił pisać, stojąc przy tym zabytkowym przedmiocie, który zdaniem historyków, posłużył Lincolnowi, gdy przemawiał pod Gettysburgiem. Podczas przemówienia inauguracyjnego Venable oznajmił, że wiele rzeczy będzie wyróżniać jego prezydenturę, ale przede wszystkim szybkość w podejmowaniu decyzji. I jedną z pierwszych było usunięcie z Gabinetu Owального charakterystycznego partner's desk - biurka dla dwóch osób.

- Są na miejscu grupy FBI oraz Grupa Reagowania Kryzysowego i mają ze sobą całą najnowocześniejszą dostępną technologię - wtrącił się Alred. - Są też zintegrowane federalne, stanowe i lokalne służby porządkowe - w sumie sześćdziesiąt sześć. Zintegrowane Centrum do Walki z Zagrożeniem Terrorystycznym

koordynuje pracę wojska, służb porządkowych oraz wywiadowczych wraz z Centrum Antyterrorystycznym podlegającym CIA oraz innymi jego odpowiednikami na całym świecie. Każdy, począwszy od FEMA, DOE do CDC oraz każda inna TLA, jaka tylko ci

przyjdzie do głowy, eliminuje wszelkie wąskie gardła, byle tylko być pewnym, że działający na miejscu tragedii dowódcy mają wszystko, co potrzeba.

- TLA? - spytał prezydent. - Co to jest TLA?

- Agencje, których skrót nazwy jest trzyliterowy - wyjaśnił Alred nieśmiało. - To zwrot, którego używamy, aby...

- Już ci mówiłam, David - wtrąciła Beechum - odpocznij trochę. Mikrozarządzanie z Gabinetu Owального jest bezproduktywne.

Venable przetarł zaspane oczy.

- A może napiję się kawy? - wymamrotał. - To, czego mi teraz trzeba, to podwójna kawa z chudym mlekiem.



Wszyscy dookoła popatrzyli na siebie znacząco. Pięcioro z nich wyszło z zebrania Narodowej Rady Bezpieczeństwa, bo wezwano ich tu na górę; byli to Beechum, szefowa sztabu Białego Domu Andrea Chase, Havelock, Alred i dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa

38

Narodowego Jim Davis. I nikt z nich nie uważał za stosowne cokolwiek pić.

- Zdaniem DHS\* musimy podnieść stopień zagrożenia terrorystycznego - oznajmił Havelock. Davis rzucił doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego zdziwione spojrzenie, domyślając się słusznie, że Havelock rzucił ten pomysł tylko dlatego, aby wymigać się od odegrania roli kamerdynera.

Venable przestał przecierać oczy.

- Och, na Boga, to całe gówno z tymi kolorami to tylko pośmiewisko dla obywateli

- burknął. - Jestem pewien, że stacje takie jak Fox czy MSNBC będą zachwycone, mogą zorganizować w tym celu konferencje prasowe, ale czy nie sądzisz, że

większość Amerykanów już i tak wie, że obowiązuje najwyższy stopień zagrożenia!?

Beechum uśmiechnęła się, a Davis spojrzał na nią kątem oka.

- A co jeśli chodzi o SIGINT? - zapytał prezydent. Słyszał ten skrót

wielokrotnie po ataku z 11 września i używając go teraz, chciał pokazać, iż jest zorientowany w temacie. - Alred, co usłyszemy na ten temat?

Dyrektor FBI skulił się. To, co wiedział o sygnałach od wywiadu, dało się skwitować wzruszeniem ramion, ale nie powstrzymało go to od zabrania głosu.

- Na podstawie raportów, które widziałem, sir, świergot trwa. Niestety to, co wyłapujemy, to nic poza luźno zdefiniowanymi wybuchami radości. Wśród terrorystów panuje duże zamieszanie, od działających w Indonezji Abu Sajaaf i Jemaah Islamiya, do Hamasu, Hezbollahu i resztek Al-Kaidy. Każdy wydaje się podekscytowany atakami, ale zdaje się, że nikt nie wie, kto za nimi stoi.

- Świergot. No dobrze. Ale tak naprawdę, to co to jest? - dopytywał się prezydent.

- Przechwycony przekaz rozchodzący się za pośrednictwem mikrofal - wyjaśnił Davis. Jemu też nie uśmiechało się iść po kawę. -Niestety odcięcie działającego

wywiadu od strumienia danych to jakby picie wody z hydrantu pożarowego. Często namierzamy jakiś rejon geograficzny, na przykład Bliski Wschód albo Azję Środkową, i musimy wyciągać wnioski na podstawie ogólnego ruchu w łączności telefonicznej. To właśnie jest świergot.

\* DHS - Department of Homeland Security - Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

39

- Innymi słowy jakaś grupa ludzi z Bliskiego Wschodu dzwoni sobie jeden do drugiego i rozprawia o zbombardowaniu Ameryki. Mam nadzieję, że was to nie dziwi

- powiedział Venable, wreszcie usatysfakcjonowany zawiązaniem krawata.

- Nie, sir - odparł Alred. - Ale jest jeszcze coś. Śledzimy cały szereg dziwnych transakcji finansowych dokonywanych przez ważne osobistości wchodzące w skład saudyjskiego rządu. Wielkie transakcje dotyczące niezwykle podejrzanych rachunków. I nasi najlepsi analitycy podejrzewają, że paru bardzo bogatych Saudyjczyków ustanowiło jakiś finansowy strumień, który płynie do wrogich komórek na terenie Stanów Zjednoczonych.

- Saudyjczycy? - Tu prezydent zamilkł na chwilę. - Wewnątrz Stanów Zjednoczonych?

- Tak, sir. Ale w prowadzeniu interesów posługują się telefonami Quantis, więc nie możemy ich podsłuchać.

Prezydent potrząsnął głową. Choć piastował swój urząd od zaledwie trzech tygodni, rozumiał, jak bardzo te telefony zaszkodziły pracy wywiadu. Borders Atlantic, największa na świecie firma telekomunikacyjna, wynalazła nową technologię szyfrującą, która sprawiła, że wszystko, od telefonów komórkowych począwszy, poprzez faks i internet, stało się niemożliwe do podsłuchania. Jordan Mitchell, prezes rady nadzorczej tej firmy, wprowadził ten swój produkt na rynek, zawierając joint venture z Saudyjczykami i dostarczając praktycznie każdemu mieszkańcowi Bliskiego Wschodu bezpieczne łącza komunikowania się. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego do tej pory nie zdołała złamać tych zabezpieczeń. Venable podszedł na odległość wyciągniętej ręki do dyrektora FBI. Jak dotąd, ten

człowiek zdawał się najlepiej przygotowany.

- Dysponuje pan jakimiś nazwiskami?

- Cóż, tak i nie, panie prezydencie. Skoncentrowaliśmy nasze dochodzenie na trzech prawdopodobnych celach. - Mówiąc to sięgnął do koperty z grubego żółtego papieru. - Hassam Ibrahim Lnu, Ahmed Mustafa Lnu i Fnu Lnu, znany również jako Ali Asar - trzech Saudyjczyków mających obywatelstwo Jemenu. Wiadomo, że ostatnio mieszkali w Hiszpanii. Nie będziemy chyba w stanie podsłuchać ich rozmów, ale możemy wyśledzić ich...

Zaraz, chwileczkę - przerwał mu prezydent. - Lnu... Fnu - Lnu? To mi nie wygląda na arabskie nazwisko, ale raczej jakieś azjatyckie, może indonezyjskie. Czy oni są braćmi?

40

Wszyscy spojrzeli na Alreda. Nagle stało się oczywiste, że to on pójdzie po kawę.

- Hmm... nie sir, niezupełnie - dyrektor FBI odchrząknął. - Lnu to używany przez nas skrót od słów „nazwisko nieznane”\*. Natomiast Fnu oznacza „imię nieznane”\*\*. Znamy te osoby przeważnie z imion, jakie sami im nadaliśmy, i nie dysponujemy opisem ich wyglądu.

Powietrze w pokoju stało się tak ciężkie, że nie dało się oddychać. Nikt nie chciał widzieć zakłopotanego i zawstydzonego prezydenta.

- Dyrektorze Alred, jestem już na tyle długo prezydentem Stanów Zjednoczonych, że potrafię znaleźć papier toaletowy w ubikacji obok Gabinetu Ovalnego. Ale w jaki sposób mogę coś zrozumieć z tych wszystkich akronimów, którymi mnie pan zasypuje? Proszę mówić po angielsku!

Każdy z obecnych poczuł nagle konieczność spojrzenia na zegarek. Każdy, z wyjątkiem Elizabeth Beechum.

- Proszę się nie martwić drobiazgami, sir - powiedział Havelock. Odzyskał już opanowanie, którego brakowało mu rano, podczas narady na dole. - Obecnie ten kraj potrzebuje tylko jednego - powagi. Prezydenta, który potrafi być stanowczy i będzie stanowczo wymagać realizowania trudnych wyzwań. A tego szpiegowskiego bełkotu to nikt nie rozumie.

\* Lnu - ang. Last name unknown (nazwisko nieznane). \*\* Fnu - ang. First name unknown (imię nieznane).

## Rozdział II

Poniedziałek, 14 lutego

14.10 GMT

Ranczo Homestead, Kerrville, Teksas

DLA PUŁKOWNIKA RODERICKA „BUCKA” ELLISA liczyły się tylko trzy sprawy: rodzina,

Bóg i ojczyzna. Choć niekoniecznie w takiej kolejności.

- Poppy! Popp! Popatrz na mnie! - zawołało jakieś dziecko zza ogrodzenia. To była jego najstarsza wnuczka, Gracie, sześciolatek o jasnobłond włosach. Właśnie siedziała na swoim nowym kucyku szetlandzkim, ubrana w białą spódniczkę i lnianą bluzeczkę, w które mama wystroiła ją na to urodzinowe przyjęcie. Kowbojskie buty z cieleńcej skóry wielkości filiżanek uderzały w boki kuczka, gdy dziewczynka machała jedną ręką, a drugą trzymała uprzęż. Nad jej jaśniejącą buzią tkwił kapelusz z szerokim rondem firmy Stetson. Patrzącemu wydawała się księżniczką rodeo czekającą na większego konia.

- Jedź na nim, kowbojko! - krzyknął pułkownik do swojego małego skarba. Gracie w każdym calu przypominała swoją piękną mamę, natomiast pewność siebie i energię odziedziczyła po ojcu, który był w siłach specjalnych.

- Słońce będzie dzisiaj nieźle prażyć, lepiej uważaj na siebie, pułkowniku.

Buck Ellis nie odrywając wzroku od Gracie, objął kobietę, dzięki której miał taką rodzinę. Pat, a niegdyś Patricia Margaret Nash, urodziła mu pięcioro dzieci. W ciągu dwudziestu dziewięciu lat jego służby wojskowej, przebywania na placówkach w siedmiu krajach w jedenastu różnych miejscach, nieskończonych podróży zagranicznych i utraty

42

szóstego dziecka wtedy, gdy on pojechał gdzieś „służbowo”, Pat oferowała mu zawsze tylko jedno - bezgraniczne oddanie.

- Dziękuję, kochanie - powiedział pułkownik, odwracając się do gości. Dokoła

biegało z tuzin dzieciaków, wyjąc i krzycząc pod kolorowymi urodzinowymi transparentami, balonami i pergolami. Powietrze wypełniała muzyka siedmioosobowej meksykańskiej kapeli ulicznych grajków. Jego dorosłe dzieci wraz ze swymi współmałżonkami oraz przyjaciółmi siedziały przy stole pełnym jedzenia albo stały w promieniach niezwykle ciepłego jak na tę porę roku słońca.

- Dorobiliśmy się co nieco, nieprawdaż? - Ellis pozwolił sobie na szczyptę dumy.

Jego żona, wciąż w dobrej formie i ładna, pomimo pięćdziesięciu pięciu lat, przytuliła się do niego mocniej i kiwnęła głową. Nic, co ich otaczało -jak daleko sięgnąć wzrokiem i obojętne w którą stronę - od koni i krzeseł ogrodowych poczynając, a na 3600-akrowym ranczu, które nazwali Homestead, kończąc, nie było istotne w porównaniu z miłością, jaka się za tym wszystkim kryła. Pat lubiła ranczo, ale sprawy materialne nie miały dla niej takiego znaczenia. Dla niej opoką było dziedzictwo i niezachwiana wiara w Jezusa Chrystusa.

- Wspaniale, pułkowniku! - Cała promieniała. - Czyż nie jest wspaniale?

Obydwoje pochodzili z Teksasu i wrócili do domu, do Kerrville dziesięć lat temu, ale nie po to, aby przejść na emeryturę. Pułkownik przekształcił posiadłość, którą odziedziczył po swoich pradziadkach, w jeden z najlepszych na świecie ośrodków szkoleniowych, w których można było ćwiczyć działania taktyczne, rozmaite operacje czy strzelanie. Gościli tu jego starzy przyjaciele z czasów wojskowych i kompani, z którymi brał udział w operacjach specjalnych, przez jednostki SWAT, a na cywilnych obywatelach chcących się czegoś nauczyć kończąc. Dla pułkownika i jego dużej rodziny Homestead było czymś więcej niż domem czy pracą. Było sposobem na życie, powołaniem. Zawodem.

- Szkoda, że nie wszyscy z naszej rodziny mogą tu dziś być i dzielić tę radość - powiedziała Pat do męża. - Odezwał się?

- Jeszcze nie. - Pułkownik uśmiechnął się. Odgłosy strzelaniny z pobliskiego terenu ćwiczeń stanowiły tło, którego oni już nawet nie zauważali. -Ale jest zajęty. Chłopak zadzwoni, jak tylko będzie mógł.

Ich najstarszy syn był zawsze sumienny i odpowiedzialny. Nie opuściłby takiego rodzinnego wydarzenia bez powodu.

- Myślę, że masz rację. - Pat odwróciła się, aby dostać buziaka. -Ale spójrz na siebie. Spalisz się i będziesz cały czerwony, jeśli nie schowasz się w cień.

Lata przebywania na świeżym powietrzu, gdy był w wojsku, sprawiły, że twarz jej męża była brązowa i szorstka niczym kora, ale Pat wciąż tak samo się o niego martwiła.

- Przestań już. - Otoczył żonę ramionami. - Mam dużo poważniejsze zmartwienia, aniżeli trochę teksańskiej opalenizny.

Mrugnął, naciągnął na czoło rondo ranczerskiego kapelusza i cmoknął żonę między oczy.

- No, teraz mnie zostaw. Ta mała tam czeka, żeby dziadek nauczył ją kilku rzeczy co do konnej jazdy. Biegnij do gości i pospełniaj honory pani domu... no, jazda. Żartobliwie klepnął japo pośladku, tak jakby klepał dopiero co wy-szczotkowaną klacz.

Gdy żona odeszła, pułkownik Ellis skierował się do miejsca, w którym przy ogrodzeniu stała grupka mężczyzn, cicho rozmawiając. Śmiech, wesoła muzyka i głosy rozbawionych dzieci zagłuszały nieustanną kanonadę wystrzałów. Pułkownik próbował myśleć o uśmiechu swojej wnuczki, ale ten dzień, który powinien być szczęśliwy, za-snuwały czarne myśli. '

,-,< | , | -.'| \*

JEREMY WALLER LEŻAŁ zawinięty w stertę prześcieradeł, cały mokry od potu i rozlanego piwa. Jedyne światło w tym pokoju przedzierało się przez zaciągnięte żaluzje, oświetlane w pasy niczym skóra tygrysa przez uliczny neon - sztuczne światło, które dawało tak jasną poświatę na jego łóżku, że mógł dokładnie policzyć wszystkie paski.

- To Bangkok - zdecydował, usiłując coś sobie przypomnieć. -Kolejny pokój hotelowy w długiej serii zagranicznych miast. - Już ponad czterdzieści osiem godzin upłynęło od akcji w Irian Jaya, a jego mocodawcy się nie odzywali.

Jeremy sięgnął do szafki nocnej i nacisnął pilot, włączając mały telewizor i szukając po kanałach: Gunsmoke z dubbingiem, filmy Bolly-woodu, w których aż roi

się od łajdaków z czarnymi wąsami i nieszczęśliwych miłości, stary mecz futbolowy z World Cup, kobiety w welonach na twarzy tańczące w jakimś południowoazjatyckim wydaniu stacji MTV.

44

Wygramolił się z łóżka i podniósł żaluzje, wpuszczając do środka gorączkową energię centrum miasta.

Jeszcze jedno egzotyczne miasto, które oglądam, a które mi się nie podoba.

Był przykuty do tego pokoju, czekając na wiadomość o ewakuacji. Poza spaniem i oglądaniem telewizji nie miał nic innego do roboty, ale pomimo trzech tabletek nasennych, sześciu puszek tsingtao i nieskończonych powtórek Magnum P.J., udało mu się jedynie kilka razy ziewnąć.

- Pompki - powiedział na głos, spragniony jakiegoś znajomego głosu. Czuł się przepity, otumaniony proszkami, miał kaca i od dawna nie spał. - Pięć dolarów, że nie zrobisz dwustu.

Jeremy ukląkł, przyjmując pozycję, której w HRT tyle go uczono. Oparł stopy o krawędź łóżka i zaczął ćwiczyć, licząc po cichu w tym pokoju, który wydawał się odległy od reszty świata.

Termit - przyszło mu to nagle do głowy, gdy zrobił już ponad dziesięć pompek.

Pograżył się w myślach, usiłując przypomnieć sobie, co się wydarzyło, kiedy GI Jane wybiegła na polanę. Tylko termit, mieszanek tlenku żelaza i aluminium z nadmanganianem potasu i gliceryną jako... zapłon może wywołać taki błysk.

Jeremy widział skutki termitu podczas wojny w Kosowie, ale dopiero będąc w HRT, poznał jego prawdziwą potęgę. Ubiegłej jesieni szturmowcy z brygady Delta demonstrowali pożar podczas wyjazdu szkoleniowego w Fort Bragg. Granaty zapalały

się w temperaturze 2200 stopni Celsjusza i paliły niczym siarka.

- To miało być wydanie uciekiniera - myślał Jeremy. - Zwykle schwytanie jakiegoś terrorysty, którego kryjówkę CIA namierzyło w dżungli.

Rzecz jasna to nie była pierwsza tajna operacja Jeremy'ego. Ani też pierwszy raz, kiedy zabił człowieka. W ubiegłym roku podczas akcji w Jemenie Jeremy wraz ze

swym dowódcą Jesusem wyeliminowali garstkę terrorystów, lecz niestety zabili również kobiety i dzieci. Jeremy ciągle jeszcze budził się w nocy, mając przed oczami widok ośmioletniego chłopca wyglądającego zza zasłony z zabawką w ręku, karabinem AK-74, a potem drgającego pod uderzeniami pocisków wystrzelonych przez

Jesusa. Zabity.

- Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy...

Jeremy potrząsnął głową, usiłując wyrzucić z niej te przykre myśli. W jego mięśniach zaczęła wzbierać krew, co przypomniało mu zajęcia

45

fizyczne w Quantico, które tak lubił. Tam to wszystko się zaczęło, od należącej do FBI HRT. Przetrwał dwutygodniowy okres próbny i sześciomiesięczne szkolenie w

Akademii Treningowej dla Nowych Operatorów, zwanej w skrócie NOTS, później został wysłany do podlegającej marynarce wojennej szkoły snajperskiej. Na jeszcze jeden miesiąc „specjalizacji”.

- Trzydzieści, trzydzieści jeden...

Potem była misja w Portoryko. Terrorysty porwali córkę gubernatora i zabiliby ją, gdyby nie doskonale wykonany atak HRT. Jeremy pamiętał, jak zaglądał w dół, w otwór wjazdu prowadzącego do piwnicy, gdzie terrorysty ukryli dziewczynkę, gwałtowne sceny rozgrywające się wokół niego i pociski wylatujące z ciemnego otworu. Pamiętał, jak nachylił się, trzymając swój MP-5, i strzelił, a pocisk oderwał tył głowy terrorysty.

Dobry strzał - potwierdziło przeprowadzone potem śledztwo. Przynajmniej tamto było lepsze niż Jemen - pomyślał. -1 o wiele lepsze niż to, czego był świadkiem teraz w dżungli.

- Pięćdziesiąt.

Jeremy wykonał kilka głębokich oddechów, ułożył lepiej dłonie na tanim poliestrowym dywanie i kontynuował pompki.

Widział tych Amerykanów przez lunetę obserwacyjną. Trzej mężczyźni, biali, w



wieku trzydziestu-trzydziestu pięciu lat, trzydniowy zarost, ubrani po zachodniemu. I ta czapka ze sklepu Bass Pro Shops. Zanim Jeremy zdążył coś głośno powiedzieć na ich temat, GI Jane już biegła w dół.

- Amerykanie.

Przez jakiś czas nie działo się nic nadzwyczajnego. Brygada zadaniowa podzieliła mężczyzn na dwie grupy, kazała im uklęknąć i zakłuła im ręce z tyłu, na plecach, w kajdanki, przyczepiając je również do nóg, a na głowy narzucając jutowe worki. Postąpiono tak z każdym z wyjątkiem Mahara. Jeremy wiedział, że to była technika udoskonalona podczas wojny w Iraku. Brygady do zadań specjalnych pracując z Wydziałem do Akcji Specjalnych w CIA, doszły do wniosku, że początkowa dezorientacja uzupełniona strachem bardzo przyczyniały się do natychmiastowego uzyskania informacji.

- Sześćdziesiąt jeden...

Wobec tego Jeremy'emu wydawało się logiczne, że podobną scenę zobaczył tu, w dżungli. GI Jane najpierw podbiegła do Mahara, uklękła

46

obok niego kładąc mu rękę na ramieniu. Rozmawiali przez kilka minut i Mahar od czasu do czasu odwracał głowę lub kiwał nią, ale z takiej odległości, w jakiej znajdował się Jeremy, nie dało się zrozumieć, co powiedział terrorysta.

Po kilku minutach Jane wstała i podeszła do drugiego Indonezyjczyka. Dowódca brygady specjalnej, sierżant z Delta Force, którego nazywano French, stał nad nim z M-4 przewieszonym przez prawe ramię. French był ubrany w oliwkowego koloru

roboczy strój wojskowy pamiętający jeszcze czasy wojny wietnamskiej, rękawy miał podwinięte, na głowie kapelusz taki, jakie noszą rangersi, a na rękach czarne rękawiczki używane przez jednostki SWAT.

GI Jane przyklękła na jedno kolano, jak gdyby nie planowała długiej rozmowy i wobec tego nie musiała przybierać zbyt wygodnej pozycji.

- Siedemdziesiąt dwa...

Po kilku minutach podeszła do trzech białych. Ustawiono ich jeden obok drugiego,

na tyle blisko, że gdyby nie byli skuci kajdankami, to mogliby trzymać się za ręce.

- Siedemdziesiąt pięć...

Najpierw rozmawiała z tym pierwszym od lewej. Ściągnęła mu worek z głowy, odsłaniając, co teraz Jeremy mógł dostrzec, śnieżnobiałe włosy i skórę w kolorze papieru do kserokopiarek. GI Jane zadała temu człowiekowi, który zdaniem Jeremy'ego musiał być albinosem, kilka pytań i zapisała coś w małym notesie, który nosiła w kieszeni kamuflażu.

- Siedemdziesiąt osiem...

Po minucie lub dwóch z powrotem naciągnęła mu worek na głowę, podeszła do Frencha i wymamrotała kilka słów. I to właśnie wtedy wszystko się zaczęło.

Mój Boże - pomyślał Jeremy.

Przerwał robienie pompek i zamrugął, starając się strząsnąć obraz tego, co nastąpiło potem.

\*

JORDAN MITCHELL ŻYŁ, aby dokonywać zakupów. Począwszy od firm, które nabył

metodą wrogich przejęć i pełnomocnictw, a na tajemnicach, które gromadził za pośrednictwem źródeł rządowych

47

i szpiegostwa przemysłowego kończąc - wszystko w jego świecie sprowadzało się zestawień opisujących co już miał, a co jeszcze musiał mieć. Był prezesem zarządu i głównym udziałowcem Borders Atlantic -jednej z największych na świecie korporacji wielonarodowych-człowiekiem, którego magazyn „Forbes” plasował na piątym miejscu na liście najbogatszych ludzi świata.

Według prognoz handlowych, jego ostatni projekt, Gjuantis, w którego skład wchodził nowy monopol na przekaz dotyczący telefonii komórkowej na Bliskim Wschodzie, dawał mu szansę na przesunięcie się wyżej.

- Jeszcze jej nie ma? - spytał Mitchell. Siedział przy masywnym stole konferencyjnym wykonanym z czerwonego dębu, obracając w rękach rzadki okaz

trzyłufowego drylingu, który właśnie dostał od kuratora muzeum w Stuttgarcie. Kolbę tej wspaniałej trójlufki wykonano z brazylijskiej odmiany drewna różanego, a na niej wyryto scenki szwarcwaldzkie. Komora zamkowa była niklowana, a kabłąk spustu z kości słoniowej. Dryling wymykał mu się latami, ale jak wszystkie wielkie zdobycze, tak i ta warta była czekania.

- Nie, ale już jedzie - poinformował Trask. Szef personelu Mitchella przeciskał się przez sterty folderów, przygotowując się do dnia, który zapowiadał się szczególnie pracowicie.

- Czy mam powiesić tę broń, panie Mitchell?

Szef Borders Atlantic siedział w pomieszczeniu nazywanym w firmie Pokojem Wojennym, najświętszym ze świętych, charakterystycznym ze względu na swoje orzechowe panele ścienne w kolorze tytoniu, lampy Tiffany'ego i zastarzałą woń strachu. Gabloty ciągnące się od podłogi do sufitu zajmowały dwie ściany, a w każdej z nich wisały setki sztuk broni: karabiny Henry'ego na nabój .5440, karabinki Winchestera, prototypy Remingtona, belgijskie browningi, dubeltówki Parkera z damasceńskimi lufami, wczesne skałkówki z Kentucky, kolty peace-makers

lśniące niklem i oksydowane. Ta nadzwyczajna kolekcja-rzadkie okazy stanowiące kronikę historii wojen i polowań - stanowiła równocześnie zatrważające świadectwo potęgi Mitchella. Kiedy zapraszał tu szefów firm i koncernów na spotkania, oczekiwał poddaństwa. A jeśli ta broń sugerowała jego konsekwencję, to i dobrze.

- Mam nadzieję, że pan na mnie nie czekał - powiedziała Sirad, wpadając do pokoju. Miała na sobie czarne obcisłe spodnie, w których biegała, i jaskrawożółtą kurtkę, którą odpięła i spod której ukazał się

48

biały golf. Topniejący śnieg kapał z jej ubrania, tworząc kałuże na dywanie Uszak pałacowych wręcz wymiarów. - Biegałam w parku.

- Ale na dworze jest śnieżycy - przypomniał Trask. Jak zwykle starał się na nią nie gapić.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Jest pięknie, prawda?

Sirad osuszała twarz ręcznikiem, a Mitchell ostrożnie położył swoją trzylufową strzelbę na kawałku aksamitu. Jedyny dźwięk, jaki rozlegał się w pokoju, to syczenie kaloryferów.

- Czy poinformowano panią, o co chodzi? - spytał Mitchell. Był elegancki jak zawsze, oszłamiający w szytym na miarę wełnianym garniturze i robionych na obstalunek pantoflach.

- Chodzi o atak na system Quantis - odparła Sirad. Skinęła głową pozostałym siedzącym przy stole; wszyscy zajmowali wysokie stanowiska w Borders Atlantic i wszystkich ich łączyło pewne nieprzyjemne wspomnienie związane z Sirad, ale ona starała się wyrzucić to ze swojej pamięci.

- Istnieje prawdopodobieństwo, że nastąpił atak na nasze algorytmy, że ktoś odkrył istnienie pułapki - oświadczył Mitchell.

- To niemożliwe - stwierdziła Sirad. - Quantis to mocny system, nieczuły na włamanie. Jesteśmy tego pewni.

Przeszła przez pokój, odsunęła krzesło i usiadła. Normalnie posłużyłaby się swoją cienko odzianą postacią dla uzyskania przewagi nieco nie na miejscu, ale tutaj, w sali konferencyjnej, uroda działała przeciwko niej. W Borders Atlantic władza oscylowała wokół inteligencji i dowcipu, toteż ubiór składający się z cienkiej warstewki wilgotnej lycry uwydatniał jej nagość w dziwny i żenujący sposób.

- Jesteśmy pewni, że jest nieczuły na wszelkiego rodzaju włamanie, jakie może nam przyjść do głowy - zaznaczył Mitchell - ale „nieczuły” to względny termin. Ktoś jak widać sądzi, że warto się trudzić.

- Gdzie to wykryliście? - spytała Sirad. Przesuwała ręcznik z tyłu głowy, po szyi, po czym zawiesiła go sobie na ramionach, przykrywając sutki, które podejrzenie sterczały wskutek zimna. - Czy usiłowano dostać się do naszego strumienia danych, czy też zaszyfrowanych rubryk?

- Ani jedno, ani drugie - odpowiedź ta padła z ust Dietera Plancka, pełniącego w firmie funkcję szefa ochrony. Krępy, z dołeczkami w policzkach Niemiec siedział

dokładnie po przeciwnej stronie stołu, marszcząc nos pod owalnymi okularami bez oprawki.

49

- Jeszcze całkiem się nie ujawnili - odezwał się inny mężczyzna. Sirad знаła tylko imię tego matematyka: Ravi. - Jeden z badających system zauważył dziś około czwartej rano jakiś podejrzany cień.

- Cień? - obruszyła się Sirad. - Strażnicy systemu ciągle natrafiają na jakieś próby, od cudownych dzieci, usiłujących bawić się w hakerów, po europejskich rywali. Wszystkie nieudane. Dlaczego myśli pan, że ktoś może legalnie włamać się do naszego systemu?

- Robią to cały czas, ale docierają do zapory - wyjaśnił Ravi. Ten cicho mówiący Hindus ubrany był w błękitną marynarkę z Memebbers Only i tanią koszulę zapiętą pod samą szyję. Nie miał krawata. - Ten cień sugeruje bardzo przemyślany, zamaskowany sposób, mający wyglądać jak nasze rutynowe sprawdzanie. Tego nie robi żaden dzieciak.

Sirad przetarła twarz rękawem.

- Aby dostać się do zabezpieczeń, muszą poznać nasz szyfr - powiedziała. - A to oznacza jedno: wiedzą, że możemy podsłuchiwać rozmowy naszych użytkowników.

- Tak jest - wtrącił Mitchell. Otworzył zamek jednego z karabinów i patrzył na piramidkę naboju. - Niestety jest jeszcze coś. Nie słyszała pani najgorszego.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT DWA...

Jeremy'ego zaczęły już palić ramiona od robienia pompek. Nawet ból nie był jednak w stanie odciągnąć jego myśli od wydarzeń w dżungli Irian Jaya.

Kiedy GI Jane zwróciła się do Frencha, wypadki zaczęły rozgrywać się bardzo szybko. Sierżant z Delta Force stanął za plecami jednego z Amerykanów, uniósł w górę lufę Mark IV, tak by znalazła się na wysokości głowy tamtego, i pociągnął za spust.

BUUM! Wystrzał z karabinu kalibru .223 rozniósł się echem po polanie.

Jeden z indonezyjskich kumpli Mahara zerwał się i popędził, jakby biegł po rozżarzonych węglach, potykając się, ponieważ wciąż miał ręce spętane na plecach

kajdankami, a na głowie worek. Zrobił cztery czy pięć kroków, ale wpadł na talerz anteny satelitarnej i przewrócił się. Jeden z Komanda Foki podszedł i chwycił go za ramię, ale ten człowiek walczył, błagając w jakimś nieznanym Jeremy'emu języku.

50

- Sto pięć...

Na facecie z komanda nie wywarło to żadnego wrażenia; pociągnął tamtego i posadził na poprzednim miejscu. Jeremy widział przez celownik, że jeniec się zmoczył. Ciemna struga wypłynęła z jego krocza, ciekąc w dół po nogawkach.

- Caleb?! - zawołał Amerykanin siedzący z lewej strony. Teraz już nie można się było pomylić co do jego narodowości. Jeremy rozpoznał jego akcent - tak mówiono na dalekim południu, w Alabamie lub w Georgii.

- Frank, siedź spokojnie - powiedział albinos. Jego głos był opanowany, niemal obraźliwy.

- Te gnojki chcą nas zabić - skowyczał Frank. - Trzeba coś zrobić, chłopie! Oni nas zabijają.

GI Jane uklękła obok i powiedziała coś, ale zbyt cicho, by Jeremy mógł usłyszeć. Mężczyzna potrząsał gwałtownie głową w przód i w tył i próbował rozerwać kajdanki.

- Chłopaki, uciekajmy! Oni nas zabijają! - wrzeszczał Frank. Usiłował wstać, ale potknął się i upadł twarzą do ziemi.

- Sto dwadzieścia...

Jeden z Indonezyjczyków również się podniósł, ale zrobiwszy zaledwie parę kroków, potknął się o zabitego psa i runął na ziemię. BUUM! To French zastrzelił Franka. I teraz rozpętało się piekło.

\*

- NAJGORSZEGO? - SIRAD uniosła brwi. - A co może być gorszego?

- Nasza wewnętrzna zapora stanowi jakby fizyczną tamę - przypomniał jej Ravi. - Umyślnie oddzielona jest od innych zabezpieczeń. Aby do niej dotrzeć, intruz musi już ujawnić nasze kluczowe algorytmy, co oznacza, że sklonował lub ukradł

nasze generatory numerów.

Sirad usiadła wygodniej. Algorytmy - broń, która stała na straży całego systemu szyfrującego Quantis - były oparte na tym, co w przeszłości zawsze było generatorem liczb losowych, bardzo dużych, dochodzących do stu pięćdziesięciu pięciu cyfr. Aż do niedawna losowość - to wielkie ograniczenie teorii szyfrów - była tworzona przez komputery posługujące się stochastyczną różnorodnością dźwięku pochodzącego

51

ze źródeł takich jak stukanie palców o klawiaturę komputera, ruch uliczny czy szum wiatru. Jednak pomimo wysiłków, żaden komputer nie wytworzył prawdziwej losowości. Nowe „generatory liczb” wymyślone przez Borders Atlantic to zmieniły.

- Możliwe, że ktoś już przechwycił strumień naszych danych - zasugerował Planck.
- A to oznacza, że jakieś postronne osoby mogą poznać prawdę na temat naszych poczynań wobec Saudyjczyków. Rzecz jasna równałoby się to katastrofie.

To prawda. Sirad wiedziała, że prawdziwa przyczyna dania światu bezpiecznej możliwości porozumiewania się leżała w pozwoleniu Mitchellowi na podsłuchiwanie tych rozmów. I chociaż każdy, zarówno inne korporacje, jak i obce rządy, sądził, że ich rozmowy oraz dane są bezpieczne, Borders Atlantic swobodnie buszował po ich najskrytszych tajemnicach, niczym złodziej w szufladzie z damskimi majtkami.

- Ale jak to się stało? - spytała Sirad, zwracając się do Ravięgo. - Przecież Quantis jest na rynku dopiero od roku, a pańscy matematycy obliczyli, że najpotężniejszym komputerom zajmie kilka lat tylko samo skopiowanie tego systemu.

Zamiast Ravięgo głos zabrał Jordan Mitchell.

- W tym wszystkim liczy się tylko jedno: jesteśmy odkryci.

- Na szczęście nie potrafili przeniknąć do wewnątrz - dodał Ravi. - Jak dotąd zauważyliśmy cztery próby włamania... i żadna z nich nie była ostateczna.

Wygląda na to, że sondują parametry systemu, tak jakby błądzili w ciemnym pokoju, szukając kontaktu.

- Kto to jest? Z jakiej korporacji? - spytała Sirad.

- Nie, raczej nie - odpowiedział Dieter. - Konwencjonalni hakerzy biorą na cel sieć i stosują wirusy, jak na przykład Sober.c albo Bizex, a próby włamania tego rodzaju, który zauważyliśmy, wymagają takiego sprzętu i wiedzy, które mają tylko rządy.

- I to niewiele - wtrącił Ravi. - Ma je rzecz jasna rząd Stanów Zjednoczonych, a oprócz tego Wielkiej Brytanii, Chin oraz Indii.

Sirad przytaknęła. Wiedziała, że amerykańskie agencje wywiadowcze wymieniały się technologiami z Wielką Brytanią a Indie są autorem największej na świecie liczby programów komputerowych, które z kolei Chińczycy ukradli.

- Jak najbardziej spodziewaliśmy się zaatakowania naszych zapór- odezwał się znowu Mitchell - ale nie tak rozległego, dobrze zakamuflowanego i wymyślnego.

52

W pokoju na chwilę zapanowała cisza, aż Hamid podniósł rękę niczym w szkole podstawowej. Jako główny analityk firmy najlepiej ze wszystkich znał negatywne skutki ujawnienia systemu szyfrowego Quantis.

- Jest coś, czego nie wzięliście pod uwagę - powiedział. - Jeszcze do wczoraj Borders Atlantic miał prawie sześćdziesięciosiedmio-procentowy udział w światowym rynku telefonii komórkowej. Nawet plotki o skutecznej penetracji mogą stanowić zagrożenie dla dominacji na rynku i kosztować firmę miliardy. To, że prowadzimy śledztwo, musimy trzymać w wielkiej tajemnicy.

Sirad wyglądała na zakłopotaną i to nie z powodu złośliwych spojrzeń swego byłego kochanka. Najpierw terroryści atakują centrum handlowe Mail of America, Disneyland i Atlantę, a teraz następuje atak na najlepszą i najtajniejszą technologię szyfrowania. Upłynęły już więcej niż trzy lata od 11 września i w tym czasie nie zdarzyło się w tym kraju nic takiego. Co się dzieje?

- Natychmiast musimy znaleźć kryjących się za tym ludzi - oświadczył Mitchell mocnym głosem, w którym nie wyczuwało się ani oskarżenia, ani paniki. - Sirad, to jest pani program, ale musi pani wszystko ściśle koordynować z siedemnastym piętrem.

Kiwnęła głową. Wszystkie tajne operacje były prowadzone przez tak zwaną w



Borders Atlantic Króliczą Norę. Podlegająca Dieterowi Planckowi kadra naukowców, matematyków i byłych specjalistów od tajnych operacji rywalizowała z większością rządów jeśli chodzi o dostępne fundusze i zaawansowanie oraz nowoczesność stosowanych urządzeń. Fakt, że Planck wymierzył Sirad karę, nieco komplikował całą sprawę, ale nie aż do tego stopnia, by nie mogła tego znieść. Stanowiło to niedogodność.

- Tak jest, sir - zgodziła się. Przy okazji zauważyła złowrogi uśmieszek Dietera, ale zniosła to.

- Proszę mnie informować natychmiast, gdy tylko coś złapiecie - powiedział Mitchell, wstając. Trask już ruszył w kierunku drzwi, umacniając przekonanie Sirad, że rzeczywiście potrafi on czytać w myślach szefa. - Chcę natychmiast wiedzieć, jeżeli tylko nasi zagraniczni kontrahenci zadadzą wam jakieś nietypowe pytanie. I chcę w tym celu użyć wszystkich środków. Zrozumiano? „Wszystkich” znaczy niezbędnych.

Z tymi słowy Jordan Mitchell wyszedł z pokoju.

53

- Za dwadzieścia minut oczekuję pani w moim gabinecie - oznajmił Dieter, wstając i również szykując się do wyjścia. Ravi, inżynier czuwający nad działaniem systemu komputerowego, zebrał stertę papierów i wsunął je do popękanej plastikowej teczki.

Sirad kiwnęła głową, nie zważając na autorytatywny ton Plancka. To był ranek pełen wiadomości i prawie wszystkie okazały się złe. Radosny był tylko fakt, że na dworze panowała zamieć.

• .-,,.

- STO TRZYDZIEŚCI...

Jeremy widział oczyma wyobraźni, jak drugi Indonezyjczyk zaczął krzyczeć, trochę bezsensownie, z powodu strachu i worka na głowie. Udało mu się dobiec nieco dalej niż innym, ale i tak zarobił serię w plecy. Pierwszy z Indonezyjczyków ponownie próbował uciekać, ale spotkał go ten sam los, gdy GI Jane warknęła rozkazy w stronę Frencha i jego szturmowców.

Caleb, kompletnie zdezorientowany, szarpnął się gwałtownie, zrzucając worek z głowy i zrywając się na równe nogi. Komandos z Fok podszedł do niego na odległość wyciągniętej ręki, chcąc go zatrzymać, ale albinos kopnął go prawą stopą, dobrze wytrenowanym ruchem walki wręcz, który zbił tamtego z nóg. Caleb szybko ukląkł, chwycił karabin skutymi z tyłu rękami i wystrzelił z sześć razy. Jeremy najpierw patrzył, nie wierząc własnym oczom. Wyglądało to tak, jakby albinos ćwiczył tę sztuczkę z tysiąc razy. Nie był amatorem.

Reszta pochowała się, a tymczasem Caleb przestał strzelać i pobiegł w stronę dżungli. Zanim Jeremy ustawił na nim krzyż celownika, Amerykanin zniknął za ścianą zieleni.

Cholera! - łajał sam siebie. Tę operację planowano od tygodni i zaangażowanych w nią było co najmniej kilka agencji. Nikt nie chciał poinformować, że ktoś uciekł, a już szczególnie że był to Amerykanin.

- Sto czterdzieści trzy...

French i jeden z Komanda Foki pobiegli za Calebem, a Jane podeszła do Mahara. Uklękła wprost przed nim i coś warknęła w języku terrorysty. Z tonu Jeremy zrozumiał, że było to pytanie.

Mahar powiedział dwa słowa, z pewnością nie te, które chciała usłyszeć. GI Jane wyciągnęła spod kamuflażu krótką broń półautomatyczną,

54

przyłożyła jej lufę między oczy Mahara i bum! - zastrzeliła go. Terrorysta runął w tył, padając groteskowo na nogi. Strumień krwi wypływał prosto z rany, po czym zmienił się w kapanie.

GI Jane nie traciła ani chwili i zabrała się za następne makabryczne zadanie. Z prawej kieszeni wyciągnęła parę czarnych, stalowych nożyczek i gdy szturmowcy obserwowali dżunglę, wypatrując Caleba, ona przechodziła od ciała do ciała, przyklękała, otwierała prawą dłoń zabitego i obcinała każdemu koniec palca wskazującego.

Wszystkie palce - ucięte pomiędzy drugim a trzecim stawem - zostały włożone do plastikowej zamykanej torebki, która następnie powędrowała do kieszeni GI Jane.

- Spalcie to! - krzyknęła, wskazując na chaty.

Komandosi zaciągnęli ciała do największej z chat, po czym każda z nich została poczęstowana granatem z termitem, rozbłyskującym białym światłem w deszczu, który akurat zaczął padać.

W ciągu kilku sekund cały teren zniknął w pożarze, jaki ogarnął generatory, pojemniki z benzyną, a nawet aluminiową antenę satelitarną. Jeremy usłyszał jeszcze kilka wystrzałów w dżungli, po czym wyszli z niej French i komandos, ale sami. Jeremy obserwował, jak wszyscy zebrali się dokoła GI Jane, i wtedy...

- Drrrrrrrrr, drrrrrrr, drrrrr...

'''' Przesłał robić pompki, bo telefon przerwał wspomnienia z dżungli.

- Halo? - powiedział do słuchawki.

- Żadnych imion - usłyszał głos po drugiej stronie. - Czy wiesz, kto mówi?

Jeremy wiedział. Usiadł na brzegu łóżka, ciężko dysząc, ale nic nie mówił.

- Wracasz dzisiaj - mówił ten głos. - Dziś wieczorem. Bilet czeka na ciebie u recepcjonistki na dole.

- Wracam? - dziwił się Jeremy. Początkowe instrukcje nakazywały mu lecieć rano do Ramstein w Niemczech, na kolejną odprawę, a potem na jakiś czas do Bagdadu.

- Widziałeś chyba dziennik? - spytał ten głos.

Jeremy ciężko dyszał, usiłując zwolnić bicie serca i oddech. Chwycił pilot i włączył BBC World.

Widok powykręcanych, splątanych ciał. Bomba. Zniszczenia. Napis na dole informował, że zdjęcia pochodzą z Atlanty.

55

- Tylko nie spóźnij się na samolot - powiedział mężczyzna po drugiej stronie słuchawki. - Jesteś tu potrzebny jak najszybciej.

Jeremy słyszał, jak ten ktoś się rozłączył, a wtedy znów wrócił do oglądania scen rzezi. Wydarzyło się coś potwornie złego, coś o wiele gorszego aniżeli to, co widział w dżungli. Ścisk w żołądku mówił mu, że te dwie sprawy są ściśle ze sobą powiązane.

tP

### Rozdział III

Wtorek, 15 lutego

00.55 GMT

Lotnisko Krajowe im. R. Reagana, Alexandria, Wirginia

NIKT NIE ZWRÓCIŁ najmniejszej uwagi na furgonetkę firmy sprzątajacej Meny Maids,

która wynurzyła się ze śnieżycy i podjechała do wieżowca z luksusowymi apartamentami przy 21789 Madison Avenue. Kierowcą był ciemnoskóry Indonezyjczyk,

posiadacz studenckiej wizen i pracujący nielegalnie. Zaparkował na miejscu dla inwalidy. Podniósł kołnierz kurtki i przeszedł na tył furgonetki. Przy tylnych drzwiach stał już pasażer, biały mężczyzna, który kazał mówić na siebie Ralph.

- Wezmę to wózek - powiedział kierowca, pokazując na migi, co powinien zrobić drugi mężczyzna. Mówił łamaną angielszczyzną i ważył tylko trochę więcej aniżeli dwie szczotki, które wziął ze sobą, ale w firmie wszyscy podziwiali, że potrafi czyścić toalety tak szybko, jakby się paliło. - Ty nieś torbę na ramię.

Pasażer zawiązał sobie chustkę na twarzy, by uchronić się od zimna i śniegu, i zrobił, jak mu kazano.

- Ale skurwysyńsko zimno, co nie? - stwierdził, nie tyle pytając, co wszczynając małą pogawędkę. Począkał, aż kierowca wytarabani z samochodu swoje narzędzie pracy na kółkach, i poszedł za nim do recepcji. Obok wielkiego marmurowego foyer siedział portier w mundurze.

- Wpisz się do książki i podaj, dokąd idziesz. - Mówiąc to, portier wskazał na luźno spięte tylko na grzbiecie kartki, gdzie widniały już nieczytelne bazgroły innych gości.

Indonezyjczyk chciał pokazać, gdzie pracuje, ale portiera nic to nie obchodziło.

Spoglądał obok i zastanawiał się nad narastającym na

57

zewnątrz śniegiem. Do zakończenia dnia pracy zostały mu jeszcze dwie godziny i wcale nie spieszyło mu się wracać do domu, gdyż dojazd zapowiadał się fatalnie.

Pasażer nie zdjął chustki z twarzy; stał, zabijając ręce i przestępując z nogi na nogę, aby się rozgrzać.

- Będziecie musieli przestawić tę ciężarówkę - powiedział portier. - Mnie ona nie przeszkadza, ale pani Embry z 1411 zawsze pilnuje tych miejsc dla inwalidów. Zadzwoń na policję i spiszą ci tyłek.

Kierowca uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Nie martw się, firma zapłaci mandat.

- Jak sobie chcesz - portier wzruszył ramionami. Ci sprzątacze wszyscy byli tacy sami. Nigdy nie zwracali uwagi na jego słowa, nawet jeśli mówili po angielsku, co się rzadko zdarzało. Przeważnie byli to Chińczycy, Meksykanie lub Portorykańczycy trajkoczący po swoim. I Rosjanie, ostatnio jest mnóstwo Rosjan. Aż przykro patrzeć, że bracia muszą się tak poniżać.

Dwaj eksperci od sprzątania popchali swój wózek ze szczotkami i środkami czystości w kierunku wind i weszli do najdalszej z prawej strony. Kierowca nacisnął guzik dwunastego piętra i zaczął czekać, aż winda ruszy.

- A może ja zacznę od numeru 2110 - powiedział pasażer, gdy otworzyły się drzwi.

- To ja idę na dwunaste - stwierdził Indonezyjczyk. Kiwnął głową i podniósł w górę telefon komórkowy Nextel, w który zaopatrzyła go firma, tak zresztą jak wszystkich pracowników. - Zadzwoń, jak będziesz gotów.

- Dobra - zgodził się tamten. Indonezyjczyk wypchał wózek z windy i zniknął w głębi korytarza, szukając wyznaczonych toalet.

Kiedy drzwi windy zamknęły się, pasażer pojechał jeszcze osiem pięter w górę, po czym wysiadł i poszedł korytarzem do klatki dla obsługi budynku. Otworzył drzwi i szybko wbiegł kilka stopni do góry, prowadzących do innych drzwi, wychodzących na pokryty śniegiem dach masywnego budynku.

Znalazł sobie osłonięte od wiatru miejsce w północno-zachodnim narożniku i ukląkł za wysokim do talii parapetem.

RRRRRRRRRRRRRR...

Nieokreślony hałas narastał od północnej strony horyzontu i wypełniał powietrze wokół niego szorstkim, ogłuszającym hałasem. Mężczyzna spojrzał w górę w

kierunku Waszyngtonu DC, który znajdował się gdzieś

58

tam w mijającej już zamieci. W ciągu kilku minut ujrzał go, nadlatywał od północy, jakby wprost na niego, najpierw dwa olbrzymie światła, a potem charakterystyczny nos 747-400.

Zbliżający się samolot linii Air France (lot numer 176) z Międzynarodowego Lotniska imienia Charlesa de Gaulle'a zdawał się wisieć w powietrzu, ale leciał z prędkością stu pięćdziesięciu węzłów, niemal idealnie trzymając się swego korytarza powietrznego. Sprawiał wrażenie, jakby mógł spaść wraz z zamiecią. Na sprzątaczu z firmy Meny Maid przelot samolotu nie wywarł żadnego wrażenia; patrzył, aż znikną czerwone i zielone światła, a wówczas schylił się i rozpiął zamek błyskawiczny swojej torby.

Wyciągnął z niej trzy ciężkie, wykonane ze stali elementy karabinu: zespół komory gazowej z mechanizmem gazowym, stalową polimerową kolbę i masywną lufę z dwukomorowym hamulcem wylotowym. Nawet na doświadczonym strzelcu karabin snajperski barrett .50 robił silne wrażenie. Przy zasięgu skutecznym 1800 metrów, z magazynkiem na dziesięć nabojów oraz pociskami wielkości szyszek sosnowych ten

samopowtarzalny karabin ziejący śmiercią był jedyną bronią ręczną, która nie zwracając na siebie uwagi, była w stanie przebić okno kabiny liniowego jumbo jęta. Wyposażony w dobrą lunetę mógł wyrządzić nieodwracalne szkody.

Teraz muszę tylko pilnować, ażeby nie zamarznąć - pomyślał pasażer furgonetki. Spojrzał na zegarek i przykucnął za karabinem, a wokół padał śnieg, przykrywając dach oraz snajpera anonimową warstwą bieli.

\*

- WYLICZYŁAŚ TO W CZASIE? - zapytał prezydent. Szedł szerokim korytarzem, który

zdawał się niemal zapadać wskutek obecności jego osoby.

- Komputer ustalił, że ma to być osiem minut - odpowiedziała An-drea Chase.

Czytała, idąc, ze wszystkich sił usiłując nadażyć za prezydentem i „Niebieską Książką”, dokonywanym dwa razy dziennie streszczeniem nadchodzących faksów i kluczowych raportów. Chase wciąż nie przeczytała drugiej strony informacji wybranych z najważniejszych skrótów przygotowywanych codziennie dla prezydenta przez CIA i Departament Stanu oraz z wycinków prasowych, czym zajmowało się Biuro Prasowe Białego Domu.

59

- Przemówienie jest treściwe, ale zwięzłe - mówiła Chase. - Właśnie to chcemy dziś naświetlić amerykańskiemu społeczeństwu.

Chase, była prezes firmy ubezpieczeniowej z New Haven, nigdy nie zajmowała się poważniejszymi sprawami niż huragany czy gradobicia, ale nie powstrzymało to jej przed podjęciem wyzwania. Z zawodu księgowa, uważała się za więcej niż zdolną do zamiany roszczeń ubezpieczeniowych na liczenie ofiar.

- To dobrze. - Venable kiwnął głową. - Musimy znów wzbudzić w ludziach zaufanie, ale nie dramatyzując. Nie chcę przesadzać z naszymi słabymi stronami.

- Panie prezydencie, najlepiej, jeśli będzie się pan trzymać scenariusza - zasugerowała Chase. David Ray Venable był doskonałym szefem, ale czasem nie panował nad słowami, które wylewały się z jego ust niczym Niagara. - Proszę szybko wejść i wyjść.

- Tchórze bez kręgosłupa - mruknął prezydent, ćwicząc najważniejsze fragmenty przemówienia. „Bezlitosne przestrzeganie sprawiedliwości... nie będziemy znosić... wyśledzimy ich, gdziekolwiek się ukryją... wola narodu... indywidualna spójność... stanie na straży...”.

Idąc, prezydent ćwiczył ruchy ręki. Na początku swojej kariery politycznej pracował jako trener wystąpień publicznych i uważał, że demonstrowanie emocji to jedna z jego najmocniejszych stron.

- Powiedz temu, kto obsługuje czytnik, ktokolwiek to jest, że często robię pauzy, dla efektu, jasne? Czasem długie. Muszą uważać, żeby nie wyglądało, że czytam, zwłaszcza kiedy będzie ta część o indywidualnej spójności.

- Osobiście tego dopilnuję - zapewniła Chase. Wciąż podkreślała najważniejsze

miejsca w raportach wywiadu, porządkując je i układając według priorytetów.

- Matthew? - spytał prezydent. - Czy jest coś nowego, o czym powinienem wiedzieć?

Matthew Havelock usiłował dotrzymać mu kroku. Jego nogi były o ponad osiem cali krótsze niż kończyny mierzącego metr osiemdziesiąt osiem szefa, a poza tym popełnił fatalny błąd, wkładając nowe buty. Skórzane podeszwy ślizgały się tak bardzo na wełnianym dywanie, że aby się nie przewrócić, musiał niemal iść na piętach.

- A, tak, sir - odpowiedział Havelock, zniżając swój naturalny tenor, aby nadać mu głębi. - Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego zdobył dobre namiary na radykalne islamskie ugrupowanie mające

60

powiązania z meczetem w Columbus. Obserwujemy ich od jakiegoś czasu i FBI usiłuje, na podstawie FISA, zdobyć nakaz dla ich...

- Nakaz aresztowania na podstawie FISA? Do cholery, przecież kazałem ci mówić po angielsku. Nie mam czasu na...

- Foreign Intelligence Surveillance Act czyli ustawa dotycząca tajnej inwigilacji osób niebędących obywatelami Stanów Zjednoczonych, a podejrzanych o działalność szpiegowską - wyrzucił z siebie szybko Havelock. - Tajny nakaz aresztowania. Bez żadnego uprzedzenia. Uważają, że to ugrupowanie może być powiązane z autorami dzisiejszych zamachów, i nie chcemy pokazać naszych intencji.

- Dobrze. - Nagle prezydent zaczął sprawiać wrażenie mniej zmęczonego. - Zaznacz i napisz „ostrożny optymizm” w tym miejscu, w którym mówię o wysiłkach naszych służb strzegących porządku oraz wywiadu - powiedział Venable. Nie miał kopii przemówienia; lata brania udziału w kampaniach sprawiły, że jego niemal fotograficzna pamięć jeszcze się wyostrzyła. - Zawierzmy boskiej dobroci i sprawiedliwości! - Podrzucił głowę, starając się dobrać odpowiednią modulację głosu, a potem powtórzył jeszcze raz. - Zawierzmy boskiej dobroci i sprawiedli... a gdzie do cholery jest Alfred? Powinien tu być, na wszelki wypadek, gdybyśmy



dostali coś w ostatniej chwili!

Chase potrząsnęła głową. Umyślnie oczyściła najbliższe otoczenie prezydenta, ograniczając je tylko do Havelocka i siebie. Teraz, po niemal czterdziestu godzinach bez snu, Venable stawał się zbyt podatny na sugestie. Zmniejszenie liczby głosów mających dostęp do uszu prezydenta pozwalało jej kontrolować jeszcze kilka zmiennych. Gdyby tylko udało się jej jakoś przebrnąć z prezydentem przez to przemówienie, a potem wpakować go do łóżka, żeby zasnął, to ludzie z Narodowej Rady Bezpieczeństwa zajęliby się szczegółami kryzysu.

- Mamy z nim stały kontakt, sir - powiedziała. - Vick też. Jeśli coś się wydarzy, będzie pan wiedzieć pierwszy.

- Dobrze - stwierdził Venable. - Jak tam moja cera?

Nagle zatrzymał się, żeby przejrzeć się w lustrze o połączonych ramach, które wisiało tu od czasów prezydenta Tafta.

- W porządku, nie wygląda pan źle - orzekła Chase. Oczywiście kłamała. Jego twarz była ziemista i znużona pomimo grubej porcji makijażu takiego, jaki stosuje się na scenę. -No, dobrze. - Chase zmieniła temat. - Właśnie przejrzałam najświeższe komunikaty wywiadu i mamy jedną sprawę, o której przemówienie nie wspomina.

61

Venable słuchał i poprawiał krawat.

- Gdzieś w indonezyjskiej dżungli znaleziono Alego Fallala Ma-hara, przywódcę Jeemah Islamiya. Wraz z dwoma innymi terrorystami został zabity podczas próby aresztowania.

- To dobra wiadomość, prawda? - zauważył prezydent. - Musi być dobra. Jeemah co? Chase napisała mu tę nazwę dużymi literami na żółtej karteczce do notatek.

- Proszę, napisałam. Proszę dodać tak spontanicznie, pod koniec, nie więcej niż dwa zdania, jako potwierdzenie, że ścigamy tych ludzi. Jasne?

- Jasne. - Venable poprawił klapy marynarki i uniósł podbródek, aby podciągnąć należycie węzeł krawata.

- Dobra. Miejmy już to za sobą.

Chase wyszła z pokoju imienia Roosevelta. Wewnątrz jedna kamera stała naprzeciwko mahoniowego podwójnego biurka i krzesła pamiętającego jeszcze XIX wiek. Venable spierał się, że powinien przemawiać, stojąc, ale zdanie Chase przeważało. Siedząc, wyglądał na bardziej odprężonego.

- Kraj czeka na pana, panie prezydencie - powiedział sekretarz do spraw bezpieczeństwa narodowego, patrząc na niego z absolutnym zaufaniem.

Venable skinął głową i zaczął iść w stronę krzesła. '

- To jest Islamiiija, czy Islamajla? - zapytał, siadając.

- Niech pan pamięta, co mówiłem - odezwał się Havelock. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego pęczniał z dumy, gdyż stał jako drugi obok człowieka, który zwracał się do narodu. - Amerykanom potrzebna jest powaga, prezydent gotowy podejmować trudne wyzwania i bronić ich. Niech pan da spokój z tymi jakimiś szpiegowskimi bzdurami, to im tylko pomiesza w głowach.

•

JEREMY USIADŁ WYGODNIE w fotelu i przyglądał się całkiem smacznie wyglądającemu

kurczakowi ze szparagami, koprem i sałatką arugula. Wszystko podane było na kosztnej porcelanie, z lnianą serwetką, kieliszek był ze szkła, a widelec...

plastikowy.

Ileż to zmieniło się z powodu dziewiętnastu mężczyzn z nożami do cięcia tektury

- pomyślał. Odwrócił głowę i wyjrzał przez okno na

62

morze chmur, które zdawało się nie mieć końca. Powolna monotonia czterech gigantycznych silników boeinga zapraszała do dwunastego-dzinnego snu, nieprzerywanego lądowaniem w San Francisco.

Jakiż świat wydawał się inny od czasu ataków z 11 września.

Nie zaszokowały go bombastyczne przemówienia w dawnym stylu nadawane z głośników

na lotnisku ani też kolor alertu terrorystycznego, gigantyczne nowe wydatki ani ogólna obojętność, z którą większość Amerykanów traktowała zagrożenie.

Nie. To, co zdumiało Jeremy'ego, to olbrzymia zmiana w gotowości rządu do pobrudzenia się. Sprawy, o których niegdyś tylko się szeptało, teraz były omawiane otwarcie na strategicznych sesjach. Ekstradycja, która kiedyś zależała od woli drugiego kraju, teraz odbywała się na mocy wcześniejszego powiadomienia. Tortury stały się rutyną. Dygnitarzy wojskowych się kupowało, a rozstrzeliwało, gdy zdradzili.

Morderstwo, obrzydliwie brzmiące administracyjne działanie zabronione przez Geralda R. Forda zarządzeniem prezydenta 12333, zyskało nowy blask. Umyślną egzekucję jednostek, zwaną teraz „neutralizowaniem celów wojskowej wagi”, zaszeregowano w rubryce „akcje wojskowe inne niż działania wojenne”.

Jednak najbardziej uderzyły Jeremy'ego brak nadzoru oraz zainteresowania.

Wydawało się, że w czasie trwania wojny z terroryzmem nikt nie pytał o rządy prawa. Ani Kongres, ani media, ani nawet przeciętni Amerykanie. Oznaczało to rewolucję na skalę państwową, zmiany w zbiorowej woli zranionej demokracji.

Niektóre rzeczy trzeba było zrobić i już lepiej prosić o przebaczenie niż o pozwolenie.

Ta nowa filozofia sięgała od Białego Domu do odseparowanych analityków w Fort Meade i bazie sił powietrznych w Boling, od kawiarni w Enid w Oklahomie aż po siódme piętro Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie. Jeśli wojsko wykryło kogoś i uznało za terrorystę, śledztwem zajmowało się CIA, aby FBI nie mogło spojrzeć na sprawę od innej strony. Jeśli zaś FBI namierzyło podejrzanego, to dowody przedstawiano nie sądowi, ale komórce planowania misji Joint Special Operations Command - Połączonego Dowództwa do spraw Operacji Specjalnych, które

serwowało sprawiedliwość z uzbrojonego helikoptera. Jawne sądy teraz zajmowały się cichutko labiryntem nakazów aresztowania wydawanych na podstawie FISA, zatrzymaniem „materialnych świadków” i zaciemnianiem narodowego bezpieczeństwa.

miejszem, którego on nie był już w stanie zrozumieć, obszarem niejasnych zależności i prowadzących do pułapek prawd, gdzie najtrudniejsze zadanie polegało na wymyśleniu, jak, do cholery, to ukryć.

- Panie i panowie, kapitan włączył sygnał zapięcia pasów - przerwał mu rozmyślania kojący młody głos. - Sygnalizuje to rozpoczęcie schodzenia w dół nad obszarem Waszyngtonu DC. Zasady FAA\* wymagają, aby pasażerowie pozostali na swoich miejscach przez ostatnie trzydzieści minut lotu, proszę więc nie wstawać, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni skierować się na inne lotnisko.

Jeremy sprawdził zapięcie swego pasa. Stewardesa przyszła i zabrała jego nietknięty posiłek.

- Niegłodny? — spytała mikroskopijna kobietka. Miała lekki makijaż i włosy tak mocno ściągnięte do tyłu, że w związku z tym na jej twarzy widniał nieustanny uśmiech. Naszywka Singapore Airlines nad jej maleńką lewą piersią informowała, że ma na imię Minge.

Jeremy potrząsnął głową. To nie posiłek odebrał mu apetyt, ale plastikowy widelec, którym rząd kazał mu to jedzenie jeść.

•

LOS ANGELES WYŚMIEWAŁO SIĘ z nieumiejętności stolicy kraju

funkcjonowania w złą

pogodę. Rzecz jasna był to niesprawiedliwy zarzut, bo przecież w południowej Kalifornii prawie nigdy nie pada. Ale przemysł rozrywkowy żywił niewiele szacunku dla waszyngtońskiej biurokracji, uwielbiającej zawrzeć wszystko w spisach i zestawieniach. Waszyngton był miastem polityków o wąskich horyzontach, a Zachodnie Wybrzeże miało swoje własne priorytety. Które spotkania wywierały większy wpływ na sprawy światowe, czy te odbywane na dusznych korytarzach Senatu,

czy też te w Beverly Hills przy szklankach z drogą wodą mineralną?

Jednak mężczyzna z pistoletem w ręku nie był podobny do większości

Kalifornijczyków. On mierzył w Waszyngton. To był jego cel. I chociaż znajdował się trzy tysiące mil stamtąd, to czuł się ściśle związany z jego mieszkańcami i

ich najbliższą przyszłością.

\* Federal Aviation Authority - Federalny Zarząd Lotnictwa Cywilnego.

64

- Nie ma co wołać - powiedział mężczyzna z pistoletem. Obok siedział z rękami skrzepowanymi z tyłu wyglądający na przerażonego saudyjski duchowny Aszar al-Bayad. Z kącików ust spływała mu ślina, a w ustach tkwiła gumowa piłka. - Te ściany są wyciszone, nikt cię nie usłyszy.

Mężczyzna z pistoletem dwukrotnie sprawdził moc wiązania-zwyczajnego konopnego

sznurka na przegubach rąk oraz na kostkach u nóg. Może i nie był on tak dobry jak policyjne kajdanki, które w dzień, w pracy miał zawsze przy sobie, ale w ogniu spali się całkowicie i nie będzie żadnych śladów pęt.

- Bracie, przepraszam za ten brak szacunku - ciągnął mężczyzna z pistoletem - ale to wszystko dla dobra naszej sprawy. Bóg jest wielki, przekonasz się.

Dręczyciel otworzył drewnianą skrzynkę o wymiarach cztery stopy na cztery wypełnioną pięćdziesięcioma funtami semteksu czeskiej produkcji - specjału wymyślonemu do stosowania w minach przeciwpiechotnych. Nastawił detonator, aby się upewnić, że nie zawiedzie. W normalnych warunkach ten domowej roboty ładunek

wybuchowy zniszczyłby wszystko w promieniu dwustu stóp, ale plan był inny. Miał on eksplodować, ale cicho, miał być pożar, lecz niewiele hałasu.

Kiedy już był pewny, że wszystkie szczegóły zostały dwukrotnie sprawdzone, człowiek z pistoletem podniósł podłużną, białą-czerwona skrzynkę z narzędziami, naciągnął na głowę czapkę pracownika tamtejszych sieci energetycznych i wysiadł z ciężarówki.

Na znajdującym się w jego kieszeni zleceniu figurowała naprawa transformatora na szczycie hotelu LAX Radisson. Słońce świeciło jasno, było późne popołudnie. Od strony Santa Ana wiał wiatr, wydymając mu koszulę i napełniając nozdrza zapachem pustyni.

- Allah huakbar - wymamrotał. Gdy podnosił ważącą trzydzieści funtów skrzynkę z

narzędziami, nad jego głową rozległ się ryk białej maszyny 767, nadlatującej skądś i zmierzającej na wschód.

- Ciężka, ale skuteczna - mruknął, upewniając sam siebie co do zalet spoczywającego w środku barretta .50. A, nieważne. Teraz już tylko szybko wjechać windą na górę i pociągnąć za spust.

|||| • | ,...  
|||| • | ,...

- PROSZĘ ZAPIĄĆ PASY - stewardesa Minge grzecznie upomniała jednego z pasażerów pierwszej klasy.

65

Zawsze się ktoś znajdzie - pomyślał Jeremy. - Czy ci bogaci ludzie sukcesu, którzy tyle podróżują, nie powinni nieco lepiej zachowywać się w pierwszej klasie?

Nie nabyłby tych doświadczeń, gdyby nie niespodziewana hojność miłego kasjera w Bangkoku, który uwolnił go od pokonania dziesięciu tysięcy mil w klasie ekonomicznej.

- Witam jeszcze raz, mówi kapitan - rozległ się głos przez inter-kom. Ku zdumieniu Jeremy'ego brzmiał tak, jak mówią w stanach na środkowym zachodzie. Singapore Airlines z amerykańską załogą? -Rozpoczynamy podchodzenie do lądowania

na lotnisku w Waszyngtonie DC. Jak już mówiłem, akurat jest tu potężna śnieżycyca.

Przez ostatnie piętnaście minut Jeremy nie widział przez okno nic oprócz ciemności i masy śniegu. Nowoczesne samoloty potrafią wylądować w każdą pogodę,

prawda? I z pewnością skierowano by go gdzie indziej, gdyby było niebezpiecznie.

- Wieża zezwoliła nam na lądowanie, ale nie będzie ono gładkie. Proszę zapiąć pasy, a za kilka minut już będziemy na ziemi. I dziękuję za skorzystanie z linii Singapore Airlines.

Zapiąć te pasy? - Jeremy roześmiał się w duchu. Nigdy nie przyszło mu do głowy, kiedy czekał tam w pokoju hotelowym w Bangkoku, że najniebezpieczniejszą częścią

całej misji będzie powrót do domu.

•

TRZY STACJE TELEWIZYJNE i wszystkie sieci kablowe zdjęły zaplanowane programy,

aby transmitować przemówienie prezydenta. Większość z nich po prostu włączyła je do nadawanej non stop transmisji z ataku terrorystycznego, dając tym samym ośmiominutową przerwę producentom, dziennikarzom, reporterom, ekspertom i wszystkim, którzy od chwili wybuchu bomb nie mieli nawet czasu napić się kawy. Pani wiceprezydent Elizabeth Beechum obserwowała wystąpienie w swoim biurze znajdującym się w zachodnim skrzydle Białego Domu, dość przyjemnym miejscu wyróżniającym się tym, że nie było wysokie i że okna wychodziły na pomnik Waszyngtona. Pomimo wcześniejszych zarzekań, że temu drugiemu co do ekskluzywności gabinetowi w kraju doda nieco barw i kobiecej ręki, nie zdobyła się na nic więcej poza zmianą zasłon.

66

- Ten facet cholernie mnie przeraża - powiedziała, zapadając się w skórzany fotel, który ważył tyle, co jej mercedes.

- Brian Williams czy prezydent? - zapytał James, podkreślając nieco głośność.

- A zgadnij - roześmiała się. Dziennikarz relacjonujący wiadomości stacji NBC siedział za tradycyjnym biurkiem w jednej z sal, z których nadawano wieczorny dziennik z Nowego Jorku. Po prawej miał generała Monte'a Deraka, a dwóch tak zwanych ekspertów od terroryzmu po lewej.

- Wiesz, to wszystko jest takim spektaklem - stwierdziła Beechum. - To właśnie to, czego chcą... ci terroryści. Nie byłiby niczym więcej niż grupką zbirów z Trzeciego Świata, gdybyśmy nie poświęcali im całodobowego czasu na antenie. Najbogatsza korporacja Stanów Zjednoczonych nie może sobie pozwolić na tego typu reklamę.

- Panie i panowie, prezydent wydaje się gotowy, aby... - Dziennikarz chciał powiedzieć kilka słów wprowadzenia, ale prezydent mu przerwał.

- Moi drodzy rodacy - zaczął. - Zwracam się dziś do was z ciężkim sercem... ale mając na uwadze sprawiedliwość.

- No, zaczął dobrze. Trzeba mu to przyznać - zauważył James. Beechum skinęła głową. Przemawianie zawsze stanowiło jego mocną stronę.

- Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu niecni tchórze zaatakowali nas w samym sercu kraju. Zamordowali niewinne kobiety i dzieci. Bezczelnie wykorzystali te barbarzyńskie działania, demonstrując zdeprawowanie i zło, którymi niektórzy posługują się w imię religii.

Prezydent wyglądał na zakłopotanego, ale zdecydowanego. Chase myliła się co do koloru jego cery; od zdrowych rumieńców na policzkach po ułożenie krzaczastych brwi i krawata mocno zawiązanego pod sterczącym jabłkiem Adama Venable był tak medialny jak aktor z Hollywood. Doskonała osoba do pokazania w najlepszym czasie oglądalności.

- Jest dobry, ale jakoś nie odnoszę wrażenia, że mogę mu wierzyć - stwierdziła Beechum. - Nie wiem, co to takiego, ale coś mnie odrzuca.

- Jedynymi osobami, którym wierzę, jest pani i dobry Bóg - odpowiedział James. Odkąd Elizabeth Beechum została wiceprezydentem, zwracał się do niej bardziej oficjalnie niż kiedyś. - Ale jeśli coś pani w nim przeszkadza, to nie jego wygląd. Jest perfekcyjnie uczesany.

67

PRZYCZAJONY W WASZYNGTONIE SNAJPER wyczuł samolot, zanim jeszcze go zobaczył. Od

północy zbliżał się ogłuszający ryk. Narastał szybko, wypełniając powietrze dookoła jak gdyby echem odgłosu wydawanego przez jakąś żyjącą w górach bestię i powodując gęsią skórę na karku. A może było tak zimno?

- Wola boska - powiedział snajper po angielsku. Ryk potężniał, grzmot przetaczał się nad zamarznąłą rzeką Potomac.

Wszystko zostało opracowane co do najdrobniejszego szczegółu. Pokryty śniegiem snajper usiadł, krzyżując nogi na parapecie dachu, niewidoczny w nocy. Na



stalowym dwójnogu stał sobie barrett .50, mocno przyciskał go do ramienia.

Zadzwoił po Indonezyjczyka, co było podstępem.

- Wola boska.

Przyłożył oko do zimnego gumowego ocznika swego celownika optycznego.

- Ciekawe, co widzą teraz inni snajperzy? - zastanawiał się. Ale wtedy na krzyżu celownika pojawił się tępy nos samolotu i wszystko inne przestało się liczyć.

III \*I  
III· I·

JEREMY NIE MIAŁ co czytać, więc siedział i patrzył przez okno, a tymczasem samolot schodził na dół, w oko śnieżnego cyklonu.

Tatuś przyjechał! - słyszał w uszach krzyk dzieci, gdy rozmarzył się, widząc przed oczami obrazy z powrotu do domu. Zadzwoił, podając numer lotu i czas przybycia, i miał nadzieję, że może jakoś się uda i samolot się nie spóźni.

Ominęło go już tyle uroczystości powitalnych przygotowanych na jego cześć; wysyłano go z jednej misji na drugą, nie miał nawet czasu wpaść do domu, aby uściskać dzieci czy się przebrać.

- Tatuś przyjechał! - usłyszał swój głos. Hamulce boeinga 747 zaświszczały, gdy pilot szarpnął w przód i w tył, usiłując dostosować maszynę do fatalnej pogody. Jeremy patrzył przez zamrożone okno na strugi śniegu, wyobrażając sobie, że jego podmiejski dom znajduje się gdzieś tam w dole. Wiedział, że jazda po drogach będzie koszmarem, ale mimo to nie zamierzał

68

zwalniać. Dziś wieczorem nic nie stanie pomiędzy niekończącymi się podróżami agenta FBI a jego rodziną, która wciąż znajdowała sposoby, by go kochać.

VENABLE WYGLĄDAŁ NA DZIELNEGO i zatroskanego, rozgniewanego, ale skupionego.

Podobnie jak najlepsi politycy, wyglądem nadrabiał brak umiejętności, ale według FBI i CIA oraz rządu ta seria zamachów bombowych mogła być tylko początkiem czegoś gorszego.

- Wie pani, to cholernie przerażające siedzieć tutaj za zaciągniętymi zasłonami i obserwować, jak nasz Mędrzec pociąga za dźwignię - stwierdził James, oglądając

wraz z Beechum przemówienie. - Chce się wierzyć w rząd i jego możliwości, ale potem dostrzega się, co rzeczywiście za tym się kryje, i człowiek się dziwi, jak to wszystko jeszcze funkcjonuje.

James dostatecznie długo pracował w Waszyngtonie, aby wiedzieć, że nikt nie zna na to odpowiedzi. „Wielki wizerunek” był mitem, tworzonym tylko po to, aby ogłupić społeczeństwo. - Prezentuje się dobrze, ale jak przyjdzie co do czego, to ten facet jest bezradny. Chyba popadliśmy w tarapaty, prawda?

- Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć, James - powiedziała Beechum. Wstała z krzesła, nie spuszczając oczu z telewizora. - O czymś, co musi zostać między nami. O czymś, o czym nie wie nawet prezydent. - Ten człowiek służył jej od ponad dziesięciu lat i przeprowadził ją przez skandal, który nieomal zrujnował jej życie. Nie miała bardziej zaufanej osoby. - Mahar nie żyje.

James wzruszył ramionami.

- Wiem. Widziałem w „Niebieskiej Książce” czterdzieści minut temu. Jestem pewien, że prezydent wspomni o tym w swoim przemówieniu.

- Słuchaj - przerwała mu Beechum. Zaczęła swoim zwyczajem przechadzać się po pokoju. - Jest coś więcej, o czym nie przeczytasz w briefingach wywiadu.

- Czy jest pani pewna, że chce mi pani o tym powiedzieć? - spytał James. Dobrze pamiętał żelazne zasady szefowej, jeśli chodziło o sprawy bezpieczeństwa. - Nie mam odpowiednich pozwoleń na posiadanie wiedzy o tak tajnych sprawach.

69

- Nie ma tu mowy o pozwoleniach na posiadanie wiedzy o tak tajnych sprawach. - Pani wiceprezydent mówiła miękko, ale stanowczym tonem. - To wydarzyło się w niedzielę rano, w sąsiedztwie kilku chat ukrytych w indonezyjskiej dżungli.

- To dzieło Agencji? - zapytał James. - Ostatnio większość takich akcji przeprowadza CIA.

- Mieli tam kogoś swojego wśród szturmowców, ale kilka jednostek brało w tym udział. Nikt się teraz do tego nie przyzna, ale...

- Tajna operacja - podsumował James. Postanowił nie pytać o nic.

Beechum przytaknęła. Wyglądała na pogrążoną w myślach.

- Wraz z Maharem było tam trzech Amerykanów.

Wypluła te słowa, jak gdyby miały jakiś wstrętny smak. \*

- Amerykanie? - zdumiał się James. - Jest pani pewna?

- Dobrzy, starzy Amerykanie, biali jak bułka, tacy, jakich widzimy tu w kraju, jak wędkują i żują tytoń. Widziałam ich na własne oczy.

- Boże.

- Wiem. Nigdy żaden wywiad nie sugerował, że Al-Kaida lub któreś z podobnych ugrupowań robiły nabór wśród Amerykanów. A w każdym razie nie pośród anglojęzycznych.

- Ale kto to? Typy w rodzaju Johna Walkera Lindha?

- Nie - Beechum potrząsnęła głową. - Coś więcej. Jej głos drżał.

- Przesłuchaliśmy tych ludzi? Z pewnością można się czegoś od nich dowiedzieć. Beechum przestała chodzić i zatrzymała się tuż przed swoim głównym doradcą.

- To, co widzimy w Atlancie i w Kalifornii, to nie koniec naszych kłopotów; one dopiero się zaczęły - powiedziała. - Jeden z tych Amerykanów, którzy byli z Maharem, uciekł i on...

- A to co, do cholery? - przerwał jej James.

Bez ostrzeżenia postać prezydenta Stanów Zjednoczonych zniknęła z ekranu telewizora i pojawił się Brian Williams.

- Panie i panowie, przerywamy przemówienie prezydenta, aby przekazać państwu najświeższą, bardzo ważną wiadomość - tu skrzywił się. Twarz Williamsa była w tak dużym zbliżeniu, że na jego opalonej twarzy można było dostrzec ślady pędzla makijażystki. - NBC dowiedziało się, że rozbiły się trzy samoloty pasażerskie - spojrzał w dół

70

na kartkę. - Trzy samoloty odbywające rejs zagraniczny, oczywiście... niemal równocześnie...

Williams przerwał, przyłożył palec do ucha i czekał, aż producent przeczyta mu najświeższe informacje o scenach tej strasznej rzezi. Telewizja pulsowała jakimś poczuciem przeznaczenia. Wytrawni dziennikarze wyglądali na roztrzęsionych.

- Mamy relację na żywo z lotniska międzynarodowego w Los Angeles...

Ukazał się widok płomieni, dymu i służb ratowniczych pędzących po pustym pasie startowym. - Napływają doniesienia o podobnych katastrofach z lotniska międzynarodowego w Miami... tak, z Krajowego Lotniska imienia Reagana. Te informacje dopiero zaczynają napływać -recytował. - Ale NBC potwierdziło, że trzy samoloty rozbiły się w Los Angeles, w Miami i w Waszyngtonie... czy to pewne? - spytał kogoś znajdującego się poza wizją. Nadawano na żywo, a Williams właśnie zastąpił na tym miejscu prezydenta Stanów Zjednoczonych. Chciał, aby wszystko było, jak należy. - Tak jest - skinął głową. - Źródła potwierdzają relacje naocznych świadków. - Odchrząknął. - NBC donosi, że co najmniej dwa z tych samolotów chyba zostały zestrzelone. Powtarzam...

Beechum potrząsnęła głową.

- Nigdy nie myślałam, że kiedyś usłyszysz ode mnie te słowa, James - odezwała się dostatecznie głośno, aby oderwać uwagę swojego sekretarza do spraw administracyjnych od informacji o katastrofie samolotowej w Los Angeles - ale mamy do czynienia z zagrożeniem, z jakim nigdy dotychczas jeszcze się nie zetknęliśmy. Z czymś do cna złym. - James patrzył na swoją szefową, na kobietę, którą uważał za wcielenie utwardzonego, niemal niezłomnego dobra. - I mówiąc całkiem szczerze, to nie wiem, czy jesteśmy na tyle mocni, aby to coś pokonać.

Rozdział IV

Wtorek, 15 lutego <

1.17 GMT

Bunkier Alfa 2, centrum Stanów Zjednoczonych

SZEŚCIU MĘŻCZYŹN SIEDZIAŁO na krzesłach naprzeciwko siebie. W pokoju bez okien

nie było żadnych innych mebli, żadnych obrazów, stojących lamp lub ozdobnych gzymsów. Jedyne światło pochodziło od dwóch przykrytych siatką lamp, takich, jakie widzi się w fabrykach. Ich ciemnoczerwony blask nadawał pomieszczeniu przytłumiony, klaustrofobiczny wygląd - tak oświetla się wyjścia ewakuacyjne, schrony i więzienia. Drzwi były zamknięte od środka na zasuwę.

- Wszechmocny Boże, Ty jesteś jedynym i prawdziwym Bogiem -mówił jakiś głos z silnym obcym akcentem. Ten człowiek stał i czytał z grubej, religijnej książki.

- Ty jesteś strachem i nadzieją. Głosimy Twoją chwałę, tak samo, jak obwieszczają burza. Ty porazisz naszych wrogów, Ty zaspokoisz nasze pragnienia. Czytający był ubrany w białe szaty, które marszczyły się, dotykając podłogi. Głowę oraz twarz przykrywał mu lniany kaptur z otworami na oczy, przez które widać też było ciemne, zmierzwione brwi. Na szacie nie było żadnych znaków ani symboli.

- Tylko przed Tobą, wspaniały Boże, kłonimy nasze głowy - kontynuował mężczyzna.

- Za naszą siłę, za udzielanie nam wskazówek, za nasze zbawienie. Nie ma innego Boga. Ci, którzy modlą się do idoli, podążają tą drogą, którą idą wszyscy niewierzący w Twe istnienie. To dla Ciebie, Panie wszystkich niebios i ziem. Ty jesteś strażnikiem. Ty jesteś stwórcą wszystkiego, jedyny Boże. Najwyższy. Sprawiedliwy.

Czytający zamknął książkę i usiadł.

72

Po chwili odezwał się inny mężczyzna, także po angielsku. Choć nie było widać po jego ubiorze lub jakichś emblematach, że jest przywódcą tej grupy, to jego wygląd mówił sam za siebie.

- Dziękuję ci, bracie - rzekł. - Dziś musimy omówić ważne sprawy. Ismaelu, czy masz uaktulnione wszystko, co dotyczy naszej operacji?

Ismael, najtęższy z całej szóstki, siedział na skos od przywódcy. Jego głos był głęboki i donośny, ale nie pretensjonalny.

- Komórka numer Trzy z sukcesem zakończyła ten etap operacji-oznajmił. - Tak jak to było planowane, bracia w Los Angeles, w Miami i w Waszyngtonie DC namierzili trzy samoloty. Pierwszy z nich to maszyna British Airways 777, drugi to Airbus 300 należący do El Al, a trzeci Singapo-re Airlines 747. Wszystkie trzy samoloty zostały zestrzelone, nikt nie ocalał.

Przywódca skinął głową. Nie widział potrzeby składania gratulacji. Te ofiary to

była konieczna praca, a nie coś, nad czym trzeba by się rozwodzić.

- A jak tam logistyka? - zwrócił się do mężczyzny siedzącego na prawo od Ismaela.

- Wszystko przebiega zgodnie z planem - oznajmił zapytany. - Komórka numer Sześć ma rozstawionych operatorów w punktach zbornych. Czas bez zmian.

Człowiek ten mówił z wojskową precyzją i z doskonałą logiką. Podobnie jak reszta w tym gronie, mężnie walczył z niewiernymi w Afganistanie i w Iraku.

- A co z naszą dywersją? - spytał przywódca.

- Na dwóch miejscach odnaleziono ciała. Trzeciego aresztowano nieopodal Los Angeles, akurat gdy strzelał, dokładnie tak, jak to było planowane.

- I wszystko przycichło?

- Tak, policja będzie zajmować się nimi przez wiele dni.

- A co z naszym wzięciem na siebie odpowiedzialności?

- Nagrania wideo zostały już wysłane do mediów. Już znalazły się w dziennikach sieci kablowych. Teraz już każdy w Ameryce usłyszał o Ansar insz Allahu.

- A wywiad? - Przywódca zwrócił się teraz do mężczyzny siedzącego obok. Mówił cicho, jak wykładowca uniwersytecki.

- Nasze źródła są absolutnie pewne, że o Dżafarze al-Tayarze nikt nie wie.

Oczywiście więcej nie będziemy już się z nim kontaktować, aż do końcowego etapu.

Ale to nieważne. W razie czego mamy do niego stały dostęp.

73

- No to dobrze - stwierdził przywódca, wreszcie przyznając, że sprawy idą zgodnie z planem. - Niestety musimy zająć się jeszcze czymś. To nieprzyjemna sprawa. - Westchnął głęboko. - Przyrowadź go - powiedział.

Szósty z zebranych, ten, który do tej pory się nie odezwał, wstał i sztywno podszedł do zaryglowanych drzwi. Otworzył zamek i na chwilę zniknął, a gdy wrócił, prowadził za ramię mężczyznę w normalnym ubraniu, ale boso i z przewiązanymi oczami. Na nadgarstkach i kostkach u nóg miał kajdanki, a jedne były połączone z drugimi. Biedak musiał powłóczyć nogami i iść zgięty w pół.

- Niniejszym zwołuję posiedzenie Rady Woli - oznajmił przywódca. Więzień został wciągnięty na środek koła, gdzie czekał, przymuszony do trwania w zgiętej

pozycji. - Przeczytaj zarzuty.

Urzędnik tego sądu wyciągnął z kieszeni kawałek kartki i poprawił kaptur, aby lepiej widzieć w tym nikłym czerwonym świetle.

- Otóż ten człowiek, kapłan Pinchasa, któremu powierzono zadanie sprawiedliwego i wszechmogącego Boga, zdradził to zaufanie, narażając dobro swych braci oraz powodzenie zadania. I że otóż ten człowiek, kapłan Pinchasa, któremu powierzono zadanie sprawiedliwego i wszechmogącego Boga, zdradził przysięgę, wyjawiając informację poza obręb komórki. I że otóż ten człowiek, kapłan Pinchasa, któremu powierzono zadanie sprawiedliwego i wszechmogącego Boga, niepotrzebnie podał w wątpliwość świętość tej Rady.

Mężczyzna w kajdankach zaczął płakać. Najpierw łzy płynęły miękko, bo przeszkadzała im opaska, ale po chwili zaczął kaszlać, gdy flegma zatkała mu nos i wracała do gardła. Wkrótce dźwięki jego chlipania wypełniły pokój.

- Czy masz coś do powiedzenia na własną obronę? - zapytał przywódca. Tylko oskarżony oraz mężczyzna, który go przyprowadził, stali, reszta siedziała.

Bezradny więzień kołysał się trochę w przód i w tył, usiłując złapać powietrze. A potem, jakby pogodzony z losem, głęboko westchnął i zaczął mówić.

- Powiedziałem żonie, że wyjeżdżam z miasta, a jeśliby martwiła się o mnie, to powinna oglądać telewizję, to będzie wiedziała, że wykonuję wolę Boga - wyznał.

- Czy taka jest moja wina? Żona jest w ósmym miesiącu ciąży i bała się. Chciałem tylko ją uspokoić.

- Pytania ze strony Rady? - zapytał przywódca.

74

- Powiedziałeś żonie, a ona powiedziała innym - oznajmił jeden z mężczyzn. - A co, jeśli ona nas wydała?

- Nie, nie wydała. Nie zrobiłaby tego. Nigdy.

- No i właśnie to myśleliśmy o tobie. - Głos przywódcy w trakcie wypowiedzianego zdania zmienił się z łagodnie stanowczego w oskarżycielski syk, który nawet w jaśniejszym świetle mógł wywołać zimny dreszcz na plecach. - W niedzielę straciliśmy w indonezyjskiej dżungli dobrych ludzi. I kto powie, że to nie przez

twój język, którego nie umiesz trzymać za zębami?

Mężczyzna zaczął drżeć. Widać było, jak się trzęsie.

- Proszę - błagał. - Mam maleńkie dziecko. Moja żona...

- Przez swoje niedbalstwo zdradziłeś nas - kontynuował przywódca. - Motywacja już nie ma teraz znaczenia, nieprawdaż?

Skinął głową i urzędnik tego sądu nie tracił czasu. Wiedzieli, że jedyną prawdziwą władzą był Bóg, ale ich przywódca dzierżył miecz zemsty.

Bez wdawania się w dalszą dyskusję wyciągnął ośmiocalowy nóż do walki, oparł jego ostrze dokładnie poniżej prawego ucha skazanego i nagle, dokonując szybkiego skrętu ostrza wpakował je w podstawę czaszki tamtego.

Śmierć nastąpiła natychmiast i było zdumiewająco mało krwi.

- To kończy nasze posiedzenie - oświadczył przywódca. - Spalcie go na stercie nawozu.

Jeden z mężczyzn wstał, aby otworzyć drzwi. Trzech pomagało nieść ciało. Kiedy wyszli, przywódca poszedł korytarzem, minął kilkoro drzwi i zatrzymał się przy betonowych, prowadzących na górę schodach. Ściągnął kaptur.

- Dzięki ci, Panie, za ocalenie Caleba - modlił się, wymawiając słowa z silnym akcentem świadczącym, że pochodzi z Teksasu. Blask jasnego księżyca w Kerryville sączył się na schody, oświetlał jego potężne barki. Wieści z zagranicy wskazywały, że jego syn został strasznie ranny gdzieś w indonezyjskiej dżungli, ale przeżył i wróci, aby kontynuować misję.

Ding, dong!

Dzwonił dzwon nad jego głową, wzywając na wieczorny posiłek.

Pułkownik Buck Ellis wsadził złożone ubranie pod pachę i zaczął wchodzić po schodach. Tu, w Homestead, praca nie ma końca, a on był głodny.

75

•

- TATUSIU! TATUSIU! TATUSIU!

Na Jeremy'ego czekały w domu transparenty, balony, uściski. A to, że nie mył się, nie golił i nie spał od trzech dni, zdawało się nie robić żadnego wrażenia na



trójce małych dzieci, które czekały na niego przy drzwiach.

- A gdzie prezent dla mnie? - Pięcioletni Christopher chciał to wiedzieć natychmiast. Kiedy tylko tatuś wyjeżdżał, wracał do domu, mając coś w torbie.

Jednak tym razem taty nie było ponad dwa miesiące. - Chcę coś dużego!

Maddy, najstarsza, trzymała się mocno, gdy Jeremy nachylił się, aby objąć ich wszystkich ramionami. Cała trójka podrosła przez ten czas, gdy go nie było.

Maddy wypadł jeszcze jeden ząb, a obaj chłopcy byli u fryzjera.

- Spokojnie, dzieci - odezwała się Caroline, stojąc na wyciągnięcie ręki. - Na Boga, dajcież tacie trochę odetchnąć.

Jeremy popatrzył na nią z najpiękniejszym uśmiechem, na jaki mógł się zdobyć.

Chociaż wyobrażał sobie ten swój powrót do domu od pierwszego dnia wyjazdu, to wszystko tu sprawiało, jak zwykle, że czuł pustkę i zagubienie. I nie chodziło o to, że zobaczenie rodziny nie emocjonowało go. Nie, to nie był sam powrót, ale zwolnienie tempa pełnego przemocy życia, które nagle zderzało się z niewinnością.

- Cześć, kochanie. - Wyciągnął rękę i przyciągnął żonę, by ją pocałować.

Nadstawiła policzek i objęła go.

- Boże, myślałam, że jesteś w tym samolocie - wyszeptwała, aby nie usłyszały jej dzieci. - Tak się bałam. Jak strasznie.

Caroline starała się powstrzymać łzy. Nie przy dzieciach.

- Chyba jeszcze nie nadszedł mój czas, tak myślę - powiedział Jeremy. Pocałował ją w czoło i trzymał mocno przed sobą. - To równie dobrze mogło być lotnisko Dullesa, jak krajowe. - Na oba przylatywał już tyle razy.

- Tęskniłam za tobą. - Odkąd się tu przeprowadzili, Caroline tyle razy mówiła te słowa, że już niemal nie brzmiały szczerze.

- Wiem, kochanie. Ja też za tobą tęskniłem.

I tak stali przez długą chwilę, pięcioro członków rodziny Wallerów, złączeni razem w drzwiach parterowego, rozległego domu w Hampton Oaks, przedmieściu Stafford w stanie Wirginia. Chociaż był to jego

Bangkoku, z którego niedawno wyszedł.

- Okay, okay, okay - powiedział wreszcie Jeremy. Przestał ścisnąć domowników, zagonił wszystkich do wnętrza domu i zamknął drzwi. -Chcecie, żebyśmy wszyscy zamarзли, czy co?

W ostatnim tygodniu w Waszyngtonie i w okolicy było niezwykle zimno, a jeszcze dotkliwiej odczuwał to ktoś, kto ostatni tydzień spędził w południowoazjatyckiej dżungli.

- Tatusiu, co nam przywiozłeś? - zapytała Maddy. Wraz z braćmi ciągnęła torby Jeremy'ego i niezbędny po podłodze, uczepliwszy się nylonowych zamków błyskawicznych.

- Hej, wy tam! - krzyknęła Caroline. - Przecież powiedziałam, że macie się uspokoić. Pozwólcie tacie odsapnąć minutkę, zanim zaczniecie buszować w jego rzeczach.

Uśmiechnęła się do męża. Caroline już kiedyś przechodziła okres takiej dekompresji męża. Czasem najdrobniejsza rzecz powodowała jego wybuch: rozrzucone

po domu zabawki, przestawione meble, coś, co mu akurat nie smakowało na obiad. Powroty nie były łatwe ani dla niego, ani dla nich.

- Dzieci przygotowały dla ciebie ciasto i lody - oznajmiła Caroline. To było bezpieczne zagajenie.

- Brzmi wspaniale - uśmiechnął się Jeremy i schylił się, aby pomóc dzieciom otworzyć torbę. - Ale zanim ktokolwiek zacznie otwierać prezenty, chcę coś dostać od was. - Maddy i Christopher wybuchnęli śmiechem.

- Nie... wrestling? - chichotała mała.

- Tatusiu, wrestling? - pisał Christopher. Wiedzieli, co teraz nastąpi.

- Przyszykować się do wrestlingu! - krzyknął Jeremy, rozrzucając ramiona i uśmiechając się szeroko. - Force suplex!

Z tymi słowy wykonał ruch charakterystyczny dla jednej z najpopularniejszych gwiazd wrestlingu. Zamknął wszystkie dzieciaki w uścisku i wśród śmiechów, łaskotek, popierdywań i całusów poturlał je po podłodze.

- Tato! Tato! - wołała Maddy, starając się już od pewnego czasu wyswobodzić, aby dostać się do prezentów. - Christopher, daj mu nokautujący uścisk! - wrzeszczała. Jeremy pozwolił małemu wykonać jego popisowy manewr z uściskiem i odtoczył się na bok, udając, że zemdłał. Dzieciaki zerwały się i natychmiast wznowiły przekopywanie jego toreb.

77

- Zabierzcie je, proszę, do drugiego pokoju - rozkazała Caroline, gdy dzieciaki wyciągały marnie zapakowane paczki. Patrzyła na męża, zastanawiając się, czego też doświadczył. Jeszcze nigdy nie miał dłuższych i bardziej matowych włosów. Jego zazwyczaj piękne niebieskie oczy były mętne i jakby za mgłą, a policzki pokrywał ciemny zarost.

- Zawsze się gubisz w tym zamęcie - powiedział, siadając, gdy dzieci wyszły. - No, prawie zawsze - Mówiąc to, sięgnął do torby po prezent dla żony.

- Ojej! - Caroline miała nadzieję, że może ten jego powrót okaże się inny niż poprzednie.

Jeremy obserwował jej twarz, gdy rozpakowywała prezent, ale przed oczami widział tylko ogień tam, w dżungli. Nawet przez błysk granatów z termitem widział palące się ciała wewnątrz chat. Kałuże krwi w miejscach, w których zginęli, zostały zmyte przez coraz silniejszy deszcz.

- Piękna. - Caroline wsunęła wysadzaną szkiełkami bransoletkę na rękę i wyciągnęła rękę, aby zobaczyć.

- To robota tubylców w...

W tym momencie zamilkł. Nagle koła przed oczami pociemniały. Ta misja, podobnie jak wiele innych, była tajna. Nie istniała miejscowość, daty, ani godziny. Nawet żona nie mogła o niczym wiedzieć.

- Cieszę się, że ci się podoba.

Jeremy starał się wyrzucić te obrazy z pamięci. Amerykanów padających na twarz, gdy French do nich strzelał. Widział tego, który przeżył, albinosa o imieniu Caleb, jak biegnie przez polanę, przebiega mu przed celownikiem i znika w dżungli.

- Skurczybyk - wymamrotał Jeremy, zanim zdał sobie sprawę, że to wszystko jest już poza nim. Przed nim stała Caroline, bezradna wobec głosów, których tylko mogła się domyślać.

- Dobrze się czujesz? - spytała. Jeremy wrócił co prawda do domu, jednak nadal był gdzieś tam, o wiele dalej niż mogła sięgnąć. Zabijanie zmieniło go. Odebrało go jej.

- Taak - Jeremy skinął głową i wstał od torby. - Tak. Jestem tylko zmęczony i to wszystko. Nie spałem zbyt dużo w...

Wtedy zadzwonił telefon. Caroline odwróciła się w kierunku aparatu, ale nie miała odwagi podnieść słuchawki. Obydwoje wiedzieli, kto dzwoni.

78

- CO TU SIĘ DZIEJE, do cholery? - spytał prezydent, wpadając do Situation Room, gdzie wiceprezydent już objęła dowodzenie. Podświetlane zegary wskazywały czas w różnych częściach świata, a na zawieszonych na ścianach monitorach widać było napisy z podaniem czasu, najświeższe wiadomości migwały na ekranach. Słysząc było stukanie w klawiatury komputerów, dzwonienie telefonów, podniesione głosy.

- Trzy samoloty zestrzelone, wszystko obcych linii lotniczych - mówiła Beechum, trzymając jeden telefon przy uchu, a słuchawkę drugiego pod pachą. Jeśli ktoś uważał za dziwne, że pani wiceprezydent odbywa tu własne rozmowy, to nie okazał tego.

- Los Angeles, Miami i Waszyngton - dorzucił kierownik zmiany. - FAA nie zezwoliło na start samolotów obsługujących linie krajowe. Sprawdzają teraz wszystkich przewoźników.

Venable skinął głową, usiłując zdecydować, jakie zająć stanowisko.

- Czy te samoloty zostały zestrzelone? - zapytał tonem wymagającym natychmiastowej odpowiedzi. - Czy to możliwe?

- Jeszcze nie wiemy, skąd NBC ma informację o zestrzeleniu - odparł sekretarz prasowy. Wyglądał na dziwnie spokojnego, zważywszy na oblężenie, jakie czekało jego biuro. - Żadna inna stacja tego nie podała, a wywiad również dostarczył nam bardzo mało informacji z miejsc katastrof.

- Alred! - krzyknął prezydent. Dyrektor FBI zdawał się najbardziej kompetentny ze wszystkich dyrektorów agencji, z którymi zetknął się na przestrzeni ostatnich trzech tygodni.

- Sir? - usłyszał głos Alreda. Nadbiegł z zewnątrz, gdzie akurat konferował z kimś z National Terrorism Task Force\*.

- Myślałem, że macie oko na tych ludzi. Jak to, do cholery, możliwe, że tracimy samoloty w różnych punktach kraju, a wy niby obserwujecie tych ludzi? Jak, do diabła?

Alred spojrział w dół na sprawozdanie, które przed chwilą otrzymał, i potrząsnął głową.

- Wciąż pracujemy nad dokumentem, który mógłby zostać ogłoszony, panie prezydencie. Potrzebujemy czasu. Nasze śledztwo nie wykazało nic, co mogłoby nas...

\* National Terrorism Joint Task Force - Połączone Krajowe Siły do spraw Walki z Terroryzmem.

79

- David! - przerwała wiceprezydent. Odłożyła już słuchawkę jednego telefonu, ale wciąż trzymała w górze drugą. - Wygląda na to, że możemy potwierdzić tę relację NBC. Mam tu na linii szefa policji. Mówi, że znaleźli podejrzanego.

W pokoju zapanowała cisza.

- To Indonezyjczyk, lat dwadzieścia siedem. Jest tu na podstawie studenckiej wizy. - Beechum przerwała, mając w zanadrzu jeszcze więcej informacji. - Znaleziono go na dachu budynku w Alexandrii. Miał ze sobą karabin.

- No, a gdzie on teraz jest? - spytał prezydent, patrząc na Alreda. Zawstydzony szef FBI wzruszył ramionami.

Beechum powtórzyła pytanie prezydenta przez telefon i czekała na odpowiedź.

- W DC General\*. W kostnicy - powiedziała wreszcie. - Mówią, że snajper nie żyje.

• ... . v ••

W CIĄGU GODZINY od zestrzelenia pierwszego samolotu osoby zajmujące się koordynowaniem działań zaczęły otrzymywać wiarygodne informacje, pozwalające

na

przedsięwzięcie akcji.

Należące do FBI Centrum Strategiczno-Informacyjno-Operacyjne - najdoskonalsze stanowisko dowodzenia mieszczące się na piątym piętrze budynku imienia Hoovera - służyło za główny punkt informacyjny dla wszystkich lokalnych, stanowych oraz federalnych agencji zajmujących się któryś z tych ataków. Centrum

Antyterrorystyczne FBI, znajdujące się na trzecim piętrze nowego budynku Kwatery Głównej w Langley, zajmowało się wszystkimi powiązaniem z zagranicą. Z kolei Zintegrowane Centrum do Walki z Zagrożeniem Terrorystycznym w Bethesda w stanie

Maryland spełniało funkcje punktu informacyjnego, współpracującego oraz przetwarzania danych dla tysięcy zagranicznych agencji wywiadu i przestrzegania porządku publicznego.

Wszędzie indziej wyspecjalizowane jednostki, szwadrony oraz siły rządu Stanów Zjednoczonych wypływały z siebie wręcz zalew

\* Szpital w Waszyngtonie.

80

informacji wywiadowczych, tak jak jeszcze nigdy w historii Stanów Zjednoczonych.

Secret Service's National Threat Assessment Center\* w Beltsville w stanie

Maryland zaczęło przysyłać informacje na temat każdego podejrzanego, każdego ugrupowania czy rządu, które zasługiwałyby na dokładniejsze przebadanie. Centers for Disease Control\*\* zmobilizowały swoje ekipy na wypadek potencjalnego zagrożenia zdrowia obywateli, Department of Energy's Nuclear Emergency Search Team\*\*\* zgromadził na wszelki wypadek siły do walki z zagrożeniem radiologicznym.

Podlegająca FBI Grupa Reagowania Kryzysowego mająca swą siedzibę w Stafford w Wirginii wezwała ekspertów z National Center for the Analysis of Violent Crime\*\*\*\* w celu dokonywania oceny zachowań oraz udzieliła logistycznego wsparcia, przysyłając specjalistów z Crisis Response Unit\*\*\*\*\* oraz negocjatorów z Crisis Negotiations Unit\*\*\*\*\*.

Jednostki SWAT, saperzy, służby techniczne do zbierania dowodów, EMS\*\*\*\*\*, personel szpitalny oraz wolontariusze Czerwonego Krzyża pędzili w wirze migających świateł, wycia syren i pisku opon. Krajowy Zarząd Bezpieczeństwa Transportu starał się dotrzeć na miejsce katastrof wszelkimi możliwymi sposobami, a Domestic Emergency Support Team pilnował obszaru powietrznego nad Wirginią Zachodnią.

Dla Jeremy'ego Wallera nie miało to żadnego znaczenia.

Zanim dotarł do siedziby HRT, wetkniętej w kąt terenu, na którym mieściła się Akademia FBI (a cały obszar należał do bazy marynarki wojennej), jeden szczegół wysuwał się na plan pierwszy: w związku z katastrofami trzech samolotów mówiło się o trzech mężczyznach.

\* Krajowe Centrum Tajnych Służb zajmujących się Oszacowaniem Zagrożenia.

\*\* Centra Kontroli Chorób.

\*\*\* Jednostka przy Departamencie Energetyki, zajmująca się zwalczaniem terroryzmu, który chciałby użyć broni jądrowej.

\*\*\*\* Centrum badające przypadki zbrodni popełnionych z użyciem przemocy.

\*\*\*\*\* Domestic Emergency Support Team - Grupa Reagowania w Sytuacjach Zagrożenia

Wewnętrzne.

\*\*\*\*\* Należy do nich przygotowanie programu negocjacji zmierzających do uwolnienia zakładników. Podlegają Grupie Reagowania Kryzysowego.

\*\*\*\*\* Emergency Medical Service - pogotowie ratunkowe.

81

Wszyscy trzej to muzułmanie, wszyscy mieli przy sobie karabin Barrett .50.

Niestety tylko jeden z nich żył.

Fritz Lottspeich pierwszy powitał Jeremy'ego:

- Hej, chłopie, kiedy wróciłeś?

Spotkali się na parkingu, na którym panował gigantyczny bałagan, złożony z mnóstwa samochodów, pługów śnieżnych i biegających ludzi.

- Z godzinę temu - powiedział Jeremy, serwując mu kuksańca. - Wyjeżdżam z kraju

na kilka tygodni i patrz, co się dzieje.

Lottspeich roześmiał się cicho i pokazawszy odznakę FBI wartownikowi, przeszedł przez główną bramę. Wnętrze jednopiętrowego budynku przypominało gniazdo szerszeni.

- Wszyscy dowódcy brygad proszeni do klasy - oświadczył Billy Luther, łapiąc Jeremy'ego za rękę, zanim jeszcze ten zamknął za sobą drzwi. - Dlaczego ty zawsze wyglądasz jak kupa gówna, gdy wracasz z jakiejś akcji?

Jeremy uśmiechnął się i wszedł za Billy'm do klasy. Nie pierwszy raz słyszał takie uwagi.

- Waller, cieszę się, że dałeś radę przyjść - powiedział mężczyzna stojący na przedzie klasy. Les Mason dowodził jednostką od trzech lat. Jako stary wyjadacz uczestniczył w większej liczbie misji aniżeli jakikolwiek inny operator.

- Byłem nieco zajęty, szefie. A co, tęskniłeś za mną? Dowódca HRT uśmiechnął się. Wewnątrz tego pokoju ranga nie miała już takiego znaczenia. W chwilach takich jak ta najważniejsze było kolejne zadanie.

- No, dobra, co my tu mamy? - zapytał Mason, zwracając się do oficera wywiadu z brygady S-2. Ten był szurmowiec brygady Hotel otrzymał tę pracę po wyleczeniu rany postrzałowej, której nabawił się w Afganistanie.

- Co my tu mamy, szefie? - powtórzył S-2. - Cóż, według kwatery głównej mamy tu niezłą „sytuację”.

\*

- NIE PYTAŁEM CIEBIE, czy chcesz prawnika, ale jak masz na imię! Plask!

82

Aszar al-Bayad aż się zachwiał od uderzenia ręką. Głowa odskoczyła mu do tyłu, a potem do przodu, na pierś.

- J-ja jestem obywatelem a-amerykańskim - wyjąkał. Już nie czuł palców ani u rąk,



ani u nóg. Gdy mówił, z ust unosiła się para. - Nie zrobiłem nic złego.

Jeśli w jego głosie była kiedykolwiek jakaś pewność siebie, to go opuściła. Ale to się niemal nie liczyło, bo ci ludzie nie wierzyli mu, bez względu na ton jego głosu.

- Poczęstuj go jeszcze wodą - powiedział jakiś męski głos. Wąż zacharczał parę razy, a potem wypluł lodowaty strumień.

Bayad potrząsnął głową w tył i w przód, usiłując uniknąć bicza wodnego, a równocześnie złapać nieco oddechu, tyle, ile płuca będą w stanie zaczerpnąć.

Dwadzieścia pięć procent jego teraz nagiego ciała pokrywały oparzenia drugiego i trzeciego stopnia, które bolały niewypowiedzianie.

- Co teraz? - spytał jakiś inny głos. Żaden z tych mężczyzn nie ujawniał swojego imienia, żaden nie pokazał mu dokumentu tożsamości ani nie przeczytał mu jego praw. To wszystko kompletnie nie przypominało scen, jakie widywał na filmach. Jakiś głupi show.

- Gdzie jest Ansar insz Allah? Jakie macie dalsze plany?

Woda przestała lać się na niego na tyle długo, aby mógł odpowiedzieć, ale on milczał. A co miał powiedzieć? Usiłował zacisnąć szczęki, aby powstrzymać bezlitosne szczekanie. W Los Angeles było ciepło, bo niósł je wiatr wiejący od strony Santa Ana - myślał Bayad. Musieli go wsadzić do jakiejś przemysłowej lodówki.

- Słuchaj no, ty skurwysynu - odezwał się pierwszy z mężczyzn - powiesz nam, co chcemy wiedzieć. Wcześniej czy później zaczniesz mówić - obiecuję ci to.

- Aaaaaaaaaaaaaaaaaahhhhhhhhhhh! - krzyczał Bayad, usiłując wypędzić to wszystko ze swoich myśli. To jakiś koszmar. Jak się z tego ocknąć?

- Nic nie wiem! - odkrzyknął. Jego głos najpierw brzmiał cicho, głos wydobywający się z krtani był jedynym sposobem na uaktywnienie jego strun głosowych. - Pracowałem, wykonywałem swoją pracę, kiedy ten mężczyzna kazał mi iść, mierząc we mnie z karabinu. Przetrzyzymał mnie w ciężarówce, a potem ona wybuchła i stąd te moje poparzenia. Ja jestem ofiarą. Nie zrobiłem nic złego. Jestem naturalizowanym obywatelem Stanów Zjednoczonych, zaprzysiężonym

przez

George'a W. Busha. Ja kocham Stany Zjednoczone.

83

To była prawda. Dlaczego mu nie wierzyli?

- A pieprz się, chudzielcu, zasługujesz na to, co cię czeka.

Z tymi słowami przestali go bić, otworzyli drzwi i wyszli. Bayad został sam, na swym krześle, przerażony, głodny i zmarznięty.

Co też moja rodzina sobie myśli? - zastanawiał się. - Muszą się teraz o mnie zamartwiać.

Głowa opadła mu na piersi. W pomieszczeniu czuć było odór moczu i stęchlizny.

Bóg jest dobry - pocieszył się. - Sprawiedliwy i potężny Bóg. Allah

huakbar.

!::<-,- |:||||'•'|. \* |<:•|.-' i- |

PREZYDENT DAVID VENABLE był tu tylko kilka razy, ale to wystarczyło, aby znienawidził Situation Room. Cały ten hałas, szaleństwo informacji - nienawidził tego pokoju, bo opanowywała go klau-strofobia, gdy każdy patrzył na niego, domagając się odpowiedzi.

Odpowiedzi? Nawet nie wymyślił dotąd żadnych mądrych pytań.

- No, więc powiem wprost - oświadczył. Krąg jego najbliższych doradców podążył za nim na górę do Gabinetu Ovalnego. W ciągu ostatniej doby ich liczba zwiększyła się, a potem stopniała, ale zaczynał się wyłaniać rdzeń. - Więc na wszystkich tych miejscach znaleźliśmy islamskich fundamentalistów? Gdy dotarliśmy tam, dwóch z nich nie żyło, ale jeden wciąż żyje, czy tak?

- Tak - przytaknął Alred. - To miejscowy duchowny, fatalnie poparzony, gdy bomba, której zamierzał użyć, wybuchła. Teraz jest przesłuchiwany.

Prezydent stał otoczony gronem, w którego skład wchodził: dyrektor FBI, Havelock, Chase, Beechum, a teraz jeszcze były reporter CNN, a obecnie sekretarz do spraw prasowych, Noah Engle.

- Dwóch znaleziono leżących obok półautomatycznych karabinów .50, wyprodukowanych przez Barrett Manufacturing Company - ciągnął Alred. -

Powiedziano mi, że ta broń jest w stanie przebić okno kabiny boeinga 747, a to wcale nie takie łatwe. Nie wszyscy o tym wiedzą, w tym celu trzeba mieć odpowiednie wyszkolenie i być ekspertem.

- W jaki sposób, do cholery, mogli posłużyć się karabinem przeciwko czemuś, co porusza się z prędkością trzystu mil na godzinę? - zapytał Yenable. Chodził po pokoju, ale teraz zwolnił. Beechum

| I 84

przypominał rekina poruszającego się niespokojnie w wodzie. Jak długo chodził, wyglądał na silnego i złowrogiego, jednak kiedy się zatrzymywał, wydawało się, że utonie.

- Pod koniec, podchodząc do lądowania, samoloty lecą znacznie wolniej - wyjaśnił Havelock, od dwudziestu lat posiadacz licencji pilota.

Alred znowu zaczął mówić.

- Wybrali budynki, znajdujące się pod bardzo ostrym kątem w stosunku do toru lotu maszyny. To pozwalało im na oddanie niemal prostego strzału i szybkość nie miała tu znaczenia. Ludzie z HRT, z którymi rozmawiałem, mówią, że dla wytrawnego strzelca to nie jest trudne.

Venable poprowadził ich do Gabinetu Owalnego. Wniesiono już sofę, a teraz tragarze mocowali się z organami, które prezydent uparł się przywieźć ze swojej gubernatorskiej rezydencji w Connecticut. Przy tej podwójnej klawiaturze spędził wiele chwil zadumy i uważał, że przyda mu się w rogu tego gabinetu, z którego rządzi się krajem.

- Ostrożnie z tym! - warknął na wnoszących instrument. - To fisharmonia z 1890 roku, stroikowa; moja prababka kupiła ją nowiuteńką w Brattleboro w Vermont. - Prezydent przeszedł, aby udzielić tragarzom jakichś wskazówek, po czym opamiętał się i odwrócił do swoich urzędników. - To pamiątka rodzinna.

- Musimy zastanowić się, co robić — odezwała się szefowa sztabu Białego Domu, kiedy tragarze wyszli.

- A co mamy robić, postawić strażę przy każdym budynku? - Głos Venable'a niósł się, podczas gdy on sam szedł na swoje miejsce. - To znaczy, chcę powiedzieć, że

nie wszystko można zrobić w wolnym społeczeństwie. Mamy już strażników w samolotach. No i tak naprawdę - co powinniśmy przedsięwziąć?

- Ma pan rację, sir - odezwał się Noah. - Myślę, że amerykańskie społeczeństwo to rozumie. Ono chce wiedzieć, że polujemy na tych, którzy kryją się za tymi atakami, natomiast szczegóły go nie interesują.

Havelock wydawał się nadęty z powodu oceny przez sekretarza prasowego jego teorii szpiegowskiej jako „niewartej funta kłaków”.

- Kto przesłuchuje tego podejrzanego? - spytał prezydent.

- Ludzie z Departamentu Obrony - odparła Beechum, mając nadzieję, że nie zechce poznać więcej szczegółów. Zawsze będą jakieś sprawy, o których prezydent nie musi wiedzieć. - Trzymamy go jako istotnego świadka, a to znaczy, że nie musimy ujawniać miejsca jego

85

przetrzymania, przedstawiać zarzutów ani nawet przyznawać się, że go mamy. Alreda taka odpowiedź zdaje się zadowalała, co zdumiało prezydenta.

- A dlaczego to Departament Obrony ma podejrzanego o przestępstwo kryminalne? FBI nie chce go przesłuchać? - zapytał.

- Tym razem nie, sir. - Alred spoglądał na Beechum, oczekując wskazówek. To był nowy prezydent. Demokrat. Jak zareaguje na fundamentalne zmiany w procedurze sądowniczej, które poprzednia administracja po prostu przemilczała?

- FBI musi trzymać się litery prawa - stwierdziła Beechum, podchodząc do okna i wyglądając na zewnątrz. Było biało. - A to oznacza prawa Mirandy, rejestrowanie, przesłuchania w sądzie, poinformowanie opinii publicznej. To oznacza przestrzeganie praw obywatelskich.

- Praw obywatelskich - powtórzył przeciągle Venable. Zdaje się, że zaczynał pojmywać, co ona ma na myśli. - No, cóż, to jest wojna, prawda? Sądzę, że nie muszę znać szczegółów.

Brak biurka chyba peszył pozostałych, którzy nie bardzo wiedzieli, gdzie mają stanąć.

Havelock zrobił kilka kroków w stronę pulpitu.

- Jeśli można, sir. Mamy tu pewną sprawę, którą musimy omówić, zanim przejdziemy do innych rzeczy. Otóż w tym kraju istnieje coś, co nazywa się planem kontynuacji władzy. Pana zapewne jeszcze nie informowano, ale... - przerwał, czekając, aż prezydent coś powie. -FEMA\* ma cały szereg protokołów dotyczących działania w sytuacjach kryzysowych. Mówią one o płynnym przejściu władzy, w razie gdyby coś się stało... mówiąc wprost, gdyby coś się stało panu, sir.

- To dotyczy tego jakiegoś bezpiecznego miejsca, o którym zawsze mówi się w dziennikach telewizyjnych? - zapytał Venable.

- Tak, sir. Musimy rozważyć usunięcie prezydenta z RSK - och, przepraszam, sir... to skrót od słów region stolicy kraju - wraz z przywódcami obu izb Kongresu, sekretarzami gabinetu oraz członkami Sądu Najwyższego. Wszystkim zapewni się rzecz jasna stałą łączność z Białym Domem, ale będą chronieni na wypadek dalszych ataków.

\* FEMA - Federal Emergency Management Agency - Federalna Agencja Reagowania w Sytuacjach Kryzysowych.

86

- Racja - to było wszystko, co powiedział prezydent. Spojrzał na Beechum i zapytał: - Kiedy?

- Jak najprędzej. - Odwrócił się w stronę pani wiceprezydent, jak gdyby jej doświadczenie w tych sprawach mogło wzmocnić jego autorytet.

- Moje miejsce jest tutaj. Muszę zostać - powiedziała.

- Dlaczego? - zapytał Venable. Przecież to on był prezydentem, a ona tylko trochę czymś więcej niż polisą ubezpieczeniową.

- Davidzie, powiem wprost. - Mówiła to z wyraźną pewnością siebie, niemal protekcyjnie. - Jesteś prezydentem w czasie, gdy ten kraj przeżywa dwie największe tragedie, jakich kiedykolwiek doświadczył, i od dwóch dni, pomimo najlepszych rad ze strony swego otoczenia, jeszcze nie położyłeś się spać.

Nikt jej nie poparł, ale Beechum czuła się mocno przekonana o tym, co mówi.

- Jestem przywódcą najpotężniejszego kraju na świecie - odpowiedział jej Venable.

- Jestem głównodowodzącym sił zbrojnych. I co, myślisz sobie, że mogę tak po prostu pójść sobie na górę, pocałować żonę na dobranoc i z głowy?

Jego niedowierzający uśmiech jeszcze zagaścił atmosferę. To była nowa administracja, podział Białego Domu między dwie bardzo silne osobowości.

- Tak - odparowała Beechum. W jej głosie nie było cienia wątpliwości. - Właśnie dokładnie to powinieneś zrobić. Jak długo wytrzymasz na nogach? Trzy noce?

Cztery? - Odwróciła się do reszty obecnych, ale nikt nie miał zamiaru się wtrącać. - Davidzie, jesteś prezydentem, ale wciąż jesteś człowiekiem. Nie zapominaj o tym.

Venable uśmiechnął się nikło. Powinien był posłuchać swego głosu wewnętrznego i nie brać Beechum na wiceprezydenta.

- Proszę wezwać helikopter dla pani wiceprezydent. Natychmiast uda się w to bezpieczne miejsce. Wymaga tego utrzymanie kontynuacji władzy.

Rozdział V

Wtorek, 15 lutego

2.33 GMT

Gmach Albermarle, Nowy Jork.

PRAKTYCZNIE CAŁE siedemnaste piętro głównej siedziby Borders Atlantic zostało

przeznaczone na opracowywanie działań zapewniających bezpieczeństwo. Od transmisji satelitarnych po interfejsy i wdrażanie nowych produktów egzystencja Borders Atlantic opierała się na zaawansowanej technologii i zdaje się, że wszyscy, od firm-rywali po obce rządy, starali się wysledzić jego tajemnice. A siedemnaste piętro stanowiło wewnętrzny wał obronny.

- Więc to są algorytmy? - spytała Sirad. Stała obok Raviego, którego w ciągu ostatnich dwunastu godzin poznała dość dobrze. - To jest to nasze miękkie podbrzusze?

- Tak myśli Dieter, ale on nie rozumie tego problemu. - Pomimo dostępu do najpotężniejszych i najwyszukańszych komputerów świata, ten maleńki człowieczek

urodzony w New Delhi wolał testować swoje teorie w staromodny sposób - na czarnej tablicy.

- Oto, jak sprawa wygląda. - Ravi rozpoczął od narysowania dwóch prostokątów oraz koła w figurze, która według Sirad wyglądała jak trójkąt równoramienny. - W teorii układanie kodów jest proste. Borders Atlantic chce przesłać informację z jednego telefonu komórkowego do drugiego.

Mówiąc to, wskazał na jeden prostokąt.

- Ta informacja jest przekazywana za pośrednictwem mikrofal, które biegną po linii prostej. Ponieważ ziemia jest okrągła oraz z powodu przeszkód natury fizycznej, musimy umieszczać nasze przekaźniki

88

wysoko, albo też, jak w przypadku systemu Quantis, wystrzelić je na orbitę okołozemską.

Ravi rysował linie i strzałki, łącząc prostokąty oznaczające aparaty telefonów komórkowych z krążącym wysoko satelitą i wypełniając pochyłe ściany swojej telekomunikacyjnej piramidy. Rzecz jasna Sirad uważała, że są to wszystko podstawowe informacje, ale nie widziała powodu, aby przerywać jego proces myślowy.

- Problem kryptografii jest dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, mikrofałe są łatwe do przechwycenia wszędzie na drodze przesył-odbiór; jednak mikrofały nie można zabezpieczyć, tak jak na przykład kabli. Po drugie, trzeba znać klucze, aby zakodować transmisję i odkodować odbiór, a klucze te opierają się na algorytmach, które bazują na liczbach losowych. To wszystko jest matematyka. Jeśli jesteś w stanie wyobrazić sobie matematykę, którą posłużył się autor kodu, to możesz go złamać.

- Dość proste - stwierdziła Sirad, zakładając ręce. Ravi wiedział, że to ona nadzorowała cały projekt Quantis, więc dlaczego tu wciskał jej jakieś informacje jak turystce?

- Tak, oczywiście.

Wytań tablicę i zaczął pisać w lewym górnym rogu. Litery. Cyfry. Greckie

symbole. Kreda ślizgała się i krążyła po powierzchni tablicy z taką szybkością i siłą, że Sirad aż odsunęła się nieco, aby nie ubrudził jej biały pył.

- Nie ujawniając zbyt wielu założeń systemu - mówił Ravi - zaczniemy od generatora liczb losowych - prawdziwej duszy Quantis, jego kluczowej podstawy. Zwykle komputerowe generatory tworzą liczby pseudolosowe, bazujące na statystycznej przypadkowości. Kryp-tografowie nie mogą na nich polegać, gdyż zbyt łatwo je odtworzyć, a więc starają się znaleźć jakieś prawdziwe fizyczne źródło, którego nie da się przewidzieć, jak na przykład statystyki użytkownika - przedziały pomiędzy kolejnymi uderzeniami w klawisze na tysiącu różnych klawiaturach pecetów. Cały ten szum ulega następnie destylacji przez coś, co nazywamy funkcją „hash” w celu uczynienia go współzależnym w sposób kryptograficznie mocny. Pamiętaj, że chodzi o to, aby osiągnąć nieprzewidywalność, a tym samym sprawić, by twój kod zmylił zewnętrznego obserwatora. Rzecz w tym, aby intruz nie odkrył twojej metody. Dotychczas oznaczało to co najmniej sto dwadzieścia osiem bitów prawdziwej entropii. Aby to osiągnąć, generatory liczb muszą

89

opierać się na bardzo szerokim zasobie informacji, przepuszczając cyklicznie dane przez funkcję „hash”, aby chronić te zasoby. Jeśli potrzebujesz więcej bitów, po prostu dorzucasz nowe kawałki statystyk z użytkownika, oczywiście stosując klucz losowy, aby zachować współzależność.

Sirad kiwnęła głową. Oczywiście - pomyślała.

- No dobrze. A teraz - Ravi zaczął stukać kredą w tablicę - generatorowi liczb losowych poświęcamy najmniej uwagi i to najsłabszy punkt naszego systemu.

Naszym

matematykom udało się osiągnąć przełom w generowaniu liczb losowych. Nie opieramy się już na starych systemach, bo odkryliśmy całkowicie nowy sposób na generowanie losowości. To wielki przełom, który na pewno dałby nam Nobla z dziedziny matematyki lub fizyki, jeśli tylko moglibyśmy kiedykolwiek to opublikować. A rzecz jasna nie będziemy mogli.



- Czy chodzi o tę słynną zasadę Nguyena, o której słyszałam? - zapytała Sirad. Dotarły do niej rozmowy na ten temat, ale nigdy nie pytała o szczegóły. Wiedziała tylko tyle, że Borders Atlantic podkupiło z Krajowej Agencji Bezpieczeństwa dwudziestodwuletniego matematyka Hung II Nguyena. Geniusza. Amerykanina w pierwszym pokoleniu, jego rodzice to wietnamscy emigranci. Dokonał czegoś niebywałego.

- Nie - odparł Ravi. Skończył ścierać tablicę i teraz stał tyłem do niej. - To jest zasada Nguyena.

Wskazując na równanie, cały promieniał jak dziecko.

- I co to oznacza? - Sirad miała w college'u zajęcia z matematyki, ale niewiele rozumiała z hieroglifów Ravięgo.

- Pieniądze, ponad trzydzieści miliardów dolarów dochodu tylko w tym roku - powiedział, krzyżując ramiona. - To oznacza też bezpieczeństwo, władzę, piękno i fundamentalną zmianę w sposobie naszego patrzenia na świat. Ale rzecz jasna dla większości ludzi nie znaczy to nic oprócz białych symboli na czarnej tablicy.

- Rozśmieszasz mnie - stwierdziła Sirad. - Obawiam się, że nie mamy czasu na metafory.

- Faktycznie. - W oczach Ravięgo pojawił się praktycyzm. - Są dwa sposoby tworzenia kodów - tajny, czyli symetryczny, i publiczny, czyli asymetryczny. Kody symetryczne posługują się tym samym kluczem przy zaszyfrowywaniu i odszyfrowywaniu, podczas gdy asymetryczne - dwoma różnymi kluczami. System Quantis opiera się na kombinacji obu tych sposobów. Wysyłając transmisję do satelity, stosuje

90

kod symetryczny, natomiast z satelity do odbiorcy - asymetryczny. Rozumiesz to, prawda?

Sirad skinęła głową. Borders Atlantic był właścicielem wszystkich satelitów w systemie, którym się posługiwał, a to pozwalało mu zdać się na dobry system technik szyfrujących. Należący do firmy system był bardzo szybki, a teraz,

wsparty przez proces generowania liczb losowych, niezwykle bezpieczny.

- No, zasada Nguyena dotyczy drugiego etapu przepływu danych, z satelity do odbiorcy. Nasze problemy zawsze sprowadzały się do kodowania wiadomości indywidualnych klientów: do protokołów uzgodnień kluczy. Jeśli na przykład wbudujemy klucz w każdy telefon Quan-tis, to atakujący system może wkraść się i odgadnąć naszą inżynierię. A więc nie możemy tego zrobić, nieprawdaż?

Sirad pokręciła głową i spojrzała na zegarek.

- Ravi, szybciej.

- Szyfrowanie oparte na publicznych kluczach, a więc drugi etap przesyłu danych, zawsze napotykało tak zwane ciężkie problemy. Jest ich kilka, ale w jednym z nich, który zaczął badać Nguyen, chodzi o rozwiązanie i sprawdzenie zagadnienia w czasie wielomianowym.

- W czasie wielomianowym? - powtórzyła Sirad.

- To znaczy, że wykonanie obliczeń nie przekracza wielomianowej funkcji rozmiaru samego zadania.

Ravi wskazał na tablicę.

- Proszę. Mówiąc prosto, jakikolwiek problem, który można rozwiązać w czasie wielomianowym, nazywa się P. A każde rozwiązanie, które można sprawdzić w czasie

wielomianowym, nazywa się NP. Więc z definicji każdy problem typu P musi być w NP, ale przed wielką pracą Nguyena nie umieliśmy wykazać, że  $P=NP$ .

- To ma być prosto powiedziane? - zirytowała się Sirad. Zgubiła się, pomimo tego, że swoją pisaninę na tablicy wspierał, gestykulując drugą ręką.

- Podstawę systemu Quantis stanowi zasada Nguyena - oświadczył Ravi. - Hipoteza, że  $P=NP$ , należała do największych matematycznych zagadnień. A teraz ją rozwiązaliśmy.

- I to nam pomoże? - spytała Sirad.

- O, tak - uśmiechnął się Ravi. - To nie są podwaliny jakiegoś akademickiego równania, ale podstawy całkiem nowego świata.

WYMARSZ HRT PRZEBIEGAŁ z wydajnością doskonale naoliwionej maszyny.

Gdy tylko

brygada - złota lub błękitna, w zależności od przypadającego dyżuru - zgłaszała się po sprzęt, młodzi rekruci rozpoczynali jego załadunek. Wszystko, od woreczków z piaskiem po naboje, ładowano na wielkie przyczepy ciężarówek, które miały wszystko natychmiast dostarczyć do samolotu transportowego C-17 czekającego w bazie sił powietrznych Andrews, czterdzieści siedem mil na północ. HRT szczyliło się tym, że było całkowicie samowystarczalne, a więc należało zabrać wszystko, co tylko mogło być potrzebne pięćdziesięciu operatorom i dwudziestu pięciu ludziom personelu pomocniczego. Wobec tego ciężarówki i przyczepy szybko zapełniały się porcjowanym prowiantem, sprzętem medycznym i do utrzymywania łączności, namiotami, amunicją, bronią, urządzeniami do helikoptera i niezbędnikami.

Wskutek absolutnego przypadku dyżur wypadł na brygadę Jeremy'ego, Promienie X, wobec tego on wraz z sześcioma kolegami z jednostki szybko upchali do swych plecaków racje żywnościowe na dwa dni, noktowizory i lunety, amunicję, ciepłe ubranie, radio nadające w zaszyfrowanym systemie i dwie zapasowe baterie.

- Sześćdziesiąt pięć funtów lekkiego sprzętu - jak zawsze żartowali operatorzy.

Jeremy czytał, że Spartanie wyruszając na bitwę pod Termopilami, nieśli też tyle samo bagażu. Odpowiednie ubranie chroniące przed najrozmaitszymi warunkami atmosferycznymi, kamizelki kuloodporne, karabiny, celowniki termowizyjne - wojownicy z HRT zawsze dźwigali taki sam bagaż.

- Ruszajmy! - zawołał Jeremy, gdy reszta snajperów z Promieni X szła w kierunku samochodów. Jako dowódca brygady był czymś więcej niż specjalnym agentem, ale trochę mniej niż kierownikiem. HRT rządziło się swymi własnymi prawami i taka paramilitarna odpowiedzialność nie istniała nigdzie więcej w FBI.

- Nie masz jeszcze dla nas rozkazu ostrzegawczego? - spytał Lott-speich (przyjaciół i były towarzyszy z dwuosobowego zespołu, jaki tworzyli), wychodząc za nim z garażu w oślepiającą wręcz zamieć. Obaj przetrwali razem selekcję,

Szkołę dla Nowych Operatorów i kurs snajperski w korpusie piechoty morskiej.

Jeremy uważał Fritza za jednego ze swych najbliższych przyjaciół.

92

- To tylko do twojej wiadomości, czy też nie? - spytał Jeremy. Czuł przenikliwe zimno, pomimo że miał na sobie kamuflażowe spodnie i parkę z Goreteksu, a pod spodem ciepłą bieliznę z polipropylenu.

- A to dopiero gównu - stwierdził Lottspeich, schodząc na bok z drogi ciężarówce jadącej z magazynu, w którym był urządzonej snajperski domek z opon.

- Aresztowaliśmy jednego ze strzelających i wojsko już go przesłuchuje, ale CIA ma HUMINT\* ze źródła w Gitmo, które twierdzi, że to fragment jakiegoś większego spisku. Sądzą, że to tylko pierwszy etap próby obalenia rządu.

- A to świństwo... - z powodu wycia wiatru Lottspeich nie dokończył przekleństwa.

- Brygada będzie na razie stacjonować w hangarze w Andrews, ale naprawdę nie wiem, co to do cholery da - powiedział Jeremy. Zimny wiatr rozjaśnił mu umysł. - Nie ma mowy, żebyśmy mogli wystartować w taką pogodę.

- Czuwać, aby czuwać - to nasze motto, prawda? - krzyknął Lottspeich. Nic innego w tej chwili nie przychodziło mu do głowy. Do ich zadań należała walka z terroryzmem, ale pięćdziesięciu mężczyzn wśród burzy śnieżnej zdawało się żalosną odpowiedzią na coś takiego, o czym mówił Jeremy.

- Ty prowadzisz czyja? - zapytał Jeremy. Ich miejsca parkingowe sąsiadowały ze sobą.

- Ty. Cały czas tylko narzekasz, kiedy ja...

- Waller! - krzyknął ktoś za nimi. To był ich kierownik, Billy Lu-ther; biegł przez parking w samej tylko koszuli.

- Hej, czy mamusia nie mówiła ci... - zaczął Lottspeich, ale Billy przerwał mu.

- Właśnie dostaliśmy wiadomość z WFO\*\*, że ich SOG\*\*\* namierzyło komórkę w Anacostii, w magazynie - krzyczał, usiłując przekrzyczeć nawałnicę.

Jeremy natychmiast pojął funkcjonowanie tego mechanizmu zapadkowego. Jeśli Specjalna Grupa Operacyjna Waszyngtońskiego Biura

\* Skrót od human intelligence, czyli wywiad oparty na źródłach osobowych.

\*\* Washington Field Office - Waszyngtońskie Biuro Terenowe. \*\*\* Special Operation Group - Specjalna Grupa Operacyjna.

P

93

Terenowego przygwoździła ugrupowanie Ansara, to HRT może jednak włączyć się do gry.

- Ich zdaniem te dupki pichcą ANFO\* - powiedział Billy. - Nasz cel jest zbyt blisko kręgu, jaki utworzyliśmy dokoła, więc nikt nie może się tam przedostać ani stamtąd wyjść. Bierz swoich ludzi i jedźcie; jak się dowiemy czegoś więcej, zaraz wam przekazemy.

Billy zawrócił i wszedł do budynku.

- Tylko żebyście zachowali odpowiedni odstęp - zawołał przez ramię. - To gówno może wyrwać wielką dziurę!

- ANFO - powtórzył Lottspeich. Otworzył tylne drzwi chevro-leta suburban Jeremy'ego i cisnął do środka swój plecak. - To mi coś nie brzmi sensownie. Nikt, kto jest w stanie rozwalić trzy samoloty, nie będzie bawić się w mieszanie sztucznych nawozów z olejem napędowym, nie?

- Też tak uważam - stwierdził Jeremy, wrzucając do samochodu swoje rzeczy. - Z tego, co słyszałem na spotkaniu dowódców brygad, to wszystko wykracza znacznie poza możliwości faceta konstruującego bomby w Anacostii.

Wsiadł do samochodu i włączył silnik. Z jakichś absolutnie bezsensownych powodów

był w stanie myśleć wyłącznie o tym motylu w dżungli.

Graphium milon - tak powiedziała GI Jane, zanim to wszystko zamieniło się w piekło. Dziwne, że coś tak pięknego może przyprawić o dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

\*

JORDAN MITCHELL RZADKO kiedy jeździł na spotkania, ale ten raz należał właśnie

do wyjątków. Dwanaście lat temu, zaraz po upadku muru berlińskiego, cicho

mówiący człowiek sprawiający wrażenie, że zajmuje średnie stanowisko, podszedł do niego na konferencji, prosząc o rozmowę. Nie wręczył żadnej wizytówki, nikt go nie przedstawił, ale udało mu się wcelować w taki moment, w którym poziom asertywności Mitchella był bardzo niski. Dziesięć minut później obaj panowie

\* Skrót od ammonium nitrate - materiał wybuchowy otrzymywany przez nasączenie porowatego azotanu amonu paliwami płynnymi jak benzyna czy olej napędowy.

94

rozmawiali w apartamencie Mitchella, a w ciągu tygodnia zostali partnerami. Pan Hoch nie zaliczał się do osób, które Mitchell kiedykolwiek nazwałby mężczyzną, ale to zdawało się stanowić właściwość tego ducha, który zjawił się i zniknął, nie zostawiając żadnych telefonów kontaktowych ani adresu miejsca pracy. Był oszczędny w słowach, a tę cechę Mitchell zawsze cenił u swoich pracowników. Lecz najbardziej interesujące było to, że Hoch mówił o nowym opracowanym przez CIA programie, mającym na celu obsadzenie części stanowisk w biznesie młodymi agentami wywiadu. Ten program był nadzorowany przez Dyрекcję do spraw Operacji, odwalającą w Agencji najbrudniejszą robotę, i był tak tajny, że Hoch rozpoczął rozmowę od pytania, którego Mitchell nigdy nie zapomni.

- Kocham mój kraj tak bardzo, że gotów jestem za niego umrzeć. A czy pan kocha na tyle swój kraj, by nie wyjawiać tajemnicy?

To był świetny rzut. Mitchell czuł się zmuszony do wysłuchania tego człowieka, do dowiedzenia się, co też ta w innym przypadku natychmiast ulatująca z pamięci osoba ma do powiedzenia. To była powinność.

Hoch rozpoczął od powiedzenia Mitchellowi, że reprezentuje agencję rządową i że jego pracodawca gromadzi informacje wywiadowcze o innych rządach, agencjach, biznesach oraz ludziach. Już ta cała intryga zmusiłaby Mitchella do dania temu człowiekowi szansy, ale tak naprawdę jego uwagę przykuła część wypowiedzi, w której była mowa o pieniądzach.

- Doszliśmy do wniosku, że w wojnie z terroryzmem chodzi tylko o pieniądze - powiedział Hoch, wyjaśniając powiązania między wywiadem a biznesem. -

Narodowe

bezpieczeństwo nie polega już na utrzymywaniu kipiących hord komunizmu z dala od

Azji Południowo--Wschodniej czy Afryki subsaharyjskiej. To kwestia strzeżenia najpotężniejszego i najdalej sięgającego imperium finansowego w historii świata.

Jeżeli chcemy zachować swobody, pozwalające ludziom takim jak pan na zrealizowanie ich marzeń, to musimy przyjąć całkiem nowe podejście do narodowego

bezpieczeństwa. Nasz sukces jako światowego supermocarstwa będzie spoczywać na przywódcach rozumiejących wartość dolara.

Nic nie przykułoby skuteczniej uwagi Mitchella. Przez całe swoje życie wierzył, że bomby oraz czołgi stanowiły tylko pochodzącą

95

z epoki kamiennej wymówkę, aby uniknąć bardziej skomplikowanych problemów. I jeśli Stany Zjednoczone kiedykolwiek chciały zabezpieczyć się przed zagrożeniem zewnętrznym, to musiały pogodzić się z nową rzeczywistością, w której pecunia vincit omnia - pieniądz zwycięża wszystko.

Zimną wojnę wygrało wpędzanie gospodarki przeciwnika w deficyt, a nie działania militarne czy też zastosowanie szantażu wzajemnego zniszczenia. Ronald Reagan złamał Związek Radziecki, pchając go w bankructwo, i zwycięstwo w wojnie z terroryzmem należy odnieść w ten sam sposób.

Mitchell posunął się nawet tak daleko, że cały rozdział swojej nowej książki poświęcił potencjalnie druzgocącemu niebezpieczeństwu, jakie kryje się w przejmowaniu amerykańskich korporacji przez obcy kapitał. Kiedy Daimler-Benz kupował Chryslera, pisał Mitchell, to zostało kupionych nie tylko kilka taśm montażowych, trochę arkuszy metalu czy elementów wykończenia - kupiono wielki kawał Ameryki. Uzyskano dostęp do kontraktów pracowniczych, tajemnic badań i rozwoju, teczek osobowych oraz niemal każdego ściśle tajnego programu, nad jakim pracował Chrysler.

Korporacyjne rajdy takich firm jak Ford, Viacom czy GE o wiele bardziej

zagrożają zmianami w globalnej równowadze władzy anizeli wszystkie bomby, jakimi

dysponują Iran, Irak i Korea Północna razem wzięte. Ta nowa, tocząca się w cieniu wojna będzie prowadzona przy pomocy zupełnie nowych żołnierzy - wyposażonych w garnitury w tenis i w BlackBerry. Karabiny i bomby to tylko dekoracja dla tych idiotów z telewizji.

- Witam, panie Hoch - powiedział Mitchell. Zgodził się spotkać ze swoim tajemniczym towarzyszem w maleńkiej kawiarence w SoHo noszącej nazwę Dwanaście

Miejsc. Było tam tylko jedno duże pomieszczenie i bar z ekspresem do kawy. Z tyłu siedziały, rozmawiając, dwie kobiety. Jakiś facet na deskorolce wyjechał przez drzwi, trzymając cafe latte i dwa tłuste mopsy.

- Miło mi pana widzieć - odparł Hoch.

Byli tu tylko we dwóch. Trask czekał w mercedesie, natomiast Hoch zawsze przychodził sam.

- Mnie również. Jak się pan miewa?

Żadnego z nich nie interesowała taka gadka o niczym, ale między nimi rodził się wzajemny szacunek.

96

- Dobrze. Kawy? ::.«| • .- j ;...| • \*|••-|:: |; \* : , ||

- Nie, tylko wodę. - , , , |? Zamówili i usiedli przy oknie.

- A więc robimy interes? - spytał Mitchell. Widział przez okno Traska, jak walczy z dwoma telefonami, usiłując odwołać spotkania, aby dopasować wszystko do wynikłej nagle nowej sytuacji.

- Robimy. - Hoch rozejrzał się dokoła, aby uspokoić swoje obawy co do ewentualnego ich podsłuchiwania. - Dżafar al-Tayar.

- Chyba pan wie, że nie znam arabskiego.

Hoch obserwował twarz Mitchella, starając się dostrzec, czy te słowa go zaskoczyły.



- To znaczy Dżafar-pilot, czyli ten, który lata wysoko - osoba, która sprawuje kontrolę z racji posiadanej władzy lub wpływów. Dotarliśmy do jednego źródła w obozie w Guantanamo i ono powiedziało nam o operacji zwanej Dżafar al-Tayar. Zdaje się, że chodzi o jakąś operację.

- Cóż może być gorszego niż zamach terrorystyczny? - spytał Mitchell. -  
Szczególnie w świetle ostatnich wydarzeń?

- Dżafar al-Tayar jest w łonie naszego rządu - oświadczył Hoch. Twarz prezesa Borders Atlantic nawet nie drgnęła.

- Proszę mówić dalej.

- W połowie lat osiemdziesiątych Pentagon brał udział w najrozmaitszych idiotycznych planach zwanych asynchronicznymi działaniami wojennymi. Sądzę, że pamięta pan te historie - począwszy od percepcji pozazmysłowej i telepatii po podświadomą sugestię i masową hipnozę. A jeden z najbardziej racjonalnych projektów zakładał, że komuniści lub terroryści mogą przeniknąć do naszego rządu od wewnątrz.

- Od wewnątrz? Co pan przez to rozumie?

- To, że zostaną wybrani, w drodze wyborów. CIA i FBI zawsze szukały szpiegów, ale nikt nigdy nie brał pod uwagę możliwości, że jakieś obce siły mogą po prostu wystawić swego kandydata w wyborach.

Mitchell skinął głową. Stany Zjednoczone były wolnym i otwartym społeczeństwem i pomimo zakorzenionych resztek uprzedzeń, mężczyźni i kobiety różnych narodowości,

wyznań i kultur zajmowali wysokie stanowiska.

- Interesujące - stwierdził Mitchell. To, co mówił Hoch, całkowicie go pochłonęło.

97

- Aby wypróbować taką możliwość, DARPA- Advanced Research Projects Agency\* - wpadła na pewien pomysł. A gdyby tak amerykańska armia znalazła garstkę ludzi wielkiego sukcesu, zmieniła ich personalia i postawiła przed nimi zadanie: mają zostać wybrani. To rzecz jasna byłby tajny projekt i prawie nikt o tym by nie

wiedział.

- I co, zrobili to?

- Tak. Znaleźli dwanaście osób. Najlepsi i najzdolniejsi. Całą operację nazwano Scenariuszem Obrony Cywilnej numer Cztery. Projekt Megiddo. Kierowała nim jednostka sił specjalnych z Czwartej Grupy do spraw Operacji Psychologicznych. Prawie żadnych śladów. Totalnie autonomiczna. W sumie bardzo tajna operacja. Hoch znów rozejrzał się dokoła. Niemal od dwudziestu lat nikt nigdy nie mówił głośno na ten temat.

- Armia wzięła tych dwanaście osób i przez dwa lata zrobiła z nich najlepszych kandydatów politycznych. Odpowiednio ich wykształcono, nadano charyzmę, ułożono

odpowiedni życiorys pełen zasług na polu wojskowym - no i to wszystko poparte w całej rozciągłości przez Departament Obrony.

- I kazano im startować w wyborach i wygrać?

- Tak. Odesłano ich do rodzinnych miejscowości z zadaniem wspięcia się możliwie jak najwyżej po drabinie systemu politycznego - zostania hyclami, burmistrzami, dostania się do władz stanowych, do Kongresu.

- No i co się stało? '|•|'

- Nie wiemy.

- Co? - zdumiał się Mitchell. - Jak to nie wiecie?

- Z jednej strony cały projekt był rozczłonkowany i rozproszony. Nie ma żadnych zapisów. A po drugie, kierował nim pułkownik Ellis, który jest już na emeryturze. Projekt Megiddo i wszystko, co o nim wiemy, zniknęły wraz z odejściem pułkownika.

Mitchell usiadł wygodniej. Jeśli Ameryka pozwoli biznesowi funkcjonować tak jak rządowi, to niedługo cały kraj zbankrutuje, a większość obywateli będzie siedzieć w więzieniach.

- To w jaki sposób święty wojownik islamu w Guantanamo na Kubie wie więcej na temat projektu Megiddo aniżeli CIA? - spytał szeptem.

\* Agencja do spraw Zaawansowanych Projektów.

- Nie jesteśmy pewni, czy wie - obruszył się Hoch - ale podobieństwa pomiędzy tym spiskiem Dżafara al-Tayara a naszym projektem Megiddo są zbyt duże, aby je zignorować. Jedyne sposoby, żeby się dowiedzieć, to powrócić do tego projektu i prześledzić, co się stało z tymi dwunastoma osobami.

- To znaczy, że jak rozumiem, ten pułkownik Ellis wciąż gdzieś jest i wiecie, gdzie go znaleźć?

- Tak - Hoch skinął głową. - Problem polega na wyborze odpowiedniej osoby i wysłaniu jej do niego.

Mitchell zastanawiał się przez chwilę, ale widział po oczach Hocha, że ten już wie, komu powierzyć to zadanie.

- Waller? - spytał.

Hoch skończył pić kawę i skinął na kelnerkę, dając znak, że chce zapłacić.

- Mamy bardzo mało czasu. Nasi analitycy przewidują, że kolejne ataki mogą nastąpić w każdej chwili.

- Ale jak to zrobić? - zastanawiał się Mitchell. - Co innego jest wsadzić

Waller'a do samolotu i wysłać go do jakiegoś zadupia w Trzecim Świecie na kilka dni, ale na taką tajną misję to już całkiem inna sprawa. Nie możemy powiedzieć FBI, o co chodzi, a z kolei firma nigdy nie puści go, jeśli nie będzie wiedzieć.

- Puści, jeśli poprosi o to właściwa osoba - powiedział Hoch. Wyjął pieniądze, aby zapłacić rachunek.

- Beechum.

- Cały kraj jest postawiony w stan alarmu - powiedział Hoch - i wydaje mi się, że wiceprezydent Stanów Zjednoczonych ma odpowiednią władzę, nie sądzi pan?

- Sądzę - uśmiechnął się Mitchell. - Dlatego tam ją ulokowaliśmy.

DAVID RAY VENABLE nie mieszkał w Białym Domu na tyle długo, aby uważać jego

historię za zrozumiałą samą przez się. Każdy pokój, przez który przechodził, nosił niezatarte ślady jakiegoś konfliktu - kominek w Red Room, przy którym

Harry Truman rozważał atak nuklearny na Hiroszimę i Nagasaki, biblioteka, w której John F. Kennedy modlił się o siły podczas kubańskiego kryzysu raketowego, okna

99

sypialni, przez które Lincoln widział cmentarz Arlington zapelniający się grobami rodaków zabijających się nawzajem.

A teraz to należało do niego - ten dom, ten kraj, to święte powiernictwo.

Ulokował się w Green Room, gdzie sofa i dwa duże krzesła z wysokimi oparciami i podpórkami pod łokcie zapewniały całkowity komfort. W drzwiach wciąż wisiała czarna aksamitna kotara, chroniąca pokój przed spojrzeciami turystów.

- Czy tu jest dość prywatnie jak dla ciebie, Elizabeth? - spytał. To był jego jedyny wybór od chwili, gdy wiceprezydent zdecydowała się wystąpić przeciwko niemu. Gdyby zdecydował się podjąć tę walkę w Gabinetce Owalnym, mogłoby to wyrzucić rujnujący wpływ na jego personel.

- Poluzuj postronki - powiedziała. Beechum nie miała zamiaru obrazić agentów tajnych służb, którzy od momentu wybuchu w Atlancie podążali krok w krok za nią i za prezydentem, ale taka smycz zaczynała być nie do zniesienia, a ojciec zawsze jej powtarzał, aby nie kłócić się przy służbie.

- Proszę bardzo - odparł prezydent i skinąwszy na dowódcę straży, dał mu znak, aby wyszedł. - Zamknij drzwi i zostaw nas na minutkę, dobrze?

Agent, weteran, który służył przy dwóch poprzednich prezydentach, zawahał się przez chwilę, ale później wycofał się za drzwi. Było nie było, służył w tajnych służbach, a czasem to, czego nie widać, jest równie ważne, jak to, co można zobaczyć.

- Davidzie, jestem ci tu potrzebna - stwierdziła Beechum, kiedy zostali sami. -

Nie próbuj dopatrywać się podtekstów. Będę się trzymać zupełnie na uboczu, a jeśli cię to uszczęśliwi, to będę siedzieć wyłącznie w Situation Room, ale teraz mamy całkiem nowy komplet ludzi, których przywiozłeś ze sobą do Waszyngtonu, i oni nigdy jeszcze nie mieli do czynienia z czymś takim. A ja miałam.

Venable widział, że w ten sposób z nią nie wygra. Przed atakiem 11 września i po

tej dacie Beechum przewodniczyła Senackiej Komisji do spraw Wywiadu. Niewiele osób w Waszyngtonie miało lepsze źródła informacji, koneksje oraz opinię.

- Nie chodzi o to, że nie doceniam twojego zdania - odparował prezydent - ale o to, że powinniśmy chronić rząd, na wypadek gdyby coś się wydarzyło. Tak jak powiedział Havelock, będziemy mieć pełną łączność z... z, ach, jak, do cholery, nazywa się to miejsce, do którego cię zabierają?

100

- Maryland - odpowiedziała. - Nazywają je Miejscem numer Siedem.

- Miejsce numer Siedem? Podejrzewam, że tę nazwę wymyślili wojskowi, nieprawdaż?

Nazwa zdaje się zaabsorbowała uwagę głównodowodzącego siłami zbrojnymi Stanów

Zjednoczonych, który pod koniec wojny był w Wietnamie. Jednak szybko odzyskał zagubiony wątek.

- Zdaje się, że w ciągu kilku najbliższych dni nauczę się cholernie dużo nazw.

- Nie, jeśli nie prześpisz się trochę. David, przecież to jest pierwsza rzecz, jakiej uczą podczas ćwiczeń z zarządzania kryzysem. Słyszałam o tym już tyle razy: na samym początku wydarzenia przywódcy są pod wpływem adrenaliny, czują, że muszą się angażować. A im dłużej jest się bez snu, tym trudniej jest to przerwać. Z kolei brak snu prowadzi do błędnych decyzji, a to z kolei do...

- Elizabeth, nie praw mi kazań. Byłem na wojnie, a jako gubernator nadzorowałem przebieg działań podczas stanów wyjątkowych, które zdarzały się w czasie dwóch kadencji moich rządów. Czuję się świetnie.

- Masa zabitych, a do tego huragan - przypomniała mu Elizabeth Beechum. - Mówimy

o tysiącach zabitych w sześciu stanach. Mówimy o gospodarce, która jeszcze trochę potoczy się siłą rozpędu i umrze, jeśli my nie...

- Dość. - Machnął ręką w jej stronę. - Rozumiem, o co ci chodzi.

- No dobrze, wobec tego pomówmy hipotetycznie. - Beechum zaczęła pocierać ręką nasadę nosa. Zaczęła odczuwać zmęczenie i brakowało jej porządnego wyspania się.

- Powiedzmy, że to jest dopiero pierwszy etap o wiele większego spisku. I założmy, że wywiad ukazuje istnienie bezpośredniego zagrożenia dla naszej infrastruktury o kluczowym znaczeniu, jak energetyka, transport lądowy, rynki finansowe... a nawet internet.

- Hipotetycznie? - zapytał prezydent. - A może masz jakieś informacje, o których mi na razie nie wiadomo?

- Mamy podstawy wierzyć, że islamscy terroryści uknuli te zamachy z grupą Amerykanów, nie islamistów. Z ludźmi, którzy wyglądają jak ty i ja.

- To nie jest hipotetyczne, prawda? - spytał prezydent. - Elizabeth, muszę to wiedzieć. Czy ci się to podoba, czy też nie, ale wciąż jestem twoim szefem.

101

- Pamiętasz, mówiłam ci o tym aresztowaniu, o złapaniu Mahara w Indonezji? Prezydent skinął głową.

- On nie był sam. Venable wytrzeszczył oczy.

- Byli z nim trzej Amerykanie. Trzej Amerykanie będący chrześcijanami.

- Jak? Dlaczego? Czy zostali przesłuchani?

Beechum podeszła do okna wychodzącego na Pennsy Wania Avenue. Śnieg pokrył wszystko z wyjątkiem podjazdu.

- Tego, co ci teraz powiem, nie ma w żadnym sprawozdaniu wywiadu i nie pasuje do jakichkolwiek klasyfikacji, jakimi dysponuje wywiad. Tak naprawdę, to coś wcale nie istnieje, a ty - nawet przy całej swojej władzy jako prezydent - nigdy nie będziesz w stanie przeniknąć do mechanizmów, które to odkryły. To tajny program, zaaprobowany przez dawną administrację, który funkcjonował poza parametrami biurokracji.

- O czym ty mówisz? Założyłaś jakąś supertajną agencję do zwalczania terroryzmu?

- W głosie Venable'a brzmiało niedowierzenie oraz pewna doza złości. - Od razu ci mówię, Elizabeth, że nie będę tolerować czegoś takiego. Wszystkie nasze poczynania będą uczciwe i gotowe do skontrolowania przez komisje Kongresu. Nie będę...

- Chcesz dowiedzieć się o tych Amerykanach, czy nie? - spytała Beechum i nie

wyglądało, żeby choć trochę przstraszyła się jego pogroźek.

Venable założył ręce i czekał.

- FBI powiązało saudyjską organizację dobroczynną działającą na terenie Stanów Zjednoczonych z grupą białych suprematystów z Idaho. Było tam wiele transakcji finansowych, niektóre z nich na całkiem pokaźne sumy. Alfred mówi, że jego grupa śledząca drogę finansów terrorystów odkryła linie prowadzące wprost do starszych członków królewskiej rodziny panującego w Arabii Saudyjskiej rodu Saudów.

- Saudów? - Venable westchnął z rezygnacją. - Zawsze martwiliśmy się o nich, prawda? Z tego, co czytałem w ciągu ostatnich kilku lat, Arabia Saudyjska wydawała każdego, kto tylko wymówił słowo „terror”.

- Zgadza się - stwierdziła Beechum. - Saudyjski biznes zainwestował ponad półtora biliona dolarów za pośrednictwem naszych instytucji finansowych.

Saudowie należą do naszych najważniejszych

102

sojuszników na Bliskim Wschodzie, a w większości naszych największych miast istnieją duże i znaczące społeczności ludzi pochodzących z tego kraju. A pomimo tego cały nasz wywiad twierdzi, że właśnie ci ludzie stanowią niezwykle poważne zagrożenie.

- A co z Borders Atlantic? - spytał prezydent. - Jordan Mitchell sprzedał system Quantis Saudyjczykom jeszcze przed jego inauguracją tu, w kraju. I to pomimo że nasza Komisja do spraw Wywiadu uznała ten system za jedno z największych od dziesięcioleci zagrożeń dla całego wywiadu.

Teraz zaczynał to wszystko rozumieć. Tryby w jego wykształconym na uniwersytecie w Yale umyśle zaczęły kręcić się wartko.

- Jeśli o to chodzi, to nie wiemy jeszcze o żadnych związkach, ale tak, faktycznie, to z pewnością przysparza troski - odpowiedziała Beechum. Kłamanie prezydentowi Stanów Zjednoczonych powinno ją peszyć, ale nie czuła zakłopotania. Kwestie związane z bezpieczeństwem kraju rzadko kiedy rzeczywiście rozstrajały nerwowo polityków. W jej wszechświecie tajemnic tylko ci z jasnym poczuciem misji musieli być dopuszczeni do wiedzy.

- Myślę, że to wszystko należy datować na okres związany z jedenastym września.
- Tak. Piętnastu z dziewiętnastu porywaczy samolotów było Saudyjczykami, wspieranymi przez różne ugrupowania od Al-Kaidy poczynając, a na propalestyńskich grupach kończąc. A teraz mamy znaczące dowody, że udzielają poparcia całkiem nowemu zagrożeniu i to wewnątrz Stanów Zjednoczonych.
- Ale komu? - spytał Venable. - Dlaczego współpracują z ugrupowaniami chrześcijańskimi? Co jedni albo drudzy mogą na tym zyskać?
- Jeszcze nie wiemy - kłamała Beechum dalej. W końcu kiedyś on to wszystko zrozumie.
- Och, już wiem. - Venable kiwnął głową, a na jego twarzy odmalował się cynizm.
- To jest twoja karta przetargowa. Należysz do tej małej grupy, o której nie mogę się dowiedzieć, i musisz tu pozostać, w zamian za frymarchenie twoimi sekrecikami. Dlatego nie chcesz, abym wysłał cię tam, do tego... jak mu tam.
- Miejsca numer Siedem - Beechum znów odwróciła się do okna. - A to nie są brudne sekreciki. To różnica pomiędzy wolnością a końcem tej Ameryki, którą znamy, Davidzie. Jestem ci tu potrzebna i to bardziej, niż ci się zdaje.

## Rozdział VI

Wtorek, 15 lutego

18.19 GMT

Camp Peary, Williamsburg, Wirginia

DOMEK Z WIAZU STAŁ SOBIE na skraju pięcioakrowej łąki. Prowadziła do niego jednopasmowa droga biegnąca przez las porośnięty sosnami i drzewami sykomory. Jelenie spacerowały swobodnie, nie obawiając się żadnego niebezpieczeństwa - no, może czasem przestraszyły się uprawiającego jogging. Mokradła stanowiły rezerwat dla dziesiątków gatunków ptactwa i gdyby nie rozlegające się od czasu do czasu odgłosy pisku opon i strzelaniny, to ta magiczna kryjówka mogłaby się wydawać wręcz poetycką idyllą.

GI Jane przyjechała do tego stojącego na pustkowiu domku w środku śnieżycy, która zdaniem meteorologów przesuwiała się na północ. Gulfstream G-V wylądował na



miejscowym pasie, jedynym na tym liczącym dziesięć tysięcy akrów terenie należącym do Departamentu Obrony i znanym od drugiej wojny światowej pod nazwą

Farma.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Jane spędziła tu wiele czasu, najpierw jako młoda urzędniczka CIA poznająca arkania swego fachu, a następnie jako czeladnik, operator ćwiczący to, czego się nauczył. Upłynęło już kilka lat od drobiazgowego zaznajamiania się z tajnikami „wydobywalni wiadomości”, jak w firmowym żargonie nazywano szkołę, w której kształcono śledczych. Ale to wszystko były tylko zajęcia teoretyczne. Teraz po raz pierwszy przyjechała na Farmę w prawdziwej sprawie.

Co za miejsce - pomyślała sobie, wyglądając przez przyciemnione szyby swego Yukona. Był tam zestaw huštawek, basen, talerz anteny

104

satelitarnej i dziecięce zabawki - wszystko to przykrywał teraz grubą warstwą śnieg. Zdawało się, że jest to jeszcze jeden dwupiętrowy, pokryty sidingiem dom o czterospadowym dachu, stojący na ładnej, wiejskiej działce.

Rzecz jasna jeśli nie brać pod uwagę kolczastego drutu i kamer. Domek z wiązu był otoczony gęstym płotem wysokim na dziesięć stóp i zasiekami z drutu, wśród których ktoś porozwieszał lampki choinkowe, zamieniając tę całą mroźno-śnieżną scenerię w bożonarodzeniową dekorację.

- To nie powinno potrwać długo - powiedziała GI Jane. Dwóch uzbrojonych po zęby wartowników siedziało przy wejściu, ale nie odezwali się ani słowem. Kierowca kiwnął głową i skręcił na parking.

Specjalistka od przesłuchań otworzyła drzwi i minęła kolejnych wartowników.

Weszła do ładnie urządzonej sieni i kopnięciem zdjęła buty.

- Dzień dobry pani - powitał ją wartownik w środku. Nie widział potrzeby sprawdzać jej tożsamości; jeśli wpuszczono ją aż tutaj, to znaczy, że przeszła kontrolę.

- Gdzie on jest? - zapytała. Strażnik poprowadził ją przez gustownie umeblowaną

kuchnię prosto do jadalni. Człowiek wyglądający na bardzo zmęczonego i wystraszonego siedział przy lśniącem stole chip-pendale, na którym stał mosiężny świecznik i leżał oprawiony w ciemnoniebieską miękką okładkę Koran. U dołu widniał napis: Własność rządu Stanów Zjednoczonych.

- Nazywam się Jane - powiedziała po angielsku, wymieniając pierwsze imię, jakie jej przyszło do głowy i uśmiechając się równocześnie. Ta sprawa w dżungli - wciąż o tym myślała. - A ty?

- Aszar- odparł mężczyzna ochryłym, pustym głosem. Jego ręce, szyję i część twarzy okrywały bandaże.

- Aszar, tak oczywiście.

Jane otworzyła na zaznaczonym przez wycięcie miejscu jedną ze swych książek instruktażowych, które zawsze zwykła nosić ze sobą.

- Ufam, że jest ci tu dobrze? - spytała.

Mężczyzna wpatrywał się w nią. Od chwili aresztowania przeszedł prawdziwe piekło.

Trzymano go w nieustannie jasno oświetlonym pokoju bez okien, dawano raz środki nasenne, to znowu na pobudzenie. Zmuszano do oglądania dziwnych filmów pornograficznych oraz do słuchania muzyki odtwarzanej od końca do początku i bardzo głośno, przesłuchiowano godzinami, bito nagiego, polewając przy tym wodą,  
105

mrożono w olbrzymich lodówkach, a potem wprowadzano do sauny, nie dawano do jedzenia niczego prócz chleba posmarowanego czymś, co wywoływało tortury, skurcze, bóle głowy i torsje; jego zdaniem mogła to być nikotyna.

- Popatrz na mnie - powiedział. Uważał, że odpowiedź jest oczywista. - Tu nic nie jest dobre. Traktują mnie bardzo źle, rany okropnie bołą, a oni nawet nie zmienili mi bandaży.

- Tak, cóż... - GI Jane pochyliła się do przodu i oparła na łokciach, a jej głos brzmiał wyraźnie i stanowczo. - Nie mam wpływu na to, co ktoś ci zrobił, ale nie jestem tu po to, aby zadać ci jakikolwiek ból.

Aszar starał się nie okazywać strachu, ale przecież przywieziono go tu taki

kawał z Los Angeles. Ta kobieta wyglądała dość niewinnie, ale on nie wierzył jej za grosz.

\* | - • . |'

GABINET JORDANA MITCHELLA, podobnie jak i jego styl rządzenia, sprawiał na jego

najbliższych wrażenie anachronicznego, ale prawdziwego. Od kosztownej kolekcji broni rozwieszanej na każdym wolnym skrawku ściany, aż po stare dywany, panele z ciemnego drewna i bogato tapicerowane meble cała ta przestrzeń świadczyła o przodkach Mitchella, którzy wieki temu przybyli ze Starego Świata. Śmiali dekoratorzy wewnątrz od czasu do czasu wprowadzali nowatorskie zmiany w pomieszczeniach służących do ogólnego użytku, ale nikt nie odważyłby się zmienić cokolwiek w tym gabinecie. Gust Mitchella, podobnie jak jego orientacja w interesach, nie podlegał dyskusji.

- FBI odkryło pewne interesujące szczegóły w tych ładunkach wybuchowych - mówił Trask. Ten był żołnierz piechoty morskiej, a teraz szef personelu, cieszył się taką władzą i dostępem do Mitchella, jak nikt inny w firmie.

- Naprawdę? A co znaleźli? - zapytał Mitchell. Siedział przy biurku, przeglądając album Helmuta Langego, który dostał w prezencie od swego wydawcy. Przecież twarde okładki książek Mitchella dowodziły, że trzykrotnie figurowały na listach największych bestsellerów, toteż ta przysłana teraz książka świetnie nadająca się do położenia na małym stoliku w salonie była małym, ale miłym gestem.

- Podpis - oznajmił Trask. Podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej służył w artylerii, toteż rozumiał bardzo wiele z raportu, który

106

trzymał w ręku. - Użyto powszechnie dostępnych materiałów, ale każde z zamontowanych urządzeń wybuchowych ma trójstopniowy mechanizm: detonator, zapłon

i akcelerator. Zarówno detonator, jak i zapłon znajdowały się na zewnątrz.

Większość kadry kierowniczej w firmie myliła skuteczność Mitchella z

obojętnością. Jak odkrył Trask, ten powszechny błąd polegał na tym, że menedżerowie średniego szczebla pomijali ważne szczegóły, doprowadzając tym szefa do szału. Mitchell żądał informacji - i to pełnej.

- Mów dalej - powiedział Mitchell, wstając i odkładając książkę na biurko.

- Użyli czegoś, co nazywa się komórkowym mechanizmem zegarowym, urządzenia, wynalezione przez amerykańskie siły specjalne na potrzeby rebeliantów w Trzecim Świecie. Zapłon nosi nazwę nonel system i składa się z elastycznego plastikowego przewodu wypełnionego związkami siarki z ołowiem. Gdy uruchomi się

mechanizm zegarowy, wówczas przenosi on iskrę na spłonkę. Cały proces jest mechaniczny i zakłócenia fal radiowych nie spowodują przedwczesnej detonacji.

Wszystko razem jest pewne, łatwe do skonstruowania i tanie.

- Ci ludzie na pewno odbyli szkolenie wojskowe - zastanawiał się Mitchell. - Czy może to amerykańscy wojskowi? Albo też byli szkoleni przez naszych wojskowych?

- FBI mówi, że nie ma sposobu, aby to stwierdzić. Dość dużo ludzi potrafi zrobić coś takiego. Zapewne wyprodukowaliśmy ich sporo.

Mitchell podszedł do niskiego bufetu i wziął do rąk zdjęcie przedstawiające go w otoczeniu młodych mężczyzn i kobiet. Dzieci, zapewne wnuki, rozbawione opłatały rączkami ich włosy i ramiona. Wszystko działo się na plaży, wszyscy mieli na sobie lekkie hinduskie bawełny, żeglarskie stroje w kolorze khaki i pokazywali w uśmiechu białe, idealnie równe zęby. Portret, jakiego oczekiwałby Jay Gatsby.

- Tak, myślę, że tak - skinął głową Mitchell i nagle zaczął mówić o czymś całkiem innym, o czymś, dokąd poszybowały jego myśli. - Wiesz, nigdy nie lubiłem tej kobiety - stwierdził, wskazując palcem na kogoś, kto był jego córką. - Moi przodkowie nigdy nie mieli takiego koloru włosów. A nawet jeśli by mieli, to żadna z moich córek nigdy nie nosiłaby zaręczynowego pierścionka mniejszego niż z trzykaratowym brylantem. To by nie pasowało.

Mitchell trzymał zdjęcie w wyciągniętej ręce, jakby kontemplując je z oddali.

107

- Czy chciałby pan, abym zamówił inną sesję zdjęciową? - zapytał Trask. Dopiero

co minął rok z kawałkiem od czasu, gdy dzwonił do firmy castingowej, zamawiając znalezienie fałszywej rodziny dla człowieka, który nigdy nie znalazł czasu na założenie własnej.

- Tak. Może coś bardziej dopasowanego do pory roku. Zainsceni-zujmy zimowy odpoczynek w Stowe. Tym razem chcę synów. Wszystkich razem. Pięciu... z tego czterech żonaty. Typ lekarza - przeważnie, no, może jeden artysta gdzieś tam, dla przydania kolorytu. A żony mają być ubrane w rzeczy od Burberry. - Po czym szybko powrócił do omawianej kwestii. - Jak myślisz, kto za tym stoi?

Trask zaczął grzebać w stercie żółtych teczek z grubego papieru, a wreszcie wskazał na wiszące w oddali, na jednej ze ścian niepokrytych bronią, stare zdjęcie zrobione w PowerPointcie.

- Roderick „Buck” Ellis. Emerytowany pułkownik armii Stanów Zjednoczonych. -

Trask wpatrywał się w zdjęcie mężczyzny stojącego wśród zielonych krzewów chaparralu. Choć był ubrany po cywilnemu, nie było wątpliwości, że to wojskowy.

- Znam go - stwierdził Mitchell, odstawiając zdjęcie z plaży na bufet.

- Tak, zna pan - przytaknął Trask. Nic nie umknęło uwagi jego szefa.

- Chile. 1972 rok. Przewrót. Ellis twierdził, że pracował dla ITT\*, aleja w trzy sekundy skojarzyłem, że musi być z DoD\*\*. Dbał o funkcjonowanie ambasady i zawsze wydawał się bardzo zainteresowany informacjami na temat rozkładu dnia Allende oraz trasami jego przejazdu. Tak, pamiętam. Zajmował się podsłuchami.

- Piąta jednostka sił specjalnych, Czwarta Grupa do spraw Operacji

Psychologicznych - czyli działań innych niż wojna - relacjonował Trask. - Zjadł zęby na MAC-V-SOG\*\*\* oraz na programie Feniks, szkoląc lud Montagnard w zwalczaniu działającej przeciwko nam partyzantki w Wietnamie. W latach siedemdziesiątych rozwinął i koordynował

\* International Telephone and Telegraph - koncern telekomunikacyjny.

\*\* Department of Defence - Departament Obrony.

\*\*\* Military Advisory Command - Vietnam - Studies and Observation Group - specjalna, ściśle tajna jednostka do spraw operacji specjalnych, prowadząca jeszcze przed rozpoczęciem wojny w Wietnamie oraz w jej trakcie szereg

niekonwencjonalnych, tajnych działań wojskowych.

108

sterowane przez CIA partyzantki w Chile, Nikaragui i Salwadorze, a następnie przeniósł się do Agencji..., aby pracować nad niezwykle tajną, obliczoną na długi czas operacją znaną pod nazwą projekt Megiddo.

- Już wtedy wiedziałem, że on zajmuje się tajnymi operacjami -uśmiechnął się Mitchell. - Nie był to facet z naszej Agencji, ale miał te umiejętności, no wiesz? Był częścią zespołu. Nie można się tego nauczyć i podrobić, czytając kilka powieści le Carre'a. Wciąż mamy warte ukrycia tajemnice.

Mitchell wziął z rąk Traska pilot i zaczął klikać, przeglądając szereg zdjęć.

Większość z nich musiała mieć co najmniej kilka lat.

- Gdzie on jest? - chciał wiedzieć Mitchell.

- W Teksasie.

Mitchell podszedł do biurka i wziął gazetę. Nagłówki krzyczały o mordzie dokonanym w samym sercu kraju. Liczba zabitych wciąż rosła, gdyż stale znajdowano nowe ciała we wrakach samolotów i w gruzach budynków. Aczkolwiek początkowo koncentrowano się na nowym ugrupowaniu terrorystycznym Ansar insz Allah, to teraz zaczęło się szukanie winnych. Niektórzy oskarżali nową, demokratyczną administrację o popadnięcie w samozadowolenie. Inni znów spierali się, że rozpętana przez republikanów wojna w Iraku wzniciła nienawiść do Amerykanów. No i były jeszcze historie o Borders Atlantic i telefonach Quantis. Dlaczego taka technologia? I dlaczego teraz? Po co sprzedawać to najpierw Saudyjczykom? Specyficzna, amerykańska zaraza obwinień zaczęła się rozszerzać i Jordan Mitchell odczuwał pierwsze symptomy tej bardzo niebezpiecznej choroby.

- Poślemy tam Wallera - oświadczył. - Być może jemu uda się odkryć, w co też wpakował się nasz poczciwy pułkownik od czasu, gdy zajmował się planowaniem rewolucji w Chile.

JEREMY I FRITZ skręcili z drogi 1-395 na zjazd prowadzący do Pennsylvania Avenue.

Byli sami na drodze. Billy Luther przekazał im przez radio, dokąd mają jechać -

do kompleksu starych, ceglanych magazynów ciągnących się wzdłuż rzeki Anacostia. Jak powiedział im w Cjuantico, grupa śledcza z waszyngtońskiego biura terenowego namierzyła sympatyka Al-Kaidy na jakimś zebraniu w spalonej części najgorszego z waszyngtońskich gett.

109

- Miłe miejsce - zauważył Lottspeich, gdy przejechali ze dwie przecznice. Śnieg przykrył to, co najgorsze, ale po obu stronach drogi stały opuszczone samochody. Góry śmieci niekiedy przewyższały stojące obok budynki, graffiti pokrywały wyszczerbione ceglane fasa-

! dy, a jedyny kontrast stanowiły wyrzucone stare materace, pobrudzone • przez szczury kanapy i mnóstwo pordzewiałego żelastwa.

- Myślę, że ci z agencji nieruchomości nazwaliby to tymczasowym sąsiedztwem w parkingowej scenerii - roześmiał się Jeremy.

- Taak - zachichotał Lottspeich. - Mnóstwo dzikiej zwierzyny: wałęsające się psy, szczury i stada wróbli.

Plastikowe reklamówki fruwały na wietrze niczym ptaki, a psy i szczury pochowały się do kryjówek.

- Przynajmniej śnieg trzyma wszystkich w domu - Jeremy dostrzegł jeden z samochodów patrolowych WFO zaparkowany z tyłu opuszczonego budynku i podjechał, aby stanąć obok. - Zdumiewające, jak zła pogoda może wspomóc odwyk narkotykowy.

Kiedy Jeremy parkował, Lottspeich opuścił szybę i zagadnął Murzynkę siedzącą w samochodzie. Miała na sobie białą parkę, okulary w złotej oprawce od Givenchy'ego i kolczyk w nosie.

- Jak tam jazda na sankach? - spytał.

- Na sankach? - roześmiała się kobieta. - Kotku, to tutaj toż to rodzinny dom cracka. Jedyne sporty zimowe, jakie tu znamy, to strzelanie, kurwienie się i spanie.

- No, to dobrze, że wziąłem broń - roześmiał się Lottspeich. Natychmiast ją

polubił. - Rozumiem, że wy tutaj szukacie kilku świetnie wyszkolonych i doskonale strzelających na dużą odległość specjalistów.

Radio kobiety zatrzeszczało, a ona podniosła do góry palec zakończony pomalowanym na niebiesko i obramowanym złotem paznokciem. Miał co najmniej cal długości.

- Dziesięć cztery - odezwała się, odpowiadając na coś, czego żaden ze snajperów nie usłyszał. - Tak jak powiedziałam, chłopcy, lepiej zabierajcie stąd dupy. - Zwróciła się znów do Lottspeicha. - Nasze źródło właśnie dostało telefon od szefa. Mówi, że w ciągu godziny przyjadą.

Wskazała na trzypiętrowy budynek charakterystyczny z powodu dzwonnicy i kilkuset okien pozbawionych szyb.

- Wejdźcie tam, na dach. Jest tam kilku naszych chłopaków, to wam pokażą, co i gdzie.

110

Żaden ze snajperów nie odezwał się ani słowem, gdy wysiadali, nastawiali kołnierze i wyciągali karabiny i futerały z bagażnika.

- Mam nadzieję, że macie wodoodporne tyłki, kotki - zawołała za nimi - bo tam na górze będzie mokro i zimno.

Jeremy z towarzyszem brnęli przez śnieg i cały czas słyszeli jej śmiech.

- NIE SPODZIEWAM SIĘ, ŻE mi uwierzysz - mówiła GI Jane do Aszara. - A już nie po

tym, jak cię traktowano. Ale naprawdę nie zamierzam zadawać ci dalszych cierpień.

Myślę, że nie masz najmniejszego pojęcia, dlaczego cię tu przywieziono. Mam rację? Czy ty w ogóle wiesz, dlaczego zostałeś aresztowany?

Aszar potrząsnął głową. Ta kobieta zdawała się szczerą, ale on nie śmiał jej wierzyć.

- Zostałem porwany, trzymano mnie z tyłu samochodu, a potem wysadzono samochód w

powietrze - powiedział. Innym mówił to samo, ale oni mu nie wierzyli. - Jestem



obywatelem Stanów Zjednoczonych. Moja rodzina będzie się o mnie bardzo martwić.

- Oczywiście, że będzie. Ale my cię puścimy, jak tylko pomożesz nam w kilku bardzo ważnych sprawach. - Jane starała się, aby jej głos brzmiał współczująco i szczerze, ale cały czas zbyt wiele myślała i spała zbyt mało, aby mogła udawać.

- Opowiedz mi dokładnie, co stało się wczoraj w Los Angeles.

Aszar próbował zdecydować, czy ona go czasem nie podpuszcza.

- Szedłem do pracy - powiedział - a tu jakiś biały mężczyzna w pościężarówce podjechał, żeby zapytać o drogę, a potem wycelował we mnie broń.

- Pracujesz w sklepie z ubraniami? - spytała Jane. Przeczytała jego dossier i знаła wszystkie szczegóły. - W Gap.

- Tak. Szedłem pieszo, bo mój samochód był w warsztacie z powodu hamulców, a sklep jest niedaleko od mojego mieszkania.

- Ale ty szedłeś z meczetu, czy tak? Aszar zdziwił się.

- Tak. We wtorki prowadzę zajęcia z religii. Po nich idę do pracy.

- I co się stało potem? - pytała Jane. - Opowiedz mi o tym białym mężczyźnie.

111

- Ten biały miał gęstą brodę i okulary przeciwsłoneczne, a na głowie bejsbolówkę. Nie widziałem zbyt jego twarzy, ale zaskoczył mnie, gdy podjechał zapytać o kierunek. A potem, kiedy wyciągnął broń, to zrobiło mi się niedobrze. Jest tyle aktów przemocy przeciwko Amerykanom arabskiego pochodzenia, szczególnie od czasu

tych zamachów bombowych.

- I co stało się potem? - pytała Jane.

- Wsiadłem z samochodu; to była bardzo ruchliwa ulica, ale nikt się nie zatrzymał. On też wysiadł i zmusił mnie, abym przeszedł do tyłu ciężarówki. On wsiadł za mną i obwiązał mi ręce i nogi taśmą.

- Czy mówił coś do ciebie?

- Najpierw nic, ale zawiózł mnie gdzieś, gdzieś koło lotniska, gdzie potem zostałem aresztowany, i powiedział, żebym nie uciekał, bo mnie nie skrzywdzi. Jane skinęła głową i zapisała coś w notesie.

- Czy rozpoznalbyś tego człowieka, gdybym pokazała ci zdjęcia? - spytała.

Aszar wzruszył ramionami.

- Może. Okulary i broda; nie jestem pewien.

GI Jane sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła odtwarzacz multimedialny. Dotknęła trzykrotnie ekranu długopisem i odwróciła go w kierunku Aszara.

- Popatrz na te zdjęcia. Czy widzisz tu tego mężczyznę, który cię porwał?

Aszar przyglądał się z bliska, pozwalając sobie na chwilę nadziei, że ta kobieta być może uwierzy w jego historię. Przejrzał dziesiątki zdjęć, a na wszystkich byli biali mężczyźni, niektórzy z brodami, inni w okularach, jedne zdjęcia były kolorowe, inne czarno-białe.

- Nie wiem - powiedział. - Te zdjęcia są tak...

Nagle coś przykuło jego uwagę, a oczy otworzyły się szeroko.

- Czekał... czekaj! Tak, to on! - Uśmiech rozjaśnił mu całą twarz. - To jest ten mężczyzna, który mnie porwał! Widzisz, to on.

GI Jane spojrzała na zdjęcie.

- Dziękuję, Aszar - powiedziała, pakując Zire znowu do kieszeni. - Widzisz, mówiłam, że ci wierzę.

- Czy to znaczy, że mogę sobie iść? - spytał. Po raz pierwszy, odkąd zaczął się cały ten koszmar, poczuł nadzieję.

- Obawiam się, że jak na razie to nie będzie możliwe - padła odpowiedź. Nie było co wyjaśniać. Dostała to, po co tu przyjechała.

112

- Ale kiedy? - prosił. - Kiedy wrócę do mojej rodziny?

- To nie leży w moich kompetencjach - powiedziała Jane, wstając i idąc w stronę kuchni. - Ale nie omieszkać powiedzieć, komu trzeba.

•

PULKOWNIK BUCK ELLIS urodził się do życia naznaczonego przemocą. I to dosłownie.

Matka wydała go na świat na siedzeniu wraku samochodu. Tam, pośród pogiętych części chromowanych i podartej ta-picerki fordą rocznik 1947, Ellis zaczerpnął

pierwszy łyk powietrza i wykrzyczał krwawe morderstwo. Pierwszy na miejscu znalazł się ksiądz baptystów, który był tak poruszony tym, co zobaczył, że poświęcił temu najbliższe niedzielne kazanie i zachował je w celofanowej okładce, aby to cudownie narodzone dziecko miało je na pamiątkę, gdy dorośnie.

Obydwoje rodzice Ellisa zginęli tej samej nocy na drodze do Houston, a małym zajął się wuj alkoholik i jego regularnie bita żona. A kazanie zaginęło gdzieś w trakcie nieustannych przeprowadzek do coraz to innych rodzin zastępczych, do których trafiał chłopak.

- Wchodzić po dwóch, oczyścić dwa pomieszczenia! - krzyknął. Twardy jak stal i niezwykle wysportowany jak na swoje sześćdziesiąt cztery lata, pułkownik wciąż nosił włosy ostrzyżone płasko na czubku, tak jak się przyzwyczał, będąc w szkole. Teraz stał na zewnątrz budowli z żużlobetonowych bloków zwanej Domem Horroru i sprawdzał listę. Ludzie z różnych zakątków świata płacili po 1785 dolarów tygodniowo, aby przyjechać do Homestead, a Ellis, jako główny instruktor, chciał być pewien, że wszyscy wyjadą zdrowi i będą pozytywnie oddziaływać na jego modły. - Wchodzić po dwóch, oczyścić dwa pomieszczenia. - Pamiętał, kiedy po raz pierwszy usłyszał te słowa, a było to w 1980 roku, gdy pracował z brytyjską<sup>22</sup>. Akurat przechodził przez ich garnizon, gdy irańscy terroryści opanowali iracką ambasadę w Princess Gate. Ależ to się przerodziło w piekielną burzę.

Tyle było tych piekielnych burz. Trzydzieści lat w armii i to przez cały czas, z wyjątkiem trzech lat, w siłach specjalnych. Był tego sierpniowego dnia 1961 roku w Forcie Bragg, kiedy to prezydent Kennedy powierzył dowodzenie pułkownikowi Donovanowi. Potem była wojna, zarówno przygotowywanie się do niej, jak i walka. Wietnam: był tyle lat w Azji Południowo-Wschodniej, że armia przeniosła jego rodzinę do Tajlandii, aby mógł odwiedzać ją co parę miesięcy.

113

Wydaje się, że zawsze była wojna. Kambodża, Laos, Chile, Panama, Afganistan, Salwador, Czeczenia, Filipiny, Kolumbia. Czasem kraje niemal równocześnie przeżywały akcje policyjne, inwazje, tłumienie rebelii oraz misje pokojowe. „Gra

w domino" - tak to nazywali. Zawsze padało na kogoś.

A, nieważne. Cel misji pozostawał ten sam: chronić Amerykę przed wszystkimi zagrożeniami, wewnętrznymi i zewnętrznymi. Przed komunizmem, terroryzmem, hedonizmem i jakim tam jeszcze innym „izmem”, jakkolwiek by to nazywali w Pentagonie, on i tak znał prawdę. To, co sprawiało, że Ameryka była wolna i bezpieczna, to wiara w jedynego Boga oraz zbawcę, w Jezusa Chrystusa. A żydzi i muzułmanie i cała reszta niewierzących niech zgniją w piekle wraz z tymi, co wątpią.

Żołnierz, szpieg czy wybawca, pułkownik Buck Ellis poświęcił temu swoje życie.

- Wyważyć drzwi na jedyńce! - krzyknął.

Dwóch mężczyzn w kombinezonach lotniczych nomex i w kamizelkach kuloodpornych

przywarło do ściany, kierując swoje półautomatyczne karabiny MP-5 na drzwi.

Ellis umieścił C-4 tuż pod klamką, symulując to, co zrobiliby w jednostce ekspert od materiałów wybuchowych, gdyby wszystko działało się naprawdę.

- Uwaga, kontroluję wszystko.

Kontroluję? - zdziwił się. - A któż to kiedykolwiek ma nad czymś kontrolę? Tylko Jahwe, jedyny prawdziwy i wszechmogący Bóg ma wszelką władzę na tym świecie.

Tylko Jahwe przeprowadził go przez nieznośny okres młodości do wysokich stopni w karierze wojskowej. Tylko Jahwe ukazał mu moc wiary, jedyną drogę.

Wyłącznie Jahwe doprowadził go do życia, o które warto walczyć.

- Pięć... cztery... trzy... dwa... BUUM!

Ellis wysadził ładunek, który odrzucił drzwi jak huragan kolbę kukurydzy. Dwaj mężczyźni pokonując ciśnienie i chmurę dymu, weszli i pobiegli swą wyznaczoną drogą.

- Dwa kroki w stronę ściany, a dwa od - tak brzmiała instrukcja, której Ellis udzielił im jeszcze w klasie. - Wpadacie szybko przez drzwi. Unikać pozycji wyprostowanej. Biec, przecinając sobie drogę z kolegą, aby dezorientować tych, którzy nie zostali ranni podczas wysadzania drzwi. Przede wszystkim nie spuszczać wzroku z broni. Strzelać wiele razy do każdego celu.

Ellis stał się swego rodzaju legendą w społeczności wojskowej. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat Homestead przerodziło się z niewielkiego obozu, w którym było tylko dwóch instruktorów, w znane w całych Stanach Zjednoczonych miejsce ćwiczeń. Byli tam eksperci w mundurach, bunkry, dwa helikoptery, milowy tor wyścigowy i strzelnica, na której można strzelać ze wszystkiego poza raketami balistycznymi.

- Jest nawet sklep z upominkami - zauważyła z dumą jego ciotka, gdy jeden jedyny raz go odwiedziła, lata po tym, jak jej niedobry mąż pijak zniknął bez śladu.

Bum, bum, brrrrrrrr, bum...

Ellis poszedł za swoimi uczniami do Domu Horroru, śledząc ich ruchy, zapamiętując różne rzeczy, które potem wykorzysta w celu zrobienia z tych ludzi lepszych wojowników. Przecież o to chodziło - o nauczenie ich pięknej sztuki wojennej.

Dziś po południu - walka w zamkniętych pomieszczeniach, strzelanie taktyczne - jutro, pojutrze - strzelanie z niestabilnego podłoża. Każdy pięciodniowy kurs zawierał najważniejsze elementy z taktycznych manewrów podejmowanych przez małe

jednostki. Jakiegokolwiek rozszerzenie zajęć wymagało już zezwolenia ze strony którejś z agencji strzegącej porządku publicznego i większej zapłaty.

- Czysto!

- Czysto!

Dwóch strzelców wykonało już swoje zadanie i teraz opuścili lufy karabinów na znak, że jest po wszystkim. Ellis uczył ich, że należy strzelać do celu tak długo, aż Pan Bóg skończy sortowanie zmarłych. Tych dwóch zdaje się rozumiało, o co chodzi.

- Dobrze strzelanie - odkrzyknął Ellis. Zdjął ochraniacze z uszu, ale wciąż miał na nosie ciemne okulary. - Gładkie przejście przez miejsce podłożenia ładunku, zrozumiała łączność. - Spojrzał na stoper. - Siedem sekund przed czasem. Żaden z was nie zginął. Dobra robota, chłopcy.

Dwaj mężczyźni szybko przemknęli przez drzwi. Wiedzieli, że Ellis kierował tu wszystkim. Jakieś stawianie piątek czy gratulacje nie były dopuszczalne.

- Pułkowniku, jest pan tu? - zawołał ktoś. Ellis znał ten głos.

- Sypialnia z tyłu - odpowiedział. Elijah pracował dla niego od czasu wojny w Kuwejcie. Ten był kapitan szybko awansował, zaczynał bowiem od nadzorowania operacji taktycznych, a skończył na poślubieniu najstarszej córki Ellisa.

115

- Wchodzę! - krzyknął Elijah. To była stała praktyka w Domu Horroru, aby poinformować o niespodziewanym pojawieniu się.

- Jakieś wiadomości? - zapytał pułkownik. W przeciwnym razie nie wyobrażał sobie, aby jego zięć opuścił inne swoje obowiązki.

- Wiadomości o Calebie - padła odpowiedź. Elijah wyglądał na odprężonego. - Został postrzelony, dwóch pozostałych zabito.

Ellis zwiesił głowę.

- Jak? Nie taki był plan.

- Cóż, najwidoczniej plan się zmienił. Caleb stracił oko, ale mówi, że może podróżować - odparł Elijah.

Ellis zastanawiał się przez chwilę.

- To oznacza opóźnienie kolejnego etapu - stwierdził. - Jak bardzo nam to przeszkadza?

- To nie problem, pułkowniku. - Elijah potrząsnął głową. - Nasz plan jest dość elastyczny. Ważniejsze, aby Caleb dotarł tu cały, aniżeli przyspieszenie biegu spraw.

- Racja - stwierdził Ellis i wrócił do swoich podopiecznych. - Pilnuj wszystkiego. Wstyd byłoby spieprzyć tak na samym początku.

\*

- PO DALSZEJ DYSKUSJI postanowiłem wstrzymać się od kontemplacji protokołów rządowych do czasu, aż będziemy lepiej panować nad sytuacją - oznajmił prezydent. Wkroczył do Gabinetu Ovalnego z całym autorytetem, na jaki jego znękany umysł

potrafił się zdobyć.

- Ależ panie prezydencie... - zaczął Havelock, nie mając odwagi przypomnieć, że chodzi o kontynuację -to zostało uchwalone specjalnie po to, aby zapewnić...

- Do cholery, wiem, dlaczego zostało uchwalone! - ryknął prezydent. Oczywiście wszystkich zwróciły się w kierunku Beechum, bo stało się jasne, że to ona stała za tą nagłą zmianą taktyki. Do Havelocka, sekretarza prasowego, szefa sztabu Białego Domu i Alreda dołączyli teraz jeszcze sekretarz stanu oraz sekretarz obrony.

- Lot helikopterem w taką pogodę naraża nas na większe niebezpieczeństwo niż ci terroryści - powiedziała Beechum głośno. - A poza tym, wątpię...

- Nie czas na kłótnie. - Venable wrócił do swego pulpitu. Nawet pomimo zmęczenia wiedział dobrze, iż wszyscy są zdania, że to

116

Beechum wymusiła na nim tę decyzję. - Zastanowimy się nad tym ponownie, gdy ustanie śnieżyca. Jakie najnowsze wieści?

- Saudyjczycy, panie prezydencie - warknął sekretarz obrony. -Zabierzmy się za to od razu. FBI znalazło niepodważalne dowody, że księżę Abdullah, potencjalny kandydat do tronu Saudów, przekazał znaczne sumy pieniędzy na konta, z których tu, w Stanach Zjednoczonych, korzystają podejrzani fundamentaliści islamscy.

- Gdzie? - zapytał prezydent. - Nazwiska, miejsca, daty, kwoty.

Nagle jego umysł zdawał się pracować szybko, pozwalając każdemu z zebranych w pokoju wierzyć, że pomylenie „kontemplacji” z „kontynuacją” to było tylko freudowskie potknięcie.

- Atlanta, Los Angeles, Miami, Nowy Jork, Waszyngton - wymieniał Alred. Miał to wszystko zapisane, ale nawet nie spojrzął na kartkę. - Transfery z kont należących wyłącznie do księcia. Wszystkie transakcje opiewały na kwoty dziewięciu tysięcy pięciuset do dziewięciu tysięcy dziewięciuset dolarów, tym samym uniknięto obowiązku ujawnienia źródła pochodzenia pieniędzy. Jak dotąd wykryliśmy, że było jedenaście takich transferów, w sumie na sto sześć tysięcy siedemset dolarów. Pierwsze miały miejsce trzy tygodnie temu, a ostatni w

miniony wtorek.

Widać było, że ta wiadomość wywarła na Venable'u i na Beechum wrażenie.

- Richard? - Venable zwrócił się do swego sekretarza stanu, Richarda Crabba.

- Nie uwierzyłbym w to, gdybym sam na własne oczy nie zobaczył tych transakcji - powiedział były ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ. Venable wybrał go ze względu na intelekt i ugodowy charakter. Po rządach poprzedniej administracji miał nadzieję, że kierowany przez niego Biały Dom wykona w stosunku do całego świata jakiś gest dobrej woli.

- Pomimo różnic religijnych to jeden z naszych najmocniejszych sojuszników na Bliskim Wschodzie. Nieprawdaż? To brzmi zupełnie tak, jakby opierało się na informacjach zaczerpniętych z prasy i z dziennika. - Venable wyrzucił ręce w górę. - Ale wy przecież macie o tym raporty. Co myślicie?

- Myślę, że Saudyjczycy zawsze wykorzystywali nas do swoich prywatnych celów - powiedziała Beechum. Ze wszystkich tu zebranych ona najwięcej wiedziała o rodzie Saudów. - Aż do eksplozji

117

w Rijadzie, które miały miejsce dwa lata temu, zawsze udzielali nam fałszywych informacji, starając się przypodobać naszemu wywiadowi, a równocześnie nie denerwować swoich bliskowschodnich sojuszników. Nie znoszą Al-Kaidy, ale nie zaprzeczają sponsorowania propale-styńskich ugrupowań jak Hezbollach, Brygady Męczenników Al-Aksa. Kto może powiedzieć, że te pieniądze nie trafiły do kieszeni ludzi, którzy chcą nas skrzywdzić? Wszyscy kiwali głowami.

- Dlaczego wobec tego nie traktujemy ich ostrzej? - zapytał Venable.

- Ropa naftowa - rzucił Havelock. - A cóż by innego?

- Panowie, nie bądźcie zbyt cyniczni - wtrąciła się Beechum. - Takie gadki są dobre podczas zbiórek na jakiś cel, ale rzeczywistość jest niepodważalna: w tym kraju ropa oznacza sposób życia. Możemy sobie być najpotężniejszym narodem świata, ale to Saudyjczycy zaopatrują w paliwo nasze silniki. A tu chodzi o energetykę, przemysł wytwórczy, transport... do cholery, kiedy chcecie ogrzać dom, wyczyścić zęby albo pojechać do sklepu po warzywa, to musicie dziękować za



te możliwości Saudyjczykom.

- Ale dlaczego teraz? Dlaczego popierają zamachy terrorystyczne w tym kraju? Muszą wiedzieć, że potrafimy wyśledzić drogę ich pieniędzy. Na pewno są na tyle inteligentni.

- To nie takie proste - znów zabrała głos Beechum. - Saudyjska rodzina królewska jest równie dysfunkcyjna, co rozległa. Zbyt wielu książąt, a zbyt mało pieniędzy. Tu stawką jest władza, poczucie, jakie przejawia ta klasa rządząca, że lepiej jest przedstawić swoje żądania teraz, dopóki jeszcze można.

Znów wszyscy skinęli głowami.

- Proszę zobaczyć, jaką wściekłość wzbudziła sprzedaż im przez Jordana Mitchella tego telefonu Quantis - przerwał Havelock. - Musi pan przyznać, że nasze media spuściły im cholerne lanie. I boją się. Sam widziałem kilka sprawozdań z podsłuchów: nawet książę Abdullah obawia się, że nasza obecna administracja będzie mu nieprzychylna.

- Może ma ku temu podstawy - zastanawiał się głośno prezydent. - Wiedziecie co? Otóż nie zamierzam tak stać i patrzeć, jak oni zestrzeli wujka nam samoloty pasażerskie!

- Chwileczkę - ostrzegł Alred. - Mamy listę transferów pieniężnych, ale nawet przez sekundę nie chcę sugerować, że da się powiązać

118

kogokolwiek z saudyjskiej rodziny królewskiej z jakimkolwiek zamachem terrorystycznym. To jest śledztwo, a nie oskarżenie.

- Ale wszyscy wiemy, że nie ma dymu bez ognia - podsumował Venable, pocierając piekące oczy. - Chcę wiedzieć natychmiast, jak tylko coś znajdziecie, zrozumiano? Skierował się w stronę drzwi, mamrocząc:

- Dlaczego, do licha, nie można tu przynieść dzbanka z kawą? Czy to zbyt wygórowana prośba, jak na przywódcę świata? - Po czym zniknął w zachodnim skrzydle, wołając: - Czy ktoś mógłby mi przynieść wreszcie filiżankę kawy?

- SIERRA JEDEN DO TCO, zaobserwowaliśmy ruch na Białym Brawo Trzy - mówił Lottspeich przez radio. Wraz z Jeremym leżeli za parapetem na dachu, spoglądając

w dół przez sypiący śnieg.

- Szkoda, że nie możemy im powiedzieć, co to za ruch. Przez ten cholerny śnieg nic nie widać - narzekał Jeremy.

Od początku zamieci napadało już ponad dwie stopy białego puchu, a wygląd nieba nie zapowiadał żadnej poprawy pogody. Wszystko, co dwaj snajperzy z HRT mogli dostrzec poprzez gęste płatki, to pięć okien z zespolonymi szybami na drugim piętrze budynku po przeciwnej stronie ulicy. Mróz pokrył wszystko z wyjątkiem otworów wielkości talerza, zamglonych przez rozproszone światło żarzących się wewnątrz żarówek.

- Masz więcej papierków do soczewek? - spytał Lottspeich, usiłując zetrzeć mgłę ze swojej lunety o czterdziestokrotnym powiększeniu. - Ciągłe jest zaparowana. Jeremy sięgnął pod poncho i zaczął grzebać, aż znalazł paczkę papierków do przecierania soczewek.

- To wszystko, co mam - stwierdził. - Mam nadzieję, że zdecydują się szybko zdjąć tych dupków, bo trzęsę się jak pies srający żyłkami.

Lottspeich roześmiał się.

- Sądzę, że twoje życzenie może się spełnić. - Mówiąc to, wskazał na lewo, na konwój czarnych SUV-ów. To jechali szturmowcy przygotować się do ataku. - Zapewne grają teraz w karty i pucują buty, narzekając, że będą musieli przebiec kawałek do drzwi frontowych - psioczył Lottspeich. - Czy nic nie umknęło mojej uwagi, gdy zdecydowano, że

119

my mamy być snajperami? Chodzi mi o to, czy ktoś powiedział nam przedtem, że ten cały biznes polegający na leżeniu i czekaniu rzeczywiście jest pociągający?

Obaj mężczyźni szybko zorientowali się, że snajperstwo to nie czarowna, polegająca na wyważaniu drzwi robota i uwalnianie zakładników, tak jak to przedstawiały plakaty. To była wyczerpująca sztuka oparta na dyscyplinie, przywiązywaniu wagi do szczegółów i wykorzystaniu okazji, nawet tej mikroskopijnie małej. W szkole snajperskiej uczono, jak zabijać z dużej odległości, a samemu nie zostać zabitym. A poczucie niezadowolenia przychodziło

wraz z rzemiosłem.

- Wy, chłopaki, ciągle biadolicie? Jakiś facet podczołgał się do nich z tyłu.

- Jezus! - krzyknął Lottspeich. - To podkradanie się do nas skończy się kiedyś tym, że cię zabijemy.

- Jezus, tak jak „Cześć, Jezus, miło cię znowu widzieć”, czy też „Jezu Chryste, aleś mnie przestraszył”? - spytał przybysz.

Jesus Smith, ich były dowódca w brygadzie Promienie X, nigdy nie wiedział dokładnie, jak ma reagować na najrozmaitszą wymowę swego imienia. Większość chłopaków w jednostce wymawiało je tak, jak imię Jezusa, czyli jak jest w Nowym Testamencie, ale Smith zawsze zastanawiał się, czy wołają jego, czy też wzywają imię Pana Boga nadaremnie.

- Tak jak „Och, Jezus, dlaczego to ile razy cię widzę, to zaczynam nienawidzić siebie tego ranka?” - powiedział Jeremy z uśmiechem, ale obaj wiedzieli, że to żart.

- Hej, teraz noszę garnitur, zapomniałeś? Już nie muszę czyścić butów.

Jesus awansował na kierownika i przeniósł się do Zintegrowanego Centrum do Walki z Zagrożeniem Terrorystycznym. Jeremy nie widział swojego byłego kompana z dwuosobowej grupy, a równocześnie szefa, od ponad pół roku.

- Ano, taak - mruknął Lottspeich. - Oddałbyś swoje lewe jajo, aby być tu dzisiaj z nami i trząść się tak, jak my?

- Pewnie. - Jezus klepnął Lottspeicha po nodze. - Jeremy, chciałbym z tobą chwilę porozmawiać.

Ton jego głosu się zmienił. Nie przyszedł tu na pogawędkę.

- Mówiłem ci. - Jeremy trącił łokciem swego obecnego kompana.

- Tylko wracajcie szybko, chłopaki, bo ludzie zaczną gadać - rzucił Lottspeich, przecierając soczewki swojej lunety.

Rozdział VII

Środa, 16 lutego .,-

5.05 GMT

Harvey Point Defence Testing Activity, Hertford, Karolina Północna

BYŁO TUŻ PO PÓLNOCY, GDY JEREMY skręcił w lewo, zjeżdżając z New Hope Road i

zastanawiając się, czy zadzwonić do domu. Dojazd z Norfolk w Wirginii do hrabstwa Albermarle w Karolinie Północnej, w sumie nieco ponad sześćdziesiąt jeden mil, zajął mu trochę ponad godzinę - aż nadto czasu, aby zastanowić się nad zdarzeniami, które znowu wywracały całe jego życie do góry nogami.

- Zostałeś wybrany do wykonania nowego zadania - oznajmił mu zaledwie godzinę temu Jesus. - Grupa Druga, tajna operacja mająca związek z misją w Irian Jaya.

W jaki sposób te dwie sprawy wiązały się ze sobą, tego już mu dawny dowódca nie powiedział. Ale to było typowe dla wszystkich zadań, jakie Jeremy otrzymywał od chwili wstąpienia do HRT. Życie tu zdawało się być jakąś źle określoną, falującą serią nagłych podróży do miejsc, o których nigdy nie powiedziano mu ani słowa, i zamieszkałych przez ludzi, których nigdy nie miał poznać.

- Wyjeżdżasz na parę tygodni - powiedział Jesus - ale to jest niezwykle tajna akcja. Rzecz jasna nie możesz ani słowa powiedzieć Caroline. Ona zrozumie. Zrozum sobie moją dupę - pomyślał Jeremy, przejeżdżając obok znaku, na którym widniał napis „Witaj w historycznym Hertford, w Karolinie Północnej”. Caroline już rok znosiła jego nieoczekiwane zniknięcia, po których następowały powroty bez wyjaśnień. Zawsze była silną kobietą i kochającą żoną, ale w każdym związku

121

jest jakiś punkt krytyczny. A on przeciągał strunę tak bardzo, że zaczynała pękać.

To tam, na prawo - pomyślał, otrząsając się z myśli o Caroline i trójce małych dzieciaków, które dorastały bez niego. Podjechał do wyglądającego dość zwyczajnie punktu wartowniczego. Było nie było, to jednak instalacje wojskowe, a przynajmniej te na powierzchni. Chociaż nigdy nie był w Harvey Point, to niektórzy w jednostce rozmawiali o tym tajemniczym miejscu, tak jak o Camp Peary. The Point, jak je nazywano, zajmowało najbardziej wysunięty na wschód kawałek hrabstwa Perquimans, parówkowaty kciuk wciskający się w Albermarle Sound.

Nazwane tak od jednego z pierwszych gubernatorów Karoliny Północnej, Harvey Point Defence Testing Activity spełniało rolę paramilitarnego ośrodka ćwiczebnego dla starszych rangą agentów CIA, ludzi pracujących z politykami, a także dla najtajniejszych grup w historii. Tutaj trenowali ochroniarze Jasera Arafata, rosyjscy agenci wywiadu, po inwazji w Zatoce Świń kubańscy rebelianci i wielu członków różnych organizacji, o których Ameryka Środkowa pewnie wolałaby nie słyszeć.

Chłopcy z jednostki powiedzieli Jeremy'emu, żeby nie pytał o drogę. Sąsiedztwo bazy zapewniało leżącemu nieopodal miasteczku tak potrzebne zatrudnienie i wsparcie finansowe. A poza tym toczyła się wojna. Wszyscy ciekawscy zwiedzający mogli się spodziewać, że usłyszą od mieszkańców Hertford pytanie: „Jaki punkt?”. Jeremy podjechał do punktu kontrolnego, gdzie jakiś głos ze stoickim spokojem poprosił go o przygaszenie świateł, wyłączenie wszelkich przenośnych urządzeń elektronicznych i podanie imienia oraz nazwiska. Tyle zachodu, aby wjechać do domu.

- Jeremy Waller, FBI - oznajmił snajper z HRT przy bramie. Przygasił światła, ale niskoprężne lampy rtęciowe i tak oświetlały wszystko. Po drugiej stronie bramy wykonanej z grubych stalowych prętów stał bardzo współcześnie wyglądający wartownik, a nieopodal niego jeszcze trzech mężczyzn w czarnych ubraniach jednostek SWAT i z karabinami M-4 gotowymi do strzału w rękę. Jeszcze inny mężczyzna trzymał na krótkiej smyczy prezentującego się po królewsku owczarka niemieckiego.

- Proszę pokazać swój dowód tożsamości do kamery, sir - zakomenderował autorytarny głos.

Jeremy wyciągnął dokumenty i po chwili brama się otworzyła. Skierowano go do drugiego budynku, gdzie znów musiał się wylegitymować,

122

a potem podpisać obowiązkowe, tajne formularze. Zabrano mu telefon komórkowy, a wręczono plaketkę, mapę i spis obowiązujących w bazie środków bezpieczeństwa.

- Czy chcesz też moją broń? - zapytał Jeremy, ale jeden ze strażników tylko się

roześmiał.

- Tak długo, jak wy tam w HRT jesteście tak dobrzy, jak mówicie, to nie -  
odpowiedział. - Zostałeś zakwaterowany w kwaterze dla oficerów-mężczyzn. Idź  
tak, jak wskazuje mapa, i zamelduj się w recepcji. Zawsze miej przy sobie  
przepustkę, przestrzegaj ograniczenia szybkości i miłego dnia.

Jeremy kiwnął głową i zrobił, jak mu kazano. Miał za sobą długą podróż i jedyne,  
czego teraz pragnął, to coś płaskiego, żeby się położyć.

•

SIRAD WESZŁA DO PUSTEJ WINDY i nacisnęła guzik siedemnastego piętra.

Chociaż

niemal wszyscy poszli już do domu, ona zwołała jednostkę SWAT złożoną z  
cybemautów, aby spróbować dobrać się do samego sedna tego co, jak zapewniał ją  
Jordan Mitchell, mogło oznaczać koniec Quantis. Zespół matematyków,  
programistów,

techników oraz inżynierów już rozstawił swój warsztat w bezpiecznym zakątku  
firmy i Sirad czekała długa noc wśród dziwaków.

Wkrótce po starcie w dół z dwudziestego szóstego piętra winda zatrzymała się.

- A niech to - wymamrotała Sirad pod nosem. Tylko jedna osoba mogła o tej porze,  
w nocy, wsiadać do windy na dwudziestym czwartym piętrze. To musiał być Hamid.

- Masz coś przeciwko temu, że wsiadę? - spytał.

Sirad uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, gdy Hamid wszedł do windy. Ten  
przystojny Amerykanin irańskiego pochodzenia nadzorował finansowe operacje  
Borders Atlantic, ale ona знаła go na zupełnie innej płaszczyźnie. Obecność  
Sirad w Borders Atlantic zawsze nastroczała specyficznych problemów i niestety  
Hamid też się do nich zaliczał.

- Hamid, posłuchaj, upłynął już rok. Czy nie zamierzasz pozwolić, żeby to  
wreszcie minęło?

- Jak można dojść do siebie po utracie miłości swego życia? - zapytał. - Czy  
komuś kiedyś się to udało, po takiej zdradzie? - Całe

zdanie zakończył uśmiechem, wyglądającym dzielnie, ale pełnym cierpienia.

- Proszę, już to zakończyliśmy.

Hamid wyciągnął rękę i ponaciskał guziki wszystkich pięter dzielących ich jeszcze od siedemnastego, aby opóźnić wyjście z windy.

- To ty zakończyłaś i tylko usłyszałem od ciebie, że bym nie zrozumiał - mówił.

- Przecież wiesz, że muszę teraz coś zrobić - odparła Sirad. - A to nie czas ani miejsce na taką dyskusję.

Sięgnęła do torebki po błyszczący do ust.

- Zawsze tylko praca - zaczął utyskiwać Hamid. - Nigdy jeszcze nie znałem nikogo, kto byłby tak niezdolny do jakiegokolwiek innej miłości, jak tylko do pracy.

Winda wreszcie zatrzymała się na siedemnastym piętrze i Sirad wyszła, nie odpowiadając Hamidowi. Ale on wysiadł za nią.

- Dobry wieczór, panno Malneaux, panie... - zaczął portier przy drzwiach, ale Hamid chwycił Sirad za ramię i przekreślił ją twarzą do siebie.

- A kiedy jest odpowiedni czas i miejsce? - spytał. - Ja tylko chcę wiedzieć, dlaczego?

Sirad odrzuciła nieco głowę i wyrwała rękę z uścisku Hamida. Wyglądała na autentycznie zdumioną. Co takiego tkwi w ego mężczyzn, że są tak czuli na punkcie odrzucenia? - zastanawiała się. - Miłość to coś, czego używają ofiary, aby usprawiedliwić swoją słabość. Jedynym czynnikiem prawdziwie szczerym i zadowolającym obie strony w każdym trwałym związku jest seks. Dlaczego nie mogę znaleźć mężczyzny, który to zrozumie i zaakceptuje?

- Czy wszystko w porządku, panno Malneaux? - spytał portier. Tak jak każdy w Borders Atlantic zrobiłby wszystko, aby tylko wyświadczyć przysługę tej niezwyklej piękności.

- Wszystko - odpowiedziała, rzucając iskrzący się uśmiech i czując, że Hamid wciąż nie spuszcza z niej oka. - Ale czy mógłby być pan tak miły i wpuścić mnie? Zapomniałam przepustki.

Drzwi kliknęły i magnetyczne sworznie odskoczyły. Sirad odwróciła się od porzuconego kochanka i poszła przed nim na spotkanie długiej nocy, która z

pewnością będzie pełna mniej przyjemnych zdarzeń.

•

124

PANI WICEPREZYDENT SPAŁA MOCNO na kanapie w swoim dawnym gabinecie, kiedy agent

z tajnych służb obudził ją, ponieważ dzwoniło z Gabinetu Ovalnego. Prezydent wzywał natychmiast na briefing w Situation Room. FBI zdobyło jakieś nowe informacje, mogące zaważyć na bezpieczeństwie kraju, i przedyskutowanie tego faktu nie mogło czekać do rana.

Beechum ochlapała sobie twarz wodą, przeciągnęła szczotką po włosach i pobiegła do gabinetu Jamesa, który spał obok biurka nakryty płaszczem.

Czterdzieści cztery godziny - myślała sobie, idąc szybko na czele pochodu przez tunel wiodący do zachodniego skrzydła Białego Domu. -Dwa dni prezydent pracuje bez krzty snu. Jak długo będzie tak funkcjonować, zanim zmęczenie nie spowoduje poważnych błędów w osądach?

- No dobrze, jestem - oznajmiła, wpadając do zatłoczonego i nieprzyjemnie pachnącego Sitroomu. - Co jest tak cholernie ważnego, że nie możemy zaczekać do rana i omówić to, mając jasny umysł?

Najpierw nikt nic nie odpowiedział. Havelock odwrócił się w stronę sekretarza obrony, który z kolei spojrział na dyrektora CIA, a ten na Alreda.

- Liczba ofiar - powiedział wreszcie prezydent.

- Liczba ofiar? - powtórzyła Elizabeth Beechum. - Co to znaczy?

- Liczba zabitych wynosi trzy tysiące sto dwadzieścia siedem osób -

poinformowała Andrea Chase. - Wszystkie kanały telewizji kablowej będą o tym bez przerwy. To już wiadomo oficjalnie - jest więcej ofiar niż jedenastego września.

Beechum wzniosła oczy ku górze i roześmiała się, ale śmiech ten zabrzmiał raczej jak kaszel.

- I to właśnie nad tym mamy tu dyskutować o drugiej w nocy? - spytała.

- To duża liczba - odparł Venable. - Za kilka godzin Amerykanie obudzą się, a my



musimy mieć gotową odpowiedź. Andrea, może zacytuj nam te dane.

- Tysiąc siedemnaście osób zginęło w trzech katastrofach samolotowych - z tego osiemdziesiąt procent to cudzoziemcy - relacjonowała szefowa sztabu Białego Domu.

- Dwa tysiące sto dziesięć straciło życie w trzech zamachach bombowych - niemal w osiemdziesięciu pięciu procentach to Amerykanie. Czy mam podać dane na temat każdego miejsca osobno?

125

- Nie, nie... to całkiem wystarczy. - Prezydent westchnął. Stał z rękami w kieszeniach. Olbrzymia ilość kawy, którą wypił w ostatnich dniach, sprawiała, że trząsał się tak bardzo, że aż było mu wstyd.

- A co możemy powiedzieć na temat śledztwa? - spytała Beechum. Fakt, że wszyscy tu zebrani tracą noc bezcennego snu dla czegoś takiego, wydawał się jej już przebraniem miary.

- Jak ci wiadomo - odpowiedział Alred - zburzyliśmy to, co jeszcze wieczorem uważaliśmy za bezpieczne schronienie w Anacostii.

- Uważaliśmy? - spytał Havelock oskarżająco. Zaczynały ujawniać się osobiste spory.

- Wciąż poszukujemy na miejscu katastrofy dokumentów i twardej dysków - ciągnął

dalej Alred - ale zdaje się, że już na więcej nie mamy co liczyć.

- Co takiego? - warknął Venable. - Mówiłeś, że to byli terroryści, że to byli...

- Mówiliśmy, że byli podejrzani - uciął dyrektor FBI. O tej porze każdy był nieco poirytowany. - Niestety to, co wzięliśmy za przygotowywanie bomby, okazało się podrabianiem kart kredytowych.

- Och, na Boga! - wykrzyknął Havelock, rzucając na stół pióro, co każdy ocenił jako gest zbyt teatralny.

- To ugrupowanie miało silne powiązania z radykałami w meczetach w Detroit, w Los Angeles i w Nowym Jorku - wyjaśniał Alred. - Ale okazało się, że oni chcą tylko ukraść pieniądze. Chodziło o oskubanie innych, a nie o zemstę.

Nikt nie odezwał się słowem.

• |

JEREMY'EGO OBUDZIŁ DZWONIĄCY TELEFON. Za poliestrowymi żaluzjami poranne niebo

wyglądało na zachmurzone. Błękitne tapety udające słoje na drewnie i sosnowe ramy obrazów nadawały pokojowi wygląd pomieszczeń w przyczepach samochodowych.

Znużony podróżnik myślał przez chwilę, że płynie gdzieś pogrążony w łagodnym, miłym śnie, ale telefon znowu zadzwonił i trzeba było go odebrać.

- Halo? - odezwał się, uświadamiając sobie, że nie ma pojęcia, gdzie jest.

- Czy to pan Waller? - zapytał oficjalnie jakiś męski głos.

126

- Tak. ;.-... \* ;;"'•'

- Dzień dobry panu, moje nazwisko Taylor. Dowódca bazy prosił mnie, abym do paaa zadzwonił i poinformował o dzisiejszym rozkładzie dnia.

- Tak - powiedział Jeremy. Oparł się na łokciu i sięgnął po papier i pióro. - Proszę mówić.

- Za piętnaście minut wszyscy zbieramy się w budynku tysiąc dwieście siedemnaście. Mamy odprawę EEI o czwartej zero zero, marsz przełajowy o szóstej, zajęcia psychologiczne o dziewiątej, a w południe jedzenie. Będziecie z powrotem w swoich pokojach o czternastej i przestudiujecie scenariusze symulowanych tajnych operacji, następnie o siedemnastej wracacie na symulator i jesteście tam do kolacji, to znaczy do dziewiętnastej. Potem czas na naukę.

Jeremy zdążył zapisać godziny. Reszty się domyślał, podczas gdy jego umysł znowu zapadał w sen.

- Zrozumiałem - skłamał. Na zegarze była 2.29. Spał zaledwie godzinę.

- Kierowca będzie czekać na dole - powiedział Taylor. - Zawiezie pana do oficerskiej kantyny. Kawa jest mocna, czarna i gorąca. Po pana głosie słyszę, że się panu przyda.

" fAu'.^: |, | •: ...> | \* | . | | .-v ,

SIRAD SZŁA KORYTARZEM, do którego z obu stron przylegały pokoje wypoczynkowe

oraz nafaszerowane urządzeniami technicznymi pomieszczenia, w których rozpracowywano tajne informacje. Jordan Mitchell zatrudnił większość personelu siedemnastego piętra, ściągając go z najrozmaitszych agencji wywiadu wojskowego, i plan Króliczej Nory oparty był na najlepszych przykładach podpatrzonych w NSA, CIA i DIA.

- Czy będziemy w stanie nad tym popracować? - spytała Sirad. Hamid stał krok za nią, wściekły za to, co dopiero zrobiła, ale nic nie stracił na swym profesjonalizmie.

- Sirad, tak jak mówiłaś, na wszystko jest odpowiednie miejsce i czas.

- No, to dobrze - dopowiedziała. - Ale w tym przypadku ani jedno, ani drugie się nie zgadza.

Obydwoje zwrócili się na lewo, w stronę dziwnie wyglądającej części korytarza, wyłożonego bardzo czułymi elektronicznymi sensorami.

127

Zaprojektowano je kiedyś specjalnie do pomieszczeń należących do CIA i NSA: ta mająca kształt litery „z” ścieżka fal działała niczym elektromagnetyczny prysznic, przepłukując wchodzących pracowników w poszukiwaniu wszystkiego, co mogłoby służyć za odbiornik, przekaźnik lub mikrofon. Projektanci, którzy pracowali nad Króliczą Norą, osłonili siedemnaste piętro ołowiem i innymi materiałami tłumiącymi dźwięk, ale pomimo tego nie było sensu się narażać. Nie wolno było wносить tam magnetofonów, laptopów, a nawet zakodowanych telefonów komórkowych Quantis.

- Dlaczego zawsze jak tędy przechodzę, czuję się tak, jakby ktoś chciał zajrzeć mi pod spódnicę? - śmiała się Sirad. - Dobrze, że dziś włożyłam spodnie, co?

Hamid potrząsnął głową, gdy znaleźli się na drugim końcu liczącego dwadzieścia stóp korytarza i weszli do dużego centrum operacyjnego, zbudowanego z tekowego drewna, zielonego szkła i chromu. Trzy ze ścian tego ośmiokątnego pokoju

zapełniały ekrany telewizyjne. Tablice bezkredowe, ekrany do projekcji, rozkłady zajęć i zegary wskazujące czas w różnych częściach świata zajmowały pozostałe ściany. Reszta przestrzeni zabudowana oknami o przydymionych szybach wychodziła na salę konferencyjną.

Komputery oraz kwadratowe pomieszczenia oddzielone ściankami działowymi zajmowały większą część centrum tego pomieszczenia. Na wysokości piętnastu stóp nad głowami zwisały przemysłne urządzenia tłumiące dźwięki. Podłoga była z gumy.

- Menedżerowie projektu proszeni są do sali A! - zawołała Sirad. Hamid naliczył dwunastu analityków, a tymczasem powinno ich być tu dwukrotnie więcej.

- Gdzie reszta? - zapytał. A wtedy drzwi się otworzyły i już wiedział. Sala A, jedno z pomieszczeń o szklanych ścianach na prawo, była już pełna. Eksperci, na których odpowiedziach polegała Sirad, najwidoczniej już zabrali się do roboty.

- Co mamy? - spytała Sirad, wkraczając do pokoju. Elegancko ubrany strażnik zamknął za nią drzwi. - Chcę zacząć od początku i posuwać się naprzód krok po kroku.

- To może być trudne - stwierdził Ravi. Już zapisał dużą tablicę bezkredową swoimi równaniami, znakami i rysunkami. - Od naszego ostatniego spotkania sprawy uległy pewnej zmianie. Analitycy wskazują na coś bardziej niepokojącego, niż początkowo myśleliśmy.

128

Sirad odsunęła sobie krzesło obok jakiegoś mężczyzny o azjatyckich rysach, ubranego w biały fartuch laboratoryjny z wyhaftowanym imieniem Lin nad lewą pierś. Miał króciutko, po wojskowemu obcięte włosy, dzięki czemu widać było na jego czaszce liczne blizny, choć niektóre zasłaniała częściowo czerwona opaska Nike. Pozostali ulokowali się za stosami papierów i mechanicznych pisaków. Sirad nie знаła nikogo z nich.

- To, co zdaje się tu mamy, to rodzaj sondy - kontynuował Ravi. Skierował laserowy wskaźnik na jeden ze swych rysunków i sięgnął po puszkę Fresca. - Zdaje się, że to jest raczej próba zwiadu aniżeli włamania. Stojący za tym ludzie

wydają się wypróbować nasz system, sondują oręż, szukając szczelin.

- Co oznacza, że tak naprawdę jeszcze się nie włamali? - zapytała Sirad.

- Nie, jeszcze nie - przyznał Ravi. - To tak, jakby ten, co chce napaść na pociąg, jechał obok wagonu z pieniędzmi. Śledzą strumień danych, monitorują aspekty naszej infrastruktury, ale na razie nie można powiedzieć, że są złodziejami.

Sirad nieco zdziwiła się porównaniem z Dzikiego Zachodu, ale przyznała, że dało jej ono właściwą ocenę zagrożenia.

- Cóż, to dobrze, prawda? - zapytała. - Jeśli jeszcze nie próbowali się włamać do systemu, to być może nie złamali naszych kodów. Czy wiedzą, że ich obserwujemy?

- Nie sądzę - odparł Ravi. - W przewód Quantis wbudowaliśmy superczuły mechanizm antywłamaniowy.

- Czy to oznacza, że możemy ich wykryć, zanim oni nas spostrzegą?

- Dokładnie tak.

- A więc jeśli oni jeszcze się nie włamali i nie wiedzą, że są śledzeni, to gdzie jest ta zła wiadomość?

Ravi wskazał na chudego, czarnego mężczyznę siedzącego dokładnie naprzeciwko Sirad. To, co najbardziej ją w nim uderzyło, to nie źle ostrzyżone włosy zrobione na afro, i nie T-shirt z napisem „Nie umiem strzelać”\*, ani też ołówek, który rytmicznie przekładał

\* W oryginale / Can 't Dunk. Jest to aluzja do słów szefa CIA, George'a Tenneta, który w przededniu wojny z Irakiem zapytany przez prezydenta George'a W. Busha o to, czy można udowodnić posiadanie przez Saddama Husajna broni masowego rażenia,

odparł, że to będzie slam dunk (łatwy strzał do kosza, bo w koszykówce wrzucenie piłki do kosza z góry określa się słowem dunk).

129

między długimi, cienkimi palcami, ale jego spojrzenie. Sirad poczuła na plecach

chłód.

- To tajny sondaż któregoś z udziałowców. - Ten czarny mężczyzna mówił zdecydowanie z pięknym brytyjskim akcentem. - W przypadku każdej zakodowanej wymiany obie strony, tak nadawca, jak i odbiorca, muszą mieć klucz. Jednak w przypadku systemu Quantis mamy do czynienia z milionami klientów, a to wymaga zupełnie nowego sposobu podejścia do protokołu.

- Nie można dać każdemu użytkownikowi klucza - zgodziła się Sirad. - To musi być wbudowane w system.

- Tak jest. A to ogranicza dostęp do klucza do bardzo wąskiego grona strażników wejścia.

- Jak wąskiego? - zapytał Hamid.

- W idealnych warunkach - do jednego - odpowiedział Nie Umiem Strzelać. - Ale to nie jest idealny świat. Jestem pewien, że Jordan Mitchell chciałby sam jeden kontrolować dostęp do Quantis, ale to po prostu niemożliwe. Jeśli coś by się mu stało, to system by zmarł, udusił się w swojej hermetycznie zamkniętej skórze. Sirad podniosła rękę do góry, jakby była w szkole. Ten facet miał rację; Jordan Mitchell zawierzył trzem innym osobom fragmenty tego klucza. Jedną z nich była ona.

- A więc dywersyfikacja - powiedziała. - Dzieli się tajemnicę na części i rozdaje kawałeczki małej grupie zaufanych osób.

- Tak jest - przytaknął czarny naukowiec. - Ale jak powstrzymać tych ludzi przed wzajemną współpracą?

Wstał, podszedł do białej tablicy Raviego i zaczął rysować.

- Nazwijmy to paradoksem Króliczej Nory.

Mężczyzna narysował niezdarnie frontowe drzwi na siedemnastym piętrze.

- Załóżmy, że dostęp do tego pokoju jest oparty na jakimś tajnym słowie, a nie na zamku szyfrowym. I załóżmy, że pani chce udowodnić strażnikowi, że zna pani to słowo, ale nie wyjawiać go.

Sirad skinęła głową. Właśnie znalazła się w podobnej sytuacji i gdyby nie jej olśniewający uśmiech, to nie weszłaby, nie mając przepustki.

- Potrzebuje pani do tego zerowej wiedzy, interaktywnego dowodu na posiadanie protokołu, który pokazałby strażnikowi, że zna pani to słowo, ale bez ujawniania go. Wysłała pani strażnika do pokoju, w którym widzi wszystko na monitorach, jednak niczego nie usłyszy. Pani po

130

prostu wymawia to słowo, drzwi się otwierają i pani wchodzi. A on to widzi i przyjmuje do wiadomości fakt, że pani zna słowo.

- A co, jeśli po prostu je zgadnę? Albo gdy ktoś otworzy drzwi z drugiej strony, a strażnik tego nie zauważy?

- Otóż to. Jest wiele sposobów, w jakie można pokonać ten system. Dlatego też ustawia się wiele drzwi i wiele haseł, tak aby było bardzo małe prawdopodobieństwo trafienia na to słowo.

Hamid i Sirad w tym samym momencie pojęli, o co chodzi.

- To jest ktoś stąd, z firmy? - zapytał Hamid.

- Ktoś, kto ma do czynienia z prawdopodobieństwem i statystycznym prawdopodobieństwem. Muszę zakładać, że tak, to ktoś z wewnątrz - powiedział Ravi.

Sirad zastanawiała się, co powiedzieć.

- To stawia nas w bardzo trudnej sytuacji, prawda? - spytała.

- Musi pani wziąć jeszcze pod uwagę taką ewentualność, że część klucza mogła zostać skradziona - dorzucił Ravi.

Sirad rozejrzała się po pokoju. Te twarze były dla niej całkiem nowe.

Potrzebowała ich jako ekspertów, ale komu tu ufać?

- Dość brudna sprawa, nie? - powiedział Nie Umiem Strzelać. -I teraz widzi pani pierwszy teoremat tajemnicy: w zamkniętym systemie zbiór liczb głównych jest odwrotnie proporcjonalny do możliwości jego rozwikłania.

- Najtrudniejsza rzecz w tajemnicy polega na podjęciu decyzji, komu ją powierzyć

- wyjaśnił Ravi.

GRZECZNY, ALE STANOWCZY SIERŻANT czekał na Jeremy'ego na dole i wskazał mu ręką

niebieską półciężarówkę.

- Witamy w Point - powiedział, a jego szeroki uśmiech ukazał złoty ząb. -

Pierwszy raz tutaj?

- Tak. - Jeremy przecierał zaspane oczy. Nienawidził tej szarej, zwykłej rzeczywistości, która następowała po misjach za granicą, kiedy umysł poddawał się i rezygnował ze snu, a potem nagle zaczynał się go domagać.

Szybko wypił filiżankę kawy i pojechali do budynku 1217. Tam Jeremy podziękował sierżantowi i wysiadł z samochodu przed domem, wyglądającym jak szeregowe budownictwo jednorodzinne w Europie

131

Zachodniej. Powitał go major sił powietrznych w odprasowanym idealnie mundurze.

- Dzień dobry. - Podał mu rękę, ale nie przedstawił się. - Wyspał się pan?

- Tak, sir - skłamał Jeremy. Usiłował skoncentrować się na uprzejmościach, ale otoczenie kompletnie rozpraszało jego uwagę.

- Proszę mi wybaczyć, majorze - powiedział. Kierowca wysadził go na skraju czegoś, co wyglądało jak olbrzymi teren hollywoodzkiego studia. - Przed przyjazdem tu nie zostałem specjalnie poinformowany. - Gdzie my, do cholery, jesteśmy?

Major wybuchnął takim śmiechem, jakby była to najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu słyszał.

- Witamy w MOUT, w Harvey Point - powiedział. - Czyli w Miejskim Terenie Operacji Wojskowych. Szesnaście kwartałów każdego cholernego miasta na świecie. Dziś rano odprawa odbędzie się w Monachium. Pójdzie pan prosto Menkestrasse, minie trzy przecznice - i już jest pan w małym baskijskim miasteczku o nazwie Guillermo. A Londyn to kilka przecznic stąd. W dwanaście godzin możemy zaprojektować, zbudować i z grubsza urządzić każde miasto, jakie tylko przyjdzie panu do głowy. A symulację nawet szybciej - to tu głównie będzie pan miał zajęcia.

- Budujecie miasta na niby?

- Tylko kwartały ulic. I wszystko zależy, co nazywa pan „na niby”. Proszę,



pokażę panu.

Wprowadził Jeremy'ego do jednego z domków, po czym wjechali windą na górę i weszli do sali, w której pełno było monitorów telewizyjnych przekazujących obraz z monitoringu wewnętrznego, sprzętu nagrywającego, ogromnych map, komputerów i planów. Elektroniczne zegary na ścianach pokazywały czas w każdej strefie czasowej świata, w środku wisiał zegar z czasem Greenwich, a pod nim napis „ZULU”.

Wielki napis na ścianie obwieszczał, że „Nie ma to jak show-biznes”.

- Witamy w postprodukcji - oznajmił major. - Mamy takie możliwości monitoringu, że pozwala nam to na równoczesną realizację czterech scenariuszy. Wszystko tu na miejscu. Mamy też około dziesięciu tysięcy akrów terenów leśnych i wiejskich, gdzie również ćwiczymy, ale wówczas filmujemy wszystko z innego miejsca.

- Jakich scenariuszy? Czego? - spytał Jeremy i natychmiast tego pożałował. Major spojrzał na niego identycznie, jak kiedyś Jesus podczas

132

wyprawy do Jemenu, a potem zaczął się śmiać. - No, jasne... dobre sobie. Wy, chłopaki z Agencji, zawsze macie obsesję na punkcie tajnych operacji.

Chłopaki z Agencji? - pomyślał sobie Jeremy.

- Jest pan gotów zaczynać?

Jeremy wzruszył ramionami. Pamiętał jedno z pytań, jakie otrzymał, przechodząc wstępny test podczas naboru do HRT. - Czy czytałeś kiedyś Alicją w Krainie Czarowi I nagle wszystko stało się idealnie logiczne. Życie tu, na zachodzie Stanów Zjednoczonych, to było całkiem jak w Alicji.

- Jasne - odparł Jeremy. - Niech pan prowadzi.

Major zaprowadził go do magazynu, zaraz obok „Londynu”. W środku było już czterech mężczyzn, wszyscy biali, w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu lat. John, który nie wymienił swojego nazwiska, powiedział, że jest teologiem z Divinity School przy Uniwersytecie Yale. Paul przedstawił się jako psycholog kliniczny z Uniwersytetu Johna Hopkinsa. George był podobno analitykiem

wojskowym do spraw wywiadu w bazie sił powietrznych w Boling. Fred nie udzielił na swój temat żadnych informacji, ale obiecał dać Jeremy'emu staranny przegląd wskazówek na temat produkcji broni chemicznej i biologicznej.

- Nie mam zamiaru próbować zrobić z ciebie biologa molekularnego - oświadczył - tylko chcę zapoznać cię z subtelnymi różnicami między sztucznym nawozem na bazie

fosforanu a środkami chemicznymi działającymi na system nerwowy używanymi w produkcji broni masowego rażenia. Przy okazji możemy też wyprodukować sobie nieco piwa.

Dodatkowe tereny Hollywood? Postprodukcja? Produkcja piwa? -dziwił się Jeremy. Jesus powiedział mu tylko tyle, że udaje się w małą podróż.

- Jestem Jeremy - powiedział - i pracuję dla Departamentu Sprawiedliwości.

- Dobra przykrywka - zachichotał John. - Pierwszy raz słyszę coś takiego.

\*

BEECHUM STAŁA U SZCZYTU stołu i najwyraźniej była w szoku. Prezydent Stanów

Zjednoczonych właśnie zaproponował, jeśli

133

dobrze go słyszała, przedsięwzięcie akcji wojskowej przeciwko ich wieloletniemu bliskowschodniemu sojusznikowi.

- Nie można ostrzegawczo zaatakować Arabii Saudyjskiej jedynie na podstawie stereotypów i spekulacji! - krzyczała.

Czuła się w obowiązku wtrącić, bez względu na to, czy była to wina pory, miejsca, czy też po prostu braku zdrowego rozsądku prezydenta.

- Elizabeth, mamy tu wiarygodne i dające powód do oskarżeń informacje wywiadu - odparował prezydent. - Wiem, że twoje doświadczenie jako przewodniczącej Komisji do spraw Wywiadu wyrobiło ci szpiegowskiego nosa, ale nie jesteś już w Senacie. Pracujesz dla mnie, a ja tu wietrzę robotę Saudyjczyków.

- Mamy pewien pozytywny rozwój wypadków - powiedział Havelock, próbując złagodzić napięcie. - NSA przechwyciła cztery rozmowy telefoniczne, które może

pana zainteresują.

Havelock wyciągnął rękę, a Vick podał mu gruby na pół cala plik zapisów z podsłuchu.

- To coś więcej niż zwyczajne rozmowy. - Pomachał dokumentami w powietrzu. - Określone godziny, daty, miejsca. Dwóch ministrów pewnych rządów rozmawia z, naszym zdaniem, ludźmi wyznaczonymi do jakiegoś zadania. Ci ostatni znajdują się na terenie Stanów Zjednoczonych. Rozmowy odbywano z telefonów Cjuantis, ale staramy się namierzyć numery.

- NSA nie może podsłuchiwać prywatnych rozmów. To nielegalne - zaproponowała Beechum.

- Podobnie jak wysadzenie w powietrze Wal-Martu! - ryknął Havelock, najwidoczniej również poddający się już stresowi.

- Co to znaczy, że nie możemy podsłuchiwać prywatnych rozmów? Dlaczego nie? - spytał prezydent.

- Dlatego, że jest coś takiego, jak Czwarta Poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych - odpowiedziała mu wiceprezydent. - NSA podsłuchuje rozmowy międzynarodowe bez ograniczeń, ponieważ osoby niebędące obywatelami Stanów Zjednoczonych nie są chronione przed dokonaną bez powodu rewizją ani zatrzymaniem. Jeśli chcemy założyć podsłuch na terenie CONUS, to albo musimy uzyskać nakaz sądowy, o którym mówi ustawa Title III, albo zezwolenie od FISA. Venable wyglądał na zmieszanego.

- Panie prezydencie, mamy wojnę - stwierdził Havelock. Vick chyba się z nim zgadzał, a Alred potrząsnął głową i westchnął.

134

- Muszę się z tym zgodzić, David - poparł swoich poprzedników sekretarz obrony.

- Jeśli Saudyjczycy finansują terrorystyczne operacje przeciwko cywilnej ludności Stanów Zjednoczonych, to nie wiem, w jaki sposób podsłuchiwanie rozmów telefonicznych może pogwałcić czyjekolwiek prawa konstytucyjne.

- Alred? - spytał prezydent. Musiał teraz oprzeć się na opinii dyrektora FBI.

- To sprawa dla adwokatów DoJ\* - powiedział. -A jeśli mam być szczery, to uważam,

że teraz najważniejszą sprawą jest niedopuszczenie do kolejnych ataków.

- Tak - zgodził się Venable. - Racja. Nie chcę już więcej słyszeć o tych prawnych zagadkach, rozumiano? Jeśli jakaś kwestia wymaga generalnej narady, to uzgodnijcie ją, zanim trafi ona na moje biurko... to znaczy podium... zanim ja...

Prezydent zdawał się płynąć wraz z potokiem swoich myśli.

- A co z podjęciem ostrzegawczej akcji wojskowej przeciwko Arabii Saudyjskiej? - zapytał sekretarz obrony. - Wybaczcie staremu wydze wojennemu, ale myślę, że lepiej jest teraz zademonstrować nieco siły, niż potem znów ładować ciała na ciężarówki, sir.

- Siły? - wtrąciła Beechum. Usiłowała nie odzywać się przez całe zebranie, ale teraz nie podobało jej się to, co usłyszała. - Arabia Saudyjska jest naszym długoletnim sojusznikiem - strategicznym i finansowym. Kontroluje OPEC. Jeśli wystąpimy z pozycji siły, to będziemy płacić siedem dolarów za galon benzyny.

- Co ty o tym sądzisz, Richard? - prezydent zwrócił się do Richarda Crabba, sekretarza stanu, który do tej pory nie zabierał głosu.

- Już z samej definicji opowiadam się za dyplomacją- stwierdził. - Opcje, które widzę, to po pierwsze upublicznić informacje dostarczone przez wywiad, zaapelować do Rady Bezpieczeństwa ONZ, zaatakować określone cele, albo też zastosować wobec Arabii Saudyjskiej dyplomatyczne rozwiązanie - jeśli mamy dość dowodów, aby występować z pozycji siły, to zapewne wystarczy ich, by porozmawiać

z ambasadorem. Czy przyszło tu komuś do głowy, że sam księżę może być tym wszystkim równie zdziwiony i rozzłoszczony, jak my?

- Tak, to bardzo dobry pomysł - zgodził się prezydent, któremu zdaje się znów wracał optymizm. - Kto przeciw?

\* Department of Justice - Departament Sprawiedliwości.

135

Havelock popatrzył na Vicka, a ten z kolei na sekretarza obrony, ale żaden z nich się nie odezwał.

- Dobrze! - wykrzyknął Venable. - Dzwonście.

- Ale jest trzecia w nocy - przypomniał Havelock.

- A do cholery z godziną. Ambasador to praktyczny człowiek. Jestem pewien, że woli wczesnoporanną rozmowę w cztery oczy niż wojnę.

V.::: . :::-'''

•

ŚWIAT JEREMY'EGO ZNÓW zaczął wirować. Po pierwsze, ale i najważniejsze, dowiedział się, że jego zadanie ma polegać na przeniknięciu do mało znanego i kryjącego się w cieniu zbrojnego ramienia Ruchu na rzecz Chrześcijańskiej Tożsamości zwanego Kapłanami Pinchasa.

Mały, radykalny i rozproszony ruch Kapłanów Pinchasa działał już od ponad dziesięciu lat i uważano go za pozbawiony przywództwa ruch oporu. Nie wykształcił struktury organizacyjnej ani też nie istniało w nim formalne członkostwo, a prawdziwi jego wyznawcy zyskiwali status kapłana przez dokonanie „aktu” Pinchasa, to znaczy gwałtownego ataku wymierzonego przeciwko społeczeństwu, które ich zdaniem było skorumpowane i całkowicie niemoralne. Przeważnie za cel ataków obierali sobie ludność kolorową, choć jeśli chodzi o homoseksualistów, małżeństwa osób tej samej płci czy aborcje, to kolor skóry nie odgrywał roli. Brak struktury organizacyjnej uniemożliwiał stróżom porządku publicznego przeniknięcie w głąb tego ugrupowania, ale równocześnie ograniczał jego skuteczność.

Aż do teraz.

Najświeższe doniesienia wywiadu sugerowały, że Ellis, były pułkownik sił specjalnych, zebrał grupę terrorystów działających na terenie Stanów Zjednoczonych i szkolił ich na ranchu Homestead w środkowym Teksasie. Jeremy słyszał o tym miejscu, ponieważ, jak na ironię, kilku snajperów z HRT również odbyło tam szkolenie.

Zadanie wydawało się proste, choć niezbyt łatwe. Jeremy miał przeniknąć do tej grupy, rejestrując się jako kursant, a następnie przekonać Ellisa, że naprawdę czuje się kapłanem Pinchasa. Ponieważ nie istniało żadne formalne członkostwo, każdy mógł rościć sobie pretensje do tego statusu, ale Jeremy miał przedstawić

rekomendacje: dowód popełnienia

1 36

w ciągu ostatnich kilku lat jakiegoś aktu przemoce 3<sup>^</sup>- Jescj polegał na tym, że jakiś prawdziwy kapłan mógł j nż nr<sup>^</sup>j . ^ Pr<sup>o</sup>b|ern koncie tę zbrodnię. na ^oi<sup>^</sup>  
Z tego, co widział Jeremy podczas odpraw, naj<sup>^^^</sup>ie<sup>^</sup>js krok groził bardzo gwałtownym i nagłym zakończeni<sup>^</sup> \*<sup>^</sup>iemc» je a'S2yv\y Jak również jego życia.

Peracj

- Czy zapoznałeś się z programem? - spytał o ^tatni i > n

c<sup>^</sup>ch. przepytuj<sup>^</sup>ą.

Jeremy rozpoznał tego człowieka, był kierowni bierna w -p • morce Bezpieczeństwa (FBI's Undercover SafeguLŁ:«"d \Ji nit) w o ° co. Siergiej Andropow wrył sobie miejsce w książk\*<sup>^</sup>ach poświęc<sup>^</sup>ie " historyi Biura, przenikając do rosyjskiej mafii w No"wym» Jorku al płacił za to. Stracił lewą rękę w bójce z nożowniŁ«c<sup>^</sup>iem i to tuż nr :z demaskowaniem całej szajki. Praca tajniaka ma svV"OJe rminusy

- Właściwie nie - odparł Jeremy. Jego zagranicr ^znydh mjsjj njg przedzały żadne szkolenia.

- No, to mamy dwadzieścia cztery godziny, afc<sup>^</sup>yś nsabrał formy. --A<sup>^</sup>ndropow mówił z wciąż wyczuwalnymi pozostałościami akcentu JVIaksyma Gorkiego. -

Najpierw ustalimy twoją nov<sup>^</sup>ą tożsamość.

Wyciągnął tekturową teczkę z aktówki firmy S<sup>^</sup>ł-msonite, takiej, jakie Jeremy widywał w swojej pierwszej pracy u ^-gentców pamiętających jeszcze czasy Edgara Hoovera.

- Od dziś należysz do bractwa uniwersyteckz<sup>^</sup>ego Lambda Chi, a twoje nowe imię i nazwisko brzmią: Jeremy W<sup>^</sup>-<sup>^</sup>lker, - Tu wielki Rosjanin roześmiał się z podobieństw do jego ulubi «conego filmu.

- Walker? Czy to trochę nie za blisko do mojej rodzi ny?

- Tak powinno być. Lepiej, aby było podobnej do twojego praw-<iziwego nazwiska, bo co, jeśli ktoś cię rozpozna w \_Jakirr»s publicznym miejscu i zawoła? - radził Andropow. - Zawsze jes'<sup>^</sup> lepiej być jak najbliżej prawdy. Wtedy tak łatwo się nie pomylisz.

Andropow wręczył Jeremy'emu teczkę, zawierającą szczegóły dotyczące jego nowej tożsamości.

- A co z pułkownikiem Ellisem i jego ugrupowaniem? - czoła Aviedzieć Jeremy, przerzucając kartki dossier. - Muszę mieć jakąś podstawową wiedzę na ich temat, jak też o...

- Wszystko we właściwym czasie. Teraz przetrudnij sobie swoje własne życie, a potem skupimy się na innych.

:" , •) • ł | : |

\nJ\

ś\*!«lutee=go

10.05GMT jfttrsonRoonom, Biały

nipr^

la.

ttlBASADOFW-R ARABI!SAUDYJSIcUąd^chał czan^V lown car - - z dyplomatą rejesF f

\ °ch umun^on(\ rówSecre s-et Service zaprowadził^ y^onu dla w/^W?

(Kflwaljuż = prezydent siedząc w ^ \*nym bujL» ^ \C

iWwodęzs z lodem. V6 ^A f\*\\*%o

-Panie amrrmbasadorze-powiedział V stając, i 4V\*11 \

szy, że ma rozszwiazane buty. Zdjął je, iC" \C Zmęczony 0t)\.\

wkładając, za-B^apomniatawiazac wczesnej godzisiny.

fr\

Przyszedł / \

Aśasadonor podał prezydentowi } f H l^dł. Przyj 6 a Piw wina koicominku Riisrda, ale v | ^epanowaF WL

Podejrzewam coś okropnego ^ V \x\*\ ambasad^ a> A

"«vjiŁV-^,IJvHUlll w^luujji.wjj^ ^ w»,„VMIJU»»ra

Ol do Harvar-tJirdu, potem do Oksford\*\*\*/ na \*\*y byli zdał4

"BfezyznaBaabyłalepszaniżprezyd/" \ /

V

za

X

\

Okropnesaego - powtórzył prezyd ^r ""^ ^ając się, ab, -WłaściW iwie „okropny" to  
dol5r^//aDe V ^ie> \

ty cho-aodzi o zamachy terrorys^j \* VS'^ę prosił t^LJ \ \ ^1 naszssze wyraz)

spółczuci^ . ^ił o całkow' \

\*icg0' -|| ^S\ /pV

położyłem sic,oład ten c?f ^ arsię zaczął VZeV • - JeBestem prezydentem Sta^

Uczonych o^ v

feech | tygodni.

t

136

w ciągu ostatnich kilku lat jakiegoś aktu przemocy. Jedyny problem polegał na tym, że jakiś prawdziwy kapłan mógł już mieć na swoim koncie tę zbrodnię.

Z tego, co widział Jeremy podczas odpraw, najmniejszy fałszywy krok groził bardzo gwałtownym i nagłym zakończeniem jego operacji. Jak również jego życia.

- Czy zapoznałeś się z programem? - spytał ostatni z przepytujących.

Jeremy rozpoznał tego człowieka, był kierownikiem w Tajnej Komórcie

Bezpieczeństwa (FBI's Undercover Safeguard Unit) w Quanti-co. Siergiej Andropow

wyrył sobie miejsce w książkach poświęconych historii Biura, przenikając do

rosyjskiej mafii w Nowym Jorku, ale zapłacił za to. Stracił lewą rękę w bójce z

nożownikiem i to tuż przed zdemaskowaniem całej szajki. Praca tajniaka ma swoje minusy.

- Właściwie nie - odparł Jeremy. Jego zagranicznych misji nie poprzedzały żadne szkolenia.

- No, to mamy dwadzieścia cztery godziny, abyś nabrał formy. -Andropow mówił z wciąż wyczuwalnymi pozostałościami akcentu Maksyma Gorkiego. - Najpierw ustalimy

twoją nową tożsamość.



Wyciągnął tekturową teczkę z aktówki firmy Samsonite, takiej, jakie Jeremy widywał w swojej pierwszej pracy u agentów pamiętających jeszcze czasy Edgara Hoovera.

- Od dziś należysz do bractwa uniwersyteckiego Lambda Chi, a twoje nowe imię i nazwisko brzmią: Jeremy Walker. - Tu wielki Rosjanin roześmiał się z podobieństw do jego ulubionego filmu.

- Walker? Czy to trochę nie za blisko do mojej rodziny?

- Tak powinno być. Lepiej, aby było podobne do twojego prawdziwego nazwiska, bo co, jeśli ktoś cię rozpozna w jakimś publicznym miejscu i zawoła? - radził Andropow. - Zawsze jest lepiej być jak najbliżej prawdy. Wtedy tak łatwo się nie pomylisz.

Andropow wręczył Jeremy'emu teczkę, zawierającą szczegóły dotyczące jego nowej tożsamości.

- A co z pułkownikiem Ellisem i jego ugrupowaniem? - chciał wiedzieć Jeremy, przerzucając kartki dossier. - Muszę mieć jakąś podstawową wiedzę na ich temat, jak też o...

- Wszystko we właściwym czasie. Teraz przestuduj sobie swoje własne życie, a potem skupimy się na innych. , ,

wt  $W > i$  ,  $i \downarrow < I$

Rozdział VIII

Środa, 16 lutego v , . •

10.05 GMT ,

Jefferson Room, Biały Dom - .«,, «>t,V' uv \*. i \*

AMBASADOR ARABII SAUDYJSKIEJ przyjechał czarnym cadilla-kiem town car z

dyplomatyczną rejestracją. Dwóch umundurowanych oficerów Secret Service zaprowadziło go do salonu dla gości, gdzie oczekiwał już prezydent, siedząc w tapicerowanym bujanym fotelu i sącząc wodę z lodem.

- Panie ambasadorze - powiedział Venable, wstając, i zapomniawszy, że ma rozwiązane buty. Zdjął je, aby ulżyć zmęczonym stopom, a wkładając, zapomniał

zawiązać. - Miło, że pan przyszedł pomimo tak wczesnej godziny.

Ambasador podał prezydentowi rękę i usiadł. Przyjemny ogień buzował na kominku Rumforda, ale w pokoju nie panowała przytulna atmosfera.

- Podejrzewam coś okropnego - powiedział ambasador. Uczęszczał do Harvardu, potem do Oksfordu. Niektórzy byli zdania, że jego angielszczyzna była lepsza niż prezydenta.

- Okropnego - powtórzył prezydent, nachylając się, aby zawiązać buty. -

Właściwie „okropny” to dobre słowo.

- Czy chodzi o zamachy terrorystyczne? Księżę prosił mnie, abym przekazał nasze wyrazy współczucia i zapewnił o całkowitej współpracy mojego...

- Nie położyłem się, odkąd ten cały koszmar się zaczął - przerwał prezydent. - Jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych od trzech tygodni. Trzech tygodni.

138

Wstał i obszedł krzesło, stając za jego oparciem, tak że ambasador musiał nienaturalnie wykręcić szyję, by patrzeć mu w oczy.

- Tak. - Saudyjczyk starał się zrozumieć podtekst tych słów. -Wiem.

- Wobec tego wie pan, że ludzie stojący za tymi atakami próbują wykorzystać mój brak doświadczenia, być może wykazać moją słabość. Chcą wykorzystać fakt, że sprawuję ten urząd zbyt krótko, aby czuć się głównodowodzącym sił zbrojnych, i że mogę być nieprzygotowany do wypełniania roli naczelnego dowódcy sił zbrojnych.

- Z pewnością istnieje taka możliwość - zgodził się ambasador. Wyglądał na autentycznie zatroskanego. -Ale ja tak nie myślałem.

- Nie, oczywiście, że nie - przytaknął Venable nieco żartobliwie. -Przecież jest pan dyplomatą. Uczył się pan taktu i protokołu.

- Dlaczego zaprosił mnie pan tutaj, sir? - dopytywał się ambasador. Jako dyplomata bardzo dobrze wyczuwał wszelkie zmiany modulacji głosu.

Venable podszedł do kominka i wrzucił do ognia brzożowe polano, którego kora natychmiast zajęła się iskrami i zaczęła syczeć.

- Nasz rząd ma mocne dowody na to, że pewne grupy interesów wchodzące w skład

rządu w pana kraju przekazują pieniądze do Stanów Zjednoczonych w celu finansowania działań terrorystycznych.

Doradcy Venable'a radzili mu, aby podniósł tę kwestię ostrożnie, ale przecież w tych tchórzliwych atakach zginęli Amerykanie, trzeba było działać.

- Ależ to niedorzeczne - stwierdził ambasador. Wyglądał na speszonego, jak gdyby wczesna pora płała figle -jemu bądź prezydentowi. -Arabia Saudyjska to najbliższy sojusznik Stanów Zjednoczonych. Nie może pan poważnie sądzić, że...

- Mamy konkretne dowody: przekazy pieniężne, podsłuchy z rozmów telefonicznych, potwierdzenie danych przez kilka rozmaitych śledztw. A nawet mamy jednego z tych ludzi odpowiedzialnego za zestrzelenie samolotu w Los Angeles - to obywatel Arabii Saudyjskiej. Właśnie teraz, kiedy rozmawiamy, jest przesłuchiwany.

Ambasador nie wiedział, co powiedzieć.

- Poprosiłem pana tutaj, aby przekazać wiadomość pańskiemu rządowi - oznajmił prezydent Venable. - Ma pan trzy dni na dostarczenie nam nazwisk tych, którzy są odpowiedzialni za te terrorystyczne zbrodnie. Domagamy się pełnego ujawnienia osób przebywających na terenie

139

Stanów Zjednoczonych i mogących wciąż stanowić dla nas zagrożenie. Żądamy natychmiastowego zaprzestania finansowego wspierania terrorystów, a także pełnej współpracy w śledztwie w celu ustalenia, kto w łonie rządu pana kraju mógł wiedzieć o tych zbrodniach.

Venable uderzał ręką w oparcie krzesła, ale cały ten dramatyzm zdawał się nie docierać do ambasadora, który siedział patrząc nieruchomo w ogień.

- Brak mi słów - wyjąkał. - To jest absolutnie oburzające. Czy pan nam grozi?

- Czy grożę? Czy wam grożę! - Głos Venable'a się wzmagił. -Nie, nie grożę wam, ale jeśli mój kraj cierpi tak bardzo, to wy poznacie cały zakres moich zobowiązań!

Ogień zatrzęszczał, a ambasador wstał.

- Przykro mi, że nasze pierwsze spotkanie nie mogło przebiegać bardziej ugodowo. Mój rząd wiązał z pana prezydenturą wielkie nadzieje - powiedział ambasador,

kierując się ku drzwiom, ale nagle coś sobie przypomniał.

- Proszę wybaczyć moje niestosowne zachowanie. - Wyciągnął rękę do prezydenta, ale ten trzymał się kurczowo wyściełanego adamaszkiem oparcia krzesła.

- Proszę przekazać moje uwagi księciu - warknął. - Sądzę, że w tej sytuacji formy grzecznościowe nie obowiązują.

• .-|' |>>>| • ..

„SĄ CI, KTÓRZY przestrzegają praw boskich, i ci, co tego nie czynią. Ci, którzy przestrzegają, są Prawowierni. Ci, którzy nie, są wyjęci przez Boga spod prawa. A ten wyznaczył już mającą ich spotkać karę”.

Pułkownik Ellis siedział na obitym skórą krześle Morrisa i czytał przy świetle, jakie rzucała stojąca lampa, a z góry spoglądały na niego głowy egzotycznych zwierząt: koziorożca alpejskiego, bawołu błotnego, niedźwiedzia polarnego, rysia, ponad dwanaście rzadkich, a nawet zagrożonych wyginięciem gatunków zwierząt z całego świata. Pełne sęków sosnowe panele nadawały temu wnętrzu charakter wiejskiego dworu.

Okladka książki była zniszczona, a Ellis czytał bez okularów. Słowa tańczyły w jego umyśle, a oczy, które oglądały już w życiu więcej, niż można by uwierzyć, wciąż widziały ostro i wyraźnie.

140

Vigilantes Christianorum Richarda Kelly'ego Hoskinsa zawsze sprawiało na nim wrażenie książki mającej dobry zamysł, ale jednak traktującej wydarzenia w sposób ograniczony. Książki takie jak The Turner Diaries Williama L. Pierce'a były wyśmiewane przez tych, którzy nie pojmowali leżącej u podstaw ich napisania pasji pozostałych uczniów Chrystusa. Jednak naprawdę wierzących i służących sprawie te strony napawały nadzieją na lepszy świat.

Lepszy świat - pomyślał sobie Ellis i omal nie zadławił się tą ironią.

Przez trzydzieści lat służył swojemu krajowi, był patriotą i szukał sposobów, by tego dowieść. Najpierw był Wietnam. Przyjechał do Hue-Phu Bai w 1965 roku, zaraz po świętach Bożego Narodzenia, jako świeżo upieczony porucznik przydzielony do jednostki zwiadowczej sił specjalnych podporządkowanej MAC-V-SOG. Armia

właśnie

dopiero co przejęła od CIA przeprowadzanie tajnych i nielegalnych operacji, kierując plemiona takie jak Montagnard, Hoa i Nung przeciwko żołnierzom Wietkongu w Laosie, Kambodży i południowych Chinach.

„Kapłani Pinchasa serwują wyroki, a Bóg nagradza ich przymierzem wiecznego kapłaństwa”.

Stamtąd przeniósł się i wziął udział w nadzorowanym przez CIA programie pacyfikacji noszącym kryptonim operacja Feniks i w 1968 roku służył pod rozkazami pułkownika Franka Brakera. Na początku przydzielono Ellisa do Census Grievance w prowincji Quang Ngai. Ellis, choć nadal był oficerem sił specjalnych, podlegał specjalnemu doradcy CIA.

Właśnie wtedy widział i robił rzeczy, o które nawet nie podejrzewał MAC-V-SOG. Okres jego udziału w operacji Feniks zmienił podejście tego pełnego zapалу młodego oficera do wojny. Nauczył się, że terror, tortury, gwałt i eksterminacja odnosiły o wiele lepszy skutek wobec odradzającego się wciąż na nowo oporu. Lotnictwo mogło ogołocić dżunglę z liści za pomocą Agent Orange i wyrzucić wszystko do góry nogami, realizując hasło ataków Arc Light, ale wróg po prostu zniknął w ciągnących się pod ziemią korytarzach lub roztapiał w wioskach. Do walki z partyzantką wojsko amerykańskie było źle przygotowane.

Lepiej szło obniżanie woli walki wroga.

- Pozwólmy żołnierzom ukryć się w podziemnych tunelach, a gdy ich nie będzie, wybijemy ich rodziny. Niech sobie Ho Szi Min gada o poświęceniu, a my będziemy szerzyć strach przed gwałtami, torturami

141

i mordami dopóty, dopóki poświęcenie nie stanie się zbyt przerażającym słowem, aby wykorzystywać je jako polityczny slogan.

W lipcu 1966 roku złożył mu wizytę jakiś ubrany po cywilnemu facet. Ellis dowiedział się, że jego sukcesy w MAC-V-SOG zwróciły na niego uwagę wyższych oficerów. Sponsorowane przez CIA studium na temat roli oraz misji orzekło, że jedynie „pacyfikacja” przyniesie skutki, których nie zdołano osiągnąć

konwencjonalnymi metodami wojskowymi. Ten nowy program pilotowany przez tak zwaną kadrę na rzecz rozwoju rewolucji miał zniszczyć infrastrukturę Wietkongu, a zaraz potem miała nastąpić kampania zapewniająca poparcie Wietnamczyków dla tego programu. W tej partyzanckiej wojnie nową bronią stały się propaganda oraz wojna psychologiczna. Dlatego też CIA potrzebowała nowych członków.

Ellis kupił to natychmiast.

Najpierw było My Lai, a potem prowincja Quang Nam, Phuoc Tuy i kilka innych miejscowości, o których każdy wolałby nigdy nie słyszeć. Ellis pracował z małymi grupami z ludu Montagnard, koordynując kampanię, która rozciągała się wzdłuż granic z Laosem oraz Kambodżą. W początkowym etapie skierowano wysiłki przeciwko

Wietkongowi i bezpośrednim strukturom popierającym go, ale później listę celów rozciągnięto na kolaborantów, popleczników, sympatyków i każdego, kto tylko mieszkał w danej wiosce. A właściwie to cel już prawie się nie liczył. Ścięcie kilkudziesięciu głów i zatknięcie ich na palach przy wejściu do wioski stanowiło ostrzeżenie, bez względu na polityczną przynależność.

To, na co Ellis napatrzył się podczas pierwszych etapów operacji Feniks, zmieniło jego sposób widzenia wojny. A także Ameryki oraz ludzkości.

Gwałt, tortury, porwania i jawna deprawacja. Podlegający mu bezpośrednio żołnierze zaczęli „zbierać trofea” - czyli stosować stary, indiański zwyczaj obcinania zabitej ofierze jakiejś części ciała. I tak mężczyźni nosili całe naszyjniki z uszu, języków, palców albo skalpów niczym medale za dobrą służbę. Nie przejawiali już żadnego szacunku dla szarży, słusznie uważając, że rozkazy wydawane przez cywila należącego do specjalnej jednostki podlegającej CIA mają identyczne znaczenie, jak te pochodzące od faceta z czterema gwiazdkami na epoletach. Zabijanie - tylko to się liczyło. Stało się walutą i decydowało o randze. Przeżywali ci, którym wychodziło to doskonale, jeśli nie - umierali.

Proste. Poetyckie.

142

Po trzech latach spędzonych w MAC-V-SOG i kolejnych trzech w operacji Feniks

Ellis wiedział, że musi podjąć decyzję. Pomimo ciągłego przebywania w Wietnamie spłodził trójkę dzieci. Jego żona starała się jak mogła wychować je, mieszkając w dzielnicy dla dyplomatów w Bangkoku. A on, jeśli chciał zachować choćby skrawek tego, co jeszcze miało dla niego znaczenie na tym świecie, musiał uciec z południowoazjatyckiej dżungli i nauczyć się jeszcze czegoś innego poza mordowaniem.

Odpowiedź przyszła jednej nocy, na polu ryżowym nieopodal pewnych charakterystycznych punktów orientacyjnych widniejących na mapie, które zapamiętał tylko dlatego, że były to drzewa.

Operacja była tajna, jak wszystko, co robili. Byli ubrani w czarne „pizamy”, a do butów, jakie nosili w dżungli, mieli przyszyte specjalne podeszwy, tak aby ich ślady przypominały te, jakie zostawiają noszone przez Wietnamczyków sandały. Jedli tamtejszą żywność, aby woń ich potu była identyczna jak żyjących tam ludzi, ale broń mieli amerykańską, no bo taką miały żółtki. Żadnych śladów posiadanej rangi ani przynależności do konwencjonalnej armii. Ellis miał ze sobą, oprócz swojej jednostki, dwóch oficerów ze Special Exploitation Service Południowego Wietnamu, trzech z plemienia Nung i eksperta do spraw nawiązywania kontaktów z tubylcami z Czwartej Grupy do spraw Operacji Psychologicznych.

Zrobili zrzut z powietrza na coś, co było znane jako Prairie Fire AO\* - obszar jednej z najzacieklejszych operacji na terenie Indochin. Dwa pilotowane przez Wietnamczyków helikoptery H-34 zrzuciły ich na teren przypominający z wyglądu raczej Białe Góry w New Hampshire aniżeli południowoazjatycką dżunglę.

W kilka godzin znaleźli się na błotnistej nizinie: tylko pola ryżowe i deszcz.

Bezksiężycowa noc, a jedyny dźwięk, jaki dochodził do ich uszu, to hipnotyzujące kapanie wody rozpryskującej się o powierzchnię innej wody.

Jeden z tubylców z plemienia Nung - maleńki, ale zaciekły łowca skalpów o imieniu Seu - szedł jako pierwszy. Ellis pamiętał, jak wpatrywał się w owłosioną szyję Seu, kiedy nagle jego głowa zniknęła, pozostawiając sam korpus. Ellis widział już najrozmaitsze rodzaje śmierci

\* Skrót od area of operation - teren działania.

oraz rany, ale nigdy jeszcze nie widział tak czystej egzekucji, jak gdyby wszystko roztopiło się w deszczu.

A potem przyszedł „Obcy” - tak jego ludzie nazywali tego potwora - i czas rozliczeń, którego wszyscy się spodziewali prędzej czy później. Nikt z tych mężczyzn nie znał już uczucia strachu, ale rozumieli, że nastąpi chwila wyrównania rachunków.

Śmiercionośne strzały, grzechot AK, zapach siarki, ogień, wypluwane powietrze, części ciała pluskające w wodę zalegającą ryżowe pole, ta cisza walki, gdy niepojęta przemoc sprowadza się do tylko trochę rozpraszającego pomruku.

I to właśnie wtedy Ellis odnalazł Jego. Ciężko ranny, walcząc gwałtownie pomimo bólu, beznadziejności i jawnie sprawiedliwej śmierci, Ellis poczuł w swym sercu coś, czego jeszcze nigdy przedtem nie odczuwał.

Wiarę.

Najpierw myślał, że to adrenalina, naturalna psychologiczna reakcja na pewną śmierć. Wokół niego przetaczało się tyle światła i równocześnie anowała taka ciemność. Znekane twarze. Krew i wnętrzności wyciekające na obcą ziemię. I ten śmiech „Obcego”, za daleko, by go dosięgnąć.

Wiara.

Ellis wiedział, że umiera, że nie przeżyje tej walki i że nigdy już nie zobaczy ani żony, ani dzieci, które kilka tygodni temu zdecydował się ocalić. Ale coś go schwyciło, coś, czego nigdy przedtem nie odczuwał - ani w domu swojego wuja alkoholika, ani w domach rodzin 'zastępczych, w college'u czy nawet w armii. Czuł, że to coś wypełnia go całego, podobnie jak złość, ale jednak inaczej. Tym razem był przepelniony nieomylnym przeczuciem, że pewnego dnia to będzie miało znaczenie. Że przeżyje i że czekają go jeszcze inne bitwy.

Kiedy go znaleziono, był ciężko ranny. Lewe płuco było do niczego, czaszka pęknięta, a ciało dosłownie zwisało z jednego biodra. Ten, który go znalazł, najpierw minął go, sądząc, że Ellis nie żyje, ale wrócił, zobaczywszy, że dwaj inni oddychają.



Jeden z nich leżał schowany pod Ellisem, który trzymał się mocno zakrwawionej saperki.

Kiedy przyznawano mu Medal Honoru, powiedziano, że tym szpadlem zabił dziewięciu żołnierzy nieprzyjaciela. Dwóch świadków, którym udało się przeżyć, zapewniało, że walczył, jak opętany. Opętany, ale czym? Tego nie umieli powiedzieć.

144

- Pułkowniku? - rozmyślenia przerwał mu głos żony. Pat zapukała w otwarte drzwi, ale nie weszła. - Pułkowniku? Czy wreszcie położysz się spać?

Nie znosiła, jak jej ukochany mąż siedział tu w swoim biurze całą noc, ale też wiedziała, że nawiedzały go różne wspomnienia.

- Tylko nadrabiam zaległości w czytaniu - zapewnił ją Ellis, odkładając książkę na stojący obok stół, ale zapominając zaznaczyć, w którym miejscu przerwał czytanie. - Wracaj na górę, kochanie. Zaraz przyjdę.

To właśnie wtedy przyszedł po niego Bóg. Ellis to wiedział. Wtedy został zbawiony. Każdy haust powietrza, jaki udało mu się zaczerpnąć tamtej potwornej nocy, był ku chwale Jego świętego wezwania i wiary, że pewnego dnia ten niewierzący człowiek może okazać się wartościowy.

∴; •"•;.!|... ' | ∴<'••!' • ' | |||| ,•;|',-

- ALEŻ TO JEST IDIOTYCZNE - oświadczył Jeremy. Nawet nie usiłował ukryć rozbawienia, gdy tak stał w pustym pokoju ubrany w zielony kombinezon nomeksu i mając ponad oczami przymocowane coś, co przypominało grę wideo. Wynalazek Bucka

Rogersa był połączony cienkim drucikiem z paskiem szerokości dwóch cali.

- Dla Departamentu Sprawiedliwości nic nie jest dość dobre - zażartował John.

Wciąż uważał zapewnienie Jeremy'ego, iż jest tajnym agentem FBI, za zabawne.

- Powinieneś sprzedawać to w jakiejś galerii handlowej. Zarobiłbyś miliony.

- Właśnie tego się spodziewam - odpowiedział mu z przekąsem technik. - Ale wynalezienie tego kosztowało o wiele więcej! - Zrobił kilka końcowych poprawek i przekręcił pokrętło.

- No, do cholery! - wykrzyknął Jeremy może trochę za głośno.

- Przykręć kontrast, jest za jasno - polecił mu technik, wyraźnie znużony tym, iż Jeremy nie lubi niekończących się poprawek.

Kiedy wreszcie już wszystko zostało prawidłowo ustawione, w urządzeniu, które Jeremy miał na głowie, obraz przestał ukazywać cztery puste ściany, ale pojawiła się rozległa, otwarta przestrzeń porośnięta krzakami chaparrala i niskimi kaktusami. Symulator przeniósł go w czasie i przestrzeni na teren, nad którego horyzontem rozpościerało

145

się piękne, błękitne niebo. Jasne, południowe słońce świeciło prosto na jego ramiona.

- Zdumiewające - tylko tyle mógł powiedzieć snajper z FBI. W jakimkolwiek kierunku spojrzął, wszystko zdawało się realne, choć był to tylko obraz wideo o dużej rozdzielczości daleko, bardzo daleko od Harvey Point.

- Teraz włączam głos - oznajmił technik. - Jest w pełni interaktywny, ale w przypadku niektórych pytań może wystąpić niewielkie opóźnienie.

I w tym momencie więzi Jeremy'ego ze wszystkim, co pamiętał jako rzeczywistość, znikły w powieści Zane'a Greya. Był tam pęd pustynnego wiatru, odgłos rżenia koni, a w pobliżu huk wystrzałów. Do nozdrzy wpadał suchy zapach otwartej przestrzeni, choć później John powiedział, że było to doznanie psychosomatyczne.

- Pan Walker? - spytał ktoś.

Jeremy odwrócił się w prawo i oto stał przed nim sześćdziesięcioletni emerytowany pułkownik sił specjalnych, teraz cieszący się sławą ostatniego z tajnych agentów wywodzących się ze starej szkoły - uczestnik tajnych operacji, który nigdy nie chował się pod płaszczykiem dyplomaty.

- Pan pułkownik Ellis? - domyślił się Jeremy. - To zaszczyt spotkać pana, sir. - Wymyślał odpowiedzi na poczekaniu, ale pewna doza szacunku zdawała się jak najbardziej właściwa.

- Miło pana poznać, Jeremy - odparł pułkownik. U jego prawego biodra wisiał pistolet kanadyjskiej firmy Para-Ordnance. Na przegubie ręki migał wskazujący

oprócz czasu lokalnego także GMT rolex ze szkiełkiem mieniącym się raz czerwono, to znów niebiesko. Buty były idealnie wyczyszczone, choć już pokryła je cieniutka warstewka teksańskiego pyłu.

- Tyle o panu czytałem - kadził mu Jeremy. Andropow uczył go, że bardzo ważne jest ściśle trzymanie się starannie ustalonego życiorysu i unikanie w nowym „ja” jakiegokolwiek pretensjonalności. Jednak każdy w sytuacji, w jakiej znalazł się Jeremy, starałby się schlebiać Ellisowi, gdyż niewielu w czasie służby wojskowej osiągnęło tyle, co on.

- E, proszę nie wierzyć we wszystko, co pan czyta - rzekł Ellis. Jeremy starał się zdecydować, czy sterować tą rozmową. John, ten teolog z Yale, udzielił mu wykładu na temat dogmatów Ruchu na rzecz

146

Chrześcijańskiej Tożsamości i najrozmaitszych wypaczeń nauk Biblii, jakie mógł usłyszeć od kapłanów Pinchasa. Z kolei Paul, psycholog z Uniwersytetu Johna Hopkinsa, w czterdzieści minut zrobił wszystko, co się dało, aby przygotować Jeremy'ego na psychopatyczne dewiacje psychiki pułkownika. George udzielił mu informacji na temat wszystkiego, co tylko wywiad wojskowy wiedział o trzydziestoletniej karierze tego człowieka: raportów o przygotowaniu do służby, placówek, na których przebywał, życiorysu, a nawet szczegółów o ściśle tajnych misjach, jakimi kierował on zagranicą. Fred jeszcze nie dotarł do spraw związanych z bronią masowego rażenia, ale Jeremy przypuszczał, że to będzie na końcu.

- Rozumiem, że zamieszka pan w chacie - powiedział pułkownik. - Więc może teraz oprowadzę pana.

- Będę wdzięczny.

I z tymi słowy Jeremy zanurzył się w wirtualną rzeczywistość przygotowań do zadania, przed którym każdy normalny człowiek by się chwilę zawahał.

;i> |' . '||| . . ! . • .. \*

SIRAD ODCHYLIŁA SIĘ do tyłu w swoim krześle, zastanawiając się nad poważnym

problemem, jaki napotkała grupa jej ekspertów. Jeśli jeden z tajnych współdziałowców Mitchella rzeczywiście postanowił spróbować zatakować część składową szyfru, to oznaczało to także, że ta osoba mogła ujawnić prawdziwe intencje Borders Atlantic, to znaczy zbieranie informacji. Fakt, że firma Jordana Mitchella służyła jako inkubator dla tajnego programu CIA, mógł się okazać niezwykle lukratywnym kąskiem, który da się doskonale wykorzystać bądź szantażując, bądź też sprzedając jako tajemnicę obcym państwom, przede wszystkim Arabii Saudyjskiej.

- Ile mamy na to czasu? - spytała.

- Trudno orzec. To zależy od tego, na ile ten intruz chce wykorzystać swoją szansę. Mogą po prostu sobie siedzieć i czekać na naszą reakcję, albo też śmiało przeć naprzód. Trudno przewidzieć, co zrobią, jeśli nie rozumiemy ich prawdziwych intencji.

Sirad wskazała na faceta w T-shircie.

- Przepraszam, jak się nazywasz?

- A czy to ważne? - Wzruszył ramionami.

147

- Nie sądzę. - Sirad również wzruszyła ramionami. - Tylko nie chciałabym mówić „Hej, ty tam”.

- Ray.

- No, dobrze, Ray... czego teraz możemy się spodziewać?

- Myślę, że ataku z wykorzystaniem algorytmów komórkowych, to znaczy jeśli ci ludzie są profesjonalistami, a nie jakimiś hakerami z liceum.

- Zgadzam się - stwierdził Ravi. - Jeżeli będą starali się włamać, to użyją komórkowych algorytmów aproksymacji. Ja bym tak zrobił.

- Jeszcze ktoś? - spytała Sirad. Zdała sobie sprawę, że jedenaście osób, które także znajdowały się w tym pokoju, nie powiedziało ani słowa.

- Nie wiem, ile czasu zajmie tym ludziom próba włamania - odezwała się Koreanka o krótko obciętych włosach w kolorze węgla - ale mam dość dobry pomysł, jak ich znaleźć.

Wszyscy spojrzeli na nią. Tak bardzo skoncentrowali się na systemie obrony, że nikomu nawet nie przyszło do głowy, że można by odwrócić sytuację.

- Słuchamy - zachęciła ją Sirad.

- Trucizna. Kiedy onkolog chce znaleźć komórkę rakową, to aplikuje pacjentowi radioaktywne izotopy. Proponuję, żeby rzucić przynętę, coś, co połkną i zabiorą ze sobą do domu. Coś, co będziemy mogli wyśledzić.

Sirad skinęła głową. To było bardzo sensowne.

- Podejrzewamy, że nastąpi atak z wykorzystaniem algorytmów komórkowych, a więc

przynęćmy ich trochę - powiedziała Koreanka. - Proponuję, żebyśmy zamknęli jeden z naszych portów, i zobaczymy, kto zjawi się, aby zobaczyć, co się stało.

Ravi kiwał głową. Nie Umiem Strzelać założył ręce na piersiach. Podobał mu się ten pomysł, ale czuł się ponizony, że pierwszy na to nie wpadł.

- Dobrze. - Sirad mówiła z przekonaniem, na jakie można się zdobyć o tej porze.

Jeśli ten atak rzeczywiście nastąpi ze strony jednego z tajnych udziałowców Mitchella, to może być to rujnujące nie tylko dla firmy, ale również dla kraju.

- Czy są jakieś zastrzeżenia?

- Nie, jak długo będziemy bardzo ostrożni - ostrzegł Ravi. - Każdy, kto jest na tyle przebiegły, żeby posunąć się tak daleko, nie da się złapać na oczywisty podstęp.

148

- Więc zrobmy tak, aby nie było to oczywiste - oświadczyła Sirad, wstając i wskazując na Nie Umiem Strzelać. - Nie muszę ci mówić, jak ważna jest teraz ta tajna operacja - przypomniała mu. Urzędnicy państwowi składali przysięgę na Boga i ojczyznę, a Bor-ders Atlantic musiało polegać na starannym prześwietlaniu swoich pracowników i pieniądzech. Trudno utrzymać w tajemnicy sekrety korporacji.

- Porozmawiam o tym z panem Mitchellem. Poza tu zebrany tylko on jeden będzie o tym wiedzieć.

- Niekoniecznie - odezwał się jakiś piskliwy głos. Sirad odwróciła się w stronę wysokiego, chudego mężczyzny siedzącego przy laptopie. Właśnie otrzymałem

wiadomość z naszego biura w White Plains. Mówią, że nasz wścibski Tom znów się ujawnił.

Mężczyzna szybko odpisał, po czym przeczytał odpowiedź.

- No i? - popędzała go Sirad.

- Lepiej niech pani sama to przeczyta - powiedział, przekręcając w jej stronę ekran monitora. - Bo nie sądzę, że uwierzy mi pani, gdy ja to zrobię.

•

ŚWIT TEGO ZIMOWEGO PORANKA był jasny, a blask skierował na Holiday Inn na

obrzeżach Englewood w New Jersey. Około 6.30 rano hotelowa restauracja zaczęła się już zapelniać zgłodniałymi podróżnymi.

- Nie rozglądaj się! - warknęła gruba Murzynka w różowej dżersejo-wej sukience. Chwyciła syna za rękę i przyciągnęła do talerza z jajecznicą.

- Spokojnie, kobieto! - wykrzyknął mężczyzna siedzący z nimi przy stole. Co prawda siedział twarzą do wielkiego ekranu telewizyjnego, ale obejrzał się ponownie na przerażający widok za swoimi plecami. - To nie wina dzieciaka, że się przyglądał. Nikt nie powinien wchodzić do jadalni tak schlany.

Obiekt zainteresowania rodziny siedział trzy stoliki dalej, obok frontowego okna. Zdawał się nie zwracać uwagi na zaciekawione spojrzenia, wpatrując się w drogę numer 4, zatkaną jadącymi od strony mostu George'a Washingtona.

- Cicho i jedz śniadanie! - zgromiła go kobieta. - Podobałoby ci się, gdyby to na ciebie ktoś tak się gapił?

149

- Cholera... gdybym tak wyglądał, to wcale bym się nie dziwił! -Mężczyzna otrząsnął się, a potem odwrócił się do swojego śniadania i zaczął jeść. - To wstrętny, biały człowiek.

Jeśli ten wstrętny biały człowiek go usłyszał, to nie okazał tego. Ból w głowie wyłączył wszystko, oprócz zadania, jakie miał wykonać.

- Szkoda, że nie powiedziałeś, że jesteś aż tak ciężko ranny - powiedziała kobieta. Dopiero weszła i usiadła przy stoliku tego człowieka. - Przyjechałabym

szybciej.

- Nic mi nie jest. Wygląda gorzej niż jest - odparł mężczyzna.

- Wątpię. Jesteś niemal w agonii, ale po twoich słowach można sądzić, że nawet ci się to podoba.

Kobieta rozejrzała się, czy nikt ich nie obserwuje, ale nie dostrzegła żadnego szczególnego zainteresowania. Naprzeciwko wielkiego ekranu telewizyjnego siedziała murzyńska rodzina, a w pobliżu baru sałatkowego rozmawiali jacyś mężczyźni w tanich garniturach. Większość obecnych nie starała się ukryć zrozumiałego zainteresowania.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał mężczyzna.

Kobieta wstała i wsunęła pięciodolarowy banknot do szafy grającej. Beyonce Knowles zagłuszyła nieco ich rozmowę.

- Myślę, że jesteśmy dokładnie tam, gdzie powinniśmy - powiedziała kobieta. Usiadła z lewej strony, tak by mógł ją widzieć, nie odwracając głowy.

- A co z plotkami?

- Nie ma plotek - odpowiedziała. - Jest więzień na Kubie. W Gu-antanamo.

Powiedział mi, że wie o Dżafarze al-Tayarze. Mówił, że słyszał gadaninę na arabskiej ulicy i że wie więcej, ale zanim wyjawি nieco szczegółów, chce zawrzeć z agencją układ na piśmie.

Kobieta chwyciła spis menu i udawała, że czyta.

- Ukryłaś to? - zapytał mężczyzna.

- Oczywiście, w moim raporcie nie ma nic o Dżafarze al-Tayarze.

- A co z więźniem?

- Przecież wiesz, że w Obozie Delta prawdziwym problemem są samobójstwa i przemoc wśród więźniów. On nie będzie zbyt długo stanowić zagrożenia.

Skinęła na kelnerkę.

- A co ze świadkiem w Los Angeles?

- Zawieźli go z powrotem na Farmę, ale on nic nie wie. I tak nikt mu nie wierzy.

Biuro przepytuje każdego, z kim on kiedykolwiek pracował

albo kogo znał. Agencja pociąga za wszystkie sznurki, starając się przypasować go do jakiegoś tropu... do czegokolwiek. Te dumie będą się nim zajmować tygodniami.

- To dobrze - stwierdził mężczyzna. Układało się lepiej, niż śmiałyby przypuszczać.

- Słuchaj... przepraszam za to, co się tam wydarzyło - powiedziała kobieta. - To nie miało...

Mężczyzna podniósł prawą rękę do góry.

- No, dobrze - skinęła głową kobieta. - Czy będziesz w stanie dokończyć swoje zadanie?

Jej towarzysz poprawił szerokie bandażę, które zakrywały mu całą lewą stronę głowy. Tu i ówdzie wymykały się spod nich niemal przezroczyście białe włosy, prawie nie do odróżnienia od sterylnej gazy. Z potwornej rany wyzierało jedno opalizujące, różowe oko.

- Straciłem prawe oko - powiedział. - Pocisk uszkodził część oczodołu, ale wstawili mi coś. Jak wszystko się zagoi, będę mógł nosić protezę.

Zamilkł na chwilę. Czasem ból stawał się nie do zniesienia - niczym elektryczny prąd, bardzo przypominający wytrysk podczas stosunku.

- To był czysty przypadek - ciągnął dalej. - Strzał Frencha odbił się rykoszetem i trafił mnie w głowę. To nie była niczyja wina.

- Nie nam o to pytać, Caleb - odparła kobieta. - Bóg rządzi się swymi prawami. To się nie stało bez powodu.

Albinos lekko schylił głowę. Bóg rządzi się swymi prawami. Gdyby nie jego opatrność, to nic z tego nie można by w ogóle zacząć.

- Co mam powiedzieć ojcu? - zapytał Caleb.

- Powiedz mu, że nie dowiedziałam się o niczym, co naraziłoby plan na szwank. Jeśli coś się okaże, to będę pierwsza, która będzie o tym wiedzieć. Termin pozostaje bez zmian. Według mnie, możemy działać.

Caleb potrząsnął głową.

- Odwalilaś kawał dobrej roboty - stwierdził. Piosenka Beyonce skończyła się,



więc czekał, aż zacznie się następna. - Jestem pewien, że pułkownik będzie bardzo z ciebie dumny.

- Zachowajmy dumę na później, jak już będzie po wszystkim. Miło było cię zobaczyć, Caleb - powiedziała, wstając.

- Mnie też, Sarah. Czy tak teraz mam cię nazywać?

- Spróbuj Jane - roześmiała się kobieta. — GI Jane. Chłopakom z Deltę to się spodobało. >'

151

KIEDY JEREMY SKOŃCZYŁ swą wirtualną podróż po Homestead i pożegnał się z wirtualnym pułkownikiem Ellisem, nacisnął pstryczek „włącz/wyłącz” i zdjął nakrycie głowy.

- No i? - zapytał go John. - Co o tym myślisz?

- Niebywałe - odparł Jeremy.

- To, co widziałeś, to dokładnie to, czego powinieneś spodziewać się w Homestead, przynajmniej jeśli chodzi o widoki.

- Jakżeście to zrobili? W jaki sposób uzyskaliście takie wideo? -Jeremy zauważył, że zaczyna się pocić, choć w pokoju panowała przyjemna temperatura.

- To nie wideo - oznajmił dumnie technik - ale symulacja. Obraz stworzony przez komputer na podstawie tego, co wydobyliśmy z materiałów promocyjnych, stron internetowych oraz ludzi, którzy byli uczestnikami tamtejszych kursów.

Korzystaliśmy też z satelity - na przykład stamtąd pochodzą dwuwymiarowe obrazy, które powiększyliśmy, wykorzystując proces zwany fotogrametrią.

- Jakkolwiek to nazwać - robi wrażenie - stwierdził Jeremy. - Co teraz?

Major, który wciąż się nie przedstawił, wskazał na drzwi.

- Niestety, szkolenie, aż do wieczora - powiedział przeproszająco. - Psychologia, teologia, mikrobiologia i chemia organiczna... tego rodzaju rzeczy.

Ruszył w kierunku drzwi, a Jeremy za nim. Zeszli na dół, rozmawiając o terminach, nowej tożsamości Jeremy'ego i dlaczego musi jechać do Homestead. Podobnie jak absorbujące kursy lingwistyczne w Instytucie Lingwistyki Departamentu Obrony w Monterey, ten program wymagał absolutnego zdania się na nową tożsamość. Od

momentu, w którym Jeremy otrzymał nowy życiorys, jego dawna osoba przestała istnieć.

Po krótkiej przechadzce na powietrzu major skręcił do budynku wyglądającego jak elegancki dom w szeregowej zabudowie w Londynie. Obaj mężczyźni weszli po kilku

stopniach z piaskowca i przez podwójne drzwi do wnętrza dokładnie pasującego do zewnętrznego wyglądu.

- Jeremy Walker, poznaj Rudobrodę - powiedział major. Jeremy patrzył na stojącego przed nim mężczyznę i starał się nie dać poznać po sobie, że jest w szoku. Długi, mocno związany kucyk

152

wystawał spod skórzanej mycki. Broda w stylu ZZ Top spływała niczym wodospad na

czarny T-shirt, na którym widniał biały napis „Pieprzyć władzę”, a który wyglądał jakby miał za chwilę wybuchnąć na potężnej, zwierzęcej piersi. Grube jak pnie drzew ramiona pokrywał tatuaż, a w przegrodzie nosowej, dolnej wardze i w lewym uchu tkwiły srebrne gwoździe. Jasnoczerwono-zielono-żółty wąż wił się złowrogo na jego szyi i po koszulce.

- Miło mi pana poznać - powiedział Rudobrody. Głos miał sympatyczny, pełen szacunku. - Wszystko przygotowane w pokoju obok, jeśli jest pan gotów.

- Gotów na co? - spytał Jeremy.

- Cholera. Nie powiedzieli panu? - zapytał mężczyzna. Odwrócił się do majora, ale ten uśmiechnął się i wyszedł.

- Niech pan tu wejdzie.

Mierzący metr dziewięćdziesiąt pięć biker zaprowadził Jeremy'ego do pokoju, wyglądającego jak salon, w którym pija się herbatę w którymś z pensjonatów na Kensington.

- Nikt mi nic nie mówił - powiedział Jeremy. Ale dostrzegł narzędzia i zrozumiał.

- Tak starannie ostrzyżonemu facetowi jak ty powini coś powiedzieć.

Olbrzym usiadł przy mahoniowym, pamiętającym jeszcze czasy edwardiańskie

karcianym stoliku.

- Kanapkę? - zapytał Rudobrody. Tymczasem przyniósł zimne napoje.

- Będzie mnie pan tatuować? - zapytał Jeremy, ledwie zauważając herbatę i jedzenie.

- Takie właśnie otrzymałem polecenie - Rudobrody potwierdził swoje słowa skinieniem głowy. Małe srebrne siteczko do herbaty niemal zniknęło w jego niedźwiedzich łapach, gdy nalewał gorącą wodę z dymiącego porcelanowego czajniczka. - Miał pan już kiedyś tatuaż?

Jeremy potrząsnął głową. Robił różne wariactwa dla swojej ojczyzny, ale jak dotąd żadne z nich nie pozostawiło niezatartych śladów.

- Wiem, co pan sobie myśli. - Rudobrody wlał czarny tusz do jednorazowego plastikowego kubeczka i wyciągnął długą igłę z jednorazowego opakowania. - Ale nie martw się, chłopie, niewielu ludzi kiedykolwiek zobaczy to, co ja ci zrobię. Siadaj tutaj.

153

Jeremy usiadł tam, gdzie mu kazano.

Rudobrody naciągnął plastikowe chirurgiczne rękawiczki na monstrualne ręce i wziął patyczek z wacikiem.

- Druga strona tej całej sprawy to fakt, że będzie boleć.

- Moi przyjaciele mają tatuaże. - Jeremy usiłował zatuszować wątpliwości udawaną odwagą. - Mówili, że nie było tak strasznie.

- Możliwe, ale żaden z nich nigdy nie miał czegoś takiego, co ja ci zrobię - powiedział Rudobrody, sięgając w stronę wzorów, i wtedy Jeremy zrozumiał. O Boże - pomyślał. - On nie mówi poważnie.

- Nie przejmuj się i wrzeszcz - oświadczył artysta od tatuaży, zabierając się do pracy. - Zamierzam uchylić zasadę, że nie wolno krzyczeć. - Jeremy usłyszał warkot igły do tatuowania. - Bo, tak jak powiedziałem - tu Rudobrody przygryzł swymi żółtymi od nikotyny zębami srebrny gwóźdź tkwiący w jego dolnej wardze - to kurewstwo będzie bolało.

KSIĘGA II

## ZANURZENIE

Ktokolwiek zwalcza potwora, winien uważać, aby w czasie tej walki samemu nie stać się potworem.

Nietzsche

Rozdział IX

Środa, 16 lutego

18.02 GMT

1701 Coopers Lane, Stafford, Wirginia

CAROLINE WALLER KOCHAŁA swojego męża. To nigdy nie ulegało wątpliwości.

Dobrowolnie podążyła za nim do FBI, rezygnując z wysoko płatnej pracy w Departamencie Zdrowia i Opieki Społecznej na rzecz czteroletniej wyprawy do Ozarks. A kiedy już przyszło co do czego, to, jak potem wspominała, ona właśnie zadzwoniła do Biura Terenowego FBI w Waszyngtonie, aby poprosić o formularze do wypełnienia, bo jej mąż chciał wstąpić do HRT. Jeremy musiał tylko je wypełnić.

Ale wydawało się, że już dawno minęły te dni, gdy Caroline siedziała na szczycie górki i spoglądała na stadko dzieciaków z sąsiedztwa krzyczących i piszczących w radosnym ferworze zabawy, szczęśliwych, że tego dnia nie trzeba iść do szkoły.

Śnieżyca, która nadciągnęła z północnego wschodu, zasypała Waszyngton DC i jego przedmieścia dwudziestoma ośmioma calami śniegu, powodując zamknięcie wszystkich

instytucji i urzędów, od Kapitolu, po bazę korpusu piechoty morskiej w Quantico oraz Akademię FBI. Dla nowego prezydenta nie mogło to wypaść w gorszym czasie - już i tak Stany Zjednoczone dosięgły trzy zamachy terrorystyczne. Jednakże Caroline i trójce jej dzieci wszystko to zdawało się bardzo odległe i nieważne. Tak jak to bywa z burzami w Wirginii, straszne śniegi i wiatry ustąpiły miejsca jasnemu słońcu i temperaturze nieco poniżej zera. Przyszedł czas na zabawę.

- Mamusiu! Popatrz na mnie! - zawołała Maddy.

158

Jedyna córka odziedziczyła po ojcu ducha przygody. Mając siedem lat, już domagała się zgody rodziców na próbę skoku ze spadochronem. Nie dość

zadowolona

z jazdy na rowerze w górę lub w dół ulicy, zbudowała rampę i namówiła młodszych braci, aby stanęli pod nią, a ona przez nich przeskoczy. A kiedy stacja ESPN rozpoczęła transmisję z X Games, postanowiła zjechać ze schodów, jak na bobsleju, na srebrnej tacy - ślubnym prezencie od rodziców Jeremy'ego. Na szczęście dla Maddy taca przetrwała upadek i tylko się wygięła, a nie połamana.

- Przepraszam, mamó - płakała dziewczynka, leżąc na miejscu katastrofy. -

Chciałam, żeby wszystko było fachowo, a potem można by sprzedać tacę na garażowej wyprzedaży.

- Pilnuj brata! - zawołała Caroline. Christopher, średnia latorośl, potrafił się skaleczyć, czyszcząc zęby. Dopiero tydzień temu pędem wiozła go na pogotowie, po krzykach dochodzących od strony komody. Zachęcany przez siostrę usiłował wykorzystać szuflady w charakterze drabiny, aby dostać się do skarbonki-świnki. Upadek kosztował go cztery szwy nad lewym okiem, a jego matkę dziesięć lat życia, już i tak skróconego przez stres.

- Gdzie jest tatuś? - dopytywał się Patrick, nie mogąc się doczekać swojej kolejki zjechania na sankach.

- Jest zajęty zbawianiem świata, kochanie - odparła Caroline. Teraz zawsze tak mówiła.

- A kiedy wróci?

- Jak tylko świat będzie bezpieczny, głuptasku.

- Tak jak Johnny Rocket, prawda? - pytał malec.

- Raczej jak Power Rangers - odrzekła Caroline, która dla zilustrowania skomplikowanych spraw często odwoływała się do filmów nadawanych w Cartoon Network. W dobie marketingu telewizyjnego psychologia dziecka sprowadzała się do wiedzy o tym, którego bohatera zacytować w celu znalezienia punktu odniesienia.

- Patrick, zapnij płaszcz, zanim zamarzniesz na sopel lodu - dodała, nachylając się, aby strzepać mu śnieg ze swetra. - Jeśli chcesz tu zostać, to...

- Mamó, Christopher płacze! - zawołała Maddy z dołu.

Caroline spojrzała w dół, gdzie Maddy stała nad braciszkiem, ciągnąc sznurek od

sanek i usiłując wydobyć go spod leżącego twarzą ku ziemi malca.

159

Popędziła na dół, mijając tłum innych dzieciaków, które ledwie zwróciły na nią uwagę.

- Złaż z moich sanek! - łąjała Maddy brata, który wrzeszczał już na całe gardło, wstrzymując oddech pomiędzy jednym a drugim szlochem. Caroline policzyła, że odstęp pomiędzy nimi wynosi siedem sekund, i wiedziała, że to coś poważnego. Jeśli ta przerwa była dłuższa niż trzy sekundy, to zazwyczaj oznaczała kłopot.

- Zostaw te sanki - krzyknęła Caroline. A gdzie właściwie, do cholery, był Jeremy? Ostatni raz dał znak życia, nagrywając się na sekretarkę automatyczną w jej biurze. Coś mi wypadło - oznajmił, posługując się tymi samymi trzema słowami, którymi zazwyczaj tłumaczył każde zniknięcie. To „coś mi wypadło” nigdy nie rzucało ani krzty światła na to, gdzie był, ani też kiedy wróci. Nigdy nic nie wiedziała o jego zadaniach - czy były niebezpieczne, czy wyjeżdżał za granicę, czy stawały się dla niego nie do zniesienia pomiędzy huśtawkami nastrojów.

- Już dobrze, kochanie, mamusia tu jest - gaworzyła Caroline, starając się uspokoić malca.

- Mamo, myślę, że to ręka - powiedziała Maddy. Nie marzyła o zostaniu lekarzem, ale wiedziała bardzo dużo na temat zadrapań, skaleczeń i stłuczeń.

- Boli cię ręka? - zapytała Caroline.

- Myślę... że... jest... złama... mammo - zdołał wyjąkać chłopiec pomiędzy jednym a drugim szlochem.

- Cholerne FBI - pomyślała Caroline, klękając przy synu i wsadzając mu rękę pod ubranie. - Biuro ma dziesięć tysięcy agentów, których może wezwać do prowadzenia wojny z terroryzmem. Dlaczego to zawsze musi być mój mąż?

•

JORDAN MITCHELL KOCHAŁ Berkshires za jego spokój. Większość zawodowego życia

spędził w Nowym Jorku, toteż rozkoszował się cichym przemijaniem pór roku, sposobem, w jaki Matka Natura nieustępliwie parła naprzód pomimo wysiłków

człowieka, aby ją ujarzmić. Nigdy nie był pobożny, ale gdy patrzył na pierwsze wiosenne pąki, na skrzylenie się mrozu w porannym słońcu i słyszał ostatnie nawoływania odlatujących na południe gęsi, wierzył, że musi istnieć jakaś potężna siła.

160

Sąsiedzi mogliby się kłócić, że helikopter Mitchella firmy Bell nie pasuje do ich idylli niczym z Normana Rockwella, ale byłoby tak, gdyby Mitchell miał sąsiadów. A nie miał. Jego posiadłość nosząca nazwę South Egremont, składająca się z wielkiego domu z kamienia i przylegających doń zabudowań zwanych Longpath,

zajmowała niemal siedemset akrów. Najbliższy dom znajdował się w odległości niemal mili.

- Panie Mitchell, pański lunch - oznajmiła gosposia, niosąc drewnianą tacę z łososiem na rukwi wodnej, orzeszkami i kuskusem. Tu, w Longpath, szef Borders Atlantic zawsze czuł przyływ energii i miał lepszy apetyt.

- Dziękuję, pani Hartung - odpowiedział, podnosząc wzrok znad nowej biografii Alexandra Caldera i wskazując na narożnik biurka. Ostre słońce wlewało się przez okna, których ołowiane szyby pokryła patyna czasu.

Sztywna, tęga kobieta postawiła tacę i wyszła, szurając nogami. Anna Hartung wraz ze swym mężem Gerhardtem od ponad czterdziestu lat mieszkała i pracowała w Longpath. Zatrudnił ich jeszcze ojciec Mitchella, zabierając prosto z argentyńskiego statku, a wszelkie sugestie, że być może ukrywają oni jakąś ciemną przeszłość, całkowicie zignorował. Patriarcha rodu Mitchellów cenił nade wszystko oddanie, a naziści z niego słynęli.

- Dzień dobry, panie Mitchell. - Trask skinął głową gospodyni. Stara kobieta przeszła obok, szurając nogami i nie wykazując zainteresowania nową generacją służby.

- No i jak? - zapytał Mitchell, odkładając książkę. - Byłem zbyt zajęty, aby to śledzić.

- I ja też, jeśli o to chodzi - odparł Trask. Wiedział, kiedy Mitchell będzie

tolerować taką odpowiedź, a kiedy nie. - Ale może zechce pan zobaczyć, co zdobyłem.

Mitchell, rzecz jasna, wiedział. Już pół godziny temu słyszał, że helikopter przyleciał, i był tylko ciekaw, dlaczego Trask nie przyszedł wcześniej.

- No, to otwieraj! - warknął. Chociaż głodny, zupełnie zapomniał o szybko stygnącym posiłku.

Szef personelu przyniósł pięknie wypolerowaną mahoniową kasetę inkrustowaną drewnem drzew owocowych, białym złotem i brzozą. Duże koło na wieczku było pięknie ryte, a w środku widniały inicjały AWH.

161

- Już sama ta kasetka jest warta grzechu - powiedział Trask, obracając w rękach skrzyneczkę i patrząc, jak słońce gra kolorami na różnych gatunkach drewna. - Jest cudowna.

Jednak Mitchella kasetka nie interesowała i Trask o tym wiedział. Podniósł wieko i w środku ukazały się pistolety kalibru .56 brytyjskiej kawalerii - dwa piękne przykłady angielskiego osiemnastowiecznego rusznicarstwa, wykonane z drewna orzecha włoskiego i damasceńskiej stali.

- Wspaniałe - westchnął Mitchell. Zanim wziął je do ręki, przez jakiś czas napawał się ich widokiem.

To, co przywiózł mu Trask, to była ta sama broń, za pomocą której Alexander Hamilton i Aaron Burr mieli zwyczaj rozstrzygać honorowe dysputy. Jedenastego lipca 1804 roku ci dwaj polityczni wrogowie stanęli w Weehawken w New Jersey naprzeciwko siebie w pojedynku. Jeden z tych pistoletów położył kres życiu Hamiltona i politycznej karierze Burra. A teraz obydwie wylądowały u Mitchella.

- Pozostaje odpowiedzieć na pytanie, które często sam sobie zadawałem - odezwał się Mitchell. - Który to pistolet?

- Ten na wierzchu - odparł Trask. - Tak twierdzi rodzina. Niestety nie ma sposobu, aby zyskać absolutną pewność, bo ta broń przez niemal czterdzieści lat znajdowała się w obcych rękach.

Mitchell znał tę historię. Niemal po stu sześćdziesięciu latach spadkobierca



sprzedał pistolety bankowi Chase Manhattan, a teraz prezes Borders Atlantic musiał włożyć dużo wysiłku, aby bank zgodził się je odstąpić.

- Jak myślisz, ile razy od tego feralnego dnia ktoś pociągał za ich spust? - zapytał Mitchell. Podniósł ciężką broń z jej wyłożonego aksamitem miejsca spoczynku.

- Rodzina mówi, że ani razu, a wątpię, czy robili to właściciele banku.

Mitchell przykładał niezmierną wagę do historii nabywanej przez siebie broni. Interesowała go ona tylko wówczas, gdy wiązała się z nią jakaś opowieść.

- Wobec tego Philipa zabito z tego drugiego - stwierdził Mitchell.

Dziewiętnastoletni syn Hamiltona zginął w 1801 roku w pojedynku, w którym użyto tej samej pary pistoletów. Przekaz rodzinny głosił, że człowiek widniejący na dziesięciodolarówce chciał zginąć z tej samej broni, więc wybrał ją na pojedynek z Burrem.

162

Mitchell przez chwilę trzymał pistolet w ręku, obracając go na wszystkie strony, aby przyjrzeć się każdemu szczegółowi. Podniósł go pod nos i wachał, próbując wykryć resztki prochu lub ołowianego naboju.

- Obecny! - krzyknął Mitchell, naśladując sekundanta Hamiltona. Wycelował broń w stronę okna - jego ojciec przykładał niezmierną wagę do bezpiecznego obchodzenia się z bronią- i odciągnął kurek.

Dzieliła ich odległość tylko dziesięciu kroków - myślał sobie. - Na tyle blisko, że można by splunąć. Serce Hamiltona musiało walić, gdy podnosił rękę, w której trzymał broń i celował w serce przeciwnika. Czy słyszał echo wystrzału, który w tym samym miejscu odebrał życie Filipowi? Czy spodziewał się śmierci? I czy rzeczywiście chybił za pierwszym razem, tak jak - mówił to swemu synowi - powinien zrobić człowiek honoru?

Mitchell spojrzał wzdłuż lufy i dotknął spustu, który zareagował natychmiast, wydając czysty, metaliczny dźwięk.

- Bardzo czuły, dokładnie tak, jak to jest opisane w książkach - zauważył Mitchell. Jedni mówili, że Hamilton umyślnie chybił. Inni znów dowodzili, że

zaledwie muśnięcie spustu spowodowało, iż broń wypaliła przedwcześnie, zanim Hamilton wymierzył.

- To były jego pistolety - upierał się Trask. - On znał ich indywidualne cechy.

- To było ważne pytanie, ale jednak historia nie znalazła na nie odpowiedzi. Czy ten ojciec-założyciel zginął śmiercią honorową, czy też po prostu został zabity z dobrze wymierzonej broni?

- On był także politykiem - przerwał im jakiś inny głos. Należał do kobiety i Trask nigdy jeszcze nie słyszał go w takich okolicznościach. - Gotowy, cel, strzał - czy tak? To znaczy chciałabym wiedzieć, co też, do cholery, politycy wiedzą o strzelaniu?

Mitchell odwrócił się w stronę schludnej kobiety z krótko obciętymi włosami i z przekrwionymi oczami.

- Jak tam podróż? Przyjemna? - spytał. Gość właśnie przyjechał samochodem z New Jersey.

- Zamierzacie cały dzień bawić się bronią, czy też wziąć się do roboty? - spytała, ignorując uprzejmości. Ta kobieta nie traciła czasu na pogaduszki i Mitchellowi to się podobało.

- Herbata dla pani - powiedział do Traska.

- Czarna-dorzucił gość.

163

- Oczywiście - uśmiechnął się Mitchell. Jak bardzo pasowało do niej to miano - GI Jane.

•

WŁAMANIA I NIEDOZWOLONE WEJŚCIA nigdy nie należały do mocnych stron Satcha.

Praca w Home Depot całkowicie go satysfakcjonowała przez ostatnich kilka lat. Była bardziej stabilna aniżeli dekarstwo, a poza tym dawała miłe chłodne schronienie w czasie gorących letnich miesięcy w Little Rock. Satch przykładał się uczciwie do pracy, a i traktowano go tam dobrze. Co prawda pieniądze były kiepskie, ale nagroda wiecznego zbawienia zdawała się tego warta.

- A to cholerna klawiatura - szepnął jego kolega. Ollie miał brytyjski akcent, a poza tym jak na gust Satcha zbyt dużo przeklinał. Jego przekleństwa, jak utrzymywał, wynikały ze zdenerwowania z powodu cierpień Chrystusa, ale dla niezdarnego byłego dekarza brzmiały niegodziwie i poniżające. A imienia boskiego nie wolno wzywać nadaremnie, nawet podczas włamań.

- Weź sekwencer - ponaglał go Satch ściszym głosem.

Ollie sięgnął do wielkiej torby z materiału i wyciągnął z niej urządzenie wielkości kalkulatora. Powiedziano im, że mogą natrafić tu na zamknięcie na kod kreskowy, wymagający karty, którą należy przesunąć przez czytnik, wobec tego zaopatrzyli się w specjalną kartę magnetyczną. Klawiatura nie stanowiła znacznej przeszkody, ale spowolniła operację, na którą mieli bardzo mało czasu.

- Zakład o pięć dolarów, że otworzę to w niecałe trzydzieści sekund - powiedział Ollie, fachowo przykładając urządzenie do czarnej klawiatury obok stalowych drzwi.

- Po prostu otwórz - odpowiedział mu Satch, który nie lubował się w hazardzie.

- Klik.

Drzwi otworzyły się, a obydwaj mężczyźni podziękowali Bogu za przyspieszenie akcji. Wszedłszy do środka, Satch i jego pochodzący z Londynu towarzysz szybko ruszyli korytarzem, po którego obu stronach były klasy. Skręcili na prawo, do części T, potem znów w prawo i podeszli do drzwi, na których wisiała tabliczka „Instytut imienia Hen-ry'ego Vogta Badań nad Rakim, laboratorium 4”. Na dole błyskały dwa ostrzeżenia; pierwsze w kolorze żółtym oznajmiało, że znajdują się 164

tam materiały niebezpieczne dla zdrowia, natomiast drugie, w kolorze czarnym i czerwonym, ostrzegało przed materiałami radioaktywnymi. Po prawej stronie od drzwi znajdował się ten czytnik kart, na który spodziewali się natrafić wcześniej.

- Mamy pięć minut - stwierdził londyńczyk, przechodząc szybko obok niego do uniwersyteckiego laboratorium. W powietrzu czuć było zapach środków dezynfekujących, stali i starej kawy. Wywiad donosił o regularnym patrolowaniu

tego miejsca przez siedemdziesięcioletniego byłego policjanta, który tą płatną siedem dolarów za godzinę pracą podreperowywał swój emerycki budżet. Nie stanowił on prawdziwego zagrożenia, ale żaden z włamywaczy nie chciał skrzywdzić starego dziwaka, jeśli można było tego uniknąć.

- Południowo-wschodni narożnik - powiedział Satch. - Chodźmy. Wyciągnął z prawej kieszeni na piersi małą latareczkę i przekręcił

jej główkę, tak by oświetlała im drogę. Serca obu mężczyzn waliły od przyływu adrenaliny, podczas gdy szybko przecinali ciemne pomieszczenie bez okien. W całej tej tajnej operacji należało się obawiać nie tyle trudności związanych z jej wykonaniem, co konsekwencji. Wszelkie odkrycie ujawniłoby większą...

- Cśśśśśśś! - szepnął Satch, ale wypadło to jakoś za głośno. Coś zwróciło ich uwagę, jakiś hałas.

Satch wsadził sobie latarkę pod pachę, co sprawiło, że obaj, stojąc pośrodku pokoju, byli niewidoczni. Gdy po kilku sekundach nic się nie wydarzyło, wyciągnął z powrotem latarkę i zaczął iść w stronę sejfu.

- Nie bądź takim paranoikiem - powiedział do niego Brytyjczyk. - Nie mamy czasu na...

- Jest tu ktoś? - spytał jakiś ciekawski głos. Najpierw zdawało się, że jest bardziej zmęczony niż zaalarmowany, jak gdyby był przyzwyczajony do tego, że studenci kradną po zajęciach.

Jednak gdy zapaliło się światło, ciekawość mężczyzny szybko przerodziła się w strach. Oto pośrodku laboratorium stało dwóch mężczyzn ubranych w mundury strażników. Normalnie nie obchodziłoby go to, ale półautomatyczna broń wystająca zza pasa niższego z nich sprawiała, że sytuacja nie była normalna.

- Laboratorium numer cztery! Włamanie! - krzyknął strażnik do mikrofonu trzymanego w ręku radia. Sam nie miał broni, tylko radio.

- Czort z tobą staruchu! - warknął Satch. - Nie musiałeś tego robić.

165

•

MITCHELL ODŁOŻYŁ narzędzie śmierci Alexandra Hamiltona z powrotem do

wyłożonej

czerwonym aksamitem kasety i dał znak Traskowi, by zostawił ich samych.

Zazwyczaj zamówiłby najpierw herbatę, ale nie dziś. Pomimo bardzo bliskiego dostępu do prywatnego i służbowego życia szefa, istniały pewne przedziały, które obydwaj mężczyźni szanowali i których granic nie przekraczali.

- Niedługo wrócę - to było wszystko, co powiedział Trask. Wziął kasetę z bronią i wyszedłszy, pchnął drzwi, aby się zamknęły.

- Nie opowiedziałaś mi jeszcze o swojej podróży - przypomniał Mitchell nowemu gościowi. Stała przed nim, ale nieco z prawa, dokładnie w cieniu miłych promieni słonecznych. - Nie chodzi mi o pogawędkę. Chcę ocenić stan twego umysłu.

- Mój umysł ma się dobrze - oświadczyła kobieta. Spojrzała w górę, na łby wypchanych zwierząt.

- Byłaś zajęta i nie mogłaś się wyspać.

- Tak. Ale nie potrzebuję dużo snu. -No i...

- No i co?

- No, jak on się miewa?

Mitchell sięgnął po swój lunch. Pani Hartung popieprzyła łososia i polala świeżym sosem hollandaise, tak jak lubił jego ojciec, chociaż Mitchell dziesiątki razy powtarzał jej, że on woli bez tego, ale ona na to nie zważała.

- Stracił oko. Wydawał się słaby i dezorientowany.

GI Jane odgarnęła włosy z twarzy. Pomimo zaprzeczeń wydawała się zmęczona podróżą.

- Co ci powiedział o planie? - zapytał Mitchell. - Czy wiemy, kiedy znów zaatakują?

- Nie - skłamała. GI Jane była doskonałym manipulatorem, ale ta lina, po której stapała, była bardzo cienka. - Wraca do Homestead, a tymczasem operatorzy przygotowują nową falę zamachów. Jak dotąd tyle się dowiedziałam.

- Jaki jest twój następny cel? - zapytał Mitchell. Powoli zdrapywał sos z łososia, następnie spróbował go, nie spuszczać oczu z Jane. Dziwne, jak bardzo ta kobieta powinna przypominać Sirad,

a jak inna się okazała. Pomimo braku urody GI Jane była sprytniejszą manipulatką.

- Moje następne zadanie... - tu GI Jane przerwała na chwilę - moje następne zadanie to napisanie fałszywego zeznania jednego więźnia z Guantanamo i dostarczenie go do Langley wraz z raportem zawierającym wnioski. Chcą ukryć jakikolwiek ślad istnienia Dżafara al-Tayara albo projektu Megiddo.

- Nie wierzę ci - powiedział Mitchell. - Jest jeszcze coś.

- Pułkownik Ellis to bardzo inteligentny facet i bardzo ostrożny. Musi podejrzewać, że ktoś - jakaś agencja, jakieś zagrożenie - czai się gdzieś, aby go powstrzymać. Dlaczego miałby przydzielić mi jakąś większą rolę?

- Z tego samego powodu, dla którego ja to zrobiłem. Bo cię potrzebuje. - Zrobił pauzę, aby poobserwować jej twarz. - Ale ty mu nie powiesz, wiem to, bo jestem w tym lepszy niż ty.

Mitchell odłożył widelec na tacę, wstał i podszedł do niej na odległość dwóch stóp. Jego głos był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu.

- I dlatego cię wynająłem. Dlatego wynająłem każdego z twoich towarzyszy. Ale nigdy nie zapomnij o jednym: jestem w tym lepszy niż ty kiedykolwiek będziesz. Uwielbiał to, takie uwodzenie w tańcu. Napawał się gracją kroków, figurą, drażnieniem i odrzuceniem. Właśnie to początkowo przyciągnęło go do handlu.

- Wiem, że w to nie wierzysz - mówił jej - bo przepelnia cię twoje ego.

Pracujesz dobrze, bez dwóch zdań. Niepewność stanowi dla ciebie pokarm. Nie możesz się doczekać, aż znajdziesz się w trudnej sytuacji, bo uwielbiasz groźbę niemożliwych wyzwań.

Przysunął się jeszcze bliżej. Na tyle blisko, aby poczuć, że jej skóra już nie paruje, ale zaczyna się pocić.

- Nigdy nie zapomnij - mówił Mitchell - że to ja wyciągnąłem cię ze smutnego, małego świata, w którym się tarzałaś, i ja jestem tym, kto może cię tam zaraz wrzucić z powrotem. Jesteś pionkiem w mechanizmie, który tylko zdaje ci się, że rozumiesz.

Wyciągnął kościsty palec i powiódł nim wzdłuż worków pod jej oczami. Chciał, by odczuła jego potęgę.

- Ten mechanizm jest tak złożony, że nawet nie zobaczysz, gdy przyjdzie, by cię zgruchotać. Twoje następne zadanie jest o wiele zu-

167

chwalsze aniżeli napisanie fałszywego raportu dla CIA. Wiedziałem o tym jeszcze przed tobą.

Mitchell opuścił rękę i schylił się nad nią tak, że czuła jego wargi przy swoim uchu.

- Ale nie dbam teraz o twoje kontakty z Ellisem. Obchodzi mnie tylko to, co masz zrobić dla mnie.

GI Jane usiłowała powstrzymać się od drżenia. Oddech Mitchella pachniał pieprzem i śmietaną. Jego rzęsy powoli muskały jej policzek.

I wtedy powiedział jej, co ma zrobić.

Puk! Puk! - rozległo się pukanie do drzwi.

Wszedł Trask, trzymając w ręku jasnoniebieską filiżankę na takim samym spodku.

- Czarny earl grey, tak jak pani sobie życzyła - powiedział. Mitchell podszedł do biurka i znów wziął do ręki biografię Alexandra Caldera.

- Obawiam się, że nasz gość zmienił zdanie co do napicia się czegoś - stwierdził.

Czuł się rozbawiony, w dobrym humorze, jak rzadko. -Musi już iść.

Mitchell nawet nie spojrzał, jak GI Jane przemknęła koło niego na chwiejnych nogach. Podniósł do twarzy palec, na który spadła jedna z jej łez. Była słona, ale czysta.

•

SATCH NIE INTERESOWAŁ SIĘ BRONIĄ PALNĄ. Nie warto było się nią zajmować,

zwłaszcza biorąc pod uwagę fizyczną siłę, w jaką wyposażył go Bóg.

- Proszę... - zapiszczał strażnik, zanim to zwierzę w ludzkim ciele

błyskawicznie pokonało dzielącą go od niego przestrzeń i chwyciło go za gardło.

Radio upadło na podłogę, wydając grzechot, a śmierć nastąpiła cicho równocześnie z uciskiem na krtani.

- Lepiej się ruszajmy - stwierdził Satch, idąc w stronę zamkniętego sejfu.

Odciągnął na bok ciało, podniósł radio i dołączył do swego towarzysza, który przystawił już elektroniczny sekwencer do kolejnego zakodowanego czytnika.

- Laboratorium numer cztery, alarm odwołany - mówił Satch przez radio, mając nadzieję, że wywoła to zamieszanie, a on zyska na czasie. Wyciągnął z kieszeni dwie sześciokątne tabliczki Luxela chroniące

I

168

przed szkodliwym promieniowaniem, wyjął z opakowań i wsadził jedną do kieszeni na piersi.

- Mam - oznajmił Brytyjczyk, z impetem otwierając drzwi sejfu, z którymi uporał się szybciej niż z tymi na zewnątrz.

- Trzymaj - Satch podał koledze drugą tabliczkę Luxela, po czym wszedł za nim do wnętrza sejfu. Przechodzili szybko od półki do półki, wybierając cylindryczne przeznaczone do transportu pojemniki z napisem: „UWAGA: materiał radioaktywny” ponad pomarańczowo-czar-nym znakiem. Brali tylko pojemniki z napisem

„Amersham

60-C”, „137-cez”, „133-xenon”, „192-iridium” i „99-technetium” - a więc

wyłącznie bardzo toksyczne pierwiastki emitujące promienie gamma: radioaktywne izotopy związane z prowadzonymi przez uniwersytet badaniami w zakresie

medycyny

nuklearnej.  
Dwaj mężczyźni wyciągnęli z torby wielkie plecaki turystyczne i zajęli się napełnianiem ich nieporęcznymi pojemnikami. Zdaniem Satcha jego plecak ważył co najmniej ze sto trzydzieści funtów i dekarz zastanawiał się, jak też jego towarzysz udźwignie swój ciężar.

- Już czas - zawyrokował Satch, zamykając plecak kolegi. Teraz odwrócił się w kierunku drzwi i poszedł najszybciej, jak tylko mógł. Nawet pomimo swojej



olbrzymiej siły czuł, że ten ciężar skraca jego kroki i wystawia na próbę jego równowagę.

- Co, do diabła, nie...? - zaczął wartownik, ale Satch z impetem zbił mężczyznę z nóg, niczym piłkarz grający w defensywie. Wartownik upadł na wznak, jego czapka potoczyła się po podłodze, gaz pieprzowy wypadł z pasa, a nad głową zamigały jego czarne buty i białe skarpetki.

Kopniak trafił go w skroń, kładąc kres dalszemu oporowi.

- Cholera, to już drugi - skomentował Satch, odzyskując równowagę. Nie lubił zabijać, choć wiedział, że taka jest tu jego rola.

Dotarli do windy już bez przeszkód. To było sensowne, że straż kampusu wysyłała w razie wezwania tylko jedną osobę.

- Ależ to ciężkie - stwierdził Brytyjczyk, kiedy wyszli z windy. Trenował zaciekle, ale ten ładunek ważył mniej więcej tyle, co siedemdziesiąt procent wagi jego ciała. Bez względu na to, jak bardzo przedtem trenował, to czuł ten plecak.

Nie rozmawiali już więcej, dopóki nie doszli do furgonetki z namalowanym z każdej strony logo uniwersytetu w Louisville, której kradzież poszła im bardzo łatwo. Nikt nawet nie zauważył jej zaginięcia, a kiedy się to stanie, to oni będą już jeździć innym samochodem.

169

- CP do dwadzieścia siedem - rozległ się nagle czyjś głos, a Satch przypomniał sobie, że wciąż ma w kieszeni radio tego wartownika. -Wszystko tam w porządku? Satch zdjął plecak i ostrożnie położył go z tyłu samochodu.

- W laboratorium numer cztery wszystko w porządku - powiedział, trzymając radio z dala od ust i starając się naśladować głos oficera policji.

- Zrozumiałem, dwadzieścia siedem - powiedział operator. -Skontaktuj się z tysiąc dwieście siedemdziesiąt siedem Maplehurst w sprawie hałasów w budynku Alfa Omega. Zdaje się, że trwa tam jakieś wielkie przyjęcie.

Satch nacisnął dwukrotnie klawisz „send”, co było uniwersalnym policyjnym skrótem na „zrozumiałem”. Następnie chwycił plecak Olliego i położył go z tyłu

furgonetki obok swojego.

- Lepiej jedź - powiedział niższy z mężczyzn, usiłując się wyprostować. - Chyba coś sobie naderwałem w krzyżu.

- Dobra, i tak jestem lepszym kierowcą - stwierdził Satch, biorąc kluczyki i idąc w stronę drzwi na przedzie samochodu. Wsiadając, uśmiechał się, myśląc, że sukces przyszedł im względnie łatwo. - No, i jestem przystojniejszy.

Rozdział X

Czwartek, 17 lutego

15.01 GMT

Homestead, Kerrville, Teksas

JEREMY ZMIENIŁ BIEG na trójkę i zdjął nogę ze sprzęgła, gdy zobaczył bramę wjazdową. Za skrzynkami na listy wyłoniły się kute żelazne kolumny, pomiędzy którymi rozpięty był szyld z nazwą miejsca, wypisaną białymi, na stopę wielkimi literami: Homestead. Ranczo wyglądało tak, jak to widział na symulatorze w Harvey Point.

Jeremy Walker, urodzony 22 lipca 1971 roku, ulubiony kolor... butelkowa zieleń, przypominał sobie, starając się myśleć o czymś innym aniżeli o dużej guli kręcącej mu się w żołądku.

Scenograf wędrowniej trupy z Folger Shakespeare Library. Kto, do cholery, wymyślił coś takiego?

Opony do wyścigów ulicznych jego chevroleta SS Nova 1970 zapiszczały donośnie, gdy skręcał na prawo w wysypany żwirem podjazd i minął zagrodę dla bydła.

Wszędzie jak okiem sięgnąć rosły drzewa mesquite oraz opuncje. Drogę z obu stron otaczał drut, a co kilka mil stała brama.

Jeremy zdał sobie sprawę, że jego oszustwo niełatwo będzie wykryć. Ellis prawdopodobnie nie miał kontaktów z ludźmi teatru, a jeśli nawet miał, to scenografowie zapewne pojawiali się i znikali, niczym robotnicy sezonowi. Jego zajęcie było pełne anonimowości, jaką zapewniała droga, a równocześnie sugerowało odpowiednią dozę pogardy dla uporządkowanego świata.

Najświeższy uczeń rancza Homestead usiłował skoncentrować się na aroganckim

warkocie silnika o pojemności 396 cali sześciennych.

171

Czuwający nad tym zadaniem Jeremy'ego agent FBI załatwił pożyczanie tego hałaśliwego samochodu - zajętego jakimś dealerowi narkotyków - od jednego z biur terenowych. Orzeknięto, że pasuje do psychologicznej sylwetki Jeremy'ego oraz że szybko zaanonsuje Ellisowi przybycie nowego ucznia.

Jednak Jeremy'ego obchodził wyłącznie ten dreszczyk emocji, jaki towarzyszył mu w czasie prowadzenia samochodu. Właściciel zamontował w nim most napędowy czterysta siedemnastkę o ograniczonym tarciu, głowice Hookera, kolektor ssący Edelbrocka, zapłon Accela, a do tylnego lusterka przyczepiona była czerwona kostka do gry z piórkami. Mając silnik wzmocniony teraz takimi sterydami, samochód osiągał średnio jedną czwartą mili w jedenaście sekund, ale tu, na bocznej drodze, kołysał się i rzucał na boki, pomimo wysiłków Jeremy'ego, aby stłumić dławienie się silnika.

- No, to już jesteśmy na miejscu, kochanie - uśmiechnął się Jeremy, próbując utrzymać obroty pomiędzy trzema i czterema tysiącami na minutę. - Niech wie, że przyjechaliśmy.

Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Przez ostatnie trzy czwarte mili droga wiodła jak strzeła prosto do grupy parterowych budynków pomalowanych na kolor ochry. Po suchej jak pieprz okolicy dźwięk niesie się dobrze, a pisk silnika SS obudziłby umarłego.

Zajeżdżając na parking, gdzie stały już ford dually oraz dwa najnowsze modele dodge'a, Jeremy przełknął kulę w gardle. Zerknął na swoje odbicie w tylnym lusterku i zaczął się zastanawiać, czy dzień przygotowań to nie za mało. Włosy obcięto mu blisko skóry, a następnie nieco złagodzone kanciasty wygląd, nadając mu pozór faceta, który odcina się od zewnętrznego świata, ale jest zbyt leniwy na to, aby dostosować się do swoich zasad.

- Rozwiedziony. Dwukrotnie. Trójka dzieci: Patrick, Maddy i Christopher. Trzymaj się najbliższej prawdy, jak można - powiedziano mu. Bliskość rzeczywistości spowoduje, że będzie skoncentrowany, gdy tymczasem nieprawdziwe zdarzenia

można

zapomnieć.

- Nie myśl o swojej nowej tożsamości - mówił mu ekspert FBI od tajnych operacji.

- Zaraz to spostrzegą. Musisz się w nią wczuć. Nie graj. Stań się nowym człowiekiem. Najpierw musisz sam w to uwierzyć, zanim ktoś inny to zrobi.

Jeremy po raz trzeci zapalił silnik.

172

- Pieprzę - powiedział, naciskając pedał gazu charczącego cztero-cylindrowego silnika Holleya. Ten facet, którego tożsamość porzucił, też by tak zrobił.

•

ELIZABETH BEECHUM PRZYJECHAŁA na Kapitol od strony gmachu Senatu, w górę

Constitution Avenue, minąwszy Jersey Wall oraz ludzi z półautomatycznymi karabinami, psami i torbami wypchanymi maskami przeciwigazowymi.

Pamiętała, że jeszcze nie tak dawno każdy mógł tu zjechać z ulicy i przeciąć wielki plac wyłożony pokruszoną skałą i łupkiem. Wycieczki uczniów i Szarych Panter, zanim ustawiły się w kolejce do zwiedzania, zwykły urządzać pikniki na trawniku po wschodniej stronie. Wtedy można było wejść na górę aż pod samą kopułę, zaryzykować zejście w dół do krypty, a może nawet poprosić jakiegoś członka Izby Reprezentantów lub Senatu o pokazanie tuneli albo dziur po kulach, bo w 1954 roku portorykańscy radykałowie ostrzelali gmach.

Ale to były dawne czasy, które minęły bezpowrotnie. Nie ma już zwiedzania, publiczność nie może wejść na galerie Statutory Hall i nie ma już żadnego sensu, aby People's House był nadal miejscem dla tych Amerykanów, którzy go zbudowali.

- To hańba - powiedziała głośno.

- Inny świat - przytaknął James, który czytał w jej myślach.

Kawalkada czarnych SUV-ów, oznakowanych samochodów policyjnych i czarnych limuzyn, w których jednak nie było ważnych osobistości, zajechała pod schody od południowej strony i Beechum wysiadła. Agenci Secret Service w swoich pękatyh kombinezonach i z ukrytymi w mankietach mikrofonami pospiesznie oddali ją pod

opiekę ubranych po cywilnemu policjantów na Kapitolu.

Wojna o terytorium - pomyślała. Jeszcze jeden powód, dla którego Stany Zjednoczone będą zawsze bawić się w uganianie się za ludźmi, którzy odpowiadają tylko przed jednym człowiekiem: Mahometem.

SR-220, pokój przeznaczony na zamknięte przesłuchania, był już pełen, kiedy pani wiceprezydent wprowadziła tam swojego sekretarza do spraw administracyjnych. W lewej ręce trzymała zniszczoną skórzaną teczkę, a w prawej zwinięte i nieco podniszczone przez stoczoną walkę oświadczenie.

173

- Chcę prosić o zaprotokołowanie, że jest to posiedzenie Senackiej Komisji do spraw Wywiadu - oświadczył przewodniczący. Beechum zawsze lubiła prawego, poważanego, dystygowanego i zasiadającego już długo w Senacie przedstawiciela Florydy, jednego z bardziej światłych republikanów, z jakimi pracowała. Fakt, że to on został przewodniczącym tej komisji, nikogo nie zdziwił. Zasiadał już w niej, kiedy przewodniczącą była Beechum. Radford Baines Beauchamp znał ludzi związanych z wywiadem i znał Waszyngton, i niewielu udało się kiedykolwiek ukryć coś przed jego czujnym nosem.

- To jest zamknięte posiedzenie - ciągnął dalej monotonnym głosem. - Wszystkie uwagi oraz dyskusje są uważane za ściśle tajne.

To powiedziawszy, skinął głową w stronę swojej jeszcze nie tak dawno koleżanki.

- Dzień dobry, pani wiceprezydent. Dobrze, że pani przyszła. Wszyscy jesteśmy wdzięczni, zważywszy, jak musi być pani zajęta.

- Dzień dobry, panie przewodniczący. - Beechum skinęła mu głową w odpowiedzi. Dziwnie było siedzieć tu, w ławkach dla świadków. Zaledwie miesiąc temu wyszła stąd po raz ostatni z gorzkosłodkim smakiem w ustach. - Miło znowu tu być. Nigdy nie myślałam, że zasiądę tu, na tych miejscach, ale widać awansuję w oczach świata, bo właśnie dziś rano Evelyn powiedziała mi w windzie dzień dobry. Wszyscy się roześmieli. Evelyn od dwudziestu siedmiu lat obsługiwała windę przeznaczoną wyłącznie dla członków Kongresu i nigdy nikomu nie mówiła „dzień dobry”.

- Te miejsca, czy inne, bardzo nam miło, że jest tu pani z nami -powiedział Beauchamp. - Powiem tylko, jak dumny jest stary republikanin, widząc panią jadącą Pennsylvania Avenue, szczególnie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Na tym kraju ciąży wielka presja znalezienia lepszego drugiego naczelnego dowódcy. Mówiąc to, podniósł ostrzegawczo palec i wycelował go w innych republikanów. - I nie muszę wam przypominać, że wszystko, o czym mówi się w tych czterech ścianach, jest tajne - upomniął ich. - Jeśli będzie jakiś przeciek, to ja zaprzeczę.

Wszyscy znowu się roześmieli. Spotkanie, które mogło przebiegać w bardzo ciężkiej atmosferze, nabrało lekkości.

- Dziękuję, panie przewodniczący - Beechum uśmiechnęła się do uprzejmego dżentelmena. Chociaż w Waszyngtonie roilo się od

174

zakulisowych podgryzań, Beauchamp był uczciwy do bólu. - Więc może się za to zabierzemy.

Sięgnęła po teczkę z materiałami, którą przyniósł James. Pracownicy z zachodniego skrzydła Białego Domu przygotowali zredagowaną wersję sprawozdania

CIA, które prezydent otrzymywał codziennie. Zawierała ona informacje, które prezydent uznał za stosowne precedzić przez to znane sito.

- Jak mogli państwo zobaczyć w kanałach stacji kablowych, nowe ugrupowanie fundamentalistów islamskich wzięło na siebie odpowiedzialność za wszystkie ataki. To ugrupowanie nazywa siebie Ansar insz Allah i jakkolwiek nie mamy o nim zbyt wielu informacji, to FBI ściśle współpracuje z Departamentem Bezpieczeństwa Wewnętrznego i CIA, żeby zbadać dosłownie tysiące nitek.

- Mówi się o powiązaniach pomiędzy rodem Saudów a radykalnymi islamskimi komórkami działającymi tutaj, na terenie Stanów Zjednoczonych - odezwał się senator z Alabamy. - Czy sądzi pani, że ci ludzie dostali się nielegalnie do tego kraju, czy też są naturalizowanymi Amerykanami arabskiego pochodzenia?

- Po pierwsze, to nawet nie wiemy, czy to Arabowie - odpowiedziała Beechum. -

Departament Stanu znalazł niebezpieczne ugrupowania islamskich fundamentalistów w co najmniej jedenastu krajach w różnych częściach świata i byłoby przedwczesne przypisywać to do jakiegokolwiek geograficznego regionu.

- Oj, Elizabeth - odezwał się inny członek komisji. - Wszyscy wiedzą, że FBI przetrzymuje jakiegoś Araba. Mówi się, że urodził się w Arabii Saudyjskiej. Czy to nieprawda?

- To prawda, że zatrzymaliśmy naturalizowanego Amerykanina urodzonego w Arabii Saudyjskiej - przyznała. - Ale ustaliliśmy, że nie miał on nic wspólnego z zestrzeleniem samolotu.

- Czy został on aresztowany? - zapytał przewodniczący. - Czy jest przesłuchiwany?

- Nie mogę omawiać tej kwestii. - Beechum wiedziała, jak to zabrzmie. Dobrze pamiętała ataki na Biały Dom po 11 września. - Mogę powiedzieć tyle, że bacznie obserwujemy kilka państw, w których istniały przypadki popierania przez władze...

- W tym także Arabię Saudyjską? - przerwał senator z Alabamy.

- Także. Nie jest tajemnicą, że ród Saudów ma kontakty budzące podejrzenia. Już w przeszłości zajmowała się nimi ta komisja. Ale

175

proszę pamiętać - musimy zbadać wszystkie aspekty tego śledztwa. Skoncentrowanie się tylko na jednym ugrupowaniu lub kraju byłoby dowodem niedbalstwa.

Senator z Alabamy plasnął dłonią o blat stołu.

- Wiedziałem! - wykrzyknął. - Coś pani powiem... Saudyjczycy już zbyt długo robią nas w konia. Gorąco polecam, pani wiceprezydent, żeby stanęła pani tam, w Gabinetcie Ovalnym, tak jak stoi pani tu dziś przed nami. Ktoś musi stwierdzić, że polityka nie hamuje działań wymiaru sprawiedliwości.

- Trzeba iść tropem pieniędzy - zgodził się inny członek komisji. - Trzeba odkryć, kto wspiera finansowo te działania. I to powiązanie będzie stanowić ślad.

- A co z SIGINT ? - spytał ktoś.

- Mówiłem, że powinniśmy podnieść poziom zagrożenia terroryzmem!

- Jak myślicie, gdzie teraz uderzą?

Pytania padały szybko, jak huragan, zupełnie nie tak jak zwykle. Przewodniczący

walnął młotkiem.

- Porządek - powiedział mocnym głosem. - Ma być porządek.

- Proszę. - Beechum podniosła rękę, usiłując powstrzymać innych od zabrania głosu. - Osoby od dawna zasiadające w tej komisji wiedzą równie dobrze jak ja, że sprawy nie zawsze przedstawiają się tak, jak na to wyglądają. Zapewniam państwa, że nasz wywiad zdziera sobie buty, zaglądając pod każdy kamień stąd do Damaszku. Uważamy, że te ataki są teraz w fazie przygotowań i że...

Drzwi za jej plecami otworzyły się i agent Secret Service podszedł wprost do stołu świadków. Od samego spojrzenia na twarz agenta Beechum przebiegł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Proszę wybaczyć - odezwał się, podchodząc do pani wiceprezydent. Był tylko strażnikiem, a nie ekspertem od Robert s Rules of Order.

Beechum odwróciła się na krześle w stronę agenta, który nachylił się, by coś jej zakomunikować. Był dowódcą zmiany. Nie przeszkadzałby w żadnej innej sprawie, jak tylko w przypadku wezwania przez prezydenta.

- Przepraszam panią... - agent mówił teraz miękkim głosem, nieco donośniej szym od szeptu. - Prezydent życzy sobie, aby natychmiast przyszła pani do Białego Domu.

176

Beechum skinęła poważnie głową. „””””

- Czy powiedział, po co?

- Nie, proszę pani, ale wszystkie dzienniki o czymś trąbią. Ktoś włamał się do naukowego laboratorium uniwersytetu w Louisville i zginęła duża ilość materiału radioaktywnego. Zabito dwóch strażników. Przyznaje się do tego Ansar insz Allah. Beechum zebrała swoje papiery i wstała.

- Proszę wybaczyć, panie przewodniczący - powiedziała. - Jak tylko będziemy wiedzieć coś więcej, przyślę kogoś z informacjami. Ado tego czasu proponuję, żeby się państwo naradzili nad kwestią przywództwa. Na podstawie tego, co słyszałam, sprawy mogą nie być tak stabilne, jak przypuszczaliśmy.

Po tych słowach nastąpił wybuch pytań, oskarżeń i żądań, ale pani wiceprezydent



Stanów Zjednoczonych wstała, odwróciła się do dowódcy zmiany tajnych służb i wyszła, nie mówiąc nic oprócz „do widzenia”.

.. ||""/'• 't> ;•' . | • | | |

•

NOWY JORK PRZYSIADŁ pod ciężarem najgorszej zimy od kilkadziesiąt lat, ale

kiedy Sirad wyszła z Albermarle Building, śnieg zaczął już topnieć. Sirad przez trzy doby nie opuszczała biura, wysuwając nos z Króliczej Nory, tylko aby wziąć prysznic lub przespać się na kanapie.

Jej twarz rozkoszowała się świeżym powietrzem, gdy młoda kobieta wyszła na Piątą Aleję i skręciła na południe. Każdego innego dnia wezwałaby taksówkę, ale nie tego ranka. Jasne, poranne słońce grzało ją w twarz, a w nozdrza wdzierał się zapach świeżego śniegu i pustych ulic.

- Nie ma co jechać samochodem, lepiej metrem - zdecydowała.

Dotarcie do Grand Central zajęło jej dwadzieścia minut, tam wsiadła do metra numer siedem i pojechała na Times Square, a potem trójką w dół miasta, do Christopher Street. Stąd już tylko krótki spacer do Soho House na Dziewiątej Alei. Ładna recepcjonistka powitała ją w drzwiach jedyne w Nowym Jorku hotelu dla członków prywatnego klubu.

- Zadzwoń do pokoju - powiedział urzędnik świetnym brytyjskim akcentem.

Według

Sirad pochodził gdzieś z okolic High Street, w Kensington.

177

Chwilę później wysiadł z windy mężczyzna w blezerze z wielbłądziej wełny i w ciemnoszarych spodniach. Skinął głową swojemu gościowi i przytrzymał drzwi windy,

czekając, aż Sirad wsiądzie. Pojechali na piąte piętro, gdzie poszli do niemal pustej restauracji.

- Przybyłem najszybciej, jak mogłem - powiedział mężczyzna. - O co chodzi?

Wyglądał na zmęczonego podróżą.

- Mamy problem.

- Tylko tyle? - spytał. - Nie mów mi, że przyleciałem tu tylko dlatego, że wy macie problem.

Drobna kelnerka przyłączyła się do trzycalowych obcasach. Jej ruchy stanowiły połączenie wdzięku i arogancji.

- Witam. Espresso? - zapytała, choć nie udało się jej zwrócić na siebie uwagi mężczyzny.

Sirad skinęła głową.

- Wodę - zadysponował mężczyzna. - Gazowaną. Dużą butelkę. Kobieta uśmiechnęła się i odeszła, pozostawiając leciutki zapach migdałowego talku.

- Ktoś zaatakował system Quantis - powiedziała Sirad, kiedy zostali sami. - Na razie tylko obserwujemy, ale mimo wszystko wymaga to bardzo przemyślanych działań.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - padła odpowiedź. Zarządzający programem agent CIA nie widział potrzeby rozwodzenia się nad swoimi metodami i źródłami informacji.

- Czy Mitchell mówił panu, że zidentyfikowaliśmy intruzów? -zapytała.

Hoch splótł palce i zaczął pocierać kciukiem o kciuk.

- Mów dalej - powiedział.

- Programiści i matematycy, autorzy programu kodującego w Quantis zastawili specjalną pułapkę, naprowadzającą na włamywacza. Opisał mi to jako rodzaj zakodowanego radaru, który wykrywa próbę włamania jeszcze przed nastąpieniem zmasowanego ataku.

- Nie lubię suspense - oznajmił Hoch.

- Dziś z samego rana namierzaliśmy coś, co musiało być pasywnym rajdem rekonesansowym z niezidentyfikowanego serwera w Delhi.

- A co, nie spodziewaliście się czegoś takiego? Przecież usiłują zatrzeć za sobą ślady.

- Śledztwo doprowadziło nas do adresu e-mailowego w Vancouver, na hotmailu, którym ktoś posługuje się z jakiejś kawiarenki internetowej. Kompletna anonimowość.

- Cóż, to sensowne, prawda? - stwierdził Hoch. Kelnerka przyniosła wodę oraz espresso i poszła.

- Ledwie. Trudno jest znaleźć sposoby na wyśledzenie kogoś w kawiarence internetowej.

- A więc jak to zrobili?

- Nie zrobili - odpowiedziała Sirad.

- Proszę...

- Użyli podstępu. Bardzo sprytnego... ale nie o to chodzi. Chodzi o podejrzenie. Sirad wypła łyk kawy i wyjęła długopis z torebki, po czym napisała na dłoni pięć liter i pokazała je Hochowi.

- To niemożliwe - powiedział mężczyzna. Wyraz szoku w jego oczach nie był udawany, a Sirad, kłamczucha i posiadaczka niepodważalnych świadectw tej swojej umiejętności, znała tego człowieka, który widział już wszystko, co doprawdy zdawało się niewiarygodne.

- Możliwe. - Powoli zlizwała tusz z dłoni i wytarła ją serwetką. - To fakt. Teraz już wiesz, dlaczego do ciebie zadzwoniłam. Muszę pomówić z...

- Ona nie może z tobą mówić. Jest zbyt dużo innych spraw.

- A co z tymi sprawami, jeśli nie porozmawia ze mną?

Hoch zastanawiał się przez chwilę. Do sali weszła jeszcze jakaś para, ale usiadła daleko, tak że nie mogła nic usłyszeć.

- Spróbuję - powiedział. - A co z Mitchellem. Ile on wie?

- Mnie o to pytasz? - zdumiała się Sirad. - To skurwysyn, który torturował mnie w sprawie informacji, które już miał... Który zatrudnił mnie z powodu moich umiejętności uwodzenia mężczyzn, a odseparował, gdy tego talentu użyłam. To człowiek, który ściągnął mnie do Borders Atlantic jako NOC tylko po to, żeby później oznajmić mi, że cała firma to przykrywka!

Sirad mówiła teraz zbyt głośno, ale Hoch jej nie uciszał. I tak nikt by nie dał

wiary jej słowom.

- Całe życie Jordana Mitchella to jedna wielka tajemnicza czarna dziura. -

Przestała mówić, aby się opanować. - Dlatego do ciebie zadzwoniłam. Jeśli chcesz się dowiedzieć, dokąd prowadzi ten trop, to musisz zacząć od Mitchella.

179

; \*

•>;, - PAN WALKER, PRAWDA? - powiedział męski głos. Jeremy wyczuł obecność tego

mężczyzny, zanim jeszcze go zobaczył.

- Pułkownik Ellis. To zaszczyt pana poznać, sir.

- Nie ma tu żadnych sir, synu. Chyba że przyjechałeś, aby poznać moją córkę albo sprzedać mi konia.

- Ani jedno, ani drugie - roześmiał się Jeremy. Od razu polubił tego

bezpośredniego Tekszańczyka. - Przyjechałem na intensywny kurs taktyki, a na imię mi Jeremy.

Wyciągnął rękę, aby uścisnąć pułkownikowi dłoń.

- Buck Ellis - przedstawił się mężczyzna. - Przeważnie nazywają mnie pułkownikiem. Odpowiadam tu za wszystko. Chodź, oprowadzę cię.

Ellis wyglądał na wyższego aniżeli metr osiemdziesiąt, jak napisano w jego dossier. Był żywą legendą. Opalony na ciemny brąz, ubrany w wyprasowane w kant spodnie koloru khaki, błękitną dżinsową koszulę z perłowymi guzikami, na głowie miał bejsbolówkę z napisem Homestead. Na szyi dyndały mu rzemyki z fluoryzującymi zatyczkami do uszu, a u prawego biodra zwisał, w niezapiętej kaburze DeSantis, tak skonstruowanej, że pozwalała na szybkie wyciągnięcie broni, wykonany z nierdzewnej stali Les Baer kalibru .45. Jeremy zauważył wystającą rękojęść Pachmayra i przyrządy celownicze oświetlane try-tem. Kurek był napięty.

- Czy mam wziąć broń? - spytał Jeremy. To pytanie wydawało się dość oczywiste, zważywszy na status pułkownika.

- Jak pan chce. Zalecamy naszym kursantom, aby tu na terenie zawsze mieli przy sobie broń - odparł Ellis. - Jedną z głównych zasad posiadacza broni jest

poczucie odpowiedzialności.

- Jasne - stwierdził Jeremy. - Wezmę, jak się zamelduję.

- Skąd pan jest? - spytał pułkownik, nie czekając na dalsze wyjaśnienia. Odszedł od samochodu Jeremy'ego, obszedł budynek i poszedł zwirową ścieżką.

- Z Waszyngtonu DC. Mieszkam w Wirginii, tam, gdzie mówi się, że to kraina koni.

- Aaa, znam i to dobrze. Spędziłem tam mnóstwo czasu, będąc w Pentagonie - powiedział Ellis. Kiedy szedł, widać było, że trochę utyka na prawą nogę. Jeremy widział uzasadnienie, towarzyszące nadaniu

180

pułkownikowi Purple Heart, i dziwił się, jak ten człowiek może w ogóle chodzić.

- A pan lubi konie? I jazdę konną?

- Nieee, tak naprawdę nigdy nie miałem na to czasu - przyznał Jeremy. - Mieszkam tam, bo lubię wieś. Ciszę. Pracować muszę w mieście, ale nie muszę tam mieszkać.

- Rozumiem - powiedział Ellis.

Dwaj mężczyźni weszli na werandę o spadzistym dachu. Pod jej frontową ścianą stały fotele na biegunach, ale bez płóz, po cztery z każdej strony oszklonych drzwi. Ellis otworzył je i wprowadził Jeremy'ego do sklepu z upominkami pełnego T-shirtów, czapeczek bejsbolowych i filiżanek do kawy. W gablocie tuż obok kasy leżał imponujący wybór broni palnej - zwykłej i sportowej. Pod tylną ścianą stały w stojakach pompki z wynajętymi magazynkami i karabiny szturmowe z lufami w matowych barwach.

- Ten arsenał robi wrażenie - zauważył Jeremy. Podeszedł do stojaka, na którym wisały kabury, pokrowce na magazynki oraz ręcznie robione pasy.

- Wielkie zabawki dla dużych chłopców - roześmiał się Ellis. Wokół niego wszędzie na ścianie, gdzie tylko było wolne miejsce, wisały zdjęcia: mężczyzn o surowych twarzach i w kamuflażach. Miejscowy artysta napisał na tabliczkach inspirujące powiedzenia i cytaty z Biblii. - Preferuje pan długą broń?

- Lubię wszystko, co tylko strzela - wyznał Jeremy. Pochylił się nad gablotą z bronią i studiował dwurzędową .45 para-ordnance z kompensatorem - Cholera, ależ to piękne.

- To wersja Homestead, wykonana specjalnie dla nas - objaśnił Ellis. Poszedł na zaplecze i wrócił, niosąc kilka kartek papieru. - Jeśli jest pan zainteresowany, to kosztuje trzy tysiące czterysta dziewięćdziesiąt pięć dolarów plus podatek. Dorzucę pudełko amunicji i krótki instruktaż pod koniec tygodnia.

Położył papiery na szklanym blacie.

- Nieco za droga jak na mnie - przyznał Jeremy. - Ale rzecz jasna jest piękna.

Ellis popchnął papiery w stronę Jeremy'ego.

- Przepraszam, że zawracam tym głowę, ale wie pan, jak to się mówi: „nic nie jest skończone, póki nie odwaliło się roboty papierkowej”. Proszę napisać swoje dane i podpisać się tutaj.

Ellis trzymał pióro.

181

- Hej, pułkowniku! Czy chcesz, żebym straciła pracę?

Drzwi zamknęły się za ich plecami i Jeremy zobaczył uderzająco piękną dwudziestokilkuletnią blondynkę. Wyglądała na wysportowaną i schludną w ubraniu bardzo podobnym do tego, jakie miał na sobie Ellis, łącznie z pistoletem kalibru .45 u prawego biodra.

- A, zjawiała się szefowa! - powitał ją Ellis. - Jeremy Walker, proszę poznać moją córkę, Heidi. Heidi, pan Walker właśnie przyjechał.

- Dziś rano to pierwszy z twojej klasy - powiedziała Heidi. Jeremy starał się ukryć zdumienie siłą uścisku jej ręki i promiennością uśmiechu. - Zakwaterowałam pana w chacie B. Na łóżku jest bielizna pościelowa i koc. Jadłodajnia znajduje się nieopodal poligonu numer jeden.

Heidi obeszła gablotę naokoło i stanęła obok ojca. Razem wyglą- ^

dali wspaniale, ten stary borsuk i jego dziedziczka - wynik odpowiedniego doboru rasy.

- No, to zabiorę swoje rzeczy - stwierdził Jeremy, podpisując wymagane formularze. - O której zaczynamy strzelanie?

- Zbieramy się w klasie o jedenastej. Wszystkie poligony, miejsca treningów i budynki znajdziesz tutaj. - Wskazał na mapę Jeremy'ego. - Muszę zaznaczyć, że

całe trzysta sześćdziesiąt akrów naszego rancza jest dostępnych dla kursantów, z wyjątkiem tego zaciemnionego obszaru. To prywatny teren. Wstęp wzbroniony. Jeremy śledził palec pułkownika przesuwający się do granic wyraźnie zaznaczonej części, gdzie mieściły się główne zabudowania - prywatne. Nie można było się pomylić co do intencji tego człowieka.

- Teraz akurat jest dobra pora na to, aby zapoznał się pan z mapą i rozejrzył po terenie - zaproponował pułkownik. - Niech pan pamięta, że tu trzeba dużo pić i zabezpieczać się przed słońcem. Tekszańskie niebo wygląda przyjaźnie, ale może wyrządzić krzywdę, jeśli się do tego dopuści.

- Dziękuję - skinął głową Jeremy. Rzucił ostatnie spojrzenie na czterdziestkę piątkę w gablocie i odwrócił się w stronę drzwi. Musiał się bardzo kontrolować, żeby nie spojrzeć na kobietę.

- I co sądzisz? - spytała po wyjściu Jeremy'ego. Obserwowała, jak chodził z werandy i zniknął za rogiem.

- Dość miły gość - stwierdził pułkownik. Sięgnął pod ladę i wy-iągnął tekturową teczkę, w której wnętrzu znajdowało się wszystko, o jego S-2 dowiedział się o Jeremy'm Andrew Walkerze z Burkę Wirginii.

.3;::

182

- Przystojny, łobuz - stwierdziła córka. - Żonaty?

- Według tego, to nie - czytał Ellis. -Ale znasz zasady.

- Zasady - westchnęła. - Jestem już dorosłą kobietą. Musisz przestać traktować mnie jak córeczkę farmera.

- Zabierz się za papierkową robotę, kochanie. - Pocałował ją w ogorzały od słońca policzek. Chociaż chętnie poświęciłby dla Heidi życie, zasady, o których wspomniał, zostały ustanowione, aby chronić coś o wiele cenniejszego. ",

|||>.,-... ; ,|>,||? ,,: • ,

CALEB JUŻ PONAD CZTERY godziny podążał na południe od New Jersey, kiedy zjechał

z 1-95 na północ od Waszyngtonu DC zjazdem numer 27. Chociaż ból w głowie pulsował z siłą młota pneumatycznego, tylko raz zatrzymał się w swojej podróży do Homestead. Ojciec powierzył mu całe założenia projektu Megiddo i nic na świecie nie powstrzymałoby go od położenia kamienia węgielnego.

Caleb przedarł się przez natężony ruch, zjechał z autostrady i skręcił w lewo, ku podnóżu nasypu. Ponad milę jechał drogą numer 117 na wschód, a potem odbił w prawo, na wiejską, ale zatłoczoną dwupas-mówkę prowadzącą do autostrady.

Jego srebrny ford taurus wtapiał się we wszystko na drodze. Było nie było Waszyngton to miasto biurokratów, ugór urzędników w stopniu GS-12, menedżerów średniego szczebla przyzwyczajonych przez swoją państwową posadę nie przykładając wagi do niczego poza lunchem i polem samochodowym\*.

Dzięki Bogu, że mnie to nie obchodzi - pomyślał sobie. Rush Limbaugh, Mike Savage i Bill O'Reilly umieli świetnie to wykorzystywać. Ludzie w tym kraju zatracili wiarę w Boga, uczucia rodzinne oraz miłość do kraju, który nie znaczył już nic oprócz opieki społecznej i otwartych drzwi dla cudzoziemców. Amerykanie utracili swoje poczucie przynależności - przekonanie, że jest coś, za co warto umrzeć. A kiedy traci się przyczynę tak ważną, że warto dla niej umrzeć, to traci się sens życia.

\* Car pool - tak nazywa się grupa osób, która umawia się i wyznacza sobie dyżury dotyczące podwożenia do pracy kolegów, którzy zrzucają się na benzynę.

183

Przejmujący ból w głowie Caleba dawał mu znać, że żyje. Przewycięż go - mówił sobie. - Ból to tylko uchodząca z ciała słabość.

Jechał tak długo, aż zobaczył biało-niebieskie znaki zakazu wstępu. Baza sił powietrznych Andrews był to liczący dwadzieścia tysięcy akrów teren otoczony przez przedmieścia Waszyngtonu. Jeśli zatrzyma się na poboczu, nikt nie będzie miał nic przeciwko temu. Były tu tylko lasy i koniec pasa startowego. Ochrona koncentruje swoją uwagę na terenie samego lotniska, osłaniając infrastrukturę i koronny klejnot amerykańskich przestworzy - samoloty prezydenckie.

Air Force One, Gatekeeper, The Doomsday Plane. Tymi samolotami prezydent



podróżował po całym świecie, a one uważane były za najbezpieczniejsze na kuli ziemskiej.

W walce z wrogiem posłuż się jego własną bronią - przypomniał sobie Caleb, starając się, aby ból go nie rozpraszał. - Skup się na zadaniu.

Zjechał na pobocze ruchliwej podmiejskiej dwupasmówki, zaparkował i nacisnął przycisk otwierania maski.

Problem z samochodem to najlepsza przykrywka. Nikt już się nie zatrzymuje, aby pomóc kierowcy w kłopotcie. Nie w tej części tego kraju. Przejeżdżając, patrzą w inną stronę, żeby nie czuć się winnymi, próbują udawać, że nie widzą. Zagłębiają się w czytaniu „Washington Post”, powieści w miękkich okładkach, przeglądają jakieś papiery-cokolwiek, byle tylko nie myśleć o cudzych kłopotach. Caleb wysiadł z samochodu, obszedł go z przodu, podniósł maskę i sięgnął do środka, jakby sprawdzał silnik.

Jaka to ironia, że najlepszym sposobem na ukrycie się jest stanąć pod zapaloną latarnią.

Po kilku minutach przeszedł na tył samochodu i otworzył bagażnik. Wyciągnął z niego ciężką płócienną torbę i położył ją w przydrożnym rowie. Swoim jedynym okiem obserwował przejeżdżające samochody, starając się dostrzec choćby jednego kierowcę, który zainteresuje się jego zabandażowaną głową. Ale oni mieli wzrok utkwiony wprost przed siebie, bardziej skupiając się na wyprzedzeniu jadącego przed nimi auta aniżeli na udzieleniu pomocy komuś, kto wyglądał jak uciekinier z pogotowia.

Kiedy już zebrał dość sił na czekające go zadanie, zarzucił torbę na ramię i nie zważając na mijające go samochody, ześlizgnął się po nasypie i zniknął wśród drzew.

Rozdział XI

Czwartek, 17 lutego -

17.18 GMT

Gabinet Owalny, Biały Dom "¡;.-X<: ,

- CO, NA BOGA, SIĘ DZIEJE? - wykrzyknęła pani wiceprezydent, jak burza

przebiegając obok dwóch umundurowanych marines i wpadając do Gabinetu Owального.

Venable stał za swoim pulpitem, opierając się o niego rękami. Ledwie trzymał się na nogach, był blady, spocony jak narkoman gorączkowo potrzebujący działki.

- Siedemnaście kilogramów... niemal czterdzieści funtów radioaktywnego materiału

- odpowiedział Havelock. Stał oparty o malarskie rusztowania, których jeszcze nie było, gdy poprzednio naradzali się w tym pokoju.

- Z uniwersytetu w Louisville? - tyle usłyszała od służb Secret Service.

- Głównie izotopy służące do badań - sprecyzował Alred. On, Vick i Chase stali w różnych częściach Gabinetu Owального, jak gdyby brak biurka pomniejszał wagę prezydenta. - Iryd, cez, w większości pierwiastki emitujące promieniowanie gamma, to najgroźniejsze.

- Wyjaśnij mi to jeszcze raz. - Venable uniósł lewą rękę do góry, jak gdyby zamierzał dyrygować jakąś informacyjną symfonią.

- Materiał radiologiczny dzieli się na trzy główne kategorie - ciągnął Alred. -

Na pierwiastki emitujące promieniowanie alfa, beta i gamma. Naturalny system immunologiczny naszego organizmu jest odporny na cząsteczki alfa i beta, ale nie gamma. Moi ludzie powiedzieli mi, że każdy, kto jest zainteresowany zbudowaniem RDD, chciałby...

185

- RDD? - przerwał prezydent. - Przecież mówiłem, żadnych skrótów!

- Urządzenie służące do rozprzestrzenienia broni radiologicznej - wtrącił

Havelock. Inni pokiwali głowami, jak gdyby wiedzieli, o co chodzi.

- Brudna bomba - wyjaśnił Alred. - Co prawda zawsze martwiliśmy się, że broń jądrowa wpadnie w niepowołane ręce, jednak RDD to najbardziej prawdopodobny scenariusz. Jest to rozwiązanie tańsze, proste w konstrukcji, a poza tym brudną bombę łatwo przewieźć, a trudno wykryć.

- I na szczęście nie jest tak śmiertelna - dorzuciła Beechum. Zdjęła płaszcz i rzuciła na kanapę. - Davidzie, mówimy tu o konwencjonalnym ładunku otulonym radiologiczną otoczką. Może to być cokolwiek, począwszy od izotopów, z których

wykonane są implanty, po rdzeń z reaktora atomowego.

- Cel tego jest taki, żeby wybuch rozproszył radioaktywny materiał - dorzucił Alred. - Kiedy się słucha ekspertów wypowiadających się w telewizji, to wmawiają oni, że teren będzie skażony i nienadający się do zamieszkania przez tysiące lat. Nieprawda. Większość z tych izotopów ma krótki okres rozpadu - od kilku dni do nawet... kilku godzin.

Na twarzy Venable'a odmalowała się ulga.

- Dlaczego media nigdy o tym nie wspominają? - zapytał.

- Bo strach dobrze się sprzedaje - odparł Havelock. - Po co rzeczywistość ma stawać na drodze wynikom oglądalności?

- No, więc w czym tkwi problem? - zapytał prezydent. - Wygląda na to, że najgroźniejszy jest sam wybuch.

- Tak, z punktu widzenia reakcji na kryzys - stwierdziła Beechum. - Ale nie to jest najważniejsze.

Prezydent machnął ręką. Chciał rozwiązania.

- Panika - wypaliła szefowa sztabu Białego Domu. Oni znali się na sposobach reagowania na kryzys, a ona na polityce. - Wystarczy bąknąć słowo „nuklearny”, a ludzie dostają wariacji. I to właśnie pokazują media - kompletnie nieproporcjonalnie wszystko rozdmuchują. Przeciętny Smith nie jest w stanie odróżnić REM\* od Rccola\*\*, ale podniesie piekło, jeśli ktoś w stacji FOX wymieni słowa „brudna bomba”.

\* REM - Roentgen Emmission Men - czyli miernik absorpcji przez ludzki organizm poziomu szkodliwego promieniowania rentgenowskiego. \*\* Rccola - napój podobny do coca-coli.

186

- Terroryzm to destabilizacja za pośrednictwem strachu - przytaknęła Beechum. - Nie nazywamy tych ludzi zamachowcami, ale terrorystami. Wpływ na psychikę, jaki wywiera skuteczna detonacja ładunku, usuwa całkowicie w cień poprzednio przeprowadzone ataki, bez względu na liczbę ofiar.

Venable skierował się w stronę drzwi prowadzących do zachodniego skrzydła, ale potem nagle skręcił w lewo, jakby jednak postanawiając zostać.

- To ile tych bomb? - zapytał. - Jeśli mają czterdzieści funtów, to czy mówimy o kilku bombach, czy o jednej?

- Podczas swych poprzednich ataków uderzyli w kilka miejsc -przypomniał Alred. - Należy zakładać, że teraz postąpią podobnie.

Przez chwilę zapanowała cisza, a potem Alred znowu zabrał głos.

- Jednak wykonanie takiej bomby wcale nie jest łatwe. Koncepcja RDD to papierowy tygrys. Nikt jeszcze nie wykonywał prób z brudną bronią, bo nie ma chętnych do sprzątanía po takim wybuchu.

- A co takiego w tym trudnego? - krzyczał na niego Venable. - Dopiero mi powiedziałaś, że wystarczy owinać kawałek dynamitu materiałem jądrowym i spowodować wybuch. Jak trudno to zrobić?

- Właściwie dość trudno - włączyła się Beechum. Po 11 września była na odprawie poświęconej temu zagadnieniu. - Wielkość ładunku musi być bardzo starannie wyliczona. Jeśli weźmie się go za dużo, to materiał radioaktywny ulegnie takiemu rozproszeniu, że nie będzie stanowić żadnego zagrożenia; a znowu gdy będzie go zbyt mało, wówczas skażony zostanie niewielki obszar i odpowiednie służby szybko go odkażą. I tak jak Alred powiedział - nie ma żadnej konkretnej daty; te dupki mogą chcieć urwać większy kęs, niż będą w stanie przeżuć.

- Gdzie? - zapytał prezydent. Spacerował teraz w kółko. Na jego bladym czole lśniły krople potu. Rozwiązał krawat i zdjął marynarkę, ukazując pogniecioną koszulę, która przylepiła się do ciała.

- Musimy zakładać, że obiorą sobie za cel ważne obiekty - odezwał się po raz pierwszy Vick. Starał się nie dostrzegać, iż prezydent był niestarannie ogolony i na jego zapadniętych policzkach tu i ówdzie sterczały kępki mocnych, czarnych włosów. - Nowy Jork, Los Angeles... gdzieś tutaj.

- I właśnie o to im chodzi! Żebyśmy tak myśleli! - Prezydent nagle zatrzymał się, jakby zobaczył ducha płaczącego się po Białym Domu. -Wiedzą, że już odkryliśmy tę kradzież, i wiedzą, że robimy wszystko,

aby nie dopuścić do kolejnego ataku. Wiedzą, że my wiemy, że wiemy, ale my nie wiemy tego, o czym nie wiemy, i dlatego...

Venable zaplątał się w rozumowaniu. Usiadł przy fisharmonii i bawił się klawiszami, naciskając po jednym wskazującym palcem. Beechum potrząsnęła głową,

modląc się, żeby prezydent tylko się nie rozplakał.

- Powinniśmy coś wymyślić - zawyrokowała.

- Tak jest - zgodził się Venable. - Powinniśmy jeszcze raz przyjrzeć się tym miejscom, w środku kraju, które zaatakowali najpierw. I tam zaatakują nas ponownie... w Kansas City, w Nowym Orleanie...

- Panie prezydencie... - szefowa sztabu Białego Domu próbowała mu przerwać.

- Chattanooga, Ojai, Portland... czy nie widzicie? Oni po prostu chcą, żebyśmy myśleli...

- David! - zawołała Andrea Chase. Doskonale zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie pociąga za sobą taki tok myślenia. - Musimy zakładać, że następnym celem będziesz ty! A to oznacza, że trzeba zastanowić się nad sposobami ewakuacji.

David Ray Venable, czterdziesty czwarty prezydent Stanów Zjednoczonych, skinął tak nieznacznie głową, jak gdyby jej słowa nie miały większego znaczenia aniżeli głos kamerdynera oznajmiającego, że obiad czeka. Wyglądał na nieobecnego i przygnębionego faktem, że sprawy przyjęły tak zły obrót.

- Tak, oczywiście. Wobec tego, zastanówmy się.

Zajął się znowu klawiszami fisharmonii, przebiegł po nich, a potem nacisnął guzik „on”. Stary mechanizm zaczął ryczeć i warkotać.

- Dziękuję wam. To byłoby wszystko.

Beechum zastanawiała się przez chwilę nad wyproszeniem zebranych i odbyciem rozmowy z przywódcą świata, ale potem zmieniła zdanie.

Lepiej porozmawiać prywatnie z członkami gabinetu - pomyślała. - Zanim nastąpi kolejny kryzys, coś trzeba zrobić z prezydentem.

Wyszła za nękaną identyczną rozterką szefową sztabu Białego Domu.

- Czy mogę na słówko? - spytała.

Najbliżsi doradcy prezydenta odwrócili się, aby posłuchać, a tymczasem za ich plecami brzmiała ładnie grana melodia pieśni Wszystkie stworzenia naszego Boga i Króla. A potem David Ray Venable zaczął śpiewać.

188

''' \*  
'''

- NA PRAWO GOTOWI, NA LEWO GOTOWI, gotowi wszyscy na linii ognia!

Jeremy odwrócił się twarzą do celu, sylwetki, do jakiej setki razy przychodziło mu strzelać w FBI. Wycięty z tektury ludzki tors wraz z ramionami i głową znajdował się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni od niego i teraz był nie grubszy niż ostrze noża.

Klik!

Mechaniczny poligon ożył, a cel znalazł się przed nim.

Pamiętaj, że płynny ruch jest szybki.

Jeremy wyciągnął broń, przyciskając mocno wnętrzem dłoni tylną ściankę rękojeści i obejmując palcami okładki z miękkiej gumy. Ręce spotkały się sześć cali przed mostkiem. Ułożył je jedna na drugiej, składając kciuki wzdłuż broni, w kierunku celu. Prawy palec wskazujący ułożył się delikatnie wzdłuż naoliwionego szkieletu.

Wyważ uścisk tak, aby wynosił on sześćdziesiąt-czterdzieści funtów.

Jego ręce spotkały się w odległości sześciu cali od mostka. Leżały jedna na drugiej, kciuki obok siebie, skierowane w stronę zagrożenia.

Skup się na tym, co widzisz przed sobą, naciśnij na spust - nie spieprz.

Widział trytowy punkt na muszce, wielki jak przyczepa od traktora i świecący prosto w oczy. Wylot lufy opadł, gdy wypchnął łokcie lekko ugięte, ciężar ciała przeniesiony na przednią część stóp, nogi rozstawione na szerokość równą szerokości ramion, ramiona lekko zgarbione, oczy szeroko otwarte.

Staraj się, aby każdy strzał był perfekcyjny. Nie możesz nic cofnąć, więc nie zawracaj sobie głowy patrzeniem.

Obserwował, jak koniec lufy podskakuje w górę, a potem znowu opada, jak

wydostaje się z niej dym, osnuwając widok świeżym, błękitnym powietrzem. Czuł podrzut broni i odbicie i patrzył na elegancki lot łuski, spadającej na prawo, podczas gdy on strzelał raz za razem. Jeremy widział, jak wszystko to rozgrywało się w zwolnionym tempie, jakby wyreżyserowane przez braci Wachowskich.

Brakowało

tylko, żeby tu wpadli Neo i agent Smith.

- Po strzale trzymaj broń dalej wycelowaną i sprawdzaj, gdzie celowałeś. - Trzy strzały... cztery.

189

Jeremy mierzył w cel, trzymając pistolet, policzył do dwóch i dopiero wtedy opuścił broń tuż poniżej linii wzroku, lekko ściągając ją do klatki piersiowej i zajmując pozycję gotowości. Wszystkie obrazy przesuwały się mu przed oczami jeszcze raz, tak jak filmy wideo, które pokazują w HRT operatorom, aby zobaczyli, gdzie popełnili błędy.

Oczywiście było po wszystkim, zanim Jeremy zdał sobie z tego sprawę. Kursy strzelania wymagają pustego umysłu, ale wszystko to, czego nauczył się w Akademii FBI, zapadło głęboko i górowało nad jego świadomością.

- Cholera, synu, chyba już to przedtem robiłeś!

Jeremy odwrócił się. Stojący obok mężczyzna wydawał się pod wrażeniem.

Pułkownik

stał cały czas gdzieś z tyłu, ale Jeremy nie zwracał uwagi na jego reakcję.

- Popisujesz się przede mną, czy jak?

Jeremy wystrzelił cztery pociski w czasie krótszym niż trzy sekundy, ale ślad, jaki po nich pozostał, to była jedna mała, poszarpana dziurka.

- Praktyka - stwierdził Jeremy, odwracając się do żylastego Latynosa, z którego dolnej wargi zwisał wielki kawałek tytoniu skoal. W suchym, pustynnym powietrzu rozchodziła się jego świeża woń. - O to głównie chodzi, prawda?

- Taak, no chyba - odparł tamten bez cienia obcego akcentu. - Jak to jest, że cały czas ćwiczę, a moja tarcza wygląda jak gówno?

Jeremy nie zaprzeczył. Na poligonie nie istniały fałszywe komplementy.

- Linia jest gotowa! - zawołał jeden z instruktorów. Strzelali już przez jakieś czterdzieści pięć minut i to w słońcu, czego Jeremy nie przewidział. Tak jak powiedział pułkownik - wyglądało miło, ale mogło zaszkodzić.

Ta „linia”, jak ją nazywali, oznaczała płaską wysypaną kamykami przestrzeń, naprzeciwko której znajdował się wysoki na dziesięć stóp ziemny nasyp. Od lewej strony do prawej ciągnął się rząd pneumatycznie uruchamianych celów. Na komendę uczestnicy musieli odwrócić się, przebiec, następnie kawałek przetoczyć i przeczołgać się w kierunku celów, a potem strzelić do nich z odległości nie mniejszej niż pięćdziesiąt jardów.

Obserwowało to trzech instruktorów. Z tyłu stał pułkownik, w milczeniu oceniając całość.

190

Na ten niezwykle intensywny taktyczny kurs zapisało się dziewięciu uczestników, wyłącznie mężczyźni. Sądząc po ich sprzeczce, Jeremy był jedynym cywilem.

- Juan Emmanuel Javier Subealdea - przedstawił się facet z tytoniem. - Nazywają mnie Dubeltówka, bo jestem szturmowcem. Albo może ze względu na moje strzelanie,

co? - Przystawał ładować broń na chwilę, aby uściskać rękę. - Czy myśmy się już kiedyś nie spotkali? Wyglądasz znajomo.

Świetnie - pomyślał Jeremy.

- Wątpię - powiedział. - Chyba, że lubisz Shakespeare'a. Pracuję dla takiego objazdowego teatru, nie w Waszyngtonie. - Mówiąc to, poszedł za innymi, a Dubeltówka za nim.

- Jesteś pewien, że się nie znamy? - pytał. Splunął zabarwioną skoalem śliną na skorpioną. - Przez lata łapałem handlarzy narkotyków i mam dobre oko do twarzy.

- Przykro mi, ale nie. - Jeremy podszedł do skrzynki z amunicją kalibru .45, żeby napchać jej sobie do kieszeni przed kolejną turą strzelania.

- O cholera, teraz... - zaczął Latynos. Jeremy'ego przebiegł dreszcz.

- Słuchaj, gogusiu, doprawdy bardzo przepraszam i mam nadzieję, że cię to nie przeraża, ale, jak powiedziałem, nie zapominam twarzy -ciągnął tamten,



rozglądając się, by się upewnić, że nikt nie słyszy.

Jeremy nie miał pojęcia, w jaki sposób tamten go rozpoznał, ale liczył, że się dowie.

- Musisz być tu jako UC\*, tak? - spytał.

- UC? - Jeremy wyglądał na zdumionego. - A co to znaczy? Dubeltówka uśmiechnął się znacząco.

- Nic nie powiem. Kilka miesięcy temu byłem w Quantico, w Akademii FBI. Jednym z

naszych instruktorów był facet, który kiedyś był w HRT. Oprowadził nas po budynku i właśnie wtedy widziałem na ścianie twoje zdjęcie. Tam w Portoryko dokonałeś kurewsko zdumiewającej sztuki. Dostałeś przyznawany przez prokuratora generalnego Medal za Odwagę.

Obydwaj mężczyźni szli przez chwilę w milczeniu.

- Przepraszam, że to wyciągnąłem, ale mam dla ciebie wiele szacunku. I chciałem ci to powiedzieć - rzucił Dubeltówka.

\* Skrót od słowa undercover - tajny.

191

Jeremy czuł, jak siedząca w żołądku gula wędruje do góry, żeby zatrzymać się w gardle. Jego zadanie było tajne, należało do Grupy Drugiej, żadnego wsparcia. Operacja o określonych implikacjach dla bezpieczeństwa kraju - misja, która mogła zakończyć się śmiercią. Był tu od niespełna trzech godzin i już go rozpoznano.

- Naprawdę chłopie, poza mnie to już nie wyjdzie. Przyrzekam, kurwa.

Jeremy wyciągnął broń i załadował nowy magazynek. Jeśli trzask ładowanej broni stanowił podkreślenie jego słów, to nie miał takiego zamiaru.

- Nazywam się Walker i tak jak już mówiłem, jestem fanem Wieszcza.

- MAMUSIU, CZY TATUŚ JESZCZE nas kocha? - spytał Chri-stopher. Malec leżał zwinięty na kolanach matki w salonie. Na lewej ręce od kostek paluszków aż do połowy ramienia ciągnęła się plastikowa osłona gipsu, w którym tkwiła rączka chłopca.

- Oczywiście, że nas kocha - zapewniła go po raz kolejny Caro-line. - Tatuś kocha cię mocniej niż ziemię, i księżyc, i gwiazdy razem wzięte. Czy nie mówię ci tego zawsze?

- No, taak - stwierdziła średnia pociecha - ale dlaczego właściwie on kocha ten księżyc, słońce i gwiazdy?

Caroline zastanowiła się. Dzieciak prowadził jednym punktem.

- Tak się mówi - powiedziała. - To tak samo, jak ty rozkładasz ręce na boki i mówisz, że tak bardzo mnie kochasz.

Poparła swoje słowa tym gestem.

- No tak, ale w tym zawiera się wszystko. To o wiele więcej aniżeli słońce, i gwiazdy, i księżyc. To więcej, niż cokolwiek na całym, calut-kim świecie.

Siedzieli tak, rozważając sprawy zbyt skomplikowane jak na takie chwile.

- Czy boli cię rączka, kochanie? - spytała Caroline, która wstała, ponieważ malec nie mógł spać. Teraz siedzieli razem w salonie, wśród ciszy, bo pozostała dwójka dzieciaków spała.

- Niece, nie jest tak źle - oznajmił Christopher. Ich tata być może nie najlepiej potrafił wyjaśnić, jak bardzo je kocha, ale nauczył dzieciaki awersji do łez. - Tatuś byłby ze mnie dumny, co?

192

- Bardzo - Caroline rozczesywała palcami włosy synka. Myślała o mężu - na jakie niebezpieczeństwo naraża się tym razem, czy dobrze się czuje, czy jest za granicą?

Pamiętała, jak tuż po zakończeniu misji w Portoryko oznajmił: -Zabiłem człowieka.

Caroline nie miała pojęcia, dlaczego teraz, gdy trzymała synka w ramionach, przyszła jej do głowy ta myśl. Tamte słowa brzmiały jednak jakoś nie tak, były nie na miejscu. Jeremy zawsze robił na niej wrażenie spokojnego, łagodnego.

Ale przed HRT.

Jednostka zmieniała go. Robiła to pomału, ale starannie, tak jak broda, gdy zaczyna rosnąć, zmienia twarz mężczyzny. Wszystko zaczęło się, gdy Jeremy chodził do Szkoły dla Nowych Operatorów, zwanej w skrócie NOTS; wszystkie te

niekończące się dni, gdy był bity, wyczerpany i zbyt zawalony nauką, aby porozmawiać. A potem został przyjęty do HRT i pojechał do Portoryko. Nocne koszmary - przypominała sobie - i wściekłość. Teraz wydawało się, że Jeremy zna tylko jedno uczucie, a życie z nim przypominało stąpanie po polu minowym. Nigdy nie było wiadomo, kiedy jakiś niewłaściwy krok spowoduje wybuch i zepsuje cały dzień.

- Myślisz, że tata jest superbohaterem? - spytał Christopher.

- Nie wiem, a jak ty sądzisz? - Caroline pocałowała dzieciaka w czubek głowy. Nie ulegało wątpliwości, że Jeremy był niezwykle utalentowany, gdyby jeszcze tylko potrafił docenić te dary niebios.

- Myślę, że jest - oświadczył Christopher. - Znika, gdy jest jakiś kłopot. Ma broń. Może aresztować ludzi.

- No, to punkt dla ciebie - stwierdziła matka.

- Nigdy nie mówi nam o swoich misjach. No, nie tak naprawdę. Wiem, że ma mnóstwo zajęć, ale myśli, że ponieważ jesteśmy mali, to nie rozumiemy.

- Może i tak - zgodziła się Caroline. - Ale wobec tego ty jesteś mały superbohater, prawda? Czy uważasz, że masz jakieś specjalne zdolności? To pytanie wymagało pewnego zastanowienia.

- Neeee - powiedział chłopiec w końcu. - Superbohaterowie nie łamią sobie rąk. Caroline uśmiechnęła się na myśl o prezentach, jakie dał jej Jeremy: trójkę cudownych dzieci, ładny dom, zaufanie. Możliwe, że w chwilach takich jak ta życie zdawało się nie mieć sensu, ale czyje życie zawsze

193

go ma? Związek z HRT nie będzie trwać wiecznie. Pewnego dnia Jeremy wróci do domu już na stałe i gdy tylko dzieciaki będą mieć jakieś pytania co do tego, jak bardzo je kocha, sam im to wyjaśni.

•

SIRAD WRÓCIŁA DO SWOJEGO BIURA, czując się bardziej rześko, ale

bynajmniej

nieprzygotowana do stawienia czoła niebezpiecznemu wyzwaniu. Jeśli to, co Nie Umie Strzelać jej pokazał, było prawdą, to ludzie usiłujący włamać się do Borders Atlantic stanowili olbrzymią komplikację. Już uporanie się z fizyką i matematyką, których znajomości wymagał kod systemu Quantis, było dostatecznie trudne, a cała gmatwanina potężnych sił, dla których zabicie człowieka to pestka, napawała ją śmiertelnym przerażeniem.

- Gdzie byłaś? - zapytał Hamid. Wszedł do jej biura bez pytania i klapnął na jedno z krzeseł. - Ten Ravi z Króliczej Nory wydzwania po całym mieście i szuka ciebie.

Czego on chce? - zastanawiała się Sirad. Wzięła pilot od telewizora i zaczęła skakać po informacyjnych kanałach kablowych.

- Nie powie. Ta wiedza jest wyłącznie dla ciebie.

Kiedy na monitorze pojawiły się najświeższe informacje stacji CNN, FOX, MSNBC, Sirad rzuciła pilota na biurko. Na płaskim ekranie o wysokiej rozdzielczości widać było sceny z rozbitego samolotu, zawałone budynki i wszędzie dokoła pełno najróżniejszych części ciała. Za każdym razem w górnym prawym rogu pojawiał się napis: „Uwaga. Wyraźne zdjęcia”, a w lewym: „Wysoki stopień zagrożenia terrorystycznego”. Na linii u dołu ekranu przewijały się informacje o reakcji świata, Białego Domu, rosnącej wciąż liczbie ofiar i opiniach polityków.

Natomiast cały ekran był podzielony na dwie części i w każdej widać było wypowiadającego się eksperta, będącego tego dnia gościem danej stacji.

- To jakiś cholerny cyrk - powiedziała sama do siebie głośno Sirad. - Całkiem nowe zjawisko psychologiczne, polegające na zwabianiu widzów przez stacje i zerowaniu na ich reakcji na strach. W Las Vegas usadowił się Anders Coopers. Wiadomości według doktora Phila. Tylko w Ameryce możliwe jest zastąpienie rzeczywistego dramatu rozrywką oraz rzeczywistości dramatem i to w dzienniku telewizyjnym. Absopierdolutnie zdumiewające.

194

Hamid nie widział sensu w dodawaniu jej odwagi, a sam oglądał CNBC.

- Co wiesz na temat Laboratorium Mózgów? - zapytała Sirad, zmieniając temat.
- Coś tam słyszałem. Nigdy tam nie byłem.
- Ravi chce oddelegować tam niewielką ekipę, żeby pracowała w odosobnieniu, dopóki nie rozwiążemy problemu.
- Po co? - Hamid wzruszył ramionami. - Laboratorium Mózgów to część działu R&D\*, a on mieści się poza Nowym Jorkiem. Siedemnaste piętro ma już dostęp do ich danych i programów.
- Myślę, że on się boi. - Sirad patrzyła przez biurko na swego byłego kochanka. Minął już niemal rok od chwili, gdy po raz ostatni cieszyli się swoimi ciałami. Nagle wydało jej się, że to było tak dawno.
- Czego? Królicza Nora jest bardzo dobrze strzeżona, niemożliwa do przeniknięcia z zewnątrz.
- Hamid, czy ty naprawdę mnie kochałeś? - Sirad znów zmieniła temat. Nie chciała, żeby poznał prawdę o Quantis. Jeszcze nie.
- Wciąż cię Kocham - odpowiedział, nie mogąc ukryć bólu w oczach.
- Wiesz, że mi przykro. Nigdy nie miałam odwagi ci o tym powiedzieć.
- Jeśli jest ci przykro, to dlaczego nigdy nic nie wyjaśniłaś? -zapytał Hamid. - Dlaczego odeszłaś, mówiąc tylko „do widzenia”? -Zawsze chciał tylko znać powód.
- Wyjaśnienie nie jest proste. - Sirad odwróciła się do telewizora. Nie poświęcała przeszłości zbyt wiele czasu. - Nie byłoby wystarczające.
- Nigdy nikomu nie ufałaś, prawda? Nigdy nie czułaś tego bezpieczeństwa, jakie się ma, gdy ktoś zrobi dla ciebie wszystko, bo cię kocha.
- Ravi chce, żebym z nim pojechała? Ale kiedy?
- Nie lubisz, kiedy ktoś cię rani. Jesteś twarda, bo boisz się bólu -ciągnął Hamid.
- Przykro mi w związku z tym, co stało się z nami. To nie była twoja wina.
- \* Research and Development-badania i rozwój.

- Przykro ci, że stało się to, co się stało, czy też że to się skończyło? -

spytał. Mówił nieśmiało, tak jak kochanek, który nadal ma nadzieję na coś więcej.

!;!;- Przepraszam...- wyjąkała - ale nie widzę różnicy.

•

WEDŁUG WIĘKSZOŚCI KURSANTÓW W HOMESTEAD kolacji wcale nie podano za wcześnie.

Pułkownik Ellis zawsze starał się, aby jego rancza nie opatrzone etykietką „turystycznej atrakcji”, toteż swój kurs prowadził twardą ręką, identycznie jak swego czasu Special Forces. Toteż gdy o siódmej wieczorem rozległ się dzwonek, większość marzyła tylko o grubym steku i tylu płynach, ile tylko da się przelknąć.

- Nie powiedział nam pan, że z pana taki cud - odezwała się Heidi, stawiając swoją tacę obok miejsca Jeremy'ego, na stole zbitym z cedrowych bali wspartych na krzyżakach. Instruktorzy jedli wraz z uczestnikami kursu, podobnie zresztą jak Ellis i jego rodzina.

- W broszurze było napisane, że to zaawansowany kurs - odparł Jeremy, odsuwając się nieco w lewo i robiąc miejsce dla Heidi. - Przypuszczam, że wszyscy tu umieją strzelać.

Ellis popatrzył na niego, ale Jeremy udał, że tego nie zauważył.

- Ale nie strzelają tak jak pan - uśmiechnęła się Heidi. - Proszę o pieprz.

Jeremy podał jej plastikowy pojemniczek z przyprawami. Jedli na tacach, ale na stole stało wszystko tak jak do kolacji w normalnym, rodzinnym domu. W jadalni nie było ścian i chłodny, wieczorny wiatr zaczął rozwiewać serwetki.

- Oj! - krzyknęła Heidi, zdążywszy w porę chwycić pęk serwetek. - Ten cholerny teksański wiatr nigdy się nie uspokoi. Bywał już pan tu, panie Jeremy Walker? Uśmiechnął się, słysząc, jak wymawia jego imię. Słowa zdawały się wypadać jej z ust niczym maleńkie kropelki, wilgotne i lśniące.

- Byłem kilka razy w Dallas, służbowo. - Jeremy czuł na sobie wzrok pułkownika, dlatego też wolał zająć się swoim stekiem i fasolką.

- Mam nadzieję, że to nie moje towarzystwo pana peszy, ale pułkownika - stwierdziła Heidi. - Wiem, że przygląda się panu dość intensywnie, ale to

dlatego, że jest ojcem i wojskowym. Nie zna się

196

specjalnie na dziewczęcych gustach, jeśli chodzi o mężczyzn. Tak naprawdę to wątpię, czy kiedykolwiek w życiu zauważył ładny tyłeczek. Jeremy o mało się nie udławił. Heidi również się roześmiała, trącając go pod stołem kolaniem. Jej niczym nieskrępowane poczucie humoru zdawało się tak olbrzymie, jak rozpościerająca się wokół nich przestrzeń.

- Czy chce pani, żeby mnie wyrzucono stąd zaraz pierwszego wieczoru? - zapytał Jeremy. Niektórzy zaczęli już spoglądać w ich stronę. Heidi rzucała się wszystkim w oczy, choćby ze względu na oszałamiającą, a naturalną urodę.

- No, dobra, teraz musi pan dostać to, za co pan zapłacił, zanim z mojego powodu zrobi pan coś głupiego - kokietowała. Jej perfumy - zapach bzu i miodu - mieszały się dziwnie z płynem do czyszczenia broni i dymem z grilla. Przez pokój przemykał suchy wiatr, napełniając nozdrza Jeremy'ego odurzającym zapachem. - Nie jesteś żonaty, co?

Jeremy potrząsnął głową. Słowo „nie” po prostu nie przeszło mu przez gardło.

- Jakaś sympatia?

- Gdybym nie wiedział, co i jak, to myślałbym, że na mnie lecisz - odparował Jeremy. Stek był smaczny. Po całym dniu spędzonym na świeżym powietrzu skóra Jeremy'ego lekko ogorzała. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuł się szczęśliwy.

- Czyli teraz nie masz nikogo, Romeo? - zapytała wkładając do swych pięknych ust kilka strączków fasolki. Jeremy walczył ze sobą, aby się na nią nie gapić.

- Dzieci pułkownika nie należą do nieśmiałych - stwierdziła, przełknąwszy kęs. - Zdaję sobie sprawę, że mam tydzień na roztoczenie swojego uroku, a tymczasem pierwszy dzień już niemal się kończy. Jeśli zamierzasz twardo siedzieć w tej swojej chacie i trzymać się rutyny jak miss Daisy\*, no to będzie ci trudno.

Jeremy roześmiał się - czuł się odprężony, zrelaksowany. Kilka ostatnich tygodni omotało go ciasną płataniną domysłów, obawy i strachu. Miotając się między sytuacją w domu a czekającym go zadaniem, czuł się jak w jednym z tych snów, kiedy chce się uciekać, a nie można ruszyć nogą.

\* Aluzja do filmu Woźąc Miss Daisy.

197

- Czy to tak, jak w tych filmach, w których powinienem wstać, zdzielić pistoletem tych wszystkich gapiących się na ciebie facetów i rzucić cię na mojego konia, tak byśmy mogli odjechać w dal, w stronę zachodzącego słońca? - żartował. Przecież Jeremy Walker nie był żonaty.

Heidi spojrzała na zegarek.

- Cóż, słońce już niemal zaszło, a ja nie dosiadam niczyjzego konia - powiedziała zupełnie beznamiętnie. - Ale pójdę spać dopiero za kilka godzin. Jeżeli wiesz o kobietach choćby połowę tego, co o strzelaniu, to moim zdaniem powinienes wyciągnąć pejcz i zacząć chłostać.

1 |',',

Rozdział XII

Piątek, 18 lutego

01.00 GMT

Salon wiceprezydenta w budynku im. Eisenhowera

- CHOLERA, ELIZABETH, CZY TY wiesz, o czym mówisz? To jest zdrada.

Pani wiceprezydent siedziała z uroczyście założonymi rękami, a przed nią wokół masywnego stołu konferencyjnego ustawionego w pokoju przeznaczonym do sesji zdjęciowych siedzieli nieco stłoczeni naczelny dowódca Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, szefowa sztabu Białego Domu i prokurator generalny.

- Wiem, co mówię - spokojnie odpowiedziała prokuratorowi generalnemu Andrew Hellierowi. -1 nic z tych rzeczy. Próbuje tylko wykazać, że prezydent Stanów Zjednoczonych demonstruje zachowanie groźne dla bezpieczeństwa kraju i to wówczas, kiedy grozi nam kolejny zamach terrorystyczny. Jako pełnomocnicy zapisanych w konstytucji zasad, mamy obowiązek - i taką przecież składaliśmy przysięgę - rozważyć wszystkie nieprzewidziane ewentualności.

- Łącznie z buntem? - spytał Havelock. - Niczego takiego nie było.

- Czuję się niezręcznie, rozmawiając na ten temat - zgodziła się Andrea Chase.



- A ja nie - oznajmił jedyny umundurowany członek tego towarzystwa. Oshinski, głównodowodzący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, wywodził się z marines, miał cztery gwiazdki na epoletach i słynął z tego, że nigdy nie bał się konfliktów. - Chciałbym przypomnieć, że

199

człowiek grający teraz pieśni religijne w Gabinetce Owalnym ma pełną władzę, by rzucić do działania najpotężniejszą armię w historii świata. A teraz jest niespecjalnie zorientowany, o co chodzi.

Szefowa sztabu Białego Domu nie podzielała tej opinii.

- Na Boga, on jest zmęczony - powiedziała. - Czy my rzeczywiście rozmawiamy o odwoływaniu się do jakichś tajnych zapisów konstytucyjnych i zmianie przywództwa,

dlatego że David Venable musi po prostu porządnie się wyspać?

- Nie spał wcale przez trzy noce - spierała się Beechum. - On nie pamięta, o czym była mowa przed chwilą.

- Andrea, czy w tym stanie pozwoliłabyś mu wystąpić w telewizji? - zapytał generał Oshinski. - Czy chciałabyś, żeby Amerykanie, albo świat, zobaczyli go takim?

Zapadła cisza, a wszyscy zaczęli błędzić wzrokiem po wspaniałym wystroju wnętrza, będącego dziełem Williama McPhersona. Zbudowane swego czasu na potrzeby Departamentu Marynarki Wojennej\*, przeszło renowację w latach sześćdziesiątych i teraz służyło jako miejsce ważnych spotkań oraz konferencji prasowych. Ściany pokrywały wzory oraz sceny marynistyczne, a mahoń, biała brzoza i wiśnia świadczyły o kunszcie amerykańskiej sztuki zdobniczej. Pod północną i południową ścianą stały wielkie kominki z belgijskiego czarnego marmuru zdobione złoceniami i sercami z zielonego marmuru.

- To trudna rozmowa i świetnie zdaję sobie z tego sprawę - argumentowała Beechum - ale kto, do cholery, przewidział, że coś takiego może się zdarzyć? Odpowiadamy za dwieście osiemdziesiąt milionów obywateli, a atakuje nas wróg, którego nawet nie potrafimy zidentyfikować. Nie bawię się tu w Alexandra Haiga, ale staram się

robić to, czego oczekuje od nas historia.

Początkowo nikt nie zareagował. Uwagę Beechum przykuło popiersie Krzysztofa Kolumba, zarekwirowane z hiszpańskiego statku po bitwie pod Santiago de Cuba w 1898 roku. Spoglądało na nią z identycznym nieprzejednaniem, jakie widziała na twarzach Havelocka i Chase.

- A co na to lekarz Białego Domu? - spytał Oshinski po dłuższej chwili. - Może przepisałby jakieś środki uspokajające, coś, co sprawi, że David uda się na spoczynek, którego tak bardzo potrzebuje.

\* Istniał do 1947 roku, potem wszedł w skład Departamentu Obrony.

200

- Dobry pomysł - przytaknął Havelock. - Właściwie przez cały ten czas nikt się o niego nie troszczył. A przecież on sprawuje ten urząd dopiero przez trzy jebane tygodnie. Nie można obwiniać go za to, że stara się nad wszystkim czuwać.

- Nie mówimy o obwinianiu, ale o odpowiedzialności - wypunktowała Beechum. - Sądzę, że pomysł generała jest doskonały.

- A co mówi na ten temat konstytucja? - zapytał generał. Zawsze uderzał go fakt, że ostateczne rozstrzygnięcie to był zawsze palec położony na spuście. -

Pamiętajmy, że po każdym środku uspokajającym prezydent będzie niezdatny do sprawowania funkcji głównodowodzącego sił zbrojnych. Czy dasz sobie radę ze wszystkim, Elizabeth?

Hellier, prokurator generalny, odwrócił się w stronę pani wiceprezydent, która wyciągnęła z teczki tekst konstytucji. Dobrze go już przestudiowała, ale dla wywarcia efektu chciała go jeszcze przeczytać.

- Poprawka Dwudziesta Piąta, część czwarta: „Ilekroć wiceprezydent i większość kierowników resortów lub innego ciała określonego przez Kongres w drodze ustawy złoży prezydentowi ad interim Senatowi i przewodniczącemu Izby Reprezentantów pisemne oświadczenie, że prezydent nie może sprawować władzy i zadań swojego urzędu, wiceprezydent niezwłocznie przejmuje władzę i zadania tego urzędu jako pełniący obowiązki prezydenta. Jeżeli następnie prezydent złoży prezydentowi ad interim Senatowi i przewodniczącemu Izby Reprezentantów pisemne oświadczenie, że

jego niemożność już nie zachodzi, wówczas przejmuje znów władzę i zadania swojego urzędu, chyba że wiceprezydent i większość kierowników resortów lub innego ciała, określonego przez Kongres w drodze ustawy, złożą do dni czterech prezydentowi ad interim Senatu i przewodniczącemu Izby Reprezentantów swoje pisemne oświadczenia, że prezydent nie może sprawować władzy i zadań swojego urzędu. W takim wypadku rozstrzyga Kongres".

Rozejrzała się po pokoju.

- Musimy to złożyć na piśmie? - spytał Havelock.

- Nie tak łatwo o tym rozmawiać, prawda? - stwierdził prokurator generalny. -

Omawiamy tu działanie ekstremalne, bez precedensu.

- To nic w porównaniu z tym, co mogłoby się wydarzyć, gdybyśmy tego nie zrobili

- odparowała Beechum. - Nikt z obecnych tu nie ma, z politycznego punktu widzenia, więcej do stracenia niż ja; moglibyśmy uczynić całą sprawę po prostu jawną. Już sama ta dyskusja może sprawić, że będę wiceprezydentem sprawującym swój urząd

\

201

najkrócej w historii. A jednak podejmuję to ryzyko, bo nie chcę obudzić się jutro i próbować wyjaśniać amerykańskiemu społeczeństwu, że pozwoliliśmy popadającemu w coraz większy obłęd prezydentowi grać kościelne psalmy, bo nikt nie chciał sprawić mu przykrości.

- To wydostanie się poza obręb tego pokoju - zauważyła Chase.

- Należy tak przypuszczać - przytaknęła Beechum - chyba że nie...

- Chyba że nie powiadomimy Kongresu - uprzedziła ją Andrea Chase. - Przecież prezydenci śpią, prawda? Kto będzie wiedzieć, czy jakieś proszki mu w tym pomogły?

- Nie jestem pewien, czy chcę słuchać takich rzeczy - oświadczył prokurator generalny. - Przecież mówimy o dawaniu środków odurzających prezydentowi Stanów

Zjednoczonych! Jako najwyższy rangą urzędnik stojący na straży przestrzegania

prawa muszę was ostrzec, że to jest bardzo...

- Konstytucja zaleca, że jeśli poinformujemy o tym Kongres, to prezydent będzie musiał pisemnie dowieść, że jest w stanie piastować urząd - zauważyła Beechum. - Czy ktokolwiek z tu obecnych zechce wyjaśnić to wszystko prezydentowi, gdy się obudzi?

Po raz pierwszy na ustach zebranych pokazały się grymasy na kształt uśmiechu.

- Myślę, że jesteśmy to winni Davidowi - powiedział generał. - Przecież dawaliśmy mu kawę, aby nie ogarniała go senność, to dlaczego teraz nie możemy poprosić lekarza Białego Domu, żeby podsunął mu coś, co pomoże mu zasnąć? Obudzi się jutro jak nowo narodzony i po wszystkim.

- Ale my obradujemy przez dwadzieścia cztery godziny - przypomniała mu Andrea Chase. - A co z tymi radioaktywnymi materiałami, które właśnie zostały skradzione? Mieliśmy już dwa zamachy i...

- I jaka jest alternatywa? - zapytał Oshinski. - Czy będziemy czekać, aż ktoś ich użyje? Nie chcę nawet myśleć, co ten człowiek może zrobić po kolejnej nieprzespanej nocy.

Beechum wstała. Nigdy nie cofała się przed trudnymi wyzwaniem.

- Sądzę, że nie mamy wyboru - oznajmiła. - Obecny stan umysłu prezydenta stanowi oczywiste zagrożenie dla bezpieczeństwa tego kraju. I o ile wszyscy zgodnie nie będziecie próbować mnie powstrzymać, to natychmiast zamierzam porozmawiać z doktorem Hernandezem.

Nikt się nie sprzeciwił.

202

- Generale, pana głowa w tym, żebyśmy byli kryci w Pentagonie - mówiła dalej. - Andrea, ty zajmiesz się odpowiadaniem na pytania. Jutrzejsze spotkanie z prasą bez zmian, ale briefing o czternastej odwołujemy, ze względów bezpieczeństwa... puść przeciek, że mamy jakąś pozytywną informację. Hellier, musisz pomówić ze swoim doradcą, tylko dyskretnie, by się upewnić, że nie wpakujemy się w jakieś problemy natury prawnej. Ja biorę na siebie cały atak polityczny, ale już kiedyś otarłam się o więzienie i nie lubię tego.

Nie było sprzeciwów.

- Mamy co robić przez dwadzieścia cztery godziny - powiedział Oshinski.

- To doba - cieszył się Havelock. Decyzja Beechum napełniła go optymizmem. - Ile złego może się wydarzyć w tym czasie?

V. n •

• JIMMY BREEDLOVE SIEDZIAŁ przy klawiaturze terminalu komputerowego pośrodku

idealnie okrągłego bunkra o powierzchni piętnastu tysięcy stóp kwadratowych.

Otaczała go mapa wideo długa na sto sześćdziesiąt, a szeroka na dwanaście stóp,

na której ekranie błyskały informacje. Stąd z California Independent System

Operator\*, czyli Cal-ISO, z Centrum Kontroli w Folsom, mógł śledzić każdy

elektron przepływający przez sieć wysokiego napięcia w zachodniej części Stanów Zjednoczonych.

- Hej, Bo, mamy ostrzeżenie o przeciążeniu sieci w Santa Barbara - zawołał do jednego z kolegów. To był rutynowy alert, taki jak cztery tysiące innych w ciągu każdej sekundy. Nic niepokojącego.

- Oprah Winfrey musiała włączyć maszynę do robienia waty cukrowej - odkrzyknął Bo. Inni zaczęli się śmiać.

- Niece, magazyn „People” napisał, że znowu się odchudza. To chyba te elektrownie wiatrowe!

Breedlove tak jak i pozostali parsknął śmiechem. Autentycznie lubił swoją pracę inżyniera w Centrum Kontroli w Folsom. Uważał się za integralną część systemu, który co roku dostarczał trzydziestu milionom Amerykanów dwieście czterdzieści miliardów kilowatów.

\* Kalifornijski Niezależny Operator Systemu Energetycznego.

203

Ta praca, w Cal-ISO, w supertajnym centrum kontroli, plasowała go na przedmurzu systemu obronnego Stanów Zjednoczonych. Breedlove, podobnie jak wartownicy, kierownictwo oraz pozostali inżynierowie, był szkolony przez służby odpowiedzialne za reagowanie w sytuacjach kryzysowych. Teraz FBI zaplanowało

kolejne szkolenie na przyszły tydzień, ale inżynier miał nadzieję, że z powodu obecnych ataków terrorystycznych zostanie ono przesunięte gdzieś o miesiąc i będzie mógł wziąć urlop, którego szef mu odmówił.

- Hej, Bo, na jakiej pozycji dziś grasz? - zapytał. Po pracy mieli grać w softball i żona zgodziła się, aby spędził wieczór z kolegami. Byłoby świetnie wypić parę kufla u Mulligana.

- Z bazy numer dwa - odpowiedział Bo. - Hej, czy ktoś słyszał o San Onofre?

Elektrownia jądrowa w hrabstwie San Diego zaplanowała na dzisiejszy wieczór zmniejszenie mocy reaktora w celu dokonania jego przeglądu. Dyrektor miał zadzwonić i podać szczegóły.

- Słyszę fale, jak narastają do trzech stóp, to przez ten wiatr od brzegu - roześmiał się Breedlove. - Powiadają, że to naprawdę jest coś.

Bo i Breedlove, obydwaj z hrabstwa Orange, dorastali, surfując na odcinku pomiędzy starym domem Richarda Nixona w San Clemente a wzbudzającą kontrowersje

elektrownią jądrową w San Onofre. Natomiast tamtejszą plażę miejscowi nazywali Trestles.

- Mądrała - odchrząknął mu Bo. Sprawdził ponownie swoje monitory i pozwolił sobie na chwilę wspomnień. W latach sześćdziesiątych południowa Kalifornia wyglądała zupełnie inaczej, to było zanim jeszcze ruch na ulicach i gęstość zaludnienia stały się nie do wytrzymania. Przeprowadzka do Folsom - pięknego miasta liczącego pięćdziesiąt dwa tysiące mieszkańców, a usytuowanego w połowie drogi między San Francisco a jeziorem Tahoe - zapewniła dzieciakom okres, który wspominał z zachwytem.

A czyż można narzekać na pracę?

Bo był zatrudniony na stanowisku kontrolera sieci, monitorował niezmiernie ważny odcinek Western Interconnect: 25 526 mil przewodów elektrycznych na powierzchni 124 000 mil kwadratowych, co zaspokajało czterdzieści procent całkowitego zapotrzebowania na energię elektryczną zachodnich stanów.

Narzędzia, w jakie go w tym celu wyposażyła Cal-ISO, sprawiały, że to zadanie zdawało się nie wymagać niemal żadnego wysiłku. Bo

204

siedział na stanowisku dowodzenia, które wzbudziłoby podziw każdego producenta filmowego. Poza wielką tablicą rozdzielczą na czterech ekranach Electrohome nieustannie wyświetlane były dane z szesnastu znajdujących się w obrębie sieci stanów. Na ekranach telewizyjnych z kolei ukazywały się wiadomości z rozmaitych stacji.

A każdy, komu przyszlaby do głowy myśl zagrożenia sieci, powinien się dwa razy zastanowić. Na górze teren był nieustannie patrolowany przez uzbrojonych wartowników, konkurujących ze strażnikami z pobliskiego więzienia. Dostępu do bunkra strzegły czytniki linii papilarnych i kodów, a jego nieokreślone otoczenie hamowało dociekliwość. Większość pracujących w Cal-ISO żartowała, że ich najlepszym systemem obronnym była anonimowość.

- Hej, dziewczęta i chłopcy, czas na millera! - rozległo się wołanie, gdy Bo akurat sprawdzał ekran swojego komputera.

Wraz z kolegą spojrzeli w górę i zobaczyli, że są już ci z nocnej zmiany. Jakiś nowy, którego nigdy przedtem nie widzieli, rozglądał się bez zbytniego entuzjazmu.

- Jak tam sieć? - spytał ten nowy.

Jak tam sieć? - pomyślał Breedlove. - Co to za jeden?

- Zapewne przyszedł na miejsce Sharon - wzruszył ramionami Bo. Jedna z ich koleżanek właśnie awansowała i została przeniesiona do Sacramento.

- Pewnie tak. Kogóż innego satysfakcjonowałaby praca w grobowcu?

I wtedy stało się coś, co kompletnie zmieniło ich sposób myślenia. Ten nowy rzucił swój plecak na półokrągłą konsolę stojącą pośrodku pomieszczenia i uciekł.

- Co za cholera? - zapytał Bo, ale było już za późno, gdyż wraz z kolegą od surfowania zobaczyli, jak z plecaka wypadał stalowy cylinder i toczy się po podłodze.

- No i tyle z softballu, i ze wszystkiego - westchnął Breedlove.

•

ZMIERZAJĄCY KU PEŁNI KSIĘŻYC wisiał nad horyzontem, rzucając niewiele światła na

rozwieżdzone niebo. Jeremy szedł wolno obok ostatniej, jeszcze niezamężnej córki pułkownika, zastanawiając się, jak tu, cholera, się z tego wszystkiego wyplątać.

205

- A więc lubisz Shakespeare'a? - zapytała Heidi.

Piękna blondynka miała na sobie jasnoniebieską kurtkę w stylu Nawaho i słomkowy kapelusz od Stetsona. Obie ręce wsadziła do kieszeni, a idąc, kopała kamienie na drodze, którą zazwyczaj pędzi się bydło.

- Co ja o nim wiem? Myślę, że znam Romeo i Julię, Hamleta, Makbeta, a moja dziewczyna, gdy byłem w college'u, grała rolę Rosalindy w Jak wam się podoba.

- Myślałam, że pracujesz dla szekspirowskiej trupy?

- Jestem tylko scenografem - wyjaśnił Jeremy. W gęstniejącym powietrzu emanował od Heidi zapach czystości i ciepła. - Nie gram.

- Ale przecież co wieczór słyszysz te słowa. Czy one nie zapadają ci w duszę? Są takie piękne.

Przez chwilę nie odzywała się. Szli obydwójce w tej nocnej ciszy, zastanawiając się, jak rozumieć intencje drugiej strony.

- Kiedyś, w liceum, grałam Julię. To była tylko scena potrzebna na lekcji angielskiego, ale mi się podobało. Wciąż pamiętam te wersety. Chcesz posłuchać? Wybiegła kilka kroków przed niego i szybkim ruchem wyciągnęła ręce z kieszeni. Ten jej natychmiastowy, dziecinny entuzjizm wywołał u Jeremy'ego uśmiech, podczas gdy ona niemal jaśniała w nieruchomym, rześkim powietrzu.

Cóż znaczy nazwa? To, co zwiemy różą,

Pod inną nazwą nie mniej by pachniało.

Tak i Romeo, gdyby się nazywał

Inaczej, byłby wciąż tym samym cudem.

Romeo, odrzuć nazwisko, a za ten



Dźwięk, który nie jest nawet cząstką ciebie,

Weźmiesz mnie całą.

Zrobiła pauzę, jak gdyby czekając na suflera.

- Teraz twoja kolej.

- Moja? Aleja nie znam słów!

- Masz powiedzieć: Biorę cię za słowo Nazwij mnie tylko swoim ukochanym: Ten nowy chrzest przekreśli dawne imię.

Podeszła teraz bliżej, zagłębiona w przypominaniu sobie słów, które niegdyś prznosiły ją w inne miejsce. Heidi wyciągnęła obie ręce i delikatnie ujęła w nie twarz Jeremy'ego.

206

- To chyba najśodsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam, wiesz?

Jej głos stał się miękki, a potem nachyliła się do przodu akurat tyle, żeby dotknąć swoimi ustami jego warg. Pocałunek był tak naturalny, jak cała sceneria wokół nich, ale on go nie odwzajemnił. W tym teatrze odgrywał tylko rolę rekwizytu i nic więcej.

Powiedz mi, skąd się tu wzięłeś i po co?

Jak się zdołałeś wspiąć na mur ogrodu?

Czy nie rozumiesz, że jesteś zgubiony, |'

Jeśli ktoś z moich krewnych tu cię znajdzie?\*

Heidi spoglądała na Jeremy'ego, biorąc głęboki oddech, a on zastanawiał się, ile jest sztuczności w tej grze dziewczyny.

- Jestem scenografem i granie nigdy mi nie wychodziło.

Heidi nachyliła się i znów go pocałowała, lecz tym razem uczucie nie pochodziło od dawno zmarłego dramaturga, ale od młodej kobiety, która dorastała samotnie wśród żołnierskiego życia.

- Cholera, musisz umieć się nieźle całować, co? - zapytała. Odsunęła się na bok i skrzyżowała ramiona. Myślała, jak pięknie on wygląda na tle pustyni.

- Nie jestem kobieciarzem - odpowiedział Jeremy. To była prawda i Heidi wiedziała o tym.

- Tacy są najlepsi - stwierdziła.

Nagle za ich plecami, na odległym o pięćdziesiąt jardów poligonie, dały się słyszeć wystrzały, a potem wybuch.

- Co to takiego? - zapytał Jeremy.

Heidi tylko wzruszyła ramionami i wciąż na niego patrzyła.

- Myślisz, że za szybko prę do przodu, prawda?

- Myślę, że jesteś piękną kobietą uwięzioną na pustkowiu - uśmiechnął się Jeremy.

Patrzył gdzieś dalej, poza nią, starając się skupić na czymkolwiek, byle tylko nie na jej twarzy. I wtedy, gdy wiedział, że teraz albo nigdy, odwrócił się. - A z jakiegoż to innego powodu zainteresowałabyś się kimś takim jak ja?

Heidi znowu przysunęła się do niego, na tyle blisko, by czuć jego ciepło, ale ramiona nadal miała splecione.

\* William Shakespeare, Romeo i Julia, tłum. Stanisław Barańczak, wyd. W drodze, Poznań 1994.

207

- || - Takim, jak ty? - zamruczała. - Wyroki feruje Pan Bóg, ale myślę, że stwierdzenie, iż coś jest „milutkie”, to mój wybór. Całkiem mi się podobają tacy jak ty.

Wspięła się na czubki palców i znów go pocałowała, ale tym razem zrobiła próbę, dotykając go czubkiem języka. Jej wargi muskały go bardzo leciutko, nieśmiało, ale i z zaciekawieniem.

Jeremy zamarł z niepokoju złych przeczuć.

Jesteś żonaty! - krzyczał mu jakiś głos w mózgu. - Nie możesz całować się z tą kobietą!

Ale był jeszcze jeden głos, kontrargumentujący, że przecież przysłano go tu w określonym celu. Ludzie wiedzący więcej niż on mieli pewność, że pułkownik Ellis był odpowiedzialny za zamachy, które zabiły już tysiące osób. Jeśli zaś najlepszą drogą do kręgu Kapłanów Pinchasa była miłość jego córki, to kto mógł mu tego zabronić?

- Coś nie tak, co? - zapytała Heidi.

- Nie - odpowiedział, kładąc jej ręce na ramionach bardziej jak trener aniżeli pełen nadziei kochanek. - Wszystko w porządku.

Ściągnęła trochę brwi, jak gdyby wiedząc, że jednak to nieprawda.

- Po prostu nie spodziewałem się. Jesteś piękną kobietą. Oszłamiająco piękną, naprawdę. A ja... ja doprawdy nie bardzo wiem, co powinienem robić.

Tylko to umiał wymyślić. Zabić było łatwo - zdradzić nie.

- To dlaczego tego nie powiesz, ty głuptasie? - zachichotała Heidi. Światelko skaczące w jej oczach nie miało nic wspólnego z księżycem ani z gwiazdami.

Zachwiała się, stojąc na palcach, jak gdyby ktoś zagrał akurat jej ulubioną piosenkę. - Idź za mną!

Objęła Jeremy'ego w pól i z nowym przekonaniem przycisnęła swoje usta do jego.

Tym razem w jej uczuciu nie było nieśmiałości. Przywarła do niego ciałem, odnalazła językiem jego język i wsysała go w siebie z cudownym zdumieniem, że da się znaleźć coś wspaniałego na tym pustkowiu pełnym kaktusów i kamieni.

•

- JAK ON SIĘ MIEWA? - zapytała Beechum. Sekretarka prezydenta pracowała już z Venable'em niemal dwadzieścia lat, od jego pierwszej politycznej kampanii.

Najpierw w sądzie w Connecticut, potem w Izbie Reprezentantów i znowu w Connecticut, w Hartford, gdzie

208

znajdowała się siedziba senatora. Ta cicho mówiąca wdowa poświęciła swoją karierę, a także częściowo swoje życie, człowiekowi, którego czciła.

- Zaczynam się o niego martwić - westchnęła. - On nie pójdzie spać. - Osobne, prywatne wejście łączyło sekretariat z Gabinetem Ovalnym i sekretarka martwiła się o prezydenta niczym zatroskana matka.

- Wiem - odpowiedziała Beechum. - Jest sam?

- Tak. Sekretarz stanu właśnie wyszedł.

- Wejdę na kilka minut, dobrze? - spytała Beechum. Sekretarka kiwnęła głową i odwróciła się w stronę nieustannie dzwoniącego telefonu.

Wiceprezydent zapukała dwukrotnie w otwarte drzwi, weszła i zastała swego szefa siedzącego przy fisharmonii z rękami na kolanach i wpatrującego się tępo w klawisze. Wyglądał na tak samo zaniedbanego i rozczochranego, jak i cały pokój.

- Czy można słówko, Davidzie?

- Mhm, tak... Elizabeth. Proszę...

Wiceprezydent weszła i usiadła na jednej z dwóch stojących naprzeciwko siebie kanap.

- Jakież nowe wieści? - spytał Venable.

- Nie ma żadnego zagrożenia - skłamała. Rynki finansowe na całym świecie były rozgrzane do czerwoności. Amerykanie ogałali sklepy z butelkowanej wody, amunicji i taśmy samoprzylepnej. FAA wciąż nie uporało się z chaosem w lotach krajowych. Wywiad i służby strzegące porządku publicznego tonęły w morzu wątków,

a Kongres zawiesił na czas nieokreślony swoje sesje w obawie, że może stać się celem ataku. - Jak się czujesz, Davidzie?

Prezydent zaczął kiwać głową nieco zbyt entuzjastycznie.

- Dobrze, dobrze. - Potrząsał głową, jak gdyby starając się rozjaśnić swoje myśli. - Słyszysz to? - Wstał od fisharmonii z głową przekrzywioną na jedną stronę i przeszedł przez pokój. - Nie mogę tego zlokalizować.

Beechum nic nie słyszała.

- Co zlokalizować?

- Tę symfonię - powiedział, chodząc po pokoju i szukając. - Brzmi jakby Haydn, ale nie jestem... Posłuchaj tych oboi, są absolutnie nieziemskie.

209

Szurał, drepcząc chwiejnie po pokoju.

- O, tam, słyszysz? - zapytał ponownie. Wyciągnął rękę ku ścianie i gładził powierzchnię, jak gdyby muzyka wydobywała się przez jakieś niewidzialne mikrofony.

- Davidzie, to nie Haydn - wybuchnęła Beechum - ale twój umysł płata ci figle. Musisz się wyspać.

W ręce trzymała buteleczkę z białym proszkiem. Lekarz Białego Domu zgodził się z jej osądem, ale upierał się, że sam poda odpowiednią dawkę. Ona z kolei argumentowała, że prezydent nie weźmie dobrowolnie środka uspokajającego, a obecność lekarza tylko go zaalarmuje. Spór załagodziło niebezpieczeństwo pojawienia się Venable'a przed kamerami telewizyjnymi. Lekarz zgodził się poczekać na zewnątrz w pokoju imienia Roosevelta, aż Venable zaśnie.

- Spanie? Nonsens! - warknął prezydent, ciągle nadstawiając ucho w stronę dźwięku, który tylko on słyszał. - Mamy kryzys wagi państwowej, mówię to, bo może nie zauważyłaś! I oczekujesz ode mnie, że...

Znowu rozpoczął przechadzkę po pokoju w poszukiwaniu symfonii.

- David, usiądź i porozmawiaj ze mną.

Beechum zdała sobie sprawę, że podanie prezydentowi leku nie będzie łatwe. Mocny środek uspokajający, który trzymała w ręku, był podobno bez smaku i zapachu, ale sprawienie, aby znalazł się w organizmie prezydenta, wymagało chyba podstępu. Jeśli pierwsza próba się nie powiedzie, trzeba będzie zrobić zastrzyk, a to stwarzało całą serię nowych problemów.

- Davidzie, proszę, usiądź ze mną i napijmy się kawy. - Poczekała, aż odwróci się w stronę niesłyszalnego dźwięku, i wysypała proszek do filiżanki stojącej na teraz już zawsze obecnej tacy z serwisem do kawy.

- Kawy? - spytał, jak gdyby poprzednie słowa do niego nie dotarły. - Nie, ja...

Znów usłyszał symfonię.

- Proszę - Beechum nalała parujący napój do porcelanowej filiżanki i dodała nieco śmietanki, tak jak lubił. - Musimy porozmawiać o tej kradzieży radioaktywnych izotopów.

- Gdzie jest Alred? - zapytał prezydent. - Tylko on jeden wie cokolwiek o...

210

Zgubił wątek. Podeszedł do swojej zastępczyni i usiadł, a ona podała mu filiżankę z kawą.

Nalała też sobie i piła małymi łydkami, udając rozsmakowywanie się w tym napoju.

- Bardzo smaczna - stwierdził prezydent. Wpatrywał się w filiżankę, aż ukazało

się dno.

- Jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać. Davidzie, usiądź ze mną na chwilę.

Prezydent postępował według jej sugestii niczym zahipnotyzowany.

- Mamy pewne źródło w łonie ugrupowania... - zaczęła, ale nie było po co kończyć.

Zanim zdążyła się zastanowić, czy lekarstwo działa, prezydent Stanów

Zjednoczonych osunął się na poduszki kanapy. Filiżanka wypadła mu z rąk i

rozbiła się na podłodze. Sekretarka prezydenta usłyszała to i wpadła do pokoju.

- Och, mój... - krzyknęła, łapiąc powietrze, starsza kobieta i zaczęła biec w stronę kanapy.

- W porządku, Millie - zapewniła ją Beechum. - Po prostu postanowił się zdrzemnąć.

Wszedł również doktor ze stetoskopem na szyi.

- Powiedz Secret Service, że trzeba położyć prezydenta do łóżka - rozkazała Beechum. - I proszę szybko. Nie potrzeba nam tu żadnych plotek.

•

JORDAN MITCHELL TAK BARDZO KOCHAŁ swój kraj, że pozwalał mu się nienawidzić.

Poczynając od „USA Today” po poranny program w radiu Ismusa komentatorzy, mędrcy

i anonimowe źródła rządowe wskazywały na jego telefon Quantis jako na sprzęt ułatwiający wywrotowe spiski. Rzecz jasna było to bardzo dalekie od prawdy.

Gdyby nie informacje, które zbierał, podsłuchując rozmowy, Ameryka byłaby zdana na biurokratów z FBI i CIA. I wtedy dopiero byłaby tragedia.

- Jak blisko jesteśmy? - zapytał.

- Jeszcze tylko kilka mil - odpowiedział Trask. Siedzieli obok siebie w czarnym, mającym zaledwie miesiąc maybachu 62. Ten elegancki sedan z silnikiem o mocy 543,

najnowszy wkład mercedesa w rynek samochodowy, pachniał doskonałą skórzaną tapicerką, wełnianymi dywanikami i francuskim, polerowanym drewnem

różanym. Pomiędzy nimi stała nietknięta butelka pellegrino i dwa kieliszki.

- Piękny ten śnieg, prawda? - Mitchell trzymał na kolanach prospekt na temat biotechnologii, ale jego wzrok błędził po scenerii za oknem. Borders Atlantic dotychczas nigdy nie angażował się w nauki przyrodnicze, ale z tego wszystkiego, co widział w ostatnich miesiącach, inżynieria biogenetyczna przedstawiała się jako nowe rubieże kapitalizmu.

- Tak, jak mówi James Taylor - zauważył Trask. - Berkshires wygląda bajkowo w tym mrozie...

- Kto? - spytał Mitchell.

- James Taylor. Piosenkarz. Cudowny, naprawdę.

Mitchell odłożył prospekt i wziął inny folder, który dobrze przestudiował w ostatnim tygodniu. Zawierał on grube na pół cala ściśle tajne dokumenty i raporty CIA sporządzane po akcjach. Pierwszy dokument to była skserowana kopia dokumentu Agencji do spraw Zaawansowanych Projektów Badawczych noszącego datę 3

stycznia 1983 roku. Był zatytułowany: Scenariusz Obrony Cywilnej numer 4 - Projekt Megid-do. Pod spodem ktoś przystawił pieczętkę: „Ścisłe tajne”, a potem dopisał słowa: SŁOWO-KOD: ZORA.

- Dziwne, że mieszkamy tak blisko siebie, prawda? - stwierdził Mitchell, otwierając teczkę z aktami kogoś z armii.

- Tak jak pan powiedział, ta część kraju wygląda pięknie pod śniegiem - powiedział Trask, który pisał na laptopie, stanowiącym część centrum biznesowego, w którego skład wchodził jeszcze faks, bezprzewodowy internet i oczywiście bezpieczny system komunikowania się - Quantis. Rozrywkę zapewniały przezroczyste

dach, odtwarzacz DVD i dwa telewizory o płaskich ekranach. Głośniki stereofoniczne Bose dawały muzykę tak potężną, że jej moc była mierzona w koniach mechanicznych.

- To tutaj.

Trask wskazał w górę drogi na skromny, ale starannie utrzymany dom z lat

siedemdziesiątych XX wieku, o czterospadowym dachu. Aluminiowy siding o barwie musztardowej wypłówał nierównomiernie, drzwi do garażu należałoby wymienić, ale

dom pasował do działki, na której stał. Właściciel zaparkował swego forda F-150 pod pryzmą śniegu. Stojący obok pług śnieżny wyglądał na nowiu-sieńki.

212

- Spodziewałem się czegoś więcej... że będzie tu ładniej - zauważył Mitchell.

Większość informacji w jego teczce liczyła sobie już dwadzieścia lat, ale została posortowana i wybrano to, co najważniejsze. Właściciel tego domu zarobił wystarczająco dużo pieniędzy, żeby żyć na wyższej stopie.

- Wie pan, jak to jest z ludźmi i z ich pieniędzmi - Trask wyłączył komputer. -

Gust nie zawsze idzie w parze z pieniędzmi.

Kierowca zatrzymał się za pikapem, wyskoczył i pobiegł szybko dokoła samochodu, aby otworzyć Mitchellowi drzwi. Za nim wygramolił się Trask, podszedł do drzwi i zadzwonił.

- Tak? - Właściciel domu stał za pierwszymi, aluminiowymi drzwiami ubrany w białe spodnie ze sztruksu w grube prążki i w wełniany sweter. - Czym mogę służyć? Popatrzył na Mitchella, a następnie na samochód.

- Czy wie pan, kim jestem?-spytał Mitchell.

- Czytam gazety - odparł mężczyzna, nie okazując żadnej reakcji.

- Czy pozwoli pan, że wejdziemy i zamienimy kilka słów? Kostki na ręku mężczyzny pobielwały, tak mocno ścisnął kant drzwi.

Popatrzył w górę i w dół ulicy, a potem znowu na człowieka, którego każdy z sąsiadów także by rozpoznał.

- A czego chcecie? - spytał podniesionym tonem, cały czas patrząc na ulicę. - Dlaczego powinienem was wpuścić?

- Ponieważ kiedyś zaliczał się pan do patriotów - wyjaśnił mu Mitchell - i ma pan coś, czego potrzebuję.

Oto człowiek - myślał facet w swetrze - który kupuje korporacje, płacąc za nie miliardy. Magazyny donosiły, jak to Jordanowi Mitchellowi zajmuje całe lata



wytropienie spadkobierców jakiejś sztuki broni do jego kolekcji. Ten człowiek grzecznie prosi, ale łatwo dostrzec, że odmowa to tylko strata czasu.

- A co ja mógłbym mieć, co wy byście chcieli?

- Szczegóły dotyczące projektu Megiddo - odpowiedział Mitchell.

- Co?

Ten facet albo nie miał pojęcia, o czym Mitchell mówi, albo też był cholernie dobrym łgarzem.

- To bardzo ważne - powiedział prezes Borders Atlantic. - Zdaje pan sobie chyba sprawę, że w przeciwnym razie by mnie tu nie było.

213

Przyłożył teczkę z dokumentami ARPA\* do szyby drzwi. Teczka była otwarta na stronie dwudziestej drugiej. Widniała na niej czarno--biała fotokopia zdjęcia mężczyzny w wojskowym ubraniu i w zielonym berecie. Fotografia była stara i zniszczona, ale jeśli chodzi o twarz, to nie było najmniejszych wątpliwości.

- Cholera - zaklął właściciel domu. - Powiedzieli mi, że ten facet zniknie na zawsze.

\* Advanced Research Project Agency - Agencja ds. Zaawansowanych Projektów Badawczych.

Rozdział XIII

Piątek, 18 lutego

2.10 GMT

Sala posiedzeń, Biały Dom

PIERWSZA WIADOMOŚĆ o ataku nadeszła za pośrednictwem agencji najważniejszej dla

rządu amerykańskiego, jeśli chodzi o zbieranie materiału wywiadowczego - CNN.

Andrea Chase właśnie rozmawiała przez bezpieczną linię z generałem Oshinskim w Pentagonie, kiedy na ekranie telewizyjnym nagle pojawiła się transmisja na żywo Wolfa Blitzera z Kalifornii.

- Havelock - krzyknęła Chase, ile tylko miała sił w płucach. Gabinet doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego znajdował się na samym końcu korytarza, jeszcze

za wiceprezydenckim, ale było jej wszystko jedno, czy ktoś słyszy.

- Andrea, widziałaś... - Sekretarz prasowy Białego Domu niemal zderzył się z nią w drzwiach, ponieważ Andrea Chase akurat wybiegała ze swojego gabinetu.

- Zwołaj posiedzenie gabinetu - poleciła, nie zastanawiając się nad tym, że rzecznik będzie miał niedługo mnóstwo własnych spraw. - Narodowa Rada Bezpieczeństwa do Sitroomu. Natychmiast.

- Telewizja informuje o niedoborach w dostawie energii elektrycznej na zachodzie Stanów Zjednoczonych - komunikował rzecznik, biegnąc za nią. - Siedemnaście stanów...

- Gdzie jest wiceprezydent? - chciała wiedzieć Chase. Tymczasem prezydent leżał na górze w śpiączce wywołanej lekami, wywiad i służby stojące na straży porządku publicznego pracowały już resztkami sił, Waszyngton powoli znowu zaczynał ogarniać wywołany

215

śnieżycą paraliż, a większość personelu Białego Domu nic nie jadła od wielu godzin.

- Gdzie jest wiceprezydent?

Sekretarz prasowy zdał sobie sprawę, że znalazł się w niewłaściwym miejscu i o niewłaściwym czasie, ale nie było już odwrotu.

- Nie wiem. Robi się późno, więc zapewne jest w...

- Andrea, cała zachodnia sieć siadła - krzyczał Havelock, wypadając ze swojego gabinetu. Większość pracowników już sobie poszła, a trójka urzędników państwowych stała w białym świetle lamp fluorescencyjnych i dygotała z przerażenia.

- Alred i Vick mają się tu zjawić, i to jak najprędzej - zawyrokowała Chase, odliczając na palcach polecenia. - Musimy odszukać panią wiceprezydent i zatrzymać ją. Przekaż kierownikowi zmiany straży i dyrektorowi do spraw łączności wojskowej, że zaraz spotkam się z nimi na dole.

Na chwilę przystopowała, aby dokonać myślowej selekcji piętrzących się politycznych katastrof.

- Zajmiemy się tym w Gabinetcie Ovalnym, zrozumiano? - stwierdziła. - W zachodnim

skrzydle będzie się aż roić od prasy i nie chcę, żeby pytano, dlaczego w gabinecie nie pali się światło. Ruszajmy!

Sekretarz prasowy i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego pobiegli każdy w innym kierunku, żeby tylko jak najszybciej odbyć serię rozmów telefonicznych.

- Dwadzieścia cztery godziny - krzyczała Chase sama na siebie. - Jakżeż mogłam być tak głupia?

•

- ĆŚŚŚ, BO NAS USŁYSZY - wyszeptała Heidi. Ciągnęła Jere-my'ego za rękę na tył domu do kryjówki, w której z pewnością nikt nie będzie im przeszkadzać. - Ten człowiek słyszy nawet jak wschodzi słońce, przysięgam.

- Czy jesteś pewna, że to dobry pomysł? - zapytał również szeptem Jeremy. - Powiedział, że na ten teren nie ma wstępu.

Nad ich głowami wzeszedł księżyc w nowiu, rzucając akurat dość światła, aby mogli coś zobaczyć, ale nie na tyle, aby zdradzić ich ruchy.

- Ale to nie dotyczy mnie - zachichotała Heidi. Obserwowała dom, gdy trzymając się cienia, przebiegali od jednego zabudowania do

216

drugiego. W salonie paliła się jedna lampa, ale reszta budynku była pogrążona w ciemnościach.

- Dostanie mi się, jeśli nas przyłapie - myślał głośno Jeremy. Czuł się jak uczeń szukający, gdzie by tu zaparkować.

- Nie, o ile ja pójdę na pierwszy ogień. - Heidi zatrzymała się, aby znowu go pocałować. Jeremy poczuł jej zimny nos na swoim policzku, ale nie było wątpliwości, że dziewczyna jest rozpalona.

Jeremy pozwalał jej się ciągnąć, wciąż zastanawiając się, jak daleko to wszystko może zabrnąć. Kłamał, bo tak kazał mu jego rząd, zabijał dla niego, a teraz czy doprawdy oczekują od niego, żeby zdradził żonę?

- Tutaj - zawyrokowała Heidi, zatrzymując się przy schowku na narzędzia, nie

większym niż sześć stóp kwadratowych.

- O, tu jest super. Czy nie ma tu kilku bel siana, żebyśmy mogli się położyć?

- Chcesz porozmawiać, czy miło spędzić czas? - zaśmiała się Heidi, wkładając rękę do kieszeni jego spodni. — Bo zaczynam się o ciebie martwić, Romeo.

Spenetrowała kieszeń, przysuwając się do niego bliżej i gryząc jego górną wargę.

- Ooo - zagruchała. - Czy to dla mnie?

Pozwoliła swoim palcom buszować po jego kieszeni akurat na tyle długo, by go podrażnić, a następnie wyciągnęła scyzoryk Leather-mana.

- Zamykają go, żeby kursanci tu nie wchodzili, ale łatwo go otworzyć. Jeremy obserwował dom, a Heidi mocowała się z drzwiami. Trwało to kilka sekund.

- Chodź - powiedziała, wciągając go do środka. - Uważaj, schody.

W smolistej ciemności Jeremy nic nie widział, ale po zapachu i uderzającym go w twarz powiewie powietrza orientował się, że coś jest nie tak. To nie był składzik na narzędzia.

- Nie mogę zapalić światła, dopóki nie zejdziemy na dół - wyszeptała Heidi, prowadząc go w dół po cementowych schodach do jakiegoś korytarza. Trzymała go za

rękę, ale drugą wolną Jeremy przesuwał wzdłuż ściany. Minęli dwoje drzwi po prawej stronie i stanęli.

- Tutaj - oświadczyła, ciągnąc go za rękę, po czym pchnęła zamknięte drzwi za ich plecami.

- Gdzie, do diabła, jesteśmy? - zapytał Jeremy.

217

- Nie w piekle, kotku - gruchała Heidi. - Gdy dopnę celu, to będziesz myśleć, że jesteś w niebie.

Przyciągnęła ku sobie jego twarz i pocałowała go mocno, zgłodniałe, jak kobieta uwikłana w życie bez miłości. Rozpięła kurtkę i pokierowała jego dłońmi pod swoją bluzką. Sięgnęła też do kieszeni jego spodni, ale sprawy uległy zmianie.

- Nie martw się, tu jesteśmy bezpieczni - powiedziała.

Jeremy usiłował przywołać znów požądanie, ale wątpliwości w jego głowie łomotały niczym młot pneumatyczny.

Nigdy nie zapominaj, kim naprawdę jesteś - mówił mu koordynator tajnych operacji w Point. Wielokrotnie tajny agent zawiódł, gdy zawiódł sam siebie.

Przed wszystkim - postanowił Jeremy - jestem żonaty. - Kochał swoją żonę i nic, czego nauczył się w ciągu kilku dni w jakimś ośrodku szkoleniowym CIA w Karolinie Północnej, nie mogło sprawić, żeby zaczął postępować wbrew temu.

- Heidi - zaczął, odsuwając się od niej. Jego usta były wilgotne od jej pocałunków. Nieprzeniknione ciemności jeszcze wyolbrzymiały odgłos ich oddechów.

- Heidi, nie mogę. Proszę, tak nie można.

Poczuł, jak jej ręka wyslizguje się z jego kieszeni, a dziewczyna odsuwa się.

- Przepraszam, że cię wprowadziłem w błąd. To dlatego, że...

- Dlatego, że, zdaje się, masz problemy z mówieniem prawdy -jakiś głos wypełnił ciemność. - Może to dlatego nas wszystkich wyprowadziłeś w pole.

Rozbłysły światła - czerwone i migające. Kiedy wzrok Jeremy'ego przyzwyczaił się do nich, zobaczył, że dokoła niego w półkolu stoi sześciu mężczyzn ubranych w szaty do ziemi i w kaptury, w których było tylko wycięcie na oczy. Usłyszał trzaśnięcie drzwi i wiedział, że Heidi wyszła.

- No, to teraz, panie Walker, może zechce nam pan powiedzieć swoje prawdziwe nazwisko - powiedział stojący w środku mężczyzna.

Słyszając ten akcent, nie można się było pomylić, nawet pomimo zasłoniętej twarzy mówiącego - ten głos należał do pułkownika.

•

SIRAD SKRĘCIŁA z Merrit Parkway na zjazd numer 37 i pojechała trzy mile lokalnymi drogami do centrum biurowo-przemysłowego,

218

które charakteryzowały kamienne mury, wymuskane trawniki i przyciemniane szyby.

Budynek numer 1100 wyglądał tak samo jak i pozostałe, z tym tylko wyjątkiem, że na jego dachu były talerze anten satelitarnych i że wartownicy tego należącego

do Borders Atlantic gmachu mieli broń. Mgła zbierała się nad topniejącym już śniegiem, sprawiając, że całe miejsce było wtopione w ciszę.

- Malneaux, projekt Quantis - powiedziała wartownikowi w stróżówce, a on sprawdził jej tożsamość, a następnie odnalazł jej nazwisko na liście zapowiadanych gości.

- Pokój dwadzieścia dwa - powiedział. - Może pani zaparkować na parkingu A. Sirad tak zrobiła. Drugi strażnik już w środku budynku przeprowadził ją przez drzwi otwierane zamkiem szyfrowym, a następnie przez szereg zabezpieczeń, tak jak kiedyś w Króliczej Norze. W pokoju Sirad zastała Ravięgo, Nie Umiem Strzelać i jeszcze jakiegoś trzeciego mężczyznę zatopionych w pracy.

- Charytatywne odwiedziny? - spytał inżynier systemu.

- Powinna była zostać w mieście, ale słyszałam, że przyda się wam inspekcja kogoś dorosłego.

Ravi parsknął śmiechem, ale nie pofatygował się, aby wstać od swojego terminalu. Był obłożony dokoła żółtymi karteczkami do notatek. Z jego lewej strony stał Nie Umiem Strzelać i coś notował sobie na dłoni, zupełnie nie dostrzegając przybycia Sirad.

- Czy już znasz naszego specjalistę od dźwięku? - zapytał Ravi. Sirad potrząsnęła głową. Facet siedzący po prawej ręce Ravięgo śmierział potem i papierosowym dymem. Miał na sobie co najmniej od tygodnia niezmienną chustkę z wizerunkiem Boba Dylana i uszyty w domu T-shirt z napisem „E=MC Młotek”.

- Mm-m-miło mi p-p-panią poznać - powiedział. W przeciwieństwie do swych dwóch kolegów, gapił się bezwstydnie na biust Sirad. - Ja pierdolę! Ravi, n-n-nie p-powiedziałeś mi, że z n-n-niej taka sztuka!

- Nie zwracaj na niego uwagi, jest nieszkodliwy - uspokoił ją Ravi. Wskazał na cały szereg cyfr i symboli widniejących na monitorze i zwrócił się do Nie Umiem Strzelać. - Oto nasza anomalia.

- Nad czym pracujemy? - rzuciła Sirad, zdejmując kurtkę i rzucając ją na puste krzesło. Pokój, w którym się znajdowała, wyglądał inaczej aniżeli centrum na

siedemnastym piętrze w Albermarle Building.

219

To tak zwane Laboratorium Mózgów przypominało raczej pracownię komputerową w

college'u. Na stanowiskach pracy stało kilka włączonych komputerów. Na dwóch ścianach wisiały białe tablice bezkredo-we oraz kilka tanich obrazków przedstawiających krajobrazy. Stała tam też kanapa obita materiałem w ziemistym odcieniu.

- Cyfrowy podpis - powiedział Ravi. - Nasz włamywacz posługuje się dość skomplikowanym algorytmem, tak wymyślonym, abyśmy nie mogli go zidentyfikować.

- P-p-pieprzony spryciarz - stwierdził ekspert od dźwięku. Aż wykręcił głowę, żeby obejrzeć pośladki Sirad.

- Kto ty jesteś, pytam jeszcze raz? - chciała wiedzieć Sirad. A facet w jednej ręce trzymał mountain dew, w drugiej pall maila i pomimo jego skacowanego wyglądu Sirad wyczuwała, że pod tą powłoką kryje się kipiący intelekt.

- Ekspert od teorii fal - odezwał się Nie Umiem Strzelać. Wydawał się dumny. - Fal dźwiękowych.

- A po co nam ekspert od fal dźwiękowych, skoro badamy włamanie do naszej sieci? Hinduski specjalista od kodów wskazał na inną serię numerów i symboli. - Masz rację co do tych pułapek FORTRAN - powiedział do Nie Umiem Strzelać, a potem odwrócił się do Sirad jakby znużony jej ignorancją.

- Jest nam potrzebny, aby wygenerował losowość. Czy pamiętasz o zasadzie Nguyena?

Odkryliśmy, że ma ona specjalne zastosowanie w odniesieniu do stochastycznej teorii fal. Młotek może i wygląda tu jak zbój, ale wynalazł sposób na wykrywanie anomalii współczynników porządku. Wypożyczyliśmy go z pewnej kalifornijskiej firmy technicznej.

- Taak, rzeczywiście jestem pieprzonym geniuszem - oznajmił Młotek.

- Myślałam, że włamywacz został już zidentyfikowany - powiedziała Sirad.

- Został - przytaknął Nie Umiem Strzelać. - Ale nie chcemy, żeby oni o tym wiedzieli, toteż Młotek pomaga nam siedzieć w ukryciu, a my czekamy teraz na ich ruch.

- C-c-c-c-coś t-tu gorąco, nie? - odezwał się geniusz. Dopalił swojego papierosa bez filtra niemal do końca, a niedopałek wrzucił do resztki mountain dew.

220

- Przestań palić - zgromiła go Sirad. - Dym mi przeszkadza.

- R-r-rozchmurz s-s-się, seks bombo. A te t-t-twoje cycuszki d-do-prowadzają mnie d-d-do sz-szału, ale p-próbuję się s-skupić.

Sirad nie miała czasu na te idiotyczne zagrywki. Jedną ręką podniosła bluzkę, a drugą ściągnęła w dół stanik ukazując dwie idealnie kształtne piersi o ciemnych sutkach.

- Proszę - powiedziała, jak gdyby negocjując transakcję. - Zobaczyłeś je. To teraz idź, weź zimny prysznic i koniec z tymi pieprzonymi papierosami. Mamy przed sobą długą noc, a mnie nie podoba się, że tak cuchniesz.

\* . . ' | " ' |

WICEPREZYDENT PRZEBIEGŁA jak burza obok dwóch umundurowanych marines stojących

po obu stronach głównego wejścia do Situation Room. Ponieważ mnóstwo osób kręciło się teraz wszędzie i biegało, Elizabeth Beechum kazała otworzyć szeroko drzwi. Bezpieczeństwo bezpieczeństwem, ale teraz zamki tylko niepotrzebnie utrudniały życie.

- Są wszyscy z wyjątkiem sekretarza HHS\* - poinformowała ją Andrea Chase. Za nimi podążał James z najnowszymi informacjami z NSA w jednej ręce, a odebranymi z pralni rzeczami pani wiceprezydent w drugiej. Zanim jeszcze to wszystko się skończy, każdy będzie chciał się przebrać.

- Są na górze? - zapytała.

- W gabinecie - odpowiedziała Chase. - Poczekają.

Beechum popędziła prosto korytarzem obok centrum telekonferen-cyjnego na potrzeby Sitroomu, przez boksy dla personelu administracyjnego, a potem dwa razy



na prawo do głównej sali konferencyjnej. Miejsce nazywane Situation Room było właściwie pokojem przeznaczonym do informowania prezydenta w kryzysowych sytuacjach. Kazał je zbudować prezydent Eisenhower w latach pięćdziesiątych, ale nikt nigdy nie używał go jako schronu przeciwbombowego. Ten znajdował się po drugiej stronie Białego Domu i nosił nazwę PEOC - Prezydenckiego Centrum Operacyjnego w czasie Nagłych Sytuacji. Pentagon utrzymy-

\* Department of Health and Human Services - Departament Zdrowia i Opieki Społecznej.

221

wał, że jest on w stanie wytrzymać wszystko z wyjątkiem bezpośredniego ataku nuklearnego.

- Zaczynamy. Co mamy? - zakomenderowała Beechum.

- Czy nie powinniśmy zaczekać na prezydenta? - zasugerował dyrektor FBI.

- Pracuje ze swoim gabinetem - skłamała Beechum. Przeciąganie tej struny wymagało zręczności gracza w lusterka, ale przy pomocy Ha-velocka, generała i szefa sztabu Białego Domu mogło się udać. - Nie zmuszajcie mnie, żebym się powtarzała!

- Zdaje się, że padła cała sieć w zachodnich stanach - stwierdził Alred. Na znajdującym się za jego plecami płaskim ekranie pojawiło się satelitarne zdjęcie Stanów Zjednoczonych nocą. Niemal cały obszar na zachód od Gór Skalistych był czarny. - Kalifornia jest nieczynna.

- Proszę o szczegóły - zażądała Beechum. Mówiła stanowczo, z laserową precyzją, której nikt do tej pory nie przejawiał w tym kryzysie, i zebrany w pokoju to się podobało.

- Dziesięć milionów gospodarstw domowych - meldował Alred donośnym głosem. - Czternaście tysięcy szpitali, siedemnaście reaktorów jądrowych, trzy z najruchliwszych naszych portów, oba laboratoria. Pomiędzy nimi a systemem uniwersyteckim mówimy o piętnastu skupiskach o negatywnym ciśnieniu szkodliwym dla środowiska naturalnego.

- A co z naszą obroną?

- Na tym obszarze mamy pięćdziesiąt siedem obiektów wojskowych - kontynuował Alred - a w tym: bazę sił morskich w San Diego (największą w kraju), NORAD\* i bazę sił powietrznych w Peterson w Kolorado, jak również Fort Huachuca w Arizonie. A to dotyczy JSOC, zdolności wywiadu do gromadzenia informacji, sił konwencjonalnych i naszego Dowództwa Obrony Powietrznej. Nasze zdolności prowadzenia działań wojennych zostały w dużym stopniu ograniczone.

- Czy wiemy na pewno, kto za tym stoi? - spytała Beechum. Nie notowała, wystarczała jej własna pamięć.

- DOE\*\* mówi, że wszystko zaczęło się od Folsom w Kalifornii, gdzie znajduje się ośrodek monitoringu sieci. W Stanach Zjednoczonych

\* North American Air Defence Command - Dowództwo Obrony Powietrznej Ameryki Północnej.

\*\* Department of Energy - Departament Energetyki.

222

są trzy niezależne systemy energetyczne, a Cal-ISO zawiaduje zachodnim, to znaczy siedemnastoma stanami, do których podłączone są jeszcze Kolumbia Brytyjska oraz Meksyk.

- Jak to zrobiono?

- Za pomocą konwencjonalnego ładunku ukrytego w plecaku. Bardzo małego, ale to był RDD. Zdaniem DOE jedna do dwóch uncji izotopu emitującego promienie gamma,

zapewne cezu. Miną tygodnie, zanim odkażą pomieszczenia.

- Ma to związek z kradzieżą w Louisville? - zapytała Chase.

- Należy tak przypuszczać - odpowiedział Alred.

- Kto? - chciała wiedzieć Beechum.

- Przyznało się to samo ugrupowanie - Ansar insz Allah. - Podobnie jak poprzednio, równoległe z atakami dostarczono nagranie wideo do miejscowych mediów.

- Atakami? - zdumiała się Beechum. - To był jeszcze jeden?
- Był mniejszy, podobny wybuch w stacji w Alhambra w Kalifornii. Również użyto RDD, także materiału powodującego skażenie środowiska. Według oceny Cal-ISO upłyną tygodnie, zanim stacja wznowi rutynową pracę. Dostawa energii nastąpi wcześniej, ale ten atak będzie miał olbrzymie następstwa, jeśli chodzi o bezpieczeństwo kraju.
- Beechum potarła oczy.
- Jest jeszcze coś.
- Oczywiście - stwierdziła pani wiceprezydent. - Zawsze jest jeszcze coś.
- Dwie osoby przeżyły zamach - powiedział Alred. - A właściwie żyły jeszcze niemal godzinę.
- Przesłuchano je? - spytała Chase. - Widziały coś?
- Widziały zamachowca. To mężczyzna, biały. Pracownik.
- Co takiego? - zdumiał się Havelock. - Biały? Może mieli przywidzenia. My szukamy Arabów.
- Już nie - brzmiała odpowiedź Alreda. Równocześnie wskazał na ten sam ekran, na którym poprzednio pojawiło się zdjęcie satelitarne. Teraz ukazało się na nim szarawe nagranie wideo z Centrum Kontroli w Folsom.
- Czy ten facet wygląda na Araba?

•

223

GIJANE UCZONO RÓŻNICY pomiędzy dobrem a złem. Jej ojciec był niezwykle pobożny, pokazał jej, jaką moc ma siła ducha, i wychował ją w poczuciu dyscypliny. Z kolei parafialna szkoła wpoila jej głód wiedzy. Harvard go przytłumił, dostarczając pytań, ale nie odpowiedzi, wskazując jedyną prawdziwą drogę do zrozumienia. GI Jane zawsze wiodła życie uporządkowane przez zasady, rozsmakowując się w symetrii logiki i w równowadze, jaką daje kryjąca się pod spodem prawda.

A potem wstąpiła do armii.

Oddychaj głęboko - mówiła sobie, usiłując uspokoić walące serce. - Nie wyskakuj przed orkiestrę. Chowaj się za innymi samochodami. Wybierz miejsce i potem rób ruch.

Nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego osoba, która wykładała w jednym z college'ów Ivy League, lingwistka, nagle porzuciła uczelnię i zamieniła szaty wykładowcy na kamuflaż. Ale też do nikogo nie podchodzono tak jak do niej. Żadna z tych osób nie usłyszała powołania.

Dyplomatyczna tablica rejestracyjna, SA-227 - przypomniała sobie. - BMW Z4, czarno-szare. Za kierownicą mężczyzna. Arab. Sam, bez pasażerów.

Sprawili, że brzmiało to tak intrygująco. Hotele w różnych miastach. Wręczone w sobotę rano bilety na samolot do miejsc, w których nigdy nie była. Zawsze pojawiał się ktoś inny, ktoś, kto przedstawiał jej sprawę na tyle zachęcająco, by ją skusić. Teraz wiedziała, że było to raczej polowanie niż zatrudnianie. Takie delikatne uwodzenie.

Tam. - Dostrzegła smukły, mały, sportowy samochód, zjeżdżający z pasa szybkiego ruchu i przyspieszający do ponad osiemdziesięciu mil na godzinę, aby wyprzedzić grupkę dzieci siedzących w toyocie XRS. - Trzymaj się w takiej odległości, żeby przed tobą były dwa samochody - pouczał ją instruktor w Camp Peary. -1 jedź lewym bądź prawym pasem. Większość kierowców patrzy tam dopiero, gdy chce zmienić pas.

Po raz pierwszy została zagadnięta w bibliotece, w college'u. Cicho mówiąca kobieta w sandałach i w spódnicy od Burberry zapytała ją o coś w farsi. Niewinne pytanie, na które odpowiedziała bez chwili namysłu. To był Harvard i tu ludzie mówili w różnych językach.

Przybliź się - podpowiedział jej instynkt. - Tamten samochód jest szybszy niż twój; nie pozwól mu zbyt się oddalić.

Miały te same zainteresowania i takie same cele. Tamta kobieta wyglądała bezpretensjonalnie, tak jak ona, i lubiła czytać. Umówiły się kilka razy na kawę i zaprzyjaźniły.

Cholera, ależ to małe jest szybkie - pomyślała, naciskając na gaz. - Powinnaś pamiętać, że immunitet dyplomatyczny daje tym dupkom całkowitą swobodę na drogach, bo w razie spowodowania wypadku nie grozi im więzienie. Toteż przepisy ruchu drogowego to dla nich tylko trochę więcej niż utrapienie. Trzeba było wynająć coś z mocniejszym silnikiem.

W czasie wiosennej przerwy pojechały do Nowego Jorku i zatrzymały się u jednej z koleżanek tej kobiety. Była miła kolacja, wino. Dużo wina. A potem późno w nocy padło pytanie, które rozpało uczucia, o jakie nawet się nie podejrzewała.

- Czy wierzysz w coś, co jest warte, aby oddać za nie życie? - zapytała ta kobieta. Siedziały w barze, a jej przyjaciel odchylił się do tyłu, żeby lepiej widzieć reakcję Jane.

Szybciej - popędzała samą siebie. Na szybkościomierzu było już osiemdziesiąt pięć mil, a tamten wciąż się oddalał. - Za niecałą milę jest zjazd.

- Warte, aby oddać życie? - powtórzyła GI Jane. - Myślę, że moja rodzina. I niektórzy przyjaciele. A dlaczego?

- A co z ojczyzną?

Pamiętała, że słyszała hałas, czuła wino i wiedziała, że coś jest nie tak, jak się zdawało. Najpierw poczuła się zagrożona i to w dziwny sposób, potem podniecona, tak jak wtedy, gdy pierwszy raz stała na trampolinie i patrzyła w dół. Poczula tę chwilę na skórze, a potem między udami. Wtedy to tak naprawdę po raz pierwszy w życiu przebiegł ją dreszcz podniecenia.

Podjedź bliżej - musztrowała siebie. - Przewiduj, co zrobi, kalkuluj, zajedź mu drogę.

Od tej chwili poszło już lepiej. Najpierw były spotkania z ludźmi, którzy zadawali jej pytania w rodzaju: „Jak dobrze potrafisz kłamać?” i „Jaką największą żywą istotę kiedykolwiek zdarzyło ci się zabić?”.

Niektórzy by się wycofali i uciekli - pomyślała. Ale o to właśnie chodziło. Zapewne podchodzili do wielu osób, mających podstawową inteligencję i predyspozycje do tej pracy. A podstęp pomagał odsiać pozerów.

Zrób to tak, żeby wyglądało, że wyprzedzasz - mówiła do siebie. - Żadnych

gwałtownych ruchów, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi. Poczekaj aż do samego zjazdu i wtedy skręcaj wraz z nim.

To wszystko było bardzo wykalkulowane i profesjonalne. Kobieta w spódnicy od Burberry wytypowała ją od samego początku.

225

Prawy przedni zderzak na równi z lewym przednim zderzakiem zet-czwórki - pomyślała. - Utrzymuj odpowiedni odstęp, aż... wytrzymaj ... wytrzymaj... teraz! GI Jane leciutko skręciła kierownicę w prawo. Szybkościomierz wskazywał siedemdziesiąt pięć mil, kiedy jej prawy zderzak delikatnie trącił samochód z przodu. Na drodze było bardzo ciasno, a to był ruch, który zapchana autostrada 1-495 widziała tysiące razy.

Zgrzyyyyyyyyyyyt!

Ale tym razem zderzaki zetknęły się. Z4 zjechało z kursu, tak jak to przewidywali jej instruktorzy w Camp Peary. Nazywali to manewrem TPI: techniką pościgu interwencyjnego.

Z4 zaczął obracać się powoli, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, a kierowca zbyt późno zorientował się, co się stało, i usiłował wykonywać jakieś manewry, ale było już za późno. Mały sportowy samochód z opuszczanym dachem znowu wpadł na pas, zderzając się z niewielką ciężarówką i wpychając ją wprost pod przyczepę dużego samochodu ciężarowego.

GI Jane widziała w tylnym lusterku eksplozję, ale nacisnęła na gaz i zniknęła za łukiem zjazdu.

Wszyscy patrzyli na pożar za jej plecami, ale nawet jeśli zdążyli zapisać numery rejestracyjne jej auta, to i tak nie istniała możliwość odnalezienia wynajętego samochodu. Tak jak tamtego dnia wśród regałów biblioteki Harvard Widener CIA odmieniła jej życie, tak kobieta w rzeczach od Burberry zatroszczyła się o wszystko.

- Mam nadzieję, panie Mitchell, że jest pan zadowolony - pomyślała GI Jane, uciekając z miejsca wypadku. Ale rzecz jasna, nie będzie. To zadanie było tylko kolejnym testem wierności, jeszcze jednym znakiem zapytania w nieustannej

choreografii wątpliwości.

- MIESZKAM SAM - powiedział gospodarz. - Nie przechowuję rzeczy, tak jak jarzyn.

- W porządku - odpowiedział Mitchell. Siedzieli wraz z Traskiem na kanapie przykrytej narzutą z makramy. Po lewej stronie pod ścianą stało pianino, a po prawej znajdował się kominek z cegły. Oprócz tego był tam jeszcze niski stolik do kawy, nieco bibelotów na metalowym regale i nieco za duży jak na ten pokój sosnowy fotel na biegunach.

226

- Wiedział pan dużo o ludziach, którzy wiele mogli - odezwał się Mitchell.

Wszędzie, zarówno na meblach, jak i na ścianach pełno było oprawionych w ramki fotografii. Były tam zdjęcia ze świata polityki -z wieców i zbiórek funduszków na rozmaite cele, ceremonie przecinania wstęg, w których brali udział luminarze polityki z Massachusetts, tacy jak Tip O'Neill, Ted Kennedy, Michael Dukakis, Barney Frank, Silvio Conte.

- Przez wiele lat byłem związany z wymiarem sprawiedliwości stanu Massachusetts - wyjaśnił mężczyzna.

- Od 1989, a odszedł pan dwa lata temu - odezwał się Trask. - Był pan przewodniczącym komisji transportu, członkiem komisji bankowości i finansów oraz Rady Regentów\*, wchodził pan w skład rady trustu Fleet Bank. Ożeniony raz, owdowiał pan w 1999.

- Czego chcecie? - zapytał były polityk. Był obeznany z negocjacjami.

- W połowie lat osiemdziesiątych rząd Stanów Zjednoczonych opracował scenariusz wojny asynchronicznej, noszący zakodowaną nazwę: Scenariusz Obrony Cywilnej numer 4 - projekt Megiddo - powiedział Mitchell. Rzucił teczkę z dokumentami na stół, tuż obok tryk--traka. - Dwunastu ludzi, mających jedno zadanie: zostać wybranym.

- Jak to? - obruszył się mężczyzna. - Macie zamiar mówić mi takie rzeczy? To znaczy, te dokumenty, one są ściśle tajne.

Ale Mitchell mówił dalej, jak gdyby wcale go nie słyszał.

- Tym projektem zajmował się pułkownik Buck Ellis, były żołnierz Special Forces, który rozsmakował się w mokrej robocie. MAC-V-SOG, operacja Feniks, Medal Honoru.

Był też związany z CIA, a w końcu zARPA.

- Wygląda, że to interesujący facet - stwierdził polityk. Mitchell pomyślał sobie, że tamten kłamie koncertowo. - Ja także byłem przez kilka lat w Special Forces. Wyszedłem, aby ukończyć college, i zająłem się polityką, co zresztą, zdaje się, wiecie. Co to jest ARPA?

- Dwanaście osób, wybranych spośród miliona żołnierzy - ciągnął Mitchell, ignorując pytanie. - Osób, które ukończyły West Point, były w Delta Force, wykładały w wojskowych college'ach. Najprzystojniejszych, błyskawicznie myślących, najwymowniejszych kandydatów, jakich tylko amerykańska armia była w stanie wyprodukować.

\* Rada zarządzająca państwowym uniwersytetem.

227

Polityk słuchał, założywszy noga na nogę. Potem założył też ręce.

- Przygotowywał ich pułkownik Ellis. Najpierw wykształcenie: Harvard, Dartmouth, Uniwersytet Wirginia. A w pańskim przypadku -college w Bostonie.

Mitchell wstał i podszedł do szafy z książkami. Wziął jedno ze zdjęć i uważnie je obejrzał. Było na nim pięciu mężczyzn stojących wokół stolika do gry w pokera. Dwóch z nich to byli gubernatorzy, a jeden - były prezydent.

- A potem poszli do szkoły wdzięku: lekcje aktorstwa, przemawiania, operacje plastyczne - taka korekta tu i tam - i pouczenia, jak podawać rękę, zapamiętywać nazwiska, nauki społeczne i polityczne oraz gramatyka i socjologia.

Mitchell spojrział ponad zdjęciem mężczyzny.

- Dwa lata później tych dwunastu wojskowych otrzymało super-pochwalne świadectwa

przebiegu ich służby wojskowej, takie, że przyprawiłyby o zazdrość samego Wesleya Clarka, i honorowe zwolnienia.

- I? - spytał pan domu. Wydawał się autentycznie zaintrygowany tą historią.



- I wtedy po prostu zniknęli - wtrącił się Trask. - Wszyscy przepadli bez śladu.  
- Wszyscy, z wyjątkiem jednego. - Mitchell odstawił zdjęcie na miejsce i zwrócił się do gospodarza. - Jednego udało nam się znaleźć. Nie było to łatwe, przypominam, ale ja mam dostęp do doskonałych źródeł.

- Chodzi o mnie? - zapytał ten mężczyzna. - Czy myśli pan, że mam coś z tym wspólnego? I do kiedy? Przecież widzi pan, co mam: trochę starych zdjęć i kilkadziesiąt letnich domków do pilnowania, dzięki czemu dorabiam trochę do emerytury. Jaką rolę mógłbym odgrywać i w jakiej to konspiracji?

Wybuchnął sztucznym, sarkastycznym śmiechem.

Mitchell podszedł do teczki z dokumentami i otworzył je na dwudziestej drugiej stronie. Ktoś kiedyś, dawno temu, napisał na maszynie życiorys pewnego mężczyzny identyfikowanego wyłącznie jako Kandydat numer Dziewięć. Mitchell podał go gospodarzowi.

- Mówi pan, że czyta gazety; zakładam, że wie pan, iż ten kraj został zaatakowany.

Polityk przeczytał dossier, trzymając ręce oparte mocno o kolana, tak żeby nie było widać, iż drżą.

228

- Mówi się o operacji zwanej Dżafar al-Tayar lub Dżafar, czyli ten, który lata wysoko - mówił dalej Mitchell. - Źródła twierdzą, że terroryści mają wtyczkę w naszym rządzie - gdzieś dostatecznie wysoko, aby osiągnąć ten zamiar destrukcji. Sądzymy, że Dżafar al-Tayar to może być jeden z pana kolegów z projektu Megiddo. Mężczyzna zbierał się wewnętrznie, jak gdyby właśnie mu oznajmiono, że nie ma Boga.

- Szwankuje mi pamięć - wyszeptał. - Ale powiedzmy, że pamiętam inne czasy, kiedy to zimna wojna, porwania samolotów i ludzi, samobójcze zamachy bombowe zmusiły rząd do szukania kreatywnych rozwiązań. Powiedzmy, że odgrywałem w tym jakąś rolę.

- Powiedzmy, że skończymy z tymi bzdetami i porozmawiamy jak żołnierze! -

warknął Trask. - Chcemy nazwisk pozostałych jedenastu.

- Nie ma żadnych nazwisk! - wybuchnął Kandydat numer Dziewięć. Teraz wyraźnie się trząśł. Utrzymywanie przez dwadzieścia lat tej tajemnicy leżało mu ciężarem na piersi. Ledwie oddychał.

- Nie wiecie? Myśmy się nigdy nie poznali, wiedzieliśmy tylko o zadaniu. O ile wiem, równie dobrze mogło nas być dwóch, co dwustu. Jedynym uczestnikiem projektu Megiddo, o którym kiedykolwiek słyszałem, byłem ja sam.

Tym razem to Mitchell skrzyżował ręce na piersi.

- Brałem pod uwagę taką możliwość - stwierdził. Prezes Borders Atlantic wyglądał na rozczarowanego, ale nie na pokonanego. - To utrudnia wszystko, ale nie czyni niemożliwym.

Przez chwilę zastanawiał się w milczeniu, a potem skinął na Traska, który wstał, i obydwaj mężczyźni skierowali się w stronę drzwi. Wciąż mieli jeszcze wiele spraw i nie mogli sobie pozwolić na marnotrawienie czasu.

- Niech pan nie zapomni teczki z aktami - powiedział Kandydat numer Dziewięć, trzymając ją w drżącej ręce.

- Proszę ją zatrzymać - odparł Mitchell. - Na tyle pan zasługuje. Gospodarz pozwolił Mitchellowi wyjść na zewnątrz i wtedy zdecydował się go zatrzymać.

- Zaczekajcie - poddał się. - Jest coś.

Trask nie zatrzymał się, ale Mitchell tak. Kiedy tak stał na schodku przed frontowymi drzwiami, wokół niego padały wielkie płatki śniegu.

229

- Kiedy mnie wybrano, byłem w DLI\*, w Monterey. Najpierw posłano mnie na studia prawnicze do Boston College, tak jak pan powiedział, a potem na Farmę na kilka miesięcy. Szkolenia odbywałem sam na sam z instruktorem. Następnie była szkoła wdzięku - odgrywałem mnóstwo różnych ról, po czym oglądałem z tego nagrania.

Dawali mi kasetę po każdym scenariuszu, tak bym mógł przestudiować swój występ i poznać błędy.

Kandydat numer Dziewięć podszedł do kominka i zaczął wrzucać w ogień dokumenty z

teczki Mitchella.

- Pewnego wieczoru odrabiałem lekcje. Włożyłem kasetę wideo do odtwarzacza, żeby

zobaczyć, jak wypadłem, ale po moim nagraniu było tam jeszcze coś więcej - nagranie innego studenta, który wykonywał identyczne zadanie, jak i ja.

Zorientowałem się, że instruktorzy po prostu wzięli kasetę, na której już coś było.

Mitchell cofnął się do środka. Ogień na kominku błyskał pomarańczowymi i zielonymi kolorami, pochłaniając zapis przeszłości tego samotnego człowieka.

- Rozpoznał pan tę osobę? - zapytał Mitchell.

- Nie, wtedy nie. To była tylko twarz. Ale później... tak, znam osobę z tej kasety.

- Czy teraz jest to osoba publiczna? - pytał Mitchell. Zresztą to było jedyne nasuwające się wyjaśnienie.

- Można tak powiedzieć - skinął głową gospodarz. Nie widać było po nim żadnej reakcji, poza lekkim mrużeniem oczu przed blaskiem ognia.

- Powie mi pan, kto to jest? - Mitchell wszedł i zamknął drzwi.

- Możliwe, jeśli obieca mi pan, że nigdy już tu nie przyjdzie. I jeśli przyrzekniecie mi, że nie uznacie mnie za wariata.

\* Defence Language Institute - podlegający Departamentowi Obrony  
Instytut Języków Obcych.

Rozdział XIV

Piątek, 18 lutego

2.55 GMT

Bunkier, ranczo Homestead

- NAZYWAM SIĘ Jeremy Walker. - Agent FBI mrużył oczy, starając się bardziej skoncentrować na tym, co go czeka. Dwóch z odzianych w długie szaty mężczyzn miało broń - rugera mini-14 oraz jakąś wschodnioeuropejską wersję AK. - Dlaczego mi to robicie?

- To my zadajemy pytania - odpowiedział pułkownik mocnym, zrównoważonym

głosem,

autorytarnym, ale nie zuchwałym. - Przede wszystkim nie ma żadnego zapisu o Jeremym Walkerze pod twoją datą urodzenia w związku zawodowym transportowców, a

wszyscy z teatrów objazdowych muszą do niego należeć. A po drugie adres, który podałeś, jest prawidłowy, ty wynajmujesz ten dom, ale opłaty za media reguluje osoba o nazwisku John L. Anderson.

Czy oni mnie wypróbują? - zastanawiał się Jeremy. Rzecz jasna FBI miałyby jakieś zapiski na ten temat.

- Musiałem napisać inną datę urodzenia na formularzu - powiedział Jeremy, usiłując wymyślić jakiś rozsądny wykręt. - Jestem karany, a wobec tego nie mogę posiadać broni. Pomyślałem sobie, że nigdy nie zostanę przyjęty tu na kurs, jeżeli sprawdzicie i dowiecie się.

Jeremy wiedział, że ma postępować zgodnie z radami instruktorów i trzymać się jak najbliżej prawdy, ale to nie była szkoła. Ellis i jego zbiry zabiją go, jeśli nie wymyśli jakiegoś przekonującego kłamstwa.

- Za co cię skazano? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Za podłożenie bomby pod klinikę aborcyjną - odpowiedział Jeremy, starając się, aby w jego głosie brzmiała duma.

231

- Gdzie?

- W Atlancie w 1998. Dostałem pięć lat za współudział, bo był tylko jeden świadek, który słyszał, jak rozmawiałem przez telefon. Nie mieli żadnych dowodów.

- Dlaczego, bo byłeś niewinny? - spytał Ellis.

- Nie, bo byłem dobry - chełpił się Jeremy. - Zrobiłbym to samo choćby jutro, z tym wyjątkiem, że już bym nie rozmawiał przez telefon w miejscu publicznym. Ellisa i jego kompanów zdaje się zainteresowała ta historia.

- Dlaczego tu przyjechałeś? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Aby nauczyć się, jak trzeba walczyć. Widzieliście, że umiem strzelać, ale muszę jeszcze doszkolić taktykę, jeśli mam powstrzymać tych morderców przed

dalszym zabijaniem niewinnych dzieci. - Mówiąc to, patrzył każdemu z zakapturzonych mężczyzn w oczy. - Oceniając z grubsza, trafiłem we właściwe miejsce.

Pułkownik przez chwilę milczał, po czym odwrócił się do mężczyzny z prawej strony i obydwaj porozumieli się bez słów.

- Co rozumiesz, mówiąc, że trafiłeś we właściwe miejsce?

- To, że z tego, co widzę, to wszystko jest tak, jak mi mówiono w więzieniu.

Jestem kapłanem Pinchasa i przybyłem tu, aby was odszukać.

Nastąpiła ponowna wymiana spojrzeń między pułkownikiem a tym, który musiał stać w hierarchii tuż za nim.

- A co wiesz o Kapłanach Pinchasa? - zapytał ten człowiek. Jeśli sędzić po głosie, musiał być z dziesięć lat albo i więcej młodszy od pułkownika.

- Wiem to, co powinienem, gdy popełniałem czyn Pinchasa - odparł Jeremy. W ubiegłym tygodniu przeczytał wszystko, co tylko napisał Richard Kelly Hoskins. Zgłębiał dogmaty Ruchu na rzecz Chrześcijańskiej Tożsamości i zapamiętał niemal wszystko, czego w ciągu dziesięciu lat FBI dowiedziało się o białych suprematystach i o śledztwach na temat tych sekt.

- Jestem wojownikiem Chrystusa, tak jak i wy - stwierdził Jeremy - i przybyłem tu, aby służyć. I teraz spodziewam się, że przejdziemy do etapu mającego to udowodnić.

- Przygotujcie go - rozkazał Ellis. Wykonał ruch ręką i szósty ze stojących w kole mężczyzn wyciągnął parę kajdanek. Inny wskazał lufą karabinu w kierunku krzesła i Jeremy usiadł. Był obeznany z przesłuchaniami,

232

a te zawsze zaczynały się tak samo - kajdanki, krzesło, w którym musiałeś siedzieć prosto, i nużące złe przeczucia.

- Co możesz mi powiedzieć o Księdze Liczb? - spytał pułkownik. Mężczyźni stali półkolem, z wyjątkiem piątego, który podszedł bliżej. Jeremy zauważył, że przez otwory na oczy w kapturze widać było, iż wygląda on inaczej. Jego jedno oko było różowe, jak u królika, a drugie przykrywał opatrunek z gazy. Czarna skórzana

teczka, którą trzymał w lewej ręce, świadczyła, że trudnił się zachęcaniem do zeznań.

- „Gdy Izrael osiadł w Szittim - recytował Jeremy z pamięci - zaczął lud uprawiać nierząd z Moabitkami. Zapraszały one lud na rzeźne ofiary swoich bogów, a lud jadł i oddawał pokłony ich bogom. Izrael sprzęgnął się z Baalem Peor.

Wtedy Pan zagniewał się na Izraela. I rzekł Pan do Mojżesza: zbierz wszystkich naczelników ludzi i wbij ich na pal przed Panem w słońcu, a odwróci on płomienny gniew Pana od Izraela. I rzekł Mojżesz do sędziów izraelskich: niech każdy zabije ze swojej grupy tych mężów, którzy się sprzysięgli z Baalem Peorem".

Jeremy siedział nieruchomo, a tymczasem piąty z mężczyzn podszedł bliżej.

- Księga Liczb, rozdział dwudziesty piąty, ustęp od pierwszego do piątego - rzekł. - To jest nasze motto.

- To nie jest żaden dowód - powiedział Ellis. - Mogłeś przeczytać to w tekstach Hoskinsa, a nauczanie się na pamięć Biblii nie czyni jeszcze z ciebie kapłana Pinchasa.

- Nie, nie czyni - zgodził się Jeremy - ale dokonanie aktu Pinchasa tak.

Pierwsze uderzenie zostało wymierzone otwartą dłonią. Ten piąty mężczyzna walnął Jeremy'ego na płasko nad lewym uchem, naruszając bębenek i pozostawiając cienką strużkę krwi sącząca się z boku szyi.

- Pierwsze przesłuchanie, którego byłem świadkiem, miało miejsce na tyłach armii wietnamskiej, tam gdzie diabeł mówi dobranoc, niemal dwa kliki do Kambodży - mówił Ellis z nutą nostalgii. - 1965. Byłem jednym ze zwiadowców wysłanych z bazy A w górach, na północ od Ben Het: dwóch Amerykanów i sześciu z plemienia Montagnard. Mieliśmy ze sobą chłopaka imieniem Yuk Aun. Utrzymywał, że jest czarownikiem. No i pewnego wieczoru złapaliśmy jednego i ten nasz dzieciak zabrał się za niego.

233

Jeremy przypomniał sobie selekcję, jaką przeszedł, zanim został przyjęty do HRT, i sposób, w jaki go bito. To nie bólu wtedy nienawidził, ale oczekiwania.

- Nie na wiele się wam przydam z rozwaloną głową - powiedział. Czuł, jak krople

krwi skapujamu na nagie ramiona.

- „W nim siedzą duchy”, powtarzał ten czarownik - wspominał głośno Ellis. - „W nim siedzą duchy”. Cóż, ten dzieciak lubił bawić się prądem, a my znaleźliśmy w jednej z kryjówek radzieckie dynamo, więc nasz czarownik zaczął nieco przypalać kapitana. Dawał mu porcję i nachylał się - doprawdy wszystko cichutko - i słuchał bicia serca tego żółtka. Myślę, że chciał wiedzieć, czy te duchy jeszcze tam siedzą.

Pułkownik skinął głową i ten piąty odwrócił się w stronę swojej torby.

- Jestem religijny - mówił pułkownik - ale nie jestem czarownikiem. I nigdy nie interesowało mnie zgłębianie reakcji człowieka na ból.

Jeremy obserwował, jak ten piąty otwiera torbę.

- Oberwałeś w ucho za próbę wykorzystania mojej córki - oświadczył Ellis. - Heidi zwabiła cię tu dla nas, więc nie przypisuj wszystkiego jej intencjom.

Odziany w szatę eksperta od tortur sięgnął do torby i wyciągnął dwa narzędzia chirurgiczne z nierdzewnej stali. Jedne miały uchwyt taki jak nożyczki, a na drugim końcu coś na kształt płaskich łapek - taki rodzaj kleszczy. Drugie wyglądało jak dłutka, którymi dentyści sprawdzają porobione przez próchnicę dziury.

- A teraz poznasz moje sposoby wsłuchiwania się rytm twego serca - odezwał się. Trzymał dłutko w lewej ręce, a kleszcze w prawej. Obchodził się z tymi narzędziami delikatnie, jak zawodowiec, który wie, jak podejść do trzęsącego się ciała.

- Czy jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć, zanim się do tego zabierzemy? - spytał pułkownik.

- Przybyłem tu, aby zaoferować się jednemu prawdziwemu i sprawiedliwemu Bogu

-

rzekł mu Jeremy. - Nigdy nie sądziłem, że to będzie bezkrwawa walka.

- No i dobrze myślałeś - skinął głową Ellis.

Piąty mężczyzna nachylił się i chwycił twarz Jeremy'ego w uchwyt przypominający imadło.

- Masz niebywale niebieskie oczy - powiedział. - Zobaczmy, jak też wyglądają z drugiej strony.

234

- Wolna ręka oprawcy przybliżyła się wraz z kleszczami, ale Jere-my nie widział sensu, by się wyrywać. Tak jak powiedział, ta walka nie miała być bezkrwawa.

- PRZEPRASZAM ZA SPÓŹNIENIE - sumitowała się Beechum, wpadając do gabinetu w

zachodnim skrzydle Białego Domu i ciągnąc za sobą Havelocka i Alreda. James popędził z powrotem do jej biura po najświeższe doniesienia Agencji

Bezpieczeństwa Wewnętrznego. - Generale, co my tu mamy?

Odsunęła krzesło u szczytu stołu i nalała sobie szklankę wody.

- Elizabeth, przepraszam, ale czy nie powinniśmy poczekać na prezydenta? - zasugerował sekretarz stanu.

- A, tak... prezydent - powiedziała. - Jak wiesz, David pracował bez przerwy od chwili, kiedy to wszystko się zaczęło, i wreszcie postanowił trochę się przespać. Zabronił się budzić, chyba że w wyjątkowym wypadku.

- A to, co teraz mamy, to niby co? - zapytał sekretarz rolnictwa. Ten były senator z Arizony nie rozpoznawał ras bydła, ale nigdy nie przeszkadzało mu to walić prosto z mostu, co myślał.

- Albercie, o ile wiem, na tym pozbawionym prądu obszarze znajduje się pięćdziesiąt pięć obiektów i instalacji wojskowych - Beechum zwróciła się do sekretarza obrony. - Jak...?

- Elizabeth, muszę się sprzeciwić - wtrącił się sekretarz rolnictwa. - Niemal połowa kraju jest sparaliżowana i tonie w ciemnościach z powodu ataku terrorystycznego. Myślę, że prezydent chciałby wiedzieć.

- No to idź i go obudź! - wybuchnęła Beechum. Nie miała zamiaru uśmierzać niepokoju faceta, który nadzorował dostawy sera. - Prezydent był na nogach przez ponad dziewięćdziesiąt godzin, a te ataki mogą jeszcze trwać i trwać. Do cholery, przecież prezydent to też człowiek. Jeśli ma efektywnie pracować, to potrzebuje kilku godzin, by odpocząć.



Dolna warga sekretarza rolnictwa opadła mu na podbródek.

- A teraz, co do tych baz - ciągnęła Beechum. - Chcę wiedzieć dokładnie, o ile musimy zmniejszyć strategiczne rezerwy paliw, chcąc utrzymać funkcjonowanie baz i pracę ich zapasowych generatorów. Bo

235

jeśli czekają nas jeszcze podobne ataki, to będziemy mieć do dyspozycji wyłącznie rezerwy strategiczne.

•

CAROLINE WALLER OGLĄDAŁA DZIENNIK TELEWIZYJNY, LEŻĄC na kanapie w salonie z

Christopherem w objęciach, a w prawej dłoni trzymając pilot do telewizora. Jej rodzice mieszkali w Kalifornii, w Buena Park, i pomimo dwugodzinnych wysiłków wciąż nie udało się jej z nimi skontaktować.

Gdzie, do cholery, jesteś? - myślała o mężu. - Dlaczego ilekroć się coś dzieje, biegiesz ratować świat, ale nigdy nie pomagasz własnej rodzinie?

Zazwyczaj się nie uskarżała, ale to wszystko zaczynało być śmieszne. W Missouri życie było całkiem inne. Tam istniało poczucie więzi międzyludzkich, co oznaczało, że w razie potrzeby domy wszystkich stały otworem i można było na tych ludzi liczyć. Ileż to razy, gdy Jeremy wychodził wieczorem do pracy ścigać jakiegoś rabusia, który obrabował bank, ktoś z sąsiadów przychodził, niosąc nakryty talerz, a w zanadrzu słowa otuchy.

Biuro Terenowe w Springfield też było świetne. Pracowało tam tylko sześciu agentów i dwie sekretarki, ale każdy troszczył się o drugiego tak, jakby od tego zależało życie ich wszystkich. Właściwie to zależało. Ci, co noszą codziennie broń, bo tego wymaga ich praca, znają smak ryzyka. Na ogół śmieli się z tego, jako z czegoś, z czym należy się pogodzić, gdyż stanowi to część ich pracy, ale gdy wydarzała się tragedia, wówczas wszyscy cierpieli z powodu utraty towarzysza.

Żeby tylko zadzwonił - myślała sobie Caroline. - Kilka słów, że z nim wszystko w porządku. Jasne, że to zadanie ma coś wspólnego z tą straszną serią ataków, które zrujnowały kraj. Najpierw zamachy bombowe, potem katastrofy samolotowe, a

teraz to. W dzienniku mówili, że dotknęło to siedemnaście stanów. Jakieś urządzenie z ładunkiem radiologicznym - brudna bomba, o której od tak dawna mówiono.

No, cóż, to się musiało w końcu wydarzyć, tylko co oni teraz z tym zrobią?

Drrrr, drrrr...

Caroline chwyciła bezprzewodowy telefon, starając się nie zbudzić Christophera.

Tak długo zasypiał.

236

- Halo? - zapytała. Wiedziała, że to pewnie jej rodzice, ale miała cień nadziei, że to może mąż.

- Witam, pani Waller - powiedział ktoś. - Tu Les Mason.

- O mój Boże - westchnęła cicho.

Poczuła, że w gardle rośnie jej gula wielkości piłki golfowej. Przecież było już po północy. Dowódca HRT nigdy nie dzwonił do niej nawet w dzień, więc dlaczego teraz? Zapewne ma jakąś straszną wiadomość. | .....-... :|;::;| :-'!'-.,

" \* |'''|-.|•

- PRÓBUJEMY OSZACOWAĆ ZNISZCZENIA oraz ewentualne wznowienie pracy  
- meldował

sekretarz obrony swojej tymczasowej przełożonej. Po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych gabinet składał raport naczelnemu dowódcy sił zbrojnych, który był kobietą.

- To znaczy, że nie wiesz?

- W niektórych częściach łączność jest przerywana - wyjaśnił. - Mogę powiedzieć, że nasze zasoby broni jądrowej są bezpieczne i że nasze dowództwo i służby kontrolne są w stałej łączności z Pentagonem, ale jeśli chodzi o oszacowanie aktualnych zniszczeń, to nie mamy żadnych pewnych informacji.

Beechum zwróciła się do prokuratora generalnego.

- A co ze służbami strzegącymi porządku publicznego?

Były gubernator stanu Iowa wyglądał na zagubionego bez szefa FBI.

- Cóż, ee... nie mamy jeszcze, obawiam się, konstytucyjnych praw... - wyjąkał.

Beechum odwróciła się od niego z marnie ukrytą pogardą.

- Wybacz mi mój brak zainteresowania naszymi ojcami założycielami - powiedziała

- ale teraz mamy niezwykle poważny kryzys wagi ogólnopństwowej i chcę wiedzieć,

co, do cholery, robimy, aby chronić integralność infrastruktury naszego kraju!

- Ja, eee... będę musiał zwrócić się do szefów poszczególnych jednostek stojących na straży porządku publicznego - odezwał się prokurator generalny, pisząc szybko na żółtej karteczce. - Departament Sprawiedliwości jest...

- A jak nasi sojusznicy? - spytała Beechum, zwracając się do sekretarza stanu, byłego ambasadora przy ONZ.

237

- Arabia Saudyjska zdaje sobie całkowicie sprawę, że ją podejrzewamy - padła odpowiedź o wiele bardziej stanowcza niż poprzednie. - Saudyjska rodzina królewska jest przekonana, że chcemy obciążyć ją za to winą, aby wpłynąć na OPEC. Jutro książkę ogłosi, że planuje zmniejszenie wydobycia o pięć milionów baryłek dziennie, o ile nie zmienimy stanowiska.

- Jaki to dla nas koszt? - chciała wiedzieć wiceprezydent.

- Mówimy o dwudziestu procentach naszej dziennej konsumpcji, a to oznacza pięć dolarów za galon paliwa, a może i więcej. To samo dotyczy oleju opałowego, a o tej porze roku mogą z tego wyniknąć autentyczne problemy.

Głos zabrał sekretarz spraw wewnętrznych.

- Należy spodziewać się powstania szerokich reperkusji ekonomicznych - powiedział. - Sami Saudyjczycy mają w naszych instytucjach finansowych około biliona dolarów, nie licząc przyjaznych im partnerów z Bliskiego Wschodu.

Beechum dobrze zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niesie za sobą ruch wymierzony w amerykańskie rynki.

- Finanse? - spytała.

Niemal żurnalowy model Brooks Brothers przechylił głowę na bok.

- Od sześciu miesięcy jesteśmy w okresie prosperity gospodarczej, pierwszej od pięciu lat - odparł. - Teraz w związku ze wzrostem cen energii przewidujemy

znaczne osłabienie kursu dolara, załamanie się zaufania konsumentów oraz zjawiska napędzające inflację. Przemysł transportowy już boryka się ze znacznymi trudnościami. Wartość produkcji mierzona na głowę jednego zatrudnionego znacznie spadnie w związku z....

- Dobrze, już dobrze - przystopowała go Beechum.

- Przepraszam... - Otworzyły się drzwi i wszedł sekretarz prasowy Białego Domu. Był wyraźnie roztrzęsiony. - Przepraszam, że przerywam, ale jest coś, o czym powinna pani wiedzieć.

Beechum dała mu znak ręką, aby wszedł, wiedząc, że szykują się nowe kłopoty.

- Właśnie miałem telefon z „Washington Post” - oznajmił. - Cytują pewne poufne źródło, które mówi, że w historii służby wojskowej prezydenta wykryto pewne „niejasności”.

- Nic nowego - prychnęła Beechum. - Powiedz im, że zajmowaliśmy się tym w czasie kampanii wyborczej, a teraz mamy na głowie kryzys ogólnonarodowy.

W-'''r'

238

- Powiedziałem, proszę pani - odpowiedział jej zmartwiony mężczyzna. - Oni pracują nad tym od kilku miesięcy i znaleźli kilka osób, które nie przypominają sobie, aby w Wietnamie prezydent służył wraz z nimi w tej jednostce, którą podał.

- Przecież wiadomo, że dokumenty dotyczące przeszłości wojskowej prezydenta zostały zniszczone w 1973 roku podczas pożaru w Wojskowym Centrum

Dokumentacji

Osobowej w Saint Louis.

- Twierdzą, że ogień zniszczył tylko akta osób zwolnionych ze służby do 1964 roku, a prezydent odszedł z wojska w 1972. Zamierzają umieścić tę wiadomość w internecie, a stacja MSNBC już puściła ją w obieg.

Beechum walnęła rękaw stół. Co jeszcze mogło się wydarzyć?

- Powiedz im... powiedz im, że akurat wtedy, gdy był pożar, niektóre dokumenty były przenoszone z jednego miejsca w drugie. - Zresztą była to prawda. - Powiedz, że armia zaczęła już badać tę sprawę, ale zajmie jej to sześć do ośmiu tygodni.

I powiedz, że mamy, do cholery, prawdziwy kryzys, i tym się teraz martwimy!  
Nikt w pokoju nie wymyślił lepszej odpowiedzi, a i pani wiceprezydent tego nie oczekiwała.

- Wracajmy do poważnych spraw. - Nie zajmowała się już dłużej tym, co w tej sytuacji zdawało się małym przerywnikiem. Sekretarz prasowy zniknął, nie mówiąc do widzenia.

Członkowie gabinetu siedzieli sztywno na krzesłach. Wszyscy byli biurokratami i odpowiadał im umotywowany przywódca.

- Zarządzam kompletną blokadę na wychodzące stąd informacje. Do momentu, w którym to odwołam, wszystkie dyrektywy, informacje i konsultacje rodzące się w Gabinetcie Ovalnym będą uważane za sprawy dotyczące bezpieczeństwa państwa. Zrozumiano? Jakikolwiek przecieki potraktuję jak bezpośrednie naruszenie przysięgi. I upewnijcie się, że wasi pracownicy wiedzą, że za złamanie tego zakazu będę pociągać do odpowiedzialności karnej.

Wszyscy skinęli głowami.

- Obrona. O trzeciej zero zero chcę widzieć w swoim gabinecie... to znaczy w Gabinetcie Ovalnym... szefów CIA, DIA\*, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Narodowej Agencji Obrazowania

\* Defence Intelligence Agency - Agencja Wywiadu Obronnego.

239

i Kartografii i wszystkich pięciu agencji wywiadowczych. Niech każdy przyniesie raport na temat gotowości do funkcjonowania wszystkich pięćdziesięciu siedmiu instalacji należących do Departamentu Obrony, a znajdujących się na zaatakowanym obszarze, a także szacunki ubocznych strat.

SECDEF\* notował te rozkazy.

- Sekretarz stanu. Chcę, abyś spotkał się osobiście z ambasadorem Arabii Saudyjskiej. Wyjaśnij nasze stanowisko - ale żadnych gróźb. Pomachaj jakimiś informacjami wywiadu, żeby wiedział, co nas tak boli. Kładź nacisk na naszą wieloletnią współpracę i wzajemny szacunek. Potrząśnij nim, ale tak, żeby nie spanikował.

Teraz zwróciła się do sekretarza do spraw energetyki.

- Proszę o realistyczny termin przywrócenia dostaw energii, w rozpisaniu na stany, miasta i stosownie do gęstości zaludnienia. I oczekuję szczegółowego briefingu około piątej rano w sprawie nieprzekraczalnych terminów odkażenia tych miejsc. Potrzebuję też oceny zniszczeń, żebyśmy mogli oszacować, ile jeszcze może się tam znajdować radioaktywnego materiału.

Na końcu z nachmurzoną miną zwróciła się do prokuratora generalnego.

- Jeśli chodzi o Departament Sprawiedliwości, to niech Alred i DHS stawią się w końcu korytarza najszybciej, jak tylko można. Upewnij się, że wiedzą, iż chcę widzieć również dyrektora FEMA. Babraliśmy się tu w kwestii kontynuacji rządów. A ja chcę konkretów. A wreszcie chcę zająć się tym ugrupowaniem w Ohio. Żadnego czekania. HRT ma zaatakować to miejsce i zobaczyć, z czym mamy do czynienia. Pani wiceprezydent, ożywiona wagą spraw, wstała i pochyliła się nad stołem konferencyjnym.

- Nie muszę wam mówić, jak ważne będą te najbliższe godziny -zaczęła. - Ten kraj stał w obliczu tak kolosalnego zagrożenia całe pokolenia temu. Chcę, żebyście wszyscy wiedzieli...

- Och... mój ... Boże - wyjąkał sekretarz obrony.

Oczy wszystkich skierowały się na człowieka, który wszedł, potykając się, do Gabinetu Ovalnego. Andrea Chase trzymała go pod rękę. Miał na sobie szaro-białą piżamę rozpiętą aż do pępka. Jego włosy

\* Secretary of Defence - sekretarz obrony.

240

wyglądały jak wronie gniazdo, a twarz to pomieszanie od kilku dni nieogolonego zarostu, wyrytych zmartwieniem bruzd i gwałtownie przerwane snu. Wyłącznie jego granatowy szlafrok i emblemat wyszyty na górnej kieszonce świadczył, że to prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Niech ktoś wyłączy tę piekielną muzykę! - wrzasnął David Venable. - Wyłączcie tę muzykę, zanim zwariuję!

BOGATO WYPOSAŻONY BELL JET RANGER czekał na Jor-dana Mitchella na

pasie w

Longpath. Na czystym, zimowym niebie księżyc świecił wspaniale, ale miliarder nie spostrzegł tego.

- Umówiłeś spotkanie? - zapytał.

- O jedenastej, dziś wieczorem - odpowiedział Trask. Szef personelu żonglował dwoma telefonami komórkowymi i listą zadań, na której znajdował się aktor z Cirque du Soleil. Wiedział, że Mitchell umyślnie nic nie wspomina o tym spotkaniu, ale nie odczuwał tego jako lekceważenia. Trask pracował, aby sprawić przyjemność Jordanowi Mitchellowi. I było mnóstwo rzeczy, o których wcale nie musiał wiedzieć.

- Gdzie jest Sirad? - z tym pytaniem Mitchell zapiął pasy, gdy pilot ruszył i skierował nos samolotu w stronę Nowego Jorku.

- W Laboratorium Mózgów. Wciąż nic konkretnego.

- A co u naszej przyjaciółki GI Jane?

Helikopter wzniósł się nad Longpath, wysoko ponad Mount Grey-lock i przykryte śniegiem boisko szkolne w Berkshires.

- Gdzieś z godzinę temu się nim zajęła. W Waszyngtonie wciąż mówią o tym w lokalnych dziennikach. Wszyscy myślą, że to był wypadek.

Mitchell nie zawracał sobie głowy składaniem gratulacji. Nigdy nie uważał, że śmierć stanowi powód do świętowania.

- A co z tą firmą biotechnologiczną? - Wrócił do prospektu, który studiował wcześniej.

- Przystali na nasze warunki. Rada generalna opracowuje szczegóły kontraktu. Za tydzień będziemy ich właścicielami.

- Dobrze - stwierdził Mitchell, zajmując się teraz wyglądem przez okno.

Wreszcie sprawy zaczynały się układać.

241

- Teraz żeby tylko Waller dobrze odegrał swą rolę.

Mitchell przyglądał się odbiciu światła księżyca w dole, na śniegu. Trask miał rację, mówiąc o bajkowej naturze posiadłości w Berkshires. Tylko źle się stało,

że z powodu tej pracy przestały go interesować marzenia.

•

CHALID MUHAMMAD UŚMIECHAŁ SIĘ szeroko, kiedy piękny prywatny odrzutowiec

Gulfstream opuścił pas startowy Guantanamo i skręcił na lewo.

Lecieli zaledwie kilka sekund, gdy pojawił się Obóz Delta: jasne światła, kolczasty drut, zbudowane z połączonych segmentów ogrodzenie. Z wysokości tysiąca stóp wartownicy wyglądali jak zabawki, ale potem samolot wzniósł się nad morskimi falami i, jeśli Allah pozwoli, obóz zniknie z pola widzenia już na zawsze.

Prawda da ci wolność - pomyślał Chalid, przypominając sobie jeden z plakatów wiszących w szpitalu więziennym. - Cóż, może. Ale kłamstwa też całkiem dobrze działały.

- Niech pan lepiej siedzi, sir, bo w przeciwnym wypadku może się panu coś stać - zwrócił mu uwagę jeden z towarzyszy podróży. Miał ubranie w kolorze khaki i kamizelkę typu safari, jak wszyscy z CIA. To był taki ich mundur; starali się wyglądać światowo, ale tak naprawdę nic nie wiedzieli o islamie ani też czego tak naprawdę chcą członkowie dżihadu.

- Sir? - uśmiechnął się Chalid. - Pięć minut po starcie zwraca się pan do mnie „sir”? To zdumiewające, co robi zmiana ubrania.

- Zmiana ubrania, zmiana podejścia, odmiana losu. - Informacja, której udzielił, pobiegła błyskawicznie do góry po biurokratycznej drabinie. W ciągu dwóch dni otrzymał propozycję od samego dyrektora i po dwóch dniach negocjacji dobili targu. W zamian za szczegóły na temat saudyjskich agentów działających w Stanach Zjednoczonych obiecano mu podróż pierwszą klasą do Chartumu. Jedyne, co oddzielało go od wolności, to zameldowanie się w jakimś „niezidentyfikowanym miejscu" odległym o osiem tysięcy mil, które miał pokonać szybkim odrzutowcem.

- Napije się pan czegoś, panie Muhammad? - spytał inny pasażer. Był to o wiele cięższy mężczyzna, pochodzący zapewne z Bałkanów,



może z Serbii lub z Armenii; całą twarz porastał mu bardzo gęsty zarost, który golił tak, iż wokół szyi tworzyło się koło.

- Tak, wody.

- Chalid znowu wyjrzał przez okno, zastanawiając się, ile też czasu zajmie mu powrót do domu. Tutaj przybył z zasłoniętymi oczami i przywiązany do noszy, wraz z jakimś wiozącym różne graty wojskowym transportem. Cóż to była za okropna podróż!

Allah huakbar - modlił się cicho. Bóg ma swoje własne drogi i jakżeż głupi są ludzie, myśląc, że mogą w nie ingerować.

- Jak pan myśli, jak wysoko lecimy? - spytał niższy mężczyzna.

- Nie wiem, nie jestem pilotem - odpowiedział Chalid. Chmury się rozstały, ale jak okiem sięgnąć, nie widać było lądu.

Pod nimi rozciągały się turkusowe wody Morza Karaibskiego, na tyle blisko, że widział białą pianę tworzącą się na szczycie fal.

- Żaden z tej piętnastki nie był twoim rodakiem - zauważył ten wielki chłop, wracając z wodą dla Chalida.

- Piętnastki? - zdumiał się Chalid. Wziął szklankę z wodą i potrząsnął głową. Przyszło mu na myśl, że samolot powinien wznosić się coraz wyżej, ale spytał tego wielkiego: - Jakiej piętnastki?

- Tych tchórzliwych dupków, którzy uczyli się pilotażu, nie zawracając sobie głowy umiejętnością lądowania - brzmiała odpowiedź. -Pamiętasz ich, Chalid? Uśmiech zniknął z jego twarzy. Więc to taki „pan” z niego.

- Nie nazywałbym ludzi, którzy oddali życie za swoją religię, tchórzami - powiedział Chalid. - Można się nie zgadzać z ich celem, ale ich odwaga to rzecz bezdyskusyjna. A teraz powiedz mi, kiedy dolecimy do tego niezidentyfikowanego miejsca?

Żaden z Amerykanów się nie odezwał. Ten niższy wstał i podszedł do kokpitu, nachylił się, powiedział coś i wrócił na miejsce.

- Lepiej pij swoją wodę, ty dupku - stwierdził.

Chalid chciał zwrócić mu uwagę na jego słownictwo, ale stwierdził, że nie warto

go prowokować.

- Po co mam pić wodę? Już dolecieliśmy? - zapytał. Lecieli nie dłużej niż dziesięć minut.

- Krótki skok - skinął głową niższy z mężczyzn. Podszedł do drzwi w kadłubie. - Wiesz co, zawsze chciałem zapytać któregoś z was o tę sprawę z dziewczynami.

- Co?

243

- Dlaczego po śmierci macie po siedemdziesiąt dwie na głowę? Przecież, tak sobie myślę, jest się martwym bardzo długo, więc prędzej czy później to tych dziewczyn zabraknie. Czy jakoś rozkładacie sobie to ich pieprzenie w czasie, albo też może dostajecie po jednej w każdą środę, aż do wyczerpania towaru, a potem resztę wieczności spędzacie, łomocąc wciąż tę samą, starą pizdę?

Wy chamskie amerykańskie psy - pomyślał Chalid. -1 jeszcze dziwicie się, dlaczego reszta świata was nienawidzi?

- Co, wielbłąd zeżarł ci język? - powiedział ten niższy. Kiwnął na drugiego, a tamten podszedł i chwycił Chalida za gardło. Saudyjczyk próbował walczyć, ale ten goryl trzymał go, nawet nie napinając zbytnio mięśni.

- No, będziesz miał mnóstwo czasu, żeby się zastanowić - stwierdził mniejszy. - Otwórzcie! - krzyknął do siedzących za kokpitem. Chalid poczuł, że silniki zostały przełączone na jałowy bieg.

Człowiek-małpa wyciągnął go z siedzenia, a tymczasem ten drugi otwierał drzwi w kadłubie samolotu. Do wnętrza wpadł silny powiew wiatru.

- Witaj w niezidentyfikowanym miejscu, dupku - krzyknął goryl. - Mekka jest w tamtą stronę.

Chalid nie miał czasu rozglądać się za kierunkiem, gdyż był bardzo zajęty spadaniem.

•

- O, ZNOWU JEST - Ravi wskazał na coś, co zdaniem Sirad było jakimś szwargotem na ekranie.

- Cyfrowy podpis? - zapytała go. Młotek znacznie się uspokoił po ostatniej

reprimendzie. Obrzucał ją od czasu do czasu spojrzeniem, ale już nie tak jawnie.

- D-d-aj p-p-ppani laleczkę do zab-b-bbawy - powiedział. Sirad nienawidziła patrzeć na dąsy tego faceta.

- Skąd to wiesz? - dopytywała się.

- Odwzorowanie czasu - wyjaśnił Nie Umiem Strzelać. - Odwzorowanie czasu to charakterystyczna cecha funkcji „hash”, pozwalająca nam dokładnie udokumentować,

kiedy w strumieniu danych miało miejsce nawiązanie kontaktu. Pamiętasz, rozmawialiśmy kiedyś, że nie mamy dowodu. No, więc Młotek wymyślił,

244

w jaki sposób wykorzystać coś, co jest znane pod nazwą protokołu Feine-Fiat-Shemira, aby dopasować czas z punktem wysłania wiadomości.

Ravi wyszedł z tego punktu.

- Wyobraź sobie strumień danych płynących w systemie Quan-tis jak rzekę różnych cieczy przepływających przez wiadukt - powiedział. -1 założmy, że ta rzeka zawiera ścieki z setek tysięcy rozmaitych dopływów, a każdy z nich jest innego koloru. Rzeka będzie przypominać tęczę, ale ty możesz zidentyfikować i wyodrębnić źródło, kierunek i objętość każdego dopływu. A jeżeli będziesz również mogła określić czas wpływu oraz kolor każdego źródła, to z łatwością odkryjesz wszystko, co stanowi jakąś anomalię - coś, co jest nie na miejscu.

- A każdy przekaz za pośrednictwem systemu Quantis da się zidentyfikować, ponieważ znamy nadawcę oraz odbiorcę każdej rozmowy - myślała Sirad głośno.

- Dokładnie tak - potwierdził Ravi. - Wobec tego po prostu brniemy przez strumień danych, dopóki nie znajdziemy tego niepasującego.

- I właśnie o to chodzi - wtrącił się Nie Umiem Strzelać. - To wraz z pewną doprawdy zbijającą z tropu kryptoanalizą matematyczną.

- Zachowaj to.

- Racja.

Ravi wskazał na inną serię liter na ekranie.

- Kiedy już odkryjemy naszego intruza, podążamy za nim, a gdy docieramy do

źródła, uciekamy się do różnych metod sprawdzających -do zapory. - Widzisz? - zapytał podniecony. - Oto nasz intruz.

- Jak docieracie do zapory, to skąd wiecie, co się za nią znajduje? - spytała Sirad.

- Oznakowanie - wyjaśnił Nie Umiem Strzelać. - Jest pewien znak rozpoznawczy tego, kto projektował włamanie, który stojący na straży wartownik bądź to zapomniał ukryć, bądź też nie sądził, że będziemy na tyle sprytni, by go odkryć. To tak samo, jak wchodząc do pokoju, widzi się na ścianie Picassa. Nie potrzeba podpisu, by wiedzieć, kto jest autorem.

Sirad wskazała na strumień danych.

- I to jest ten cyfrowy podpis?

- Tak jest, szefowo - przytaknął Ravi. - Dla pani może to wyglądać jak jakaś plątanina cyfr, ale dla nas trzech tu obecnych jest on równie jasny, jak reklama z neonów.

245

- Prosty i j-j-jasny. Ten p-pani włamywacz to p-prezydent Stanów Z-zjednocz-cz-czonych - oznajmił dumnie Młotek. - A w-wymachuje tym swoim p-podpisem co i r-r-raz, jak dz-dziwka majtkami.

•

JEREMY STARAŁ SIĘ SIEDZIEĆ bez ruchu, podczas gdy ten piąty wziął obcęgi, chwycił nimi za jego lewą powiekę i wywinął ją na drugą stronę. Reszta obecnych przysunęła się bliżej, aby lepiej widzieć w zamglonym, czerwonym świetle.

Kapłani Pinchasa działają w systemie oporu, ale bez przywódcy -przypominał sobie Jeremy słowa swych instruktorów. -1 z powodu tego braku centralnej organizacji w dużym stopniu wspierają się symboliką i doktryną; nie ma żadnych spotkań, adresów, komunikowania się, organizacji. Opierają się na metodologii i misji. Członkowie namaszczają się olejami.

Powieka Jeremy'ego została wywinęta i odciągnięta od oczodołu, a czarownik przesunął dłutko w dół dłoni. Teraz trzymał je palcami, tępym końcem do przodu.

Oczy Jeremy'ego tańczyły nerwowo tam i z powrotem, szukając czegoś, na czym mogłyby się skoncentrować, oprócz tego zakapturzo-nego chirurga.

„Gdy zobaczył Pinchas, syn Eleazara, syna Aarona, kapłana - recytował sobie Jeremy - wstał i wyszedł ze zboru, wziął do ręki włócznię i poszedł za tym mężem izraelskim do namiotu, i przebił oboje, tego męża izraelskiego i ową kobietę przez jej podbrzusze. Wtedy została odwrócona klęska od synów izraelskich". Piąty mężczyzna przyłożył tępy koniec dłutka do krańca powieki Jeremy'ego i pociągnął obcęgi w górę, wywijając powiekę tak, że można było zobaczyć jej różową wewnętrzną stronę.

Ich znak rozpoznawczy to tradycyjny chrześcijański krzyż, zakończony na górze literą „P” - przypominał sobie Jeremy. - Dwie cyfry są zazwyczaj napisane pod krzyżem: dwójka i piątka - numer 25, ich motto.

- Widzisz to? - spytał Ellis. - Ma znak?

To kurewstwo będzie boleć - Jeremy wspominał słowa artysty od tatuaży w Harvey Point. Pamiętał, jak olbrzymi, popijający herbatę Rudobrody wywinął mu powiekę. Pamiętał przeszywający ból, jaki

246

sprawiała igła kłusująca go w kółko, gdy ten olbrzym tatuował mu krzyż Pinchasa, a pod nim dwie mikroskopijne cyferki: dwójkę oraz piątkę.

- No, panie Walker, myślę, że winniśmy pana przeprosić - powiedział pułkownik Ellis. Dał znak ręką i ten piąty zwolnił uścisk obcęgow. Naciągnięta powieka powróciła na swoje miejsce.

Dzięki, Rudobrody - pomyślał Jeremy. Ból, jaki sprawiało tatuowanie, byłby niczym w porównaniu z tym, co ta sesja tu mogła zaoferować.

- Nie ma sprawy - oświadczył Jeremy, ściskając mu rękę jak pływak, usiłujący pozbyć się wody z uszu. - Tak jak już powiedziałem, nigdy nie myślałem, że to będzie bezkrwawa walka. -

\* ,••„||||, " :...! / | •

- CZY CHODZI O JEREMY'EGO? - zapytała Caroline dowódcę HRT, słysząc w swym

głosie pewną nutę rezygnacji. A może to tylko ta pora i zimny, ciemny pokój.

- Tak, ale nie ma się pani co martwić, pani Waller - zapewnił ją Les Mason przez telefon. - Dzwonię, żeby powiedzieć pani, że w najbliższych dniach może pani zobaczyć w dzienniku informacje na temat akcji, w której będzie brać udział nasza jednostka. Jeremy'ego tam nie będzie, więc proszę się nie denerwować. Nastąpiła cisza. Caroline nie śmiała powiedzieć tego, co myśli. Nie martwić się? Jakżeż mogę się nie martwić?

- Chciałem, żeby pani wiedziała, że pani mąż jest wielkim patriotą i próbuje ratować życie Amerykanom - dodał Mason. - Robi to, do czego został wyszkolony. Jeremy zawsze wyrażał się jak najlepiej o Masonie, ale na Caroline dowódca HRT wywarł wrażenie człowieka twardego i nieprzystępnego. Oczywiście, że jest patriotą i robi to, do czego został wyszkolony, ale jest równocześnie mężem i ojcem. Czy któryś z tych ludzi kiedykolwiek kierował się emocjami?

- Tęsknię za nim - westchnęła. Jeremy na pewno wolałby, żeby powiedziała coś dzielnego i nie tak osobistego, ale teraz tylko na to potrafiła się zdobyć.

- Wiem, proszę pani. I postaramy się sprowadzić go tutaj najszybciej, jak to tylko będzie możliwe. A na razie proszę dzwonić bezpośrednio do mnie w każdej chwili. Teraz członkowie jednostki są

247

porozrzucani w różnych punktach świata, ale wiem, ile poświęcenia kosztuje to ich żony.

Christopher poruszył się w jej ramionach, a ona poczuła, że po policzkach płyną jej łzy.

- Dziękuję - powiedziała i rozłączyła się.

- Poświęcenie - szepnęła do siebie, przypominając sobie ciała niewinnych kobiet i dzieci, które zginęły podczas zamachu terrorystycznego. Pogłaskała buzię swojego śpiącego synka. Jakżeż może nazywać to poświęceniem w porównaniu z tym, co przeszły inne rodziny? Ona przynajmniej wciąż ma męża, o którego może się martwić.

## KSIĘGA III EGZEKUCJA

Na świecie są tylko dwie potęgi, miecz i umysł. Na dłuższą metę umysł zawsze zwycięży.

Napoleon Bonaparte

Rozdział XV

Piątek, 18 lutego

5.07 GMT

Centrum handlowe Hillcrest Woods, Columbus, Ohio

- ECHO JEDEN DO TCO - wyszeptał głos do mikrofonu. - Jestem na pozycji żółty i proszę o pozwolenie przejścia na pozycję zielony.

Ed Damon stał na rogu sklepu Payless Shoe Source w podmiejskim centrum handlowym.

Światło z samotnej lampy ulicznej zostało zlikwidowane za pomocą MP-5SD kalibru 9 mm z tłumikiem. Deszcz ze śniegiem padający z zachmurzonego nieba spowijał to miejsce w ciemnościach doskonale sprzyjających dokonaniu ataku.

- Zrozumiałem, Echo Jeden - odpowiedział Les Mason. - Bądźcie w pogotowiu.

Bądźcie w pogotowiu: najgorsze trzy słowa w całej tej pracy-pomyślał Damon. Jako dowódca mobilnej brygady szturmowej w HRT był odpowiedzialny za życie sześciu ludzi. Teraz trwali, rozciągnięci przed nim sznurem niczym krocionóg, czekając na rozkaz zabicia.

I zabijali. W przeciwieństwie do przekonań wielu osób, należąca do FBI Jednostka Antyterrorystyczna do Odbijania Zakładników to nie było SWAT. Była to cywilna, antyterrorystyczna jednostka, taktyczna drużyna działająca w sytuacjach ekstremalnych, wkraczała do akcji, gdy wszystkie inne rozwiązania zawiodły. HRT nie pukało do drzwi, pytając, czy można wejść, ale wysadzało je za pomocą ładunków wybuchowych, używało granatów oślepiajaco-ogłuszających zamiast monitorowania wejść za pomocą kamer. Nie wzywało do poddania się, ale na dowód swoich intencji posyłało serię z karabinu maszynowego. A jeśli terrorysta miał w ręku broń w chwili, gdy drzwi

wylatywały w powietrze i wchodzili agenci z HRT - to umierał tam, gdzie stał.

- Jest pozwolenie na rozpoczęcie ataku i przejście na pozycję zielony - oznajmił Mason. Jego głos brzmiał zdecydowanie, ale spokojnie. Raz czy dwa znajdował się w identycznej sytuacji jak teraz Ed Damon.

A jemu to wystarczało. Kiedy dowódca HRT wydawał zgodę na rozpoczęcie ataku, wówczas zaangażowanie stawało się ósmym członkiem brygady.

Szybkość, zaskoczenie i gwałtowność przebiegu akcji - pomyślał sobie Damon, powtarzając w myślach wszystkie szczegóły, których spis zrobił sobie przed akcją.

Przyjechali wieczorem, tuż przed zmierzchem, pięćdziesięciu operatorów i dwudziestu czterech ludzi personelu pomocniczego. Biuro terenowe FBI w Columbus

odgrodziło część parkingu wraz z garażami - typowe kwatery HRT, gdy wyjeżdżali gdzieś na akcję.

Podczas odprawy, w czasie której odczytano składający się z pięciu paragrafów rozkaz wraz z ostrzeżeniami, snajperzy z brygad Promienie X oraz Whiskey zajęli ustalone wcześniej pozycje strzeleckie. Cel to dawna restauracja Złota Zagroda, przekształcona w Zgromadzenie Kościołów Boga, a następnie sprzedana ugrupowaniu,

które zarejestrowało się w IRS\* jako islamska organizacja charytatywna. Znak na zewnątrz nadal miał chrześcijański krzyż i widać było wyblakłe kolory - pozostałość po dawnych właścicielach, ale znajdujący się tam teraz ludzie na pewno nie byli pobożni.

Atak na rozkaz - myślał sobie Damon. - Zabezpieczyć drzwi, założyć ładunki wybuchowe, wejść dynamicznie, w standardowy sposób, tak jak to robi SAS, oczyścić teren.

Rozpoznanie przeprowadzone przez specjalną grupę operacyjną z Columbus stwierdzało, że w środku znajduje się sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Z kolei śledztwo wykazało istnienie transakcji finansowych z mechanizmem powiązaniem z rządem Arabii Saudyjskiej, który już przy poprzednich zamachach wiązano z komórkami terrorystycznymi działającymi na terenie Stanów Zjednoczonych.



Niestety kontakty pomiędzy poprzednią administracją a rodziną królewską sprawującą

\* Internal Revenue Service - Urząd Podatkowy (w Stanach Zjednoczonych).

253

władzę w Arabii Saudyjskiej pokrzyżowały wysiłki FBI i DHS\*, zmierzających do ich zdemaskowania.

To legalne ugrupowanie religijne, powiązane z bliskim nam i ważnym sojusznikiem na Bliskim Wschodzie - upierała się poprzednia administracja. - Bez konkretnych dowodów przestępstwa nie wolno go niepokoić.

Polityczna gadka-szmatka, burczeli śledczy. Saudyjczycy byli nietykalni przez minione cztery lata, począwszy od rodziny ibn Ladena, która tuż po 11 września opuściła terytorium Stanów Zjednoczonych na pokładach rządowych odrzutowców, aż

po niezwykle podejrzane transfery pieniężne tajnymi kanałami. Wszystko to doprowadzało śledczych do szału. Czy przypisać to ropie naftowej, czy też osobistym kontaktom prezydenta z rodem Saudów, tylko podkreślało to cynizm sytuacji, w której wojna z terroryzmem często była bardziej uzależniona od pieniędzy niż od sprawiedliwości.

Przechodzimy do fazy zielonej - pomyślał Damon, gdy wysłany na zwiady był już niemal tuż przy wielkiej szybie. Teraz opuścili fazę żółtą, ostatnią, gdzie mogli jeszcze korzystać z ochrony oraz kryjówki, i cała, złożona z siedmiu osób brygada znajdowała się na kompletnie otwartej przestrzeni.

Bez żadnego popędzania trzeci w kolejności przebiegł pochylony na drugą stronę i przycupnąwszy pomiędzy drzwiami i wielkim oknem, wyciągnął jakiś dziwny przedmiot.

Damon obserwował, jak szturmowiec z brygady Echo wyjmując składany aluminiowy pręt, na którego końcu była przymocowana jed-nogalonowa bańka po mleku napełniona wodą. Wzdłuż prętu biegł bezbarwny sznur grubości kabla, na dole podłączony do zapalnika.

Jak zawsze powtarzano Damonowi, ładunki wybuchowe działają na trzy sposoby:

wypychają, wyrzucają w powietrze lub przecinają. HRT stosowało wszystkie te trzy sposoby, ale w tym przypadku postanowiono użyć wody - substancji niedającej się zagięć i przez to siejącej natychmiastowe zniszczenie. Na rozkaz szturmowiec miał podnieść butelkę z wodą do połowy okna i wysadzić ją. Wybuch będzie tak potężny, że zneutralizuje wszystko w środku, zapewniając o wiele bezpieczniejsze wejście aniżeli przez drzwi.

\* Department of Homeland Security - Departament Bezpieczeństwa Krajowego.

254

- Echo na zielonym - wyszeptał Damon, gdy szturmowiec dał mu znak, że jest gotów. Brygada czekała na odliczanie. Każdy wiedział, co ma robić, a celem był znajdujący się na zapleczu komputer. Dzisiejszej nocy nie trzeba było ratować żadnych zakładników, lecz zdaniem informatorów to, co krył twardy dysk komputera, mogło uratować życie tysięcy ludzi.

- Brygada Hotel na zielonym - oznajmił czyjś głos. Druga grupa szturmowców czekała przy tylnych drzwiach, a snajperzy z Whiskey oraz Promieni X otoczyli budynek, tak że nawet mysz nie zdołałaby się prześlizgnąć.

- HR-Jeden do wszystkich brygad - wszystko jest pod kontrolą -powiedział Mason. Damon poczuł, że jego serce zaczyna bić wolniej, umysł się rozjaśnił, oddech stał się miarowy. Ogarnęły go spokój i wiara we własne możliwości, które zawsze towarzyszyły mu w walce.

- Pięć, cztery, trzy, dwa...

Gdzieś z tyłu za brygadą Echo dały się słyszeć strzały z karabinu - to snajperzy oznajmiali swoją obecność.

- Jeden... BUUUUM!

To okno wyleciało w powietrze.

- Go! Go! Go! - wołał Mason, zachęcając twoich dzielnych ludzi do ataku. ,

- ZACIEMNIENIE? CÓŻ... zapal zaraz z powrotem! Prezydent Stanów

Zjednoczonych

siedział na antycznej ławeczce

przy swojej stojącej w Gabinetcie Owalnym fisharmonii, niezdarnie wystukując

dziewiętnastowieczną pieśń Boże, zbliż się więc. Jego ukochany instrument jęczał i piszczał na cały pokój, w którym była teraz już tylko pani wiceprezydent i czterech najbliższych doradców.

- Davidzie, nie można zapalić światła - tłumaczyła Elizabeth Bee-chum. Stała tuż obok prezydenta, po lewej stronie, i usiłowała ukryć litość. - Znowu był atak.

Dwie stacje przesyłowe...

- Terroryci? - wrzasnął prezydent. Na chwilę przestał grać, jak gdyby szukając słów, a potem zajął się drugą zwrotką.

255

- David, czy rozumiesz, co mówi do ciebie wiceprezydent? - zapytała Andrea Chase.

Szefowa sztabu Białego Domu wstała z kanapy i podeszła do szefa. A Venable siedział w swoim granatowym szlafroku, którego pasek zwisał po obu stronach, kołnierz był podniesiony, a nad nim kłębiły się zmierzwione, jakby przez pokój przeleciał huragan, włosy koloru soli z pieprzem.

- Samoloty pasażerskie. - Kiwnął głową i nagle ryknął na całe gardło pieśń, której matka uczyła go, gdy był w szkole podstawowej. -O, gdzie, o Panie, zagrzmie wielki róg... terroryci? Sklep z rzeczami do domu. Disneyland, to problem z Medicare, OMB\* stwierdza, że nie możemy tego finansować, a Social Security, cóż... to, co mam nadzieję zaproponować, Amerykanie i Partia Demokratyczna jest... musisz nam pomóc, aby Biały Dom z powrotem... - Potarł palcami skronie, jak gdyby umysł chwycił jakiś kurcz i pocieranie mogło przywrócić jego prawidłowe funkcjonowanie. - Mam nadzieję, ach, mam... Venable nacisnął klawisz, po czym wykrzywił się, słysząc jakąś fałszywą nutę, i przestał grać. Siedział tak przez chwilę nieruchomo przy klawiaturze, kompletnie nieobecny w rzeczywistym świecie.

- Panie prezydencie - włączył się jakiś trzeci głos. - To ja, doktor Hernandez.

Pamięta mnie pan?

Lekarz Białego Domu wyglądał na wstrząśniętego tym, co przed chwilą zobaczył. Zapadnięte oczy, utrata precyzji ruchów, bełkotliwa mowa, ziemista cera, brak orientacji, a nawet halucynacje. Widział już skutki wywołane długotrwałym

brakiem snu - psychozę spowodowaną bezsennością - kiedy był w Wietnamie. Pole walki czyniło z absolutnie normalnych mężczyzn gaworzące niemowlaki zaledwie po czterdziestu ośmiu godzinach bez spania. A ten człowiek nie spał przez cztery dni.

- Hernandez... h-h-hiszpański... 1-1-llekarz - wyjąkał Vena-ble. - Tchórze bez kręgosłupa. Zamordowali niewinne kobiety i dzieci. Barbarzyńcy. Czynienie zła w imię religii... nie zapomnij powiedzieć Chase, że ten teleprompter nie jest zgrany z...

- O Boże, on myśli, że wygłosi w poniedziałek wieczorem przemówienie - powiedział Oshinski, który siedział wraz z Havelockiem na kanapie. - Przecież on nawet nie zdaje sobie sprawy z naszej obecności.

\* Office of Management and Budget - Biuro Planowania i Budżetu.

256

Prezydent znowu zajął się grą na fisharmonii, ale jego palce nie wykonywały poleceń umysłu, wobec czego powstała kakofonia pisków i ryków.

- Doktorze, czy można prosić na chwilkę?

Wiceprezydent wzięła lekarza pod rękę i podprowadziła do miejsca, gdzie siedział Oshinski i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Andrea Chase przysunęła się do nich.

- Musimy coś zrobić - stwierdziła Beechum. - Dałam mu tę dawkę, którą pan przepisał, i proszę zobaczyć - ledwie podziałała. Przecież on nie jest w realnym świecie.

- Nie jest to coś anormalnego w chwilach ogromnego stresu, ale może być bardzo niebezpieczne - powiedział doktor Hernandez. - Ludzki organizm potrafi tygodniami obywać się bez jedzenia, kilka dni przetrwać bez wody, ale bez snu nie.

Prezydent wróci do normy, gdy jego umysł odpocznie, ale z klinicznego...

- Mamo! Mamo, skończyłem już lekcje i teraz chcę iść i się bawić! - wrzeszczał prezydent.

- Na Boga, niech ktoś usunie tych reporterów z trawnika! - wykrzyknął Oshinski.

Wszyscy wyjrżeli i ujrżeli kamerzystów z sieci FOX szykujących się do

uzgodnionego wcześniej filmowania na żywo. Najwidoczniej nie zauważyli niczego niezwykłego w Gabinetcie Ovalnym.

- Zajmę się tym - zawołała Chase i wybiegła.

- Doktorze, musimy uspokoić prezydenta i trzeba to zrobić teraz. Beechum nie czekała na czyjeś zdanie w tej sprawie.

- Z medycznego punktu widzenia to sprowadza się do dania zastrzyku - tłumaczył Hernandez. - Ale, Elizabeth, to nie jest zwykłe wezwanie do domu do chorego. Jesteśmy krajem, który przeżywa kryzys, i środek, który przepiszę, pograży go niemal w śpiączce. Czy jest pani pewna, że ma pani wystarczające uprawnienia do podjęcia tej decyzji?

- Jeśli pan tego nie zrobi, to ja to zrobię - warknął Oshinski. -Doktorze, niech pan spojrzy na niego! To dobry i zacyjny człowiek. Czy doprawdy chce pan, żeby historia zapamiętała go, jak wzywa swoją matkę? Na Boga, niech pan sprawi, żeby ten biedak zasnął.

Nikomu nie przyszło do głowy, że przecież rozmawiają głośno w obecności Venable'a.

- Elizabeth, jesteś tu jeszcze? - nagle zapytał prezydent. Wstał od fisharmonii i podszedł do nich, jak gdyby właśnie obudził się po miłej drzemce.

257

- To symptomatyczne - stwierdził Hernandez, patrząc na Venable'a, jak gdyby był on kolejnym interesującym przypadkiem podczas porannego obchodu. - Czasem, przez

chwilę, umysł może być ożywiony, a potem znów popaść w demencję.

- Doktorze Hernandez - powiedział zdziwiony prezydent. - Co pana tutaj sprowadza?

- Niech pan da mu zastrzyk - orzekła Beechum.

- Zastrzyk? - zapytał Venable. Po czym jego oczy znowu stały się szkliste, a ramiona opadły i tak stojąc, ponownie pograżył się w swoim skołowanym umyśle.

• :

SIRAD OBUDZIŁA SIĘ i zobaczyła, że leży na stole przykryta płaszczem, który znalazła obok kserokopiarki. Młotek chrapał wstrętne na podłodze, a Ravi

okupował kanapę.

- I jak ci się spało pomimo tego? - zapytał Nie Umiem Strzelać, zapewne mając na myśli jękającego się eksperta od teorii fal.

- Czujesz, jak on śmierdzi? - odpowiedziała mu pytaniem Sirad, zrzucając z siebie płaszcz i marszcząc nos. - Jak przez tydzień niewy-rzucane śmiecie.

- To jego oddech - stwierdził Nie Umiem Strzelać, grając w Pac--Mana na PDA. Sirad zeszła ze stołu i podeszła do niego.

- Brrr - wzdrygnęła się. - Jak możecie z nim pracować?

- Nie mamy wyboru, bo on jest doskonały. Potrzebujemy go. Sirad potrząsnęła głową, tym jednym ruchem wyrażając swoje przerażenie, przywracając jasność myślenia i przypominając sobie, co jeszcze musi załatwić.

- Muszę wracać do Nowego Jorku i pomówić z Mitchellem. Czy masz jasność, co trzeba zrobić, gdy pojedę?

Zegar na ścianie wskazywał, że i tam straciła zbyt wiele czasu.

- Już zacząłem i tylko czekam na Ravięgo, zanim będę brnąć dalej.

Dobra - pomyślała sobie Sirad. Steganograficzna alchemia najmniej ją teraz obchodziła. Ravi i jego oddział złożony z tęgich mózgów wiedział wystarczająco, aby zająć się pracą detektywistyczną. Ale tylko ona miała teraz dostateczną wiedzę, aby poskładać wszystko w całość.

Pamiętała słowa Mitchella: „Borders Atlantic jest pełne tajemnic, ale wszystkie one należą do mnie”. Bezwzględny, arogancki szef rady

258

nadzorczej kręcił nią, jak chciał, manipulując jej rolą tajnego agenta CIA i wykorzystując dla celów, które nie bardzo rozumiała nawet teraz, po upływie tylu miesięcy.

No a do kogo teraz należą te tajemnice? - spytała sama siebie. Wzięła swoją aktówkę i wydruki, na których widniał cyfrowy podpis włamywacza.

- Być może pan ma sejf, panie Mitchell, ale klucz do niego mam ja. Teraz musiała tylko zdecydować, w którą stronę obracać zatrzask.

\*

JEREMY SIEDZIAŁ PRZY OGRODOWYM STOLE w świetle księżycy wraz z pułkownikiem po jednej stronie i albinosem z zabandażowanym okiem po drugiej. Z tyłu stała Heidi i opatrywała mu skaleczone ucho.

- Przecież powiedziałam ci, że nie jestem córką farmera - odezwała się, nie zwracając uwagi na gromiący wzrok ojca.

- Heidi nie ma na takie rzeczy czasu.

- Nigdy bym cię tu nie przyprowadziła, gdybym wiedziała, że chcą cię skrzywdzić

- przepraszała Jeremy'ego. - Pułkownik powiedział, że chce ci zadać tylko kilka pytań, to wszystko. Myślałam, że lepiej, kiedy ja cię tu przyprowadzę niż któryś z jego ludzi.

- Nie martw się już o to. - Jeremy skrzywił się, gdy użyła zakra-placza, aby wpuścić na ranę kilka kropel wody utlenionej.

- Już dość, Heidi - przerwał pułkownik ze zniecierpliwieniem. - Masz mnóstwo roboty w związku z jutrzejszymi zajęciami. Jest tu jeszcze ponad dwudziestu innych kursantów, pamiętasz?

- Tak, ale nie są tak przystojni, jak ten tutaj - odparowała, zbierając swoją apteczkę. - A to ucho musi mieć czas na zagojenie się, bo inaczej mogą być problemy.

Pułkownik zniósł jeszcze sposób, w jaki przesunęła dłonią po włosach Jeremy'ego, i poczekał, aż wreszcie sobie poszła.

- Czy na pewno rozumiesz, czego możemy od ciebie zażądać? - spytał Ellis.

Śledztwo uspokoiło większość jego obaw co do pochodzenia Jeremy'ego, ale Kapłani Pinchasa byli maleńką grupą, która odnalazła się w Kościele Chrześcijańskiej Tożsamości. Tak jak każdy ruch miała swoje tajemnice i umowy, a wyjawienie ich obcym zawsze wiązało się z ryzykiem.

259

- Na pewno - odparł Jeremy. Heidi napchała mu do ucha waty, która wraz z musującą wodą utlenioną sprawiła, że w głowie czuł dzwonienie.

- Śmierć - to wszystko, co powinieneś rozumieć - powiedział pułkownik może nieco zbyt melodramatycznie, patrząc prosto w oczy Je-remy'emu, jak gdyby ten czarownik z ludu Montagnard jednak czegoś go nauczył.

- Moja czy ich? - uśmiechnął się Jeremy, raczej z rozsądku, niż z powodu dobrego humoru.

- I twoja, i ich. Myślałem, że o tym wiesz.

!• - Wiem. • ,,,, . •!,,,;"

- Przecież dlatego tu jesteś. ,,: Jeremy kiwnął głową.

- Skąd wiedziałeś? - zapytał albinos. - Skąd wiedziałeś, że tutaj trzeba nas szukać?

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział od czasu przesłuchiwania w bunkrze.

- Nie wiedziałem, a przynajmniej nie na pewno, dopóki nie wzięliście mnie do bunkra.

Jeremy odwrócił się w prawo i spojrzał na Caleba. Syn Ellisa miał na nosie olbrzymie gogle, takie wielkie okulary przeciwsłoneczne, jakie starzy ludzie noszą na Florydzie, a na głowie kapelusz panama z szerokim rondem. Jego skóra była tak blada, że niemal przezroczysta.

- Caleb nadzoruje Komórkę numer Sześć - operacyjną.

Ellis nie przedstawił swojego syna, ale Jeremy dobrze go znał. Niecały tydzień temu widział, jak ten człowiek zniknął w indonezyjskiej dżungli.

- Jeżeli zdecydujemy się ciebie przyjąć, będziesz odpowiadał przede mną - powiedział Caleb, a jego słowa były jakby wstępem do jakiegoś dalszego ciągu.

- Odpowiadam wyłącznie przed jedynym prawdziwym i prawowitym Bogiem - odparł

Jeremy. - Pomogę wam, jeśli chcecie, ale musicie znać moje stanowisko.

Ellis skinął głową; ta odpowiedź najwyraźniej go zadowoliła.

- Czy przypominasz sobie, żebyś to widział? - spytał.

Jeremy wziął do ręki pożąłkłą kartkę, wyciętą z „Washington Post”. „DLACZEGO TEN

CZŁOWIEK JEST W BIAŁYM DOMU?" -głosił tytuł. Ktoś podkreślił zdania



dotyczące

ówczesnego prezydenta

260

George'a W. Busha, które Jeremy dobrze pamiętał. „Kim jest ten człowiek zasiadający w Białym Domu? Większość Amerykanów nie głosowała na niego. Jest on

tam, ponieważ to Bóg ustanowił go na czas taki, jak dziś”.

Podpis widniejący pod spodem głosił, że słowa te napisał generał William „Jerry” Boykin ze Special Forces.

- Czy to znaczy, że Boykin jest kapłanem Pinchasa? - zapytał Jeremy, starając się, aby w jego głosie brzmiał optymizm, ale i niedowierzenie.

- Chciałbym - odparł Ellis - ale nie. Chodzi mi o to, że na wszystkich szczeblach w rządzie nie brak patriotów, ludzi silnych i słusznie myślących. Aby wspierać naszą sprawę, nie trzeba tatuować sobie wewnętrznej strony powieki.

Pułkownik wziął wycinek z artykułem i popatrzył na niego z podziwem.

- Przeczytasz i wiesz, co trzeba zrobić - powiedział Caleb. Jeremy przytaknął.

- Rozpoznaję głos obcego boga, boga tych z rynsztoka. Mahometa z islamu. I wiem, że należy go powstrzymać.

- Kierujący tym krajem zostawili nas w ruinie - ciągnął dalej Caleb. -

Homoseksualiści się żenią. Rasy się mieszają. Matki mordują swoje nienarodzone dzieci. Księża uprawiają sodomie z tymi najbardziej niewinnymi ze swojego stada... - Jego głos nappełnił tak głęboki wstręt, że nawet nie mógł przekształcić go w słowa.

- I dwaj mężczyźni, wbrew całemu światu, usiłują położyć temu kres?

Słowa te wypowiedział jakiś inny głos, który zabrzmiał za ich plecami. Należał do kobiety. Głos, którego Jeremy nie przywykł słyszeć w takich sytuacjach, jak ta, ale na jego dźwięk włosy zjeżyły mu się na karku.

- Właśnie miałem przepytąć nowego kapłana w sprawie tego, jak moglibyśmy go wykorzystać w naszej nowej misji - tłumaczył Ellis.

- Dobrze - stwierdziła kobieta, przerzucając nogę przez oparcie ławki. Usiadła

dokładnie naprzeciwko mężczyzny, którego zostawiła wśród wzgórz w Indonezji. -  
Bo według tego, co mówią, ubywa nam żołnierzy szybciej niż czasu. <

- To jest Sarah - przedstawił ją Ellis.

261

Jeremy nie dostrzegł w jej oczach nic, co świadczyłoby, że go poznaje, i sam też starał się nic nie okazać.

- Nie spodziewałem się kobiety - powiedział.

- Ani oni - odparła GI Jane. - Ani oni.

\* |

- CZYSTO! - TE SŁOWA dobiegły dowódcę brygady Echo z jednego z pomieszczeń na

zapleczu. Wśród rozbitego szkła, połamanego drewna i pustych łusek po nabojach leżało pięciu zabitych terrorystów.

- Wszędzie czysto - powtórzył Damon do mikrofonu. Przeszedł po wszystkich pomieszczeniach, aby się upewnić, że żaden z zabitych nie jest operatorem HRT.

- Zrozumiałem, Echo Jeden - odpowiedział Mason przez radio firmy Motorola. - Jaki jest stan?

- Pięciu zabitych, trzech schwytanych - brzmiała odpowiedź Da-mona. W płuca palił go dym z granatów oślepiająco-ogłuszających, ładunków wybuchowych, za pomocą których wysadzono drzwi, i z broni półautomatycznej. - Są wszyscy z HRT. Nikt nie odniósł obrażeń.

- Co mamy? - spytał Chuck Price, dowódca brygady Hotel. Znalazł Damona w małym

biurze na tyłach budynku, gdzie na tanim składanym stole stał jeden komputer.

- Myślę, że mamy to, po co przyszliśmy. - Tylko tyle powiedział. Damon zatkał palcem jedną dziurkę nosa i wysmarkał brudną, lepką

maź na podłogę. Granaty Ensign-Bickford były doskonałe, ale potem między zębami czuło się chrzęst jakby piasku.

- I to wszystko dla pieprzonego twardego dysku? - wzruszył ramionami dowódca brygady Hotel. - A gdzie się podziały te dni, gdy wydawano nakazy rewizji?

•

SIRAD ZASTAŁA MITCHELLA w Pokoju Wojennym. Dopiero przyleciał helikopterem ze swojej posiadłości w Longpath.

- Czy mogę wejść? - spytała, pukając w otwarte podwójne drzwi. Było późno, ale kto by spał?

- Proszę. - Mitchell stał pomiędzy stołem konferencyjnym z czerwonego dębu a gablotami. - Właśnie podziwiałem swoje nowe nabytki.

262

Mówiąc to, wskazał na parę służących do pojedynkowania się pistoletów, spoczywających na aksamicie, zwróconych lufami ku sobie, niemal tak, jak ostatnio dwieście lat temu widział je Alexander Hamilton.

- I co pan postanowił? - zapytała, podchodząc do okien, za którymi w oddali migotały światła Nowego Jorku.

- Postanowił a propos czego?

- Tej kontrowersji Aarona Burra. Rozumiem, że chciał pan mieć te pistolety, aby samemu przetestować spusty.

- Aaa, tak. Spusty! - Wyglądał na odprężonego, niemal rozbawionego. Sirad jeszcze go nie widziała w takim nastroju.

Mitchell otworzył duże szklane drzwi i wziął pistolet leżący z prawej strony.

- To ten. - Trzymał go pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do podłogi, oparłszy lewą pięść na udzie. - W 1801 roku Hamilton stracił syna od kuli kalibru .54 wystrzelonej właśnie z tego pistoletu, a trzy lata później postradał życie wskutek dziwnego zbiegu wypadków. Sprytna rzecz, te zamki skałkowe.

Sirad obserwowała, jak jej szef stanął w takiej odległości, jak to robili pojedynkujący się, i skierował ramiona prostopadle do jej osoby.

- Cała kontrowersja polega na tym: w 1801 roku przygotowując swojego syna do pojedynku w obronie honoru rodziny, Hamilton był zdania, że dżentelmen zawsze oddaje pierwszy strzał obok celu. I jeśli to nie pomoże zażegnać sporu, no to

wtedy następny strzał już trzeba dobrze wycelować.

Mitchell nie spuszczał oka z Sirad, a pistoletem mierzył w podłogę u jej stóp.

- Czy możesz sobie wyobrazić kulę w żołądku młodego człowieka, kiedy tego feralnego poranka tak stał tam, po drugiej stronie rzeki, w New Jersey, starając się zdecydować, czy powinien postąpić według zasad etykiety, tak jak uczył go ojciec, czy też zrobić to, co nakazywał mu instynkt. Mógł od razu oddać celny strzał.

Sirad starała się przybrać znudzony wygląd. Przyszła tu z wiadomością o podstępie i drapieżności prezydenta.

- Kiedy sekundanci przygotowywali broń, rzekę Hudson spowijała lekka mgła. Philip musiał czuć krople potu spływające mu po piersi, przylepiające się do marszczonej koszuli i kamizelki.

263

Mitchell odciągnął kurek, napełniając pokój dźwiękiem składającym się z dwóch faz metalowego, ostrego kliknięcia.

On to kocha - myślała Sirad. - Uwielbia to uczucie władzy nad życiem innych. - To było identyczne uczucie, jakie ogarnęło go tamtej nocy sześć miesięcy temu, kiedy te zbiry z siedemnastego piętra rozciągnęły ją na stole, związały i wlewały w gardło wodę z sodą. Pamięta, jak stał nad nią, podczas gdy tamci zadawali jej pytania, na które nie mogła odpowiedzieć, sparaliżowana cierpieniem i jego władzą, która dawała mu kontrolę nad sytuacją.

- Zajęli miejsca, a jego sekundant zawołał: „Obecny!” - Philip miał strzelać pierwszy. Wtedy, według relacji, obydwaj mężczyźni podnieśli broń i strzelili. Philip mierzył poza cel, tak, jak mówił mu ojciec, a przeciwnik nie - czy to nie wiedząc, że noblesse oblige, czy też zbyt bojąc się śmierci. Philip dostał kulę w brzuch, która przebiła też kręgosłup. Umierał półtora dnia - więcej niż nadto, by zastanowić się nad radą ojca, nie sądzi pani?

Sirad obserwowała, jak Mitchell podniósł pistolet wyżej, mierząc w jej prawe ramię. Stali dwadzieścia stóp od siebie - standardowa odległość w czasie pojedynku.

- I właśnie ten obraz Hamilton zabrał ze sobą trzy lata później -mówił dalej Mitchell. - Obraz umierającego syna. Przestrzeganie kodeksu - kodeksu, który stawiał honor ponad wszystko. Tortury złości, obowiązku, żalu i powinności.

- Przyjechałam powiedzieć panu, że wiemy już, kto próbuje dostać się do systemu Quantis - wtrąciła Sirad. Ta pantomima zbytnio przypominała jej lubowanie się Mitchella w obnażaniu słabości innych ludzi.

- Ale rodzina Hamiltona jeszcze raz zyskała przewagę jednej sekundy - ciągnął swoją opowieść miliarder. - „Prezentuj broń!”, krzyknął ktoś.

Mitchell wymierzył broń prosto w Sirad, a ona patrzyła na ciemną czeluść lufy, na palec spoczywający na spuście i odciągnięty kurek.

- Równocześnie podnieśli broń - mówił, jak gdyby przywołując własne wspomnienia.

- Słońce odbijało się od metalu. Umilkły ptaki, a powietrze wypełniał zapach sosen, świeżo ściętej trawy i czarnego prochu, jeszcze niezapalonego.

Spoglądał twardo poza koniec lufy, prosto w oczy Sirad.

- Pal!

264

KLIK... kurek odskoczył w momencie, gdy Mitchell w ostatniej chwili opuścił broń.

- Jeden z mężczyzn upadł, śmiertelnie ranny. To był Hamilton. Sirad pomyślała, że powiedział to słowo zbyt przekonująco.

- Umieranie zajęło mu półtorej doby, tak jak i jego synowi. Półtorej doby patrzenia przez pryzmat agonii, ile wart jest honor.

Mitchell opuścił pistolet i potrząsnął głową.

- Niektórzy utrzymują, że te pistolety mają bardzo czułe spusty i że Hamilton powodowany stresem i brakiem doświadczenia nacisnął przedwcześnie.

- To Biały Dom - powiedziała Sirad. Starła się nie okazywać, jak on ją denerwuje.

- Ale to nie czuły spust. To byłoby zbyt łatwe wyjaśnienie.

- Czy pan rozumie, co mówię? Za tym stoi Agencja Telekomunikacji Białego Domu.

- To zbyt łatwe wyjaśnienie dla ludzi, którzy nie rozumieją, jak bardzo złożenie przysięgi może zmienić człowieka.

Zdawało się, że każde z nich prowadzi własną dyskusję z jakimś innym rozmówcą.

- Bo człowiek, który położy na szali, jako przeciwwagę dla honoru, życie własnego syna - ciągnął Mitchell - postąpi tak samo z własnym życiem. Będzie patrzeć okoliczności spowodowanej przez niemal szyderczą ironię prosto w twarz i powie: „Historia bardziej zapamięta mnie przez wzgląd na moją sumienną służbę niż samolubne ego. Prędzej umrę jak człowiek honoru, niż będę żyć jak łajdak”.

I wtedy Sirad zdała sobie sprawę, że on już nie mówi o Alexandrze Hamiltonie ani też o pojedynku, który zakończył się tragicznie dwieście lat temu. Przez tę metaforę, która zdawała się odnosić do całego jego życia, Jordan Mitchell ponownie wpędził ją w pułapkę.

- Już ci mówiłem, Sirad, że Borders Atlantic jest pełen tajemnic i że wszystkie one należą do mnie. - Jordan Mitchell pochylił się do przodu, ręce opierając o stół, ale w dłoni nadal trzymając ten pistolet. - Odwalila pani kawał wspaniałej roboty, ale to jeszcze nie koniec. Tylko się pani wydaje, że to chodzi o prezydenta, bo pani nie rozumie, co to znaczy honor.

Poczuła na sobie jego spojrzenie; nie takie, jak innych mężczyzn, nie pożądlive - twarde, ale pełne nadziei.

265

- Dlatego dopuściłem, by panią skrzywdzili. I dlatego trzymałem panią z dala od siebie przez tych kilka miesięcy. Jest pani dobra, ale wciąż jeszcze nie jest pani gotowa do roli, którą dla pani wyznaczyłem.

Sirad zaczęła drżeć. Tylko Jordan Mitchell mógł to sprawić.

- Niech pani wraca i szuka głębiej. Proszę sięgnąć poza obszar pani fizycznego piękna i psychopatię i spróbować zrozumieć, co skłania ojca, by dla honoru poświęcił życie swego syna oraz własne.

Mówiąc to, schował pistolet do futerału.

- Nie mamy wiele czasu, ale imperatyw może odegrać rolę surowego karbowego. -1 powiedziawszy to, wyszedł.

- Ty skurwysynu - klęła Sirad pod nosem, zdając sobie doskonale sprawę, że te przekleństwa nie mają nic wspólnego z Mitchellem.

W

Rozdział XVI

Piątek, 18 lutego

6.09 GMT

Apartament Prezydencki, Biały Dom

- NIC MU NIE BĘDZIE - zapewniał pierwszą damę, Victorię Venable, doktor Hernandez, gdy ona podtykała mężowi pod policzek puchową kołdrę i odgarniała mu włosy z twarzy.

- Dziękuję, Elizabeth - zwróciła się do wiceprezydent. - Po raz pierwszy od kilku dni widzę, że jest spokojny.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, iż nie mieliśmy wyboru - tłumaczyła się Beechum. - Jego zachowanie zaczynało wykazywać oznaki...

- Ależ oczywiście, rozumiem. - Pierwsza dama zaciągnęła żaluzje i wyłączyła telefon. - Właściwie to, co zrobiłaś, wymagało prawdziwej odwagi. Boże uchowaj, gdyby naród amerykański miał go zobaczyć w takim stanie.

Doktor sprawdził prezydentowi tętno, kładąc dwa palce na przegubie jego dłoni i spoglądając na złotego roleksa daytonę.

- Jest silny - zauważył. - Jutro o tej porze będzie znów na nogach, jak gdyby nic się nie stało.

- Dziękuję, doktorze - powiedziała pierwsza dama. - Czy mogę prosić, żeby zostawił mnie pan samą na chwilę z panią wiceprezydent?

Lekarz zatrzasnął torbę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Co będzie, jeśli wiadomość o tym wydostanie się na zewnątrz? - spytała Victoria Venable, gdy już zostały same. Przeżyła życie u boku polityka i wiedziała lepiej niż ktokolwiek, jak w ciągu jednej sekundy wszystko może się zmienić.

267

- Nikt się nie dowie - zapewniła ją Beechum. - Wie tylko Andrea, Havelock, generał i ja. Rzecz jasna, wie także doktor i Secret Service, ale ich nikt nie zapyta.

- Ale członkowie gabinetu będą zadawać pytania, szczególnie po tym, co się

wydarzyło na dole. Kongres czeka na wskazówki, a kraj na jakieś publiczne zapewnienia.

- Victorio, pozwól, że ja się tym zajmę. - Beechum próbowała ją pocieszyć.

Objęła ją za ramiona. - Znam to miasto i wiem, jak obchodzić się z tajemnicami.

Kiedy się obudzi, będziemy już mogli dać mu scenariusz działań, z którego będzie dumny. Nikt tu nic innego nie wymyśli.

- Dziękuję ci - wyszeptała pierwsza dama. - To dobry człowiek, zresztą wiesz.

- Wiem - odpowiedziała Beechum. Obie panie objęły się i tak stały przez chwilę w milczeniu. - Dlatego to, co należy zrobić, będzie znacznie trudniejsze.

JEREMY PRZYJECHAŁ na krajowe lotnisko imienia Reagana w Waszyngtonie w piątek

tuż przed czternastą i na swoje przybrane nazwisko wypożyczył średniej wielkości chevroleta. Do Dallas podwiózł go Ellis wraz z Calebem, przepytując cały czas po drodze.

- No dalej! Ruszać się! - krzyczał w duchu Jeremy, złościąc się na korek na moście przy Czternastej Ulicy, który włókł się w ślimaczym tempie. Teraz utknął na tym parkingu pomiędzy ciężarówką należącą do firmy zajmującej się pielęgnacją trawników a autobusem tranzytowym.

Aczkolwiek Ellis niewiele wyjawiał o operacji zakrojonej na szerszą skalę, Jeremy wiedział, że jego ostatecznym celem będzie katastrofalny w skutkach atak na miasto Waszyngton. Wydarzenia kilku ostatnich dni zostały tak starannie wyreżyserowane, aby wina spadła na islamskich fundamentalistów, ale na podstawie tego, czego Jeremy dowiedział się w Teksasie, to był tylko podstęp. Prawdziwą intencją było zmusić rząd Stanów Zjednoczonych do odpowiedzi, która wywołałaby szeroko zakrojoną kontrreakcję nie tylko Al-Kaidy, ale także mniejszych regionalnych ugrupowań.

- Tak jak bostońska herbatka - chełpił się Caleb, porównując pomysł swego ojca do słynnego rajdu Samuela Adamsa w 1773 roku,

268

podczas którego Synowie Wolności przebrani za Indian z plemienia Mohawe wrzucili



wart tysiące dolarów ładunek herbaty Darjeeling do wody w porcie. Plan Ellisa zostanie uznany za jedną z najbardziej pomysłowych i skutecznych operacji w historii Stanów Zjednoczonych.

Ale Samuel Adams i jego kompani zniszczyli herbatę, a nie samoloty pasażerskie.

- Jedźmy! - krzyknął Jeremy, siedząc w samochodzie. Naciskał na klakson, jak zresztą wszyscy wokół niego, i posuwał się cal po calu do przodu. Była już niemal druga po południu, a jego instrukcje nie przewidywały żadnych usprawiedliwień. Przed zachodem słońca Jeremy miał „skombinować” samochód-betoniarę i pojechać nią do warsztatu w południowo-wschodniej części miasta, tam miał spotkać się z jednym z kapłanów Pinchasa i otrzymać od niego dalsze instrukcje.

- Ten tatuaż na wewnętrznej części powieki uprawnia nas do wypróbowania cię - usłyszał Jeremy. - Ale jeśli naprawdę chcesz się do nas przyłączyć, to musisz to udowodnić.

Było jasne, że to właśnie pierwsza próba. . - Zabierzcie to, do cholery, z drogi!

- wrzeszczał jakiś kierowca. I Jeremy zobaczył, że przyczyną tego korka jest stłuczka dwóch samochodów, które powinny stanąć na końcu mostu. Przejeżdżający kierowcy zdawali się w o wiele większym stopniu pochłonięci wymianą obscenicznych gestów, aniżeli posuwaniem się naprzód.

- Gdzie ja, do cholery, znajdę betoniarę? - zastanawiał się Jeremy, gdy korek nagle zniknął, a przed nim stanęło otworem miasto wraz z pomnikiem Washingtona górującym nad pomnikiem Lincolna.

Głowę wypełniały mu tysiące pytań, a połowa z nich dotyczyła GI Jane.

Co robiła w Homestead? Co łączyło ją z ludźmi, których kazała zabić w Indonezji?

Jeśli była tajnym agentem, to dlaczego CIA albo FBI nie powiedziały mu o tym? A jeśli grała na dwie strony, to dlaczego go nie wydała?

Jeremy nacisnął na gaz. Pędził, nie wiedząc dokąd. Gdzieś tam w tym mieście pełnym pomników Caleb pracował nad przygotowaniem kataklizmu, chełpiąc się, że poprzednie ataki były tylko rozgrzewką. To, co nastąpi, miało znaleźć się w podręcznikach historii i dzieci przez całe następne stulecia miały się o tym

uczyć.

Dzieci.

269

Jeremy tak mocno zacisnął ręce na kierownicy, że aż zbieleły mu kostki na wierzchu dłoni. W całym tym zamieszaniu i bieganinie nawet nie pomyślał o ewentualnych konsekwencjach, jakie może ponieść jego rodzina. Caroline i dzieci mieszkali zaledwie czterdzieści dwie mile na południe od miasta i nie mieli pojęcia o grożącym niebezpieczeństwie.

- Ty skurwysynu - klął Jeremy, pakując Ellisa, Caleba i wszystkich kapłanów Pinchasa do jednego worka.

Zadzwoń do Caroline - to była pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy. Ale przecież nie wolno mu było tego zrobić. A jeśli to testowanie jego wierności?

Jeśli Ellis wysłał kogoś, kto go śledził?

Ale jak Ellis miałby się o tym dowiedzieć? - zastanawiał się Jeremy, pozwalając, by emocje ścierały się z profesjonalną logiką. Zarówno on, jak i Caroline mieli nowe telefony, Quantis, i tylko Borders Atlantic lub Jordan Mitchell mogli ich podsłuchać. A Mitchell i tak o tym wiedział.

Jeremy wyciągnął komórkę z kieszeni. Caroline jest teraz w biurze, a on zadzwoni do domu i nagra się na sekretarkę automatyczną. Powie coś prostego, na przykład w tym stylu: Wyjedźcie, do cholery, z miasta, zanim rozpęta się piekło!

Spojrzał w tylne lusterko, aby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Nikt. Zaczął szybko zmieniać pasy, aby zgubić ewentualny „ogon” - na prawo w Independence Avenue i potem znowu w prawo w kierunku UEnfant Plaža. Żadnego śladu pościgu.

Zrób to! - ponaglał sam siebie. Etycy mogliby się spierać, czy miał prawo ratować własną rodzinę, a także krewnych kolegów z jednostki oraz przyjaciół.

Ale etycy rzadko kiedy stoją w obliczu potencjalnego zagrożenia życia swoich żon i dzieci.

- Halo, tu mieszkanie państwa Wallerów - w uszach Jeremy'ego zaświergotał głos siedmioletniej Maddy. Pomimo brakujących zębów dziewczynce już za drugą próbą udało się nagrać wiadomość. - Teraz bafimy się na podfórku, więc proszę zostawić

wiadomość po sygnale.

- Cześć dzieciaki, tu tata - zamilkł, zastanawiając się, co powiedzieć. -

Słuchaj, kochanie... coś mi wypadło. Myślę, że powinniście wyjechać do rodziny na kilka dni. Naprawdę... i to dziś wieczorem, dobrze? Ja wrócę, kiedy będę mógł... ale jedźcie, I TO JUŻ. Kocham was.

Rozłączył się.

I co to za wiadomość? - łajał sam siebie. Nigdy nie był dobry w niuansach.

270

Ale wtedy właśnie powoli minął go jakiś samochód i uwagę Jere-my'ego przykuł inny drobny szczegół. Kierowca tamtego samochodu nieco zbyt długo popatrzył na jego telefon, a w jego wzroku można było dostrzec jakby zbyt duże zainteresowanie.

Popadasz w paranoję - mówił mu jakiś wewnętrzny głos, ale jednak górę wzięło profesjonalne, logiczne rozumowanie. - Fakt, że popadasz w paranoję, nie oznacza, że nie jesteś śledzony - powiedział sobie Jere-my, zawracając i pędząc w kierunku Adams Morgan.

•

SIRAD ZNÓW JECHAŁA NA PÓŁNOC, starając się rozeznąć w tym, co usłyszała od

Mitchella. Co prawda szef Borders Atlantic powierzył jej nadzór nad projektem Quantis, to jednak nie wtajemniczył jej w najważniejsze jego szczegóły. A na dodatek ten zagadkowy człowiek od samego początku wiedział, że faktycznym pracodawcą Sirad jest CIA. Borders Atlantic, podobnie jak zdumiewająco wiele amerykańskich korporacji, od lat współpracował z wywiadem, oferując jego pracownikom stanowiska w firmie. Nieoficjalny agent - w CIA nazywano go NOC - elitarna kadra szpiegów wysłana do przemysłu wytwórczego, świata finansów, usług importowo-eksportowych i sektora komunikowania się w celu zbierania informacji, które w tradycyjny sposób były nie do zdobycia.

Druga strona medalu wyglądała już inaczej. Tradycyjni szpiegowie CIA mieli przeważnie status dyplomatyczny. Na przykład urzędnik do spraw łączności w

ambasadzie miał listy uwierzytelniające z Departamentu Stanu, a w razie zdekonspirowania chronił go immunitet dyplomatyczny albo też mógł zostać „wydalony”. NOC nie miał żadnego immunitetu, a w razie wykrycia jego działalności mógł trafić do więzienia i to na całe życie, albo i jeszcze gorzej. Pomimo takiej stawki - albo też może właśnie ze względu na nią -agenci CIA uważali wybór na NOC za premię. Obce rządy z wielką uwagą obserwowały dyplomatów, ograniczając możliwości zbierania informacji wywiadowczych do pogawędek podczas koktajli, kontaktów z jawnymi źródłami i anegdotycznych spostrzeżeń. Jednak osoby zajmujące czołowe stanowiska w biznesie pozyskiwało się za pomocą pieniędzy. Jako że pieniądze podsycają chciwość, a ona z kolei podejrzliwość, i to nawet w i tak bardzo podejrzliwych krajach, nieoficjalni

271

agenci wybrali drogę pochlebstw, składania propozycji i bezpośredniego kupowania każdego, jeśli brakowało im sprytu, by pozyskać go w inny sposób. W świecie rządzonym teraz przez wielonarodowe korporacje, warte więcej aniżeli produkt narodowy brutto krajów, w których działały, pieniądze, a nie nacjonalizm, stały się ostatecznym wyznacznikiem wierności.

Rzecz jasna Sirad i jej szef w CIA, pan Hoch, już wtedy, gdy Jordan Mitchell powierzał jej kontrolę nad projektem Quantis, wiedzieli wszystko na ten temat. Jednak współpraca Mitchella z CIA sięgała o wiele głębiej, niż przypuszczała Sirad. Chociaż nikt jej o tym nie powiedział, szef Borders Atlantic także zdobywał swoje ostrogi na Farmie. Po ukończeniu Dartmouth College w końcu lat sześćdziesiątych został skaptowany do prowadzenia walki w zimnej wojnie i najpierw pojechał jako tajny agent do Peru, gdzie pracował na uczelni, a następnie otrzymał jeszcze bardziej tajną misję, w Chile, gdzie prowadził firmę eksportowo-importową.

Mitchell wykorzystał czterysta tysięcy dolarów, które miał na rozkręcenie biznesu w dziedzinie telekomunikacji, na kupno samolotu Grumman Goose,

wynajęcie

pilota i sekretarki oraz transfer kluczowych informacji do i z Chile.

Współpracując z wielonarodowym koncernem informatycznym, dopomógł w zaplanowaniu

i obaleniu Salvadora Allende w 1973 roku. Koncern ITT miał miedź, która była Mitchellowi potrzebna do budowy linii telefonicznych; CIA- rozbudowaną sieć gromadzącą informacje w tej części świata, którą chciała za wszelką cenę uchronić przed radziecką ekspansją.

Trzydzieści lat i miliardy dolarów później Borders Atlantic wyrósł na molocha, działającego w różnych dziedzinach międzynarodowego biznesu. Dysponował przedstawicielami w stu siedemnastu krajach i siecią szpiegów, których kunszt nie miał sobie równych. Kadra tajnych agentów Borders Atlantic grała na dwie strony, oferując to, czego trzeba, aby uzyskać udział w rynku, rządowi zaś Stanów Zjednoczonych to, co mogło przyczynić się do wzrostu bezpieczeństwa. „Borders Atlantic jest pełne tajemnic, a wszystkie one są moje”.

Mitchell przez cały czas wiedział, że ktoś w Białym Domu - może nawet sam prezydent - stoi za atakami na system Quantis. Ale skąd? I dlaczego zmarnował tyle czasu i wysiłków, każąc zająć się tym swoim najlepszym programistom i ekspertom od szyfrów?

272

Co tak naprawdę miała znaleźć? Całe to gadanie o pojedynkach, dawno nieżyjących politykach i honorze wydawało się raczej chełpliwością, czającą się w wyłożonej panelami z ciemnego drewna sali konferencyjnej.

Borders Atlantic jest pełne tajemnic...

Kiedy tak jechała, coś przyciągnęło jej wzrok. To było tylko odbicie, błysk światła w rogu tylnej szyby, ale jej wydało się, że uderzyła w nią błyskawica.

Nagle wszystko nabrało sensu - to lanie, które dostała, całe to gadanie o pojedynkowaniu się i honorze... a nawet atak na Quantis.

Borders Atlantic może mieć wiele tajemnic - pomyślała, uśmiechając się, gwałtownie skręciła kierownicę i dodała gazu, zbliżając się do bramy i budki

wartownika - ale zdaje się, że Jordan Mitchell wreszcie otworzył mi drogę do kilku moich własnych.

. ||| . ,,y> . • :... ,, :

NIKT NIE ZWRÓCIŁ UWAGI NA Montagne Mountain Goat STOL zataczającego koła nad

zmarzliną tundry, sto mil na południe od Prudhoe Bay na Alasce. Te mocne konie pociągowe sterowane przez pilotów były zwyczajnym widokiem w stanie, w którym przypadało na głowę więcej samolotów niż w każdym innym. Również z geograficznego punktu widzenia było to bardzo daleko - na północ od koła polarnego i tysiące mil od wszelkich siedzib ludzkich.

- A co sądzisz o tym pokrytym śniegiem terenie tam w dole? - zaproponował drugi pilot, wskazując na iskrzący się kawał zmatowiałego od wiatru śniegu, który wyglądał na dość twardy, by wytrzymać ciężar samolotu.

- To ty jesteś nawigatorem - odpowiedział mu pilot. Włączył silnik na wsteczny bieg i zatoczył koło w prawo, opuszczając maszynę w dół pod ostrym kątem.

- Musisz kochać tych facetów - stwierdził drugi pilot, będąc pod wrażeniem łatwości, z jaką jego kolega kierował maszyną. Mountain Goat, względny nowicjusz w alaskańskich przestworzach, to znakomity transportowiec, osiągający 160 węzłów prędkości przelotowej, a 25 węzłów prędkości przeciągnięcia. Wobec tego świetnie nadawał się do takiego lotu, jak ten.

- Trzymaj się - przestrzegł pilot - bo nigdy nie wiadomo, co jest pod taką zmarzliną.

273

Ale niepotrzebnie się martwił. Samolot wylądował miękko, skręcił na prawo i zatrzymał się, stając dziobem w kierunku olbrzymiego stalowego węża, ciągnącego się osiemset mil od Prudhoe Bay do Valdez.

- Dwadzieścia minut - orzekł drugi pilot. Logistyczna komórka opracowała każdy szczegół tej operacji, począwszy od rozkładu lotów kontrolnych Alyeska Pipeline Service Company po prognozę pogody.

- Nie spóźnię się. - Pilot naciągnął kaptur cieplej parki na wełnianą czapkę. -

Jest zimniej niż w dupie studniarza!

Obaj mężczyźni wygramolili się z samolotu niosąc osiemdziesiąt-ciofuntowe plecaki, i poszli każdy w przeciwnym kierunku. Właściwie ich zadanie było dość łatwe.

Transalaskański ropociąg może i był jednym z cudów inżynierii dwudziestego wieku, ale też był niezmiernie narażony na najmniejszy sabotaż. Liczył osiemset mil długości, z czego czterysta mil biegło na wierzchu, a do tego jego fragmenty były uniesione wysoko i wsparte na liczących dziesięć stóp podporach, a to żeby karibu i łosie mogły swobodnie migrować.

W ropociągu zawsze znajdowało się ponad dziewięć milionów galonów ropy płynącej

z prędkością sześciu mil na godzinę, wywierającej ciśnienie do 1,80 funtów na cal kwadratowy, podgrzanej i zawierającej komponenty zmniejszające opór. Każdy liczący czterdzieści stóp odcinek, o przekroju czterdziestu ośmiu cali, złożony z betonu, stali oraz izolacji, ważył około siedemdziesięciu pięciu tysięcy funtów.

Najpierw ładunki wybuchowe.

Mężczyźni rozpoczęli od wsporników, rozmieszczonych co dwadzieścia pięć jardów. Dookoła każdego okręcili pionowo ładunek. Spłonki zostały już zamocowane, podobnie jak lont, który łączył wszystko razem niczym mierzący siedemset pięćdziesiąt stóp kabel od lampek choinkowych.

Wysadzenie ropociągu byłoby skomplikowane, gdyby nie wsporniki, ale one bardzo ułatwiały sprawę. Musieli tylko podpłować od dołu ich cienkie nogi i pozwolić, aby ten olbrzymi ciężar runął, przełamując się. Zanim inżynierowie w Valdez zarejestrują przerwę w przepływie ropy i wyłączą stacje przepompowujące na północy i południu, wypłynie kilka milionów baryłek.

Teraz detonatory - po jednym do każdego lontu. Były to proste urządzenia, aktywowane drogą radiową, z dodatkowymi bateriami i bez mechanizmu zapłonowego.

Zaprojektowane przez wojsko zostały

skonstruowane z komponentów, które szybko można było podłączyć do bomb użytych

podczas innych ataków w minionym tygodniu.

Kiedy mężczyźni znów spotkali się w samolocie, nie czuli z zimna twarzy. Na szczęście w samolocie znajdował się niejeden grzejnik.

- A to cholerna pogoda - odezwał się pilot, zapuszczając silnik. -Wyobrażasz sobie, jak można tu mieszkać?

- No, ale przynajmniej jest pięknie - odpowiedział mu kolega. Upewnił się, że plecaki leżą za siedzeniami, i jeszcze raz rzucił okiem na ich dzieło.

- Teraz jeszcze ładnie - stwierdził pilot. Obrócił samolot nosem w stronę wiejącego z prędkością dwudziestu mil na minutę wiatru i dodał gazu. -Ale za godzinę nie chciałbym być Eskimosem.

•

PULKOWNIK ELLIS zajmował się swoimi kursantami i w domku z opon ćwiczył z nimi

walkę w zamkniętych pomieszczeniach, gdy weszła Heidi, niosąc mu komórkę. Już zobaczywszy ją, zorientował się, że to coś ważnego. Wszyscy wiedzieli, że nie należy mu przeszkadzać, gdy świstały pociski, a w całej sprawie chodziło o sumy za kurs.

- Przepraszam, chłopaki - powiedział, odchodząc na bok. Jego obowiązki przejął inny instruktor i zajęcia przebiegały dalej, jakby nic się nie stało.

- Halo? - odezwał się Ellis.

- On zadzwonił - powiedział ktoś. Ellis rozpoznał faceta z Komórki numer Sześć, byłego dowódcę plutonu z dziesiątej dywizji górskiej. Jego nowa jednostka już przeniosła się do Waszyngtonu, aby pomóc w operacjach logistycznych związanych z ostatnim etapem zadania.

- Czy to stwarza jakiś problem? - zapytał pułkownik. Już się niepokoił o bezpieczeństwo przedsięwzięcia, ale przecież Jeremy ma własne życie. To mógł być nic nieznaczący telefon.

- Naszym zdaniem, tak - odparł mężczyzna. Ellis słyszał głosy dzieci bawiących



się gdzieś za plecami dzwoniącego.

- I?

- Według Caleba to sprawa priorytetowa. Zarzucił plan, aby się tym zająć.

Ellis potrząsnął głową. W tej pracy zawsze należało liczyć się z infiltracją ze strony wroga, od operacji Feniks poczynając, daleko

275

w dżungli Indochin, aż po plany wobec Pentagonu. Myślał, że to ryzyko zminimalizowały zawory bezpieczeństwa wbudowane w nieposiadający przywództwa

ruch oporu, wzorujący się na kapłanie Pinchasie. Ale być może się mylił.

- A właściwie czym konkretnie ma się zająć? - spytał.

- Wytropił, że Jeremy telefonował do domu w Stafford, w Wirginii - informował dzwoniący. - Na skrzynce pocztowej figuruje nazwisko Waller, nie ma w nim żadnego „k”. Naszym zdaniem to rodzi poważne wątpliwości, a ten facet zaczyna nam wyglądać na kogoś całkiem obcego.

Ellis ledwie nadał z oceną tych informacji.

- Cóż, wiecie, co myślę o nieznanach osobach - powiedział. - Róbcie, co macie robić, i czekam na wiadomości.

•

- NO DOBRZE - WYKRZYKNEŁA PANI WICEPREZYDENT. - Mamy mniej niż dwanaście godzin,

żeby wszystko uporządkować w tym kraju. Więc w jakim punkcie jesteśmy?

Krąg jej najbliższych doradców został podzielony na trzy grupy: do spraw porządku publicznego, wywiadu i polityki. Poza szefową sztabu Białego Domu, do której należało czuwanie nad wszystkimi bazami i przypominanie prezydentowi o wszystkim, znajdowali się tam Alfred, Havelock oraz generał. Z tego grona zostali wyłączeni Vick - szef CIA oraz dyrektor DHS, a także pozostali członkowie gabinetu. Najniebezpieczniejszą sprawą w czasie kryzysu jest utrata kontroli, a ci wszyscy szefowie różnych agencji często dublowali swoje obowiązki.

- HRT zaatakowało dziś wczesnym rankiem tę kryjówkę w Columbus - powiedział

Alred. - Wiązaliśmy z tym olbrzymie nadzieje, że uda się nam powiązać ugrupowanie Ansar insz Allah z Saudyjczykami.

- I udało się? - zapytała Beechum. - Co znaleźli?

- Dwie grupy szturmowe przypuściły równoczesny atak od frontu i z tyłu - relacjonował Alred. - Napotkały dość zaciekły opór, ale dotarły do pokoju, w którym znajdował się komputer, i zabezpieczyły twardy dysk. Przewieźliśmy go do laboratorium w Quantico i nasi specjaliści już niemal zakończyli nad nim pracę.

- Wspaniale! -wybuchnął Havelock.

,:J

276

- Niezupełnie - burknął Alred. - Zabiliśmy w czasie szturmów pięć osób z tego ugrupowania, a trzech, którzy przeżyli, przysięgało, że wzięli operatorów z HRT za bandę z gangu arabskich uliczników. Zdaje się, że przeżyli już niejedno włamanie, groźby pod swoim adresem i kilka napadów. W celu bezpieczeństwa kupili

broń i ustawili strażę w meczecie. Mówili, że tylko się bronili.

- Mój Boże... - powiedziała Beechum. - Czy chcesz mi powiedzieć, iż nie sprawdziliśmy, czy mają pozwolenie na broń?

- Sprawdziliśmy - kiwnął głową Alred. - I co z tego? Legalna czy nielegalna - nie możemy czytać w ich myślach. HRT musiało rozważyć, czy sprawa pozwoleń usprawiedliwia strzelanie i zabijanie.

- A co z twardym dyskiem? - chciał wiedzieć Oshinski. Cała ta gadanina o ofiarach nie wywarła na nim wrażenia.

Wydatki na bieżące potrzeby, adresy członków, wyniki zbiórek pieniędzy... to, co człowiek spodziewa się znaleźć w służbowym komputerze. Były tam też treści kilku kazań - nic podlegającego. Wciąż podążamy za rozmaitymi tropami, ale musimy być przygotowani na ewentualność, że to źródło już wyschło.

- Wyszło? - wykrzyknęła Chase. - To znaczy, że po pięciu dniach śledztwa mamy tylko pięciu martwych muzułmanów i twardy dysk pełen arkuszy kalkulacyjnych w systemie Excel? - Wstała i walnęła pięścią w oparcie pustego krzesła. - Poczekaj

tylko, niech AP\* się do tego dobierze!

- Andrea, nasz kraj został zaatakowany - przypomniał jej Have-lock. - Nadal wydobywamy ciała z miejsc zamachów. Stawiam pięć dolarów, że ta sprawa nawet nie

zainteresuje mediów.

- A powiązania z Saudyjczykami? - spytała Beechum, ignorując jego uwagę o czwartej władzy. - To był główny zarzut wobec nich, prawda?

- To był ledwie zarzut - oznajmił Havelock. Sięgnął do niebieskiej teczki z logo sił powietrznych i złotymi literami, które głosiły: ZAWIERA TAJNE MATERIAŁY.

- Mam tu oświadczenia z NSA, DLA\*\* i CIA - wszystko z podsłuchów i nie żadne pogaduszki, ale poważne rozmowy. Są tylko bardzo

\* Associated Press -jedna z największych agencji prasowych. \*\* Defence Intelligence Agency - Agencja Wywiadu Obronnego.

277

nikłe wątpliwości co do tego, że Saudyjczycy przekazują pieniądze na rachunki, które możemy powiązać z sympatykami Al-Kaidy i z palestyńskimi separatystami.

- To co mam robić z transferami bankowymi do sympatyków Al-Kaidy? - zapytała Beechum. - Potrzebujemy jakichś konkretów, jakichś dowodów, dających podstawę do

oskarżenia.

- Nie zapominajmy o odpowiedzialności - zauważył Alred. -Mamy nagrania wideo: Arabowie recytujący informacje, które znałby tylko rzeczywisty terrorysta.

- Cholera, ja umiem udawać arabski akcent. To mógł być ktokolwiek - wykpiła go Andrea Chase.

- Dlaczego? - dopytywał się Alred. - Dlaczego ktokolwiek miałby brać na siebie odpowiedzialność za takie barbarzyństwo, jeśliby tego nie zrobił?

- A popatrz na skutki - zwróciła mu uwagę Chase. - Ponad trzy tysiące zabitych, zachodnia połowa kraju pogrążona w ciemnościach i w zimnie, burmistrz Los Angeles, aby położyć kres grabieżom, grozi wprowadzeniem stanu wojennego, lotnictwo cywilne jest sparaliżowane, następuje załamanie rynków. W Miami jakiś

facet zastrzelił inkasenta, gdy zobaczył, że ktoś kręci się po jego podwórku.

Boże! Nigdy nie myślałam, że dożyję takich czasów, ale może nas czekać jeszcze kataklizm.

- Dość - oświadczyła Beechum. - Obywatele tego kraju nie po to wybrali rząd, aby ten wznosił ręce do góry i oskarżał sędziów.

- Ona ma rację - Oshinski wskazał Chase. - Nasze wojska są rozrzucone w różnych krajach za granicą: w Bośni, w Iraku, Afganistanie. Możliwości wywiadu są napięte do ostatnich granic, gdyż obserwujemy Koreę Północną, Iran oraz Chiny. Nie możemy podsłuchiwać Saudyjczyków, bo mają te cholerne telefony Jordana Mitchella. A prezydent nie jest nawet w stanie uspokoić Amerykanów, ponieważ jest pod wpływem środków odurzających...

- Przypominanie mi o rzeczach, których nie jestem w stanie kontrolować, do niczego nie prowadzi - warknęła Beechum. Tym razem to ona wstała z miejsca. - Nie jest mi potrzebna rada złożona ze sprawozdawców - chcę powstrzymać kolejną falę, zanim...

- Przepraszam, Elizabeth - powiedział Vick, przemierzając dużymi krokami pokój - ale jeśli o to chodzi, to spóźniliśmy się.

Podszedł do ściany i włączył telewizję, w której nadawano właśnie najświeższe, złe wiadomości.

278

s — \_\_\_\_\_ ^ \_\_\_\_\_.

- Trzy nowe wypadki: przerwanie ropociągu na Alasce, w ujściu Missisipi zatoneły dwa tankowce, dokładnie na północ od Nowego Orleanu, i wielki pożar w składzie gazu ziemnego w Bostonie. Bardzo mało ofiar, ale to są olbrzymie katastrofy pod względem gospodarczym i ekologicznym.

Oczy Beechum nabiegły krwią.

- Ten rurociąg zaspokaja piętnaście procent naszych wewnętrznych dostaw ropy naftowej - stwierdził Alred. Ponad osiemdziesiąt procent infrastruktury Stanów Zjednoczonych znajdowało się w rękach prywatnych i on już uświadamiał FBI, że może wystąpić takie zagrożenie. - Port w Nowym Orleanie kontroluje transport

drogą wodną do środkowo-zachodnich stanów przez Missisipi. Z kolei zapasy gazu ziemnego w Bostonie są...

- Przenieście prezydenta do PEOC - rozkazała Beechum, przerywając jego wywód.

Prezydenckie Centrum Działania w Nagłych Sytuacjach znajdowało się pod skrzydłem

wschodnim, na przeciwległym końcu budynku, i zostało zbudowane w czasie zimnej

wojny jako schron. - Ogłoście alarm dla Gwardii Narodowej, proszę uruchomić

rezerwowe zapasy we wszystkich pięćdziesięciu stanach. Pentagon ma się przenieść

do Raven Rock i ogłosić DEFCON\* INCONUS\*\* najwyższego szczebla. Rynki finansowe

mają być zamknięte, starty wszystkich samolotów pasażerskich wstrzymane,

wszystkie jednostki rezerwowe...

Pomyślała przez chwilę, po czym skinęła głową, jak gdyby zgadzając się z jakąś zwariowaną myślą.

- I zwołajcie konferencję prasową, za dwadzieścia minut.

- Konferencję prasową? - wybuchnęła Chase. - Nie można prowadzić konferencji prasowej bez prezydenta.

- A do cholery z tym nie wolno! - wrzasnęła Beechum. - Dopóki David się nie obudzi, ja jestem głównodowodzącym w kraju, który został zaatakowany. I masz dwa wyjścia, Andrea: albo wyciągasz prezydenta z łóżka, żeby pozabawiał nas śpiewaniem pieśni religijnych, albo dupę w troki i zabierasz się do roboty. Już czas, żebyśmy odparowali tym draniom, a zaczniemy od tej pieprzonej NBC!

\* DEFCON - Defence Readiness Condition - gotowość do obrony. \*\* INCONUS in Continental US - na terenie Stanów Zjednoczonych.

279

•

CHRISTOPHER GONIŁ MADDY po resztkach śniegu, które leżały jeszcze przed ich

domem, gdy na Coopers Lane zatrzymał się niebieski isuzu trooper.

- Mam cię, Maddy! - krzyczał chłopiec, trzymając przed sobą długi kij niczym

karabin. - Pif! Paf!

- Nie trafiłeś! - odkrzyknęła siostra, uskakując przed wyimaginowanymi pociskami. Ojciec nie pozwoliłby im bawić się prawdziwą bronią, wobec tego posługiwali się kijami.

- Ależ tak, trafiłem!

Christopher natychmiast cisnął swoją wyimaginowaną broń na ziemię, gips zwisał mu z boku i nadąsał się.

- Nie, Maddy, tak nie można - skarżył się. Już było dość późno, a on nie spał w dzień. - Zawsze mówisz, że spudłowałem.

- No, bo jesteś złym strzelcem - orzekła Maddy, podchodząc do młodszego brata. Odwróciła się i zobaczyła, że isuzu podjechało akurat równolegle do miejsca, gdzie stali.

- Nie jestem - upierał się Christopher, wciąż nadąsany, ale już zły.

- No dobra, trafiłeś - ustąpiła Maddy. Podniosła kij i podała bratu. -Ale teraz ja ciebie ścigam. I muszę użyć fortelu.

Zauważyła, że isuzu się zatrzymało, a jedna szyba jechała w dół.

- Patrz, a to kto? - zapytała brata.

Christopher nie odpowiedział, bo był zajęty przyglądaniu się dziwnej twarzy kierowcy.

- Hej, czy to dom Walkerów? - krzyknął mężczyzna. Christopher zrobił parę kroków w kierunku ciężarówki, wciąż

mocno ściskając w ręce swoją „broń”. Co prawda mama zabroniła mu rozmawiać z obcymi, ale posiadanie odpowiedniej ochrony całkowicie zmieniało postać rzeczy.

- Nie Walker, ale Waller - oświadczył, po czym podniósł kij na wysokość oczu, tak jak to pokazywał mu tata, kiedy mama nie widziała.

- Czy pan jest piratem? - spytała Maddy. Widywała takich mężczyzn w książkach i na filmach - czarna przepaska na jednym oku i grymas twarzy taki straszny, że aż dostała gęsiej skórki.

- A dlaczego pana skóra jest taka biała? - chciał wiedzieć Christopher. Podszedł bliżej do samochodu, żeby lepiej się przyjrzeć.

- Czy wasz tatuś jest w domu? - spytał mężczyzna.

- Nie podchodź za blisko - ostrzegła Maddy. - Mama nie pozwoliła nic nikomu mówić, gdy taty nie ma. A szczególnie piratom.

Żadne z dzieci nie mogło zobaczyć rewolweru kalibru 9 mm leżącego na kolanach mężczyzny, ale wyczuły czające się w nim niebezpieczeństwo.

- Pan mi się nie podoba - oznajmił Christopher. Może sprawiła to przepaska na oku, a może fakt, że skóra tego człowieka była bielsza aniżeli leżący dokoła śnieg. Dzieci wyczuły, że coś jest nie tak. -Niech pan sobie stąd jedzie.

Christopher wycelował w niego swój kij.

- Niech pan jedzie, bo strzelam!

Kierowca podniósł prawą rękę udając, że trzyma w niej pistolet.

- Ty, koleś - warknął, naśladując legendarnego pirata Czarnobrodego. - Nie mam zamiaru walczyć z takim lądowym gnojkiem, jak ty.

Wycelował wskazujący palec w stronę malca, opuścił kciuk i uśmiechnął się.

- Wróce, jak będziecie spać, i wtedy porwę was do mojej tajemnej kryjówki.

Arrrrggg!

Udał przerażenie, nacisnął na gaz i samochód popędził w dół ulicy.

- Chodź! - powiedziała Maddy, dostrzegłszy łzy w oczach brata. Jej też chciało się płakać, ale wtedy nie można by się przecież bawić w wojnę.

## Rozdział XVII

Piątek, 18 lutego

23.45 GMT

Federal Mail, Waszyngton 0C

- BANAL, PRAWDA?

- Co przez to rozumiesz?

- To spotkanie tutaj, w cieniu pomnika Lincolna, we mgle unoszącej się z topniejącego śniegu. Pełnia księżyca. Dwóch szpiegów coś szepcze, a gdzieś tam czai się zdrada. To takie uczucie, jak wtedy, gdy pierwszy raz poszedłem na takie spotkanie. Ależ byłem wtedy naiwny.

Hoch miał na sobie czarną parkę, a na głowie czapkę głęboko naciągniętą na uszy. GI Jane ubrała się zbyt lekko, przewidując jazdę samochodem na fałszywych numerach wzdłuż Rock Creek Parkway.

- Nie zimno ci? - spytał Hoch. Kobieta włożyła adidas, dzinsy i gruby sweter, zrobiony przez dziadka na zajęciach robótek ręcznych w domu starców, w którym przebywał.

- Odzywała się?

- Dlaczego tak jest, że my oboje rozmawiając ze sobą, zawsze prowadzimy jak gdyby dwie różne konwersacje? - spytał Hoch. Poprowadził ją w dół źle zamiecionym chodnikiem w stronę powalonego dębu.

- Ponieważ w tym biznesie nikt nie rozmawia o rzeczach realnych. Przysięgam na Boga, że już nie potrafię normalnie rozmawiać. To te kłamstwa, wiesz? Po chwili już nie umiesz powiedzieć prawdy... dla kogo pracujesz, co robisz, jaki jest twój ulubiony kolor i czy jeszcze na czymkolwiek ci zależy.

282

- Wyśledziła, że to włamanie pochodzi z Agencji Telekomunikacji Białego Domu - powiedział Hoch, wsadził ręce do kieszeni kurtki i kuląc ramiona, starał się, by kołnierz szczelnie otulał jego szyję.

Kobieta szła tuż za nim, zastanawiając się nad tym, co powiedział. Jej twarz była zwrócona ku ziemi, ale oczy wciąż biegały dokoła.

- Czy ona wie o Dżafarze al-Tayarze?

- Oczywiście, że nie. Myśli, że tropi jakiegoś intruza włamującego się do systemu.

- I tylko tyle?

- Tak.

GI Jane schyliła się i nabrała garść śniegu. Ulepiła z niego kulę i podrzuciła ją kilka razy, rozglądając się za jakimś odpowiednim celem.

- A jak tam Waller? - spytał Hoch.

- Jest tam. Rzucili mu kość - zadanie na próbę, żeby zobaczyć, jak sobie poradzi.

- I?



- Jeszcze nic mi Ellis nie mówił - oznajmiła GI Jane. - Nawet wszystkowiedzący, wszechpotężny, wszechobecny duch mojej niezrównanej cierpliwości czasem musi poczekać.

Hoch potrząsnął głową, nie z powodu jej dowcipu, ale zawilości wyводу.

- CTC wymyśliło trzy możliwości - powiedział Hoch, mając na myśli podlegające CIA, a mieszczące się w Langley Centrum Antyterrorystyczne. Szedł powoli w ciemnościach; zauważył, że z powodów bezpieczeństwa światła na kopule Kapitolu zostały wygaszone. Całe centrum miasta, które przez tak długi czas uważał za metaforę wiecznego amerykańskiego optymizmu, pogrążyło się w ciemnościach i w cieniu.

- Zimno mi.

- I wszystkie trzy mówią o zagrożeniu radiologicznym. FBI szacuje, że Ellis może jeszcze mieć co najmniej ze trzy kilogramy materiału emitującego promienie gamma, a to wystarczy, by zrobić kilka RDD pokaźnych rozmiarów.

- Ma - potwierdziła GI Jane, myśląc o cezie i kobalcie. - Chcą zaatakować miejsca o dużym znaczeniu. Ich prawdziwe zamiary nie mają nic wspólnego z liczbą ofiar. Im chodzi o symboliczny efekt.

- Scenariusz numer jeden: atak na dwa lub trzy obiekty w mieście, cywilne, takie, na które zamachu się nie spodziewamy, jak: Georgetown

283

Mail, UEnfant Plaża, katedra - nie znosi katolików - świątynia mormonów - tego rodzaju miejsca.

GI Jane potrząsnęła głową. Wiedziała, że ją testuje.

- Dalej?

- Scenariusz numer dwa: posługuje się dywersją konwencjonalną- ciężarówka wyładowana materiałami wybuchowymi, coś w tym rodzaju - aby odwrócić uwagę od

innych, strategicznych celów. I kiedy my zajmiemy się miejscem ataku, to on dokonuje jednego, druzgocącego - na Kapitol, Biały Dom albo na Pentagon.

- Będzie miał problem z dowozem ładunku - stwierdziła kobieta. - Zamknęliśmy

wszystkie miejsca jednopoziomowe, więc nigdy nie uda mu się podejść na tyle blisko, aby użyć RDD.

- Właśnie dlatego całą uwagę kierujemy na Biały Dom - zgodził się Hoch. - Poza tym każda reakcja na atak na obiekt użyteczności publicznej będzie tylko lokalna, natomiast środki bezpieczeństwa zastosowane przy ogromnych obiektach to sprawa federalna. Wysłanie policji, straży pożarnej czy pogotowia na miejsce eksplozji ładunku nie odciągnie straży od wielkich obiektów. Taki atak mógłby mieć nawet odwrotny skutek.

GI Jane rzuciła swoją kulę śnieżną w krzak oddalony o trzydzieści stóp.

- Spodziewam się, że najlepsze zostawiłeś na koniec. Hoch zatrzymał się i odwrócił do niej.

- Kilku z nas uważa, że nie będzie żadnego wybuchu - powiedział. - Trzy kilogramy radioaktywnego izotopu wydaje się dużą ilością, ale tak naprawdę jakiegokolwiek użycie go na otwartej przestrzeni i przy tej pogodzie byłoby głupotą. Topniejący śnieg szybko rozpuściłby skażenie i pozbawił Ellisa symbolicznego efektu. On chce doprowadzić do zamknięcia siedziby rządu Stanów Zjednoczonych, a brudna bomba, a nawet ich pół tuzina, do tego nie doprowadzi.

- Więc jaka jest alternatywa? - zapytała kobieta. GI Jane nigdy nie uważała, że potrafi czytać w myślach.

- Skażenie w zamkniętym systemie - odparł Hoch.

- Co? Jaki rodzaj zamkniętego systemu mógłby...

I wtedy zrozumiała. GI Jane, która zawsze sądziła, że jest zbyt mądra i zbyt twarda, aby bać się potworów, nagle pojęła geniusz zła.

- Jak chcesz go powstrzymać? - zapytała.

- Nie chcę - padła odpowiedź. - I ty też nie.

284

•

ZNALEZIENIE BETONIARKI nie było zbyt trudne. Musiał tylko trochę pojeździć po

mieście i wyszukać jeden z wielu placów budowy, a potem pojechać za betoniarką do jej bazy, to znaczy do Arlington w Wirginii. Kiedy się ściemniło, Jeremy wślizgnął się na teren i zapalił zapłon. Większość nowych samochodów ma już skomplikowany system zabezpieczający przed kradzieżą, ale ten wielki Mack potrafiłoby uruchomić nawet dziecko.

Pracujący za minimalną stawkę wartownik wypuścił samochód, ale nie był zainteresowany intencjami Jeremy'ego. Stolica przeżywała budowlany boom i dostawy cementu trwały całą dobę bez przerwy. Jeremy wyjaśnił, że to było specjalne, złożone w ostatniej chwili zamówienie.

Może jednak byłoby lepiej, gdyby mnie zatrzymano - myślał, starając się za kierownicą tego potwora wielkości domu sprawiać wrażenie doświadczonego kierowcy.

- Przynajmniej nie musiałbym się martwić, że pomagam Ellisowi zabijać niewinne kobiety i dzieci w jakimś potwornym zamachu terrorystycznym.

Ale go nie zatrzymano. Wartownik odnotował wyjazd na tablicy i machnął ręką, pozwalając Jeremy'emu jechać.

Trzynasta Ulica numer 1721, w południowo-wschodniej części miasta - przypominał sobie Jeremy, skupiając uwagę na adresie, który Ellis dał mu jeszcze w Homestead. Znalazł to miejsce w niecałe dwadzieścia minut: warsztat blacharski, wciśnięty w środek kwartału. Dokoła ciągnął się rząd domków w szeregowej zabudowie, wszystkie z czerwonej cegły, niczym szkoła. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć jakiegoś staruszka zażywającego świeżego powietrza i kilku osób usiłujących odkopać swoje samochody z zasp.

Upewniwszy się, że to właściwy adres, Jeremy wcisnął sprzęgło, nastawił bieg na luz i zaciągnął hamulec. Właśnie miał wysiąść z samochodu i poszukać kogoś, gdy otworzyły się drzwi do garażu. Machał do niego jakiś mężczyzna w nowym dzinsowym

kombinezonie. Wyglądał na zniecierpliwionego, ale zdecydowanego.

- Dobrze sprawdziłeś, czy nikt cię nie śledzi? - spytał, gdy Jeremy zamknął drzwi od szoferki wielkiego, hurkoczącego diesla. W środku garaż wydawał się

większy. Za niskimi drzwiami, które właściciel ledwie uchylił, cały warsztat był zavalony lewarkami, skrzynkami z narzędziami oraz samochodami w różnym stadium naprawy.

285

- Nikt za mną nie jechał. Mam na imię Jeremy. - Mówiąc to, uściśnął rękę gospodarza.

- Malachi - przedstawił się mężczyzna. Był niemal o stopę niższy od Jeremy'ego i poruszał się tak, jak gdyby całe życie pracował fizycznie. Mógł mieć trzydzieści albo czterdzieści lat, broda utrudniała dokładną ocenę.

W przeciwległym krańcu warsztatu Jeremy dostrzegł dwóch mężczyzn, ale Malachi nie zwracał na nich uwagi. Przeładowywali ciężkie worki z ciężarówki Ryder na wózek widłowy. Nie dało się dostrzec napisu na tych workach, ale zapach nie pozostawiał wątpliwości: ANFO, sztuczny nawóz fosforowy, i było tego dużo.

- Co teraz? - zapytał Jeremy, przypuszczając, że żaden z tych mężczyzn nie ma czasu na pogawędki. - Powiedziano mi, że mam dostarczyć ciężarówkę, i to wszystko.

- A nam, że mamy ją załadować. Sami.

- Czy powinienem poczekać? - spytał Jeremy.

- Wróć o j edenastej - krzyknął kapłan Pinchasa przez ramię. - Ktoś już tu będzie i powie ci, co dalej.

Jeremy popatrzył na zegarek; jeszcze trzy godziny.

- Czy można się tu gdzieś napić kawy? - zapytał, ale Malachi już pomagał tamtym w załadunku.

- Świetnie - burknął Jeremy pod nosem. Teraz przez trzy godziny będzie siedzieć i czekać, a w tym czasie Ellis i jego ludzie przygotowują druzgocząco niszczycielskie ataki. - Weź głęboki oddech - powiedział do siebie. - Nie ty jeden nad tym pracujesz.

Znowu wyszedł w zimną noc, mając nadzieję, że komuś innemu udało się poczynić w tej sprawie większe postępy.

•

SIRAD POCZUŁA ODÓR WYDZIELANY PRZEZ MŁOTKA, zanim jeszcze doszła do ściśle strzeżonego laboratorium. Śmierdział ostro, drażniąco, jak ser stilton namoczony w occie.

- Na Boga, czy tu gdzieś nie ma prysznic?

- Jest ł-ł-łaz-z-ienka po d-drugiej s-stronie bud-d-dynku -oświadczył ekspert od teorii fal, wyraźnie ucieszony jej widokiem. -Ale m-mnie t-t-to nie interesuje.

Ty pachniesz p-pociągająco.

286

Sirad wzdrygnęła się, słysząc ten komplement, cisnęła płaszcz na stół obok Ravięgo i spytała, czy jest coś nowego.

- Co nieco - odparł Ravi. -A co powiedział Mitchell?

Zanim odpowiedziała, musiała odkaszląć. Tyle czasu zajęło jej zastanawianie się nad intencjami Mitchella, że nawet nie zastanawiała się, co powiedzieć tej trójce.

- Chce, żeby ich tropić - oznajmiła. - Żeby wejść do środka.

- Do środka, do systemu WHCA? - zdziwił się Nie Umiem Strzelać. - Chyba żartujesz. Już łatwiej byłoby wyjaśnić powstanie wszechświata i poprzeć to trzema przykładami.

- Jordan Mitchell i żarty? - rzucił Ravi.

- Myślę, że wam ufa - powiedziała Sirad.

- WHCA ma w ręku klucze do wszystkich zapór — stwierdził Nie Umiem Strzelać. - Kontroluje wszystko, co wychodzi z Białego Domu, wraz z szyfrem oznaczającym rozpoczęcie ataku nuklearnego. Ma najbezpieczniejsze zapory na świecie.

- Nie, Borders Atlantic ma najbezpieczniejsze zapory na świecie - poprawiła go Sirad. - A wy już pokazaliście, że potraficie zidentyfikować czyjeś wysiłki w Białym Domu, więc dlaczego tak trudno uwierzyć, że możemy się przedrzeć przez ich systemy zabezpieczające?

- Pieprzone A - stwierdził Młotek.

- Domyślam się, że to znaczy tak. - Sirad zmarszczyła nos z powodu panującego odoru.

- On się zajmuje teorią fal - wtrącił się Ravi. - Co on wie? Nie Umiem Strzelać nie wykazywał entuzjazmu.

- Dostanie się do środka to jedno, ale zrobienie tego w sposób niezauważalny - to inna sprawa.

- Bądźmy optymistami - uśmiechnęła się Sirad. - Jest na to około ośmiu godzin, bo potem to już nie będzie miało żadnego znaczenia.

- Pieprzone A - wykrzyknął znowu Młotek. Wyzwanie zdawało się napełnić go nową energią. - Chęć-t-nie poodcieram s-się t-t-trochę o m-m-matematykę!

- Wiesz co, Młotek, coś ci powiem. Zaczniemy już bawić się tą matematyką, a tymczasem ty poodcieraj się trochę o mydło. Nie chcę być chamska, ale sprawiasz, że zaczynają mnie szczypać oczy - zakończyła dyskusję Sirad.

287

i<sub>1</sub>!

- CZY BOLI CIĘ RĄCZKA, SKARBIE? - spytała Caroline Waller. Malec zawsze łatwo

zasypiał wieczorem, zwłaszcza po dniu szalonej zabawy, ale dziś nie chciał iść do łóżka. - Czy to rączka cię boli?

Siedzieli na kanapie w salonie przy ciepłym świetle stojącej na stole lampy. Z drugiego krańca domu dobiegały dźwięki telewizora; to Maddy uparła się, żeby obejrzeć ostatnią kreskówkę.

- Brzuszek mnie boli - poskarżył się Christopher.

- To pewnie od tego lekarstwa, kochanie - stwierdziła mama. - Pan doktor kazał ci je przyjmować podczas kolacji, to wtedy nie będzie cię bolał brzuszek.

Pamiętasz?

Caroline przeczeswała palcami włosy malca, który leżał zwinięty na jej kolanach, a zapach szamponu dla dzieci i czystej pizamki upranej w ładnie pachnącym płynie wypełniał pokój i przydawał domowego ciepła.

- Nie chcę iść spać - zaczął płakać chłopczyk, a Caroline utulała go.

- Dobrze, już dobrze - szeptała. - Będę cię trzymać, dopóki sen cię nie zmorzy. Lubiła to. A dlaczegoż by nie? Jeremy był stale nieobecny, wobec tego dzieci stanowiły jej jedyną pociechę. Bez względu na to, jak dużo miała pracy, rachunków do zapłacenia i obowiązków faktycznie samotnej matki, zawsze czekała na tę chwilę pieszczot i przytulań przed pójściem spać.

- Nie zasnę! Nigdy, przenigdy! - wybuchnął malec. Oczy napełniły mu się łzami i schował główkę w ramionach.

- Hej, hej... O co chodzi? - spytała Caroline.

To nie była reakcja małego chłopca, starającego się wymusić na mamie tych jeszcze kilka chwil bycia razem. To był strach. Coś nim bardzo wstrząsnęło.

- Christopher - mówiła, starając się go uspokoić. - Co się stało? Próbowała podnieść go i spojrzeć mu w oczy, ale dzieciak przywarł do niej mocno.

- To ten pirat - stwierdziła Maddy, która właśnie stanęła w otwartych drzwiach.

- Ten pirat powiedział, że przyjdzie po nas, kiedy już będziemy spać.

- Co takiego? - spytała Caroline. - Zdaje się, że już wam mówiłam, żebyście nie oglądali takich filmów.

288

- To nie był film rysunkowy - wyjaśniała Maddy. Dziewczynka skrzyżowała ręce z przodu, żeby wyglądało, że jest odważna i się nie boi. Było nie było, przecież jest najstarsza, a tatuś kazał jej wszystkiego pilnować, kiedy go nie ma. - To był prawdziwy pirat.

Caroline usiadła na kanapie.

- Christopher, posłuchaj mnie, kochanie - powiedziała, a w tonie jej głosu pobrzmiwały na przemian spokój, to znów matczyna troska. - Co dziś się wydarzyło? Czy ktoś was przestraszył?

Malec przesunął główkę po jej piersi, ale nie chciał pokazać buzi.

- Przecież już mówiłam, że to ten pirat - upierała się Maddy.

- Jaki pirat? - spytała Caroline. Dzieci mają olbrzymią wyobraźnię i często widziała, jak fantazje przeradzają się w emocje. - Już nie ma piratów.

- To mężczyzna w ciężarówce. Podjechał pod dom i zapytał, czy nazywamy się Walker.

- Kiedy? - chciała wiedzieć Caroline. Nagle ten pogrążony w przyćmionym świetle pokój także jej wydał się złowrogi. - Powiedz, co się wydarzyło.

- Bawiliśmy się w wojnę i ta ciężarówka się zatrzymała - relacjonowała Maddy, ale nagle jej głos zaczął się załamywać i spoza przybranej pozy wyłoniła się mała dziewczynka.

- Chodź tu, kochanie. - Caroline otworzyła ramiona. Christopher wciąż kurczowo się jej trzymał. - Powiedz mi, co się stało.

Maddy wdrapała się mamie na kolano; nigdy nie przepadała zbyt za pieszczotami.

- On miał przepaskę na oku, taką jak piraci, i był cały biały, jak śnieg - odezwał się Christopher. - Powiedział, że przyjdzie, jak już będziemy spać, i zabierze nas do swojej kryjówki.

Maddy zaczęła cichutko płakać, starając się ukryć tę swoją słabość.

- Dobrze, już dobrze. Nikt was nigdzie nie zabierze - zapewniła ich Caroline.

Potarła nosem dzieciaki, starając się obrócić całe zdarzenie w jakąś opowieść o duchach, jedną z tych, jakie słyszy się przy ognisku na obozie.

- Założę się, że on teraz czeka na zewnątrz - upierał się Christopher. Mieszkali w domu w szeregowej zabudowie, ale dom przylegał do lasu i ten fakt często wywoływał różne podbudowane strachem pytania, szczególnie gdy trzeba było iść spać. - Czeka, aż zaśniemy.

289

- Nie wtedy, kiedy ja tu jestem, żeby was ochronić. - Caroline starała się przybrać ton głosu podobny do któregoś z bohaterów kreskówek. - Zobaczycie. W pierwszej chwili chciała zadzwonić do Masona. W HRT był numer czynny całą dobę.

Jeśli dzieciaki miały rację, to ktoś rzeczywiście mógł stanowić realne zagrożenie.

- Jak zobaczymy? - chciała wiedzieć Maddy. Nie było łatwo zbyć ją byle czym.

- Chodź ze mną.



Caroline otarła im łzy z oczu i zsunęła dzieciaki z kolan.

- Dokoła domu jest pełno śniegu, czy tak? - spytała. Kiwnęły głowami, pociągając nosami i idąc za nią, a ona prowadziła je za ręce w stronę okna z tyłu domu.

- A jeśli on nas zobaczy? - zapytała Maddy.

- Tam nikogo nie ma, kochanie. Zobacz. - I Caroline pokazała na pokryty śniegiem trawnik za domem. - Wszystkie ślady pochodzą od małych stopek. A piraci mają wielkie nogi. Jeśli ktoś by tam był, to zobaczylibyśmy jego ślady.

Ta logika przekonała nieco dziewczynkę.

- Ale jeśli on przyjdzie, jak już się położysz? - zaniepokoił się Christopher.

- Nie położę się, kiedy wy będziecie spać. A jak zobaczę na śniegu ślady wielkich butów, to będzie wiadomo, że pirat tu jest.

Caroline przysunęła chłopca do okna, a światło księżyca sprawiło, że tylne podwórko było dobrze oświetlone.

- Szkoda, że taty nie ma - westchnęła Maddy.

- Szkoda, kotku, ale tatuś nauczył mnie, co robić z głupimi, starymi piratami.

Nie wolno im tu wchodzić i nie zabiorą was do żadnej tajnej kryjówki.

- Przyrzekasz? - dopytywał się Christopher. Słowa mamy zdawały się działać.

Przycisnął nos do szyby, aby przyjrzeć się dobrze śladom i upewnić, że wszystkie pochodzą od małych bucików.

- Przyrzekam. - Caroline uklękła pomiędzy dziećmi, chcąc, żeby czuły się bezpieczne, nawet jeśli ona sama już zaczynała się bać. - Przyrzekam.

Christopher odwrócił się od okna, już nieco spokojniejszy.

- Mamusiu, brzusek jeszcze boli, ale myślę, że...

- Iiiiiiiiiii!

290

Zanim chłopiec dokończył zdanie, Maddy zaczęła krzyczeć, jakby w oknie zobaczyła śmierć.

Trrrach!

Ręka w rękawiczce rozbiła szybę i chwyciła chłopczyka za gardło. Christopher chciał krzyczeć, ale ta ręka dusiła go, tak że zdołał wydobyć tylko stłumiony

pisk.

Caroline upadła do tyłu, ale instynktownie złapała równowagę, wepchnęła Maddy za siebie i wbiła paznokcie w palce duszące gardło Christophera.

- Iiiiiiiiiiiiiiiii! - Krzyczała wciąż Maddy, rozrzucając ręce na boki, niczym spadający kot.

- Nie! - usłyszała swoje wołanie Caroline. To był pełen desperacji i rozpaczyny głos kobiety, która nagle zdała sobie sprawę, że już nigdy, jak długo będzie żyć, dzieci nie uwierzą obietnicom.

••••' ;||...||

- PRZYGOTOWAŁAM OŚWIADCZENIE, które chcę przeczytać - oznajmiła wiceprezydent

czterdziestu ośmiu dziennikarzom zgromadzonym w Białym Domu. Elizabeth Beechum

stała za słynnym pulpitem i chrząkała, starając się pozbyć chrypki. - Potem odpowiem na kilka krótkich pytań.

Starła się skoncentrować na leżących przed nią zapiskach oraz reporterach, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że echo zorganizowanej pośpiesznie konferencji prasowej rozniesie się błyskawicznie po całym świecie.

- O trzeciej po południu czasu wschodniego terroryści zaatakowali trzy miejsca o kluczowym znaczeniu dla naszej infrastruktury. Rzecz jasna były to ostatnie zamachy z całej serii barbarzyńskich wysiłków podejmowanych przez obce siły zmierzające do zniszczenia naszej najpotężniejszej w świecie demokracji.

Beechum poprawiła okulary do czytania, starając się nadać logiczny sens odręcznym zapiskom, które poczyniła na karteczkach o wymiarach trzy na pięć cali.

- W ciągu ostatnich dwóch godzin zostałam poinformowana, że w działaniach Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego oraz Federalnego Biura Śledczego nastąpił znaczny przełom, jeśli chodzi o zidentyfikowanie tych, którzy ponoszą odpowiedzialność za te ataki.

291

Pokój, w którym do tej pory panowała martwa cisza, nagle wypełnił się bezładnym

podnieceniem, ponieważ niemal pięćdziesięciu najlepszych dziennikarzy różnych krajów zwęszyło szansę na czołówkowy materiał. Bardzo chcieli zacząć zadawać pytania, ale to była wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, w dodatku znana ze swej surowości. Z pytaniami należało poczekać.

- Ponieważ śledztwo jest w toku, nie mogę ujawnić wielu szczegółów, ale w imieniu prezydenta Venable'a zapewniam, że naród amerykański słusznie jest przepelniony wiarą. Przejawiamy ostrożny optymizm, że mordercze zbiry kryjące się za tymi atakami staną przed obliczem wymiaru sprawiedliwości, zanim zdążą uderzyć ponownie.

Popatrzyła w górę wzrokiem, który każdy uznałby za drapieżny, i zdjęła okulary. W jednej chwili czterdzieści osiem rąk uniosło się w górę.

- Pani wiceprezydent!

- Proszę, Haroldzie - wskazała na korespondenta NBC, który pierwszy rzucił się jej w oczy.

- Gdzie jest prezydent i dlaczego to nie on osobiście składa to oświadczenie?

Rzecz jasna Beechum spodziewała się, że padnie takie pytanie. Ameryka oczekiwała swego głównodowodzącego.

- Jak zapewne się domyślacie, prezydent jest osobiście żywotnie zainteresowany bezpieczeństwem Amerykanów. Poprosił mnie, abym porozmawiała z wami, a on w tym

czasie zajmuje się ważniejszymi sprawami związanymi z bezpieczeństwem publicznym

oraz wywiadem.

Zdawała sobie sprawę, że to slogany, ale podane powody były racjonalne. A poza tym czas był taki, że wymagał języka polityki, a nie lekkości i dowcipu.

- Pani wiceprezydent, czy mówi pani o ugrupowaniu Ansar insz Allah, które już kilkakrotnie przypisywało sobie autorstwo zamachów?

Beechum zwróciła się w stronę reportera ABC.

- Jak już mówiłam, bezpieczeństwo państwa nie pozwala mi ujawnić więcej szczegółów. Mogę tylko powiedzieć, że jesteśmy przekonani, iż zidentyfikowaliśmy

sprawców. I tak jest, otrzymują oni pomoc z zagranicy.

- To znaczy z Arabii Saudyjskiej? - wypalił ktoś.

Beechum zignorowała to pytanie i wskazała na dziennikarza z „New York Timesa”.

292

- Zapytam o to samo - powiedział. - Rząd Arabii Saudyjskiej gorąco zaprzecza zaangażowaniu w to rodziny Saudów. Czy ma pani na myśli bezpośrednio osoby z królewskiej rodziny, które okazały się renegatami? Być może księcia Abdullaha? Beechum starała się nie okazać zakłopotania.

- Z Arabią Saudyjską łączą nas wieloletnie i trwałe więzy. - Stąpała po bardzo cienkiej linii. - Rodzina królewska akurat przechodzi czas przemian, ale zawsze był to nasz ważny sojusznik i chcemy utrzymać takie kontakty.

- Ale czy są oni obiektem prowadzonego śledztwa? - krzyknął inny reporter.

Obowiązywał, tak jak na wszystkich konferencjach prasowych, protokół, ale emocje zaczynały brać górę.

Beechum wskazała na reporterkę po prawej stronie. Nie rozpoznała jej twarzy.

- Są niepotwierdzone doniesienia, że dziś rano federalni agenci zaatakowali islamski ośrodek dobroczynny w Columbus, w stanie Ohio -stwierdziła kobieta. - Zginęło być może nawet pięciu podejrzanych. Czy może pani potwierdzić, że takie zdarzenie miało miejsce, i czy to właśnie je miała pani na myśli?

Beechum spojrzała na swoje notatki, w których nie było odpowiedzi na to pytanie.

Przeciek o tym zdarzeniu to tylko kwestia czasu.

- Przyszłam tu dziś, aby zapewnić Amerykanów, że Biały Dom robi wszystko, co tylko jest w ludzkiej mocy, aby powstrzymać te terrorystyczne ataki - oświadczyła. - Jestem przekonana, że każdy z tu obecnych zdaje sobie sprawę z delikatnej natury całego dochodzenia. Nie chcielibyście, abym powiedziała cokolwiek, co mogłoby narazić życie niewinnych ludzi. Myślę, że na tym poprzestaniemy.

Po tych słowach sekretarz prasowy Białego Domu podszedł do Beechum i dał znak ręką, że konferencja zakończona. Wrzawa trwała, ale pani wiceprezydent przeprosiła i zniknęła w zachodnim skrzydle gmachu.

- Wierzę, że wie pani o czymś, o czym my nie wiemy - powiedziała, doganiając ją, Andrea Chase. Ona nie otrzymała żadnego raportu, który wskazywałby na pozytywny rozwój wypadków.

- Wiem, że dwieście osiemdziesiąt milionów obywateli musi mieć jakąś motywację, żeby wstać jutro rano z łóżek - odpowiedziała jej Beechum. Nawet w spokojnych czasach chodziła szybciej niż inni. - Wiem, że dziennikarze zaczęli się dziwić, co się stało z prezydentem,

293

i wiem, że musimy trzymać tych drańskich terrorystów w niepewności, dopóki nie złapiemy oddechu. Jeśli ma pani lepszy pomysł, to proszę go z siebie wykrztusić.

Chase przez chwilę milczała, ale wreszcie zauważyła:

- Za niecałe dwanaście godzin David obudzi się i będzie miał mnóstwo pytań. Nie chciałabym być pierwszą osobą, do której prezydent zwróci się, pytając o dyżurnych podejrzanych\*.

Beechum zostawiła szefową sztabu Białego Domu przed drzwiami Gabinetu Owального.

- Pani martwi się o jutro, a ja muszę kierować krajem dziś.

•

SAMOŁOT LINII DELTA LOT 272 z Kansas City przyleciał na krajowe lotnisko imienia

Reagana za dziesięć dziewięta.

Wysoki, dystyngowanie wyglądający mężczyzna z lewej strony wyjścia awaryjnego niósł płócienną torbę z rzeczami i egzemplarz tygodnika „Time”, na którego okładce widniał podzielony na pół ekran, z twarzą prezydenta Venable'a po jednej, a księcia Abdullaha po drugiej stronie. „Przyjaciel czy Armagedon?” - głosił tytuł.

- Życzę miłego pobytu - powiedziała stewardesa, gdy szedł za innymi w stronę sali terminalu.

Jaki tam miły - pomyślał sobie, wychodząc z niemal pustego terminalu. Po pięknie

odnowionej sali niósł się stukot obcasów jego kowbojskich butów. - Ale przyjemność i obowiązki rzadko dzielą to samo łóżko.

Kierowca czekał na pułkownika Ellisa w lodowatym zimowym powietrzu, które ten ostatni tak dobrze pamiętał z czasów pracy w Pentagonie. Kierowca, również kapłan Pinchasa, przyjechał grafitowym fordem z rejestracją stanu Wirginia.

- W jakim punkcie jesteśmy?-spytał.

- Komórka numer Sześć ulokowała się w kryjówce Adama Morgana. Z kolei wywiad

zapewnił warty, ich zmianę, jak również godziny, o których wymienia się ekipa techniczna czuwająca nad zbiornikiem McMillan Reservoir. Paczki będą gotowe około dwudziestej pierwszej.

\* Jest to aluzja do sytuacji w filmie Casablanca.

294

- A co z niewiernym? "I\*.-..| \*| >\*••« "

- Waller. Jeremy Andrew Waller. Trzydzieści jeden lat, żonaty, troje dzieci, pożyczka na dom w wysokości stu czterdziestu tysięcy dolarów, mostek w górnej szczęce, z przodu, prenumeruje „National Geographic”, „Popular Science” i „McCalPs”. „| >;

- Ma rodzinę? "v .; .<|-•.

- Miał, bo teraz my ich mamy. | >|» - Jest z FBI? - zastanawiał się głośno Ellis.

|>|<|

- Tak. Z jednostki do odbijania zakładników. Snajpet Kazalem powęszyc w Bragg i Dam Neck, może znajdziemy kogoś^Jcto z nim pracował.

Były agent Special Forces odwrócił się do okna. Jednostka do odbijania zakładników? - pomyślał. Ten facet może napisać więcej kłopotów, niż sam jest wart.

<&|| \* !|||| i :i ;...||| ;V

JEREMY WRÓCIŁ DO WARSZTATU BLACHARSKIEGO pięć minut wcześniej.

Minione trzy

godziny spędził, czytając jakąś książkę przy rozmiękłych frytkach i odgrzanym w

mikrofalówce hamburgerze. Czuł ostry, nieustający ból pod mostkiem, coś jakby niestrawność i lęk.

- Czy już macie zadanie dla kierowcy? - zapytał, pukając i wchodząc z pewnością, która, miał nadzieję, będzie pomocna w jego roli.

- Trzymaj to! - powiedział Malachi. Stał blisko tyłu betoniarki z uniesioną w zakazującym geście ręką. Za nim stali dwaj mężczyźni; obydwaj mieli na rękach grube gumowe rękawice i trzymali aspiratory, takie jakich używają ludzie pracujący z niebezpiecznymi materiałami.

- Ale woń! Niczym wiosną na farmie - zauważył głośno Jeremy. Pamiętał, kiedy jako dzieciak pracował na farmie kolegi, Eryka. Jakżeż mógł zapomnieć tankowania traktorów, podczas gdy Eryk mieszał obornik z nawozami fosfatowymi.

- Już ty się martw tylko o to, żeby dojechać - ofuknął go Malachi.

- Wedle rozkazu - odpowiedział mu Jeremy.

Starł się ocenić to, co widział, bez okazywania zbytnej ciekawości. Jeden z zamaskowanych mężczyzn wszedł na drabinę i pochylił się nad gruszką betoniarki.

Na platformie leżała czarna skrzynka

295

wielkości walizki. Wyglądało na to, że ten facet wrzucił jej zawartość do ANFO.

- Za ile skończycie?

Drugi mężczyzna pochylił się nad czymś obok tylnego koła ciężarówki. Według Jeremy'ego to musiał być detonator.

- Za pięć minut. - Malachi spojrzął na zegarek. - Twój kontakt powinien już tu być.

- I jestem - oznajmił jakiś głos. Jeremy rozpoznał go natychmiast.

- Pułkownik? - Odwrócił się do Ellisa i innego mężczyzny, którego nigdy przedtem nie widział. - Nie spodziewałem się tak szybko znów pana spotkać.

- Cóż, nauczyłem się, że oczekiwania mogą wiązać się z poważnym

niebezpieczeństwem, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z obcymi - odparł Ellis.

Jeremy'emu przemknęło przez myśl, że w głosie pułkownika zabrzmiała groźba, ale uznał to tylko za złe przeczucia.

- Wszystko gotowe, pułkownik - oświadczył właściciel warsztatu. Nie próbował nawiązać rozmowy ani nie podszedł bliżej.

- Dziękuję wam - powiedział Ellis. - To byłoby wszystko.

Trzej kapłani Pinchasa wyszli przez boczne drzwi, aby -jak sądził Jeremy - się odkazić. Goryl Ellisa poczekał, aż tamci wyszli, po czym dostrzegł wzrok swego szefa i również się ulotnił.

- Mieścimy się w czasie? - spytał Jeremy, kiedy zostali sami. Wskazał głową dopiero załadowaną betoniarkę. - Chyba wszystko jest gotowe.

- Tak sądzę. - Ellis mówił to przez zaciśnięte zęby. - Nasz wywiad zapewnił mnie, że wszystkie elementy są zgrane i gotowe.

Jeremy usłyszał wątpliwość, ton, którego nienawidził u ludzi czynu.

- Czy ma pan dla mnie rozkazy, sir? - zapytał.

Jednak zanim pułkownik zdążył odpowiedzieć, inny mężczyzna wszedł do pomieszczenia.

- Jaki tu dziś ruch - zauważył Jeremy.

Caleb podszedł i stanął obok ojca. Jeremy zauważył, że albinos zdjął już swoje bandaże z gazy i zastąpił je czarną opaską. Jego blada, niemal przezroczysta skóra połyskiwała w przytłumionym świetle.

- Rozkazy względem ciebie uległy zmianie. - Ellis nie krył sarkazmu. Wiedział o czymś. Obydwaj wiedzieli.

296

Jeremy poczuł przyływ adrenaliny, tak jak to było wtedy w Jemenie, i podczas odbijania zakładniczki w Portoryko, i w Irian Jaya. Ale teraz nie miał karabinu ani żadnej innej broni poza rękoma i umysłem.

- Zmianie? Jakiej? - wsadził dłonie do kieszeni, żeby nie było widać, że jest zdenerwowany.

- Mamy twoją rodzinę - oznajmił Caleb, nie bawiąc się w dalsze wyjaśnienia. Te słowa niemal ścięły Jeremy'ego z nóg, ale zachował twarz pokerzysty.

- Nie mam żadnej rodziny. O czym ty mówisz?



Caleb podniósł prawą rękę i pokazał Jeremy'emu krew sączącą się przez bandaż, którymi była owinięta dłoń.

- Czy wiesz, skąd to mam? Bo wyciągałem twojego syna, Christo-phaera, z tego miłego małego domku w Stafford. Twoja żona wrzeszczała jak opętana, ale Satch zajął się nią i wszystko już odbyło się naprawdę cicho.

Jeremy rzucił się na albinosa. To był odruch; uderzenie niczym młotem w głowę, które powaliło tamtego jak ściętą kłodę.

- Przestań, bo ich zabijemy - odezwał się Ellis cicho, właściwie niemal wysyczał. Być może gdyby pułkownik krzyknął, Jeremy nie dałby rady się opanować, ale ten ton był szokujący.

- Czego chcecie? - spytał. Zwracał się do pułkownika, ale stał zaledwie kilka cali od Caleba, który właśnie się podniósł. Popatrzył na jedyne oko Caleba - było różowe.

- Chcę, abyś zrozumiał dylemat dowódcy - odpowiedział mu Ellis. - Chcę, żebyś wiedział, jak to jest, kiedy trzeba wybrać między tym, co jest ci najdroższe, a największym dobrem ludzi, których przysięgałeś chronić. Czy słuchać rozkazów, aby ocalić żonę i dzieci, wiedząc równocześnie, że te rozkazy zabiją tysiące innych ludzi? Czy też odmówić wykonania zadania, ale mając świadomość, że zabijemy twych bliskich w najbrutalniejszy sposób?

- Jesteś chorym fiutem - rzucił Jeremy. W tym momencie filozofia do niego nie docierała.

- Nie ma potrzeby kłąć - wrzasnął pułkownik. - A ja nie jestem chory. Tak naprawdę to jestem wyposażony w umysł jasny i niemal zdolny do przewidywania. Jeremy zobaczył, że Ellis trzyma w ręku wykonaną polaroidem fotografię.

297

. > - Trzydzieści lat temu, na cholernym polu ryżowym w Azji, spłynęło na mnie błogosławieństwo. Dokoła umierali moi ludzie. Ja dostałem kilka kul i krwawiący, zagubiony, przerażony, wściekły... wściekły na wroga, którego wskazali mi jacyś politycy, wiedziałem, że umrę i nigdy już nie zobaczę swojej rodziny. Pamiętam, że zastanawiałem się wtedy nad przebaczeniem - czy Bóg pomimo tego, że zabiłem

tylu ludzi, weźmie mnie do nieba.

Jednak Jeremy'ego nie obchodziły te usprawiedliwienia starego wojaka. Cała jego uwaga była skupiona na tym zdjęciu.

- A on przyszedł do mnie. Miękki głos. Tylko poczucie jego obecności. Naprawdę. Caleb stał bez ruchu obok ojca gotów bronić go w razie najmniejszej prowokacji.

- I Bóg napełnił mnie taką miłością, jakiej nigdy przedtem nie doznałem.

Bezosobową, prawdziwą miłością do czegoś większego, aniżeli moje własne pragnienia. Nie miałem pojęcia, co to wszystko znaczy, poza tym, że nie umrę tam na tym polu ryżowym. Ale prawda jest taka, że to błogosławieństwo zostało ujawnione dopiero później, gdy już wróciłem do prawdziwego świata.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Jeremy.

- Pismo mówi nam, że w swej niezachwianej miłości poprowadzisz tych, którzy odpokutowali za zbrodnie - mówił Ellis. - A dalej powiada, że zaprowadzisz ich do swej boskiej siedziby. A narody usłyszą o tym i zadrżą, a cierpienie ogarnie kraj Filistynów.

Jego twarz jaśniała zdecydowaniem.

- Filistyni - wstrętnei bogowie islamu - nigdy nie zaznają spokoju, jako że zabrali nam to, co dał nam Bóg. I naszym obowiązkiem jest ich pokonać, a Kapłani Pinchasa to ostatnia obrona zbawienia.

Caleb podał Jeremy'emu fotografię. Była na niej Caroline, leżąca na plecach, w samych tylko majtkach, na wykafelkowanej podłodze, z rękami i nogami okreconymi taśmą samoprzylepną, taką jaka służy do pakowania paczek.

- Independence Avenue, numer sto - powiedział Ellis i wskazał na ciężarówkę. - Dostarczysz tę przesyłkę na Kapitol.

Jeremy czuł przemożną chęć, by zakończyć to wszystko tu i natychmiast, ale to było niemożliwe. Ellis na pewno miał w tej kryjówce więcej kapłanów Pinchasa, a oni zabiliby Caroline i dzieci, zanim zdołałby je znaleźć.

298

- Na trawniku od wschodniej strony jest wielki wykop - ciągnął Ellis. - Budują schron, mający służyć członkom Kongresu w razie ataku terrorystycznego.

- I tak ich zabijecie, prawda? - przerwał mu Jeremy. - Wyszadźcie ciężarówkę w powietrze wraz ze mną, żeby wyglądało na zamach samobójczy, a potem zabijecie moją rodzinę.

- Nie tak szybko - stwierdził Ellis. - Mamy wobec ciebie inne, bardziej konstruktywne zamiary. Wciąż spodziewam się wielkich rzeczy.

- Taak. - Jeremy uśmiechał się złowrogo. - Nie zapomnij, co powiedziałeś mi o niebezpieczeństwie kryjącym się w oczekiwaniu.

## Rozdział XVIII

Sobota, 19 lutego 2017 r.

2.17 GMT XI; -v .- .,- ..... |-'|.

Prezydenckie Centrum Operacyjne, Białe Dom ;

,,,:>.r,i; ,;-:||; :--,- • .|>, ,<|| :|'.,,;t | :...|('•|

- GDZIE JA JESTEM?

Człowiek, który jeszcze tydzień temu emanował prezydencką dostojnością, wyłonił się z niemal pustego, urządzonego w wojskowym stylu bunkra w stanie kompletnej degrengolady. Jego niegdyś nienagannie uczesane włosy były rozczochrane. Pod oczami wielkie, sine worki, policzki i podbródek pokrywał dwudniowy zarost, a na sobie miał granatowy szlafrok, który znalazł przy łóżku i włożył na lewą stronę, przewiązując mocno paskiem.

- To jest PEOC, sir - oznajmił, zrywając się na równe nogi, sierżant sił powietrznych. Po obu stronach drzwi prowadzących do bunkra stali także wartownicy z piechoty morskiej, ale zdawali się mniej przejmować koniecznością odpowiadania na pytanie.

- PEOC? - zdziwił się David Venable, wchodząc do surowego pomieszczenia pełnego warczących maszyn i sztucznego światła. Wydawał się na tyle wypoczęty, aby zrozumieć to dziwne otoczenie - sen go uspokoił. - Nie wiem, co oznacza ten skrót PEOC.

- Davidzie, jest pan w bunkrze, pod wschodnim skrzydłem - powiedziała Andrea Chase, wychodząc z pokoju wypoczynkowego. Sama wyglądała na zmęczoną.

- Prezydenckie Centrum Operacyjne... - dodał sierżant sił powietrznych.

Prezydent zadał jemu to pytanie, toteż chciał udzielić pełnej odpowiedzi.

300

- Co się stało? - spytał Venable. Rozglądał się po pomieszczeniu, patrząc na nieumundurowanych wojskowych. Nikogo nie znał, a wszyscy wyglądali na zajętych.

- Sierzancie, proszę zadzwonić do gabinetu pani wiceprezydent i powiadomić panią Beechum, że prezydent wstał - rozkazała Chase.

- Tak jest.

Chase ujęła prezydenta pod ramię i starała się przekrzyczeć stukot klawiatur komputerowych, dzwonienie telefonów i informacji podawanych przez telewizję.

- Czy dobrze się pan czuje?

- Myślę, że tak - odparł prezydent. Zdawało się, że przeprowadza remanent własnej osoby i swoich możliwości. - Jak długo spałem?

- Wejźmy tutaj - zaproponowała szefowa sztabu Białego Domu, wprowadzając go do

pokoju wypoczynkowego. - Spał pan dwadzieścia godzin. Jest piątek wieczór, osiemnasty lutego.

- Piątek? - wybuchnął prezydent. Próbował przypomnieć sobie, w jaki sposób znalazł się tu na dole, szukając jakiegoś ostatniego wspomnienia, ale poddał się.

- Pamiętam, że był poniedziałek.

- No - zaczęła Chase, ale przerwała, ponieważ nic, co by powiedziała, nie brzmiałoby rozsądnie.

- Cześć, Davidzie - przerwała im Beechum. - Jak się czujesz?

- Obudziłem się w jakimś bunkrze i czuję, jakbym miał watę w uszach, a w ustach zdechłą mysz. Uleciały mi trzy dni i... - w tym momencie Venable zauważył, że nałożył szlafrok na lewą stronę. - Spójrz na mnie! Co tu się, na Boga, wokół dzieje!

- Kiedy spałeś, dokonano kolejnych zamachów - na biegnący przez Alaskę rurociąg, na statki na Missisipi, rezerwy gazu ziemnego w Bostonie. FBI...

- Nie, chodzi o mnie! - Prezydent opadł na krzesło stojące przy małym

konferencyjnym stole. - Chcę wiedzieć, jakim cudem się tu znalazłem.

Beechum nie zapomniała języka w gębie.

- Davidzie, dostałeś środki uspokajające. Wyraziłam na to zgodę, a lekarz Białego Domu zrobił ci zastrzyk.

Venable pokiwał głową. Podejrzewał właśnie coś takiego.

- Wziąłem ciebie na wiceprezydenta dla dobra partii - powiedział, kładąc obie ręce na stole. Jego umysł wydawał się odzyskiwać bystrość. - Wiedziałem, że to błąd, ale czułem, że nie mam wyboru.

301

- David... - Andrea Chase próbowała go powstrzymać, ale nic z tego.

- Wiedziałem, że ty nie zadowolisz się drugim miejscem - mówił dalej prezydent.

- Nie spałeś ponad dziewięćdziesiąt sześć godzin - argumentowała Beechum. W jej głosie nie było słycać przeprosin. Tak mówił stary, wytrawny adwokat wygłaszający druzgocącą mowę. - Zapadałeś w coś, co się nazywa psychozą wywołaną brakiem snu.

- A więc ty zapadłaś na coś, co się nazywa zdradą?

- Nie, Davidzie - powstrzymała go Chase. - To nie tak. Zrobiliśmy to, co musieliśmy, w związku z...

- Przepraszam, panie prezydencie. - Sierżant sił powietrznych zapukał, już wszedłszy do pokoju. - Jest wiadomość z Fort Meade.

- To Agencja Bezpieczeństwa Narodowego - wyjaśniła Beechum, biorąc trzy kartki z ręki sierżanta. - Czekamy na informacje związane z księciem Abdullahem.

- To już nie jest twoja wojna, Elizabeth. - Prezydent ze złością wyrwał jej kartki z ręki. Chciał przeczytać dokumenty, ale zdał sobie sprawę, że nie ma okularów.

- Proszę wziąć moje. - Chase podała mu okulary w różowej oprawce, które wyglądały śmiesznie na jego wynędzniałej twarzy.

- DEST? NEST? Jeszcze więcej tych diabelnych akronimów - burczał, próbując zrozumieć coś z pisma Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

- Grupa Wsparcia w Sytuacjach Kryzysowych - wyjaśniła Beechum. Naczytała się już dostatecznie dużo materiałów NSA, by wiedzieć, że to nie ma nic wspólnego z księciem Abdullahem. - DEST to utworzona przez wiele agencji grupa reagowania, której zadaniem jest koordynowanie działań w razie olbrzymich, niekonwencjonalnych ataków, takich, z jakimi mamy teraz do czynienia. DOD, DOE, HHS, CIA, FBI, DHS. Wszyscy oni przylecieli specjalnie wyposażonym boeingiem 737.

Venable z niechęcią wręczył papier swojej zastępczyni.

- Przetłumacz to - powiedział. - Zaczynaj.

- Grupa Kryzysowa w Departamencie Energetyki zidentyfikowała duże promieniowanie

w Adams Morgan - czytała Beechum. Uważają, że to anomalia występująca w obrębie

kordonu NACAP, a to znaczy, że może stanowić bezpośrednie zagrożenie dla personelu Białego Domu.

302

+

- Cholera - zdenerwowała się Chase. "• |•|-|. |•|||;:"j

- Co to oznacza? - zażądał wyjaśnień Venable.

- Oznacza, że FEMA może domagać się zapewnienia bezpieczeństwa władzy - powiedziała Beechum. Wiedziała, że to nastąpi. - Jedno z nas musi wyjechać z miasta.

- No, to pakuj swoje manatki, Elizabeth - stwierdził prezydent. Zdjął szlafrok i włożył prawidłowo, prawą stroną na wierzch. - Nie mam czasu zajmować się pobudkami, którymi się kierowałeś, robiąc to, co zrobiłeś. Teraz rozkazuję ci udać się w to „bezpieczne miejsce”, o którym wciąż słyszę. Zobaczmy, jak łatwo przyjdzie ci uzurpować sobie władzę z betonowego bunkra schowanego gdzieś głęboko pod zapomnianą przez cały świat górą.

\*

SATCH BYŁ WIELKIM I SILNYM MĘŻCZYZNĄ, ale to, co niósł, było cięższe od wszystkiego, co do tej pory zdarzyło mu się dźwigać.

- Nie cierpię takich rzeczy - sapał. Na czarnej plastikowej skrzynce nie było żadnych napisów, ale on aż nazbyt dobrze wiedział, co jest w środku.

- Przecież wiesz, co zawsze mówią - przypomniał mu jego towarzysz. - Nie musisz tego lubić - musisz to zrobić.

- Nie jestem już w SEAL, a zresztą gdy byłem, to też niewiele mnie obchodziło takie głupie gadanie - spierał się Satch.

Ten drugi był piętnaście centymetrów niższy i dwadzieścia parę kilogramów lżejszy od Satcha, ale dużo ćwiczył, przygotowując się do tego zadania. I nikt, duży czy mały, mu nie zaimponuje.

- Noo, tylko tego nie upuść. Mam wszystkie palce u rąk i nóg i nowe mi nie wyrosną.

Satch wydobył z siebie coś na kształt śmiechu i poszedł za swym towarzyszem obok skromnego, szeregowego domku w kierunku zaparkowanej ciężarówki.

- Dobrze, że masz już czwórkę dzieci - stwierdził Satch. - Z tego co słyszę, to od tego jaja mogą ci się zrobić małe jak rodzynki.

- No, to pułkownik wybrał do tego właściwych ludzi, nie? Bo świat nie jest przygotowany na bachory od takich tatusiów, jak ty.

Obydwaj roześmieli się cicho, rozładowując nieco pełną napięcia atmosferę.

Schodzili po schodach. Satch pierwszy doszedł do ciężarówki.

303

Oparł skrzynkę o tylny zderzak, przytrzymując ją udem, i otworzył tylne drzwi.

- Słyszysz helikopter? - spytał. Drugi mężczyzna spojrzał w górę, ale poza linią dachów domów przy tej wąskiej uliczce nie dostrzegł nic.

- To Waszyngton DC - powiedział jego kolega - i wszędzie tu pełno helikopterów.

- No tak - zgodził się Satch. Wsadził pudło do białej ciężarówki, chevroleta astro, i zamknął drzwi. - Ostrożności nigdy nie za wiele.

- To ja poprowadzę - zdecydował towarzysz. - Bo teraz najniebezpieczniejszą rzeczą w tym mieście nie jest siedemdziesiąt pięć funtów cezu, ale ty za

kierownicą.

• ||||| +  
||| |

- PROSZĘ, TYLKO NIE DZIECI - błagała Caroline. Była w stanie znieść fizyczny ból,

ale nic nie mogło boleć bardziej, aniżeli widok strachu w ich niewinnych oczach.

- Przyrowadź je - rozkazał porywacz. To był jeden z tych, którzy weszli przez okno. I pirat. Ten albinos. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała nikogo tak białego. Miał groteskową szramę wokół przepaski na oku i rany od stłuczonej szyby.

- Mamusiu - chlapał Christopher, gdy zobaczył ją leżącą tak na pustej podłodze w piwnicy. Miała podrapaną skórę, bo porywacze ciągnęli japo podłódze. Cała jej twarz i piersi były w sińcach i stłuczeniach.

- W porządku, kochanie - powiedziała Caroline najbardziej kojącym głosem, na jaki mogła się zdobyć. Przeguby rąk i kostki u nóg bolały ją od kajdanek, ale najbardziej bolesne było to, że nie mogła przytulić dzieci.

Zbierz się do kupy! - krzyczała sama na siebie. Zranienia były powierzchowne i zagoją się. - Musisz być silna - dla dzieci.

- Czego od nas chcesz? - krzyknęła. Zadawali tak mało pytań, a bili zupełnie bez powodu.

- Chcemy, żebyś uciszyła te bachory - powiedział jeden z porywaczy, ubrany we flanelową koszulę i brązowe spodnie. Takie, jakie noszą stolarze i farmerzy.

- Uaaaaaaaaaaaaaaaa! - płakał Patrick. Drugi z porywaczy ciągnął chłopca za kołnierz od piżamy.

304

- A szczególnie tego. Ten gówniarz nie zamknął się, odkąd się obudził.

Stolarz pchnął dzieciaka w kierunku matki, ale wcale nie trzeba było tego robić.

Patrick podbiegł do mamy i upadł na nią. A stojący przy drzwiach Christopher, zeszywniały ze strachu, powoli podążył za swoim bratem i ukląkł, wciąż okropnie się trzęsąc.

- Już dobrze, kochanie - zapewniała go Caroline. Próbowwała zetrzeć krew z twarzy



wierzchem dłoni, żeby jej wygląd nie przerażał dzieci. Nos miała chyba złamany, a jedno uderzenie rozcięło jej lewy łuk brwiowy.

Przekłète FBI - Caroline aż cała kipiała w środku. Walczyła bezskutecznie, usiłując powstrzymać się od płaczu, bo nie chciała, aby dzieci zobaczyły ją we łzach. Już wystarczyło, że odebrano jej męża, a teraz jeszcze zabrano jej dzieci.  
INDEPENDENCE AVENUE NUMER 100.

- Cóż za ironia - myślał Jeremy, zmieniając biegi w szesnasto-przekładniowej skrzyni biegów i powoli nabierając szybkości ze swoim ładunkiem nawozów sztucznych i oleju opałowego. Jego miejscem docelowym był wielki, ogrodzony plac budowy, znany każdemu, kto tylko przechodził lub przejeżdżał obok wschodniego trawnika Kapitolu. Prace trwały tam już od roku - tajny projekt, który bardzo szybko przestał być tajny. Trudno schować sięgające do nieba dźwigi, wielkie koparki oraz kaski na głowach robotników.

„Washington Post” pierwszy dowiedział się o budowie wielkiego bunkra dla kongresmenów, którego koszt szacowano na czterdzieści milionów dolarów, ale temat nie wzbudził zbyt wielu kontrowersji. W takich czasach ktoś winiłby władzę za budowę schronu?

Dwanaście minut - przypomniał sobie Jeremy. Było to zaledwie trzynaście przecznic od warsztatu blacharskiego, z którego wyjechał betoniarką. Ellis udzielił mu zwięzłych i precyzyjnych instrukcji.

- Wjedź przez Wschodnią Bramę, obok punktu wartowniczego. Dziś w nocy mają robić

wylewkę na przestrzeni tysiąca jardów, co znaczy, że każda betoniarka w tym mieście przyjedzie tam co najmniej raz.

Jak FBI mogło przeoczyć coś takiego? - dziwił się Jeremy, zatrzymując się na światłach. Wiedziało, że terroryści szukają symbolicznych

305

celów i że trudno było o większy, aniżeli potężny, kryty kopułą gmach parlamentu Stanów Zjednoczonych.

Detonator, przewód, baterie.

Jeremy przełożył dźwignię sprzęgła i włączył się do ruchu, przypominając sobie o prostej, niezmiennej budowie każdego ładunku wybuchowego. W tym przypadku ludzie

Ellisa zastosowali pewien rodzaj zdalnie sterowanego zapalnika. Detonator zapalał przewód - znajdujący się zapewne w rurce - przez który iskra miała pobiec do ponad pięciu ton ANFO. Każdy, kto widział wyczyn Timothy'ego McVeigha

w Oklahoma City, wiedział, co to oznacza.

Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby przerwać przewód łączący z detonatorem - myślał Jeremy. I musi zrobić to tak, żeby wszystko wyglądało naturalnie.

Nagle ktoś zajechał Jeremy'emu drogę, zmuszając go do nagłego skrętu w bok, przy czym o mały włos nie uderzył kuriera na rowerze.

- Uważaj, jak jeździsz! - krzyknął Jeremy, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że praca kierowców wielkich ciężarówek jest bardzo trudna.

Facet w samochodzie pokazał mu palec i dodał gazu, pozostawiając Jeremy'ego gotującego się ze złości.

Skurwysyn! - pomyślał. Gdyby tylko ten idiota wiedział, jaki on tu wiezie ładunek. - Gdyby tylko oni zdawali sobie sprawę, że bezpieczeństwo mojej rodziny i miasta pełnego niewinnych obywateli zostały wystawione na szwank jedynie dlatego, że im spieszy się do fryzjera!

Nagle uśmiechnął się. Wpadł na pewien pomysł.

Nacisnął na gaz i skręcił. Rzecz jasna jechali za nim - Ellis albo jeden z kapłanów Pinchasa. Nie widział tego w tylnym lusterku, ale oni byli na tyle sprytni, żeby nie rzucać się w oczy.

No, to tyle, jeśli chodzi o oczekiwania - powiedział sobie, wierząc, że wciąż ma jakąś szansę. Jego plan nie był genialny, ale najlepsze plany rzadko kiedy takie właśnie są.

\*

SIRAD NIE MUSIAŁA ROZUMIEĆ zasady Nguyena bądź stochastycznej teorii powstawania

fał czy też algorytmów Camusa. Musiała jedynie rozumieć, że Ravi znalazł niewykrywalny sposób na pokonanie zapór Agencji Telekomunikacji Białego Domu.  
306

Wiadomość o tym nadeszła tuż po dziesiątej. Młotek właśnie brał prysznic, a Nie Umiem Strzelać parzył kawę.

- Mój Boże - powiedziała Sirad, kiedy ekran jej komputera za-migał, a następnie wypełnił się zdaniami w języku angielskim. - To wygląda jak normalna strona internetowa.

- Bo tak jest - chętnie odparł Ravi. - To WHCA interfejs z DISN DSNET3.

- Ravi.

- Przepraszam. Sieć Systemu Informacyjnego Departamentu Obrony składa się z czterech sieci, które zajmują się utrzymywaniem łączności wojskowej wewnątrz armii oraz z innymi agencjami. DSNET3 -opatrzonej symbolem „Y” -jest najbezpieczniejsza i ściśle tajna - Top Secret /SCI. Pracuje poza ramami międzynarodowych standardów ustalonych w protokołach Disnet-trzy.

- I ona zapewnia bezpieczną łączność pomiędzy Pentagonem a WHCA? - spytała Sirad.

- Pozwala na to, co oni uważają za bezpieczny przekaz informacji z POTUS w dół.

- Doskonały, nieprawdaż? - zapytał Ravi.

- Co? Kto? - nie rozumiała Sirad. O

- Bóg.

- B-b-bbóg? - wtrącił się Młotek. - A co ma do tego B-bóg?

- Złożoność. Bawimy się kodami - powiedział Ravi. - Pan Bóg macha nam przed nosem rozwiązaniami, ale gdy przychodzi już co do czego, to nie możemy wymyślić sensownych pytań.

- Ee, chłopie. Dlaczego ilekroć zaczynamy do czegoś dochodzić, ty raptem stajesz się tajemniczy - zauważył Nie Umiem Strzelać.

- Bo jedyna wielka inteligencja tkwi w Bogu - odparł Ravi. -A poezja to rzecz mechaniczna.

- Czy możemy przelożyć tę dyskusję na nieco później? - zapytała Sirad. - Bo

chciałam o coś spytać.

Nachyliła się nad ekranem komputera i wskazała na linijkę tekstu.

- Jeśli te włamania rzeczywiście pochodzą od WHCA, to co to jest? Młotek pochylił się, chcąc zobaczyć, co ona pokazuje. Teraz, kiedy pachniał mydłem i szamponem, czuł się nieco pewniej.

- CAPSTONE3 - przeczytał na głos. - Moż-ż-że to jakiś kod?

- Do czego? - spytała Sirad. Poruszyła myszką i kliknęła dwukrotnie na coś, co wyglądało najdziwniej.

307

- Powiedzmy, że chcesz przeczytać swoją pocztę e-mailową z czyjegoś komputera, ale tak, żeby ten ktoś o tym nie wiedział - tłumaczył Ravi. Zazwyczaj logujesz się, ale to pozostawia ślad. Wobec tego lepiej jest włamać się, sklonować protokoły dostępu posiadacza komputera i hasło, tak żebyś mogła szybko wejść i wyjść. Trudno jest to zrobić, ale to najbezpieczniejszy sposób w takiej zabawie w chowanego.

- Ale ten intruz myśli, że jest zupełnie niewidoczny - zauważył Nie Umiem Strzelać. - Po co wobec tego jeszcze dodatkowo się kamufluje?

- Ponieważ to zbyt duże ryzyko, aby dać się złapać - myślał głośno Ravi. - Ta osoba stoi tak wysoko, że nie może pozwolić sobie na to, by została odkryta.

- A kto stoi tak wysoko? - dopytywał się Nie Umiem Strzelać. -Prezydent? Sirad nie odezwała się, ale to jej milczenie tylko potwierdziło domysły wszystkich.

- Nie mówisz poważnie - spierał się Nie Umiem Strzelać. - Venable nie jest na tyle sprytny, aby umiał sam to zrobić. Potrzebowałby pomocy kogoś z NSA albo z DISA, a nawet i wtedy wiadomo byłoby, w jakim czasie nastąpiło włamanie.

- Skurwysyn - zauważył Ravi. - I chcą, żebyśmy to my wykryli.

- A czy mamy jakieś ograniczenia? - spytała Sirad, nagle naładowana nową energią. Biegała myszką po całym ekranie, szukając czegoś.

- Nie, żadnych - zapewniał ją Nie Umiem Strzelać. - Jeśli to system WHCA albo DISN, to możemy do niego wejść.

- Wiadomości przychodzące i wychodzące? - chciała wiedzieć Sirad.
- Tak. Mamy dostęp do wszystkiego, co oni robią, mówią i o czym wiedzą.
- Zarówno w kraju, jak i zagranicą?
- Tak. " , -
- Zarówno sprawy wojskowe, jak i cywilne?
- Oczywiście - odpowiedział Ravi. - Możemy się poruszać wszędzie. A o co ci chodzi?
- Chcę dostać się do fałszywych kodów zabezpieczających. Wszyscy trzej wytrzeszczyli na nią oczy.
- To p-p-pieprzona g-gra.
- Tak jest. - Sięgnęła po płaszcz i sprawdziła, czy ma kluczyki. -Czy możecie to dla mnie zrobić?

308

- Jasne, że tak - odparł Ravi. | < vr .-•. !:;. Odchylił się do tyłu, krzyżując ręce Mpiersi. Nagle on też zrozumiał, o co chodzi. :.... /\*-,...| » ,, \

•

PREZYDENT WZIAŁ PRYSZNIC I OGOLIŁ SIĘ, a teraz ubierał się, wkładając tradycyjny

strój -białkoszulę, czerwony krawat i ciemnoniebieski garnitur. Zaraz miało się odbyć posiedzenie gabinetu, jak zwykle w sali posiedzeń, a nie w PEOC, jak sugerowali agenci z Secret Service.

- Dobry wieczór - powiedział, podchodząc do Andrei Chase i swojego sekretarza prasowego. - Chciałbym zająć się sprawą mojej nieobecności w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Nikt się nie odezwał słowem. Jedni patrzyli na prezydenta, inni znów utkwili wzrok w swoich papierach.

- Domyślam się, że musiano plotkować na ten temat, ale teraz nie mam czasu się tym zajmować. Nieważne, co słyszeliście. Znowu jestem w Gabinetcie Owalnym i cała

moja uwaga jest skoncentrowana na tym, że być może jeszcze nie spotkało nas najgorsze.

Chase usiadła przy stole. Sekretarz prasowy stał pod wschodnią ścianą. Prezydent Venable jak zwykle stał z tyłu za oparciem krzesła.

- Może zaczniemy od najaktualniejszych informacji na temat postępów śledztwa - ciągnął prezydent. Skinął głową w kierunku prokuratora generalnego, po czym sięgnął po szklankę wody, w której obowiązkowo musiały pływać kostki lodu.

- Czy powinienem, ee... czy nie powinienem poczekać na panią wiceprezydent? - zapytał prokurator.

- Za sugestią FEMA wysłałem panią wiceprezydent w góry - odparł Venable zdecydowanym, mocnym głosem. - Nawet połączyłbym się z nią, ale w tej chwili jest na pokładzie helikoptera. Więc proszę zaczynać.

Prokurator generalny zaczął przerzucać papiery, przygotowane dla niego przez FBI i DHS. Tak naprawdę to nigdy nie znał się na staniu na straży porządku publicznego. Był jurystą, wykładowcą akademickim, bardziej oddanym teorii prawa niż zastosowaniu go w praktyce. A policjanci to był według niego tylko trochę więcej niż marnie wykształcony

309

zastęp niebieskich kołnierzyków, mający za zadanie zajmować się mętami społecznymi.

- Od czego... ee, od czego mam zacząć, sir?

- Od tego, co powinienem wiedzieć - odpowiedział mu Venable. Od pierwszego razu, kiedy zobaczył tego człowieka, żałował tej nominacji, ale teraz już było za późno, by cokolwiek zrobić. - Czy wiemy coś więcej o Saudyjczykach?

Prokurator generalny przerzucał swoje materiały, aż znalazł teczkę zatytułowaną „Arabia Saudyjska”.

- Tak... ech, śledztwo prowadzone przez FBI trwa. Dyrektor Alred zapewnia mnie, że... Saudyjczycy... tak... Saudyjczycy...

- Matthew, czy mógłbyś nam tu pomóc? - zirytował się Venable. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Havelock służył informacjami o najświeższych

sprawach,

które wydarzyły się od poniedziałku. Przeważnie to dyrektorów CIA albo też nowo powołanych agencji wywiadowczych uważano za najwyższych rangą agentów, ale tak

naprawdę to doradca do spraw bezpieczeństwa od dawna był głównym zaufanym prezydenta do spraw wywiadu.

- Jeśli chodzi o Saudyjczyków, to trzy sprawy - wypalił Havelock z przekonaniem, którego Venable nie dostrzegał podczas pierwszych spotkań. - NSA przechwyciła ogromny wzrost wymiany sygnałów z Chińczykami. Przeważająca część tych połączeń

odbywa się za pośrednictwem telefonów Quantis, więc nie możemy ich podsłuchać, ale towarzyszą im transfery pieniężne z kilku amerykańskich korporacji finansowych. I to duże kwoty. FBI szacuje je na nieco poniżej pięciu miliardów.

- Ma to jakiś wpływ na rynki finansowe? - chciał wiedzieć prezydent.

- Jak tylko ta wiadomość przeniknie do mediów, przewidujemy wpływ na dolara i ostrą zwyżkę metali szlachetnych - mówił Have-lock. - Docierają do mnie spekulacje, że gdy rynki giełdowe znowu się otworzą, indeks Dow Johnes może stracić nawet dziesięć procent... a może i więcej.

- A co na to Chińczycy? - spytał Venable swojego sekretarza stanu.

- Wszystkiemu zaprzeczają. Oczywiście chodzi o ropę naftową. Wiemy o tym, ale nic nie możemy zrobić. Saudyjczycy obniżyli produkcję do poziomu sprzed 1976 roku i udostępnili południowe obszary swego kraju wszystkim firmom wydobywczym

oprócz naszych. Cena

310

---

---

ropy osiągnęła siedemdziesiąt dolarów za baryłkę, a nasze rezerwy strategiczne spadły do najniższego poziomu, od momentu gdy zaczęliśmy je gromadzić.

- Dlaczego? Jak do tego dopuściliśmy?

- To wina poprzedniej administracji - odparł Havelock. - Od obalenia Saddama Husajna amerykańskie koncerny naftowe odnotowywały rekordowe zyski, ale teraz to

wszystko runęło. Mam na myśli potentatów naftowych z Teksasu powiązanych bardzo

blisko z rodem Saudów. Wnioski nasuwają się same.

- A jaka jest linia graniczna? - spytał Venable. Był ekspertem od ubezpieczeń i znał się na wartości.

- Panie prezydencie, tutaj na szwank wystawione jest legalne bezpieczeństwo kraju - powiedział przewodniczący Połączonego Dowództwa Szefów Sztabów. - Cena

pięciu dolarów za galon benzyny może wywołać niestrawność w Des Moines, aleja mam myśliwce oraz czołgi, a one jakoś nie chcą ruszyć z miejsca napędzane dyplomatyczną gadką. Jeśli nie podejmiemy twardych, zdecydowanych działań, i to szybko, to nie będziemy musieli przejmować się jakimiś zbirami z bombami.

Prezydent stuknął palcami w oparcie krzesła - zawsze tak robił, kiedy był zdenerwowany.

- Powiedziałeś, że masz trzy sprawy - przypomniał Havelockowi. - Więc co jeszcze?

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego złożył ręce przed sobą i odwrócił się do sekretarza do spraw energetyki, który na to wezwanie zabrał głos.

- Nasza grupa NEST jest przekonana, że znalazła radioaktywny materiał, który ukradziono w Kentucky. Nie wszystko, ale wystarczająco, aby wszcząć normalne śledztwo.



- Właśnie miałem o tym powiedzieć - wtrącił się prokurator generalny. Wydawał się podekscytowany faktem, że miał coś do zakomunikowania.

- Skoordynowaliśmy działania z FBI i DHA, aby utrzymać bezpieczną odległość, ale nie jest to łatwe zadanie - mówił dalej sekretarz do spraw energetyki. - Dobrze, że radioaktywnych izotopów nie można przetransportować, nie zostawiając śladów.

- Czy znajdują się one w Waszyngtonie? - zapytał Venable. Przypuszczał, że tak się stanie, ale nie sądził, że tak szybko. - Jest pan pewien?

311

- Tak. Analitycy z CIA są gotowi się założyć, że RDD są w mieście. Proszę pamiętać, że tym terrorystom zależy na symbolicznym efekcie. Musimy zakładać, iż celem ich ataku będzie Biały Dom.

- I co jeszcze... szarańcza i zaraza? - Gdyby wiedział, że sprawy mają się tak źle, to może nie wstawałby z łóżka?

- Jest też trochę dobrych wieści, zależy jak na nie spojrzeć - powiedział Havelock. - Atak HRT na ugrupowanie w Columbus? Cóż, jeśli chodzi o tropienie terrorystów, to atak ten może okazać się czarną dziurą, ale zbadanie twardego dysku ujawniło nam kody do kilku tajnych kont księcia Abdullaha. FBI i Zarząd Rezerw Federalnych być może zamrozi niektóre z nich. To pozwoli nam zyskać na czasie.

- Abdullah podniesie krzyk - przerwał mu Venable.

- Prywatnie - być może tak. Ale nie publicznie. Proszę pamiętać, że prowadzi on grę przeciwko własnej rodzinie, starając się zgromadzić dostatecznie dużo pieniędzy, aby po śmierci władcy mieć bazę do uzurpowania władzy. I nie chce, aby pojawił się o tym materiał w Al-Dżazirze.

- Przepraszam - przerwał umundurowany marinę. - Panie prezydencie, Sitroom ma dla pana wiadomość. CRITIC. Bardzo pilną.

- Co znowu, do cholery? - warknął Venable. - Matthew i Andrea, chodźcie ze mną. Richardzie, proszę o opinię na temat reakcji ONZ, jeśli zaatakujemy Arabię Saudyjską. Generale Oshinski - do kolacji chcę mieć na stole plan tego ataku.

- Wszystkie opcje? , ,.

- Wszystkie.

Venable wyszedł z pokoju wraz z doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego i szefową sztabu Białego Domu, pozostawiając resztę w domysłach co do przyszłości.

„Wszystkie opcje” to wcale nie był żaden zakodowany termin, oznaczał po prostu, że prezydent David Venable brał pod uwagę możliwość dokonania pierwszego od sześćdziesięciu lat ataku z zastosowaniem broni jądrowej.

•

JEREMY OBSERWOWAŁ zmieniające się światła. Teraz zapaliło się żółte. Tłum nocnych bywalców barów czekał, żeby przejść przez jezdnię, taksówki jeździły tam i z powrotem w poszukiwaniu klientów.

312

- To będzie bolało - zdecydował, naciskając na pedał gazu. Olbrzymi diesel wypuł chmurę dymu i ruszył naprzód. Przed nim elegancki biały mercedes zwolnił, dojeżdżając do świateł, ale Jeremy nie zdejmował nogi z gazu, wjeżdżając w tył tamtego samochodu i pchając go w kierunku zatłoczonego chodnika.

Hamulce zapiszczały, zatrąbiły klaksony, ludzie zaczęli krzyczeć. Olbrzymia, żółta ciężarówka z gruszką do mieszania cementu wspięła się na tył drogiego mercedesa niczym buldożer. Samochody umykały we wszystkich kierunkach, wpadając

na siebie, rozbijając się, wyginając, wgniatając, paląc opony i rozbijając szyby.

Zanim Jeremy zdążył rozeznac się, czy nikt nie został poważnie ranny, podjechał pędem radiowóz, migając światłami. Na całym wzgórzu Kapitolu aż się od nich roiło.

- Proszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny - powiedział pierwszy z policjantów, podchodząc do szoferki.

Jeremy rzucił wzrokiem do lusterka i rozejrzał się po ulicy dokoła, starając się dostrzec, czy ktoś go śledzi. Czy Ellis osobiście widział ten wypadek? I kiedy się dowiedział?

- A pieprzyć cię, ty dupku - zwrócił się do policjanta. Mówił spokojnie, tuszując słowa uniżonym uśmiechem, mówiącym „Och, jakże mi przykro!”.

- Co powiedziałeś? - zapytał policjant. Był to chudy Murzyn z cienkim jak ołówek wąsikiem pod nosem.

- Powiedziałem, żeby cię wypieprzyć - powtórzył Jeremy, nie przestając się uśmiechać. Starał się wyglądać na wzorowego, posłusznego obywatela. - Założę się, że lubisz białych chłopców, ty głupi murzyński smoluchu.

Oficer odszedł krok do tyłu i przechylił na bok głowę, nie wierząc własnym uszom. Z oddali narastało wycie syren, a wściekli kierowcy wysiadali z samochodów, żeby zobaczyć zniszczenia.

- Proszę wysiąść z ciężarówki, sir - powiedział oficer. Jeremy był pełen podziwu dla jego stanowczego profesjonalizmu.

- Chciałbyś, co? Ty pieprzony kundlu - wypalił Jeremy, cały czas się uśmiechając, jak gdyby rozmawiali o pogodzie. Każdy obserwator tej sceny uznałby go za grzecznego i pogrążonego w żalu grzesznika.

- O co biega? - spytał drugi policjant, podchodząc i stając obok kolegi.

- O twoją kurewską mamusię - odpowiedział Jeremy. •

313

- Że co?

- Wsiadaj, kurwa, z tego samochodu - rozkazał pierwszy policjant.

- O nie, dopóki nie użyję tej broni, tak żeby wasze czarne dupy pofrunęły szybciotko z powrotem do Rwandy.

Drugi z oficerów sięgnął do biodra, aby poczuć obecność broni, a ten z wąsikiem, wspiął się na stopień i wsunął broń przez okienko szoferki, tak że koniec lufy znalazł się tuż przy czubku nosa Jeremy'ego.

- No, to co powiesz o wytaszczeniu swojej dupy z samochodu, żebyśmy mogli sobie pogadać o sprawach rasowych na komisariacie? - powiedział, a jego wzrok cały czas penetrował szoferkę, szukając broni.

- Z przyjemnością, oficerze - skinął głową Jeremy. Siedzący go sądziłby, że po prostu miał pecha. Jeszcze nie rozbroił bomby, ale na pewno zapobiegł jej dotarciu na Kapitol. ^ ». .. y „,=..•....., ,.....

Rozdział XIX

Sobota, 19 lutego ,

5.41 GMT

Mount Weather, hrabstwo Ciarke, Wirginia

ELIZABETH BEECHUM WIDZIAŁA JEGO PLAN i czytała nie-wchodzące w ramy budżetu

prośby o fundusze, ale tak naprawdę to nigdy nie była w tym tak zwanym bezpiecznym miejscu. Z lotu ptaka był to nierzucający się w oczy kompleks budynków i wyasfaltowanych parkingów, o którym mówiło się jako Mount Weather, Miejsce numer 7, albo też „to miejsce na zachodzie”. Wyglądało ono tak, jak setki innych instalacji wojskowych.

Tutaj mieściło się podlegające FEMA Centrum Pomocy Medycznej, ale początkowo Mount Weather było obserwatorium meteorologicznym i placówką naukową.

Dopiero w

latach pięćdziesiątych, w okresie zimnej wojny, ktoś wpadł na pomysł, że to miejsce doskonale nadaje się na bunkier, a w końcu lat dziewięćdziesiątych liczący 483 akry obszar stał się ściśle tajną stolicą rządu - domem dla gabinetu cieni tak tajnego, że nawet osoby wchodzące w jego skład nie zawsze znały swoje kompetencje.

- Proszę się trzymać, madame - powiedział oficer z korpusu piechoty morskiej, gdy wielki, niezdarny HMX-2 raptownie skręcił na lewo i zaczął buchać płomieniami. - Tutaj na Blue Ridge zdarzają się dość nieprzewidywalne przeciwnie wiatry, a nie chcę, żeby panią rzuciło po całej maszynie.

Beechum zrobiła, jak powiedziano, ale jednak wyglądała przez małe, okrągłe okno. Wiedziała, że lecieli wzdłuż autostrady 1-66, na zachód, do miejsca, w którym przechodziła ona w szlak numer 50.

315

Dokładnie po drugiej stronie Middleburga, gdzie góry zaczynały wznosić się ponad rozległymi wiejskimi domami rozrzuconymi w tej krainie koni. Tu szlak 601 skręcał na południe, a potem zawracał. Stara, dwupasmowa szosa, służąca niegdyś powozom konnym, wiała się w górę jeszcze ponad górską drogą Blue Ridge, aż do

miejsca, gdzie płoty oraz drut kolczasty tworzyły złowrogi świat zakazów. Lądowisko dla helikopterów znajdowało się tuż obok budynków, w których mieściły się warsztaty i służby techniczne. Nawet poprzez rozproszone światło reflektorów Beechum dostrzegła bramę wejściową oraz trzypiętrowy, ceglany budynek z wysokimi, kamiennymi kolumnami, które, jak jej powiedziano, miały jedynie za zadanie ukryć szyby wentylacyjne. Lądowiska pilnowali uzbrojeni po zęby żołnierze, zwyczajnie zaś wyglądający ochroniarze w niebieskich mundurach bez żadnych ozdób stali w pewnej odległości, niczym gapie czekający na wyjście gwiazdy.

Podziwiał widoki, póki jeszcze możesz - powiedziała Elizabeth Beechum do siebie.

- Upłynie sporo czasu, zanim znów poczujesz słońce na twarzy.

Kiedy HMX-2 wylądował, przed nią rozciągały się góry Shenandoah. Z białej okrywy śnieżnej unosiła się mgła. Otulona nią odległa dolina zmieniła się w niemal mistyczną scenerię upiększoną światłem księżyca. Znajdowali się zaledwie czterdzieści osiem mil powietrznych od jej gabinetu na Pennsylvania Avenue, ale Mount Weather to był inny świat. . /

•

JORDAN MITCHELL ZAWSZE BYŁ człowiekiem czynu. Czekanie denerwowało go.

- Jeszcze jej nie ma? - spytał. Szef Borders Atlantic rzadko odwiedzał siedemnaste piętro, ale wszystko, czego potrzebował, aby zacząć końcową rozgrywkę, znajdowało się za strzeżonymi przez elektroniczne systemy ścianami pomieszczeń właśnie tam.

- Niech się pan uspokoi - poradził mu Trask. Szef personelu stał w drugim końcu pokoju, usiłując prowadzić rozmowy przez dwa telefony, a równocześnie ułagodzić szefa. W pokoju były jeszcze tylko dwie osoby - inżynier systemu, który mógł być pomocny w skomplikowanej technice, oraz Hamid, uczestniczący od samego początku w tej grze.

Poza Mitchellem tylko on rozumiał, że aby rozpiąć końcówkę godziny delikatnego i złożonego rozwiązania sytuacji, potrzebna jest punktualność szwajcarskiego zegarka.

- A co z Wallerem?

Jeremy Waller okazał się jedyną nadzieją Mitchella. A nawet więcej. W tym snajperze HRT skomasowały się rzadkie cechy: był to gracz doskonale funkcjonujący w pojedynkę, miał zdolność intuicyjnego myślenia i pragmatycznego powątpiewania w odpowiedzi, aktor, zdający sobie sprawę z ograniczoności siły fizycznej. Każdy inny na jego miejscu miałby problemy z samokontrolą, ale u Jeremy'ego etyka pracy i głęboko zakorzeniony patriotyzm trzymały ją w ryzach.

- Poczekaj chwilkę - powiedział Trask do jednej słuchawki. Te rozmowy były bardzo ważne, ale Mitchell był najważniejszy.

- Aresztowano Jeremy'ego.

- Aresztowano? • , Czegoś takiego Mitchell nie przewidział.

- Wygląda na to, że umyślnie wpakował się w kolizję samochodową - relacjonował Trask, dzieląc uwagę między Mitchella i swoje źródło informacji.

- A co z ciężarówką? - pytał Mitchell. - Gdzie, do cholery, jest ta ciężarówka?

- Tutaj, sir - wtrącił się inżynier systemu. Nacisnął guzik i na płaskim, zamocowanym na ścianie ekranie pojawił się Seward Square. -To obraz z kamery zamocowanej na słupie przez Secret Service. Możemy zobaczyć, co się dzieje, pod trzema różnymi kątami.

Mówiąc to, wystukał coś na klawiaturze i ekran podzielił się na cztery części. W jednej widać było samochód policyjny, w drugim -wozy strażackie, w trzecim - karetki pogotowia, a w czwartym - gapiów.

Wielka żółta ciężarówka z gruszką do cementu wyglądała na zmiażdżonym mercedesie jak nosorożec na zającu.

- Czy wiemy, dokąd go zabierają? - spytał Mitchell.

Trask przekazał to pytanie swojemu telefonicznemu rozmówcy, po czym potrząsnął głową.

- Aresztowali go policjanci z Waszyngtonu DC, z komisariatu na Buzzard's Point, w dole rzeki. Chyba tam go zabiorą.

Mitchell starał się postawić siebie w sytuacji Jeremy'ego i odgadnąć, na jaki też pomysł wpadł ten najlepszy z taktycznych operatorów.

317

Czy to zaplanował, czy też była to jeszcze jedna przeszkoda, którą musiał pokonać?

- Gdzie jest Ellis? Pokaż go - rozkazał Michell, wskazując na pusty ekran.

Technik zrobił, co mu kazano. Znowu ukazała się scena uliczna, ale tym razem zza szyby samochodu.

- To on, w samochodzie, kieruje się na północ do kryjówki w Adams Morgan - objaśnił Trask. - Jedzie za nim ze dwunastu naszych ludzi, więc jest bardzo mało prawdopodobne, aby uciekł.

- A Caleb?

Trask porozmawiał przez telefon i dopiero wtedy zwrócił się do swego szefa.

- Jeszcze jest na Kapitolu. Nasi ludzie jadą za nim Independence Avenue. Zdaje się, że podąża za Jeremym.

- Panie Mitchell? - przez skomplikowany system, który rozpoznawał głos, wyszukując jego właściciela w bazie danych i odseparowując od dźwięków w tle, odezwała się jakaś kobieta.

- O co chodzi?

- Ma pan gościa. Panna Malneaux.

- Niech wejdzie. - Mitchell rzucił Traskowi porozumiewawcze spojrzenie. - Ona wie - powiedział.

Trask kiwnął głową i wrócił do swoich rozmów przez telefon.

•

- MÓWIĘ WAM, ŻE PRÓBOWAŁEM zmusić was do aresztowania mnie! Czy nie możecie tego

zrozumieć? - krzyczał Jeremy. Usiłował przekonać tych dwóch policjantów do swego planu od chwili, gdy bezceremonialnie wrzucili go na tył samochodu policyjnego.

- Czarnuch? - sarkastycznie zapytał policjant z wąsikiem. - Czy doprawdy biały w Stanach Zjednoczonych jest takim ignorantem, że nie wie, iż nie używa się już tego określenia?

- Siedziałem na dwudziestu tonach materiałów wybuchowych i byłem cały czas śledzony przez grupę białych suprematystów o morderczych zamiarach - tłumaczył im Jeremy. - Co miałem robić?

- Mógł pan zacząć tak: „Panie oficerze, potrzebuję pomocy” - stwierdził siedzący za kierownicą policjant. Mówił z charakterystycznym dla

318

Murzynów akcentem. - Zdziwiłby się pan, do czego jest zdolny kolorowy, jeśli tylko uruchomi swoją mózgowicę.

Jeremy wykręcił szyję, starając się spojrzeć do tyłu na Independence Avenue, gdzie na dziesięciu kołach stała sobie bomba z nietkniętym detonatorem. Żył nadzieję, że Ellis nie będzie chciał marnować tego urządzenia na nic innego, zaczeka, aż wszystko się uspokoi i przyśle po ciężarówkę innego kierowcę.

- Słuchaj, nie obchodzi mnie, co ze mną zrobicie, ale mówię wam, że ta betoniarka jest wypełniona nawozem amonowym i olejem napędowym. ANFO. To samo

gówno, co Tim...

- A skąd ty wiesz o ANFO? - zapytał kierowca, gubiąc gdzieś murzyński akcent.

- Już wam mówiłem! Jestem tajnym agentem FBI i widziałem, jak te dupki mieszały to wszystko w warsztacie na Trzynastej Ulicy.

- Zadzwonimy? - zaproponował ten z wąsikiem.

- A co nam szkodzi? - Jeremy próbował włączyć się w ich tok rozumowania. - Tylko powiedz jednemu ze swoich kolegów, żeby wlaź i zajrzał do betoniarki. Każdy, kto ma choć trochę węchu, od razu pozna, że to gówno to nie cement.

Policjanci siedzieli, zastanawiając się, uwierzyć czy też nie temu ostrzyżonemu na płasko budowlańcowi, który tak bez niczego rzuciłby bombę.

- Tam jest twój brat - ten z wąsikiem przypomniał koledze.

- Adam dwa-dziesięć, Adam cztery... - mówił do radiowego mikrofonu kierowca.



- Adam cztery - usłyszeli odpowiedź.

Jeremy opadł z ulgą na siedzenie. Rzut oka do środka gruszki potwierdzi jego opowieść i policja będzie mogła ewakuować okolicę, zanim wydarzy się nieszczęście.

Ale już było za późno.

Najpierw dostrzegli błysk -jaśniejszy aniżeli odbicie słońca w lusterku samochodowym. A potem nastąpił ogłuszający huk.

- O, cholera! -krzyknął kierowca.

Od podmuchu wywołanego siłą eksplozji samochód skręcił na prawo, a wszyscy trzej mężczyźni poczuli, że mają zatkane uszy, jak gdyby znajdowali się w spadającym samolocie.

- O, cholera!

Wiedzieli, co się stało, zanim jeszcze kierowca odzyskał kontrolę nad pojazdem i zjechał na bok. Fala terroru, którą widzieli na ekranach

319

telewizorów i o której słyszeli w porannych dziennikach, w końcu dosięgła również stolicę Stanów Zjednoczonych.

- O, kurwa mać! - westchnął policjant z wąsikiem. Wskoczył z samochodu i patrzył w tył, na słynną kopułę. Co prawda szyby powypadały z okien, ale budowla wydawała się nietknięta.

Jeremy kręcił się na siedzeniu, walcząc z kajdankami i z cienką powłoką przewagi nad tragedią, której, jak mu się jedynie wydawało, zdołał zapobiec.

- Adam dwa-dziesięć, Adam cztery! - wołał kierowca do mikrofonu.

Ale nikt nie odpowiadał.

Wszędzie wokół nich ruch zamarł. Ludzie wyskakiwali z samochodów, patrząc na przerażający widok. Setki siedzących do późna w biurach pracowników Kongresu, mieszkańców okolic, bywalców barów i odźwiernych z domów mieszkalnych płynęły

już Independence Ave-nue niczym szalony strumień ogarniętych paniką zwierząt.

- O, cholera! - powiedział znowu policjant.

Jeremy sądził, że ma on na myśli wybuch, ale wtedy zobaczył che-vroleta sedana. I broń.

Caleb podjechał do nich i wycelował błękitną stal pistoletu w okno od strony pasażera. Wystrzelił dwa razy, zabijając obu policjantów, i zrobił to tak naturalnie, jak gdyby miał zamiar zapytać, w którą stronę jechać.

No i racja, że „o, cholera” - pomyślał Jeremy. Zanim zdołał postanowić, co robić, Caleb wyskoczył z samochodu, szarpnięciem otworzył drzwi od strony Jeremy'ego i pociągnął go w stronę chevroleta.

- Myślałem, że już nigdy się nie zjawisz - powiedział Jeremy, ale jednooki albinos nie wydawał się zainteresowany rozmową.

•

- WITAMY W MOUNT WEATHER, PANI WICEPREZYDENT -zwrócił się do Elizabeth Beechum

pułkownik sił powietrznych, przekrzykując furkot śmigła HMX-2. Dwóch agentów Secret Service pospiesznie poprowadziło ją do czekającej czarnej, kuloodpornej limuzyny. Młodszy z agentów niósł jej walizkę, w której znajdowała się przepakowana torba z rzeczami osobistymi oraz pamiętająca chyba jeszcze czasy starożytne skórzana aktówka.

320

- Dziękuję, pułkowniku - odchrząknęła Beechum. Śmigło helikoptera zwolniło obroty, ale nadal wzniecało tumany śniegu. - Mam nadzieję, że w środku jest cieplej!

Było cieplej. I ładniej. Minąwszy wschodnie, dziesięć na dwadzieścia stóp wejście, po paru minutach wiceprezydent znalazła się w prawdziwym podziemnym mieście. W głąb skały opuszczał się wryty w niej przepastny centralny tunel, od którego, tak jak w mrowisku, odchodziły boczne tunele wypełnione wolno stojącymi budynkami, przy czym niektóre z nich były nawet trzypiętrowe.

- Zdumiewające - tylko tyle zdołała powiedzieć, gdy jechali tymi korytarzami.

- Oczywiście, że tak, madame - potwierdził pułkownik. - Jesteśmy przygotowani na obecność dwustu osób przez sześćdziesiąt dni, a na krócej może tu mieszkać nawet do dwóch tysięcy. Mamy tu pełną łączność, a także opiekę medyczną, rozrywkę oraz

urządzenia do obróbki danych.

- Gdzie oni są? To znaczy chodzi mi o ludzi. - Zauważyła, że pomimo oznak aktywności, nie można było dostrzec żywej duszy.

- Są zamknięci na dole. Takie są wymogi. Zasady bezpieczeństwa są tu o wiele surowsze niż te, do których pani zapewne przywykła. Gdy przyjeżdża ktoś ze ścisłego kierownictwa, to znaczy mam na myśli prezydenta lub panią, wstrzymujemy wszelkie czynności i zabezpieczamy miejsce zamieszkania.

- Muszę panu powiedzieć, pułkowniku - powiedziała Beechum, wysiadając z limuzyny

i idąc za człowiekiem w mundurze - że byłam w wielu miejscach, ale nigdy jeszcze w takim, jak to.

- Przypuszczam, że ma swój urok - uśmiechnął się pułkownik. Tuż za drzwiami wejściowymi stali żołnierze piechoty morskiej z bronią gotową do strzału. -

Lubimy myśleć o tym jako o naszym oddalonym od domu silosie.

Beechum zdziwiła ta próba żartowania. Przy tej całej broni, wartownikach i sztucznych twarzach wydała się miłym odprężeniem.

- To jest Margaret, pani sekretarka - przedstawił pułkownik.

- Miło mi panią poznać, madame - powiedziała kobieta. Była ubrana po cywilnemu: wełniane spodnie i sweter z amerykańską flagą na kołnierzyku. Zdaniem Beechum mogła mieć około czterdziestki.

- Mnie również miło cię poznać, Margaret - przywitała ją wiceprezydent.

321

- A to pani gabinet. - Pułkownik otworzył boczne drzwi. W środku stało biurko, kanapa, dwa małe stoliki i pomocnik. Wszystko w barwach szarości i niebieskiego. I dużo mahoni.

- W pomocniku jest lodówka - dodał pułkownik - oraz trzy telewizory z dostępem do stacji kablowych. Łazienka jest tam.

- A jest HBO? - uśmiechnęła się Beechum. - Nie znoszę, kiedy zdarzy mi się przegapić Rodziną Soprano.

- Tak. Mamy też własną stację radiową i telewizyjną, tak na wypadek, gdyby nagle

miała pani natchnienie do nakręcenia własnego serialu.

- Jestem zdumiona, że nie powiesiliście na ścianach płaskich ekranów i widoków Waszyngtonu, aby bardziej to upodobnić do Białego Domu.

- Dobry pomysł - odpowiedział pułkownik. - Właściwie nazywamy to Białym Domem,

ale one nam się nie mylą. Przecież nie chcielibyśmy niszczyć planu dekoracji tego bunkra, nieprawdaż?

Beechum zaśmiała się cicho.

- Z tego telefonu STU-III może się pani łączyć bezpiecznie z Białym Domem. -

Pułkownik podniósł słuchawkę. - Ten drugi telefon to standardowy system multiplex, taki sam, jaki ma pani u siebie w domu, ale nie jest bezpieczny.

Trzeci działa na zasadzie systemu JCSAN/CO-PAN, który zapewne zna pani z Białego

Domu. Rozpoznaje on głos dzwoniącej osoby i z niego połączy się pani z NMCC\* w Pentagonie, z AJCC\*\* w Raven Rock i z prezydentem, gdziekolwiek by się znajdował.

- Dziękuję, pułkowniku. - Beechum rozejrzała się po pokoju i nagle poczuła się strasznie zmęczona.

- Co godzina będzie pani otrzymywać sprawozdania FEMA na temat zapewnienia ciągłości działania rządu, a wkrótce potem spotka się pani z gabinetem.

- Z gabinetem? - zdumiała się Beechum.

- Och, przepraszam... zapomniałem. Tak, szczegóły otrzyma pani wraz ze sprawozdaniem z FEMA, ale powinna pani wiedzieć, że

\* National Military Command Center - Krajowe Centrum Dowodzenia Operacjami Wojskowymi.

\*\* Alternate Joint Communications Center - Zapasowe Centrum do spraw Łączności.

322

zapewnienie ciągłości funkcjonowania władzy wymaga dublowania każdego stanowiska

w gabinecie.

- To znaczy, że jest dublowane stanowisko każdego sekretarza każdego departamentu?

- Tak jest, madame. Mianuje ich prezydent, ale ze względów bezpieczeństwa Senat ich nie zatwierdza. Zwracamy się do nich per „panie sekretarzu” lub „pani sekretarz”. W okresach przejściowych i ostrego zaognienia sytuacji mają tę samą władzę co ich odpowiednicy na powierzchni ziemi.

Beechum nie zwracała sobie głowy pytaniem o „ostre zaognienie sytuacji”, ale jedno ją zainteresowało.

- A co z Kongresem i z Sądem Najwyższym? - spytała. - Czy tu również są dublerzy?

- To już pozostawię tym z FEMA, bo to nieco wykracza poza zakres obowiązków, za jakie mi płacą.

Z tymi słowy jednoosobowy komitet przejściowy zniknął, dając pani wiceprezydent czas na zastanowienie się nad sytuacją. Pomimo nowości, jaki niósł ze sobą ten podziemny świat cudów, Miejsce numer 7 było kryptą, która odgradzała ją od reszty świata oraz misji, którą tylko ona mogła wypełnić.

No, dobrze, Elizabeth - powiedziała sobie, próbując dopasować do swoich wymogów światło jarzeniówki. - Jesteś pochowana pod grubą na pół mili litą skałą, a tymczasem prezydent snuje plany nuklearnego ataku na zagrożenie, którego nawet nie rozumie. I myślisz, że jesteś taka mądra. No to jak się stąd wydostaniesz? Jednak nie było czasu na odpowiedź. Zanim zdążyła usiąść, wpadł pułkownik z wiadomością o kolejnej katastrofie, a z tego, co mówił, wynikało, że w niewielkim, przytulnym schronie wkrótce zapanuje tłok.

ł !\*

WASZYNGTON DC bierze wodę pitną z rzeki Potomac. Jest to szczególnie monitorowany i kontrolowany przez naukowców proces. Wodę filtruje się, aby pozbyła się szkodliwych substancji chemicznych, bakterii itp., a następnie dodaje się do niej chloru, fluoru i nadmanganianu potasu i dopiero w takiej postaci codziennie niemal trzysta milionów jej galonów dociera do konsumentów: prywatnych domów, biur, budynków administracji federalnej.

Pułkownik Ellis będąc w Pentagonie, poznał cały ten system doskonale. Pracując dla DARPA, wiedział, że wodociąg jest bardzo narażony na atak terrorystyczny. Chociaż chemiczne i biologiczne skażenie wydawało się mało prawdopodobne z powodu filtrowania i przepływu wody przez punkty kontrolne, to jednak eksperci nade wszystko obawiali się skażenia radiologicznego. Każdy, kto tylko miał odpowiednią wiedzę na temat działania wodociągu, zdołałby skażić wodę izotopami już po jej przefiltrowaniu. A skutek takiego skażenia dokonanego w zamkniętym systemie mógł być katastrofalny.

Kiedy Olli jechał w dół MacArthur Boulevard w kierunku Stacji Uzdatniania Wody Dalecarlia, Satch nie zastanawiał się zbyt nad procesem oczyszczania wody, kontrolowaniem współczynnika pH czy flokulacją. Interesowało go jedynie, czy spotka swój kontakt - innego członka Komórki numer 6 - i czy uda mu się wrzucić dwie skrzynki tego „świecącego proszku” tak, by nikt nie zauważył.

- Ho, ho! - Jego kolega wskazał na bramę wjazdową ze strażnikiem. Był tylko jeden, kobieta, dwadzieścia pięć kilo nadwagi i znudzona. To wszystko.

Satch poprawił krawat i wyprostował się.

- Dobry wieczór, oficerze - powiedział, opuszczając okno i przybierając najbardziej urzędowy uśmiech.

Kobieta odwróciła głowę, żeby zajrzeć do nieoznakowanej furgonetki.

- Skąd jesteście, kotki? - spytała.

- Z korpusu - odparł Satch, wyciągając doskonale podrobioną legitymację wojskowego korpusu inżynierskiego.

- Nie masz czasem ze sobą trochę kawy, kochanie? - zapytała. - Zmarzłam tu jak uliczna kurwa.

Satch potrząsnął głową.

- Powinienem być o tym pomyśleć - sumitował się. - Wezmę tam w środku i dam ci, jak będziemy wyjeżdżać.

- Ze śmietanką i trzy cukry. - Kiwnęła głową i pomachała im. - I powiedz temu swojemu przystojnemu koledze, żeby od czasu do czasu się uśmiechnął. Inaczej twarz mu pęknie od tej powagi.

Odjeżdżając, słyszeli jeszcze śmiech tej kobiety.

- Wiesz, ona ma rację - powiedział Satch. - Trochę dobrego humoru od czasu do czasu ci nie zaszkodzi.

324

""||| ' ">• ||-...•:||• | •|| ,,:: ..- .. ":-... ,

CAROLINE WALLER CZUŁA SIĘ opuszczona, leżąc tak nago na betonowej podłodze w

ciemnej, pustej piwnicy. Christopher przestał już płakać, Patrick spał na jej brzuchu, a Maddy siedziała gdzieś z boku, nieobecna duchem i myślami.

- Czy dobrze się czujesz, kochanie? - spytała ją Caroline.

- Tatuś przyjdzie i nas uratuje - powiedziała mała.

- Kochanie... - Caroline starała się zachować optymizm, ale nie było sensu kłamać - tatuś bardzo was kocha. Pamiętaj o tym, dobrze? On jest dzielny i kocha was całym sercem.

Maddy przez chwilę milczała, aż wreszcie odezwała się:

- Już nie jestem małą dziewczynką, mammo. I nie wierzę w świętego Mikołaja. Nie wierzę też w jednorożce ani w Batmana, ani w królika wielkanocnego. Ale wiem, że tatuś tu po nas przyjdzie. Nie pozwoli tym złym ludziom nas skrzywdzić.

Caroline chciało się płakać, ale usiłowała to zwalczyć.

- Możesz to powiedzieć Patrickowi i Chrisowi, kiedy się obudzą. Wiem, że on przyjdzie.

Zapaliło się światło, ale równocześnie na schodach rozległy się kroki, więc Caroline i Maddy przestały rozmawiać.

- Nie wierzysz jej, prawda? - spytał jakiś mężczyzna. Do piwnicy wszedł pułkownik Ellis i podszedł do kłębowiska ciał.

- Jakimż trzeba być bydlakiem, aby zrobić coś takiego dzieciom? - spytała Caroline. Postanowiła grać rolę nieszczęśliwej zakładniczki.

- Noo, pani Waller. Czy swojemu mężowi też zadaje pani takie pytania, kiedy wraca do domu z tych wszystkich swoich tajnych operacji? A przecież musi się pani nad tym zastanawiać, nieprawdaż? Gdzieś, w podświadomości. Wie pani, że on

również zabija, ale nie chce pani o tym myśleć... przyznać, że dobry człowiek robi takie rzeczy.

Caroline przyszło do głowy, by udać, że nie ma o tym pojęcia, ale ten człowiek wiedział chyba o Jeremym więcej niż ona.

- Czy uważa się pani za osobę religijną, pani Waller? - Jego głos był miękki, niemal pełen uszanowania. - O ile wiem, należy pani do Kościoła metodystów.

- Co chce pan z nami zrobić? - zapytała Caroline.

Maddy wpatrywała się w nich nienawistnym spojrzeniem. Bardzo chciała zabić tego mężczyznę, ale nie wiedziała jak.

325

- Chciałbym, żeby zastanowiła się pani nad tym, jak wyglądałby świat, gdyby nigdy nie musiała się już pani bać podróży samolotem, autobusem czy pociągiem. I gdyby już nigdy nie musiała pani myśleć

o tym, że pani dzieci dorastają w świecie, w którym jacyś obcy ludzie mogą je skrzywdzić.

Pułkownik podszedł bliżej i przykucnął tak, jak trzydzieści lat temu nauczyli go ludzie z plemienia Montagnard.

- Co by było, gdyby nazwy takie jak Al-Kaida, Brygady Męczenników al Aksa czy Jemaah Islamiya zniknęły z publicznych dyskusji?

I gdyby środki masowego przekazu przestały mówić o terroryzmie, a stacje MSNBC, FOX i CNN zajęły się tylko skandalami obyczajowymi i wymiarem sprawiedliwości odmiennie traktującym ludzi z pierwszych stron gazet?

Pułkownik nachylił się i delikatnie odgarnął włosy z buzi Christophera.

- Co poświęciłaby pani, aby powstrzymać kogoś od prześladowania pani rodziny, tych, którzy są dla pani najdrożsi? I nie jest to pytanie retoryczne - naprawdę chcę wiedzieć.

- Proszę nie próbować zmuszać mnie do zrozumienia pana chorego umysłu - odpowiedziała mu Caroline. Czowała się silna, gdyż miała trójkę dzieci, których musiała bronić.

- Zrobiłaby pani wszystko, prawda? Aby je ocalić, zabiłaby pani lub umarła... z



ochotą oddałyby pani własne życie, aby ocalić jedną, ostatnią rzecz wartą pokładania w niej wiary.

Maddy podpełzła do jej stóp; a ponieważ zabrano jej buty, była tylko w skarpetkach.

- I właśnie chcę, żeby pani to sobie przemyślała: lepszy świat, w którym nie ma podsycanego przez bogów z ryzstoka dżihadu. Świat wolny od Mahometa i jego fałszywych prorocत्व. Żadnych więcej terrorystów samobójców i młodych umysłów skażonych obietnicami posiadania dziewic o oczach jak łanie.

- Mój tatuś cię zabije - oświadczyła Maddy, zaciskając obie rączki w pięści.

- O, dlaczego mnie nienawidzisz, kochanie? - zapytał Ellis. - To straszna rzecz, takie zaciśnięte serduszko u małej dziewczynki. Pewnego dnia to zrozumiesz.

Wstał.

- Chcę, aby pani wiedziała, że robię to z miłości - powiedział - gdyż na końcu tylko miłość nas uratuje. Miłość chrześcijańska. Miłość

326

prawdziwego i prawowitego Boga, który oddał życie swego jedyne narodzonego syna, aby inni mogli żyć. To miłość matki, która w obronie swych dzieci wstałaby i zabiła mnie. To miłość tak czysta, że sam diabeł porwałby się na wszystko, byle tylko ją powstrzymać. Pułkownik zwrócił się do Maddy.

- Skarbie, to miłość, dla której niektórzy szczęśliwcy spośród nas umrą, by ją ocalić. Ja, ty, twój tatuś. To miłość czegoś lepszego.

Odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach.

- A jednak on cię zabije - powtórzyła Maddy, ale w jej oczach nie było widać łez, a głos jej nie drżał.

Pułkownik zatrzymał się w pół kroku, ale nic nie powiedział. I po chwili już go nie było, a rodzinę Wallerów miały tylko prześladować jego złowieszcze słowa.

|| • \* ' |

- MAMY ICH - powiedziała Sirad, wkraczając do centrum operacyjnego na siedemnastym piętrze niczym zdobywca.

Mitchell odwrócił się do niej, ale potem znów zainteresował się czymś, co Trask

pokazywał mu na komputerze.

- Już mam wystarczająco suspensu - powiedział. - Co pani znalazła?

Sirad przeszła obok niego i spojrzała na coś na monitorze, co wyglądało jak napis.

- Nie jestem pewna, czy chciałby pan usłyszeć to w obecności innych - stwierdziła. Zauważyła pewne odniesienie tego napisu do czegoś, co nazywało się Dżafar al-Tayar, a ponieważ знаła świetnie arabski, toteż natychmiast przetłumaczyła to zdanie.

Dżafar pilot? - zdziwiła się. - Z pewnością to nie łączy się w żaden sposób z porwaniem jakiegoś innego samolotu - pomyślała.

- Wszyscy w tym pokoju to ludzie pewni, wtajemniczeni i muszą wiedzieć - oświadczył Mitchell. Odwrócił się od Traska, znajdującego się przy komputerze w drugim końcu pokoju, w jej stronę. - Gdzie jest Waller?

- Właśnie skręcił w lewo z Florida Avenue. Zdaje się, że jadą do kryjówki - informował Trask.

- Czy chce pan to wiedzieć, czy też nie? - zniecierpliwiła się Sirad. Przyszła tu z niebywałymi wiadomościami, takimi, nad którymi Mitchell powinien skoncentrować się całkowicie.

327

- Słucham - powiedział, ale wciąż był pochłonięty czytaniem napisu, gdyż znany był z podzielności uwagi.

- Przedarliśmy się przez ich zaporę - oznajmiła Sirad.

- Białego Domu?

- Agencji Telekomunikacyjnej Białego Domu - uściśliła. - Kontroluje całą przychodzącą oraz wewnętrzną komunikację pomiędzy prezydentem a jego ludźmi.

- A co z futbolem?

- Też - zgodziła się Sirad. - Stoją na straży kodów dostępu do guzika nuklearnego, jak również wszystkich haseł i powiązań łączących Pentagon, Langley, SIOC, Situation...

- Do rzeczy - zażądał Mitchell.

- Sedno sprawy wygląda tak, że teraz mamy całkowity dostęp do łączności Białego Domu - chępliwie oznajmiła Sirad. - Wniknęliśmy do środka, próbując zidentyfikować intruza, a uzyskaliśmy dostęp do wszystkiego, co tylko prezydent i jego doradcy mówią, piszą i wystukują na maszynie.

Mitchell kiwnął głową z aprobatą, ale Sirad zauważyła, że nie wydawał się zdziwiony.

- No i czego się dowiedzieliśmy? - spytał.

- Osoba dokonująca włamania to ktoś, kto ukrywa się za literami CAPSTONE3. Ale to nie jest tak istotne jak to, co on chce zrobić oraz jaką ma władzę.

- Co przez to rozumiesz? - chciał wiedzieć Mitchell. - Moim zdaniem za taką władzą może stać sam prezydent.

- To oczywiste przypuszczenie - zgodziła się Sirad - dopóki nie przyjrzymy się temu, co oni rzeczywiście chcą zrobić.

- A chcą podsłuchiwać nasze bezpieczne łącza. Wiemy o tym - oświadczył Trask.

- Chcą, żebyśmy tak myśleli, ale to tylko taka pułapka, przynęta, a oni tymczasem zajmą się czymś, czego my nie wykryjemy.

- A czym mianowicie? - zapytał Mitchell, żywo zainteresowany relacją Sirad. - Co ten CAPSTONE3 chce, pani zdaniem, osiągnąć?

Sirad rozejrzała się po pokoju. Opowieść Mitchella o pojedynku Alexandra Hamiltona z Aaronem Burrem nabrała teraz sensu. Pomimo swej zawilóści, cała ta sprawa sprowadzała się teraz do kwestii honoru.

- Przepraszam, ale nie mogę wam tego powiedzieć. Jeszcze nie teraz.

328

Wszyscy spojrzeli na nią. Nigdy nie zdarzyło się, by ktokolwiek nie usłuchał rozkazu Jordana Mitchella.

- Nie może mi pani powiedzieć? Z pewnością pani...

- Dawno temu, zanim jeszcze zajęliśmy się tą sprawą, powiedział mi pan, że Borders Atlantic jest pełen tajemnic - przerwała mu. - I że wszystkie one należą do pana.

Sirad wiedziała, że gra o wielką stawkę, ale, tak jak powiedział Mitchell,

czasem ceną za chwałę jest poświęcenie.

- Więc jeśli chce pan ocalić ten kraj przed totalną świętą wojną, to musi mi pan zaufać i powierzyć przynajmniej tę jedną.

•

- A CÓŻ TO, NA BOGA, BYŁO? - zapytał prezydent.

Kiedy ten wybuch zatrzęsł wszystkimi oknami Białego Domu, David Venable stał akurat na podium wraz ze swoją szefową sztabu, sekretarzem obrony oraz doradcą do spraw bezpieczeństwa.

Zanim ktokolwiek zdołał coś powiedzieć, wpadli bez pukania dwaj agenci Secret Service.

- Musimy zabrać pana do PEOC - krzyknął jeden z nich, będący dowódcą.

- Co się stało? - chciał wiedzieć Venable. Agenci wzięli go pod rękę i ściągnęli z podium.

- Zaraz, chwileczkę - rozzłościł się, uwalniając rękę z ich uchwytów. - Nie wracam do tej diabelnej dziury, dopóki nie powiecie mi, co się stało.

- Proszę, Davidzie - przekonywała Chase. - Przecież oni są tu, by cię chronić.

Dowiem się i za dziesięć minut spotkamy się na dole.

- To nie podlega dyskusji, panie prezydencie - powiedział dowódca, znów mocno ujmując ramię prezydenta. W jego głosie nie było uprzejmości. - Musi pan pójść z nami. I to teraz.

•

- DLACZEGO PO MNIE PRZYJECHAŁEŚ? - spytał Jeremy. Wyglądało na to, że każdy

wyposażony w syrenę samochód spieszył na Kapitol, a tymczasem Caleb skręcił w kierunku północno-zachodnim, w Jedenastą Ulicę.

329

- A co ty sobie myślisz, że mógłbym pozwolić, aby zabrali cię na przesłuchanie i żebyś wszystko zepsuł?

Caleb jechał w dół Jedenastą Ulicą. Kierował prawą ręką, podczas gdy w lewej trzymał leżącą na kolanach broń.

- Co zepsuł? Wszystko, co wiedziałem o waszej operacji, uleciało z dymem. Caleb musiał bardzo przekręcić głowę, aby spojrzeć na Jeremy'ego. Utrata prawego oka utrudniała patrzenie na siebie podczas rozmowy.

- Wiesz dostatecznie dużo, aby dotrzeć tu, do naszej kryjówki - powiedział oskarżycielskim tonem. - Ten tatuaż, doktryna, to, że pułkownik Ellis zgromadził wszystkich kapłanów Pinchasa.

- I że współpracowaliście z Indonezyjczykami? - rzucił Jeremy. Caleb drgnął zdumiony, ale nic nie powiedział.

- Ta czystka w dżungli... Wzgórza Jayawijaya - mówił Jeremy. - Jakiś pieprzony Pigmej z bambusem na fiucie i naszyjnikiem z zębów przewodzący stadu terrorystów-amatorów.

Snajperowi HRT podobało się, że teraz Caleb tracił grunt pod nogami.

- Pamiętam, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz - wspominał Jeremy. - Krzyż mojego celownika ustawiłem dokładnie pośrodku tych twoich króliczych oczek. Pamiętam, jak ten biały śmieć, który był z tobą, zawołał cię po imieniu, jak biegali z workami na głowach, a chłopaki z Deltę posiekali ich ze swoich karabinów.

BANG!

To wypalił pistolet Caleba, a pocisk 9 mm przeszył na wylot górną część uda Jeremy'ego. Pokryty miedzią nabój spowodował rozprysnięcie się krwi i tkanki mięsnej, a w końcu wylądował w drzwiach auta.

Przeszywający, palący ból sprawił, że Jeremy przestał na chwilę myśleć, ale jakoś się z tym uporał, potrząsnął głową i ciągnął, jak gdyby nic się nie stało.

- Czy te biedne gnojki, co z tobą były, wiedziały, że ty będziesz żyć, a oni umrą? - spytał, starając się nie dopuścić, by głos mu zadrżał. - Zapewne wciąż słyszysz ich głosy, prawda? Jak to jest, gdy wie się, że się pozostało przy życiu, podczas gdy ludzie, którzy ci zaufali, gryzą ziemię?

- Wkrótce się dowiesz - mruknął Caleb, skupiając uwagę na samochodzie obok, którego kierowca zdaje się słyszał strzał. Jechał obok, aby lepiej się przyjrzeć.

330

Teraz była kolej na Jeremy'ego.

- Lepiej mnie zabij - powiedział. W HRT uczono go dyscypliny, ale każdy ma kres wytrzymałości. - Bo jeśli nie, to jestem diabelnie pewien, że ja zabiję ciebie.

- Tak jak wtedy w dżungli? - odezwał się Caleb. -A kto teraz ma dziurę od kuli?

Przejechał na czerwonym świetle i skręcił we Florida Avenue.

- Nie - mówił dalej Caleb. - Powiem ci dokładnie, co będzie. Zabiję ich na twoich oczach, żebyś wiedział, jak to jest, gdy traci się jedyną, ostatnią rzecz w życiu, w którą warto wierzyć.

Jeremy'emu przeszła chęć na ripostę. Siedział i patrzył, jak krew wolno sączy się z nogawki spodni.

Jest jeszcze czas - uspokajał się. Jeśli chciał ocalić rodzinę i powstrzymać Ellisa, to musiał schować swoje ego do kieszeni i załatwiać sprawy tak, jak umiał najlepiej - to znaczy sam.

Rozdział XX

Sobota, 19 lutego

6.10 GMT

Baza sił powietrznych w Andrews, hrabstwo Prince George's,  
Maryland

PULKOWNIK ELLIS NIGDY nie wzdragał się przed przemocą. Od bójek w sąsiedztwie,

przy których okazji wuj zbierał na niego zakłady, poprzez bitwy toczone przez armię, aż po sankcje związane z tajnymi operacjami, które prowadził w różnych zakątkach świata. Wszędzie przemoc nie odstępowała go na krok.

Skup się na swojej pracy - łajał sam siebie. - Tylko jeden prawdziwy i prawowity Bóg rozumie bieg próżnych, ludzkich knowań. Tylko jeden prawdziwy i prawowity Bóg może poprowadzić wybrańców do ziemi obiecanej.

Ellis leżał w śniegu, trzęsąc się, przykryty białym kamuflażem i plątaniną uzbieranych gałęzi. Trójkątny hamulec wylotowy jego barretta kalibru .50 wystawał z tej starannie skonstruowanej kryjówki.

- Wkrótce będzie po wszystkim - mówił sobie. -I wkrótce będzie widoczny prawdziwy efekt całego naszego poświęcenia.

Patrzył przez przymocowaną do karabinu lunetę na pas startowy numer dwadzieścia trzy, w kierunku wschodnim. Gdzieś tam w dole, za starannie ustawionymi C-141, C-17, gotowymi do błyskawicznego poderwania się myśliwcami atakującymi oraz potężnie umocnionymi punktami kontrolnymi, samolot Sądu Ostatecznego będzie odbywać swój ostatni lot.

- Niech będą błogosławieni ci, którzy czynią pokój, bo to oni zostaną nazwani synami boskimi - wyszeptał sam do siebie.

332

Wkrótce będzie po wszystkim i wkrótce wszystko zacznie się na nowo.

•

, - TO BYŁ OLBRZYMI WYBUCH materiału promieniotwórczego - powiedziała Andrea

Chase. - Jest sto trzydzieści siedem ofiar, ale ekipy ratownicze wciąż jeszcze nie mają ostatecznych liczb i sądzą, że zginęło więcej ludzi.

Szefowa sztabu Białego Domu poszła za prezydentem w róg sali. Znajdowali się w PEOC. Większość miejsc była już zajęta; stawili się wszyscy, a personel pomocniczy, od specjalistów od łączności począwszy, a na tych, którzy zajmują się logistyką w czasie sytuacji kryzysowych, oraz ekspertach od spraw bezpieczeństwa skończywszy.

- Brudna bomba? - zapytał.

- Tak na razie sądzimy - skinęła głową Chase. - DOE ma pod ręką ekipę NEST, która bada inną kryjówkę w Adams Morgan. Włamali się, aby ocenić stopień promieniowania.

- I?

' - I, co brzmi dziwnie, nie wydaje się zbyt groźne.

Prezydent odwrócił się w stronę kilku ekranów telewizyjnych, na których pokazywano najświeższe doniesienia. Jakież to fatalne, myślał, że od początku tego całego koszmaru najlepszym wywiadem okazały się kamery i dziennikarze.

- Niegroźne dla kogo? - domagał się wyjaśnień. - Iowa? Czy widzisz to samo, co ja?

Zniszczenia wyglądały na gigantyczne. Większość sklepów przy Independence Avenue

została zrównana z ziemią lub bardzo zniszczona. Wyglądało, że mury gmachu Sądu Najwyższego przetrwały. Na ulicach pełno było szczątków samochodów, autobusów i ciężarówek, a na przestrzeni ośmiu przecznic wisały na drzewach ludzkie szczątki.

- Mówiłam o napromieniowaniu - wyjaśniła Chase. - Oczywiście, że była to koszmarna eksplozja, ale ładunek rozproszył materiał radioaktywny tak bardzo, że teraz nie stanowi on śmiertelnego zagrożenia. Zdaniem ekspertów z DOE wiatr i śnieg oczyszczą teren.

- I to wszystko, co mieli? - spytał prezydent. - Czy oni użyli do tego całego materiału promieniotwórczego?

333

- Za wcześnie, by to wiedzieć - wyjaśniła Chase. - Siły powietrzne mają WC135W, co nazywa się stałą Phoenix, i przywiozą to, żeby zmierzyć poziom opadu.

Venable pomyślał przez chwilę, a potem kiwnął głową, jakby zgadzając się sam ze sobą.

- Andrea, nie mam zamiaru czekać na następny atak. Już czas na odpowiedź, musimy udzielić jej tym zwierzętom, zanim...

- Udzielić, ale komu? - Chase spodziewała się tego od samego początku. -

Davidzie, wiesz, jaka jest w tym wszystkim stawka. A my nawet nie wiemy, kto się za tym kryje.

- Lokalne stacje telewizyjne właśnie otrzymały przyznanie się do winy - krzyknął ktoś. To był wchodzący akurat Havelock. - Ta sama kaseta i ten sam język. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, panie prezydencie. To te same mordercze skurwysyny, z którymi cały czas mamy do czynienia.

- Przecież nie możemy rozpoczynać wojny tylko dlatego, że mamy czyjeś przyznanie się do winy - sprzeciwiała się Chase. - Na Boga! Przecież mówimy o potencjalnej trzeciej wojnie światowej!

- Jest jeszcze coś - powiedział Oshinski. - NSA przechwyciło rozmowę między



księciem Abdullahem a ministrem spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej.

Rozmawiają, i to ze szczegółami, o tych atakach.

- Jakimi szczegółami? - zapytała Chase z niedowierzaniem. - Sądziłam, że używają telefonów Quantis i że nie można podsłuchać ich rozmów.

- Te akurat prowadzili przez inne telefony - oświadczył Havelock.

- Przez inne? Dlaczego? Dlaczego mieliby rozmawiać przez inne, narażone na podsłuch telefony, i to o sprawach groźnych dla ich bezpieczeństwa? Co powiedzieli? Czy przyznali się do zamachów?

- Niezupełnie. To nie brzmiało tak jednoznacznie. Ale wiedzieli o szczegółach, o których nie wie prasa.

- Wywiad Arabii Saudyjskiej jest na światowym poziomie - spierała się Chase. - Mogli otrzymać te informacje z dziesiątków innych źródeł.

Venable zaczął spacerować po pokoju, w którym zawrzało.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Nie znam całego procesu, ale zadzwonię. Chcę, żeby na terenie Arabii Saudyjskiej wybrano dwa cele strategiczne; mają to być instalacje wojskowe, tak aby nie było dużo

334

ofiar wśród ludności cywilnej - nie chcę, aby ktokolwiek grał mi tu sympatiami wobec Bliskiego Wschodu.

- Może obozy szkoleniowe Al-Kaidy? - zasugerował Havelock.

- Jakie znów obozy szkoleniowe Al-Kaidy? - spytała Chase. - Czy znamy jakies?

- Nie, ale na tym właśnie polega urok tajnych informacji - odpowiedział jej doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Możemy wybrać jakiś dowolny cel i

twierdzić, że to właśnie to. Kto udowodni, że tak nie jest?

Chase roześmiała się z oburzeniem, ale Venable zdaje się kupić tę sugestię.

Nabrał takiej pewności siebie, jakiej żaden z jego doradców nie spostrzegł u niego od początku kryzysu.

- Cztery główce - rozkazał. - Najmniejsza broń taktyczna, jaką dysponujemy. Skończmy z tym zaraz i raz na zawsze.

- Obawiam się, że to nie takie łatwe, sir - zastopował go Oshinski.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Jako prezydent mam pełnię władzy, aby...
- Trzeba wziąć pod uwagę naszych sojuszników w NATO - uświadomiła mu Chase. - Musimy poczynić przygotowania, aby ich zawiadomić.
- I musimy umieścić wyrzutnie na wyznaczonych pozycjach -dodał generał. - Teraz nasz okręt USS „Intrepid” wypłynął z Kanału Sueskiego i kieruje się na południe, ale nie możemy wystrzelić rakiety z głowicą jądrową, dopóki nie będziemy pewni, iż znajduje się on na Oceanie Indyjskim w bezpiecznej odległości.
- Należy też rozważyć kwestie bezpieczeństwa wewnątrz Stanów Zjednoczonych - argumentowała Chase. - Taka decyzja zmusza do wprowadzenia stanu wojennego, mobilizacji DEST. Musimy skoordynować działania osiemnastu tysięcy lokalnych, stanowych i federalnych agencji stojących na straży porządku publicznego. Musimy dać FEMA czas na zorganizowanie obrony cywilnej oraz przygotować ewentualne plany ewakuacji dla NACAP, a także dla Nowego Jorku i Los Angeles. Moim zdaniem będziemy musieli włączyć do tego również Fed\*; niemal gwarantowany będzie run na banki.
- Nie możemy zapominać o ambasadach i placówkach wojskowych za granicą - dorzucił Oshinski. - Musimy zmienić stopień gotowości obronnej kraju, czyli DEFCON, na poziom czwarty, a to wymaga czasu.

\* Fed - Federal Reserve Board - Zarząd Rezerw Federalnych.

335

- A Secret Service nie pozwoli ci tu zostać, Davidzie, szczególnie teraz - dorzucił Havelock.
- Co ty mówisz? - zdenerwował się Venable. - Beechum jest już w Mount, jak to się tam nazywa. Dokąd więc ty... to znaczy oni... zaproponują mi wyjazd?
- Kneecap\* - odparł Oshinski. - a przynajmniej tak zwykliśmy to nazywać. To dowództwo sił powietrznych oraz centrum kontroli, mające za zadanie trzymać cię z dala od działań wojennych w początkowej fazie wojny jądrowej.

- Wojny jądrowej? Jakiej znowu wojny jądrowej? - dziwił się Venable. - Przecież mówię o ograniczonych uderzeniach na znane pozycje Al-Kaidy.

- Musimy brać pod uwagę odwet - oświadczył Havelock. - Analitycy z CIA sporządzili takie modelowe scenariusze. Prognozują one, że świat arabski będzie postrzegać jakikolwiek jednostronny atak jako zaatakowanie Mekki i zareaguje, tworząc zjednoczony front. Musimy też spodziewać się akcji odwetowych ze strony Korei Północnej oraz Iranu. A jeszcze dołączą się do tego, i to z ochotą, Palestyńczycy. Al-Kaida obwieści szaleństwo świętej wojny na całym wybrzeżu Pacyfiku, w Europie i w Afryce.

Venable potrząsnął głową- Nie upłynął jeszcze miesiąc, jak objął urząd, a już ogłaszał pierwszy atak jądrowy od 1945 roku.

- Nie mogę po prostu stać bezczynnie, gdy oni nas niszczą. Mam rację? Nikt nie odpowiedział. Przytłaczający ciężar pytania prezydenta sprawił, że odebrało im mowę.

•

SATCH, KTÓRY, ZANIM ZOSTAŁ kapłanem Pinchasa, pracował jako inżynier, bez trudu

poruszał się po terenie Stacji Uzdatniania Wody Dalecarlia. Choć była większa niż ta w jego rodzinnym mieście w Birmingham, to działała na dokładnie takich samych zasadach. Woda wprost z naturalnego źródła, w tym przypadku z rzeki Potomac, płynęła

\* NEACP - zwany potocznie Kneecap - specjalne samoloty Boeing 747 używane przez armię Stanów Zjednoczonych.

336

przez potężne wodociągi do zbiornika retencyjnego, na którego dnie osiadał wszelki osad i szlam.

Stąd woda płynęła do zbiorników oczyszczających o pojemności wielu milionów galonów, a potem znowu przez dodatkowe filtry do urządzenia, w którym dodawano do niej chemikaliów, od fluoru począwszy, poprzez wapń aż po podnoszący jej

wartości smakowe węgiel drzewny i dwutlenek siarki. I dopiero wtedy ten finalny produkt był przechowywany w podziemnym basenie i stąd trafiał do konsumentów. I właśnie tutaj, jak o tym dobrze wiedział Satch, znajdowało się najslabsze ogniwo całego systemu. Co roku inżynierowie wpompowywali do tego zbiornika niemal cztery tysiące ton wapnia, osiem tysięcy ton ałunu, dwa tysiące ton chlorku i czterdzieści ton siarczanu miedzi. Wrzucenie dwóch czarnych skrzynek pełnych cezu i wykonanych z kobaltu implantów chirurgicznych wielkości ziaren ryżu to tylko moment.

Udając inspektorów badających czystość wody, operator z Komórki numer 6 i jego stoicki towarzysz udali się do automatycznego urządzenia uzdatniającego.

Wszystkim było wiadomo, że inspektorzy pracują sami, aby chronić tajemnice swoich metod, a tych dwóch miało zarówno odpowiednie dokumenty, jak i posługiwało się właściwą terminologią. W czasie gdy wrzucali swoje śmiertelne dodatki, pracujący na nocnej zmianie zaparzyli świeżą kawę.

- Dobrze - pomyślał Satch, nalewając kawy sobie i do drugiej filiżanki dla kobiety przy bramce. Po miesiącach przygotowań i nieskazitelnym wykonaniu był powód do wypicia drinka.

- Śmietankę i dwa cukry - powiedział. Kofeina była jedynym złym nałogiem, na jaki sobie pozwalał. Coś mocniejszego nigdy go nie nęciło.

•

WSZELKIE NADZIEJE DOTYCZĄCE szybkiej ucieczki zostały pogrzebane w chwili, gdy

kula przebiła mu udo. Udało mu się zatamować krwawienie, ale tylko wtedy, kiedy siedział. Wiedział, że gdy wstanie i zacznie się poruszać, rana ponownie się otworzy, i tak właśnie by się stało, gdyby próbował wydostać się z samochodu. A więc ten scenariusz odpadał. Półautomatyczny pistolet leżał na kolanach Caleba, niewidoczny dla przejeżdżających obok, ale śmiertelnie niebezpieczny dla pasażera z FBI.

- A skąd ty wiesz o nas? - spytał Caleb gdzieś po dziesięciu minutach jazdy.

- Pieniądze - odpowiedział Jeremy. Patrzył przez okno, starając się zapamiętać charakterystyczne szczegóły. Jego znajomość Waszyngtonu ograniczała się do map i adresów, które przekazywali mu tajni informatorzy. - Zdziwiłbyś się, co może się okazać, gdy przepuścisz pięciodolarowy banknot przez parking dla przyczep mieszkalnych.

Caleb nic na to nie powiedział. Jego emocje zdawały się być tej samej barwy co jego skóra.

- Doprawdy myślisz, że Pan Bóg nie pociągnie was za wasze czyny do odpowiedzialności? - spytał Jeremy. Nie czuł potrzeby konwersacji, ale odwracała jego myśli od okropnego bólu w udzie.

- Bóg? - zdziwił się Caleb. Sugestia Jeremy'ego zaszokowała go jako niebywale śmieszna. - Jesteśmy jego wojownikami. Jego ramieniem przeciwko Filistynom. Za to, co robimy, nagrodzi nas wiecznym zbawieniem.

Jeremy zaczął mocniej uciskać ranę.

- To aby dostać się do nieba, zabijacie niewinne kobiety i dzieci?

- Po to, by miliony innych mogły żyć - upierał się Caleb. Ton jego głosu wyraźnie się zmienił. - Na wojnie zawsze są ofiary. Wyobraź sobie, ilu ludzi umrze, jeśli pozwolimy tym muzułmańskim psom kontynuować ich terror i masakrowanie ludzi na ulicach. Jak długo przetrwamy jako chrześcijanie, jeśli pozwolimy im rozmnażać się wśród nas i przenikać do naszej społeczności? Czy myślisz, że im zależy na amerykańskim modelu życia? Oni gardzą nami i nie przestaną, dopóki wszyscy nie wymrzemy.

- Więc wy dołączacie do nich? - spytał Jeremy. - Wykonujecie ich rozkazy tu, we własnym kraju, gdyż oni nie mogą działać tutaj sami.

Caleb przestał patrzeć na drogę i spojrzał na Jeremy'ego raczej z zaciekawieniem niż z niechęcią.

- A więc to tak myślisz? - zdumiał się, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Być może mieliśmy o tobie zbyt dobre mniemanie. Sądzę, że już niedługo się dowiemy.

Nacisnął na hamulec i skręcił na lewo, w Everest, ulicę, wzdłuż której stały

jednopiętrowe domy. To była zadbana dzielnica, z budynkami z lat siedemdziesiątych, łączącymi się ze sobą płotami i kamiennymi misami napełnionymi wodą, aby ptaki mogły się kąpać.

- Co tu jest? - zapytał Jeremy.

- Chciałeś zobaczyć swoją rodzinę, prawda?

338

Caleb otworzył pilotem drzwi do garażu i skręcił na wąski podjazd. Drzwi otworzyły się, a potem zamknęły za nimi.

- Moją rodzinę? - zapytał Jeremy. To było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

- Przywiozłeś mnie do mojej rodziny?

- Oczywiście. - Caleb wyłączył silnik. Drzwi do domu otworzyły się i wyszedł z nich jeszcze jakiś mężczyzna z bronią o krótkiej lufie. -To jedyny sposób, aby wydobyć z ciebie to, co musimy wiedzieć.

•

SEKRETARZ OBRONY ZDOŁAŁ uciec z Waszyngtonu helikopterem. Bądź co bądź był

najwyższym rangą wojskowym, człowiekiem odpowiadającym za utrzymanie, w czasie

kryzysu, bezpieczeństwa w kraju. Zawsze poruszał się helikopterem.

- Co za korek, nie? - mówił SECDEF do interkomu. Jego sekretarz do spraw administracyjnych siedział obok niego w MD-530 „Małym Ptaszku” i potrząsał głową.

Był kiedyś wojskowym, ale jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego.

Trzysta stóp pod nimi długi sznur samochodów wił się wśród wzgórz zachodniej Wirginii. Czarne cadillaki town car i limuzyny, samochody osobowe i humvee - wszystko, co tylko było dość duże i szybkie, aby przewieźć przedstawicieli legislatury, wymiaru sprawiedliwości i biznesmenów z Waszyngtonu. Polityczna elita kraju pędziła drogą numer 50 w kierunku przyszłości, której wciąż nie rozumiała.

- Przypomina pościg za OJ. Simpsonem - odpowiedział sekretarz.

- Myślę, że nasze bezpieczne miejsce nieposiadające nazwy nie będzie zbyt długo nienazwane.

SECDEF potrząsnął głową. Pomimo hermetycznej zasłony, jaką okryto Mount Weather,

nie było sposobu ukryć w Waszyngtonie szybkiej mobilizacji tych, których desygnowano, by przeżyli.

- Jeszcze dwie minuty, sir - powiedział pilot MD-530. Sekretarz obrony popatrzył w dal, na pokryte śniegiem wzgórze, gdy tymczasem łatwo sterowalny helikopter skakał w górę i w dół, lecąc nad ziemią.

- Co powiedziałaś rodzinie? - spytał.

- Że ich kocham - wyznał sekretarz.

- Taak, ja też - przytaknął sekretarz obrony, ale niemile uczucie w żołądku mówiło mu, że to nie wystarczy.

339

|| • ... ' • | ||| - - ||

- TATUSIU! TATUSIU! •

Caroline popatrzyła w górę i pomyślała, że ma halucynacje. To nie mógł być Jeremy. :

Ale był.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - odezwał się snajper uspokajająco, podczas gdy Caleb i ten drugi z bronią poszli za nim do piwnicy. - Tatuś jest tutaj.

Maddy wstała i podbiegła do niego, obejmując go za nogi, jak robiła tyle razy, kiedy wracał do domu po zakończeniu misji. Jednak tym razem jej uścisk wywołał falę bólu, tak że Jeremy niemal się skrzywił.

- Spokojnie, dzieciaki - powiedział, gdy ten z bronią pchnął go do przodu. -

Teraz zaczekajcie koło mamusi, dobrze?

Maddy, poplamiona krwią z rany, która otworzyła się, a krew zaczęła sączyć się na podłogę, wróciła na swoje poprzednie miejsce.

- Tatusiu, ty krwawisz! - krzyknęła Maddy. - Co zrobiłeś mojemu tatusiowi, ty

wstrętny piracie?

Mała dziewczynka rzuciła się na Caleba, waląc go piąstkami, ale jednooki albinos po prostu walnął ją wierzchem dłoni. Uderzył mocno, tak że Maddy upadła na zimną, cementową podłogę.

- Maddy! - krzyknęła Caroline. - Chodź tutaj!

Jeremy pokazał głową i Maddy wróciła na swoje dawne miejsce, czerwona na buzi i wciąż z zaciśniętymi piąstkami.

- Będzie dobrze - uśmiechnął się Jeremy - ale kochanie, rób to, co mówi mama.

•

PULKOWNIK ELLIS czekał na ten dzień trzydzieści lat. Wszystkie planowania, poświęcenie, modlitwy i duszne rozterki doprowadziły go do tej chwili, którego wojskowi towarzysze zwali godziną zero. To była realizacja złożonego, zuchwałego marzenia - boskiego objawienia na polu bitwy, którego nawet teraz nie miał zamiaru kwestionować.

Prowadź, podążaj za kimś albo zjeżdżaj - wbijał mu do głowy jego pierwszy instruktor musztry.

Ale on nigdy nie należał do tych, którzy idą za kimś.

340

- Wschodni pas startowy numer dwadzieścia trzy - powtarzał sobie, rozglądając się, czy coś się dzieje. Niemal wszystkie ewentualności zostały uwzględnione i sprawdzone dwukrotnie. Tak jak w każdej operacji, istniała możliwość katastrofy, ale w tym przypadku niewielka. Na tym właśnie polega piękno modelu opartego na braku przywódcy. Jeśli nawet wróg schwyta kogoś z nich, to ten i tak nie będzie wiedział dostatecznie dużo, by wydać całą organizację.

Pułkownik sprawdził dwukrotnie swój sprzęt.

Dbaj o sprzęt, a wtedy on będzie dbać o ciebie - powtarzali mu kiedyś w kółko instruktorzy. Ta prosta rada zapadła w pamięć osiemnastoletniego, pozbawionego rodziców chłopaka, który chciał na świecie wyłącznie jednego: sprawy, za którą warto umrzeć.

No i to byłoby wszystko. Doznane na polu bitwy objawienie przerodziło się w



obsesję. W ostateczne zadanie.

- Pamiętaj, jak zostaniesz przyjęty i wysłuchany - szepnął, recytując Biblię. -

Ten, który przyjdzie, będzie odziany w białe szaty; i nie wyjawię jego imienia z księgi życia, ale wyznam to imię przed obliczem ojca mego i jego aniołów.

Biel - pomyślał Ellis. - Nowa biel: kolor dobra, r

- JAKIM TRZEBA BYĆ skurwysynem, żeby uderzyć małą dziewczynkę - zauważył Jeremy.

Odwrócił się do Caleba i mówił tak, by jego dzieci nie słyszały.

- Takim, który żąda informacji. - Caleb pchnął Jeremy'ego do przodu tak, że ten, będąc ranny, niemal się przewrócił.

- Mówiłam ci, że wróci po nas, prawda, mamusiu? - przypomniała Maddy. Stała nad leżącą na podłodze Caroline, ale tylko dlatego, że tak jej kazano. Mała utkwiała wzrok w ojcu, czekając na odpowiedź.

- Tatusz? - spytał Christopher. Średnia latorośl rodu Wallerów podniosła głowę z piersi Caroline i usiadła. - Tatusz?

- Cześć, chłopie - powitał go Jeremy. Pomimo bólu w nodze i wściekłości uśmiechał się. - Trzymaj się teraz blisko mamy, dobrze?

Christopher chciał zerwać się i podbiec do tego, którego uważał za supermana, ale zobaczył Caleba i strach, jaki czuł wobec białego pirata, kompletnie go sparaliżował.

341

- To wszystko jest niezmiernie wzruszające, ale nie mamy czasu - stwierdził Caleb, gdy już popychany przez niego Jeremy znalazł się kilka stóp od swoich bliskich.

Wykonał ruch ręką i ten drugi, z bronią, ukląkł, by chwycić Chri-stophera.

- Nie! - Malec zaczął chlipać. Przywarł do matki, mocząc łzami koszulę, którą była przykryta Caroline. Matka próbowała przytulić go, ale związano ją tak, że nie mogła się ruszyć.

- Dość tego! - krzyknął Jeremy, pchnąwszy jedną, wolną ręką faceta z bronią, ale Caleb powalił go na podłogę.

- Zostaw mojego tatusia! - wrzeszczała Maddy, padając na Jeremy'ego i usiłując w ten sposób obronić go przed tymi złymi ludźmi.

- Ile oni wiedzą o projekcie Megiddo? - zapytał Caleb. Jeremy starał się nie okazywać, jak bardzo boli go noga.

- Nigdy nie słyszałem o żadnym projekcie Megiddo - odpowiedział. Odepchnął Maddy i wstał, trzymając się ściany.

- Odpowiedź numer jeden - zła - oznajmił Caleb. Facet z bronią walnął kolbą w prawą stopę Christophera.

- Auuuuuuuuuu! - zaczął krzyczeć chłopiec. Upadł na bok, nie mogąc stanąć na zdruzgotanej nodze.

Myśl! - nakazywał sobie Jeremy, a tymczasem tamten zamierzył się do kolejnego uderzenia. - Nie wyjdiesz stąd żywy, jeśli emocje wezmą górę. Do pokonania przeciwnika wykorzystaj to, co masz wokół siebie.

I zwrócił się do Caleba:

- Nie jestem w stanie nic zrobić, byś przestał krzywdzić moją rodzinę. - Mówił najspokojniej, jak tylko potrafił. - Otrzymałem rozkaz powstrzymania cię przed dokonaniem dalszych zamachów. Nigdy nie słyszałem o żadnym projekcie Megiddo.

- I dlatego pomogłeś w przygotowaniu zamachu z użyciem tej betoniarki - zauważył szyderczo Caleb. Mówił normalnym głosem, dopóki Christopher łapał oddech przed kolejnym krzykiem, kiedy jednak zaczął znowu płakać, Caleb wrzasnął: - Czy w ten sposób chciałeś powstrzymać dalsze ataki?

- Nie wiedziałem, co planujecie - tłumaczył Jeremy, starając się nie patrzeć na swoją torturowaną rodzinę. - Przecież słyszałeś, co powiedział mi Ellis! Jedyny sposób na poznanie waszych planów to stać przy was do ostatniej chwili.

- I nigdy nie słyszałeś o Dżafarze al-Tayarze?

342

Jeremy starał się udąć zdziwienie.

- To chyba po arabsku - stwierdził. - Dowiedziałeś się o tym od Indonezyjczyków, czy co?

Caleb próbował coś wymyślić. Czy to możliwe, aby człowiek tak wychowany jak Jeremy stał tu i kłamał, widząc cierpienia swojej rodziny? Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Albinos kiwnął głową i ten z bronią podniósł kolbę nad golenią Caroline, po czym walnął z całych sił, rozłupując kość i roztrzasłając kolbę.

Caroline chwyciła powietrze, ale niemal zakrztusiła się od potwornego bólu.

Rodziłaś trzy razy. Nie dawaj satysfakcji temu sadyście - powiedziała sobie.

- No i patrz, co zrobiłeś! - wrzasnął Caleb na tamtego, który trzymał w ręku połamaną broń. Pomimo tego trzymał palec na spuście i mierzył w Caroline.

- Auuuuuuuu! - rozkrzyczał się znów Christopher, nie mogąc znieść bólu i nie rozumiejąc tego całego horroru.

- Force suplex - rzucił Jeremy.

Te dwa słowa wyrwały mu się zupełnie niechcący, niczym czknięcie albo beknięcie.

W całym tym otoczeniu zabrzmiały śmiesznie. Siłowanie się to była taka zabawa, w którą bawili się z Maddy w dawnych, dobrych czasach.

- Siłowanie? - spytała mała. Pomimo wrodzonej odwagi dziewczynka płakała, ale teraz otarła łzy wierzchem dłoni. Maddy może i była mała, ale była nieodrodną córeczką tatusia, a to oznaczało genetyczne predyspozycje do działania.

- Hej-ya! - krzyknęła uczennica trzeciej klasy szkoły podstawowej. Caleb był tak zaskoczony tą eksplozją, że nie zareagował, kiedy

Maddy, znajdująca się w odległości wynoszącej mniej więcej dwukrotną długość jej ciała od tego faceta z bronią, nagle oderwała stopy od podłogi i przeleciała w powietrzu jak zawodowy mistrz wrestlingu. Uderzenie jej trzydziestokilogramowego ciała było zbyt słabe, by tamten choćby drgnął, ale nie o to chodziło.

Jeremy wykorzystał ten moment nieuwagi. Stojąc po prawej stronie Caleba, zrobił krok w przód, a tamten nie mógł tego zobaczyć. Mściwy cios Jeremy'ego trafił tamtego w podbródek i powalił na podłogę.

BUUM!

343

To ten z bronią strzelił ostrzegawczo w ścianę, a odbita kula poleciała w stronę

Caroline i Christophera, co spowodowało jeszcze więcej krzyku, krwi i zamieszania. Kompan Caleba gorączkowo starał się odnaleźć w sytuacji, w której nie miał już broni, atakowała go rozszalała Maddy i, co najważniejsze, nieprzewidzianie inicjatywę przejął operator HRT, wyszkolony w podejmowaniu „natychmiastowych działań”.

BUUM!

To drugi pocisk odbił się o ścianę, ale tym razem wystrzelił go Jeremy. Leżał na podłodze, trzymając w wyciągniętej ręce pistolet Caleba. Z lufy unosił się dym. Krew i pogruchtane kości rozprysnęły się po betonie, kiedy strzał Jeremy'ego roztrzaskał tamtemu czaszkę.

- Spóźniłeś się - powiedział ktoś. Słowa zdawały się dochodzić z daleka, przedzierać się przez krzyki i echo strzelaniny, adrenaliny oraz bólu. To był głos Caleba.

Jeremy wycelował pistolet w jego stronę.

- Niezupełnie - powiedział operator HRT. Dokładnie wiedział, co ma robić. Mimo że biały pirat pierwszy podniósł się i zdołał uklęknąć, nie było wątpliwości, kto kontroluje sytuację.

-. . -m v ||>. .... " | ! ; | • :

\*

NIKT NIGDY NIE ODMAWIAŁ JORDANOWI MITCHELLOWI dostępu do niczego.

- No, więc słucham uważnie - powiedział, przewiercając Sirad wzrokiem, który mówił, że nie ma już miejsca na żadne niedomówienia i dwuznaczniki. Znajdowali się w damskiej toalecie, w kabinie wyłożonej nierdzewną stalą i jaspisowymi kafelkami importowanymi z Ekwadoru. - No, więc cóż to za tajemnica, którą pani zdaniem może pani zatrzymać dla siebie?

- Już panu mówiłam, że to jest coś takiego, o czym na tym etapie jeszcze nie mogę panu powiedzieć - oświadczyła Sirad.

Mitchell zobaczył swoje odbicie w lustrze. Wyglądał na spokojnego, zważywszy całą sytuację, ale wokół oczu zaczęły być widoczne oznaki stresu.

- Przyjrzyjmy się naszym służbowym kontaktom na przestrzeni tych ostatnich dwóch lat, dobrze? - zapytał, obserwując jej odbicie w lustrze. - Przyszła pani do Borders Atlantic jako obiecująca, młoda adeptka kadry kierowniczej, ale to była tylko przykrywka. Prawdziwe

344

pani zadanie to była praca dla CIA jako NOC - wyszkolony przez administrację specjalista od infiltracji nie tylko zachodnich rządów, ale każdej korporacji, w której znajdzie pani zatrudnienie.

Mitchell przerwał, dając jej czas na odpowiedź, ale Sirad stała z założonymi rękami i słuchała.

- Sprowadziłem najlepszych ekspertów od wykrywania kłamstw -ciągnął Mitchell. - Analityków od wariografów, brzmienia głosu, wizerunku - a pani wszystkich ich wywiodła w pole.

Sirad zaczęła się śmiać.

- A więc dobrze kłamię - powiedziała. - To jeden z powodów, dla których mnie pan ceni, czyż nie tak? Jedyne problem w tym, że może jestem za dobra. I dlatego w zeszłym roku nie dopuszczał mnie pan do ważnych zadań. Chciał pan znaleźć sposób na wypróbowanie mnie, zobaczyć, czy może pan zbudować ramy zależności... coś, co da panu kontrolę.

Tym razem to Mitchell był tym, który słuchał.

- I miał pan rację - mówiła dalej Sirad. - Rozumiem tę grę lepiej aniżeli tamtej nocy w Pokoju Wojennym, gdy przywiązał mnie pan do stołu i lał do gardła wodę z sodą. Teraz wiem, czego pan ode mnie oczekuje, i jestem gotowa panu to dać.

Sirad, mistrzyni uwodzenia, która niemal zapomniała, jakie to uczucie, kiedy się kogoś zabija, podeszła bliżej do jedyne go człowieka na ziemi, który okazał się lepszy od niej. Pochyliła się i zaczęła szeptać mu do ucha.

- Wiem, do czego pan zmierza. Wiem o Dżafarze al-Tayarze i o stawce. Nauczył mnie pan sztuki pojedynkowania się oraz różnicy pomiędzy honorem a zwycięstwem.

- No i? - zapytał Mitchell. Poczul zimny dreszcz przebiegający mu przez ciało.

Ta kobieta chyba okazała się warta wszystkiego, co kiedykolwiek sobie wyobrażał.

Sirad musnęła swoim policzkiem jego twarz. Przyłgnęła do niego na tyle długo, że napawał się jej zapachem, czuł ciepło jej piersi, kosztował owoców tego, co zasiał, pielęgnował i wyhodował.

- I nadszedł czas, byśmy stanęli naprzeciwko siebie w odległości dziesięciu kroków. Trzymam w ręku ten wielki pistolet angielskiego ka-walerzysty - szeptała ledwie słyszalnie. - Czy słyszy pan szczęk kurka?

•

345

JEREMY'EMU NIE STARCZYŁOBY ŻYCIA na zastanawianie się nad usprawiedliwieniem

tego, co teraz zrobił. Nie mogąc chodzić, a równocześnie mając świadomość, że czas ucieka, postanowił przesłuchać Caleba w obecności swojej rodziny. Nie było innego wyjścia. Już i tak nacierpieli się niewypowiedzianie, więc trochę więcej krzyków niczego nie zmieni.

BUUM!

Pierwsza z kul rozwalila Calebowi kolano. Jeremy przyłożył lufę do rzepki kolanowej, wiedząc, że strzał z bliskiej odległości nie będzie tak głośny, a chciał zaoszczędzić huk u uszom dzieciaków.

- Kim jest Dżafar al-Tayar? - spytał.

Caleb roześmiał się na głos. Ból zmienił jego wygląd, ale nie tak, jak Jeremy się spodziwał. Albinosowi to się wyraźnie podobało.

BUUM!

Drugi pocisk roztrzaskał drugie kolano.

Jeremy zapytał ponownie i reakcja była identyczna, jak za pierwszym razem. Krew bryzgała z poszarpanych ran, z arterii, co, jak obydwaj doskonale wiedzieli, oznaczało śmierć, i to w ciągu kilku minut.

BUUM!

Trzeci pocisk trafił w lewy łokieć Caleba, który leżał na podłodze unieruchomiony przez straszne rany.

- Kim jest Dżafar al-Tayar? - naciskał Jeremy. Nigdy nie miał przekonania do

tortur, ale w ciągu ostatniego roku życie zrewidowało wiele jego poglądów.

- Nie jesteś w stanie ich powstrzymać - powiedział Caleb. Słowa wymykały się z jego ust, wraz z nimi wypływało życie, a tymczasem krew tworzyła wielką kałużę wokół potwornie poranionego mężczyzny. Myśli zaczęły mu się mącić. - To zbyt głęboko. Za bardzo...

Jeremy wiedział, że dalsze tortury nie mają sensu, bo ból nie działał na tego człowieka. Ale przecież coś musiało?! Jeszcze chwila i ten morderczy drań umrze, wykrwawi się na śmierć, zabierając ze sobą tajemnicę projektu Megiddo.

- Kapłan Pinchasa - szepnął nagle Jeremy. Jakżeż mógł przeoczyć coś tak oczywistego?

Szybko przeszedł po zapchanej piwnicy i znalazł to, czego potrzebował: ostry nóż do przecinania tektury.

- Kim jest Dżafar al-Tayar? - zapytał. Nachylił się i lewą ręką odciągnął powiekę jedyne go oka Caleba, wywijając ją do góry.

346

- Nie! - zdołał wyszeptać albinos. Zdawał sobie sprawę, że to jego ostatnie chwile i że nie ma szans na dostanie się do nieba bez symbolu świadczącym o służbie Bogu na ziemi.

- Imię - powtórzył Jeremy.

Odciągnął skórę powieki przykładając do niej nóż.

- To prezydent - wyszeptał Caleb cicho, prawie niesłyszalnie. Jeremy pochylił się niżej i zapytał jeszcze raz.

- To prezydent i on was zbawi - Caleb dygotał. Jeremy przekręcił nóż i odciął powiekę.

A pieprzyć go - pomyślał. - Dla niego odpowiednim miejscem jest tylko piekło.

Rozdział XXI

Sobota, 19 lutego

7.07 GMT

Helikopter HMX-1, przestrzeń powietrzna nad Waszyngtonem

- DLACZEGO MÓWIĄ NA TO futbol? - zapytał prezydent. Siedział na końcu

śmigłowca

transportowego CH-53E, jednego z czternastu HMX-1 wyposażonego w udogodnienia,

które ułatwiały podróż ważnym osobistościom. Helikoptery te niezwykle często używane były do przerzutu cywilów, polityków i innych VIP-ów. Obok prezydenta siedziała kapitan marynarki z czarną skórzaną teczką na kolanach, wbrew wymogom bezpieczeństwa nieprzypiętą kajdankami do jej nadgarstka.

- Prezydent Kennedy wpadł na ten pomysł w czasie kubańskiego kryzysu raketowego,

ale cała procedura narodziła się za czasów prezydenta Eisenhowera, sir - odparła pani kapitan. Ta blondynka w białym mundurze służbę traktowała niezwykle poważnie i mimo pewnej surowości, jaką nadawał jej mundur, była naprawdę ładna.

- Zgodnie z anegdotą, JFK grał w futbol amerykański w Hyannis, kiedy Bobby wpadł na jednego z jego doradców wojskowych. Prokurator generalny upuścił piłkę, a prezydent zakpił, że jego brat obchodził się z piłką, jakby była skażona radioaktywnie. Po zabawie Bobby zażartował, że to była nuklearna piłka, której prezydent nie powinien nigdy upuszczać. I nazwa przyłgnęła.

- Interesujące - powiedział Venable. Widział zawartość walizki przez ułamek sekundy, w czasie przejmowania władzy, kiedy odbywał krótkie, wstępne spotkanie w Biurze Wojskowym Białego Domu. W środku tajemniczej paczki leżała „czarna książka”, zawierająca zestawy kodów zapisanych w Zintegrowanym Planie Operacyjnym

348

(SIOP-04), wiadomość do rozpoczęcia działań w chwili zagrożenia, czyli „kody początkowe”, broszura z logo Białego Domu z procedurami działań w sytuacjach kryzysowych oraz telefon podłączony do zabezpieczonej linii satelitarnej.

Agencja do spraw Łączności Białego Domu dołożyła jeszcze komórkę Quantis.

- FEMA prosi, by pozostał pan w powietrzu przez pierwsze dwanaście godzin po ataku - powiedziała Chase, nachylając się pomiędzy prezydentem a panią kapitan. Generał Oshinski usiadł naprzeciw nich, obok Havelocka. - Okrążymy środkowo-



zachodnie stany i wylądujemy w bazie sił powietrznych w Peterson w Kolorado, o ile warunki na to pozwolą.

Prezydent przytaknął.

- Co z celami?

- Zidentyfikowaliśmy cztery wioski na uboczu w południowym kwartale - powiedział generał. - Małe zagęszczenie ludności, słaba infrastruktura, gniazdo sunnitów.

Sprzedamy ich jako Al-Kaidę.

- A co z „Intrepidem”?

- Kończymy rozmowy z Jemeńczykami - odpowiedział Have-lock - Rada Wojenna twierdzi, że mogą udzielić nam wsparcia w ciągu dwóch godzin.

- Dobrze - wyszeptał Venable. - Każdy będzie miał wystarczająco dużo czasu, by zacząć przygotowania do wojny w Raven Rock i Miejscu numer Siedem. Jak się domyślam, wiceprezydent przyspieszyła prace nad protokołami COG?

Zaśmiał się szorstko, zadowolony ze swojej niedawno zdobytej wiedzy na temat akronimów i ezoterycznych warunków sztuki wojny.

- To nasze rozumowanie - odparł Havelock. Spoglądał na dwa identyczne śmigłowce marynarki wojennej, które leciały w pobliżu ich helikoptera. To były przynęty, zaprojektowane tak, by odwrócić uwagę wroga, gdyby chciał zestrzelić ich świetnie widoczny cel o „nadzwyczajnym znaczeniu”. Wybór jednego z trzech dawał marne szanse na powodzenie zamachu.

- David - odezwała się Chase - wydaje mi się, że musimy omówić naszą decyzję.

Wnętrze helikoptera było głośnie, ale wolne od podsłuchów. -Nadal nie mamy niepodważalnego dowodu, że za wszystkim stoją Saudyjczycy. Jest kilka opcji, które nie przewidują użycia broni nuklearnej.

Ten argument był z góry przegrany i świetnie o tym wiedziała, ale czuła, że musi próbować.

349

- Ten kraj jest pogrążony w wojnie - rzucił Venable. - A moim obowiązkiem, jako szefa sił zbrojnych, jest obrona państwa przed wszelkimi wrogami, tak zewnętrznymi, jak wewnętrznymi. Spojrzał na czarną walizkę, wyobrażając sobie,

jakie uczucie będzie mu towarzyszyło, kiedy nakaże jej otwarcie. - Jedyne sposobem na zatrzymanie rozlewu krwi to wysłać jasną, dosadną wiadomość.

- Do kogo? - zapytała. - Do świata arabskiego, który już uważa nas za podstawowe zagrożenie jego egzystencji? Przecież to spowoduje jedynie wzrost wrogości wobec nas w państwach sprzymierzonych. Arabia Saudyjska to nasz sojusznik, państwo, które my...

- Wydaje mi się, że powinniście się czegoś dowiedzieć, zanim zacnie się na dobre - przerwał Havelock. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego zamknął swoją komórkę. - DOE wykryło wysoki poziom promieniowania w Białym Domu, Kapitolu i kilku budynkach w centrum miasta. DHS uważa, że chodzi o skażenie zasobów wody w mieście.

- O mój Boże - jęknął Venable.

- Izotopy z Louisville.

- Skażenie zamkniętego systemu - zgodził się Havelock. - Nasza największa zbrodnia. Wszyscy w helikopterze rozumieli konsekwencje. Każda kropla wody od toalety w Gabinetach Ovalnym po kraniki z wodą pitną w biurach FBI, prysznice w szatni Senatu zostały skażone. Terrorysty zamienili stolicę kraju w miasto widmo.

- Jak szybko mogą wystartować myśliwce? - zapytał prezydent. Jego twarz była czerwona z wściekłości.

- Już rozgrzewają silniki - zameldował Havelock. - Dwanaście minut.

- Wielka Brytania, Rosja, Chiny i NATO mają być na linii, jak tylko myśliwce oderwą się od ziemi - zażądał Venable. - Odpalamy natychmiast, gdy „Intrepid” zajmie pozycję.

i

- STÓJ, SKURWIELU!

Jeremy usłyszał, jak drzwi na górze się otworzyły, a w domu rozległ się dźwięk ciężkich kroków. W pierwszej sekundzie pomyślał, że to członkowie Komórki numer 6 Ellisa, ale było ich zbyt wielu.

350

- Policja! - krzyknął kolejny głos w momencie, kiedy światło latarki omiotło

drzwi na dole. Grupa ubranych na czarno policjantów ze SWAT zbiegła na dół. Jeremy rzucił pistolet i założył ręce za głowę, przewidując ich taktykę. Skupiali się na broni, zakładając, że każdy, kto ma choćby nóż w rękę, zasługuje na zabicie.

- FBI! - wrzasnął Jeremy. - Jestem z FBI!

Jego słowa na chwilę zatrzymały dwóch pierwszych oficerów zbiegających po schodach, ale pozostali już napierali. Grupa pięciu zamaskowanych mężczyzn doskoczyła do Caroline i dzieci, by ochronić ich przed Jeremym, a jego powalili na ziemię i skuli mu ręce na plecach.

- O, kurwa! - wykrzyknął jeden z mężczyzn. To musiał być potworny widok. Caleb pływał w kałuży krwi. Mózg strzelca rozbryznął się po znacznej części muru. Caroline leżała niemal naga, związana, nienaturalnie wygięta. Patrick i Christopher leżeli obok niej, charcząc i zawodząc w męczarniach.

- Wiem, co myślicie, ale nie macie racji - Jeremy próbował przekonać SWAT. - Jestem tajnym agentem FBI, a to moja rodzina.

- Stul pysk, do kurwy nędzy! - wrzasnął jeden z policjantów. - Wiemy, że to ty prowadziłeś ten samochód.

Inny oficer zrewidował Jeremy'ego, szukając broni. Wyciągnął mu portfel z kieszeni spodni.

- Z tych papierów wynika, że nazywa się Walker - krzyknął, przeglądając lewe prawo jazdy Jeremy'ego.

- To moje dokumenty, kiedy działałem pod przykryciem - Jeremy próbował wytłumaczyć.

Jeden z mężczyzn wcisnął mu kolano w kark i wygiął nadgarstki ponad ramiona. Bolało tak mocno, że na chwilę zapomniał o bólu w nodze.

- Daruj sobie, skurwysynu - powiedział mężczyzna, który go skuł - moja żona była na wzgórzu, kiedy wybuchła twoja pieprzona bomba!

Patrick znów zawył z bólu, jeden z policjantów się nim zajął.

- Już w porządku, mały, zaraz cię stąd zabierzemy.

- Bravo Dwa do CP, potrzebujemy EMS z ALS\* - nadawał przez radio inny. Schylił

się, by przykryć Caroline zniszczoną koszulą.

\* Accident Localisation System - System Lokalizacji Wypadków.

351

- Nie róbcie krzywdy mojemu tacie! - krzyknęła Maddy. Wyglądało na to, że szybko otrząsnęła się z szoku po kolejnym wybuchu agresji w jej otoczeniu.

- Spokojnie, kochanie - dowódca grupy próbował uspokoić dziewczynkę. - Nikogo nie skrzywdzimy.

- Muszę porozmawiać z panią wiceprezydent - nalegał Jeremy. - Nie ma czasu, żeby...

Zanim zdążył dokończyć, dwóch policjantów zeszło po schodach do piwnicy.

- To na pewno Ansar - oznajmił jeden. - Powinieneś zobaczyć, co znaleźliśmy na górze: taśmy, C-4, broń, mapy... Mnóstwo tego jest.

- O, kurwa - drugi dopiero teraz zauważył ślady masakry. - Co tu się stało?

- Właśnie mówię... - Jeremy znów zaczął wyjaśniać, ale mężczyzna klęczący na jego plecach zdusił kolejne słowa.

- Nie mam pojęcia - powiedział dowódca. - Ale na pewno się dowiemy. Zabierzcie kobietę i dzieci do szpitala. A to ścierwo zawieźcie do Meade. Zobaczmy, co nam powie z elektrycznym pastuchem przy tyłku.

\* ..•

JORDAN MITCHELL ZAWSZE BRAŁ POD UWAGĘ zmienność swego wielkiego wroga. Była to

przesada typowa dla maniaka kontrolowania, wiedział o tym doskonale, ale to nie zmieniało jego postawy.

- Gdzie oni są? - zapytał.

Trask wskazał na tabelę wykonaną w PowerPoincie, wyświetloną po ich lewej stronie.

- Właśnie lądują w Andrews - odpowiedział szef zespołu - Kneecap zatankowany i gotowy. Przestrzeń powietrzna zamknięta. Będą startować z pionu.

- A mogą? - zdziwił się Mitchell. Mimo piętrzących się przed nim zasadzek i spraw wymagających niezwyklej koncentracji, aerodynamiczne możliwości boeinga

747 nagle wydały mu się nad wyraz interesujące.

- Tak - potwierdził Trask. - Bush wydał odpowiednie polecenia zaraz po jedenastym września.

- Mam ich - Sirad przerwała rozmowę mężczyzn. Siedziała sama przed komputerem.

352

Mitchell zjrzał jej przez ramię.

- Uderzenia w klawisze czy zapis? - zapytał.

- Nic z tych rzeczy. - Sirad wskazała stronę pełną przeskakujących cyfr, liter i symboli. - To początkowa sekwencja weryfikacyjna dla wszystkich jednostek w Raven Rock. Nawet jeśli WHCA może namierzyć każdą transmisję, czy to głosową, czy jedynie przesył danych, to NSA jest odpowiedzialna za weryfikację, czy chodzi o użycie futbolu.

- Wyjaśnij.

Sirad szybko napisała coś na klawiaturze. Dobrze odrobiła pracę domową.

- Zgodnie z procedurami bezpieczeństwa NSA musi zmieniać sekwencje początkowe

-

nazywane złotymi kodami - codziennie. Zmiany te przesyłane są zabezpieczonym, opartym na technologii przesyłu danych kanałem zwanym DSNET3 do Białego Domu,

Pentagonu, Strategicznego Dowództwa Lotniczego i do TACAMO\*.

- To jest ich strona?

- Nie strona. Ich dane - sprostowała Sirad. - Przechwyciliśmy ich transfer do Narodowych Władz Decyzyjnych\*\*, w tym przypadku do prezydenta na pokładzie Air

Force One\*\*\* i Pentagonu.

- I dzięki temu natychmiast dowiemy się, kiedy zostanie podjęta decyzja o ataku

- stwierdził Mitchell.

- Znacznie więcej - odparła Sirad. - Mamy możliwość zmiany rozkazów. Kanał NSA posiada automatyczną weryfikację odpowiedzi prawda-falsz. System jest zaprogramowany tak, by pytać o zbędne komendy, tak jak przy kasowaniu czegoś na

komputerze. Możemy zmienić drugą odpowiedź, zanim jeszcze pytanie zostanie zadane.

\* Zwrot używany w armii Stanów Zjednoczonych dla określenia systemu mającego zapewnić nieprzerwaną komunikację na wypadek użycia broni atomowej. TACAMO to

akronim zdania Take Charge and Move Out - przejmij dowodzenie i uciekaj.

\*\* NCA - National Command Authority - określenie używane przez amerykańskich wojskowych do określenia najwyższych władz decyzyjnych - prezydenta Stanów Zjednoczonych i sekretarza obrony.

\*\*\* Air Force One to kryptonim nadawany każdemu samolotowi amerykańskich sił powietrznych, na którego pokładzie znajduje się prezydent Stanów Zjednoczonych.

353

Pomyśl o tym jak o imadle zaciskającym się na wężu ogrodowym. Imadle, które jest pod twoją kontrolą.

- I mamy dostęp do Air Force One? - upewnił się.

- Tak jak do Pentagonu - przytaknęła Sirad. - Nie widzą różnicy między nami a dowolnym urządzeniem kategorii E-5.

- Doskonale - powiedział Mitchell rzadkim u niego tonem pochwały. - Mam pilną wiadomość od FBI dla prezydenta. Przygotuj się do pisania.

•

ELLIS LEŻAŁ w swojej snajperskiej kryjówce ze świadomością, że lada moment i on

stanie się uczestnikiem ostatecznej rozgrywki.

Głęboki oddech - przypominał sobie w myślach. - Adrenalina to zmora strzelców.

Ręce zaczęły mu się trząść, kiedy na północnym zachodzie pojawiły się trzy helikoptery. Od ponad dwóch godzin leżał nieruchomo, ale nie to powodowało drżenie.

Amunicja, magazynek, komora zamkowa, dosyłanie nabojów, bezpieczeństwo, spust, ostrość lunety - recytował bezgłośnie. Każdy z tych elementów mógł zawieść, a nie ma szansy na powtórkę.

Ellis delikatnie przesunął magazynek ku przedramieniu, by upewnić się, że olbrzymie naboje są na swoim miejscu. Odciągnął zamek i skontrolował komorę zamkową, by sprawdzić, czy nic nie wpadło do środka i nie zanieczyściło broni. W końcu włożył magazynek, zwolnił zamek i nasłuchiwał, czy pierwszy nabój przesunął się do komory.

Dyscyplina - upominał sam siebie. Pułkownik był urodzonym żołnierzem, stworzonym z przemocy i przeznaczonym do zabijania. Tylko Bóg mógł go prowadzić do wyznaczonego celu.

Kapłan Pinchasa rozłożył się za ogromnym magazynem broni wszelkiej maści. Przysunął oko do lunety Unertla i sprawdził możliwość obracania na specjalnie skonstruowanym siedzisku. Urządzenie zrobione ze stali nierdzewnej pozwalało na swobodne poruszanie długą, czarną lufą.

- Stany Zjednoczone Ameryki - przeczytał przy użyciu lunety: trzy słowa widniejące na samolocie. Te trzy słowa jak na razie reprezentowały jeden z dwóch podmiotów, któremu przysięgał lojalność.

354

. || • | • - •

ELIZABETH BEECHUM zwołała posiedzenie gabinetu cieni, jak tylko przyjechał pierwszy opancerzony cadillac: po czterdziestu członków obu Izb Kongresu; sekretarze stanu, obrony, spraw wewnętrznych; prokurator generalny i trzej sędziowie Sądu Najwyższego. Wszyscy zebrani w ciasnej auli mieszczącej dwieście pięćdziesiąt osób.

Członkowie Kongresu podzielili się zgodnie z przewidywaniami - republikanie po prawej, demokraci po lewej. Członkowie gabinetu usiedli na dole pośrodku, sędziowie Sądu Najwyższego dyskretnie zajęli miejsca z boku.

- Daruję sobie formalności - powiedziała wiceprezydent. Przemawiała z podium u szczytu sceny. Jej głos wypełniał pomieszczenie. Kurtuazyjna wymiana zdań, zdawkowe rozmowy o pogodzie i szepty zaczęły milknąć, wreszcie cisza zawisła nad salą.

- Nie wiem, czy słyszeliście, że zasoby wody w Waszyngtonie zostały skażone substancją radioaktywną- kontynuowała Beechum.

Znów wybuchła wrzawa. Zebrani mieli rodziny, przyjaciół w całym stanie.

- Eksperci twierdzą, że wodę można oczyścić, ale zajmie to co najmniej kilka dni.

Prezydent zarządził ewakuację wszystkich mieszkańców miasta i okolicy. Jego helikopter właśnie wylądował w bazie lotniczej w Andrews. Kneecapy powinny wystartować lada moment.

- Kneecapy? - młody senator z Rohde Island niemal krzyknął. -Czy to nie plan na dzień zagłady?

- To mobilne centrum dowodzenia - sprostowała wiceprezydent spokojnym, wyraźnym

głosem. - Zostałam upoważniona do przekazania wam, w jaki sposób będzie sprawował swoje funkcje na mocy ustawy o władzy w czasie działań wojennych i jaka, zgodnie z tym dokumentem, jest procedura ataku odwetowego na cztery cele strategiczne w Arabii Saudyjskiej.

W sali znów zawrzało.

- Jakiego ataku? - oburzył się reprezentant partii republikańskiej, który w Izbie czuwał na dyscypliną. Plotki i spekulacje już zaczęły obiegać salę.

- Taktycznego ataku nuklearnego - wyjaśniła Beechum spokojnie. Stała na podium, usiłując zachować powagę i spokój.

355

- To rozpęta świętą wojnę - krzyknął ktoś z sali.

- Wiem, że ta sytuacja może być szokująca dla niektórych z was -stwierdziła wiceszefowa rządu - ale taka jest decyzja prezydenta. Jeśli macie jakieś wątpliwości, sugeruję, abyście zwrócili się z nimi bezpośrednio do niego.

•!•!•

- KURWA, ZAMKNIJ SIĘ - warknął kierowca.

Jeremy siedział na tylnym fotelu vana z przyciemnionymi szybami. Dwa oznakowane wozy jechały przed nimi, światła i syreny torowały im drogę przez waszyngtońskie korki.



- Powtarzam, nazywam się Jeremy Waller. Jestem agentem FBI pracującym w HRT. Działalem pod przykryciem w związku ze śledztwem przeciwko ostatnim zamachom terrorystycznym.

Miał skrępowane nogi i ręce, ale nie mogli go uciszyć.

- Pierdol się - krzyknął pasażer. - Obserwowaliśmy ciebie i twoją siatkę terrorystyczną, odkąd porzuciliście samochód. Zachowaj te bzdury dla swojego prawnika.

- W porządku. Pozwólcie mi się z nim skontaktować - zgodził się Jeremy. Jeśli Caleb mówił prawdę, musiał znaleźć Beechum. Tylko ona mogła powstrzymać prezydenta przed zamienieniem wojny w dzień Sądu Ostatecznego. - Kiedy porozmawiam z prawnikiem?

- Biorąc pod uwagę, że jesteś wrogiem walczącym przeciwko naszemu krajowi schwytanym na gorącym uczynku podczas zakrojonego na szeroką skalę śledztwa, prowadzonego w związku z zagrożeniem narodowym, i ponieważ my nawet nie wiemy,

że istniejesz, powiedziałbym, że gdzieś pod koniec przyszłego stulecia, dupku.

Ból serca rozsadzał Jeremy'emu piersi. Myśl! - krzyczał na siebie w duchu. Jeśli nie uda mu się skontaktować z Beechum, tożsamość Dżafara al-Tayara pójdzie do grobu razem z nim.

- Dlaczego nie możesz pojąć, że to koniec, ty zdradziecki gnojku? - powiedział pasażer. Odwrócił się w swoim fotelu i wepchnął wskazujący palec w nadal zakrwawioną twarz Jeremy'ego - Jedyne, co chcę od ciebie usłyszeć, to nazwiska twoich współników i słowo „przepraszam”.

Jeremy chciał mu oddać, ale doznał nagłego olśnienia. Znieruchomiał. O to właśnie chodziło - pomyślał. - To jest wyjście!

356

- Przepraszam - powiedział z całą skruchą, na jaką pozwalały mu jego talenty aktorskie. - Okay. Zabierzcie mnie do pani wiceprezydent, a powiem wam wszystko, co wiem.

•

- PROSZĘ NATYCHMIAST wrócić na miejsca - powiedział pilot. Po raz pierwszy prezydent Venable widział członka załogi w kamuflażu.

Andrea Chase prowadziła ich do sali konferencyjnej, która znajdowała się tuż za kręconymi schodami na górny pokład. Kilkanaście osób w pośpiechu przesuwało się w głąb wielkiego cielska maszyny, obserwując ostatnie przygotowania do podróży, która może okazać się niezwykle długa.

Mimo że boeing 747-200 został przekonstruowany tak, by jako Air Force E-4B przypominać samoloty pasażerskie, wykonujące standardowe loty w okresie pokoju, jego wnętrze było zasadniczo odmienne. Narodowe Centrum Dowodzenia z Powietrza -

NAOC\* - mogło pomieścić nie więcej niż sto czternaście osób, chroniło przed skutkami użycia broni nuklearnej i termicznej, miało skuteczne zabezpieczenia przed impulsami magnetycznymi, elektroniczny system obrony przed rakietami oraz najwyższej jakości system łączności.

- Aż trudno uwierzyć, że taki potwór może wystartować pionowo -zastanawiał się na głos Havelock. Nigdy nie był fanem latania i nie udawał entuzjazmu wobec tego, co czekało go za kilkadziesiąt sekund.

- Cztery silniki CF6-80C2B1 - z których każdy ma siłę ciągu rzędu pięćdziesięciu sześciu tysięcy siedmiuset funtów - mówił Oshinski. To jego zespół nadzorował wszelkie operacje NAOC. - Nie tylko dysponujemy ogromną mocą i możemy obronić

się przed każdym atakiem; to cudo pozostanie w powietrzu tak długo, jak chcemy, i to nie schodząc poniżej czterdziestu tysięcy stóp i z możliwością tankowania w powietrzu.

- Gotowi? - zapytał pierwszy pilot. Schylił się, by pomóc Have-lockowi zapiąć pas. Ogromne silniki samolotu zamruczały i maszyna powoli zaczęła się unosić.

\* National Airborne Operations Center - Centrum Operacji Powietrznych.

357

- Prawie - powiedział generał. Przesunął się, by chwycić teczkę futbol, którą wojskowy kurier położył na mahoniowym stole konferencyjnym. - Tylko się

upewnię,

że wszystko jest w porządku, na wypadek gdyby prezydent chciał...

Jego słowa zagłuszył trzask otwieranej walizki. Mechanizm trzeciej wojny światowej ujrzał światło dzienne. Wyjął „czarną księgę” - siedemdziesięciopięciostronicowy przewodnik zawierający SIOP\*, który dzielił działania wojskowe na trzy kategorie: atak główny, atak wybiórczy i atak ograniczony.

- Ma pan dwa zestawy planów do wyboru, panie prezydencie - wyjaśnił Oshinski. Przejrzał walizkę, by upewnić się, że wszystko jest na swoim miejscu. - Otwarcie ostrzegawcze i otwarcie w chwili zagrożenia. Wydaje mi się, że w tej sytuacji całkiem prawdopodobne będzie...

- Przepraszam. - Oficer obsługujący zwyczajowo pasażerów pierwszej klasy dyskretnie zastukał w drzwi do sali konferencyjnej. - Mam pilny przekaz dla pana prezydenta.

Oficer nadzorujący lot gestem dał niższemu rangą koledze przyzwolenie na wejście do sali.

- Co to jest? - zapytała Chase, kiedy jej przełożony skończył czytać. W jej interesie leżało posiadanie wiedzy o wszelkich informacjach, jakie trafiały do prezydenta.

- Nie wierzę - powiedział Venable. Jeszcze raz przeczytał notkę, aby się upewnić, że za pierwszym razem się nie pomylił. - To z SIOC\*\* FBI... Piszą, że wycofują swoje oskarżenia wobec Saudyjczyków. Zidentyfikowali białych radykałów - Ruch na

rzecz Chrześcijańskiej Tożsamości, którzy nazywają siebie Pinchasa...

Odwrócił się do Havelocka, oficera wywiadu, pozostającego do jego pełnej dyspozycji.

- Na Boga, uważają, że to Amerykanie.

•

\* Single Integrated Operational Plan - Kompleksowy Plan Operacyjny, dokument mówiący, w jaki sposób Stany Zjednoczone użyją broni jądrowej w razie

zaatakowania ich taką bronią.

\*\* Strategie Information and Operation Center - Centrum Informacji i Operacji Strategicznych.

358

BEECHUM I JEJ główny doradca siedzieli w biurze dyrektora generalnego Sztabu Kryzysowego. - Te trzy gabinety ostatni raz używane były w ciągu kilku tygodni, które nastąpiły po 11 września.

- Prezydent niedługo wystartuje z bazy w Andrews - stwierdził dyrektor operacyjny FEMA. - Mimo że w jego rękach pozostaje pełnia władzy, rząd nie da rady przetrwać za tymi murami. Wszystkie znaki na niebie i ziemi mówią, że de facto to ty kierujesz wszelkimi działaniami pozamilitarnymi. Jeśli cokolwiek stanie się Air Force One, będziesz miała pełną kontrolę.

Wiceprezydent pokiwała głową. Już kiedyś grała pierwsze skrzypce w czasie kryzysu. Odpowiedzialność i konieczność kierowania działaniami tysięcy osób nie przerażały jej.

- Powiedz mi tylko, kiedy oderwie koła od ziemi - poleciała - i czy mamy z nim połączenie.

- Tak jest, madame - przytaknął dyrektor FEMA. - Właśnie rozmawiałem z... Jakieś zamieszanie w części recepcyjnej przerwało jego wypowiedź.

- Ona na pewno się zgodzi na wizytę, do cholery! - zawołał zdenerwowany głos. Ktoś nerwowo zapukał w drzwi.

- Wejść - powiedziała Beechum.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich major korpusu piechoty morskiej z barettem 92F w dłoni.

- Proszę mi wybaczyć - oznajmił zdezorientowany - wiem, że to zabrzmiało jak wariactwo, ale są tu ludzie z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego z jakimś człowiekiem, którego właśnie aresztowali. Ten koleś mówi, że ma niezwykle istotne informacje dotyczące śledztwa, ale że może przekazać je tylko pani.

Beechum spojrzała na dyrektora FEMA i dwóch agentów Secret Service.

- Nazywam się Jeremy Waller! - krzyknął głos. - Powiedz jej, że nazywam się

Jeremy Waller!

•

- AMERYKANIE? - zdumiał się Havelock. -A co z przyznaniem się do winy przez Arabię?

359

Prezydent czytał korespondencję z FBI. Tekst pełen był biurowej nowomowy, którą Venable dopiero zaczynał poznawać.

- Piszą, że grupa białych radykałów, wywodzących się z naszego kraju, która nazywa siebie Kapłanami Pinchasa, użyła muzułmanów jako przykrywki dla swoich działań. To operacja wewnętrzna, której celem jest wywołanie wojny pomiędzy światem chrześcijańskim a islamem.

- Przecież to śmieszne! - wybuchnął Havelock. - Czy tę wiadomość przesłało to samo FBI, które jeszcze godzinę temu mówiło mi, że mają dowody na powiązania księcia Abdullaha z radykałami w Stanach?

- Tak stwierdzono - czytał prezydent. -Analitycy są przekonani, że Kapłani Pinchasa usiłowali wywołać swoistą Apokalipsę. Armagedon.

Oshinski odłożył „czarną księgę”. Chase potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

Havelock nerwowo pocierał dłoń o dłoń, usiłując nadać sens ostatniemu tygodniowi, który był zdecydowanie wyjątkowo płodny w delikatne sytuacje.

- Czy powinniśmy przelozyc lot? - zapytał oficer lotu. Jego praca obejmowała znacznie istotniejsze zadania niż zapinanie pasów VIP-om.

Venable zaprzeczył ledwie słyszalnym głosem.

- Nie, za nic - powiedział. - To opinia FBI - tego samego FBI, które nie przekazało mi żadnej istotnej, dokładnej informacji od momentu pierwszego bombardowania. Jeśli wydaje się im, że narażę bezpieczeństwo kraju na podstawie jakiejś zwariowanej teorii spisku tajnego stowarzyszenia kapłanów, to są szaleni.

Prezydent David Ray Venable wskazał na futbol.

- Wyjmij kody - rozkazał. - Misja już się zaczęła.

•

PULKOWNIK ELLIS PATRZYŁ, jak ogromny niebiesko-biały samolot powoli

nawraca z

wojskowego pasa na cywilny i zaczyna nabierać prędkości. Wiedział, że koordynacja czasowa musi być bez zarzutu. Miał zaledwie kilka sekund, odkąd Kneecap oderwie się od ziemi, do chwili, kiedy samolot znajdzie się poza zasięgiem. Najlepszym momentem do strzału będzie ten, w którym samolot przestanie się wznosić i pilot zacznie przestrajac urządzenia do normalnego lotu.

- Błogosławieni ci, którzy czynią pokój - szeptał, klęcząc za ławką. - Oni będą Synami Boga.

360

W tym momencie stanowił łatwy cel - ciepłe ciało pośród śniegu - ale nie przejmował się tym. Było za późno, nikt nie mógł go powstrzymać. Jedyne, co miał zrobić, to strzelić do maszyny, której silniki pracują pełną mocą. Miał w magazynku dużo naboji; wcześniej strzelał już wiele razy, nie mogło być mowy o spudłowaniu.

- Czekaj... czekaj... czekaj... - upominał sam siebie, kładąc palec na spuście. Samolot, na którego pokładzie znajdował się prezydent, leciał dokładnie na wprost, a jego dziób robił się coraz większy i coraz szybciej rósł w wizjerze lunety.

- Jeden strzał - powtarzał sobie. - Jedna kula, by ocalić wybranych. :l-

..i;.\' . : ' > '| •':.:| " ; ' . || " :.

•

- CO TU SIĘ DZIEJE, do diabła? - dopytywała się wiceprezydent. Jeremy, zakuty, został wprowadzony do gabinetu. Krew ciekła mu po nodze mimo założonej opaski uciskowej. Jego ubranie było podarte i zabłocone. Wysuszone resztki ciała napastników przykleiły mu się do twarzy i utkwily we włosach.

- Przepraszam - powiedział agent DHS - ale on mówi...

- Mówiłem, że muszę z panią porozmawiać w cztery oczy, pani wiceprezydent - nalegał Jeremy. - Nie mamy czasu, by to teraz tłumaczyć. Mam informacje najwyższej wagi, dotyczące bezpieczeństwa narodowego. Bezwzględnie tajne. Tylko do pani wiadomości.

Beechum usiłowała nie okazać, że rozpoznaje tego człowieka. To niewiarygodne, że się zjawił - ewidentne złamanie zasad, na które wyraził zgodę podczas ich pierwszego spotkania w gabinecie Jordana Mitchella.

- Zostawcie nas samych - rozkazała. - Zupełnie samych.

- Ale, madame... - agent z Secret Service próbował interweniować.

- Zostawcie nas! - zażądała. Władza była po jej stronie, nie mieli wyjścia, jedyne co mogli zrobić, to ponarzekać.

- Nie masz prawa tu przychodzić - powiedziała, kiedy została sama z Jeremym. - Wiesz o tym doskonale.

- Wiem o projekcie Megiddo - wypalił. Nie było czasu na kłótnie o zasady i przyzwoitość w świecie, w którym już niedługo będą to tylko puste słowa. - Zidentyfikowałem Dżafara al-Tayara.

361

Beechum zastygła. Czy to możliwe? - pytała samą siebie. Czy ten podrzędny agent FBI naprawdę mógł odkryć tajemnicę, ukrywaną przez przedstawicieli najwyższych władz przez ostatnie dwadzieścia lat?

- C-c-o? - zająknęła się. - Co... kto...?

- To prezydent - Jeremy wyrzekł te słowa, jakby odczytywał królewski nakaz. Nie dbał o to, kto go słyszy. - On zamierza użyć tych ataków terrorystycznych jako wymówki, by rozpocząć wojnę z islamem. Musi pani go powstrzymać.

Beechum wstała z fotela. Wyraz zrozumienia widoczny do tej pory na jej twarzy ustąpił miejsca złośliwemu, ironicznemu uśmiechowi.

- Stracił pan mnóstwo krwi, agencie Waller - powiedziała. - Wydaje mi się, że pan majaczy.

\*,-.-...|.....,|

BOŻE, NIE MA TEMU KOŃCA - pomyślała Sirad, obserwując, jak Plan Dnia Zagłady

powoli zaczyna żyć własnym życiem. Kamera wojskowych sił zbrojnych, która miała służyć zapewnieniu bezpieczeństwa, przekazywała teraz obraz na pięć monitorów.

- Naprawdę myśli pani, że mógłby? - zapytał Mitchell. Jeśli odczuwał jakąkolwiek

obawę, z pewnością jej nie okazywał.

- A jeśli...

- Sirad - Mitchell powstrzymał kobietę - czy naprawdę myśli pani, że taką sytuację pozostawiłbym w rękach jakiegoś narwańca, który kieruje się swoimi zachciankami, czy co gorsza, w rękach polityków?

Prezes Borders Atlantic podniósł pilot do telewizora i przełączył urządzenie z kanału CNN pokazującego rzeź na wzgórzu Kapitol na inny niesamowity obraz - białoczarne mżawka, jakby z kamery przemysłowej. Wszyscy w pokoju zwrócili uwagę na małą, czarną plamę - człowieka - chodzącego w kółko po obiekcie tego samego koloru.

- Co to, jakiś obraz nagrany w podczerwieni? - zapytała Sirad.

- To jest śmierć - odpowiedział, krzyżując ręce na klatce piersiowej. - Ludzie nazywają ją GI Jane.

•

HUK SILNIKÓW maszyny zagłuszył kroki agentki z Grupy do Zadań Specjalnych CIA,

która szybko brnęła do celu przez zaśnieżony

362

teren. Gdy tylko koordynator misji z Nowego Jorku przesłał na jej telefon Quantis współrzędne GPS, ruszyła. Jej cel klęczał nie dalej niż dziesięć jardów od miejsca, w którym się znajdowała, skoncentrowany na własnym zadaniu.

BUUUM!

Bezlitosny barrett .50 wybuchł, ogłuszając ją na ułamek sekundy. BUUUM!

Ledwie dostrzegalny błysk wydobył się z lufy w chwili, kiedy dziób Kneecapa skierował się w stronę nieba i zaczął się unosić. BUUUM!

Ostatni strzał był słabszy, bardziej jak pstryknięcie niż wstrząs.

Ale efekt okazał się bezbłędny. Pistolet kalibru .45, który GI Jane miała przy sobie, wystrzelił raz, ale to wystarczyło, by Ellis pozostał już na zawsze w miejscu, które namierzyły czujniki podczerwieni w satelicie Jordana Mitchella.

- I siódmy anioł rozsnuł swój welon w powietrzu, a wspaniałe głoś rozległ się z



niebiańskiego tronu: Dokonało się! - wyrecytowała. GI Jane nigdy nie uważała się za osobę religijną, ale akurat ten cytat wydał się jej idealnie dopasowany do sytuacji. W końcu był wojownikiem. Czowała, że jest mu to winna.

Tajemnicza ekspertka od motyli wlokła się przez śnieg w przeszywającym uszy jęku, wydawanym przez silniki startującej pionowo maszyny. Miała jeszcze jedno zadanie do wykonania.

-\*||•|||...!|

- JESTEŚMY GOTOWI, PANIE PREZYDENCIE - poinformował generał Oshinski, kiedy Air

Force One zakończył sekwencję startową. Przy uchu trzymał aparat Quantis, wyjęty z walizki futbol. Po drugiej stronie stołu stał 0-6\*, gotowy, by odpalić rakiety z głowicami jądrowymi z USS „Intrepid”, który znajdował się jakieś sto dziesięć mil na południe od Jemenu.

\* Kryptonimem tym określane są członkowie Gwardii Narodowej lub innych jednostek

wojskowych delegowani do czasowej służby przy członkach rządu Stanów Zjednoczonych w przypadku zamieszek, klęsk żywiołowych lub sytuacji wyjątkowych.

363

- David, proszę ostatni raz, zastanów się dobrze - prosiła szefowa sztabu Białego Domu. Przede wszystkim była doradcą do spraw politycznych, ale czasami mniejszy poziom testosteronu u kobiet pozwalał myśleć bardziej racjonalnie. - A jeśli akurat ten raport FBI jest prawdziwy?

- Odpalić - rozkazał prezydent. Jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona, ale w oczach Venable'a dostrzec można było strach.

- Rakiety zostały odpalone - potwierdził Oshinski.

No, cóż... - pomyślała Chase, godząc się powoli z myślą, że takiej przyszłości tego rządu nie dało się zapobiec. - To się naprawdę stało.

MITCHELL ROZPOZNAŁ kody rozpoczynające atak, kiedy pojawiły się na monitorze

jego komputera, jeszcze zanim Ravi je wywołał.

- To jest to - powiedział prezes Borders Atlantic. Jego głos był spokojny.

Kontrolowany. - Prześlij to do Mount Weather.

Sirad szybko uderzyła w cztery klawisze na klawiaturze i wcisnęła „enter”.

- Poszło - zameldowała. Mitchell przytaknął.

Och, jak uwielbiał, kiedy jego plany ziszczały się na jego oczach. -

•

- PANI WICEPREZYDENT! - Człowiek z FEMA wszedł do jej gabinetu bez pukania.

Wydawało się, że brakuje mu tchu, ale nie było to spowodowane biegiem. - Pani wiceprezydent, mam druzgocące nowiny.

Jeremy widział panikę w oczach mężczyzny. To był zwykły karierowicz - jeden z tych pustych łbów w garniturze, który uciekał przed odpowiedzialnością za podejmowane decyzje, nie podejmując ich w ogóle. Cóż... teraz miał nie lada problem.

- Obawiam się, że Air Force One został zestrzelony... Proszę pani... Prezydent nie żyje.

Zapadła grobowa cisza. Obecni w pokoju spodziewali się każdej informacji, ale nie takiej. Kiedy agent Secret Service i uzbrojony marinę weszli do gabinetu, nikomu nie pozostał nawet ślad nadziei, że to pomyłka.

364

- Nie żyje. Co to oznacza dla nas? - zapytała.

- Zgodnie z ustawą o ciągłości rządu oraz zapisami w konstytucji, zostanie pani zaprzysiężona na prezydenta. Niezwłocznie.

- Prezydent... - urwała Beechum. Słowo zawisło w powietrzu i nie wiadomo było, czy żałuje śmierci swojego politycznego rywala, czy też próbuje, jak brzmi w jej ustach nowy tytuł.

- Jeden z sędziów jest niedaleko - powiedział pracownik FEMA. - Musimy zebrać tu Kongres i ustanowić to miejsce jako nową siedzibę rządu. - Stał spokojnie, ale

całą swoją postawą wyrażał napięcie. - Wydaje mi się, że to nie jest najlepszy moment na składanie gratulacji, proszę pani, ale chciałbym życzyć pani powodzenia.

Jeremy ledwie słuchał chaotycznej przemowy. W głowie rozbrzmiewały mu jedynie ostatnie słowa Caleba.

- Prezydent - wyszeptał albinos. - Jedynie prezydent może cię ocalić.

I nagle, w przypiływie natchnienia, Jeremy uświadomił sobie, jaka jest prawda. Prawda, która niemal powaliła go na kolana.

- Dziękuję... - odezwała się Beechum pewnym głosem. Czekwała na tę chwilę tyle lat, i kiedy nadeszła, poczuła się tak, jakby zrzuciła jakieś niewidzialne więzy.

- Chciałabym porozmawiać z pierwszą damą. Bardzo proszę, nie wspominajcie o tym,

co się stało, nikomu. Rozumiemy się? Następnie proszę połączyć mnie z Raven Rock;

potem zwołać Kongres, czy co tam trzeba zrobić, żebyśmy mieli prowizoryczne posiedzenie rządu.

- Tak jest, madame - przyjął polecenia oficer z FEMA. Protokoły COG dokładnie opisywały krok po kroku, co należy zrobić, by ukonstytuować rząd, ale nikt nie uprzedził go, jak ma się zachowywać i co robić w takim dniu. Odwrócił się, usiłując zachować równowagę, i niemal się zataczając, opuścił pokój.

- Dżafar al-Tayar - powiedział Jeremy, nie zdając sobie sprawy, że słyszągo wszyscy zebrani w pokoju, w tym grupa ochroniarzy, którzy jak spod ziemi zjawili się obok Beechum. Jego słowa brzmiały grubo, brudno w zastałym powietrzu podziemnego bunkra. - Mój Boże. To ty?

Beechum rzuciła mu spojrzenie, które mogło zabić. Patrzyła na niego, ale ruszył w kierunku najbliższego strażnika.

- Ten człowiek nie wie nic o śledztwie. - Kiwnęła głową na agenta Secret Service.

- Zabierzcie go stąd, zanim wykrwawi się na mój dywan.

365

- CZY MAMY COŚ JESZCZE? - zapytał Mitchell. W pokoju wyczuwało się

atmosferę

strachu, ale lata poruszania się po cienkiej linii dzielącej ambicje materialne i patriotyczny obowiązek uodporniły go na wszelkie słabości. Przyszła pora na jego show i wszyscy o tym wiedzieli.

- Jeszcze nic - powiedziała Sirad, czytając komunikaty WHCA płynące po monitorze jej komputera. Dzięki klawiaturze mogła skontaktować się bezpośrednio z przedstawicielami najwyższych władz w kraju w najpilniej strzeżonych miejscach. Moc, jaką dawało połączenie z danymi WHCA, spowodowała, że koniuszki jej palców zaczęły drżeć.

- Już powinna coś zrobić - stwierdził Mitchell. - Jesteś pewna, że...

- Zaczekaj! Już mam - Sirad przerwała mu w pół słowa. - Ktoś w Miejscu numer Siedem właśnie wydał rozkaz do mobilizacji naszych sił w Europie. Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem wszystkie akronimy, ale wygląda na to, że armia Stanów Zjednoczonych otrzymała rozkaz jak najszybszego przygotowania się do działań wojennych.

Sirad zaczęła wodzić za tekstem palcem, usiłując pomóc sobie w ten sposób, ponieważ dane przepływały coraz szybciej.

- Tu jest coś jeszcze... Wygląda na to, że USS „Intrepid” został zawrócony na Ocean Indyjski - przerwała na chwilę. -1 jeszcze jedna wiadomość. Ta została wysłana przez POTUS. Jest zaadresowana do...

- Do mnie - oświadczył Mitchell.

- Tak - tyle Sirad zdołała z siebie wydobyć. I wtedy zrozumiała geniusz planu Mitchella. Wszystko, co widziała przez ostatnie kilka miesięcy, kiedy pracowała przy projekcie Quantis, to, w jaki sposób okręcił sobie wokół palca cały zespół, jego kontakty z Białym Domem, uzależnienie od swojej opinii polityków z najwyższych szczytów władzy, to jak bawił się nią, pchając głębiej i głębiej, aby poznała urządzenia szyfrujące, dopóki Młotek, Nie Umiem Strzelać i inni pomagali jej włamać się do systemów informacyjnych prezydenta i Białego Domu. Sirad odwróciła się od monitora i patrzyła na mężczyznę, który mógł rządzić

światem.

- Przeczytaj - polecił Mitchell.

- Jest napisane: projekt Megiddo wykonany - wyrecytowała Sirad bez patrzenia na monitor. - Wszystko bezpieczne dla ciebie. Beechum.

366

Nikt nie powiedział ani słowa. Jedyne Mitchell wykazał odrobinę zainteresowania wiadomością, kiwnął głową, wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

\* , -

AIR FORCE ONE spadał z wysokości czterdziestu jeden tysięcy stóp, gdy prezydent zorientował się, że z powodu niezidentyfikowanych problemów technicznych jego rozkaz, by zrównać z ziemią połacie saudyjskiej pustyni, trafił w pustkę. Żadna z rakiet nie zniknęła za horyzontem - powiedział szef połączonych sił. Ani jeden obóz szkoleniowy Al-Kaidy nie ucierpiał, wbrew zaleceniom prezydenta.

Na szczęście prezydent dowiedział się także, że raport FBI został zweryfikowany pozytywnie przez wywiad CIA. Informatorzy i agenci działający w ukryciu przy wysokich urzędnikach saudyjskich potwierdzili informacje w nim zawarte. Byłego pułkownika sił specjalnych Bucka Ellisa zidentyfikowano jako przywódcę mało znanej grupy -Kapłanów Pinchasa. Śledczy z FBI i DHS przeszukali jego ranczo niedaleko Kerrville w Teksasie. Znaleziono tam informacje o osiemnastu członkach grupy - białych separatystach odpowiedzialnych za naj-okrutniejsze czyny w całej historii Stanów Zjednoczonych.

W ciągu godziny prezydent wrócił do bazy w Andrews, by spróbować odkręcić wszelkie działania, które dla innych bezsprzecznie wiązały się z Planem Dnia Zagłady, i zacząć odbudowę sponiewieranego narodu.

- Jest jeszcze jedna kwestia- przypomniała mu Andrea Chase, kiedy w swojej długiej podróży przesiadali się do Marine One\*. W związku ze skażeniem w waszyngtońskich biurach rządowych, wszyscy szefowie operacji zostali przeniesieni do Mount Weather.

- Jeśli mam być szczery, nie jestem pewien, czy w tym momencie podołam kolejnej kwestii - powiedział Venable. Jak w każdym innym kryzysie, ból po stracie

otwierał drogę nadziei na odrodzenie.

- Chodzi o Elizabeth - kontynuowała Chase. Zapięli pasy w ogromnym helikopterze marynarki wojennej i poczuli, jak maszyna unosi się

\* Określenie używane przez marynarkę wojenną do zidentyfikowania samolotu, na którego pokładzie znajduje się prezydent Stanów Zjednoczonych.

367

w górę, z dziobem skierowanym na północny zachód. - Dowiedzieliśmy się o niej czegoś interesującego.

\*

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych siedziała spokojnie za biurkiem, kiedy drzwi do jej biura otworzyły się, a dwóch agentów Secret Service wprowadziło do pokoju Jeremy'ego Wallera. Zegar na ścianie wskazywał 12.40 czasu Żulu - dziesięć minut przed przylotem prezydenckiego helikoptera.

- Wiesz, najbardziej brakuje mi tu okien - odezwała się Beechum, wstając i dając strażom sygnał, by zostawili ich samych. - Lubię pamiętać, że tam na zewnątrz jest coś, w co warto nadal wierzyć.

Jeremy stał przed nią z rękoma zakutymi w kajdanki na plecach. Scena wydawała się surrealistyczna, trudna do zrozumienia, nawet biorąc pod uwagę jego dotychczasowe doświadczenia.

- Okna... - wyszeptał. Nie był w stanie wyrzec nic więcej.

- Wiem, co myślisz. - Beechum pokiwała głową. Sięgnęła na górną półkę i wzięła do ręki przedmiot, którego Jeremy nie mógł zobaczyć. - Myślisz, że jestem zdrajczynią, że zdradziłam ten kraj... Wszystko, czego broniłeś, niemal tracąc przy tym życie.

- Chcieli zabić moją żonę i dzieci - westchnął Jeremy. Zdrajczyni to było za słabe określenie. Ta kobieta odpowiadała za masowe ludobójstwo. Reprezentowała zło w najczystszej postaci.

- Odwróć się - powiedziała.

Jeremy patrzył, jak Beechum wstaje i wychodzi z za biurka. Trzymała coś w prawej dłoni, coś tak małego, że idealnie mieściło się w zaciśniętej pięści.

- Powstrzymają cię - stwierdził, obserwując ją usiłując zgadnąć, co zrobi teraz.
- Mitchell się domyśli wszystkiego. Znajdzie sposób, żeby...
- Odwróć się! - rozkazała Beechum. Tym razem podeszła bliżej... Wystarczająco blisko, by Jeremy dojrzał szaleństwo w jej oczach. To nie był wzrok polityka, ale człowieka, który bezgranicznie wierzył w ideę - człowieka zdolnego zrobić wszystko.
- Nie - Jeremy potrząsnął głową. - Jeśli chcesz mnie zabić, zrób to, patrząc mi w oczy.

Beechum zaczęła się śmiać. Był to nerwowy skrzek - wytwór ironii, nie poczucia humoru.

368

- Zabić cię? Nie mam najmniejszego zamiaru cię zabić. Chcę cię uwolnić.
- Z tymi słowami obeszła go dookoła i kluczykiem otworzyła kajdanki na rękach Jeremy'ego.
- Jestem Dżafar al-Tayar - powiedziała. - Masz rację, ale nie w takim sensie, w jakim ty to rozumiesz.
- Jeremy pocierał nadgarstki, kiedy ściągnęła kajdanki i cisnęła je na biurko. Nadal stał w miejscu, czekając, aż Beechum znów znajdzie się naprzeciw niego.
- Dwadzieścia pięć lat temu pułkownik armii Stanów Zjednoczonych przedstawił jednemu ze swoich poruczników odkrywczą i intrygującą myśl. Ten kraj jest ciągle zagrożony komunizmem, powiedział, i jest to coś znacznie poważniejszego niż broń nuklearna czy zimno-wojenne potyczki w krajach Trzeciego Świata. Ameryka każdego dnia mierzy się z niezwykle prawdopodobną infiltracją rządu. Jest to możliwe poprzez nadmiernie rozdętą demokrację, złe zdefiniowanie tego pojęcia. Co będzie, jeśli ktoś z nich dojdzie do władzy w wyniku wyborów? - pytał. - Co, jeśli oni...
  - Znam tę historyjkę - przeszkodził jej Jeremy. - Jak, do cholery, myślisz, udało mi się cię odnaleźć?
  - Co, jeśli oni tkwią w tym systemie i robią wszystko, by go zniszczyć? -
- Beechum podeszła do biurka i pochyliła się nad nim. Wydawała się nieobecna, tak

jakby przeniosła się w inną epokę, w inne miejsce. -A jeśli nasi wrogowie odkryją, że największą słabością społeczeństwa demokratycznego jest jego własna wolność?

- Jak to możliwe, że wszystko poszło źle? - dopytywał się Jeremy. -Tego nie potrafię zrozumieć. Jak najodważniejsi i najmądrzejsi wojskowi mogli posunąć się... jak ty mogłaś zrobić coś tak potwornego?

- To nie ona - przeszkodził mu głos. Głos, który Jeremy rozpoznał bezbłędnie. To był głos prezydenta.

- Dobrze cię widzieć, David - przywitała go Beechum. Podeszła do dowódcy sił zbrojnych i uściskała go. - Jak się domyślam, powiedzieli ci o wszystkim.

- Owszem - przyznał. -Ale najwidoczniej któreś z nas jest winne wyjaśnienie panu Wallerowi.

Jeremy uściskał rękę prezydenta i powoli zaczął rozumieć całą sytuację.

369

- Nie zidentyfikowałeś innych. - Skinął głową, patrząc na Beechum. Wszystko zaczynało być takie oczywiste. -Nie wiedziałeś, kogo jeszcze zwerbował Ellis. To mógł być prezydent, więc powinieneś był spróbować go zdekonspirować.

- Na moje nieszczęście stało się to w takich okolicznościach -mówił Venable. Podeszedł do biurka i poprzestawiał niektóre z rzeczy Beechum - ale teraz widzę, że nie było innego wyjścia. Nie było sposobu na powstrzymanie ataków terrorystycznych bez wystawiania na niebezpieczeństwo śledztwa. Mogły zginąć miliony niewinnych osób, jeśli przerodziłoby się to w wojnę z islamem.

- Kiedy się pan dowiedział? - zapytał Jeremy. Pewnie nie miał prawa zadawać takich pytań, ale zabrnął w to tak daleko.

- Praktycznie w ostatniej chwili. Dopiero kiedy Ellis próbował zestrzelić Air Force One - Beechum uprzedziła słowa prezydenta. - Nie byliśmy pewni, ale dopiero wtedy dowiedzieliśmy się na sto procent, że według projektu Megiddo to ja byłam najwyższym rangą kandydatem.

- Ale po co ta informacja, że prezydent nie żyje? - pytał zszokowany Jeremy. - Po co zaprzysięgać panią na prezydenta?



- Brak pewności - wyjaśnił Venable. - Lekcja, której nauczyłem się w czasie tej historii, to nie podejmować ryzyka. Jeśli którykolwiek ze współników Ellisa był w Kongresie, to gdy Elizabeth przejęłaby kontrolę nad rządem, wówczas on mógł wypłynąć na powierzchnię.

Jeremy potrząsał głową, nie dowierzając temu, co właśnie usłyszał.

- Jeśli pan pozwoli, agencie Waller - zwrócił się do niego prezydent. - Z chęcią bym został i porozmawiał z panem dłużej, ale muszę zająć się odbudową kraju. Jestem pewien, że pan mnie zrozumie i wybaczy.

Epilog

Sześć miesięcy potem

Hurkamp Park, hrabstwo Stafford, Wirginia

- TATUSIU! TATUSIU! POPATRZ NA MNIE!

Jeremy spojrzał pod słońce i zmrużył oczy, aby wśród tłumu pływaków dostrzec swoją córkę, Maddy. Basen pękał w szwach podczas tych, zdaniem meteorologów, największych od dwudziestu lat upałów.

- Widzę, kochanie! - odkrzyknął.

Jego córeczka w swoim fluoryzująco żółtym bikini stała na krawędzi jednometrowej trampoliny. Wyglądała z daleka jak świecący żuczek.

- Skaczę!

Maddy klasnęła dłońmi nad głową, sprawdziła jeszcze raz, czy tata na pewno patrzy, i pofrunęła do przodu, wykonując skok, który olimpijski sędzia nagrodziłby uśmiechem od ucha do ucha.

- Dobrze, świetnie wykonane! - krzyknął Jeremy.

- Teraz moja kolej, tato! - wrzeszczał Christopher.

Dobrze, że jest zadowolony, myślał sobie Jeremy. Chłopiec leczył się z nocnych koszmarów dłużej, aniżeli zrastała się połamana noga.

- Czy brakuje ci tego? - zapytała Caroline. Żona siedziała obok niego na ławce w parku, trzymając Patricka na kolanach. Od chwili porwania malca trudno było czymkolwiek zainteresować.

- Czego? - chciał wiedzieć Jeremy, odwracając się ku żonie już po obejrzeniu

pływackich pokazów.

- Czy brakuje ci jednostki? HRT?

Cóż mógł powiedzieć. Jeremy zgodził się opuścić ją dopiero wówczas, gdy pozostanie w niej groziło rozbitiem rodziny.

371

- Neeee - skłamał. - Cieszę się, że moje życie się ułożyło. Jeremy nie od razu zdał sobie sprawę, co zwróciło jego uwagę.

Może błysk słońca w szybie samochodu albo poruszana wiatrem gałąź. Ale wtedy przyjrzał się uważniej i wiedział. To znana twarz, nie tylko jemu, ale wszystkim Amerykanom. Kobieta miała okulary przeciwsłoneczne, kapelusz z szerokim rondem i

ładną indyjską sukienkę. Siedziała na tylnym siedzeniu cadillaca town car, migocąc w upale niczym fatamorgana.

- Tatusiu, zobacz, motylek! - odezwał się Patrick, gdy jasnoskrzydły owad przeleciał w wilgotnym powietrzu i usiadł zaledwie stopę lub dwie od wyciągniętej ręki.

- Tak, śliczny - przytaknął Jeremy, nie spuszczając wzroku z samochodu. Ale obok tej kobiety siedział jeszcze ktoś. Mężczyzna niemal tak samo powszechnie rozpoznawalny jak ona.

- Kochanie, podbiegnę na chwilę do tego samochodu - powiedział. Czuł nękający ból w żołądku - taki sam, jak wtedy, kiedy jako chłopiec pierwszy raz był w domu kolegi, albo wtedy, gdy na lekcji matematyki wywoływano go do tablicy, lub przed wyścigiem. - Czy przynieść ci coś do picia?

- Nie, dziękuję. Ale dzieciakom przynieś trochę wody - uśmiechnęła się Caroline.

- Jest tak gorąco, że martwię się o nie.

- Zaraz wracam. - Jeremy wstał, płosząc motyla, który odleciał w stronę bawiących się dzieci.

Najpierw dostrzegł Jeremy'ego ten mężczyzna. Kobieta w kapeluszu i w okularach siedziała spokojnie za nim. Mogła sobie być wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych,

ale to Jordan Mitchell rządził światem. ;>i

Podziękowania

Dziękuję wszystkim moim przyjaciołom i kolegom w wydawnictwie Linie, Brown and

Company, a szczególnie Michaelowi Pietschowi, który dał mi okazję do opublikowania tej książki, a także Geoffowi Shandlerowi, który sprawił, że jestem z niej dumny. Traktowaliście mnie jak członka rodziny i zawsze będę wam za to wdzięczny.

I dziękuję Suzanne Gluck, że pomimo moich wad przy mnie wytrzymała. Jesteś lojalną przyjaciółką i wspaniałą agentką. Bez ciebie nic nie doszłoby do skutku.

Mam też olbrzymi dług wdzięczności wobec mojej rodziny, która wycierpiała o wiele za dużo, a także wobec moich przyjaciół, którzy nie szczędzili mi słów zachęty. Życie pisarza, pomimo całego swego uroku, może być samotną wyprawą. A wy oferowaliście mi muzykę, śmiech i całusy, i to wtedy, gdy najbardziej tego potrzebowałem.

I wreszcie dziękuję tym wszystkim bezimiennym wojownikom, którzy troszczą się o nasze bezpieczeństwo. Teraz świat to skomplikowane miejsce do życia i dzięki Bogu, że ciągle znajdują się bohaterowie, którym nie brak odwagi, aby go strzec.

0 Autorze

Christopher Whitcomb jest autorem takich książek jak Czarne i Zimny strzał, wspomnień z piętnastoletniej pracy w FBI, gdzie był snajperem w elitarniej jednostce antyterrorystycznej, następnie instruktorem do spraw przeprowadzania przesłuchań, a ostatnio dyrektorem do spraw wywiadu i informacji o strategicznym znaczeniu w Grupie Reagowania Kryzysowego. Za niezwykłą dzielność otrzymał przyznawany przez FBI Medal za Odwagę. W 2002 roku przestał pracować w FBI i zajął się pisarstwem.

<

cc o

D <

O O

UJ

< C/)

o

UJ

<

Z cc < o

UJ\*

f-

W KSIĘGARNIACH

Powieść oparta na faktach

Bogusław ii oloszański

BOGUSŁAW WOŁOSZANSKI

SENSACJE XX WIEKU

TAMTEN i

uiłjiwj iiiiaiiMij aa